



Rosie Thomas
NA PIASKACH
PUSTYNI



RS

*Louisom, Salomonowi i Misty.
Nowemu pokoleniu*

1

- Pamiętam.

Mówię to na głos w ciszy swego pokoju, mając jeszcze w uszach szepty wybrzmiewające w mrocznych zakamarkach domu, i dobrze wiem, że to **nieprawda**.

Ja już nie pamiętam.

Jestem stara i zaczynam wszystko zapominać.

Czasem mam **świadomość**, że opuściły mnie całe połączenie pamięci - wymknęły się i rozplynęły gdzieś w dali. Gdy usiłuję sobie przypomnieć jakiś konkretny dzień lub cały rok albo, do licha, nawet dziesięć lat, mam dużo szczęścia, jeśli uda mi się przywołać nagie fakty wyzbyte koloru. Najczęściej nie ma nic. Pustka.

A gdy staram się przypomnieć sobie, gdzie żyłam, z kim i dlaczego, gdy usiłuję w jakiś magiczny sposób zobaczyć, jak to było, jak przebiegało moje życie i co mnie skłaniało, by budzić się co rano i podążać szlakiem dnia, nie potrafię tego zrobić. Znajome, a nawet kochane twarze cichutko rozplynęły się w powietrzu, razem ze swoimi imionami, datami ważnych zdarzeń i uroczystych rocznic, a także z tymi wydarzeniami, które wydawały się tak doniosłe. Wszystko to rozsypało się i pograżyło w niedostępnych otchłaniach.

To zapominanie jest jak pustynia. Ze wszystkich stron świata piasek sypie i sypie, powoli nawiewając kolejne wy-

dmy, a te rosną coraz wyżej, zamazując rysy każdej, nawet najbardziej dumnej i wyniosłej budowli, by w końcu zmieść ją całkiem z powierzchni ziemi.

Tak właśnie dzieje się ze mną. Klepsydra. Upływ czasu. (Choć to może frazes, lecz najlepiej obrazuje sprawę).

Mam osiemdziesiąt dwa lata. Nie boję się śmierci, która zresztą może być jeszcze ode mnie daleko.

Nie lękam się też całkowitego zapomnienia, bo wtedy przecież zapomnę o wszystkim.

Przeraża mnie ten stan pomiędzy. Boję się powolnej degradacji. Po całym swoim życiu w niezależności - tak, egoistycznej niezależności, jak słusznie powiedziałaaby moja córka - jestem przerażona możliwością powrotu do stanu dzieciennienia, do bezradności, do tego mętnego oceanu umysłu, z którego jak rafy sterczą chwile pełnej przytomności.

Nie chcę siedzieć w fotelu i być karmiona kleikiem z łyżeczki przez Mamduha lub Ciocię. A jeszcze bardziej nie chciałabym się znaleźć w rękach profesjonalnych medyków, którzy roztoczyliby nade mną solidną opiekę geriatryczną.

Wiem, jak by to wyglądało. Sama jestem lekarką i mimo że zbyt mało pamiętam, to widziałam aż nazbyt wiele.

O, idzie Mamduh. Jego skórzane pantofle miękko szurają po deskach schodów kobiecych. Ze słuchem nie mam kłopotów. Skrzypią zawiasy i otwierają się ciężkie drzwi, tak że widzę róg ażurowej osłony odgradzającej wewnętrzną galerię od sali przyjęć. Światło przebijające się przez ażur rzuca desę gwiazd i półksiężyców na podłogę i ściany.

- Dobry wieczór, madame Iris - mówi Mamduh cicho, z uszanowaniem. Tyle razy używana forma zwracania się do mnie brzmi w jego ustach jak obtoczony w górskim strumieniu kamyk, zlewając się w jedno „Mamris”. - Czy może pani spała?

- Nie - odpowiadam.

Rozmyślałam. Obracałam w myślach rzeczy.

Mamduh stawia tacę. Szklanka herbaty z miętą, słodkiej i aromatycznej. Lniana serwetka, kilka trójkątnych słodkich ciastek, na które nie mam ochoty. Niewiele teraz jadam.

Lśniąca wypukłość brązowej jak kawa łysiny Mamduha pokrywają ciemne smugi i duże, nieregularne znamiona. Wiem, że na zewnątrz, w rozpalonym do białości słońcu, zawsze nosi swój tarbusz. Widok, jak podnosi go obiema rękami i mocno nasadza na głowę przed wyjściem na bazar, to jakby cofnięcie się do czasów, gdy czerwony fez w kształcie doniczki był podstawowym nakryciem głowy każdego *effendi** w tym mieście.

Mamduh podaje mi szklankę z herbatą. Biorę od niego, zaciskając palce na wytartym srebrze kolistego uchwyty podstawki do szklanki i wychylając głowę do przodu, żeby poczuć aromat.

- Ciocia upiekła baklawę - mówi, zachęcając mnie przez odwiniecie serwetki na talerzu.

- Później, Mamduhu. Teraz idź, sam musisz coś zjeść.

Ale Mamduh nie tknie ani kęsa, nie napije się nawet łyka wody aż do zachodu słońca. Jest ramadan.

Gdy znów zostaję sama, wypijam herbatę, słuchając odgłosów miasta. Brukowana ulica za moim oknem przesłoniętym ekranem jest wąska, może nią przejechać tylko jeden samochód, a poza rogiem ściany osłaniającej moje wejście są już tylko schody do wielkiego meczetu. Ruch uliczny, płynący przez betonowe wstęgi ulic i zalewający wielką falą nowoczesne miasto, tutaj dochodzi tylko w postaci stłumionego gwaru. O wiele wyraźniej słychać krzyki i śmiechy rodzin przygotowujących wieczorny posiłek i zbierających się, by go spożyć o chłodnym zmierzchu. Gdy przejeżdża wózek ciągnięty przez osła, koła turkocą o kamienie bruku i słychać

* Pan (*tur.*). Tytuł grzecznościowy używany wobec urzędników lub właścicieli ziemskich.

chrapliwe, ostrzegające wołanie; potem gdzieś otwierają się na chwilę drzwi i płynie kilka taktów muzyki. Słyszając to, można by sądzić, że to ten sam Kair sprzed sześćdziesięciu lat.

Niektórych rzeczy nie mogę zapomnieć. Nie wolno mi. Inaczej cóż mi pozostanie?

Zamykam oczy. Szklanka przewraca mi się w ręku, rozlewając ostatnie krople płynu na sprane poduszki.

Sześćdziesiąt lat temu po tych ulicach chodzili żołnierze. Całe mrowie brytyjskich oficerów i szeregowych, Nowozelandczyków i Australijczyków, Francuzów, Kanadyjczyków, Hindusów i Greków, Południowoafrykańczyków i Polaków - wszyscy w piaskowych khaki. Miasto było jak spieczony słońcem magnes dla oddziałów wojskowych, które tu ścigały w poszukiwaniu barów i burdeli, gdy tylko zwolniono ich z operacji wojennych na pustyni. Odwracając się od myśli o śmierci pośród piasków, pili i kopulowali z całym zapalem młodości, a Kair wciągał ich ze swoją starożytną obojętnością.

W końcu ta wojna była tylko kolejnym wypadkiem dziejowym, który kładł swój pył i gruz na wierzchu pokładów ruin z tysięcy lat. W tym żyznym kawałku doliny Nilu pogrzebane jest więcej historii niż gdziekolwiek indziej na świecie.

Jeden z tych żołnierzy sprzed sześćdziesięciu lat był moim ukochanym. Jedynym mężczyzną, którego w życiu kochałam.

Nazywał się kapitan Alexander Napier Molyneux. Xan.

Nosił taką samą koszulę safari i bufiaste szorty koloru khaki jak wszyscy inni, którzy różnili się jedynie odznakami stopnia i jednostki, ale Xan był jeszcze bardziej niepozorny. Nie miał w sobie nic szczególnego, żadnej tajemniczości. Nie zauważyłoby się go pośród tłumu oficerów w barze hotelu Sheppard's czy na jakichś przyjęciach w Garden City lub

Az-Zamalik, na których wszyscy bywaliśmy. Po prostu wydawał się taki zwyczajny.

To pozbawienie się cech szczególnych było przez niego zamierzone. Xan stacjonował w głębi pustyni i jedną z jego umiejętności było zlewanie się z otoczeniem, w jakim się znajdował. Jako autentyczny oficer kawalerii jeździł konno, ale gdy jechał na wielbłądzie w białej kufli spowijającej mu twarz i głowę, łatwo było go wziąć za Araba. W klubie Gezi-
ra grał w tenisa i spędzał czas nad basenem jak każdy mężczyzna ożywiający kręgi towarzyskie Kairu, ale też potrafił zniknąć na cały tydzień, a w wyczulonym angielsko-egipskim eleganckim świecie nikt nawet o tym nie napomknął ani nie było żadnych dociekań, dokąd mógł się udać. Znikał w pustyni jak jaszczurka umykająca pod skałę.

Pokochałam go od pierwszej chwili, gdy go ujrzałam.

To pamiętam.

Nowe ulice i betonowe wieżowce starły z powierzchni Kairu wiele z tego, co wówczas znałam, ale w dzisiejszy wieczór wspomnień wraca do mnie każdy szczegół miasta tamtego pierwszego wieczoru. Wracałam do niego tysiące razy i wydaje mi się bardziej realny niż całe moje osiemdziesięciodwuletnie życie.

Którego jeszcze nie straciłam, dzięki Bogu, jeszcze nie.

Oto co zapamiętałam.

Był duszny wieczór, gęsty od zapachu tuberoz.

Dwa tuziny okrągłych stoliczków ustawiono w bujnym ogrodzie, gdzie na gałęziach mangowca i mimozy rozwieszono lampiony ze świeczkami. Za wysokimi oknami, w sali balowej wyłożonej dekoracyjnymi panelami, grała orkiestra.

Miałam dwadzieścia dwa lata, przyjechałam prosto z surowego, wojennego Londynu, upajałam się blaskiem Kairu i koktajlami z szampanem.

Moja przyjaciółka Faria, chichocząc, zaprowadziła mnie do jednego ze stołów i przedstawiła grupce mężczyzn ubra-

nych w wieczorowe stroje. Stała tam butelka whisky i bateria szklanek, a dym z cygar rywalizował z tuberozami.

- To jest Iris Black. Jessie, nie ruszaj się z miejsca, proszę.

Lecz młodzieniec o jasnoblond włosach już wstał i z pochyloną nisko głową uniósł moją dłoń do ust. Jego wąsy połaskotały moje palce.

- Nie mogę przecież siedzieć spokojnie - mruknął. - Jest zbyt piękna.

Wciąż jeszcze myślałam o sobie jako o londyńskiej maszynistce, żyjącej z małej pensyjki w mieszkaniu w suterenie na South Ken, ale po tygodniach spędzonych w Kairze mogłam już nie mieć wątpliwości, kim jest ta piękność. Tutaj, w tym egzotycznym ogrodzie, przy dźwiękach orkiestry i z orchideą od mego towarzysza wieczoru przypiętą do staniaka wieczorowej sukni, wiedziałam, że to właśnie ja.

- Frederick James, kapitan 11. Pułku Huzarów - przedstawił się, po czym puścił moją rękę i wyprostował się. Był szczupły i niezbyt wysoki. - Nie wiadomo dlaczego wszyscy mówią na mnie Jessie James.

Zgiął rękę i jego dłoń lekko zwinięta w pięść spoczęła na chwilę na gładkiej klapie smokingu.

W Kairze było mnóstwo nieco zwariowanych młodych mężczyzn. Nieraz słyszałam, jak chłopców z RAF-u określano zbiorowo fruującymi pięknisiami, ale Jessie James zdawał się nie należeć do tej kategorii. Pomimo jasnych włosów i dobrze skrojonego wieczorowego ubrania wyglądał na twardego faceta. Miał opaloną twarz, a w jego oczach migotał jakiś cień, nie licujący z beztroską pozą.

~ Bardzo mi miło - powiedziałam.

- Ach, ta nasza Iris to taka sympatyczna dziewczyna! gardłowała Paria. - Porządna, z dyplomatycznej rodziny. Wiecie, gdy miała dwanaście lat, jej tata był naczelnikiem kancelarii w ambasadzie w Kairze. Ona właściwie jest tujsza.

Faria była jedną z moich dwóch współlokatorek. O dwa lata starsza ode mnie, szykowna córka bogatej rodziny angielsko-egipskiej, wzięła mnie pod swe skrzydła niemal natychmiast, gdy przyjechałam. Była zaręczona z synem jednego ze współników jej ojca i lubiła wszystkim mówić, że skoro praktycznie jest już prawie mężatką, idealnie nadaje się na przewodniczkę Sarah i moją. Za plecami osoby, z którą akurat rozmawiałyśmy, puszczała wielkie oko. W istocie Ali często wyjeżdżał służbowo do Aleksandrii, Bejrutu lub Jerozolimy, a Faria korzystała ze swej pozycji przewodniczki nawet więcej niż my.

Zaproszono nas do towarzystwa. Doniesiono krzesła i postawiono je przy stoliku, gdzie oficerowie skwapliwie zrobili miejsce. Przyjęłam podaną mi szklanekę whisky, jednocześnie rozglądając się wokół po rozjarzonym światłami ogrodzie za moim towarzyszem. Sandy Allardyce był jednym z młodych pracowników ambasady brytyjskiej. Każdego, kto go zechciał słuchać, zapewniał, że rozpaczliwie pragnie wdziać mundur, lecz cały czas jest przykuty łańcuchem do urzędniczego biurka. Domyślałam się, że czuje się nieswojo pośród tylu mężczyzn, którzy naprawdę walczyli, i że radzi sobie z tym problemem, nadużywając alkoholu. W ciągu godziny od naszego przyjścia na przyjęcie jego różowa twarz zrobiła się czerwona.

- A więc mieszkałaś tutaj jako mała dziewczynka? - spytał jeden z oficerów. Jego sąsiad przypalił papierosa zapalniczką, a ja spojrzałam na jego twarz, przez moment rozświetloną płomykiem na kolor umbry.

- Tylko w wakacje. Przez większość roku byłam w szkole w Anglii.

Faria zaśmiewała się do rozpuku z dowcipnych spostrzeżeń tego czy innego z grapy, odchylając głowę do tyłu i ukazując swe satynowo gładkie gardło, a w jej uszach huśtały się łązki z diamentów i pereł.

Jessie wychylił się do przodu, chcąc ponownie zwrócić na siebie moją uwagę.

Szukasz Sandy'ego? Widziałem, jak z nim tańczyłaś. - Zauważył mój niepokój.

Odparłam z wdzięcznością:

Tak, to on mnie przyprowadził na przyjęcie. Powinnam pójść go poszukać. On... - Miałam zamiar dodać coś o orchidei, już nawet dotykałam palcem woskowego czubka jednego z jej płatków.

Wtedy mężczyzna z papierosem przesunął swoje krzesło tak, że światło jednego z lampionów ukazało plastycznie rysy jego twarzy. Orkiestra zagrzmiała i rozległ się gromki aplauz, bo właśnie skończył się taniec. Popatrzyłam na niego i zapomniałam, co już prawie miałam zamiar powiedzieć, zresztą nie było to ważne. Rozmowy na przyjęciach w Kairze były wyjątkowo płytkie.

Oczy mężczyzny promieniały wesołością. Miał ciemne włosy i taką cerę. Mógłby wyglądać na ponuraka, gdyby nie to rozbawienie na jego twarzy.

Pochylił się przez stół. Zauważyłam, jak jego usta złożyły się w uśmiech.

- Nie tańcz z Allardyce'em. A jeśli masz wybrać pomiędzy Jessiem a mną, no to chyba żaden problem, co?

- To Alexander - rzucił Jessie z kwaśną miną.

- Tym razem nie ty, mój drogi - powiedział mężczyzna. Odsunął moje krzesło, wstałam, a on ujął mnie pod rękę.

- Xan Molyneux - oznajmił ze spokojem. Poszliśmy razem przez trawnik, pod gałęziami drzew. Wymęczona upałem trawa miała cierpką woń, zupełnie inną niż trawa w Anglii. Nigdy nie czułam się tak daleko od domu, a jednocześnie tak szczęśliwie i zupełnie nienostaigicznie.

- Jestem Iris.

- Wiem. Faria cię przedstawiła. To twoja koleżanka?

- Tak. Mieszkamy razem. Sarah Walker-Wilson też jest naszą współlokatorką. Pewnie ją znasz?

To nie do zniesienia - myślałam. Każdy mężczyzna w Kairze adoruje Sarah. W ciągu sześciu tygodni, odkąd się do nich wprowadziłam, Sarah nie spędziła ani jednego wieczoru w domu.

Xan pochylił głowę tak, że jego policzek niemal dotykał mojego.

- Trzy kwiaty z Miasta Ogrodów - szepnął. Garden City to była dzielnica Kairu, w której mieszkaliśmy. Nie byłam pewna, czy żartuje, czy nie.

Doszliśmy do parkietu. Xan z pogodnym wyrazem twarzy nucił graną właśnie melodię, obejmując mnie do tańca. Nie pytał, czy orkiestra mi się podoba ani czy nie wybieram się jutro wieczorem na balangę do pani Diaz w Heliopolis. Po prostu tańczyliśmy. Był dobrym tancerzem, ale tańczyłam już z lepszymi. Bardziej to, że Xan całkowicie oddawał się tańczeniowym krokom, muzyce i mnie, powodowało, iż wirowanie po zatłoczonym parkiecie przy popiskujących dźwiękach egipskiej orkiestry wydawało mi się czymś wyjątkowym, wręcz magicznym. Jego twarz jaśniała radością i widać było, że każdy moment tego, co akurat robi, sprawia mu przyjemność. Pod czarną tkaniną jego marynarki wyczuwałam żywą energię. Przepływała ona przez moje dłonie i całe ręce, rezonowała między nami, aż we mnie zaczął pulsować taki sam rytm. Oboje to czuliśmy, coraz bardziej pochłonięci tańcem i sobą nawzajem. Patrzyliśmy sobie prosto w oczy, nie rozmawiając, lecz komunikując się ze sobą językiem, jakiego wcześniej nigdy nie używałam.

Pierwszy taniec przeszedł płynnie w następny i następny.

Byłam pijana już nie szampanem i whisky, lecz coraz bardziej muzyką, podnieceniem i bliskością Xana Molyneux. Widziałam, jak wodzirej zerkał na nas przez ramię, a niektóre

pary również nas obserwowały, ale było mi to obojętne, a Xan patrzył tylko na mnie. Nie zamieniliśmy ze sobą więcej niż tuzin słów, ale czułam, jakbym go już znała lepiej niż kogokolwiek z ludzi poznanych w Kairze.

Miałam też uczucie absolutnej pewności, że od tej chwili wszystko jest i będzie możliwe. Szczęście i oczekiwanie skumulowały się, wznosząc moje napięcie do poziomu prawie nie do zniesienia. I nagle zakręciło mi się od tego w głowie. Xan właśnie żywołowo obracał się ze mną w kółko, gdy potknęłam się i cały mój ciężar zawisł na prawej nodze obutej w wysoki obcas. Palący ból przeszył mi nogę od kostki w górę łydki i byłabym upadła, gdyby on nie ścisnął mnie mocniej ramieniem w pasie.

- Nic się nie stało?

Wciągnęłam powietrze i mocno je wypuściłam, żeby nie jęknąć z bólu.

- Tylko ja... skręciłam. - Tańczący otoczyli nas kołem.

- No to cię przeniosę. - Wsunął drugą rękę pod moje uda i już miał mnie unieść do góry, gdy nagle zobaczyłam Sandy'ego. Przeciskał się ku nam pomiędzy tańczącymi, sapiąc. Twarz miał burakową kołnierzyk koszuli rozpięty, wzrok rozbiegany na wszystkie strony.

- Co się tu dzieje?! - krzyczał. - Molyneux! Ty... co ty wyprawiasz?

- Pomagam panie Black wrócić na krzesło - odparł Xan oschle, prostując się. - Skręciła sobie kostkę.

Odeszłam jeden krok od niego i prawie się przewróciłam. Xan natychmiast rzucił się na pomoc i o mały włos nie upadliśmy razem. Gdy podnosiliśmy się, rozplątując ręce i nogi, roześmiałam się do niego pomimo bólu w kostce. A wtedy Sandy ryknął jak raniony zwierz. Młóćąc rękami, rzucił się na Xana i złapał go za kołnierz wieczorowej marynarki. Xan puścił mnie i odwrócił się przodem do Sandy'ego, a ten, rozścieczony, zaserwował mu cios w szczękę.

- Zostaw w spokoju moją dziewczynę! - krzyknął, ale po pierwszym uderzeniu jego wojowniczość zauważalnie zmalowała. Rozejrzał się po stojących kołem widzach, lecz nie dostrzegł żadnego poparcia. Jego duża, czerwona i błyszcząca twarz zaciskała się i marszczyła i wydawało się, że z każdego jej pora sączy się whisky. Patrzyłam ze smętną miną, balansując na jednej nodze, i chciałam rzucić w to lepkie powietrze - gdyby Xan nie słyszał - że nie jestem wcale dziewczyną Sandy'ego, ale zawstydyłam się tego odruchu.

- Wiesz co, Allardyce, naprawdę nie chcę ci oddawać - wycedził Xan. Wsunął jedną rękę do kieszeni marynarki. Mówił z rozbawieniem, wcale się nie przejął. - Zrobiłbym z ciebie marmoladę.

- To prawda, że by zrobił - wtrącił inny głos. Zjawił się Jessie James, a obok niego Faria. Obrzuciła wszystko bystrym wzrokiem. Wyciągnęła ramię, a ja oparłam się na nim. Z drugiej strony podtrzymał mnie Sandy. Jego dłoń była gorąca i wilgotna, a po szyi spływały mu na sztywny kołnierzyk lśniące strumyki potu. Jeszcze miotał spojrzenia na Xana i Jessiego, ale już sobie odpuszczał.

- To nie jest zabawne.

- A czy my się śmiejemy? - spytał niewinnie Jessie.

Sandy odwrócił się od nich i mruknął do mnie:

- Chodź, napijemy się jeszcze. Będzie w porządku.

Faria cmoknęła językiem.

- Nie, nie będzie. Zabieram Iris do domu. Nie widzisz, że jest kontuzjowana?

Orkiestra znów zaczęła grać i pary tańczące odwróciły się, tracąc zainteresowanie.

Utykając, ruszyłam korytarzem; z jednego boku wspierała mnie Faria, a do drugiego przypiął się Sandy. Olbrzymi kryształowy żyrandol spływał kaskadami światła na nasze głowy. Bardziej czułam, niż widziałam, Xana i Jessiego z tyłu naszej niezdarnej procesji, gdy ukazała się prująca w naszą stronę

lady Gibson Pasza z obiema rękami wyciągniętymi, jakby chciała mnie złapać. Nasza gospodyni miała złoty turban i kołnierzyk wysadzany szmaragdami wielkości jajek.

- Moja droga, moje drogie, biedne dziecko! Trzymaj nogę w górze, musimy zrobić okład z lodu.

Zaklaskała w dłonie i zawołała do przechodzącego służącego, żeby przyniósł lód. Chciałam być w pobliżu Xana, a najdalej jak to możliwe od Sandy'ego. Marzyłam też o powrocie do domu, żeby położyć się w ciemnościach pokoju i poukładać w sobie cały ten chaotyczny i niezwykły wieczór.

- To nic takiego, naprawdę. Przepraszam, lady Gibson. Tak głupio ją sobie skręciłam.

- Jest tu samochód taty z szoferem - powiedziała Faria. - Pojedziemy do domu. Dopilnuję, żeby Iris miała opiekę.

Sandy skwapliwie pokiwał głową. Zdażył już poblednąć. Podbiegł drugi służący z bolerkiem Farii z łabędziego puchu i indyjskim szalem mojej matki, który służył mi tego wieczoru za okrycie. Słyszając jeszcze pouczenia lady Gibson, pokuśtykałam z Farią na zewnątrz przez główne wyjście. Szofer Ammana Paszy czekał przy schodach z dużym czarnym autem. Otworzył drzwiczki i zostałam powierzona wielkim połaciom kremowego skózanego obicia. Sandy zasiadł obok mnie, sapiąc i szarpiąc końce krawata, żeby rozsuptać węzeł. Z drugiej strony wśliznęła się Faria.

Samochód zaczął się toczyć po żwirze. Odwróciłam się, by wyrzec przez tylne okno, i zobaczyłam jeszcze Xana z Jessiem stojących na dole schodów, obok siebie dwie głowy: czarna i blond. Patrzyli, jak odjeżdżamy. Właściwie nie widziałam twarzy Xana, ale pomyślałam, że wciąż się uśmiecha.

- Boże! - jęknął Sandy. - Piekielny pech. - Zmiał swój czarny krawat w kulkę i wepchnął go do kieszeni, po czym głowa opadła mu na miękkie oparcie fotela.

- Wysadzimy cię przy ambasadzie - oznajmiła chłodno

Faria i pochyliła się do przodu, by wydać kierowcy polecenie po arabsku. Przejechaliśmy przez most w dzielnicy Bulak, a kiedy za katedrą skręcaliśmy na południe, ujrzałam odbitą w wodzie bezładną mozaikę żółtych i białych świateł.

Faria westchnęła.

- O rety! Całkiem zapomniałam powiedzieć poecie, że wychodzimy. Co on sobie pomyśli?

Pytanie nie wymagało odpowiedzi. Jeremy - znany jako „poeta” - był najzagorzalszym z adoratorów Farii. Szczupły, posępny młodzieniec, pracował w British Council. Ali wyjechał, więc Jeremy towarzyszył jej na wieczorne przyjęcie. Pomyśli to, co z pewnością myślał zawsze: że wytworna i beztroska Faria znów mu się wymknie z rąk.

Sandy odpłynął w nieświadomość. Słysząc było jego przytłumiony, ciężki oddech. Opary whisky i perfum Farii mieszały się z zapachem skóry i tym specyficznym kairskim fetorem nafty, kadzidła i zwierzęcych odchodów. Faria wyjęła z torebki tureckiego papierosa, z trzaskiem przypaliła go złotą zapalniczką i zaciągnęła się głęboko. Gdy wyciągnęła go w moją stronę, pokręciłam głową. Czułam intensywny ból w kostce, wywołujący aż lekkie mdłości, co jeszcze wzmacniało odczucie bólu. Każdy fragment naszej trasy zapisał się w moim umyśle, każda czarna sylwetka kopyty na tle odrobiny jaśniejszego nieba, haczykowaty nos starego żebraka, siedzącego cierpliwie na schodku. Każdy szczegół był ważny i cenny. Pragnęłam chłonać każde najmniejsze wrażenie i zatrzymać je w sobie, bo ten wieczór był tak ważny. Co do tego nie miałam wątpliwości.

Zatrzymaliśmy się pod bramą ambasady i obudziliśmy Sandy'ego. Jęknął i, bełkocząc coś bez ładu i składu, wygramolił się na ulicę. Samochód ruszył dalej. Ponad dachem budynku ambasady, za masztem ze zwisającą bez życia flagą brytyjską, dojrzałam czubki potężnych drzew, które rzucały cień na trawniki, gdzie jako dziecko paradowałam na proszo-

nych herbatkach. Lubiłam wymykać się stamtąd i oglądać płynący w oddali Nil, powolny, oliwkowozielony, usiany żaglami *feluk**.

Leżałam potem w łóżku przy otwartych drewnianych okiennicach i patrzyłam w niebo. Moja obandażowana kostka pulsowała, ale nie przeszkadzało mi, że nie mogę przez to spać. Intensywnie myślałam o Xanie, którego Faria prawie nie zauważyła, a który rozbudził moje pożądanie w momencie, gdy go ujrzałam. Fale radości, tęsknoty i wyczekiwania przenikały mnie, gdy tak leżałam mokra od potu pod bawełnianym prześcieradłem. Tej pierwszej bezsennej nocy nawet przez chwilę nie wątpiłam, że Xan i ja znów się spotkamy. Powiem mu, że nie jestem i nigdy nie byłam dziewczyną Sandy'ego Allardyce'a, i będziemy ze sobą. Dokładnie tak miało być.

Jakie to wydaje się proste i niewinne! I jakie radosne!

Garden City, położone tuż nad Nilem, było enklawą krętych uliczek z wysokimi domami i blokami mieszkalnymi barwy kokosowobrazowej lub brudnokremowej, zaszytymi w ogrodach o gęstej, pokrytej kurzem zieleni. Nasze mieszkanie należało do rodziców Farii, mieszkających w ogromnej rezydencji w pobliżu. Miało parkiet z klepki, ciężkie meble i pod sufitem w każdym pokoju wentylator, leniwie poruszający rozgrzane powietrze. Były też duże urządzenia chłodzące z metalowych żeberk, które od czasu do czasu z pobrękiwanem sączyły rdzawą wodę. Farii wcale nie przeszkadzał upał - jej czarne włosy były gładkie i lśniące, nie skręcały się w wilgotnych podmuchach jak moje - ale obawiała się zmarznąć. Wychodząc wieczorem, zawsze zarzucała na gołe ramiona małe bojerko z białych piór lub aksamitną pelerynkę.

Mój pokój był wąską kłitką z wysokim sufitem na końcu

* Mały statek żaglowo-wiosłowy (*arab.*).

korytarza, z dala od głównej części mieszkania. Umeblowanie było w nim skromniejsze, a z okna miałam widok na drzewo różane rosnące w sąsiednim ogrodzie. Farii ani Sarah nie znałam zbyt dobrze, lecz zapewniały mi wesołe towarzystwo i byłam zadowolona, że mam takie wygodne lokum. Miałam też bardzo blisko do pracy w Kwaterze Głównej Armii Brytyjskiej tuż przy *szaria** Kasr ai-Ajni. Byłam asystentką biurowo-administracyjną podpułkownika wywiadu o nazwisku Roderick Boyce, znanego przez wszystkich jako Roddy Boy. Podpułkownik Boyce i mój ojciec przed wojną należeli do tego samego klubu w Londynie i razem polowali. List od mego ojca oraz rozmowa, podczas której mój przyszły szef wspominał, jak ojciec skakał przez płot na swej gniadej klaczy, wystarczyły, żebym dostała tę pracę.

Następnego dnia po spotkaniu Xana wstałam wcześniej rano do pracy, jak to robiłam w każdy dzień powszedni, odkąd wróciłam do Kairu.

O ile w godzinach popołudniowych ulice aż kuliły się od razów słonecznego żaru lejącego się z białego nieba, to o 8.00 rano chłód pozwalał jeszcze przejść na piechotę kilka ulic dzielących mieszkanie od biura. Tamtego dnia, mając grubo obandażowaną kostkę, musiałam wziąć taksówkę. Roddy Boy spojrzał, jak skaczę na jednej nodze do swego biurka, podpierając się laską ojca Farii.

- O rety! Na tenisie? Wyścigach wielbłądów? Czy na czymś jeszcze bardziej forsownym?

- Na tańcach - odparłam.

- Aa, no tak. - Roddy Boy był przekonany, że moje życie towarzyskie jest bardziej intensywne i wystawne, niż było w rzeczywistości. - Ale mam nadzieję, że ta kontuzja nie przeszkodzi pani w pisaniu na maszynie?

- Ależ nie - powiedziałam. Wkręciłam do maszyny prze-

* Ulica (*arab.*).

kładaniec z druków zapotrzebowania oraz kalki i zmusiłam się do skupienia.

Kiedy w końcu wróciłam do domu, Mamduh, *sufradzi*, który opiekował się nami i mieszkaniem, przywitał mnie jak zawsze oficjalnie:

- Dzień dobry, panno Iris. To doręczono dla panienki go-dzinę temu.

- Och, jakie piękne!

Był to wielki bukiet białych lilii, gardenii i tuberoz. Zanurzyłam twarz w ich chłodnych płatkach. Intensywny zapach ożywił w mej pamięci wczorajszy wieczór, światło świec, muzykę, cygara i twarz Xana. Tak wyraził radość, że spotkał właśnie mnie. Zwykle bukiety przychodziły dla Sarah.

Usiadłam niezdarnie i otworzyłam kopertę dołączoną do kwiatów. Była w niej zwykła biała kartka ze słowami „Mam nadzieję, że Twoja kostka szybko wyzdrowieje”. Podpisane po prostu „X.” I to wszystko.

Mamduh nadal stał obok w swej białej galabii, czekając, co dalej. Faria narzekała, że był zbyt spoufalony i że to nie jego sprawa, o której ona wraca wieczorem, ale ja lubiłam tego dużego mężczyznę i jego szeroki uśmiech, któremu zawsze towarzyszyło bystre spojrzenie. Mamduh niczego nie przeoczył. Matka Farii zapewne też o tym wiedziała.

- Tylko od znajomego - powiedziałam.

- Oczywiście, panienko. Wstawię je do wody.

Mieszkanie często wyglądało jak kwiaciarnia. Sarah i Faria nawet nie zapytały, od kogo był mój bukiet.

Zachwycałam się kwiatami i czekałam, lecz minął jeden weekend, a potem drugi, minął cały czerwiec 1941 roku, a ja nie miałam żadnego więcej sygnału od Xana.

W swoim biurze zewnętrznym w Kwaterze Głównej przepisywałam raporty, nadawałam sygnały dla Roddy'ego Bo-

* Kelner (*arab.*). Tu: gospodarz domu.

ya i gawędziłam z pracownikami biura, którzy przychodzili i wychodzili z jego gabinetu. Jako cywil, miałam najniższą kategorię wtajemniczenia, ale moja rodzina była uważana za bezpieczną, toteż wiele tajnych planów przychodzących i wychodzących z biura Roddy'ego przechodziło najpierw przez moje biurko.

Wojska alianckie, z wyjątkiem obleżonych w Tobruku, wycofały się do Egiptu, a Niemcy stali na granicy z Libią. W celu ich usunięcia rozpoczęto operację Battleaxe. W czasie krótkotrwałego nasilenia pracy w Kwaterze Głównej Roddy Boy nie mógł zaszywać się na długie popołudnia w Turf Club.

- Nie możemy się równać z ich cholerną siłą ognia - jęczał Roddy zza swego biurka.

Od niemieckich dział przeciwpancernych straciliśmy prawie sto zbrojnych czołgów. Ich tłące się wraki stały porzucone pod grubą zasłoną pyłu i dymu. Wielu czołgistów zostało zabitych lub rannych.

W miarę jak zbliżał się lipiec, zaczęłam przyjmować każde zaproszenie, jakie otrzymywałam. Bywałam na koktajlach i turniejach tenisa, balach przebierańców i wieczorach poetyckich w British Council. Przeszukiwałam wzrokiem tłumy, wypatrując Xana. Co dzień w porze lunchu siedziałam nad basenem klubu Gezira, wciąż pełna nadziei, że się odezwie.

Pewnego razu spotkałam jednego z oficerów, którzy byli wtedy przy stole na przyjęciu u lady Gibson Paszy.

- Xan? - rzekł beznamiętnie. - Nie wiem. Nie pokazuje się jakoś, prawda?

Po prostu zniknął, a razem z nim Jessie James. Moja pewność co do nas rozwiąła się. Może został przeniesiony gdzie indziej. Może był żonaty? Może - czy to jednak możliwe? - w rzeczywistości wolał inne rozrywki.

A może nie żył.

Zachowałam swe obawy dla siebie. To, co czułam, wyda-

wało się zbyt ważne, a jednocześnie zbyt niejednoznaczne i kruche, by dzielić się tym z Farią i Sarah.

- Ostatnio jesteś bardzo towarzyska - zauważyła Faria, unosząc brew.

- Co za różnica pójść gdzieś czy zostać w domu. - Wzruszyłam ramionami.

A potem, pod koniec pierwszego tygodnia lipca, w wieczór tak upalny, że aż ciężko było się ubrać i wyjść, czy w ogóle się ruszać, w korytarzu zadzwonił telefon i usłyszałam, że odbiera go Mamduh. W drzwiach pokazała się jego duża, okrągła głowa.

- To do panienki.

- Halo? - odezwałam się do słuchawki.

- Tu Xan - powiedział. - Czy mogę cię odwiedzić?

Oparłam głowę o framugę drzwi, a w kręgosłupie poczułam przepływające fale ulgi i radości. Zdołałam odpowiedzieć:

- Tak. Teraz?

- Teraz zaraz.

- Tak - powtórzyłam. - Przyjdź, proszę.

I w ten sposób to się zaczęło.

Otwieram oczy i widzę przyciemniony, cichy pokój, ślady rozlanej herbaty na poduszkach i kilka ciemnych, lepkich plam na przodzie mojego ubrania. Teraz ogarnia mnie sen, jestem zbyt zmęczona, żeby wstać i je wyczyścić. Nie szkodzi. Któż to zobaczy oprócz Mamduha i Cioci?

Spać. Śnić. Ciągle te sny.

O cholera! O kurczę blade - mówiła do siebie Ruby, zerknąwszy, co widać na zewnątrz za drzwiami. To właśnie tak ma wyglądać?

Na dworze było ciemno. Za barierką roił się tłum głów,

machających rąk i krzyczących ust, niewyraźnie oświetlony przez kiepskiej jakości neonowe lampy. Lotnisko było klimatyzowane, lecz już mogła poczuć upał wdzierający się ku niej przez co chwila otwierane i zamykające się z sykiem drzwi. Tłum pasażerów z hali przylotów popchnął ją naprzód, zaczepiając bagażami o jej plecak i szarpiąc ją to w jedną, to w drugą stronę. Drzwi otwarły się ponownie i tym razem stała się częścią wyplutego przez nie kawałka ludzkości.

Gorące, wilgotne powietrze wdarło się do jej płuc. Pod pachami i na czole natychmiast poczuła pot.

Wokół niej rozbrzmiewał chór pokrzykujących mężczyzn. Jakieś dłonie chwyciły ją za ręce, próbowały ściągnąć z jej barków plecak.

- Proszę pani! Taksówka, bardzo dobra, tanio.
- Hotel dla pani. Miły hotel.
- Przestańcie! - krzyknęła Ruby. - Zostawcie mnie w spokoju! - Nie spodziewała się wcale takiego szturmu. Pełna lęku, wyswobodziła się z zacisku ich rąk, ale zastąpił je tuzin następnych, które usiłowała odpychać w różnych kierunkach.

- Taksówka, tutaj! Proszę pani, ja pokażę.

Zauważyła teraz płynący tuż za tłumem strumień aut trąbiących klaksonami, a dalej na tle nieba usianego gwiezdny pyłem rysował się rząd palm o wystrzępionych liściach. Wąż samochodowych świateł wił się szosą, która wznosiła się ku górze. Hałas i upał były obezwładniające. Ruby popatrzyła ze złością na gotujące się morze ciemnych twarzy, wąsów, otwartych ust. Z tyłu tłumu zauważyła twarz jakiegoś młodzieńca, wpatrzoną w nią błagalnym wzrokiem.

Uwolniła jedną rękę i wskazała na niego.

- Ty. Taxi?

Natychmiast zanurkował przez rozpychającą się masę ludzkich ciał, złapał ją jedną ręką za nadgarstek, a drugą wyrwał jej plecak. Ruby przycisnęła mocno do boku mniejszy, nylo-

nowy plecaczek. Razem przebili się przez tłum i wyszli na bardziej otwartą przestrzeń.

- Chodź! - krzyknął młodzieniec, pokazując gdzieś ponad dachami setek trąbiących, czarno-białych taksówek. Przed nimi z rykiem przejechał załadowany autobus, mijając ich o centymetry.

Taksówka tego kierowcy zaparkowana była pod jedną z palm. Dwójka obdartych dzieci siedziała, opierając się o nią. Kierowca dał im jakąś monetę, wrzucił plecak do bagażnika i otworzył drzwi auta. Ruby z ulgą opadła na tylne siedzenie. Sprężyny ugięły się i z rozprutej szczeliny w brązowym plastikowym obiciu wylazła brudna gąbka. Wewnątrz samochodu unosił się silny zapach papierosów i taniego odświeżacza powietrza.

Kierowca zapuścił silnik i z rykiem ruszyli naprzód, po czym prawie natychmiast znów się zatrzymali w korku do zjazdu z szosy. Choć był wieczór, upał wciąż dawał się we znaki. Ruby nigdy dotąd nie spotkała się z takim zjawiskiem. Zamknęła oczy, stwierdzając, że nawet powieki ma lepkie od potu, a potem zmusiła się, by je znów otworzyć. Nie może się wyłączyć, jeszcze nie. Kierowca posłał jej zza ramienia uśmiech. W ciemnej twarzy jego zęby wydały się kredowo-białe. Naprawdę wyglądał młodo, nie mógł być o wiele starszy od niej.

- Dokąd pani jedzie?

Rozwinęła kartkę trzymaną przez całą podróż w kieszeni dzinsów i przeczytała adres.

- Po co pani tam jedzie? Znam miły hotel, bardzo czysty, tani. Zawiozę panią do niego zamiast tam.

- Jedziemy tam, gdzie powiedziałam - rzekła Ruby z naciskiem. - Bez dyskusji. Rozumie pan?

Rozbawiło go to. Śmiał się i klepał dłońmi o kierownicę.

Pojazdy zaczęły ruszać. Wszędzie widać było drogi, zawiłe rozjazdy i wielopoziomowe skrzyżowania oświetlone lam-

parni sodowymi, a z boku piętrzyły się obskurne betonowe wieżowce obwieszane gigantycznymi tablicami reklamowymi. Ponad ulicznymi jarzeniówkami spoglądały na siebie nawzajem wielkie twarze kobiet o czarnych brwiach i krowich rzęsach. Każdy metr drogi okupowały trąbiące auta i ciężarówki oraz duże, niebieskie autobusy. Napisy na tablicach informacyjnych składały się z dziwnych zawijasów i kropek.

Ruby usiadła wygodniej na zapadającym się siedzeniu i oglądała to wszystko. Jej twarz była pozbawiona wyrazu, ale wewnątrz walczyła, by zachować w sobie tę buntowniczość, która od wyjazdu z domu dodawała jej pewności. Gdy jednak naprawdę już tu się znalazła, uświadomiła sobie, że w ogóle nie zastanawiała się, dokąd jedzie. Uciec i być daleko - to wszystko, o czym myślała. Ale teraz wyłaniały się przeróżne problemy, wymagające ciągle jej uwagi. Nie miała pojęcia, jak sobie radzić w tym miejscu. I nikt nie wiedział, gdzie była, nikt nie czekał na jej przyjazd. Nie po raz pierwszy w swoim życiu znalazła się w podobnej sytuacji, lecz nigdy nie było to w aż tak nieznanym otoczeniu.

Poczuła namacalnie, jak daleko jest od domu, lecz zebrała się w sobie i odsunęła tę myśl.

- Ile zapłacę? - spytała kategorycznie. Wszystkie pieniądze, które jej zostały, wymieniła na funty egipskie w biurze wymiany na lotnisku. Był to dość gruby, napawający otuchą plik, dlatego postanowiła zaszaleć i wziąć taksówkę. Szukać jeszcze autobusu to było dla niej za wiele.

Kierowca skręcił kierownicą, żeby wyminąć ciągnięty przez osła wózek, wyładowany rondlami i cynowymi miskami, który włókł się wewnętrznym pasem szosy. Znow postął jej uśmiech.

- Och, pieniądze nie problem. Ty skąd?
- Z Londynu.
- Bardzo fajne miejsce. David Beckham.
- Tak. A raczej nie. Wszystko jedno. - Teraz przynaj-

mniej się posuwali, przypuszczalnie w stronę centrum miasta, gdziekolwiek to mogło być. Lotniska zawsze są wiele kilometrów poza miastem, na tych cholernych przedmieściach.

_ Moje imię Nafiz.

- Dobrze.

Nastąpiła przerwa. Nafiz sięgnął pod tablicę rozdzielczą, wyjął paczkę marlboro i skierował w jej stronę, częstując. Ruby zawahała się. Jej własne się skończyły i miała wielką ochotę zapalić.

- Dzięki. - Zignorowała jego zapalniczkę i przypaliła własną.

_ Masz chłopaka w Kair?

Ruby zaśmiała się drwiąco.

- Nigdy w życiu tu jeszcze nie byłam.

- Ja być twój chłopak.

Dotąd prawie na niego nie patrzyła, widziała jedynie te zęby, ale teraz zauważyła smugi na kołnierzyku jego białej koszuli i brudne zygzaki zostawione na materiale przez wewnętrzną stronę czarnej kurtki. Miał długie czarne włosy, zaczesane do tyłu. Nawet całkiem ładnie.

Podniosła głowę. To przynajmniej był dla niej znajomy teren.

- Chyba śnisz! - wycodziła.

Samochód wypełnił radosny śmiech Nafiza. Bębnił rękami o kierownicę, jakby usłyszał najzabawniejszy dowcip w swoim życiu.

_ Ja zawsze śnić. Sny tanie. Nic nie kosztuje.

- Patrz na drogę, dobrze?

Wtuliła się w kąt auta, paląc i wyglądając przez okno na odludny krajobraz. Była już oczywiście za granicą, z Lesley i Andrew, w takich miejscach jak Toskania, Kos i dolina Lory (to było potwornie nudne), ale nigdy nie widziała czegoś takiego jak ta parówka pośród betonu i żelaza. W miarę zbliżania się do tego, co musiało być środkiem miasta, na drodze

tworzył się coraz większy korek. W czasie długich postojów zapuszczała wzrok w boczne ulice. Były w nich małe sklepy z otwieranym całym frontem, w których mężczyźni siedzieli przy blaszanych stolikach, paląc papierosy. Smugi światła z otwartych drzwi domów padały na kobiety w czarnych chustach, siedzące na schodkach z gromadkami dzieci. Wszędzie stały skrzynki z błyszczącymi kulistymi warzywami i nierówne stosy puszek z colą; w kanałach ściekowych walały się sterty śmieci, po których buszowały wychudzone psy. Na rogach ulic zawodzili handlarze sprzedający produkty z tac; inni, starzy mężczyźni, zgięci wpół, pchali ręczne wózki między pojazdami. Wokół migotały światła neonów i zewsząd dochodziło niekończące się trąbienie klaksonów.

- Ruchliwe miejsce - powiedziała w końcu, żeby zdawkową uwagą nieco złagodzić napiętą atmosferę.

Nafiz wzruszył ramionami.

- Twoi znajomi tutaj kto?

Albo był taki wścibski, albo się nią interesował. Żadna z tych możliwości jej nie pasowała.

- Rodzina - odparła niezachęcająco.

Jechali teraz krętymi, bocznymi ulicami, zostawiając za sobą główne arterie. Ruby spojrzała w górę. Zobaczyła cebulaste kopuły i wysokie, smukłe wieżyczki na tle ciemnoniebieskiego nieba. Ulica była tak wąska, że mógł przejechać tylko jeden samochód. Kobiety siedzące na schodkach uniosły głowy i gapiły się na przejeżdżającą taksówkę. Z przodu widać było na tle nieboskłonu pojedynczą wielką kopułę i wznoszące się obok niej trzy cienkie wieżyczki.

Nafiz zatrzymał się, gdy nie mógł już dalej jechać. Ulica przeszła w brukowaną alejkę, a tuż przed nimi skręcała pod ostrym kątem. Kamienny słup blokował przejazd. W załomie jasnej, czystej ściany były drzwi, do których prowadziło kilka schodków.

- To miejsce tu - oznajmił Nafiz.

Ruby spojrzała na drzwi. Zauważyła, że są pomalowane na niebiesko, ale stara farba już pęka, odsłaniając zniszczone słońcem drewno. Nie wiedziała zupełnie, czego może się spodziewać, ale na pewno nie tego. Nic tutaj nie wskazywało, co lub kto znajduje się w środku.

Zebrała się w sobie.

- Taak. To ile płacę? - Otworzyła nylonowy plecak i na siedzenie wypadł jej discman ze słuchawkami, jabłko i tubki z kosmetykami.

- Piedziesiąt funty.

- Pięćdziesiąt? Myślisz, że jestem głupia czy co? Dostaniesz dwadzieścia. - Otworzyła portfel i wybierała podarte, brudne banknoty.

- Z lotniska piedziesiąt. - Nafiz już się nie uśmiechał.

- Spadaj, dobra? - Ruby zgarnęła swoje rzeczy i wyskoczyła z samochodu, ale kierowca był szybszy. Okrążył go i przytrzymał bagażnik, żeby nie mogła wyjąć plecaka. Stanęli twarzą w twarz naprzeciw siebie.

- Dwadzieścia pięć - powiedziała Ruby.

- Piedziesiąt.

- Dawaj mi mój pieprzony bagaż. - Kopnęła go w goleń tak mocno, jak tylko potrafiła. Niestety, była tylko w klapkach.

Nafiz krzyknął:

- Pani, pani! Nie zachowujesz się miło.

- Doprawdy? No to oddawaj mój bagaż.

- Najpierw zapłać. - Lecz Nafiz już wymiękał. Opór tej turystki wzbudził w nim odrobinę szacunku. Zazwyczaj od razu się poddawali i wręczali pieniądze. - Trzydzieści - ustąpił.

- Pieprz się. - Ale, westchnawszy, wyciągnęła z portfela jeszcze jeden banknot, gniotąc go i wtykając w rękaw jego skórzanej kurtki. Nafizowi wrócił na twarz uśmiech. Trzydzieści funtów egipskich to była standardowa opłata za przejazd do miasta z lotniska.

Ruby wzięła plecak i zarzuciła go na ramię. Wlokąc za sobą słuchawki i obejmując drugi plecak z wysypującą się zawartością, weszła na kamienne schodki, nie oglądając się do tyłu. Słyszała, jak Nafiz zawraca samochodem w stronę, skąd przyjechali, a potem odjeżdża szybko z piskiem opon.

Gdy tylko odjechał, pożałowała, że straciła nawet tak pobieżną znajomość. Może powinna go poprosić, żeby poczekał. Co będzie, jeśli tu nikogo nie ma? Albo adres jest zły? Dokąd pójdzie, w tym mieście, w którym nie umiała nawet przeczytać nazw ulic?

Potem podniosła głowę i wyprostowała plecy.

Nie było kołatki ani niczego podobnego, więc zapukała w odłupującą się farbę. W alejce załatywało moczem i innymi przykrymi zapachami.

Ze środka nie dochodził żaden dźwięk.

Ruby zwinęła dłoń w pięść i zabębniła jeszcze mocniej. Przypomniały jej się słowa jakiegoś wiersza, którego w szkole kazali wszystkim nauczyć się na pamięć. Bez zastanowienia wykrzykiwała je w rytm uderzania w drzwi: „Czy jest tam kto? - zapytał Podróżnik”.

Nagle drzwi skrzypnęły i otworzyły się, ukazując kilkunastocentymetrową smugę nikłego światła. Ruby tak się przestraszyła, że jej głos zmienił się niemal w pisk. Ujrzała wysokiego, tęgiego mężczyznę w białym ubraniu.

- Jestem Ruby Sawyer - powiedziała.

Mężczyzna obrzucił ją tylko raz spojrzeniem i chciał z powrotem zamknąć drzwi. Ruby wsunęła stopę w szparę i zablokowała je. Po raz drugi pomyślała, że lepiej było włożyć porządne buty. Powtórzyła swoje nazwisko, tym razem głośniej, ale najwyraźniej to nie wystarczało.

Dodała głośno:

- Przyjechałam odwiedzić swoją babcię. Proszę mnie wpuścić.

Opór nieco się zmniejszył. Natychmiast wsunęła w szcze-

linę bark i odepchnęła mocno drzwi, które puściły i otworzyły się, a ona upadła z grzechotem wysypujących się z plecaka drobiazgów. Ciemnoczerwona, okrągła jak księżyc twarz mężczyzny wyrażała niezadowolenie. Zmarszczył brwi, ale pomógł jej się podnieść.

Ruby rozejrzała się. Na pierwszy rzut oka wewnątrz przypominało kościół. Kamienna podłoga, zbutwiałe drewno boazerii, słabe białe światło lampy w szklanym naczyniu zawieszonym na łańcuchach. Także zapach kadzideł i gotującej się aromatycznej potrawy.

- Madame odpoczywa - rzekł mężczyzna oschle.

Oczywiście, najlepiej było przybrać ton pojednawczy.

- Nie chcę jej przeszkadzać. Ani nikomu. Przepraszam, jeśli za bardzo hałasowałam. Ale wie pan... - Mężczyzna nie był pomocny. Nadal stał i patrzył na nią obojętnie. - Ja... przyjechałam aż z Londynu. Moja mama, widzi pan... hmm, moja mama jest córką madame. Zna ją pan?

Wciąż panowała cisza. Czy znał, czy nie, to powiązanie najwyraźniej nie zrobiło na nim wrażenia. Lecz w końcu westchnął głęboko i powiedział:

- Proszę iść za mną. Zostawić to tutaj. - Pokazał na jej plecaki. Zostawiła je z przyjemnością.

Przeprowadził ją pod łukowym sklepieniem i przez jakieś puste pomieszczenie. Za ciężkimi drzwiami była drewniana klatka schodowa. Oświetlały ją jedynie pojedyncze żarówki w rogach ścian, *osłonięte* metalowymi kratkami. Poszli schodami na górę, a potem korytarzem z boazerią. To duży dom - pomyślała Ruby - ale zakurzony i pusty, a wszystkie te schody, zakamarki i przesłony dodają mu tajemniczości. Miejsce pełne cieni i szeptów. Tu w środku było znacznie chłodniej niż na zewnątrz. Poczwała na skórze lekki dreszcz.

Mężczyzna zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami. Schylił głowę i słuchał. Spostrzegła, że jego twarz zrobiła się

łagodna i przejęta. Nic nie było słychać, więc podniósł zapadkę i uchylił drzwi. W szklanej czerwonej lampce o kształcie łezki paliło się światełko, pod zasłoniętym okiennicami oknem stała rzeźbiona sofa wyłożona poduszkami. W niskim, wyściełanym fotelu z miękkim podnóżkiem siedziała z zamkniętymi oczami bardzo stara kobieta. Na dywaniku-kilimie leżała przewrócona szklanka, z której wylała się herbata.

Ruby zrobiła krok do przodu i kobieta otworzyła oczy.

Sen? Ktoś, kogo znałam, kto leżał zasypany przez piasek, podczas gdy ja patrzyłam gdzie indziej???

Boję się tych widm wyłaniających się z przeszłości. Lękam się ich, bo trudno mi je umiejscowić...

Lęk mnie denerwuje.

- Mamduhu, kto to jest? Co ty sobie wyobrażasz? Nie pozwalaj ludziom wchodzić tutaj jak do publicznej biblioteki. Proszę wyjść.

Kobieta, zjawa, cokolwiek to jest, nie rusza się.

Mamduh klęka, podnosi szklankę, stawia ją z powrotem na tacy. Widzę znamiona na jego starczej łysej czaszce. Czuję zarazem współczucie i zmieszanie. Wyciągam rękę w jego kierunku, a ręka drży.

- Wybacz mi. Kim ona jest?

Kobieta, bardzo młoda, o dziwnym wyglądzie, podchodzi bliżej.

- Jestem Ruby.

- Kto?!

- Twoja wnuczka. Córka Lesley.

- Nie jesteś!

Córka Lesley? Odgrzebuję w pamięci. Blade, raczej pulchne dziecko, ubrane w wełnianą szkocką spódniczkę, z ozdobnymi spinkami we włosach. Ciche, ale ma w sobie coś buntowniczego. Czy dobrze sobie przypominam?

- Ależ jestem. Ty jesteś babcia Iris, mama mojej mamy, kairska babcia. Ostatni raz widziałam cię, mając dziesięć lat. Przyjechałaś na wakacje.

Jestem zmęczona. Przypominanie sobie to zbyt duży wysiłek. Biedna ta Lesley, zdaje mi się.

- Czy ona wie, że tu jesteś?

Ta smarkula mruży oczy. Teraz, gdy się jej przyjrzałam, widzę, że to jeszcze prawie dziecko. Usiłuje wyglądać dorosłej - ekstrawagancko umalowana, z metalowymi kółkami w nosie i uszach oraz białym brzuchem odsłoniętym na kilkanaście centymetrów między dwoma częściami ubrania, ale według mnie ma dopiero osiemnaście lub dziewiętnaście lat.

- Twoja matka. Wie, że tu jesteś?

- W zasadzie nie.

Mówi to z wielką powagą, sama jestem zaskoczona tym, że chce mi się uśmiechnąć. Mamduh podniósł szklanekę i wytarł tacę. Teraz stoi nade mną jak góra chroniąca moje bezpieczeństwo.

- Pani Iris, już późno - nalega.

- Wiem. - A do dziecka mówię: - Moja panno, nie wiem, dlaczego tutaj jesteś. Wrócisz prosto tam, skąd przyjechałaś. Teraz jestem zmęczona, więc porozmawiam z tobą rano.

- Czy przysłać do pani Ciocię? - pyta mnie Mamduh.

- Nie. - Nie chcę, żeby mnie rozebrano i położono do łóżka. Nie chcę, żeby to dziecko się dowiedziało, że coś takiego się czasem zdarza. - Niech tylko pościeli łóżko dla, dla... jak powiedziałaś, że masz na imię?

- Ruby.

To imię dla prostytutki, bardzo dobrze pasuje do jej wyglądu. Co ta Lesley sobie wymyśliła?

- Łóżko i jedzenie, jeśli jest głodna. Dziękuję ci, Mamduhu. Dobranoc, Ruby.

Dziewczyna nagle się uśmiecha. Bez gniewnego spojrzenia wygląda jeszcze młodziej.

Idę sama do swego pokoju. Gdy wreszcie leżę już w łóżku z zasuniętymi białymi zasłonkami dookoła, senność oczywiście mnie opuszcza. Leżę, wpatrując się w połyskliwe fałdy muślinu, widzę twarze i słyszę głosy.

Z majestatyczną pogardą Mamduh sprowadził Ruby ponownie na dół. W holu pojawiła się drobna staruszka wzrostu około metra pięćdziesięciu, z głową i szyją owiniętą białą chustą. Pośpiesznie zamienili ze sobą kilka zdań.

- Chcesz coś zjeść? - zapytał Mamduh chłodno.
- Nie, bardzo dziękuję. Jadłam w samolocie.
- Więc idź z Ciocią.

Ruby jeszcze raz podniosła swój bagaż i poszła za staruszką schodami do góry, a potem zacienioną galeryjką do małego pokoju z kanapą stojącą pod łukowatym oknem. Ciocia, skoro już tak ją nazywali, po drodze pokazała jej łazienkę. Był tam górnopłuk z łańcuszkiem i miska klozetowa w biało-niebieski wzór poskręcane listowia. Staromodny prysznic miał sitko wielkości talerza, na dole nad odpływem leżała drewniana kratka, a obok stało pomalowane na niebiesko krzesło z kilkoma złożonymi ręcznikami.

- Dziękuję — powiedziała Ruby.
- *Ahlan wa-sahlan** - mruknęła Ciocia.

Gdy już poszła, Ruby zdjęła ubranie i cisnęła je na podłogę. Weszła pod cienkie, nakrochmalone prześcieradło, tak jak stała, i natychmiast zapadła w sen pozbawiony marzeń.

* Tu: rozgość się (*arab*). Zwrot grzecznościowy używany przy powitaniu.

2

- Nie, nie, nic się nie martw. Tylko myślałam, że może ona i Chloe są razem... Tak, oczywiście. Naprawdę? W Chile? To wspaniale. Przekaż jej ode mnie gorące pozdrowienia, dobrze? Tak, byłoby miło. Zadzwoń. Pa.

Lesley odłożyła słuchawkę. Tam też jej nie ma.

Na stoliczku leżał otwarty jej ładny skórzany notes z adresami, ale nie było w nim więcej numerów do sprawdzenia. Dzwoniła już pod wszystkie i nikt ze znajomych Ruby ani ich rodziców nie widział jej ostatnio. Przynajmniej tych znajomych, których znała również jej matka. Nie było ich znów tak wielu.

Andrew siedział w fotelu w kręgu światła lampy ze sterłą gazet na kolanach. Gdy spojrzał na nią znad okularów do czytania, na środku czoła utworzyła mu się wiązka zmarszczek.

- Ma dziewiętnaście lat. Naprawdę czas, żeby wzięła za siebie odpowiedzialność. Nie możesz jej w nieskończoność osłaniać.

- Nie sądzę, żeby to robiła - odpowiedziała łagodnie Lesley. - Robię?

Andrew westchnął ciężko, wypuszczając powietrze nosem i ściągając w dół kąciki ust, by wyrazić dezaprobatę, specjalnie jej nie wyrażając, i wrócił do czytania.

Lesley odwróciła wzrok od męża i popatrzyła na ładny pokój, urządony dokładnie tak, jak chciała, ze ścianami w odcieniu błękitu kaczego jaja, który relaksował i nie był zimny, oraz lamowaniem zasłon i poduszek w takim samym kolorze. Poczwała, jak jej niepokój maci panujący w nim nastrój. Troška o Ruby zakłócała tę wygodną przestrzeń, krążyła wokół niej, dźgała ostrymi kantami mebli. Powietrze wydawało się rozrzedzone, jakby nie mogła go wciągnąć dostatecznie dużo do płuc, żeby serce biło równomiernie. Lesley znała to uczu-

cie od dawna, lecz to, że je znała, nigdy nie umniejszało jego skutków.

Gdzie jest Ruby? Co robi tym razem i z kim przebywa?

Któregoś dnia - upierał się wewnętrzny głos Lesley - stanie się coś niewyobrażalnego. Potrząsnęła głową, żeby odpedzić tę myśl.

Nigdy nie doświadczała podobnych lęków o Edwarda, przyrodniego brata Ruby. Zawsze był tam, gdzie powinien, i robił to, co trzeba. Tylko o Ruby tak się obawiała.

To zrozumiało, że Andrew się złościł.

Lesley zamknęła notes i założyła nań tkaną opaskę. Zjedli już obiad i sprzątnęła po jedzeniu. W jej kuchni, całej w granicie i drewnie klonowym, mruczała zmywarka, włączyło się centralne ogrzewanie, a telefon uparcie milczał. Ruby nie było w domu od wczoraj po południu. Wymknęła się cicho, nic nikomu nie mówiąc.

Żeby tylko przerwać ciszę, zapytała:

- Kochanie, napijesz się? Whisky czy coś innego?
- Nie, dzięki. - Andrew nawet nie podniósł wzroku.
- Pójdę i... zobaczę, czy Ed odrabia lekcje.

Lesley weszła powoli na schody. Na górze zawahała się, a potem zapukała do drzwi syna.

- *Hello?*

Siedział przy stole. Telewizor w nogach łóżka był włączony, ale Ed był do niego odwrócony plecami. Lesley dostrzegła rozłożony przed synem zeszyt, kolorowe kredki i otwartą encyklopedię.

- Jak tam idzie?

- Okej. - Jego gęste jasne włosy, takie same jak ojca, układały się z przodu w czubek, tak że wyglądał jak spokojny ptak. Pod każdym względem był przeciwieństwem Ruby. Teraz obracał kredkę między kciukiem a wskazującym palcem i Lesley wiedziała, że grzecznie czeka, aż wyjdzie i zostawi go w spokoju.

- Nie ma wiadomości od Ruby - powiedziała - Byłam pewna, że dziś wieczorem zadzwoni.

Ed kiwnął głową, patrząc z zamyśleniem.

- Wiesz, ja myślę, że nie powinniśmy się martwić. Pewnie jest w mieście z którąś ze swych kumpelek. To nie pierwszy raz zapomniała przyjść do domu, prawda?

Jak na jedenastolatka Edward był wyjątkowo rozsądny.

- Tak - przyznała Lesley.

- Próbowaaś dzwonić jeszcze raz na jej komórkę?

Tylko tuzin razy.

- Ciagle wyłączona.

- No to myślę, że powinniśmy sobie powiedzieć: „brak wiadomości to dobra wiadomość”. Pewnie zadzwoni do ciebie jutro.

- Masz rację, kochanie. Wpadnę później powiedzieć ci dobranoc.

- Okej. - Wsadził z powrotem nos w książkę, zanim drzwi się zamknęły.

Lesley poszła do drugich drzwi, na samym końcu korytarza. Graba wykładzina sizalowa z kosztownym kauczukowym spodem tłumiła odgłos jej kroków. Przez chwilę stała pochylona nad klamką, potem weszła do pokoju. Był ciemny i duszny, unosił się w nim jakiś ciężki, wyraźnie słonawy zapach.

Lesley zaglądała tu już dwa lub trzy razy w ciągu dnia, a odmienność sypialni Ruby, która na nią działała odpychająco, nie była dla niej zaskoczeniem. Pomacała ścianę w poszukiwaniu kontaktu i zapaliła światło.

Zapach pochodził od kolekcji muszli Ruby. Już co najmniej osiem lat temu straciła zainteresowanie jej powiększaniem, lecz te porcelanki i wrzecionowate mitry nigdy nie pozbyły się pozostałości ryb i soli w swoich perłowych wnętrzach. W szafkach ściennych powieszonych przez Lesley, żeby je wyeksponować, stały bezładnie liczne, przewracające

się słoje z piaskiem i połamanymi muszlami. Zbiór ten nigdy nie został odpowiednio ułożony ani opisany. Ruby po prostu chciała zdobywać okazy i trzymać je, chciwie gromadząc zdobycze bez specjalnej troski o nie, po prostu je składowała.

Na muszle przerzuciła się, gdy straciła entuzjazm do zbierania autografów, a gdy przestały ją fascynować muszle, straciła głowę dla chrząszczy. Pudełka i kasetki z zakonserwowanymi okazami okupowały każdą płaską powierzchnię.

Lesley kucnęła przed rzędem mahoniowych kasetek i spojrzała przez ich zakurzone szklane płytki. Ruby wydawała na nie całe swoje kieszonkowe, przez lata były prezentami na Gwiazdkę i urodziny, a ich zawartość wciąż wywoływała uśmiech Lesley i przyprawiała ją zarazem o lekki dreszcz. Niektóre z chrząszczy gigantów miały kilka centymetrów, usztywnione odnóża, delikatne czułki oraz złożone, lśniące i opalizujące skrzydełka. Lesley zawsze uważała, że były nadzwyczajne i ciekawe te nadziane na szpilkę trofea wiktoriańskich entomologów, które tak fascynowały jej dwunastoletnią córkę.

Inne okazy w tej kolekcji to - przechowywane w pudełkach od zapalek - zasuszone małe owady złapane przez Ruby w ogrodzie. Lesley znów uśmiechnęła się na wspomnienie Ruby przykucniętej pod krzakiem bylicy, z najnowszą zdobyczą trzymaną w miseczce z obu dłoni.

- Jak one się wszystkie nazywają? Wiesz? - pytał ją często Andrew.

- Tak - odpowiadała Ruby beznamiętnie, nic więcej nie dodając.

- Dlaczego je lubisz?

- Są piękne, nie uważasz? - Odwracała się, nie czekając na odpowiedź, jakby powiedziała już i tak zbyt wiele.

- Przynajmniej to nie pająki - Lesley uspokajała męża, gdy Ruby już nie mogła słyszeć.

Pasja do chrząszczy w końcu minęła tak jak poprzednie,

ale Ruby nigdy nie pozwoliła na sprzedanie żadnego ze swych nabytków ani nawet wyniesienie ich na poddasze. Prawie wszystko, łącznie z pudełkami po butach pełnymi autografów, znajdowało się w tym pokoju.

Lesley odwróciła wzrok od gablotki z jednym olbrzymim insektem kasztanowej barwy, przypominającym karalucha. Nie było gdzie postawić stóp pośród tej masy pudełek, kartonów, nagryzmoonych rysunków i wyrwanych kartek z czasopism, nienoszonych już ubrań i pootwieranych tubek z kosmetykami. Nie sposób było stwierdzić, co, jeśli w ogóle coś, Ruby wzięła ze sobą. Ostrożnie przeszła przez pokój i usiadła na sfałdowanym łóżku. Położyła dłoń na wgłębieniu poduszki, ale nie było tam już śladu ciepła.

Z każdego kąta pokoju, z każdej półki i szuflady wysypywały się nagromadzone przedmioty. Nic nie było porządnie ułożone. Gromadzenie nie szło w parze z jakością, liczyła się tylko ilość. Mieć i trzymać. Lesley przypuszczała, że mógł to być jej sposób na podpieranie swojego świata, który inaczej mógłby się zawalić. Jednak mimo tego bezładu, chaosu i przytłaczającego nadmiaru rzeczy w pokoju odnosiło się wrażenie pustki.

Ruby wyjechała.

Lesley złączyła stopy i położyła dłonie na kolanach, jakby chciała wnieść jakiś element harmonii do panującego tu bałaganu. Ruby nie wyjechała, tak jak jej rówieśnice, w starannie zaplanowaną roczną podróż do Azji czy Ameryki Południowej ani w pełnej chwale najlepszych wyników na jakąś dobrą uczelnię. Nie ona, zbuntowana, wagarująca, dyslektyczna i ciągle wyrzucana ze szkoły Ruby. Nie zdała żadnych egzaminów ani nie poświęciła wakacji. Żeby zarobić pieniądze na roczny wyjazd do pracy z dziećmi w Nepalu czy na rzecz środowiska naturalnego w Namibii- Ruby opuściła dom rodzinny w Kencie i zamieszkała u brata Andrew i jego rodziny w środku Londynu, gdy wstąpiła do dwuletniego colle-

ge'u. Ale nauka nie trwała długo, a Ruby spędzała całe dni w Camden Town z nowymi znajomymi, których Ellisowie nie akceptowali. A potem, całkiem niedawno, nagle wróciła do domu. Całymi godzinami przesiadywała zamknięta w swoim pokoju, a gdy wychodziła, odzywała się, tylko jeśli ją zagadnięto. Andrew ponaglał ją, by coś postanowiła w kwestii swego zawodu. Żeby mieć jakiś wkład na rzecz świata, jak to ujmował.

Ruby szeroko otwierała umalowane na czarno oczy i gapiała się na niego, jakby należał do nieznanego jej gatunku.

Nic go bardziej nie rozwścieczało.

A teraz po prostu całkowicie się usunęła. Nieobecność Ruby nie tylko przepełniała jej sypialnię, ale sączyła się na zewnątrz i siała spustoszenie w ich wygodnym domu.

- Kocham cię - powiedziała matka do nieruchomej, zatechłej nieświeżością przestrzeni.

Czułość i tęsknota wypełniały ją do szpiku kości. Było to gwałtowne uczucie, wprawiające ją w zakłopotanie. Nie tak jak spokojna, silna miłość, jaką darzyła Edwarda, czy ciągle niełatwe uczucie do Andrew.

Miłość do Ruby była największą pasją w życiu Lesley.

Cisza stawała się coraz cięższa. Ani w tym pokoju, ani nigdzie indziej nie dało się znaleźć wytłumaczenia, co złego działo się z jej córką. Albo ze mną- dodała skrupulatnie. Nie znaczy to, by winiła Ruby za to, że była trudna. Całą odpowiedzialność wzięła na siebie, co jeszcze bardziej irytowało Andrew. Podczas ich rozmów późnym wieczorem lub w samochodzie, gdy jechali po raz kolejny rozwiązywać jakieś sytuacje stworzone przez Ruby, zadawała wciąż na nowo te same pytania: Co zrobiłam źle? Czy byłam złą matką?

- Tobie brakowało wzoru do naśladowania - mawiał zwykle Andrew.

Jedna rzecz uderzała ją teraz ze szczególną siłą: tym razem odejście było ostateczne. Dokądkolwiek się udała, z własnej

woli lub - proszę, żeby tylko nie to - pod przymusem, Ruby nie zamierzała wrócić.

Lesley schyliła głowę. Popatrzyła na swoje kolana w drugiej skórze z gładkiej nylonowej siatki. Zdjęła kawałek nitki z obszycia dołu spódnicy i, wstyd przyznać, choć nikt nie widział, nagle z jej oczu popłynęły łzy, kapiąc na materiał.

Ruby otworzyła oczy.

Przez półokrągłe okno wpadało światło, wypełniając pusty pokój i pokazując, że jego powietrze jest aż gęste od unoszących się w nim drobinek kurzu. Ale to nie blask słońca ją obudził, lecz głośny śpiew, który nagle się rozległ. Słowa były niezrozumiałe, pieśń śpiewaną głębokim, melodyjnym głosem zniekształcało duże nagłośnienie. Zrzuciła z siebie prześcieradło i pobiegła wyjrzeć na dwór. Rozszerzyła oczy ze zdumienia.

Na ulicy w dole rzędami, na dywanikach rozłożonych na bruku, klęczeli mężczyźni i przyciskali czoła do ziemi. Wyglądali jak wielka, spokojna ławica ryb: biało i szaro ubrane plecy przypominały rybie grzbiety, a podeszwy odwrócone ufnie do góry - płetwy.

W mieście było cicho. Ruby oparła czoło o grube zielonkawe szkło i starała się wsłuchać w modlitwę.

Kilka minut później ławica zaczęła falować: mężczyźni prostowali się na kolanach i wstawali. Strzepywali dywaniki i wycofywali się ulicą. Dwaj mali chłopcy ganiali się po jakichś schodkach i czmychnęli do bramy. Przetoczył się pchany przez dwóch mężczyzn wózek ręczny pełen owoców. Ruby poczuła, że jest głodna, więc niechętnie przerwała oglądanie ciekawych widoków.

W domu panowała głęboka cisza. Te kamienne mury muszą być bardzo grube - pomyślała, idąc wzdłuż zewnętrznego korytarza. Nie pamiętała, z której strony Ciocia ją wczoraj przyprowadziła, a rozkład połączonych izb był mylący. Zna-

lazła szerszy korytarz z siedzeniami naprzeciwko rzeźbionego przepierzenia z małymi drzwiczkami na zawiasach. Wyjrzała od niechcienia przez jedno z okienek i zaskoczyła ją znajdująca się za nim ogromna przestrzeń, wysoka na dwie kondygnacje. Ten wielki hol był prawie nieumeblowany, nie licząc długiego stołu i pewnej liczby krzeseł z wysokim oparciem ustawionych pod ścianami. Na drugim końcu znajdowało się niskie podium, a za nim malowidło ściennie przedstawiające sploty kwiatów, owoców i egzotycznych liści. Z łukowatego sklepienia zwieszały się na łańcuchach wielkie lampy z żelaza i szkła. Byłoby całkiem dobre miejsce na party - stwierdziła. Jeśli przymknąć nieco oczy i patrzeć przez kraty przepierzenia, można sobie wyobrazić wirujących tancerzy i usłyszeć dźwięki bębnów.

Po kolejnym obejściu całej galerii Ruby otworzyła jakieś niskie drzwi i znalazła klatkę schodową. Zbiegła ze schodów i zajrzała do dużej sali z niższego piętra. Z dołu w ogóle nie było widać galerii.

Nagle wyczuła z tyłu czyjaś obecność. Obróciła się i stanęła twarzą naprzeciw czubka głowy Cioci.

- *Hello* - powiedziała Ruby wesoło.

Ciocia spojrzała na nią do góry.

- *Sabah al-chajr** - mruknęła. Jej twarz przypominała orzech włoski. Nie uśmiechała się, ale w kącikach oczu i ust miała dobrotliwie wyglądające zmarszczki.

- Szukam mojej babci.

- Mamris - przytaknęła Ciocia. Ruchem drobnej ręki wskazała, żeby Ruby poszła za nią.

Dom nie był wcale taki wielki, jak się wydawał. Kilka kroków za rogiem czekała nowa niespodzianka.

Ruby rzuciła:

- Och, jak pięknie!

* Dzień dobry {arab.}.

W sercu starego domu znajdowało się małe podwórko. Otaczały je ściany z terakoty z wyciętymi w nich łukami arkady, wyłożone trawiastozieloną i turkusową glazurą. W czterech rogach stały duże kwadratowe pojemniki z płożącą się roślinnością, a z jednej strony do zielonej glazurowanej misy spływała z pluskiem woda z wodotrysku. W tak małej przestrzeni szum wody zdawał się bardzo głośny. Jasne, ostre światło słońca padało ukośnie na podwórze, a w zacienionej części stało wyściełane krzesło. Siedziała na nim Iris i patrzyła na nią. Jej rzadkie, siwe włosy przytrzymywały dwa grzebyki, a ubrana była w elegancki jedwabny szlafrok w delikatne perłowe paski. Wyglądała na mniej zmęczoną niż poprzedniego wieczoru, lecz nadal niezadowoloną.

Ruby myślała intensywnie. Chciała znaleźć jakiś sposób, aby tu zostać, nie dlatego, że ten przyjazd w ogóle był ostatnią deską ratunku i nie chciała zostać odesłana z powrotem do domu, ale dlatego, że było tu tak intrygująco. A zatem musiała powiedzieć coś stosownego, w jakiś sposób się przypodobać. Jak cień przemknęła jej przez głowę myśl, że tak naprawdę całkiem wyszła z wprawy w zachowywaniu się sympatycznie. Nie wiedziała nawet, jak ma się zwracać do tej niechętnie usposobionej starszej pani. Zdecydowanie była dla Ruby zbyt obca i za bardzo świdrowała ją oczami, żeby jej mówić „babciu”, jak w domu nazywała ją Lesley. Co nie znaczy, że matka Ruby zbyt często mówiła o swej własnej matce.

- Cześć! - powiedziała w końcu, szurając stopami.

Gdy Mamduh przyniósł poranną herbatę, musiał mi przypomnieć, że mamy gościa. Noc dłużyła mi się bardzo i zasnęłam wreszcie dopiero po świtaniu. No, a potem sny.

A teraz ta dziewczyna. Co za szczególne, brzydkie ubranie ma na sobie! Czy to samo nosiła wczoraj? Para przykurzonych czarnych spodni, spiętych z przodu na pulchnym brzuchu agrafką. Nogawki od kolan szerokie i powiewne jak

żagle, a tak długie, że wloką się po ziemi. Ich brzegi podarte i brudne. Gdy stawia nogę, widzę, że podeszwy jej wielkich butów mają dziesięć centymetrów grubości, a więc nie jest wcale taka wysoka, jak się wydaje. Na górnej połowie, a raczej jednej trzeciej ciała, bo ten fragment garderoby jest taki kusy, że odsłania piętnaście centymetrów talii, ma coś szarego z czarnym wzorem na przodzie. Na palcach tak dużo srebrzystych pierścionków, że sięgają aż do knykci, kółka w uszach, jedno w nosie i srebrny ćwiek wbity w górną wargę. Nie myła się dziś rano, bo wokół oczu ma rozmazane czarne smugi. Jej twarz jest okrągła, blada jak księżyc i niewinna.

Idzie ciężkim krokiem naprzód i powtarza jakąś jedną sylabę, której nie dosłyszę.

Dlaczego to jest?

Przeszukuję pokłady, zawałone pokłady pamięci. Składam kawałki w jedną całość.

Córka Lesley.

- Nie masz jakichś odpowiednich ubrań?
- Te są odpowiednie.
- Nie są przyzwoite.

Jej oczy spotykają się z moimi. Robi grymas niezadowolenia, ale potem się miarkuje. Jej osłonięte metalem palce skubią dół tego niby-podkoszulka.

- Za krótkie?

Jestem już zmęczona tą rozmową. Na poręczy mego krzesła wisi biały szal i podaję go jej. Rozwija jego fałdy i macha nim jak płachtą matadora, a mnie uderza gracją jej gwałtownych ruchów i, tak, autentyczna radość. Przyjemnie na to patrzeć. Potem jakby przywołuje się do porządku. Zawiazuje szal niedbale na piersiach, tak aby zakrywał brzuch.

- Usiądź.

Posłusznie przysiada na drewnianym taborecie i pochyla się do przodu.

- Właściwie nie wiem, jak mam cię nazywać. Jesteś moją babką i tak dalej, ale nie wydaje mi się właściwe mówić do ciebie „babciu”. Wiesz, o co mi chodzi?

Co za różnica, jak mnie nazwie. Od tak dawna nie nazywano mnie inaczej niż Mamris lub doktor Black.

- Mam na imię Iris.

- Czy tak mam cię nazywać?

Kładę dłoń na poduszkach i zamykam oczy.

Po minucie, może więcej, odzywa się półgłosem:

- Iris?

Linia słońca przybliżyła się do nas. Znow się ozywiam.

- Czy zawiadomiłaś swoją matkę, gdzie jesteś? Musisz natychmiast wracać do domu. Zdajesz sobie sprawę, prawda? To bardzo uciążliwe to... to pojawienie się w moim domu. Musisz natychmiast do niej zadzwonić, powiedzieć, gdzie jesteś, i podkreślić, że ja ci kazałam...

Przez twarz dziecka przemknął cień.

- Taak. Wiem, wiem. Tylko że... - Podnosi się i pod szalem szuka czegoś w ciasnej kieszeni spodni. Wyjmuje mały srebrny przedmiot. - Moja komórka tutaj nie działa.

- Czy to jest telefon? Możesz skorzystać z naszego tutaj, jak sądzę. Jest tam w środku. Mamduh cię zaprowadzi.

- Dobrze. Okej. Eee... Ale jestem naprawdę głodna. Mogłabym coś zjeść, zanim zadzwonię do domu i powiem im, że wszystko gra?

- Ciocia ci przyniesie.

Ciocia i Mamduh przyszli razem. Ciocia jest teraz dość ozywiona z ciekawości, ale Mamduh jest obrażony, widzę to po sposobie, w jaki stawia tacę z przesadną ostrożnością i nie patrząc na dziewczynę. Nic nie szkodzi. Ona pojedzie z powrotem tam, skąd przyjechała, może nie dzisiaj, ale na pewno jutro. Jak jej na imię?

Przypomniałam sobie zdumiewająco łatwo. Ruby.

Oczy Ruby rozjarzyły się na widok śniadania. Rzeczywiście była bardzo głodna, a postawiono przed nią miskę dorodnych szkarłatnych fig oraz - pod małą, zdobioną koralikami serwetką - miskę gęstego śmietankowego jogurtu. Był koszyk z gruboziarnistym chlebem, szklane naczynie z miodem i talerz kruchych, lepkich ciastek. Był też sfatygowany srebrny czajniczek, z dziobka którego unosiła się cienka smużka pary.

- Dziękuję ci, Mamduhu. Dziękuję ci, Ciociu - powiedziała Iris. - Teraz same sobie poradzimy.

Ruby przysunęła bliżej taboret.

- Nalej mi herbaty, proszę - poleciła jej Iris. Ruby zrobiła, co kazano, i postawiła szklanicę na stoliku obok niej. Herbata pachniała latem.

- Mmm - zamruczała Ruby, wypiwszy duży haust. - Ale dobre! Co to jest?

- Nie wiesz? Herbata miętowa.

- Smakuje mi. Nie pijemy takiej w domu. No, może mama pije. Ona lubi te herbatki ziołowe, ale nie powiedziała-bym, że są takie jak twoja. Mogę spróbować tego?

Iris kiwnęła głową. Patrzyła, jak dziewczyna nakłada łyżeczką miód na chleb i je, odgryzając duże kawałki i żując mocnymi białymi zębami. Miód skapywał jej po brodzie i wycierała go palcami, które potem ze smakiem oblizywała. Po chlebie i miodzie zainteresowała się figami.

- Jak to się je?

Iris pokazała jej, przekrawając, by odsłonić aksamitny, usiany nasionkami środek. Ruby zjadła i jej rozmazane oczy zmrużyły się w komicznym grymasie rozkoszy. Po figach zjadła większą część jogurtu z miski i napiła się jeszcze herbaty.

- A ty nic nie będziesz jadła? - zapytała.

- Zjem jedno z tych. - Iris wskazała na trójkąty baklawy. Ruby włożyła ciastko na talerzyk, biorąc je, jakby parzyło,

żeby ograniczyć jego kontakt z własnymi palcami, i postawiła obok szklanki z herbatą Iris. Potem wyprostowała nogi i westchnęła z ukontentowaniem, rozglądając się po małym podwórzu.

- Tu jest jak inny świat. No tak, oczywiście to jest inny świat. Wspaniała Arabia.

- Co powiedziałaś?

- Kiedy? A, to. Nie wiem, to chyba z jakiegoś wiersza, co? Nie pytaj mnie, kto to napisał czy coś w tym stylu. Myślę, że to przeczytałam albo usłyszałam. Pewnie w cholernym Radiu 4, zawsze jest włączone w naszym domu. Wiesz, jak czasem rzeczy, których wcale nie próbujesz zapamiętać, całkiem dziwne rzeczy jak kawałki wierszy lub czegoś tam, po prostu zostają ci w głowie? A inne rzeczy, które powinnaś zapamiętać, żeby nie wiem jak się starać, po prostu fruują i nie ma. Przeważnie to, czego trzeba się nauczyć do egzaminów.

- Jeśli to coś ważnego, zapamiętuje się. Trzeba mieć taką nadzieję.

- Zależy, co rozumiesz przez ważne. - Ruby zaśmiała się, a potem spostrzegła wyraz twarzy swej babki, która nagle zmarszczyła się cierpieniem, a upudrowana skóra pod oczami zawilgotniała od łez.

Ruby przygryzła wargę.

- Powiedziałaś coś nie tak?

Iris sięgnęła dłonią do rękawa szlafroka i wyjęła chustkę do nosa. Wytarła ostrożnie oczy i z powrotem schowała chustkę.

- Sama zaczynam zapominać - powiedziała. Zrobiła dłońmi mały ruch w powietrzu, jakby coś łapała, ale nic nie złapała. Ruby pomyślała, że chodzi jej o wspomnienia, które się wymykają.

- To musi być czasem straszne - stwierdziła.

- I jest.

- Co można zrobić?

Iris zwróciła ku niej głowę, żeby patrzeć wprost na nią.

- Staraj się... staraj się zatrzymać to, bez czego nie jesteś w stanie być.

Ruby nie bardzo rozumiała, ale mimo to skinęła głową. W podwórzu rozlegał się plusk wody spływającej z małej fontanny. Słońce podeszło jeszcze bliżej i jej cienki strumień lśnił jak diamentowy naszyjnik.

- No cóż - odezwała się Iris zmienionym głosem. - Najadłaś się?

- Może jeszcze jedno z tych.

Ugryzła następne ciastko. Słodkie płatki przyklejały się do ust i musiała wysunąć język, żeby je zgarnąć.

Przez jedną z arkad wszedł Mamduh i stanął za krzesłem Iris. Nadszedł czas, by przesunąć je dalej w cień. Gdy Ruby obserwowała, jak pomaga jej babce podnieść się i znów usiąść, zauważyła, że ma ten sam czuły wyraz twarzy co wczoraj wieczorem, jakby Iris była małym dzieckiem.

Gdy tak obie spokojnie gawędziły, Ruby wpatrywała się w równoległobok szafirowobłękitnego nieba. Mogła dojrzeć czubki wież zwieńczone wąskimi kamiennymi bulwami i iglicami z półksiężycem. Po drugiej stronie tych murów było całe, tętniące życiem miasto, które oglądała wczoraj z okna taksówki. Teraz, gdy już znalazła bazę, zapragnęła je poznać.

- Mamduh idzie teraz na bazar - oznajmiła Iris.

Ruby zerwała się tak gorliwie, że jej taboret się wywrócił.

- Mogę z nim pójść?

Iris uniosła dłoń.

- Musisz zapytać Mamduha.

- Proszę, mogę z tobą pójść? - Miał okrągłe policzki, okrągłe powieki, pełne wargi koloru śniadaniowych fig, jego łysina była cała w cętki, a oczy zamglone. Brzuch tworzył spory pagórek pod długą białą szatą. Nie wyglądał tak staro

jak Iris czy Ciocia, ale też na pewno nie był młody. Obrzucił Ruby wzrokiem od stóp do głów, jak stała w szalu Iris związanym wokół brzucha.

- Na bazar, panienko? - Jego głos brzmiał niepewnie.

- Ja, ee, włożę jakąś koszulę na wierzch? Mam taką w plecaku. Mogę pomóc przynieść zakupy, no nie?

- Robię to sam od lat, dziękuję.

- Ja bym naprawdę chciała pójść.

Iris zamknęła oczy.

- Pokaż jej, proszę, bazar, Mamduhu. Jutro wraca do domu do Anglii.

Skłonił się.

. - Oczywiście.

Gdy ponownie zeszła na dół w zapiętej męskiej koszuli na podkoszulku, Mamduh już na nią czekał. Na rękę trzymał kosz pleciony z sitowia i miał mocno wsadzoną na głowę jakąś wypłowiałą czerwoną „doniczkę”. Nad lewym okiem zwisał mu czarny frędzel. Ruby poczuła, że zaraz zacznie chichotać, ale zmroziło ją spojrzenie Mamduha.

- Czy tak jest okej? - spytała potulnie, pokazując na okrycie.

Jego kiwnięcie głową było ledwie zauważalne.

- Jeśli panienka jest gotowa?

Wyszli pomalowanymi na niebiesko drzwiami i Ruby poczuła na głowie uderzenie słonecznego żaru. Zrobiła kilka kroków do rogu budynku i spojrzała w górę na starożytny mur krenelażowy, na gromadkę małych kopuł otaczających jedną dużą oraz trzy smukłe wieże.

- Co to za budowla? - zapytała Mamduha, podążającego majestatycznie w przeciwnym kierunku.

- To meczet Al-Azhar. Idziemy w tę stronę, proszę.

- Jest bardzo stary.

- Kair to miejsce historyczne. - Ton, jakim to powiedział,

świadczył, że jest dumny ze swego rodzinnego miasta, a ten jego pietyzm sprawił, że chciała je jeszcze bardziej poznać. Przyspieszyła kroku, żeby się z nim zrównać, i pomaszerowali wąską uliczką, wychodząc na o wiele szerszą, wyglądającą niemal jak zachodnia. Panował na niej gwar ruchu ulicznego, słycać było trąbienie klaksonów i metaliczne dźwięki głośnej muzyki. Zgarnęła ich powolna fala tłumu, z którą posuwali się, dopóki Mamduh nie zszedł do wyłożonego kafelkami, nowoczesnego przejścia podziemnego. Niewiele różniło się od tego pod Oxford Circus. Gdy znów znaleźli się na powierzchni, Ruby aż zamrugała oczami.

Mamduh przywołał ją bliżej.

- To bazar Chan al-Chalili. Proszę iść tuż przy mnie, bo tu łatwo się zgubić.

Miał rację. Byłaby to najłatwiejsza rzecz pod słońcem zgubić się w tym labiryncie wąskich uliczek odchodzących od niemal znajomo wyglądającej głównej ulicy. Nad nimi wisały rozpięte płócienne markizy, a w ich przyjemnym cieniu, stłoczone jeden przy drugim, stały olśniewające, różnobarwne kramy i sklepiki. Towary leżały w wielkich stertach i wisały w rzędach, wyglądając jak stalaktyty w odjazdowych kolorach. W jednym ze sklepów przyciągały wzrok nargile z brązu i ceramiki. Inna wnęka obwieszona była girlandami kostiumów do tańca brzucha, zdobionych jaskrawymi falbankami z nylonu i szklanymi paciorkami. W jeszcze innej małej wnęce półki od góry do dołu zastawione były setkami szklanych słoiczków z olejkami w różnych odcieniach szlachetnych kamieni. Obok z otwartych worków jutowych wyglądały przeróżne ziarna w kolorach ochry, szafranu i perły.

Przejścia między kramami dusiły się od ludzi, drewnianych wózków i tragarzy ze stosami pudeł niesionych na głowie. Niektórzy mężczyźni ubrani byli po europejsku, inni nosili galabije i tarbusze, jak Mamduh. Spotykało się kobiety

owinięte od stóp do głów w czarne szaty, ale też i w spodniach oraz sztywnych bluzkach, jedynie z chustą okrywającą włosy. Ruby była zdumiona i nieco rozczarowana, widząc tyłu zachodnich turystów o różowych twarzach i wysokim wzroście, którzy niezbyt radzili sobie z nagabywaniem przez handlarzy. W odosobnionym domu Iris wydawało jej się, że w całym Kairze są tylko dwie osoby takie jak one.

Właściciele sklepów prześcigali się w przyciąganiu uwagi Ruby, gdy przechodziła obok.

- Pani, patrz-zobacz. Tylko popatrzeć, bez zapłaty. Bardzo dobre ceny.

Uliczne łobuziaki czepiały się jej koszuli, oferując najnowsze modele zapalniczek, pudełka chusteczek higienicznych i butelki wody. Nawet w cieniu było gorąco, a powietrze przesycała wilgoć. Koszula wkrótce przylepiła się jej do pleców, a grube pasma włosów przyklejały się do czoła i karku. Z tyłu nieustannie słyszała sykanie tragarzy ręcznych i pchających wózki z towarem, którzy chcieli przejść dalej w głąb bazaru.

Szła za kołyszącym się tarbuszem Mamduha, wiedząc, że jeśli straci go z oczu, nie będzie miała pojęcia, dokąd pójść. Przypomniało jej się, jak, będąc małym dzieckiem, robiła z Lesley zakupy w domu towarowym. Zgubiła się pośród lasu nóg i pękatych toreb, usiłowała się między nimi przeciskać, rzucając się to do przodu, to do tyłu, w gardle ścisnęła ją przerażenie i zaczęła płakać. Nad jej głową pochylały się jakieś wielkie twarze, ręce wyciągały się, by ją złapać, a ona krzyczała i krzyczała. Trwało to może minutę czy dwie, zanim Lesley ją znalazła, ale wydawało się, że mijają godziny. Teraz musiała opanować instynktowną chęć złapania się białej szaty Mamduha i trzymania jej kurczowo.

Jeszcze mniejszym zaułkiem wychodziło się z alejek sklepowych. Stały w nim po obu stronach rozpadające się domy z wystającym nad ulicą górnym piętrem, co ograniczało wi-

doczność nieba do wąskiego pasma. Pod ścianami domów stały drewniane ławy, na których piętrzyły się stosy warzyw i owoców. Na jednym straganie leżała wielka sterta fig o skórce gładkiej i matowej jak najdelikatniejsza skóra kozła, na innym wyłożono zielone liście jakiejś rośliny. Mamduh zatrzymał się i, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, oglądał towar.

Natychmiast otoczyli go handlarze, wyciągając ku niemu lśniące wypolerowane bakłażany i pęczki białej cebuli. Niektóre oferty odprawił machnięciem ręki, inne zdecydował się pomacać lub powąchać. Kiedy jakiś produkt mu odpowiadał, następowała zawiła wymiana zdań, ewidentnie odnosząca się do ceny. Wreszcie, po długiej ceremonii, w zamian za kilka monet, zakup był pakowany w rożek z papieru i Mamduh wkładał go do swego plecionego koszyka, po czym przesuwał się kilka kroków dalej.

Ruby nigdy jeszcze nie widziała tak poważnego podejścia do zakupów. Znalazła kawałek miejsca pod zakurzoną ścianą, oparła się i patrzyła zafascynowana.

Raz czy dwa Mamduh zerkał w tył, sprawdzając jej obecność. Gdy upewnił się, że nie ma zamiaru mu przeszkadzać, odchodzić czy sprawiać żadnych innych kłopotów, lekko kiwnął głową z aprobatą. A potem, gdy już skończył kupować, pokazał jej ruchem głowy, żeby szła za nim. Na rogu porozmawiał ze staruszką siedzącą na stołku przed dwoma zgrzebnymi workami. Kolejna moneta zmieniła właściciela i tym razem Mamduh podał rożek z papieru bezpośrednio Ruby. Ugryzła słodki, kremowobiały orzeszek.

Mamduh traktuje ją jak małe dziecko - pomyślała. Było to trochę wkurzające, ale jednocześnie tak jakoś, poniekąd, luzujące.

By wyjść z bazaru, przedzierali się powoli przez leniwy, rozgrzany upałem tłum ludzkich ciał: tragarzy, turystów, handlarzy i klientów. Przyspieszyć było niemożliwością. Ruby

szła tuż za Mamduhem, przypatrując się twarzom mijanych ludzi.

Padające ukośnie promienie słońca odsłoniły przed nimi jakiś otwarty plac. Mury domów miały tam barwę sepii, zakurzone liście drzew kauczukowych rzucały smugi cienia na popękane chodniki, dwa wypłowiałe parasole stały osadzone w betonowych wspornikach. Przy dwóch blaszanych stolikach, pustych z wyjątkiem popielniczek i złożonej gazety, siedziała grupka starszych mężczyzn.

Unieśli dłonie i mruknęli coś, pozdrawiając Mamduha, a ten odpowiedział dwoma albo trzema zdawkowymi słowami. Kilka zaczerwienionych lub zamglonych par oczu zwróciło się ku Ruby.

Natychmiast pojęła sytuację. Mamduh wychodził zrobić zakupy dla domu, a potem zachodził do tej kawiarni, czy co to było, pogawędzić godzinę z przyjaciółmi, jej obecność zaś uniemożliwiała tę miłą przerwę w codziennej pracy. Uniosła dłonie i ramiona w geście przeproszającym, a Mamduh szykował się do dalszej drogi.

Ruby rzekła pośpiesznie:

- Ja trafię z powrotem, wiesz, jeśli chcesz zostać trochę z przyjaciółmi. Wczoraj wieczorem trafiłam, prawda? - Przypomniała sobie Nafiza i jego taksówkę.

Mamduh był autentycznie zaszokowany tą propozycją.

- To nie byłoby w porządku, panienko. Pójdziemy już do domu. Mamris może na ciebie czekać.

To „może” i towarzyszące mu zaciśnięcie ust zdradzało bardziej nadzieję niż przekonanie, lecz Ruby zrozumiała, że nie ma co w ogóle wspominać o samodzielnym powrocie. Starsi panowie pożegnali się i Mamduh pożeglował przez plac. Teraz jednak Ruby wyczuwała, że idzie z nim, a nie za nim. Wrażenie to potwierdziło się, kiedy oznajmił tonem zachęcającym do rozmowy:

- Bazar też bardzo stary.
- Jak stary?
- Siedemset lat.
- Ha. Pomyśleć, ile rzeczy tu się już kupiło.

Tyle wieków skór, ziół, perfum i fig - myślała Ruby. Na samo wspomnienie przechodziły ją lekkie ciarki.

- Sprzedało - poprawił Mamduh. Potarł kciukiem palec wskazujący. - Sprzedawanie, bardzo ważne.

Tu oboje wybuchnęli śmiechem. Mamduh trząsał się w ramionach, odchylając głowę do tyłu, ale tarbusz jakoś mu nie spadł.

Weszli na główną ulicę z całkiem niespodziewanej strony i wyminęli strumień autobusów i samochodów. Przyjacielski spacer w stronę domu Iris przerwała im nagle wyjątkowo głośna seria klaksonów. W miejscu, gdzie uliczka stawała się już nieprzejezdna dla samochodów, stała czarno-biała taksówka. Tuż za nią widać było spłowiały błękit drzwi.

- Pani, pani! Szukamy cię! - krzyczał jakiś głos. Z okna kierowcy wychylał się Nafiz, waląc pięścią w drzwiczki auta.

Jak na mężczyznę tej postury, Mamduh ruszył bardzo szybko w stronę taksówki, krzyząc na Nafiza i machając swą wielką ręką w stronę otwartego końca ulicy. Z kabiny pasażera wysiadł drugi młody człowiek i oparł się o karoserię. Był podobny do Nafiza, lecz nieco młodszy. Śmiał się i wołał coś do Mamduha, bębniąc w dach samochodu i najwyraźniej świetnie się bawiąc tą sytuacją. Dwójka czy trójka małych dzieci stała obok, gapiąc się.

Nafiz wysunął się z samochodu. Zwrócił się wprost do Ruby:

- Jesteśmy przyjaciółmi, tak? Przywiozłem cię wczoraj wieczorem.
- Nie.
- Pani? - Oczy Nafiza rozszerzyły się w wielkim smutku.

- Tak, to znaczy przywiozłeś mnie z lotniska. Ale to nie znaczy, że jesteśmy przyjaciółmi, prawda? - W końcu przecież go kopnęła.

Nafiz odwrócił się i wszedł do samochodu. Ruby spojrzała na drugiego młodzieńca. Miał zaczesane do tyłu włosy tak samo jak Nafiz i podobną białą koszulę, ale czyściejszą. Uśmiechnął się do niej.

- Ja jechał taki kawał przywieźć to dla ciebie - rzekł Nafiz, wynurzając się znowu. Trzymał w ręku pudełko z płytą CD. Ręcznie malowana okładka w różne zawijasy i zakrętasy czerwonym i czarnym tuszem, a pomiędzy nimi wypisane jej imię. Ruby spojrzała. To okładka namalowana dla niej przez Jasa, który też nagrał dla niej płytę. Był to jeden z jego własnych miksów, jedna z ostatnich rzeczy, które dla niej zrobił, zanim... Zanim on...

Wyciągnęła rękę. CD musiało jej wypaść z plecaka, gdy wsiadała do taksówki lub wysiadała z niej. Przykro by jej było, gdyby je straciła.

„To tylko przedmiot - mawiał Jas. - Przedmioty się nie liczą, ludzie się liczą”.

A ona miała go tak krótko.

- Tak. Dobrze, dziękuję - mruknęła.

Już sięgała po pudełko, ale Nafiz cofnął rękę, drażniąc się z nią. Jej palce złapały powietrze, lecz Mamduh był szybszy. Pudełko, wyrwane z ręki Nafiza, wylądowało w czeluściach kieszeni ukrytej w szwie galabii Mamduha.

Nastąpiła ostra wymiana zdań, po czym Mamduh odwrócił się do Ruby.

- Jeśli chcesz, panienko, daj mu trochę pieniędzy. Ale jeśli nie chcesz, to nie.

Ruby popatrzyła na dwóch młodzieńców, oni też się w nią wpatrywali. Na jej twarzy pojawił się rumieniec zmieszania, gdy poczuła, że w małej brukowanej uliczce dystans pomiędzy nimi się powiększa. Szkoda, że wyparła się znajomo-

ści z Nafizem. Wolałaby ją teraz niż tę odrobinę egipskich funtów.

- Ile? - wycodziła ze wstydem.

Nafiz wykorzystał chwilę.

- Dwadzieścia funty - odrzekł bystro.

Mamduh aż cmoknął językiem, lecz Ruby sięgnęła pod koszulę, by wydostać portfel, czemu obaj młodzieńcy przyglądali się z zaciekawieniem. Wyjęła banknot, a Nafiz go przechwycił. Puścił do niej oko.

- Pojedziesz na zwiedzanie? Pokażę ci Kair. Specjalny Kair. Ja i mój brat. Nie miejsca dla turystów. Prawdziwe miasto.

Ruby zawahała się. Z wielką chęcią wsiadłaby do tej taksówki i pojechała z nimi w miasto. Czuła zapach papierosów i plastikowych obić samochodu, a także gorący powiew dieselu buchający przez okna.

Mamduh już wszedł na schodki i wyjął klucz do niebieskich drzwi.

- Może innym razem - odparła cicho. Miała inne priorytety, sprawy do załatwienia w pierwszej kolejności.

Młodszy z braci przeszedł na tę stronę samochodu, gdzie stał Nafiz.

- Jestem Aszraf.

- Cześć.

Drzwi były już otwarte, Mamduh czekał z koszem jarzyn u boku. Bracia również czekali.

- Mam na imię Ruby.

Twarze chłopców rozpromienił identyczny uśmiech białych zębów.

- Fajne imię.

- Muszę już iść. Ale chciałabym się wybrać na tę przejażdżkę, tak. Czy macie... - zrobiła w powietrzu gest, jakby coś pisała, ale Nafiz to zignorował.

- My cię znaleźć.

- Panienko? - ponaglał ją Mamduh, trzymając drzwi otwarte na oścież. Znów marszczył czoło z dezaprobatą.

- No to do zobaczenia.

Ruby pomaszerowała schodkami w górę. Taksówka zawróciła i odjechała z hałasem, pozostawiając chmurę gryzących spalin.

W chłodnym korytarzu Mamduh ją zatrzymał.

- Koniecznie trzeba być trochę ostrożną, panienko. Jesteś młoda, a w tym mieście nie zawsze ludzie są dobrzy. Nie wszyscy są źli, musisz to zrozumieć, tylko nie wolno ryzykować. Czy rozumiesz, o czym ci teraz mówię?

Naprawdę traktował ją jak dziecko. W Londynie Ruby robiła, co chciała. Lesley i Andrew nawet nie wiedzieli, co to czasem bywało, podobnie jak Will i Fiona, czyli brat Andrew i jego żona. Była ich lokatorką, ale cóż, po jakimś czasie dali sobie spokój z mówieniem jej, co ma robić, a czego nie. Było tak z powodu Willa. Chociaż Fiona niby o niczym nie wiedziała, cała trójka w końcu przystała na swoistą zмовę milczenia. Nikt nic nie widział, nikt nic nie mówił, żeby przypadkiem nie doszło do tego, że któreś z nich zobaczy wszystko i zacznie mówić. Tak przynajmniej tłumaczyła to sobie Ruby.

Były też okresy bardzo złe. Ruby oglądała i raz czy dwa robiła rzeczy, których nie chciała pamiętać. Jednak wspomnienia wracały w nocy i sprawiały, że oblewała się potem i czuła mdłości. Potrafiły się one tak wyostrzyć i tak zwielokrotnić tempo, że stawały się niczym filmy grozy o tym, co mogłoby się jej przytrafić. Skóra jej cierpła, wiła się i miotła pod kołdrą, pragnąc, by się zatrzymały i dały jej spokój. Chciałaby nawet, aby przyszła Lesley i zapewniła ją, że wszystko jest w porządku, a ona jest bezpieczna.

W końcu jakoś zasypiała albo przychodziło światło dnia i sama się dziwiła, czego tak się bała. Ważne, by pamiętać, że udało jej się przetrwać. Wizyty w mieszkaniach, do któ-

rych nie powinna wracać. Za dużo prochów albo zwykłego picia. Zanik świadomości, gdzie jest i gdzie była przedtem. Uczucie, że jest niczym, mniej niż niczym. Ale to zdarzało się wielu ludziom, prawda? Nie tylko jej.

Szczyście albo spryt - mawiał Jas. To jest potrzebne, żeby przetrwać w dzisiejszej dobie. Należy mieć jedno i drugie. Słuchała jego słów i patrzyła, jak mówiąc, wypuszcza węzowatą smużkę błękitnego dymu.

Toteż Ruby nie miała wątpliwości, że dokładnie rozumie, o czym mówi Mamduh, i była pewna, że da sobie radę, cokolwiek by się jej tutaj przydarzyło. Podziwiała swój spryt i wierzyła, że szczęście jej nie opuści.

- Tak - odparła z kamiennym spokojem. Stała, patrząc mu w twarz i nie okazując nic na zewnątrz.

Mamduh założył sobie rączki koszyka na ramię.

- Mamris teraz odpoczywa. Potem z tobą porozmawia.

I polecił jej wejść do domu. Ruby wiedziała, co jej chciał przekazać, ale nic nie dała po sobie poznać.

Zostawiona samej sobie, włączyła się po domu babki.

Był mniej zamożny, niż wydawał się wczoraj wieczorem w ciemnościach przesyconych zapachem kadzidła, a jeszcze bardziej zaniedbany. Wielkie lampy zwisające ze sklepień sufitów pokrywała gruba warstwa kurzu, a o wiele więcej kurzu zalegało na schodach i szerokich parapetach okien. W ciemnych kątach zwisały pajęczyny. W pokojach było bardzo mało mebli, krzesła i stoły nie pasowały do siebie i wyglądały, jakby zostały przyniesione falą przypływu i pozostawione tak, jak wylądowały. Nie było żadnych książek, ozdób ani fotografii, nic z tych przytulnych drobiazgów wypełniających wnętrze, jakimi Lesley dekorowała własne mieszkanie i mieszkania swoich klientów. Nie było nic - zauważyła Ruby - mówiącego cokolwiek o przeszłości Iris. Nic tu nie zgromadziła, choć żyła już tak długo. Ruby nawet zaintrygowało, dlaczego.

Rano Iris powiedziała jej, że zaczyna już zapominać. Swymi starczymi dłońmi zrobiła ruch, jakby chciała coś złapać. I w oczach miała łzy.

Czy to nie fotografie w ramkach, jakaś porcelana i książki pomagają nam zapamiętywać?

Ruby zmarszczyła brwi, wodząc palcem po szarej powłoce kurzu na drewnianej komodzie i przypominając sobie słowa babki. Mówiła coś o zatrzymywaniu tego, bez czego nie jesteś w stanie być. Słowo „zatrzymać” wciąż brzmiało jej w uszach.

Gdy Ruby była mała, izolowała się, czuła się zła pod każdym względem. Nie umiała tak dobrze czytać i pisać jak koleżanki z klasy i ciągle miała ze wszystkim problemy. Jej sposobem na wyjście z tego zagubienia było zbieranie i zatrzymywanie przedmiotów. Gromadząc je w swoim pokoju, mogła poczuć się większa niż one i mimo że to, co zebrała, stanowiło tylko skrawek, ledwie mały wycinek przerażającej obfitości świata, dawało jej pewne poczucie kontroli nad nim. Lecz muszle i chrząszcze były nieżywe. I z tego powodu w końcu kolekcjonowanie ją rozczarowało, ponieważ świat był tak koszmarnie pełen ludzi, potencjału i życia. Pęczniał, jazgotał i tańczył za jej oknem, a pudełka z chrząszczami wydawały się niczym więcej jak resztkami dzieciństwa.

- Bardzo trudno jest stać się dorosłym. - Jas ziewał, gdy o tym rozmawiali.

Lecz jeśli chciało się zatrzymać wspomnienia, które ułatwiały? Jak tego dokonać?

Ruby wpadła na pomysł, niezwykle prosty, sprytny i zabawny, który mógłby rozwiązać jej problem, a zarazem pomóc babce. Uważała go za idealny i tak się zachwyciła jego prostotą, że pobiegła do najbliższej z dwóch klatek schodowych domu do drzwi, które według jej obserwacji wiodły do pokoju Iris. Przez chwilę stała na zewnątrz z uchem przyłożonym do jednej z ciemnych listewek.

Potem zapukała, bardzo delikatnie. Nie było odpowiedzi, więc zabębniła głośniej.

- Ciocia? Mamduh? - odezwał się głos Iris.
- To ja, Ruby.

Zapadła długa cisza. Potem głos odezwał się o wiele ciszzej:

- Dlaczego nie wchodzisz?

Siedziała w tym samym niskim fotelu, co wczoraj wieczorem. Głowę opierała na poduszkach, kolana okrywał pled. Ruby wyczytała z jej twarzy zakłopotanie.

Pochyliła się nad fotelem i położyła dłoń na wąskiej, wysuszonej dłoni Iris.

- Przeszkadzam?
- Nie.
- Byłam z Mamduhem po zakupy. Myślę, że mu trochę zawadzałam, ale to naprawdę było ciekawe. Powiedział mi, że tam jest bazar od siedmiuset lat.
- Tak.

Monosylabowej odpowiedzi towarzyszyło długie westchnienie. Iris była najwyraźniej zbyt zmęczona, by rozmawiać, a jej kruchość wywołała w Ruby jakieś krępujące, ciepłe uczucie, które mogła nazwać tylko opiekuńczością. Miała ochotę podnieść swoją babcię z fotela i trzymać ją w ramionach. Kiedy Ruby rozważała ten pomysł, dochodząc do logicznego wniosku, że Iris nie chciałaby zostać potraktowana jak szmaciana lalka, staruszka najwyraźniej zbierała w sobie jakąś zdumiewającą wewnętrzną siłę. Podsunęła się wyżej na poduszkach i wbiła wzrok w Ruby.

- Czy rozmawiałaś już przez telefon z moją córką?
- Ruby zadrżała na tak bezpośrednio przypuszczony atak.
- Ee, nie.
 - Jesteś nieposłuszna.
 - Nie powiedziałam, że w ogóle...
 - Dlaczego tego nie zrobiłaś?

Teraz była szansa, żeby wymyślić jakieś wytłumaczenie albo spróbować powiedzieć coś zbliżonego do prawdy. Ruby już zrozumiała, że lepiej byłoby dążyć do prawdy, przynajmniej jeśli chodzi o jej babkę. Zabrała rękę i wzięła oddech.

- Tak naprawdę to dlatego, że ja nie chcę wracać do domu. Miałam nadzieję, że mi nie każesz tego robić.

Iris patrzyła na nią badawczym, ostrym wzrokiem. Nie wyglądała już na zmęczoną ani zakłopotaną.

- Dlaczego?

- To dość długa historia. Gdybym mogła tu u ciebie zostać na trochę, opowiedziałabym ci...

- To niemożliwe.

Ruby spuściła nisko głowę. Nagle pokój wypełniło znów dźwięczne, nagłośnione zawodzenie, to samo, które zbudziło ją o poranku.

- Co to jest?

- Wezwanie do modlitwy.

- Aha. No dobrze. Zadzwoń do mamy i powiem jej, gdzie jestem, i będzie straszna afera i wrzask, i pojedę do domu. Ale gdybym mogła tu zostać chociaż na kilka dni lub coś koło tego, nie na całe życie czy na rok, powiedzmy, to może mogłabym ci pomóc.

Znów zatrzymało się na niej spokojne spojrzenie.

- Dziś rano z moim szalem wykonałaś coś... prawie jak taniec. Podobało mi się. - Iris uśmiechnęła się, przypominając sobie ten widok.

- Naprawdę?

- A jak według ciebie mogłabyś mi pomóc?

Teraz Ruby wykonała nieświadomie gest, jakby chciała złapać coś umykającego.

- Mówiłaś, że czasem zaczynasz zapominać.

- Tak, no i? - rzuciła Iris.

- Dziś po południu chodziłam po tym domu i zauważy-

lam, że nie masz w nim żadnych przedmiotów, które pomagają zapamiętać przeszłość.

- Mam za sobą długie życie, w różnych miejscach. Przeważnie surowych i prymitywnych. Nauczyłam się, że dużo posiadanych rzeczy to tylko przedmioty materialne.

Mówiła prawie to samo, co Jas: „to tylko przedmioty, kochanie”. Wszystko się ze sobą splatało: ona i Iris, ten stary dom, a nawet Mamduh i Nafiz ze swoim bratem, i starzy mężczyźni w kawiarni. Ruby chciała tu zostać bardziej, niż chciała czegokolwiek od długiego czasu.

- Ale mów dalej - rzekła Iris.

- Myślałam, zastanawiałam się nad tym, że gdybyś mi powiedziała, co chcesz... zatrzymać, może mogłabym zachować to dla ciebie. Mogłabym zbierać twoje wspomnienia. Zapisywać je nawet. Mogłabym być twoją pro... jak to się mówi?

- Protokolantką.

Błada twarz Ruby była dotąd ożywiona, ale teraz znów się zasepiła. Odwróciła głowę i patrzyła kątem oka. Iris jeszcze nie widziała jej tak ponurej.

- Nie, to chyba nie. Wiesz, ja jestem dyslektyczką. Spora wada.

- Naprawdę?

- To nie to samo co być grubą. Ale czasem to podobne. Praktycznie rzecz biorąc.

- Dziękuję, że mi to szczerze powiedziałaś. Moim zdaniem nie jesteś gruba.

- Ale może mogłybyśmy cię nagrać? Tak jak w tej ustnej pracy z historii. Robiliśmy taką w szkole ze starszankami z przechowalni na temat bombardowań.

Iris roześmiała się. Jej ręce na kolanach rozluźniły się, z twarzy zniknęły zmarszczki napięcia, a oczy zajaśniały. Ruby nagle zobaczyła w niej dziewczynkę i też się rozpromieniła, zadowolona, że tak działa jej towarzystwo.

- Jak to dobrze mieć w czymś doświadczenie!

- Nie chciałam ich porównywać do ciebie.
- Dlaczego nie? Ja pamiętam bombardowania. Przynajmniej początek. Potem przyjechałam tu, do Kairu, pracować.
- Naprawdę? Jak to się stało?
- To początek kolejnej długiej historii.

Popatrzyły na siebie, akurat gdy wybrzmiewały ostatnie tony nawoływań muezina.

W końcu Iris pierwsza przerwała ciszę.

- Idź i porozmawiaj z matką. Możesz skorzystać z mojego telefonu w tamtym następnym pokoju. A jak skończysz, ja sama z nią porozmawiam.

Ruby wstała i przeszła przez drzwi łączące pokój z sypialnią Iris. Była całkiem pusta, nie zawierała nic prócz łóżka okrytego białymi zasłonkami i dwóch drewnianych komód. Z jednej strony łóżka na stoliku stał telefon, a z drugiej zdjęcie mężczyzny i kobiety w ramce. Udało jej się przejść do telefonu bez przyglądania się fotografii i podniosła słuchawkę. Po dwóch czy trzech próbach usłyszała sygnał komórki swojej matki.

Lesley oczywiście odebrała natychmiast.

- Ruby? Ruby, wszystko w porządku? Dzięki Bogu, że zadzwoniłaś. Powiedz, co się stało. Gdzie jesteś?

Ruby odpowiedziała krótko.

Matka podniosła głos:

- Jesteś... gdzie?

Zamknęła oczy.

3

Gdy odkładam słuchawkę, widzę, jak trzęsą mi się ręce.

Wracam do drugiego pokoju, gdzie to dziecko na mnie czeka.

- Co powiedziała? - pyta.

Lęk wypisany na jej okrągłej twarzy świadczy, jak bardzo nie chce zostać odesłana z powrotem do Anglii. Siadam, żeby zebrać myśli, a ona ze zniecierpliwienia kręci nogą i skubie kolczyk w nosie.

Mogę jej przytoczyć sens swojej rozmowy z Lesley, ale jest jeszcze coś, co trudno byłoby mi ubrać w słowa.

- Zostaw nos w spokoju, bo sobie zainfekujesz. Twoja matka martwiła się o ciebie. Powiedziałam jej, że myślę, iż będziesz tutaj zupełnie bezpieczna.

Wylęknienie na twarzy od razu przeradza się w uśmiech radości i zadowolenia z domieszką triumfu.

Zaczynam pojmować, że niewinność Ruby przesycona jest wyrachowaniem. Być może i sama ta niewinność jest wyrachowana. I uświadamiam sobie, że ta sprawa interesuje mnie bardziej niż cokolwiek od dłuższego czasu.

- No to mogę trochę zostać?

Nasze oddzielne rozmowy z Lesley wywołały naturalnie dalszy ciekawy skutek. To, że ona jest przeciwko nam obu, czyni częściowo Ruby i mnie sojuszniczkami.

- Chciałabym się napić. Czegoś porządnego. Zawołasz Mamduha? - mówię.

Chcę zyskać na czasie, ponieważ jakaś częśćka mnie boi się utraty prywatności, jaka nieuchronnie wiązałaby się z jej pobytem tutaj. Chcę być sama, żeby skupić się na przeszłości, żeby ją utrzymać przy sobie najdłużej, jak potrafię. A jednak propozycja pomocy ze strony Ruby jest mniej naiwna, niż się wydaje. Może coś jest w tym jej pomyśle.

Przybrawszy minę pełną dezaprobaty, Mamduh przynosi tacę z dwoma szklankami, dzbanek wody i karafkę z małą zawartością whisky na dnie. Nie mam pojęcia, kiedy ostatnio piłam szkocką.

- Mamris, dolać pani do tego dużo wody?

- Nie, dziękuję, wypiję samą. I nalej sporo, proszę. Więcej.

Ruby bierze szklanę bez wielkiego entuzjazmu.

- Właściwie nie lubię whisky.

- A co pijesz?

- Zależy. Wódkę i red bulla.

- Co to takiego? Na pewno ohydne. Zresztą i tak nic takiego nie mam, więc musisz się zadowolić szkocką.

Obie się śmiejemy, a Mamduh przygląda się nam z zaskoczeniem.

Gdy znów zostajemy same, ona przysuwa taboret i siada blisko mojego fotela. Słońce zaszło, ulica na zewnątrz znów rozbrzmiewa głośnymi krzykami i muzyką, bo ludzie przygotowują *iftar**. Minęła już cała doba od przyjazdu Ruby.

Próbując swego drinka, obracając w ustach alkohol, do którego nie przywykłam, myślę o Lesley.

Dawno już z nią nie rozmawiałam, nie pamiętam, kiedy dokładnie, ale musiały upłynąć miesiące. Zawsze gdy rozmawiamy, padają uprzejme słowa, które nie budują porozumienia. I zawsze jest ten dystans między nami, który zresztą był od samego początku.

Lesley urodziła się w środku szarej, smutnej angielskiej zimy. Moja ciąża była nieplanowana, w pośpiechu kupiliśmy z mężem, dom, w którym miała zamieszkać nasza niespodziewanie powiększona rodzina. Z jego okien rozpościerał się widok na podmokłe pola i stawy, w których odbijało się zapłakane niebo. W tym domu spędzałam z dzieckiem długie samotne dni, podczas gdy mój mąż pracował w City.

Lesley bez przerwy płakała, a ja zupełnie nie wiedziałam dlaczego. Do tego czasu ukończyłam już studia medyczne i nawet jako świeżo upieczona lekarka wiedziałam na pewno, że nie była chora i rozwijała się prawidłowo. Nie mogłam jej sama karmić, choć udało mi się wytrwać prawie miesiąc, ale ona zaakceptowała butelkę. Przybierała na wadze i rozwijała

* Wieczorny posiłek spożywany podczas ramadanu (*arab.*).

się zgodnie z tabelami, lecz nigdy nie była spokojnym, zadowolonym dzieckiem.

Nie wykluczam możliwości, że udzieliło jej się moje poczucie nieszczęścia i oddawała mi je z powrotem. Próbo-
wałam ją przytulać, uspokajać płacz kołysaniem w ramio-
nach, chodząc po cichym domu, ale nie dawało to żadnego
efektu. Jej małe ciało sztywniało z napięcia, a krzyk ka-
leczył moją skórę jak skalpel. Gdy Gordon wracał do domu
brał ją ode mnie, a wtedy jeszcze pokwiliła, pocierała się
noskiem i, wycieńczona, zasypiała. Zapadała błogosławiona
cisza.

Gdy już mogłam to zrobić, znalazłam dla niej opiekunkę
i poszłam do pracy w miejscowym szpitalu.

I tak to się potem ciągnęło.

- No i? - Ruby nalega. - Mogę zostać?

Obracam szklanke, oglądając załamania światła wewnątrz.

- Mogę? - pyta ponownie.

- Co ci powiedziała mama?

Westchnienie poirytowania i wzruszenie ramion.

- Powiedziała, że już miała dzwonić na policję i zgłosić
moje zniknięcie. Zarzuciła mi, że jestem nieodpowiedzialna
i bezmyślna i że jeśli nie myślę o niej, mogłabym chociaż po-
myśleć o swoim małym bracie, który się o mnie zamartwia.
Nawiasem mówiąc, nie sądzę, żeby tak było. Martwić się
o kogoś to niepodobne do Eda. Powiedziała, że powinnam
wrócić do domu i zachowywać się lepiej, znaleźć pracę i, bla
blabla, być inną osobą; może zrobić sobie transplantację oso-
bowości. Słyszałam to już jakieś pięć bilionów razy.

- Martwiła się - powtórzyłam.

Jestem w tym momencie na śliskim gruncie między tym,
co powinnam powiedzieć, a tym, co czuję. A jest to zrozu-
mienie i pewna doza współczucia.

Patrzemy na siebie znad szklanek whisky.

- Widzisz, problem polega na tym, że ja jestem we

wszystkim do niczego - mówi cichym głosem Ruby. - Przynajmniej w rzeczach, które cenią sobie Lesley i Andrew. Ale o tym w zasadzie nie mówię zbyt wielu ludziom.

- To dla mnie zrozumiałe - mówię jej.

- Dzięki. - Ton Ruby jest lekceważący, ale wzrok błagalny.

- Dobrze - mówię powoli, bo zaczyna mi świtać, że ja rzeczywiście chciałabym, żeby została. Przynajmniej nie chcę, żeby jechała już teraz. Nie dlatego, że jestem samotna, ale chciałabym jeszcze posłuchać, jak mówi. - Zadzwoń jeszcze raz do Lesley i zapytam ją, czy pozwoliłaby ci spędzić ze mną kilka dni.

Obejmuje kolana i kołysze się na taborecie.

- Fantastycznie! - Szczerzy zęby w uśmiechu.

Pierwsza wypijam whisky. Ręce już mi się nic trzęsą.

Lesley odbiera telefon.

- Halo?

- Tu Iris - mówię znowu.

- Mamciu, powiedz, co się właściwie dzieje.

Nigdy mi się nie podobało to „mamciu”. To Lesley zależało, by tak do mnie się zwracać.

Wypowiadam w eter ostrożne zdania o tym, jak mnie cieszy spotkanie z Ruby, jak miło byłoby ze strony Lesley, gdyby pozwoliła jej zostać kilka dni w Kairze. Skoro tu już jest, możemy to wykorzystać - mówię. Muzeum Egipskie. Wycieczka do piramid w Gizie. Może jeszcze gdzieś dalej, historia starożytna, archeologia. Jest wiele możliwości.

Choć obecnie rzadko kiedy wychodzę z domu, sama prawie wierzę w to, że razem z Ruby możemy zrobić takie wycieczki.

- Jeśli się zgodzisz, Lesley. To znaczy ty i...

Jej mąż; drugi mąż, nie ojciec Ruby. Spotkałam go może ze dwa, trzy razy, ale nie mogę sobie o nim nic przypomnieć,

nawet jego imienia. I nie wiadomo, czy winna tu jest moja kiepska pamięć, czy jego nijakość.

- Mamciu, z czego się śmiejesz?

- Nie śmieję się.

- Jesteś pewna, że to nie będzie dla ciebie za duży kłopot mieć tam Ruby? - Głos Lesley brzmi niepewnie.

- Nie sędzę. Jeśli tak się okaże, obiecuję, że powiem.

- No... to bardzo miło, że chcesz to dla niej zrobić. Dziękuję ci. Zwłaszcza po tym, jak nagle ci tam przyjechała niezaproszona. Andrew i ja nic nie wiedzieliśmy. Dopiero tu była, a za chwilę znikła. Nigdy mi nie przyszło do głowy... po prostu kupiła bilet, wzięła paszport...

- Jest przedsiębiorcza. Ale ona to już nie dziecko, prawda? W dzisiejszych czasach młodzi ludzie włóczą się po świecie. I jak powiedziałam, tutaj nie stanie jej się żadna krzywda. Pewnie szybko jej się tu znudzi i znów będziesz ją miała w domu.

- Mam nadzieję, zobaczymy. - Słyszę w głosie Lesley, że bardzo chce, by Ruby wróciła do domu, ale jest na tyle roztropna, by nie nalegać. Zauważam, że sama podziwiam jej zmyślność. - Jeszcze raz dziękuję ci za jej przygarnięcie.

- A cóż innego miałabym zrobić?

- Nie wiem, mamciu.

Pomost uprzejmych słów zaczął się chwiać i trzeszczeć i obie zaczęłyśmy się pośpiesznie wycofywać.

- Zadbam o to, by się dobrze zachowywała - mówię.

- Zadzwoń znów jutro - nalega Lesley.

Szybko kończymy rozmowę. Teraz i przez następne kilka dni jestem odpowiedzialna za Ruby. Kiedy wracam do drugiego pokoju, ona trzyma karafkę pozostawioną na tacy przez Mamduha.

- Do pełna? - pyta.

Lesley rozejrzała się po cichym pokoju oświetlonym lampą. Andrew pracował przy laptopie, Ed był na górze w swoim pokoju.

- Ona powiedziała, że Ruby już nie jest dzieckiem.
- Ma zupełną rację.

Chciała mu coś wyjaśnić, uświadomić, że w głębi matczy- nego serca Ruby zawsze będzie małym dzieckiem. Tak rozu- mowały matki. Wierzyła też, że w jakimś zakamarku swego wnętrza córki również zawsze tęsknią za dzieciństwem.

Lecz Andrew nie interesowały jej teorie na temat miło- ści matki. Mógłby odłożyć swoją pracę, żeby omówić nowy elektroniczny ploter map, który chciał zainstalować na łodzi, ale raczej dla niczego więcej.

- Czy pojedziemy w weekend do Hamble? - zapytała.
- Zależy, czy skończę ten raport.

Lesley odłożyła książkę, której w ogóle nie otworzyła, i poszła do kuchni. Wypolerowała dwie szklanki pozosta- wione na suszarce zlewozmywaka i włożyła je do oszklonej szafki. Sprawdziła, czy w lodówce jest dosyć soku i mleka na śniadanie, i spojrzała na dzienniczek prac domowych Eda przytwierdzony do tablicy ogłoszeń. Kuchnia była przytul- nym, uporządkowanym miejscem, zaplanowanym i ułożonym przez nią w każdym detalu.

Jednak czuła się w niej niepotrzebna.

Zastanawiała się, gdzie siedzą teraz Iris i Ruby, próbowała sobie wyobrazić pokój i jego wystrój. Na pewno miał charak- ter nieco marokański. Lesley nigdy nie była w Kairze, ale w latach siedemdziesiątych prowadziła przedsiębiorstwo, które importowało materiały i meble z Afryki Północnej, głów- nie z Marrakeszu. Jednak w tamtym czasie Iris pracowała gdzie indziej i spotykały się obie podczas krótkich wizyt Iris w Anglii i raz czy dwa gdzie indziej w Europie. Iris podró- żowała, gdzie tylko i kiedy tylko mogła, zwykle sama, z mi- nimalnym bagażem i zupełnie nie zwracając uwagi na własną

wygode. Nie przeszkadzało jej spanie na ławce na lotnisku ani jazda z tyłu w ciężarówce. Żyjąc w afrykańskich wioskach, gdzie zapewniała podstawową opiekę medyczną najbardziej biednym kobietom i dzieciom, nie była tak przywiązana do wygod jak większość ludzi.

Lesley pamiętała, jak kiedyś spotkały się w hotelu w Rzymie. Portier spojrzał spode łba na Iris, gdy weszła do holu. Jej ubrania nie były brudne, ale znoszone i źle dobrane. Miała dwie torby z tkaniny afrykańskiej, odsłoniętą twarz i stopy w płaskich skórzanych sandałach. Szła przez środek po marmurowej posadzce do miejsca, gdzie czekała Lesley, a elegancko ubrany tłum Włochów rozstąpił się, by ją przepuścić. Nikt nie wiedział, kim jest, ale wszyscy wiedzieli, że jest kimś.

I to w końcu Lesley, w swoich ciuszkach od Armaniego i Ferragama, czuła się ubrana za dobrze.

Teraz była tam z nią Ruby. Wyraźnie obie zapały do siebie sympatią. Lesley wyczuła to z rozmów przez telefon, choć żadna z nich o tym nie wspomniała.

O czym one rozmawiały? Co sobie nawzajem opowiadały?

Poczuła przypływ zazdrości i zrobiła wszystko, żeby to zignorować.

Cisza jej własnego domu była przygnębiająca. Już dawno nie rozmawiała z ojcem Ruby. Postanowiła do niego zadzwonić.

Iris i Ruby jadły razem kolację w małym pokoju za podcieniami wysokiego holu. Ciocia starła szarą powłokę kurzu ze stołu, a Mamduh zapalił dwie wysokie świece, aby pokazać Ruby, że to wyjątkowa okazja. Widząc ją patrzącą w górę na mroczne, zasnutę pajęczynami sklepienie, Iris wyjaśniła jej pokrótce, że odświętny hol służył do przyjmowania ważnych gości płci męskiej. Na podium z jednej strony holu zaj-

mowali miejsca muzykanci, bywały też tancerki tańca brzucha. Kobiety mieszkające w domu oglądały przyjęcie z górnej galerii, ukryte przed wzrokiem mężczyzn za ażurowymi przepierzeniami.

- Dlaczego?

Iris zmarszczyła czoło.

- Nie wiesz nic na temat kultury muzułmańskiej?

- Nie bardzo.

- Kobiety zajmują *haramlik*, część domu zarezerwowaną dla nich, gdzie mężczyzna może wejść jedynie za pozwoleniem. Mają oddzielne schody i szereg pokoi, łącznie z tym, w którym śpisz. A druga połowa, po której swobodnie poruszają się mężczyźni, gdzie przyjmuje się gości, to *salamlik*. Porządne kobiety i mężczyźni nie przebywają wciąż razem tak jak na Zachodzie.

Ruby zastanawiała się, czy to, co mówi Iris, dotyczy przeszłości, czy dnia dzisiejszego.

Słuchała i jadła z apetytem. Posiłek był prosty: placki z mąki i ostro przyprawiona fasola gotowana z pomidorami i cebulą, czego Iris prawie nie tknęła. Ruby zauważyła, że skóra jej nadgarstków jest wyschnięta jak pergamin, a całe jej gruzełkowate dłonie pokryte są plamami koloru herbaty. Nie nosiła żadnych pierścionków.

Mamduh i Ciocia wrócili cichutko, żeby sprzątnąć po posiłku.

- *Ya**, Mamduhu, Ciociu. Postanowiłyśmy, że Ruby pobędzie tu z nami kilka dni, zanim wróci do mamy w Londynie. Musimy ją ugościć w Kairze.

Mamduh nie zmienił wyrazu twarzy, tylko skinął głową. Ale pomarszczona twarz Cioci rozpromieniła się uśmiechem, który odsłonił gołe zęby z kilkoma pojedynczymi zębami.

Gdy ucichło szuranie ich pantofli, Ruby westchnęła.

*Wołacz: o! (*arab.*).

- Mamduh ma jakiś problem, że tu jestem, tak?

Iris złożyła serwetkę i wetknęła ją do wytartego srebrnego kółka. Ruby pośpiesznie strzepnęła ze swojej okruszki i zrobiła to samo.

- On ma taki sposób bycia, i to wszystko. Oboje tak mamy. Wiesz, gdy byłam mniej więcej w twoim wieku, ojciec Mamduha był naszym domowym *sufradzim*, Opiekował się nami. Sarah, Farią i mną. Trzema kwiatami z Miasta Ogrodów. Pamiętam naszego Mamduha jako pulchnego chłopczyka, który przychodził z ojcem do pracy. A więc znamy się oboje już sześćdziesiąt lat.

Ruby czekała na coś więcej, ale Iris zatonęła w myślach. W końcu pokręciła głową.

- Mamy swoje przyzwyczajenia. Dobrze nam zrobi jakaś odmiana od tej rutyny. Podaj mi ramię, proszę. Teraz chyba już pójdę do łóżka.

Z Iris wspierającą się na niej Ruby powoli przeszła przez ciemne pokoje do schodów *haramliku*. Iris tłumaczyła jej, że podczas ramadanu wierni nie jedzą ani nie piją od wschodu do zachodu słońca, a dla starych ludzi to jest męczące. Gdyby Ruby była tak miła i pomogła jej położyć się do łóżka, mogłyby sobie wieczorem zjeść posiłek i odpocząć.

- Jasne - zgodziła się Ruby.

W pokoju swej babci odsunęła białe zasłonki i odwinęła przykrycie. Pomogła Iris zdjąć szlafrok w paski i staromodny stanik. Skóra na jej ramionach była pomarszczona i usiana takimi samymi plamami jak ręce, a łopatki sterczały jak złożone skrzydła. Była tak krucha jak dziecko, a jednocześnie nie przejmowała się swoim ciałem, wyraźnie je ignorując.

Sama Ruby była pruderyjnie skromna. Nie znosiła pokazywania więcej niż obowiązkowo odsłonięte kilka centymetrów swego ciała. Wizyty u lekarza były dla niej torturą, nawet seks miał mniejsze znaczenie, niż to powszechnie zachwalano. Był to jeden z powodów, dla których polubiła Jasa.

Czuł się zupełnie szczęśliwy, jeśli tylko leżeli, przytulali się i szeptali. Bez zachowywania się jak... dwa psy przy podwórkowym śmietniku.

Raz widzieli takie psy i chociaż ich to rozśmieszyło, Ruby była zniesmaczona.

- Dziękuję ci - powiedziała Iris beznamiętnie, *gdy* już znalazła się w łóżku. Była dopiero ósma godzina. Ruby nie wychodziła, nie wiedząc, co ma ze sobą począć przez resztę wieczora. Jej spojrzenie padło na fotografię w ramkach na stoliku obok łóżka. Młoda kobieta, oczywiście Iris we własnej osobie, stała z wysokim mężczyzną w wojskowej koszuli. Przechylała się w jego stronę, a on obejmował ją ręką w talii. Ich ciała zdawały się pasować do siebie jak elementy jednej rzeźby. Miała właśnie zamiar spytać o niego, gdy zobaczyła twarz Iris, na której niespodziewanie zapalił się sygnał ostrzegawczy. Odsunęła się krok od łóżka.

- Możesz zgasić światło przy drzwiach - rzekła Iris.

Ruby wymamrotała „dobranoc”.

W swoim pokoju uklękła przy oknie i przylgnęła twarzą do szyby. W pewnym momencie wydało jej się, że w ciemności na dole widzi jakąś sylwetkę patrzącą w górę. Ponieważ nie miała ochoty, by ktoś ją oglądał w pokoju, szybko cofnęła się na bok. Usiadła na brzegu łóżka i zrobiła bilans.

Dobrze się stało, że uciekła z domu od Lesley i Andrew, i od Londynu, i Willa, i tego wszystkiego, i od myślenia przez cały czas o Jasie. Tu mogła posiedzieć i uspokoić się i nikt jej nie będzie co pięć minut pytał, jakie ma plany. Nie będzie musiała udawać, że czuje się dobrze mimo ich braku.

Ale były też złe strony tego pobytu tutaj.

Dom był na swój sposób intrygujący, ale też całkiem absurdalny. Nonsensem było przebywanie tylko z trojgiem starych ludzi: jeden jej nie lubił, druga nie mówiła chyba ani słowa po angielsku, no i jej kłopotliwa babka, którą należy uszczęśliwiać, bo odeśle cię do domu.

Miasto było niepodobne do żadnego, w którym dotąd przebywała. Wyjdzie i obejrzy je dokładnie, gdy oswoi się najpierw trochę z tym domem. Teraz obcość tłumów tego miasta wyraźnie ją onieśmiałała.

Jutro - obiecała sobie. Jutro będę to odbierała inaczej.

Ruby odruchowo dotknęła przekłutego miejsca w nosie, które trochę swędziało i ropiało. Żeby złagodzić samotność, jaka ją ogarnęła, wyszła i kręciła się po korytarzu, wyglądając na dolny hol przez przepierzenia osłaniające *haramlik*. Nic tam nie było ciekawego poza tym, że w bibliotece na przeciwległej ścianie stał rząd książek. Wyjmowała je po kolei. Były o historii, pachniały stęchlizną.

Po chwili wróciła do pokoju i wyjęła walkmana. Poszukiwała płyty przywiezionej jej z powrotem przez Nafiza, tej, którą nagrał dla niej Jas, włożyła słuchawki i położyła się na łóżku.

Leżę cicho, kontemplując różne odcienie ciemności. Gdy odwrócę głowę, widzę blask światła księżyca odbitego w rogu srebrnej ramki zdjęcia.

W tamten wieczór, gdy pierwszy raz zadzwonił, rzuciłam się, by zdążyć ubrać się na kolację, zanim po mnie przyjedzie. Włożyłam sukienkę, którą nosiłam jeszcze w Londynie przed wojną: z ciemnoróżowego jedwabiu o koralowym odcieniu, z szeroką spódnicą i dużym dekoltem. Starczyło mi jeszcze czasu, by upiąć włosy i pomalować usta, zanim odezwał się dzwonek przy drzwiach. Spojrzałam na siebie w lustrze toaletki, a Mamduh poszedł otworzyć. Moje oczy były wielkie i wylęknione.

Miał się zacząć najważniejszy czas w moim życiu. Wiedziałam to, ale nic więcej.

Mamduh wprowadził go do salonu z przyćmionym oświetleniem. Xan stał z jedną ręką na oparciu sofy, patrząc przez uchylone okiennice na blednące światło słońca. Miał na sobie

mundur, jego twarz była mocno opalona. Gdy usłyszał, że wchodzę, odwrócił się.

- Przyszedłem najszybciej, jak mogłem - powiedział.
- Cieszę się.

Potem wziął mnie za rękę i poprowadził do okna, żebyśmy mogli lepiej zobaczyć swoje twarze. Pamiętam ten kairski zachód słońca, szarozielone niebo przechodzące w odcień moreli ze smugami indygo i złota. Serce waliło mi jak młot. Na chwilę zapadła cisza, w której cały świat zdawał się zatrzymać i czekać. Xan bardzo powoli podniósł moją dłoń do ust i ucałował ją.

Gdy spojrzałam na niego, jego brwi uniosły się komicznie.

- Gdzie zaczniemy, panno Black?

Wydawało mi się, że pamiętałam wszystko, każdy szczegół o nim, ale ta jego radosna natura uderzyła mnie na nowo.

Udałam, że się zastanawiam.

- Niech pomyślę. Musisz mnie zapytać, czy wolę kolację w Le Petit Coin de France, czy u Fleurenta. Umm... a następnie powiesz coś o tym, że później możemy zajrzeć do klubu Kit Kat.

- Oczywiście. Tam na pustyni zapomina się takie podstawowe rzeczy.

- Więc może najpierw napijmy się tutaj, a ja spróbuję się zastanowić. Pewnie jeszcze przynajmniej raz się przebiorę, zanim wyjdziemy.

Xan uśmiechnął się szeroko.

- Jestem do twoich usług.

Zmieszałam gin z tonikiem, które Mamduh zostawiał zawsze na tacy dla naszej trójki i odwiedzających nas przyjaciół. Usiedliśmy razem na sofie i uniosłam kieliszek.

- Za to, gdziekolwiek byłeś, i że wróciłeś.

Jego twarz na chwilę się zachmurzyła i pociągnął duży łyk ginu.

- Opowiem ci o tym, ale nie dzisiaj. Dobrze?

- Dobrze, nie rozmawiajmy dziś wieczór o wojnie.

Nie wiedziałam wtedy nic o tym, co on widział i musiał robić, lecz nawet nie wiedząc, rozumiałam, że tego wieczoru Xan musiał zapomnieć, cieszyć się i śmiać, zrzucić z siebie ciężar wojny.

- A więc będzie tak, że zanim się przebiorę i zdecyduję na Fleurenta i dojedziemy tam taksówką, oni oddadzą nasz stolik jakiemuś brygadierowi. Oczywiście to jest jedyne miejsce, w którym jestem w stanie zjeść, ale na pewno będą co najmniej dwa stoliki okupowane przez ludzi, których znamy, więc się do nich dosiądziemy. Będzie dużo śmiechu i jeszcze więcej picia, a potem zdecydujemy, że jest nam tak wesoło, iż musimy jeszcze gdzieś pojechać. Załadujemy się do taksówek z najprzeróżniejszymi ludźmi, połowę ich gdzieś zgubimy, a drugie tyle się do nas przyłączy, i w całym tym zamieszaniu ty znajdziesz się w drugiej taksówce. Gdy zajdziemy tam, gdzie zamierzaliśmy, nie będziemy mogli się znaleźć co najmniej przez godzinę. Do tego czasu ja będę już bardzo zmęczona i pewnie, kiedy już na siebie wpadniemy, będę nalegała, żebyś mnie zabrał prosto do domu.

Xan roześmiał się.

- Prowadzisz hulaszcze życie, panno Black. Jednakże to nie jest zbyt przekonujący plan działania. Nie pozwolę ci wsiąść do taksówki beze mnie i nie pozwolę, byś mi znikła z oczu nawet na minutę, a co dopiero na godzinę. I nie idziemy do Fleurenta ani nigdzie w pobliżu pieprzonego klubu Kit Kat. Dlaczego miałbym się dzielić tobą z każdym żołnierzem w Kairze?

- Więc dokąd idziemy?

Wyjął szklanekę z mojej ręki i postawił ją na czerwono-czarnym blacie stołu.

- Poczekaj, zobaczysz.

Mamduh przyniósł mój hinduski szal i na wychodnym życzył nam miłego wieczoru.

Niebo było już prawie ciemne, miało kolor niebieskiego aksamitu i pokazywały się na nim pierwsze gwiazdy. Stałam na dobrze mi znanej ulicy Garden City, pod grubym baldachimem zakurzonych liści kauczukowca, i pozwoliłam się prowadzić Xanowi. Kilka kroków dalej czekał samochód z szoferem, który szybko wysiadł i otworzył nam drzwi. Wysoki, o jastrzębiej twarzy, nosił zachodnie ubranie, ale mimo to wyglądał jak jeden z Beduinów żyjących na pustyni.

- To mój przyjaciel Hasan - powiedział cicho Xan.

- Dobry wieczór, Hasanie.

Mężczyzna skinął mi głową.

Usiedliśmy z tyłu samochodu i patrzyliśmy na mijane domy z pozamykanymi okiennicami. Ogarnął mnie nastrój podniecenia i wyczekiwania; zauważyłam, że aż muszę sobie przypominać o tym, żeby oddychać. Bardzo łatwo było przebywać z Xanem. Nie mówił, byle mówić, i nie dawał do zrozumienia, że oczekuje, bym paplała i plotkowała, starając się tylko go zabawić.

- Tutaj mieszkam - powiedział Xan, pokazując jakieś okna z balkonami.

Wyciągnęłam szyję, żeby więcej zobaczyć.

- Sam?-zapytałam.

Zaśmiał się.

- Z kilkoma mężczyznami. Nigdy do końca nie wiadomo, kto akurat tam jest. Gdy wraca się z pikniku na pustyni, to kwestia rozejrzenia się, czy jest jakieś łóżko wyglądające mniej więcej na wolne. Zrzuca się plecak i czeka z nadzieją, że będzie jak najlepiej. W tej chwili akurat jest tam całkiem pusto. Nie jest to żadną niespodzianką, jeśli rozumiesz, o czym mówię.

Wiedziałam, co oznaczał ten piknik. Oboje zamilkliśmy na chwilę, myśląc o ostatnich porażkach aliantów na Krecie i w Grecji, a także na Cyrenajce.

- Czy Jessie James też tam mieszka?

Lubiłam kapitana Jamesa i chciałam wiedzieć, co się z nim dzieje.

- Jess? Tak, jeśli jest w mieście. Ale 11. Pułk Huzarów jest teraz daleko.

Słynny pułk kawalerii szarżował z Lekką Brygadą pod Bałakławą. Teraz, z pojazdami pancernymi zamiast koni i dział, byli na linii na wschód od Tobruku.

Kiwnęłam głową.

Xan spojrzał na mnie, gdy przejeżdżaliśmy przez most Angielski. Jechaliśmy w kierunku Gizy i pustyni.

- Ty jesteś w Kwaterze Głównej, prawda? U kogo pracujesz?

- U podpułkownika Boyce'a.

Xan roześmiał się jeszcze bardziej.

- Jaki mały świat ta armia! Mogę któregoś dnia wpaść odwiedzić cię w biurze?

- Zrobię ci filiżankę herbaty z kwatery. Takiego rarytasu nie wolno przegapić.

Jego palec na chwilę dotknął mego nadgarstka.

- Trzymam cię za słowo.

Przejeżdżaliśmy przez pola i porośnięte krzakami osiedla z glinianych cegieł z rzędami palm wyznaczającymi zachodni kraniec delty. Nie było tam prawie żadnego ruchu, a przed nami rozciągały się płaskie niecki i niskie, nawiane przez wiatr wydmy na skraju pustyni. Nawet podczas pełni lata noce na pustym są przenikliwie chłodne i na myśl o tym okryłam ramiona szczelniej szalem.

- Nie martw się - powiedział Xan.

Myślałam, że może jedziemy do popularnego lokalu w hotelu Mena House niedaleko piramid, lecz samochód skręcił w nieznanym mi kierunku wąską drogą bez żadnej nawierzchni. Nie było tam w ogóle żadnych świateł i jechaliśmy tylko przy blasku reflektorów przecinających gęstą ciemność. Dałam sobie spokój z domysłami, dokąd jedziemy,

i oparłam się o tył siedzenia, patrząc na ciemną *głowę* Xana rysującą się na tle czerni nieba za oknem. Pozwoliłam falom szczęścia przenikać mnie na wskroś.

Po chwili Xan pochylił się i powiedział coś cicho po arabsku do Hasana. Zaskoczyło mnie, że zna ten język.

- Jesteśmy prawie na miejscu.

Naprzeciwko nas dojrzałam zakopcony dymem płomień ogniska i ciemne sylwetki kępy drzew palmowych. Widać było namioty i kilka osób przechodzących między nami a ogniskiem. Spętane wielbłądy stały szeregiem. Przez dym mogłam wyczuć mocny zapach potraw i uzmysłowiłam sobie, że jestem bardziej głodna, niż byłam kiedykolwiek, wchodząc do Fleurenta. Jeden z mężczyzn wstał i podszedł do nas. Był to starzec z białą brodą, owinięty zgrzebnym pledem tkanym z wełny.

- *Mahabba** - rzucił. Dotknął czoła gestem pozdrowienia, a Xan zrobił to samo, po czym obaj mężczyźni objęli się ramionami.

- Abu Hasan - powiedział Xan z szacunkiem.

Stałam na piasku i do pantofli wpadały mi jego przyjemne, chłodne smużki. Czułam się dziwnie w koraloworóżowej wieczorowej sukni, czując, jak chłodny wietrzyk zwiewa mi kosmyki włosów na twarz.

Stary mężczyzna ukłonił mi się, a Xan podał mi ramię. Wyszeptał mi na ucho:

- Hasan i jego ojciec witają cię. Chcą ci powiedzieć, że ich dom jest twoim domem, i pragną być do twoich usług.

Nie znałam właściwych wyrażen do odwzajemnienia tego oficjalnego powitania i zacisnęłam dłoń na ramieniu Xana.

- Powiesz im, że nie zasługuję na ich szczodrość, ale jestem dumna, że mogę być ich gościem?

* Pokój tobie (*arab?*). Zwrot używany przez chrześcijan przy powitaniu.

- Dokładnie - odparł ciepło, a ja znów wsłuchałam się w charkotliwe, obce dźwięki arabskiej mowy.

Hasan i jego ojciec ukłonili się ponownie i wycofali w stronę kręgu krzeseł wokół ogniska, pozostawiając Xana i mnie stojących samotnie.

- Tędy - rzekł, wskazując w ciemność. - Ale poczekaj minutę.

Sięgnął do bagażnika auta i wyciągnął torbę, którą zawiesił na ramieniu, oraz wojskowy płaszcz, który podał mnie.

- Włóż to na razie, bo może być trochę za zimno. Możesz mnie wziąć za rękę?

Zrobiłam to i ciepło jego palców otuliło moje palce. Ścieżka widmo zakręcała wokół uwypuklenia wydmy, jej brzeg wyznaczały niskie, kolczaste krzewy. Potykałam się trochę w swych balowych pantofelkach, ale Xan trzymał mnie mocno. Po kilku metrach ujrzałam przed nami ciemną plamę, a potem blask świateł w jej wnętrzu.

Ciemny kształt okazał się namiotem, niedużą kwadratową konstrukcją wykonaną z jakiegoś tkanego materiału z włosia zwierzęcego. Z czterech narożnych słupków zwisały długie frędzle, powiewające na wietrze. Szliśmy, trzymając się za ręce i grzeżnac w głębokim piasku, a w końcu Xan podniósł klapę namiotu i stanął z boku, żeby mnie przepuścić. Wnętrze namiotu obwieszane było kotarami w szerokie pasy, zielone, czarne, kremowe i kasztanowe, a podłogę pokrywały dywany i sterty wyszywanych poduszek. Wszędzie paliły się świece ustawione na płaskich kamieniach, a w środku małego pomieszczenia, pod otworem w dachu, stał prosty metalowy piecyk pełen rozżarzonych węgli. Wewnątrz namiotu było tak ciepło jak w sali balowej lady Gibson Paszy, a z migotliwymi płomykami świec było o wiele ładniej.

Wstrzymałam oddech, wydając okrzyk zdumienia i za chwytu, ale wtedy Xan podszedł do mnie blisko i położył mi swoje duże dłonie na oczach.

- Jesteś gotowa? - zamruczał, a ja poczułam na uchu ciepło jego oddechu. Obrócił mnie z powrotem o sto osiemdziesiąt stopni, tak że stałam twarzą w stronę, skąd przyszliśmy.

- Gotowa - odparłam, a on zabrał rękę.

Zamrugałam oczami i spojrzałam. Przed nami, otoczone jak ramką i odcięte od reszty świata wydmami, stały piramidy. Nigdy nie widziałam ich z tego miejsca i wyglądało to, jakby trzy wielkie grobowce i rozpościerające się za nimi posępne niebo były wyłącznie nasze. Ich potężne kształty, znieruchomiłe między gwiazdami a bezkształtną pustynią, wydawały się dwuwymiarowe, a ciemność dodawała im tajemniczości. Cisza zawładnęła pustynią, czas wymknął się spod kontroli i wielkie koła wszechświata wirowały wokół nas jak szalone. Pochyliłam głowę, żeby dosłyszeć choćby jakiś szept z oddali, lecz wyłowiłam tylko pokasztywanie wielbłądów poruszających się w szeregu.

Xan zdjął z moich ramion płaszcz. Ogień grzał mi kostki i nagie ramiona.

- Podoba ci się tu? - zapytał.

Odwróciłam głowę od widoku, napotykając jego oczy i usiłując znaleźć odpowiednie słowo.

- Tak - szepnęłam.

Xan otworzył przywieziona z sobą płócienną torbę i wyjął z niej butelkę szampana w zawiązanym worku z lodem. Zdjął folię i wysunął nieco korek. Następnie znów sięgnął do torby, wyjął dwa *cynowe kubki* i podał je mnie. Trzymałam je w wyciągniętych rękach, a on wyciągnął korek do końca i srebrzysta pianka popłynęła do kubków. Stuknęliśmy się kubkami.

- Przepraszam za takie kieliszki. Ale to jest pustynia, a nie hotel Shepherd's.

- Wolę być tu z tobą, patrzeć na piramidy i pić szampana z cynowych kubków niż być gdziekolwiek indziej w świecie.

- Naprawdę? - Jego twarz nagle zajaśniała w świetle świec.

- Tak.

Byłam zdumiona, że Xan zadał sobie tyle trudu, by zrobić mi niespodziankę, i że ten wieczór jest dla niego taki ważny. Zaplanował to tak, abyśmy się przenieśli z kręgów koktajlowych Kairu wprost do innego świata. W moich dość ograniczonych doświadczeniach nie zetknęłam się jeszcze z czymś tak doskonale i sprawnie zorganizowanym. A jednocześnie był tak spragniony pochwały z mojej strony jak mały chłopak.

Tak naprawdę Xan nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lub sześć lat, zaledwie trzy czy cztery lata więcej niż ja, a domyślałam się, że pod wieloma innymi, ważnymi względami byliśmy jak rówieśnicy.

Zapewne miał większe doświadczenie z kobietami niż ja z mężczyznami, ale żadne z nas nigdy nie czuło czegoś tak olśniewającego, tak niezapomnianego jak to, co się nam przytrafiło.

Razem nie byliśmy już tak całkiem dziećmi. A także byliśmy nieśmiertelni.

Jak mogło być inaczej?

Podniosłam cynowy kubek do ust.

- Za nas. - Wzniosłam toast i wypiałam swój szampan.

- Za nas - powtórzył.

Wziął mnie za ramię i pociągnął do sterty poduszek obok piecyka.

- Ciepło ci? Wygodnie?

Między nami miał się i marszczył koraloworóżowy jedwab. Oparłam głowę częściowo na poduszkach, częściowo na barku Xana, patrząc, jak wielka piramida Cheopsa wycina skośny kawałek idealnej czerni z nieba nad pustynią..

- Tak.

- To dobrze. Iris?

Po raz pierwszy zwrócił się do mnie po imieniu, zamiast przekornie nazwać mnie panną Black.

- Mhh.
- Mów do mnie. Opowiadaj mi. Pozwól mi słyszeć twój głos.

Ta chwila była częścią snów Xana. Być może, gdy leżał w odrapanym schronie na pustyni, głodny i zmarznięty, zawieszony między koszmarami wspomnień a czyhającym niebezpieczeństwem, mając parę butów za poduszkę i kolbę karabinu przy piersi, właśnie to pozwalał sobie wyobrażać. Intymność rozmowy niczym niepowstrzymywanej, przeszywające fale pożądania zmieszane ze słodczą ufności. Był to sen, który tego wieczoru zmaterializował się dla nas obojga.

Uniosłam dłoń i dotknęłam jego skroni. Pod opaloną słońcem skórą widoczna była cienka niebieska żyłka.

Opowiedziałam mu o swoim dorastaniu. Jako córka dyplomaty byłam wożona po ambasadach na całym świecie przez kochających, lecz chłodnych rodziców, którzy, gdy nadszedł czas, uparli się, że najlepsza dla mnie będzie szkoła z internatem w kraju. Tacy bowiem ludzie jak my powinni przewycięzać tęsknotę za domem - domem, którego nie potrafiłabym dokładnie zlokalizować - a nie poddawać się jej.

Xan z kolei opowiedział mi o swoim ojcu, zasłużonym i odznaczonym dowódcy podczas pierwszej wojny. W latach tuż po wojnie przyjechał do Egiptu rozwijać rodzinne imperium włókiennicze, lecz biznes nigdy nie stanowił jego mocnej strony i warunki życia rodziny Molyneux były zawsze niestandardowe. Xan spędził większość swych lat chłopięcych, bawiąc się z dziećmi domowych służących.

- Stąd znasz tak dobrze arabski?
- Tak, „kuchenny” arabski. Potem wysłano mnie do szkoły w kraju, następnie do Sandhurst. Ojciec nalegał, żebym został żołnierzem zawodowym. Powołano mnie w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym. Mniej więcej do osiemnastu lat

przyjeżdżałem na wakacje do Aleksandrii lub Kairu. Moja rodzina nie była tak ustawiona, żeby nas zapraszali na przyjęcia w ambasadzie, ale możliwe, że już się kiedyś spotkaliśmy. Może któregoś popołudnia siedziałem przy sąsiednim stoliku u Groppiego i zazdrościłem ci lodów?

- Nawet byś na mnie nie spojrział. Byłam pulchnym dzieckiem, a matka ubierała mnie w bezrękawniki z grubego jedwabiu i wiązała mi na włosach kokardy.

Xan wybuchnął śmiechem.

- No, a spójrz na siebie teraz.

- Które miejsce uważasz za swój dom? - zapytałam.

Dość często sama zadawałam sobie to pytanie i nigdy nie potrafiłam dać właściwej odpowiedzi. Nie była to wieś w Hampshire, gdzie moi rodzice zamieszkali od czasu, gdy ojciec został zwolniony ze służby dyplomatycznej, ani Londyn, który słabo znałam, a teraz i tak został zburzony przez Luftwaffe. Nie był to również Bliski Wschód ani sztywne życie na terenie ambasady z mego dzieciństwa.

Dom to była dziwna, ulotna mieszanina aromatycznych zapachów kuchennych i francuskich perfum mojej matki, brązowych ramion moich nianiek, powietrza migotliwie pulsującego gorącem oraz kwiatów dzakarandy rysujących się na niebie rozgrzanym do białości przez słońce.

Był on głównie w moich snach.

- Dom? - Xan zadumał się. W jego oczach odbijały się płomyki świec. - On jest tu - rzekł w końcu.

- W Kairze?

- Nie, tutaj.

Zrozumiałam, że miał na myśli nasz namiot z jego barwnymi kotarami, gwieździstą noc na zewnątrz i nas oboje. Pozwoliłam swemu umysłowi doświadczyć wagi tego, co powiedział, dałam tej myśli rosnąć i zakwitać. Pragnęłam dokładnie tego samego, lecz obawiałam się, że to prośba o zbyt wiele. Całe swoje życie przeżyłam praktycznie w samotności

i perspektywa wyzbycia się jej powodowała, że czułam się oszołomiona.

- Dlaczego? - zaryzykowałam pytanie, nie przewidując, że głos mi się załamie. W piecyku trzasnęło płonące polano i w powietrze wystrzelił snop iskier.

Xan opierał się na jednym łokciu, jego twarz była blisko mojej.

- Nie wiesz dlaczego, Iris?

- Nie jestem pewna. Chcę usłyszeć, jak ty to powiesz.

Na jego twarzy pojawił się lekko wyniosły uśmiech.

- Zobaczyłem cię, jak szłaś pod drzewami na tamtym przyjęciu, z Sandym Allardyce'em. Patrzyłem na ciebie i myślałem, że dałbym wszystko, żeby być na jego miejscu. Kiedy Faria Amman przyprowadziła cię do naszego stołu, czułem się tak cholernie zwycięsko, jakby to wyłącznie siła mojej woli tam cię przyciągnęła.

Gdy usłyszałem twój głos, był dokładnie taki, jak sobie wyobrażałem. Twój uśmiech także był dla mnie znajomy. To nie znaczy, iż myślałem, że cię znam, to byłoby zarozumiałe. Raczej cię wymarzyłem. Wyszłaś prosto z fantazji i stałaś się realna. Czy to brzmi idiotycznie? Spodziewam się, że każdy mężczyzna, który cię zabiera na kolację, mówi to samo.

- Nie, nie mówią.

Chciałam mu powiedzieć, że rozumiem, o co mu chodzi, gdybym tylko umiała znaleźć sposób powiedzenia tego niebrzmiący zarozumiałe. I chciałam być marzeniem Xana.

Wieczór był tak doskonały, że udało mi się nawet uwierzyć, iż ja też mogłam taka być.

- A teraz widzę, że nie jesteś zjawą. Okazuje się, że masz ciepłe ciało i oczy jaśniejące bardziej niż gwiazdy. Twoje włosy - zakręcił ich lok na palcu - pachną kwiatami. Więc tu właśnie chcę być. To chcę rozumieć przez dom.

Jego usta prawie dotykały moich. Gdy zamknęłam oczy,

usłyszałam kroki kilku par stóp szurające po piasku na zewnątrz namiotu.

Xan usiadł, uśmiechając się, i dolał szampana do cynowych kubków.

- *Sajjid** Xan? - odezwał się jakiś głos i w klapie namiotu pojawiła się głowa Hasana. Usiadłam prosto i wygładziłam spódnicę rozpostartą na poduszkach.

Za Hasanem do namiotu weszli dwaj chłopcy i wnieśli na stół naczynia z jedzeniem i miseczki. Hasan podniósł glinianą pokrywkę największego garnka, uwalniając pachnący obłok pary.

- Jesteś głodna? - zapytał Xan, a ja przypomniałam sobie, że umieram z głodu.

Gdy przybysze się wycofali, kłaniając się i uśmiechając, Xan podał mi miseczkę i nałożył chochlą potrawę. Był to gęsty gulasz z baraniny z fasolą i pomidorami. Siedzieliśmy zwróceniu do siebie na stercie poduszek i łapczywie pochłanialiśmy jedzenie. Łamałam kawałki chleba i maczałam je w ostrym sosie, a potem nagle Xan ujął mój nadgarstek i zlizzał mi sos z palców. Gdy całował po kolei każdą kostkę mojej dłoni, zauważyłam, jak na czubku jego głowy włosy rosną w różnych kierunkach. Ten drobny szczegół sprawił, że jedyne, co miałam ochotę zrobić, to dotknąć go. I żeby on mnie dotykał. Byłam niemal przerażona tym, jak bardzo tego chciałam.

- Kim jest Hasan? - zapytałam. - Co to jest za miejsce?

- Bawiliśmy się razem jako chłopcy. Jego ojciec nauczył mnie jeździć konno. Teraz razem pracujemy, jeśli rozumiesz, o czym mówię. Hasan zna pustynię lepiej niż ktokolwiek w Egipcie.

Mówiąc to, Xan uniósł brwi.

„Praca”, jak się domyślałam, pewnie była dla jednej z taj-

* Pan {*arab.*}.

nych bojowych grup szturmowych, które funkcjonowały pomiędzy nami a linią wroga i poza nią. W ciągu tych miesięcy pracy z Roddym Boyem widziałam kilka raportów o ich misjach.

- To bardzo niebezpieczne, prawda?

- Taka jest wojna.

Oba stwierdzenia były prawdziwe. Żadne z nas nie było w stanie nic więcej dodać, dlatego tylko patrzyliśmy na siebie w blasku świateł.

Potem Xan schylił się ku mnie.

- Jestem tu i teraz - szepnął. - My jesteście.

Gdy mnie pocałował, położyłam dłoń na jego głowie, przyciągając go bliżej, i poczułam skrecony jak sprężynka kosmyk jego niesfornych włosów.

- Mieliśmy nie rozmawiać o wojnie - przypomniałam.

- Byłby to błąd. Błąd gigantycznych rozmiarów. Byłaby to nawet gafa o wadze historycznej i dlatego szczerze nam to odradzam. Z całą pewnością odradzam.

Wybuchłam gwałtownym śmiechem. To był głos Roddy'ego Boya, doskonale naśladowane jego wypasione frazesy.

- I ja się do tego przychyliam. Co więcej, pan ambasador podziela moje zdanie.

Tym razem był to nieco zadufany w sobie, śpiewny głos Sandy'ego Allardyce'a. Jeszcze głośniej się roześmiałam. Xan był doskonałym imitatorem.

- Dobrze. - Uśmiechnął się. - Tak lepiej. - Ukląkł i zaglądał do naczyń. - Co my tu mamy?

Była emaliowana miska daktyli i małe naczynie z łuskami, grubymi migdałami. Kazał mi otworzyć usta i wkładał do nich jedzenie kawałek po kawałku.

- Starczy, bo pękne.

W starym termosie była mocna czarna kawa i gdy już wszystko zjedliśmy, piliśmy ją z cynowych kubków. Zoba-

czyłam, że Xan spogląda na zegarek, i poczułam na karku zimne ciarki. Zadrżałam lekko, a Xan natychmiast otoczył mnie ramieniem.

- Jutro musimy z Hasanem znów wyjechać bardzo wcześnie rano. Zawiozę cię teraz do domu.

Uśmiechałam się do niego, wypierając z myśli znaczenie słowa „jutro”, a potem obdarzyłam go długim pocałunkiem. Dużym wysiłkiem woli znów się od siebie odsunęliśmy.

- To był najlepszy wieczór w moim życiu - powiedziałam.

- Tak? Naprawdę tak uważasz?

Jeszcze raz chwycił mnie za serce jego zapał.

- Naprawdę.

- Będzie więcej - obiecał. - Jeszcze setki, nie, tysiące. Całe życie wieczorów i ranków, i nocy.

Dotknęłam palcami jego warg, nie pozwalając mu mówić więcej. Nie mogłam pytać, dokąd jedzie i kiedy wróci. Wszystko, co mogłam zrobić, to pozwolić mu wyjechać z przekonaniem, że będę na niego czekała.

Razem zdmuchnęliśmy świece i odwiązaliśmy klapę namiotu. Stanęliśmy obok siebie, patrząc w dal na piramidy. Potem odwróciliśmy się od namiotu i widoku i poszliśmy, trzymając się za ręce, do małej oazy. Mężczyzn, którzy siedzieli przedtem wokół ogniska, już nie było, a samo ognisko się dopalało. Było już tylko kupką popiołu z odrobiną żaru w środku. Hasan czekał na nas; siedział oparty plecami o pień palmy.

Wróciliśmy do Garden City. Przy drzwiach do mieszkania Xan dotknął mojej twarzy.

- Wkrótce będę z powrotem - obiecał.

- Ja będę tutaj - powiedziałam.

Oczy mnie bolą od patrzenia w ciemność.

Ból przenika moje ciało aż do kości i cała drzę jak w go-

rażce. Jeszcze chwilę temu słyszałam to dziecko chodzące po domu, ale teraz i dom, i ulica za oknem są ciche. Musiała zasnąć. Marzę o tym samym, ale zamiast tego mam jakąś bezładną, wrywkową parodię wspomnień i strach przed utratą nawet tego.

Zawsze strach. Nie przed śmiercią, ale tym drugim: śmiercią za życia.

Myślę o niewinnej i wyrachowanej propozycji Ruby, by mi pomóc, i zamiast uważać ją za ciekawą nagle ulegam rozdrażnieniu, bo jest to krępujące wtargnięcie w moją samotność. Tęsknię za spokojem i ciszą.

Trzęsę się tak, że aż mi zęby szczękają.

Gdy Ruby się obudziła, jej zły nastrój z poprzedniego wieczoru minął.

Natychmiast wstała z łóżka i podeszła do okna. Widok ulicy stawał się już dla niej coraz bardziej swojski.

Nucąc pod nosem, odwróciła się od okna, wybrała jakąś koszulkę i spodnie ze sterty, którą wczoraj wyrzuciła z plecaka. Wciągnęła je na siebie, po czym otworzyła szufladę i zgarnęła do niej pozostałe ubrania. Pusta przestrzeń w pokoju zaczynała jej się podobać; wyglądał znacznie lepiej bez tej hałdy rzeczy na podłodze. Nawet wygładziła narzutę na łóżku, zanim pośpieszyła korytarzem do pokoju babci Iris. Miała głowę pełną pomysłów, jak zacząć pomagać jej w rejestrowaniu wspomnień. Może jednak spróbuje je zapisywać? To, jak one będą zapisane, chyba nie ma znaczenia? Nikt nie będzie tego oceniał czy coś takiego, to nie szkoła ani studia.

Mogłyby zacząć dziś rano, jedząc śniadanie.

Ruby nie mogła się doczekać fig, jogurtu i miodu.

Drzwi do pokoju Iris były otwarte. Skoczyła do nich, już mając zawołać „dzień dobry”, ale zatrzymała się w biegu. Okiennice w pokoju były zamknięte, a jedynym oświetleniem była lampka koło łóżka. Iris leżała na plecach, a Ciocia właśnie wyciągała rękę z mokrą szmatką, by zwilżyć jej czoło. Powietrze przesycił kwaśny zapach, z ostrą wonią środka dezynfekującego. Gdy Ciocia się odsunęła, Ruby zauważyła, że twarz Iris jest woskowobiała, a policzki zapadnięte. Nos wydawał się nieproporcjonalnie duży wobec reszty twarzy, a oczy miała zamknięte. Wszystko to wyglądało tak, jakby w nocy umarła.

Radosne powitanie zamarło na ustach Ruby. Stała w drzwiach, dopóki Ciocia się nie odwróciła. Zobaczyła ją, natychmiast do niej podeszła i pokazała jej rękami, żeby wyszła. Iris leżała bez ruchu.

- O co chodzi? Co się stało? Czy jest chora?

Odpowiedzią było kilka wymamrotanych po arabsku słów i wypchnięcie za drzwi. Ruby mogła tylko odejść i poszukać na dole Mamduha. Znalazła go w kuchni na tyłach domu.

- Czy moja babcia jest ciężko chora?

Mamduh zacisnął usta barwy fig.

- Mamris ma gorączkę.

- Co to oznacza?

Utkwili w sobie wzrok.

- Gorączkę - powtórzył. A potem, jakby idąc na ustępstwo, udzielił dalszej informacji. - Przyjdzie lekarz. Teraz musi spać. — Nie wypchnął jej dosłownie, ale tak jak Ciocia wyraźnie pokazał, że Ruby mu przeszkadza.

- Czy ona wyzdrowieje?

- *In sha Allah** - mruknął Mamduh, wywracając oczy do sufitu.

* Jeśli Bóg pozwoli {arab.}.

- Czy mogę w czymś pomóc?
- W niczym, panienko.

Ruby rozejrzała się po kuchni. Ściany pomalowane były na staroświecki, błyszczący kremowy kolor, a szafki miały dziurkowane metalowe drzwiczki. Stół przykrywała ceratowa serweta, a z boku pełnego odprysków emaliowanego zlewu stała metalowa suszarka. Pachniało parafiną i gotowaną bielizną.

- Dobrze. - Westchnęła. Słyszała coś o nagłych zgonach, ale nie wiedziała nic o chorobach. Nigdy w życiu jej to nie dotknęło.

Iris nie miała zamiaru teraz umrzeć, prawda? Co by się wtedy stało z nią, Ruby?

Na to nie było odpowiedzi. Musi po prostu poczekać, aż przyjdzie lekarz.

Wyszła na dziedziniec i siedziała przez kilka minut na taborecie obok pustego fotela Iris, obserwując, jak światło słoneczne zmienia tryskającą wodę w strumień diamentów. Niebawem poczuła, że jest naprawdę bardzo głodna, i postanowiła, że prościej będzie wyjść i kupić sobie coś do jedzenia niż próbować negocjacji z Mamduhem w kuchni. Sprawdziła, że ma pieniądze w kieszeni spodni, i wyszła frontowymi drzwiami na dwór.

Gdy tylko ruszyła, obezwładnił ją upał. Pot ściekał jej po karku i w zagłębieniu pleców. Trzymała się zacienionej strony ulicy. W skrawku głębszego cienia z boku kamiennych schodów leżał, dysząc, wymęczony pies. Gdy przechodziła, uniósł głowę i wysunął różowy język, a Ruby, nie zastanawiając się, przykucnęła, żeby go pogłaskać. Pies skulił się i jednocześnie odsłonił brzuch, cały w ranach. Muchy zerwały się z niego czarną chmurą.

Ruby wzdrygnęła się i cofnęła rękę.

Poszła dalej tą samą drogą do ruchliwej ulicy, którą prowadził ją Mamduh poprzedniego dnia. Na bazarze widziała

dużo małych piekarni i kafejek, tam kupi sobie coś na śniadanie.

Przeście podziemne doprowadziło ją na skraj labiryntu. Zawahała się, spoglądając w tył przez ramię, jakby ktoś ją śledził, po czym szybko weszła w najbliższą alejkę, gdzie pośród skomplikowanej mieszanki zapachów jednym z najsilniejszych był aromat kawy. Lecz wąskie sklepiki i stragany na kołach były tu zarzucone stertami plastikowych zabawek i drobiazgów. Zerkały na nią lalki o różowych policzkach, piętrzyły się stosy wygniecionych pudeł z filiżankami do zabawy i miniaturowymi samochodami. Dwóch mężczyzn miało tacę pełną piasek-zabawek, które piszczały, fikały koziółki i szczeptały metalicznym głosem. Gdy Ruby usiłowała się precyzyjnie przemieszczać, dwie zabawki spadły z tacy i wylądowały na grzbietach, a ich plastikowe łapki nadal machały w powietrzu. Przed nią wyskoczyła trójka małych chłopców, krzywiąc *hello* i pokazując trzymane garście długopisów.

- Bardzo dobre, fajne długopisy - zachwalali natrętnie, skacząc przed nią, podczas gdy ona próbowała robić uniki. Zbity tłum blokował alejkę z obu stron. Straganiarze zaczęli nawoływać i wyciągać w jej stronę swoje towary.

Jakiś mężczyzna zagroził jej drogę.

- Tędy. Tylko popatrz, bardzo tanio. - Próbowała go ominąć, ale złapał ją za łokieć. - Tylko popatrz, dlaczego nie?

Miała ochotę odkrzyknąć im, że nie potrzebuje dziecięcych filiżanek, ale był to chyba zbyt wielki wysiłek. Muzyka płynąca z rzędu plastikowych radiodbiorników tranzystorowych ze złoconymi końcówkami była tak głośna, że czuła, jakby się przedzierała przez ścianę hałasu. Siłą przepchnęła się przez ludzi z przodu, ścigana falą protestów. Błyskawicznie skręciła w prawo, a potem w lewo, byle gdzie, żeby tylko uciec przed sprzedawcami zabawek i ludźmi, których przed chwilą starała się uniknąć.

W tej części bazaru sklepy i stragany oferowały ubrania

i buty. Wózki handlarzy załadowane były górami nylonowych adidasów i białych tenisówek. Na stojakach przy ścianach wisiały błyszczące bluzki, wielkie różowe figi i staniki z miseczkami wielkimi jak miednice. Teraz wśród klienteli dominowały kobiety. Szare lub białe chusty zasłaniały ich głowy i szyje, bluzki miały długie rękawy, a spódnice zakrywały całe nogi. Nie było w ogóle turystów, jakich widziała wczoraj. Wydawało jej się, że wszyscy się na nią gapią. Czuła się coraz bardziej groteskowo. Jej włosy nieprzyzwoicie sterczały i skręcały się w wilgotnym, gorącym powietrzu, ramiona i piersi wylewały się z obcisłej koszulki, a mokre od potu spodnie wżynały się w talię i biodra. Była za wysoka. Jej skóra, zbyt blada, cała się lepiła od gorąca. Ogarniała ją coraz większa panika.

Bardzo też chciało jej się pić, ale jak okiem sięgnąć nie było nic prócz gór koszul i butów oraz zwojów syntetycznych tkanin, na sam widok których oblewał ją pot. Przepychała się naprzód, mówiąc sobie, że gdzieś niedaleko stąd ktoś musi sprzedawać butelkowaną wodę. W głowie huczało jej od krzyku sprzedawców i szarpających uszy ćwierćtonów głośniejszej muzyki.

Gdy, słaniając się, wyszła na wyglądający znajomo plac, z trudem łapała oddech. Znała go, to tu wczoraj przyszedł Mamduh pozdrowić swych przyjaciół. To samo grube listowie i dwa parasole osadzone w sześciennych betonowych wspornikach.

Przy pustym blaszanym stoliku siedziała grupka mężczyzn. Nie jedli ani nie pili, ponieważ był ramadan, teraz już Ruby to wiedziała. Ale też nie rozmawiali. Siedzieli tylko w półkolu i patrzyli na rozpalony do białości świat. Patrzyli też na nią.

Szła w ich stronę z myślą, że może ich poprosi o pomoc, bo widzieli ją z Mamduhem. Lecz na żadnej z tych twarzy nie pojawił się najmniejszy sygnał, że ją poznają. Zawahała się,

nie mając pewności, czy to rzeczywiście są znajomi Mamduha. Może to w ogóle nie ten plac? Zrobiła kilka kroków obok nich i stanęła przed mrocznym wejściem do kawiarni. Zamierzała tam kupić wodę, ale gdy zajrzała do środka, zobaczyła odwracające się obojętnie w jej kierunku twarze samych mężczyzn. Kelner w fartuchu też spojrział, bynajmniej niezapraszającym wzrokiem.

Ruby wycofała się, chociaż gardło miała już zaschnięte do bólu. Poszła z powrotem na zalany słońcem środek placu i zrobiła pełne koło, starając się zdecydować, w którą z pół tuzina alejek najlepiej wejść. Nie miała pojęcia.

Jej wzrok prześlizgnął się po czyjejs sylwetce opartej o ścianę kilka kroków dalej, po czym znów tam wrócił.

Tę twarz skądś znała. Gdzie i kiedy ją widziała?

Widziała ją wczoraj, tak. To był młodszy, przystojniejszy brat Nafiza.

Stał przygarbiony, jedną nogą ugiętą w kolanie opierając się o ścianę za sobą. I bezceremonialnie ją obserwował.

Ruby podeszła do niego.

- Ja pierniczę, ale się cieszę, że cię widzę - powiedziała, starając się ukryć, jak naprawdę jej ulżyło. - Całkiem, cholernie całkiem się zgubiłam.

Wyglądał na odrobinę zaszokowanego jej językiem, ale też na zadowolonego i- o dziwo - raczej nieśmiałego.

- Widzę, że się zgubiłaś - potwierdził i w ładnym uśmiechu odsłonił zdrowe białe zęby.

- Siedzisz mnie?

- Po co miałbym to robić?

Wciąż się uśmiechał, więc nie była pewna, czy to było autentyczne pytanie, czy kpina.

- A skąd ja mam, kurna, wiedzieć?

- Dużo klniesz jak na Angielkę, Ruby.

- Masz z tym jakiś problem?

. - Nie, dla mnie nie problem, nic.

- Dobrze. Słuchaj, skoro już tu jesteś, czy możemy gdzieś pójść i kupić coś do picia? Strasznie mi się chce pić.

Odepchnął się od ściany.

- Oczywiście. Chodź ze mną tędy, proszę.

Poszli razem wąskim przejściem między dwoma starymi murami pochylonymi ku sobie tak, że wydawały się na górze stykać ze sobą.

Ruby powiedziała:

- Uu, bardzo cię przepraszam, ale nie pamiętam twojego imienia.

- Aszraf. Nazywaj mnie Asz.

- Dobrze, Asz. To dokąd idziemy?

- Do miejsca, które lubią turyści.

Jego twarz promieniała uśmiechem. Teraz zdecydowanie z niej kpił, ale była zbyt spragniona, żeby cokolwiek mówić. Przez kilka minut szli w milczeniu. Ruby zauważyła, że nie była już tak atakowana spojrzeniami. Albo poprzednio przesadnie reagowała, albo stała się mniej widoczna dzięki temu, że miała eskortę.

Po kilku kolejnych zakrętach labiryntu już miała protestować, ale właśnie doszli do ulicy całej zastawionej rozklekotanymi krzesłami i stolikami wylewającymi się z otwartych drzwi kawiarni. Pomiedzy stolikami uwijali się kelnerzy z tacami, które trzymali wysoko nad barkiem, roznosząc filiżanki, butelki i rachunki. Asz miał rację co do turystów, bo prawie wszyscy ludzie zebrani na tej ulicy byli przybyszami z Zachodu, dzierżącymi aparaty fotograficzne i torby pełne zakupów z bazaru. Wśród stolików krążyły zasmarkane wyrostki oraz Egipcjanki o ciemnych twarzach i lśniących oczach, próbując sprzedać portfel, zapalniczkę czy paczkę chusteczek. Asz wziął Ruby za rękę i holował ją przez tłum do zwalnianego właśnie stolika w dobrym miejscu w progu samej kawiarni. Zajrzawszy do jej mrocznego wnętrza, Ruby zobaczyła na ścianach odbłask zamglonych luster.

Gdy zasiadała na krześle, kelner już stał nad nimi. Poprosiła o butelkę wody i filiżankę kawy oraz jogurt, a potem skierowała dłoń ku Aszowi.

Nic nie mówiąc, pokręcił głową.

- A, no tak, zapomniałam. - Ruby westchnęła.

Gdy przyniesiono wodę, zerwała plastikową nakrętkę i wypła połowę.

- Dlaczego jesteś sama na Chan?

Ruby mu wyjaśniła.

- Przykro mi, że twoja babcia jest chora - powiedział. - Niedługo będzie zdrowa, *in sha Allah*.

- Taak, mam nadzieję.

Gdy już zaspokoiła pragnienie i zjadła łyżeczką nieco jogurtu, usiadła prosto i rozejrzała się. Asz przyglądał się tłumowi, zwrócony do niej profilem. Był bardzo urodziwy, miał ładne, niemal kobiece rysy i długie, gęste rzęsy. Wyciągnęła rękę do paczki marlboro wystającej z kieszeni jego koszuli.

- Mogę ci zakosić jednego?

- Jesteś kobietą. Lepiej nie palić publicznie.

Prychnęła, a potem przypaliła papierosa zapalniczką Asza. Zaciągnęła się głęboko i rzekła:

- No tak. Nie wolno przeklinać, nie wolno palić. A co według ciebie wolno mi robić?

Asz uniósł jedną brew.

- Może przejechać się gdzieś ze mną?

- Masz samochód? - Pomysł był zachwycający. Umierała z ciekawości, jak wygląda Kair poza tym kwartałem starych ulic, ale po swych doświadczeniach z bazarem wolałaby nie robić tego samotnie.

Asz odparł dość sztywno:

- Mam moped. Możesz usiąść z tyłu.

- Moped? Aa, taki rower z motorkiem. No dobrze. --

Ruby wskrobała z pojemniczka resztę jogurtu.

- Myślę, że nadal jesteś głodna.

- No, właściwie tak.

Asz zatrzymał kelnera i poprosił go o coś. Czekając, palili i przypatrywali się, jak wchodzi i wychodzi turyści. Ponieważ była tu z Aszem, a Iris w ogóle tu mieszkała, Ruby czuła się ważniejsza niż zwyczajni wakacyjni turyści.

Postawiono przed nią talerz, a na nim dwa smażone jajka; do tego koszyczek placków z mąki.

- Ideał! - zapiła Ruby, a Asz wyglądał na zadowolonego.

Podczas gdy pochłaniała jedzenie, opowiadał jej, że pracuje w nocy jako telefonista w dużym szpitalu.

- Bardzo dobra praca - oznajmił z zadowoleniem.

Chciał też podciągnąć się w angielskim i oszczędzał na kurs komputerowy. Nafiz mu pomagał, ale musieli dawać pieniądze matce, młodszym braciom i siostram. Ich ojciec zmarł ponad dwa lata temu.

- Niech odpoczywa w pokoju - dodał Asz.

Ruby odłożyła nóż i widelec na pusty talerz i wzięła do ręki rachunek przyniesiony przez kelnera. Skrzywiła się, czytając niewyraźne niebieskie liczby.

- Chętnie zapłaciłbym za ciebie, ale tutaj nie jest tanio - powiedział Asz ze zmieszaniem.

- Dlaczego miałbyś za mnie płacić?

- Bo jestem mężczyzną.

- Mogę sama za siebie zapłacić. Przynajmniej jak na razie - stwierdziła Ruby. - Ale ty nic nie jadłeś. Idziemy?

Wyszli z kawiarni i Asz skierował się ponownie do przejścia podziemnego. Było ono zaskakująco blisko, nie mogła się w tym połapać.

Moped Asza był przymocowany do kraty w ścianie na końcu wąskiej uliczki prowadzącej prosto do domu Iris i do dużego meczetu.

- Dlaczego jest tutaj zaparkowany? Ty mnie śledzisz! - oburzyła się Ruby. - Czy chodziłeś za mną po całym tym cholernym bazarze?

Tylko się uśmiechnął i wsiadł na motorower, zsuwając się do przodu, by zrobić miejsce dla Ruby z tyłu siodełka.

- Jedziesz?

- Chyba tak. Ale tylko na pół godziny. Potem musisz mnie przywieźć z powrotem, żebym sprawdziła, jak się czuje moja babcia, dobrze?

Usiadła najpierw całkiem wyprostowana, ale potem mały pojazd wystartował raptownie i musiała złapać Asza w pasie, żeby nie spaść do tyłu. Szybko włączył się w ruch uliczny, klucząc pomiędzy taksówkami i autobusami. Ruby schowała twarz za jego barkiem, bojąc się na to patrzeć. Zakurzone boki samochodów ocierały się niemal o jej udo, a kłęby szarych spalin piekły ją w oczy. Gdy zatrzymali się na światłach, odetchnęła z ulgą, mogąc postawić stopę na ziemi, ale już sekundę potem znów gnali naprzód w potoku metalu i rzeżących silników. Kair wydawał się wielką masą rozgrzanego chromu i stali.

- Podoba ci się?! - Asz zawołał do niej przez ramię.

- Okropne! - odkrzyknęła, lecz on się tylko roześmiał.

Wyjechali na otoczony wysokimi budynkami ogromny plac, na którym bezustannie krążyło istne piekło pojazdów.

- To Midan At-Tahrir* - rzucił Asz.

- Tak?

Niedbale pomachał ręką w kierunku niskiego, różowego budynku.

- Muzeum Egipskie. Bardzo znane, niedługo cię zabiorę.

- Nie mogę się doczekać. Czy my się w końcu zatrzymamy?

- Może.

Chwilę później wypadli na nieco spokojniejszą ulicę. Ruby ujrzała na tle nieba gałęzie i liście drzew. Asz zatoczył efektowne koło mopedem i zgasił silnik, dojeżdżając do kra-

* Plac Wyzwolenia (*arab*).

wężnika. Ruby zeskoczyła, kaszlnęła i przetarła oczy. Asz przypiął pojazd do małego drzewa rosnącego na szerokim chodniku. Znajdowali się na wysadzonym drzewami bulwarze. Po drugiej stronie kilku pasm jezdni był niski mur, a dalej chyba jakiś pusty obszar.

- Chodź - zakomenderował Asz.

Chwycił ją za nadgarstek i puścili się przez jezdnię w przerwie między ryczącymi autobusami. Poniżej muru, po drugiej jego stronie, była woda. Płynęła szeroka, skłębiona, szarobrazowa rzeka, a na niej żeglowały dziesiątki małych łodzi z ukośnymi masztami i pełnymi gracji żaglami niczym rozpostarte chusteczki. Ruby wychyliła się daleko za mur, podziwiając widok mostów spinających rzekę, wież i dalekich drzew.

- To Nil - oznajmił Asz. Patrzyła na pomarszczoną, pełną refleksów wodę. Na jej powierzchni odbijały się wysokie budynki stojące na drugim brzegu, płynęły po niej ciężkie, szare chmury.

- W tę stronę - pokazał - Aleksandria. Potem Europa. A w tę - przeniósł rękę wielkim łukiem wzdłuż rzeki - Egipt. - Dla Asza najwyraźniej już sama nazwa wystarczała, by wyrazić wspaniałość jego kraju. Ujął jej dłoń, by podkreślić, jak ważne jest to, co jej pokazuje.

- Taak.

Brak entuzjazmu z jej strony zirytował go. Celując palcem w najbliższe obiekty, wymieniał:

- Zobacz. Wieża Kairska. Most At-Tahrir, tam dalej most 26 Lipca. Wyspa Gezira. Hotel Sheraton! - Ten ostatni był ohydny budynkiem w kształcie walca na końcu cypla naprzeciwko.

- Nie, naprawdę? Nadzwyczajne.

Szarpnął ją gwałtownie za nadgarstek, a ona wyprostowała się zaskoczona, przybierając pozycję obronną.

- Uważaj!-warknęła.

Stali naprzeciwko siebie, piorunując się wzrokiem. Od obcej rzeki wiał wilgotny wiatr, a na obydwu brzegach rozpościerało się nieznane i wrogie miasto. Nagle Ruby zateęskniła za stukaniem deskorolek pod betonowymi przesłami South Bank, za zapachem hot dogów i za całym zmokniętym, mglistym i chłodnym Londynem. Usłyszała głos Lesley i szybko odcięła się od tych myśli.

Ważne było nie wkurzyć Asza, bo to był jedyny znajomy, jakiego tu miała.

Ale Asz pierwszy zaczął się śmiać.

- Marszczysz się jak mała - powiedział.

Jeszcze bardziej zmarszczyła twarz i przeszła go wzrokiem, aż oboje wybuchnęli śmiechem. Potem wskazała głową na rzekę.

- Jest piękna. Fajne są te łódki.

- Kiedyś wieczorem zabiorę cię na przejażdżkę feluką. O zachodzie słońca. Bardzo romantyczne.

~ Świetnie. Wolę to niż pieprzone muzeum.

- Ruby. - Asz westchnął.

- Przepraszam. Dasz mi jeszcze jednego szluga?

- Co?

- Peta. No, papierosa, na litość boską. Odkupię ci, jeśli to jakiś problem, tylko pokaż mi gdzie.

- Nie problem - odparł uprzejmie.

Ruszyli dalej. Ich dłonie od czasu do czasu ocierały się o siebie. Ruby zauważyła szczyt wielkiego budynku z kolumnadą za wysokim murem strzeżonym przez dwóch uzbrojonych mężczyzn w mundurach. Zaskoczyła ją flaga brytyjska zwisająca na głównym maszcie.

- Co tutaj jest?

Wzruszył ramionami.

- Ambasada brytyjska.

~ Aha. - Ruby to niezbyt interesowało.

Przeszli pod olbrzymim, bardzo starym drzewem, którego

pień pokrywała płatanina pędów, przypominających do złudzenia ciemnobrązowe węże. W cieniu tego drzewa powietrze nie było już tak gorące.

- Figowiec.

Zatrzymali się i spojrzeli w górę na baldachim z mięsistych liści. Kilka kroków dalej krążyły taksówki, trąbiąc klaksonami. Para przechodniów spojrzała na nich obojętnie.

Szyja Asza była gładka, skóra jasnobrązowa. Ruby podszła bliżej, chwyciła go dłońmi za głowę i przyciągnęła jego usta do swoich. Pocałowała go mocno, wsuwając mu język między wargi.

Dojrzała w jego oczach błysk konsternacji i niedowierzania. Odskoczył do tyłu.

- Dlaczego to robisz? - zapytał ostro.

Zrobiła to bez zastanowienia, po prostu miała na to ochotę.

- Nie podobało ci się?

Oczywiście, że mu się podobało, ale nie miał tego w planie.

Asz zamierzał pobawić się z angielską dziewczyną, bez wątplenia, ale spodziewał się, że będzie ją zdobywał, aż ją przyprze do muru, a ona w końcu się podda i cały triumf będzie jego. Skoro to ona podjęła inicjatywę, czuł się zdewaluowany. Nie miał pojęcia, czego się ma dalej spodziewać.

Uświadomili sobie, jak wielka ich dzieli różnica doświadczeń i oczekiwań, i oboje poczuli się niezręcznie.

- Masz już chłopaków - zauważył Asz chłodno.

Ruby chciała się roześmiać beztrząsco, ale zabrzmiało to cierpko.

- Taak. A jak ci się wydaje? Mam. Miałam.

Kiwnął głową.

- Rozumiem.

Nie pasowało jej to niezadowolenie Asza. Spróbowała odzyskać jego sympatię za pomocą szokującej informacji.

- Nie, nie rozumiesz. Mój chłopak umarł. W wypadku.

Brazowe oczy Asza zrobiły się jeszcze ciemniejsze, a białka były tak białe, że wydawały się niebieskie.

- Co? W wypadku samochodowym?

- Nie. Spadł. Z balkonu czyjś mieszkania. To było późną nocą, na party. Pił i ćpał. Nie widziałam, jak spadł. Może skoczył. Nie wiem. Był trochę porąbany. Miał na imię Jas.

Asz kręcił głową. Taka wiadomość to było dla niego trochę za wiele, lecz wziął ją delikatnie za rękę i poprowadził kilka kroków dalej do ławki przy murze nadrzecznym. Usiedli tyłem do ulicy, mając przed sobą brzydki okragły hotel po drugiej stronie wody.

- Kochałaś go, tego Jasa? Czy on cię kochał?

Zapytał tak prosto i ciepło, jego bezpośredniość poruszyła w Ruby jakąś czułą strunę. Niemal usłyszała w środku kliknięcie. Nie wiadomo kiedy w jej oczach stanęły łzy i popłynęły po twarzy, parząc ją w policzki.

- Może. Tak. Ale to nie było tak, jak myślisz.

- Nic nie myślę - powiedział Asz.

Ruby przetarła oczy pięściami i mocno pociągnęła nosem. Starła się nie płakać, ani z powodu Jasa, ani żadnego innego. W ogóle nie chciała myśleć o Jasie jako nieżyjącym, to był tylko nagi fakt. Ale teraz nie mogła powstrzymać myśli ani nasuwających się wraz z nimi obrazów.

Mieszkanie było na dziewiątym piętrze klockowatego wieżowca na skraju ziemi niczyjej, pełnej bocznic kolejowych i magazynów z powybijanymi oknami, wyglądającymi w ciemnościach jak oczy postaci w komiksach. Była rozmazana deszczem noc, rozpoczęta w pubie z Jasem i kilkoma jego znajomymi, a zakończona w małym pokoiku z dwoma materacami na podłodze. W mieszkaniu było sporo ludzi. Nie tych, którzy przyszli na początku. Ci się zmyli, a pojawiły się nowe twarze. Dwie dziewczyny kłóciły się

o jakąś grającą chrapliwie muzykę. Jedna z nich złapała CD i cisnęła o ścianę. Jej chłopak potrząsnął nią i jej głowa zachybotwała niepokojąco. Gdy odepchnął ją od siebie, upadła w bok na jeden z materaców.

Ruby siedziała na drugim, z kolanami przyciągniętymi do piersi jak tarcza. Chętnie poszłaby już choć na chwilę do domu albo gdzieś indziej niż tu i zastanawiała się, jaką znaleźć wymówkę. Zdawała sobie mgliście sprawę, że Jas gdzieś wyszedł, ale sama była już na takim odlocie, że nie zwracała uwagi, co on robi. Następną rzeczą był czyjś krzyk i poruszenie w pokoju, które spowodowało, że dziewczyna na sąsiednim materacu usiadła, a kilka innych osób, słaniając się, poszło do drzwi na balkon.

Ruby też poszła. Czuła powiew chłodnego powietrza, a zrobienie tych kilku kroków wydawało się trwać wieki. Jakiś głos czy dwa głosy wszczęły głośny alarm, lecz przede wszystkim uderzyła ją grobowa cisza. Od razu wiedziała, że stało się coś bardzo złego.

Balkon był mały. W rogu stała doniczka z brązowymi, uschniętymi łodygami rośliny, wały się pety papierosów i skrętów. Ściany były z cegły i żwirobotonu. Facet z pobladałą twarzą trzymał się muru, jakby płynął statkiem w czasie burzy, a jakaś dziewczyna na wprost odwrócona zasłaniała ręką usta. Ruby przeszła bardzo powoli na balkon i wyjrzała.

Nisko w dole leżał na boku Jas. Głowę, ręce i nogi miał dziwnie poskręcane. Wokół głowy tworzyła się coraz większa ciemna kałuża. Nie żył. Starczyło raz spojrzeć, żeby to wiedzieć.

Dziewczyna cofnęła rękę od ust i zaczęła bełkotać.

- Zobaczyłam tylko jego stopy i nogi. Zaczepił butem o krawędź. Nie patrzyłam, jakoś tak się odwróciłam. Widziałam jego nogi i stopy, spadał.

Kiepsko wyglądający facet otoczył ją ramieniem.

W porządku powiedział.

Ruby dziwiła się dlaczego, skoro wcale nie było w porządku.

- Kto to jest? - spytał ktoś półgłosem. Uświadomiła sobie, że do tej nocy nigdy nie widziała nikogo z tych ludzi. Jas ją tu przyprowadził. Łatwo nawiązywał znajomości, ale nigdy ich długo nie utrzymywał. Włóczyli się tak razem, on i Ruby, bez zadawania sobie zbędnych pytań.

Gdy przyjechała policja, niewiele mogła im powiedzieć. I to by! dla niej prawdziwy szok. Znała jego imię i adres domu, w którym mieszkał na dziko. Przyjechał z Sunderlandu, lubił curry i Massive Attack. Nagrał dla niej składankę na CD i pomalował okładkę mazakiem w czerwone zawijasy.

To nie było zbyt dużo. Niedużo jak na życie, które właśnie się skończyło.

Z posterunku policja zawiozła ją do domu Willa i Fiony w Camden. Było już widno i ludzie szli do pracy w schludnych ubraniach. Policjantka chciała z nią pójść i wytłumaczyć, co się stało, ale Ruby pokręciła głową. Wyrwała się z samochodu, najszybciej jak mogła, i wbiegła do domu. Miała nadzieję, że jeszcze nikt się nie obudził i wślizgnie się do swojej sypialni niezauważona.

Jednak Will już wstał. Schodził po schodach w garniturze i niebieskiej koszuli z ciemnoczerwonym krawatem. Policzki i broda świeciły mu się po porannym goleniu. W kuchni na korkowej tablicy wisiały rysunki dzieciaków, a na stole stał ten sam co wczoraj bukiet kwiatów w dzbanku do mleka.

- Fi jeszcze śpi. Gdzie byłaś całą noc?

Miał prawo zadawać takie pytania jako brat jej ojczyma. Była po części rodziną, po części lokatorką. Ale byli też ze sobą w spisku, bo gdy zostawali sami, Will nie zawsze traktował ją jak rodzinę. A przynajmniej tak, jak powinny się traktować osoby w rodzinie. Ruby uważała, że jest żałosny, ale wykorzystywała już w przeszłości tę sytuację. Wspólne ta-

jemnice z Willem sprawiały, że mogły jej się udawać rzeczy, na które on i Fiona, stanowiąc jeden wspólny front, nigdy by nie pozwolili.

Ale teraz już nie. Nie po dzisiejszej nocy.

Zamrugała oczami i znów poraził ją obraz Jasa leżącego u stóp blokowiska.

- Ee, byłam na party.

Will wyglądał na wściekłego, na swój rozlazły sposób.

- Co ty wyrabiasz? Co to za zachowanie? Za pięć szósta rano, a ty masz dziś iść do szkoły.

Ruby odwróciła wzrok i wbiła go w podłogę. Pomyślała, że jeśli uda jej się szybko od niego uwolnić i przemknąć na górę po schodach do swego pokoju, może zdoła zatrzymać dla siebie kłębiące się w niej uczucia rozpacz i nie zdradzić się przed Willem.

- Wiem - wymamrotała. - Przepraszam.

Westchnął. Potem obszedł stół dookoła i przyciągnął ją. Ujął dłonią jej brodę i odchylił jej twarz, by móc się dokładnie przyjrzeć. Czuła się jak sparaliżowana, nie potrafiła się wyrwać ani nic zrobić. Stała w miejscu. Will ponownie westchnął, po czym jego ręka zsunęła się na jej pośladki, ale jednocześnie delikatnie ją odepchnął, jakby to ona się do niego zbliżała. Celował w udawaniu, że coś jest zupełnie odwrotnie, niż było. Dawno temu -jeszcze wczoraj - myślała, że to jedna z paru dziedzin, w której powinien dostać dyplom pierwszego stopnia.

Lecz tego ranka jej dotychczasowe rozważania nie miały znaczenia. Jakby należały do innej osoby.

- No to idź. Idź na górę, do łóżka, zanim Fi cię złapie. Ja muszę jechać na lotnisko.

Szarpał się ze swoją teczką, zapinając jej zamki.

Ruby bardzo powoli weszła po schodach. Czuła się, jakby do stóp przywiązano jej kamienie.

W pokoju zdjęła ubranie i trzymała je zwinięte przy piersi,

bardzo mocno, jakby tuliła dziecko. Nawet zaczęła nucić ci-chutko na głos i na ten pozbawiony życia dźwięk aż podskoczyła. Schowała twarz w ubraniu i poczuła, jak ono cuchnie potem, dymem i wymiocinami. Na policji zwymiotowała w pomalowanej na zielono kabinie toalety.

Położyła zawiniątko na aksamitnym obiciu krzesła zapinanym na guziki i zakryła je poduszką. Potem wsunęła się pod przykrycie i naciągnęła je na siebie.

Gdy tylko zamknęła oczy, znów tam leżał z ciemną kałużą rozlewającą się wokół głowy.

Opowiedziała Aszowi w skrócie o Jasie. Kiedy tylko zaczęła, zdała sobie sprawę, że nie było w porządku używanie tego jako sposobu, aby odzyskać jego sympatię. Potem uśmiechnęła się do niego bez przekonania. Łzy już wyschły, a przy tym upale oczy po nich zrobiły się lepkie.

- No i tak - powiedziała, wzruszając ramionami. Wstała pośpiesznie, obciągając ubranie w miejscach, gdzie przylepiło się do ciała. Po chwili i on wstał, wciąż patrząc na nią ze szczerym przejęciem.

- To bardzo smutne. Współczuję ci - powiedział. - Co byś chciała teraz zrobić? Może wrócić do domu babci?

Przede wszystkim nie chciała się znów rozpłakać, nie chciała nawet myśleć o płaczu. To wszystko było zbyt niebezpieczne.

- Możemy po prostu robić dalej to, co zaczęliśmy?

Spacerowali więc pod zakurzonym listowiem od jednej do drugiej plamy cienia. Asz czekał, aż ona coś powie.

- A ty nie masz dziewczyny?

Zastanowił się.

- Oczywiście, są jakieś dziewczyny, które lubię. Ale myślę, że to nie to samo.

Jego powaga rozbawiła Ruby. Nadal pragnęła, żeby ją lubił, i to pragnienie ją zaskoczyło.

- To, tam, to był tylko szybki pocałunek, no wiesz. Zrobiłam to, bo myślałam, że będzie miło. Przepraszam, jeśli zrobiłam coś zupełnie niewłaściwego. Cały czas wszystko robię źle, taka już jestem. Jeśli mamy zostać przyjaciółmi, musisz się do tego przyzwyczaić. To była jedna z dobrych cech Jasa. Jemu właściwie nic nie przeszkadzało. Mówił na przykład: każdy z nas jest taki, jaki jest, i powinien być w pełni sobą, a nie kimś innym. To mi się bardzo podobało.

Asz znów się zatrzymał. Popatrzył przez ramię na jadące pojazdy i na przechodzących ludzi, a potem zaprowadził Ruby do wgłębienia w nadrzecznym murze tworzącego kąt, w którym stała ozdobna latarnia.

- Teraz ja chciałbym cię pocałować, bardzo proszę.

Oparła się. Kamień muru grzał jej plecy.

- No to zaczynaj.

- Poczekaj. Dla mnie te rzeczy są ważne. Nie taki tylko szybki pocałunek i bez znaczenia. Może ty uważasz, że to śmieszne?

- Nie - rzekła skromnie. - Myślę, że jest urocze.

- Dobrze.

Podszedł bliżej. Z bliska widać było układ włókien i różne barwy jego ciemnobrązowych źrenic.

Pocałował, ledwo dotykając jej ust. Ruby wydało się, jakby robił to na próbę. I odsunął się.

- Dobrze - powiedział.

- Dziękuję.

Czując się przyjemnie niewinna, ruszyła na dalszy spacer u jego boku. Zaraz potem odbili od rzeki i włączyli się cichym kwartałem uliczek wijących się pomiędzy murami otaczającymi pełne zieleni ogrody. Było tu o wiele ciszej. Wysokie, brązowe i kremowe budynki wyglądały na spokojne i dobrze chronione. Niektóre bramy miały wartowników w małych drewnianych budkach lub siedzących na krześle na chodniku, skąd mogli widzieć każdego, kto przechodził. Te-

raz Asz i Ruby, idąc, jeszcze częściej ocierali się o siebie dłońmi.

- To Garden City. Ładne miejsce, dla bogatych ludzi.

- A ty gdzie mieszkasz? Blisko stąd?

Asz zaśmiał się nieco zażenowany.

- A jak sobie wyobrażasz? Mój dom to nie tak jak tu.

- Ja w ogóle nie znam Kairu.

- Pokażę ci.

Później znów wracali nad rzeką. Dokładnie naprzeciwko widać było wyspę, oddzieloną od lądu tylko wąskim kanałem. Asz powiedział jej, że to Roda. Pokazywał różne obiekty i opowiadał związane z nimi historie. Ruby skrzętnie potakiwała. Szli już bardzo długo i niebo zaczynało zmieniać odcień z błękitnego na jasnoszary. Na wodzie pływało jeszcze więcej *feluk* z żaglami jak skrzydła ptaków.

- Czas wracać - przypomniała.

Zawrócili na północ, w stronę mostu At-Tahrir. Gdy doszli do miejsca, w którym Asz zostawił motorower, na mostach i w budynkach po drugiej stronie rzeki zaczęły się zapalać światła. Niebo o zachodzie słońca przecinały złote i jasnozielone smugi.

- Jakie to piękne! - westchnęła Ruby.

Asz dotknął jej ręki.

- Mam pomysł. Wyjątkowy, zupełnie wyjątkowy widok Kairu, specjalnie dla ciebie. Trzeba będzie trochę nakłamać, ale myślę, że potrafisz to zrobić.

Spojrzała na niego groźnie.

- Może.

Przeprowadził ją przez ruchliwą ulicę i przez bramę do jakiegoś ogrodu. Przed nimi wyrósł olbrzymi hotel z setkami balkonów i jarzących się światłami okien. Do samego wejścia wił się wąż lśniących aut.

- Zatrzymujesz się w takich miejscach? - spytał.

- Kiedyś tak - przyznała.

- No to wiesz, co zrobić.

Gdy obrotowe drzwi wyrzuciły ich na hol ze szkła i marmuru, zastąpił im drogę portier w tarbuszu, białych pumpach z szarą i czerwonej kamizelce.

- Mieszkam w tym hotelu. Pokój 806 - oznajmiła Ruby stanowczo.

- Dobry wieczór - wymamrotał i odszedł.

Z uniesionymi głowami przeszli obok brokatowych foteli i fontanny w stronę wind. Asz chichotał cicho.

- Czy będziemy coś zwijać?

- Co to znaczy?

- Kraść.

- Oczywiście, że nie. Widok jest za darmo, należy do wszystkich.

Wjechali na najwyższe piętro i wyszli na hol cały w lustrach. Słysząc było ściszone głosy, dźwięki pianina i dzwonienie szkła.

- Zamknij teraz oczy - polecił Asz.

Wziął ją za rękę i poprowadził. Czuła, jak zeszli z dywanu na chodnik. Znów byli na zewnątrz, wiatr owiewał twarz Ruby. Mały dreszczyk przeszedł jej po plecach na myśl, jak blisko krawędzi mogą się znajdować.

- Jesteś bezpieczna - szepnął jej Asz do ucha. Zrobił z nią jeszcze kilka kroków i zatrzymał się. - Teraz otwórz oczy.

Spojrzała. Byli w ogrodzie na dachu hotelu. Pod nimi, daleko w dole, rozciągał się bezładnie porozrzucany, szaroniebieski Kair o zachodzie słońca. Wysokie mrowiskowce rozbłyskiwały światłem, na ulicach mrugały światła sygnalizacyjne, a neony reklam jarzyły się aż po horyzont na zachodzie. Słońce już zaszło, a niebo jeszcze rozświetlała złotopomarańczowa łuna.

- Widzisz? - szeptał Asz. Obejmował ją ramieniem, czuła zapach jego skóry.

- Tak. - Myślała, że chodzi mu tylko o widok. Lecz po chwili dokładnie w miejscu, gdzie przymglone kurzem refleksy miasta spotykały się z płonącym niebem, dojrzała odcinające się na tle łuny trzy ostre trójkąty. - Och!

Ruby wychyliła się, trzymając się poręczy na dachu. Po raz pierwszy patrzyła na piramidy. Wydawało się, że są tak blisko, prawie jak część miasta. Miała złudzenie, że te wszystkie budynki, kopuły i ulice wędrują i wędrują od brzegów Nilu aż daleko w pustynię. Zawsze wyobrażała sobie piramidy w otoczeniu pustkowia, morza piasku. Widzieć je w taki sposób było niesamowite i nierealne.

- Podoba ci się?

- Tak. Bardzo.

Niebo ciemniało. Pianista w barze na dachu grał teraz głośniej, goście w wieczorowych strojach wychodzili na zewnątrz podziwiać widok.

- Musimy iść - mruknął Asz. Zbliżał się do nich szybkim krokiem mężczyzna w czarnym fraku.

- *Hello!* - Ruby wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Przykro mi, proszę pani, ale to jest prywatne przyjęcie.

- Przepraszam. Zgubiłam się. Właśnie stąd wychodzimy.

Gdy doszli do holu, minął ich kelner ze srebrną tacą z napojami, a Ruby z promiennym uśmiechem sięgnęła niedbale po wysoką szklanicę. W windzie oparli się oboje o obicie ściany. W szklance unosiły się bąbelki powietrza, była słomka i liść mięty, grzechotały kostki lodu. Teatralnym gestem wręczyła ją Aszowi. Popatrzył tęsknym wzrokiem, a w końcu zwyciężyło pragnienie po całym dniu. Jednym haustem wypił dwie trzecie coca-coli, po czym uprzejmie oddał szklanek Ruby.

- Nie. To wszystko dla ciebie - oznajmiła.

Na zewnątrz zastali już noc. Ciemność opadała tutaj jak kurtyna.

Trzymając się za ręce, Ruby i Asz wrócili do motocykla.

Tym razem jechało jej się całkiem wygodnie. Siedziała tuż za Aszem, mocno obejmując go w pasie, i tak mknęli przez ruchliwe ulice do domu.

Zatrzymał się tam, gdzie jeszcze dwie doby temu stała taksówka Nafiza.

- Dziękuję za miły dzień - powiedziała Ruby, ze zdumieniem uprzytamniając sobie, jak długo była poza domem.

Dotknął palcami jej policzków.

- Przyjadę znowu?

- Ta. Znaczący tak, chcę, żebyś przyjechał.

- Jestem twoim kairskim chłopakiem?

Gdy to samo proponował jej Nafiz, wyśmiała go. Ale sposób dochodzenia do tego celu przez Asza sprawiał, że Ruby czuła się skromna oraz taka nieśmiała, jaką nie była od czasu, gdy miała dwanaście lat.

- Jeśli chcesz być. - Poczwała, że się rumieni.

Pochylił się ku niej i pocałował tak samo delikatnie jak poprzednio. Jakby mogła się stłuc.

- Jak się ze mną skontaktujesz? - zapytała.

Jego oczy rozszerzyły się.

- Będę tutaj. Znajdę cię.

- Więc do zobaczenia.

Załomotała w spękane drzwi domu Iris, gdy tymczasem Asz popędził w dal.

Drzwi się otworzyły.

Na widok Ruby Mamduh pośpiesznie wciągnął ją do środka domu, zamknął drzwi na klucz, a klucz wrzucił głęboko do kieszeni swej galabii.

- Panienko. Nie było cię wiele godzin.

- Przepraszam, ja...

- Nie wystarczy „przepraszam”. Przez ciebie martwi się Mammris, Ciocia i ja.

Z gniewu aż nie mógł złapać oddechu.

- **Ja...**

- W Kairze nie są źli ludzie, ale ty młoda kobieta, nic nie wiesz. Są miejsca niebezpieczne dla ciebie.

On też o niczym nie wie - pomyślała Ruby. Nie mogła sobie pozwolić, żeby ją traktowano jak dziesięciolatkę. Londyn też nie jest bezpiecznym miejscem, ale ona wiedziała, jak się pilnować. Jest tu nadal, prawda? To Jas poszedł na dno, Jas, który był taki przyjazny dla każdego, tylko trochę porąbany.

Wewnętrznymi schodami zeszła Ciocia i podbiegła prosto do Ruby. Dziewczyna przygotowała się na kolejną reprimendę, lecz Ciocia, chwyciwszy jej rękę, przycisnęła usta do grzbietu jej dłoni. W kącikach oczu, niemal schowanych w fałdach zmarszczek, lśniły łzy. Ruby zmieszała się, cofnęła jedną rękę i położyła ją na ramieniu Cioci. Ona była taka mała, że Ruby poczuła się, jakby pocieszała dziecko.

- Naprawdę przepraszam - powiedziała ze skruchą.

Do tej pory wypowiadała te słowa nawet dość często, ale łzy Cioci sprawiły, że teraz czuła zupełnie coś innego. A może to dlatego, że wspominała Jasa, albo przez te wszystkie wrażenia z całego dnia. Niespodziewanie sama znów zaczęła płakać. Najpierw było to tylko łkanie, a potem twarz jej się ściagnęła i trysnęły łzy, jakby pękła w niej jakaś twarda powłoka.

Ciocia błyskawicznie objęła ją ramionami i przytuliła jak małe dziecko, mrużąc coś po arabsku, klepiąc ją po rękach i głaszcząc po ramionach. Mamduh włożył jej do ręki wielką, złożoną chustkę do nosa.

- Miałaś dziś jakąś przykrość? Ktoś cię chciał skrzywdzić?

- Nie, nie. Poznałam chłopaka. Ma na imię Aszraf, jego brat jest taksówkarzem, a on... on pracuje w szpitalu Bab al-Furuh. Pokazał mi Garden City i widok na piramidy z dachu hotelu. Nie chciałam być tak długo poza domem. Jak się czuje babcia? Co stwierdził lekarz?

Ciocia powiedziała coś po arabska, a Mamduh kiwnął głową.

- Odpoczywa.
- Czy mogę do niej wejść?

Dwoje starsuszków trzymało ją teraz między sobą, każde ze swojej strony.

- Najpierw musisz coś zjeść. Potem możesz jej zanieść herbatę. Lepiej, żebyś nie płakała.

Ruby rozumiała, o co im chodzi. A śniadanie z dwóch jajek zjedzonych na Chan al-Chalili rzeczywiście było bardzo dawno temu.

Kuchnia wyglądała bardzo przytulnie w świetle dwóch lampek oliwnych i pachniało w niej dobrym jedzeniem. Ruby zwróciła uwagę, że Mamduh i Ciocia poruszali się między stołem a kuchenką na drewno bez słowa, jakby tworzyli jeden organizm. Mamduh przyniósł na stół łyżki i trzy brązowe miski, Ciocia zdjęła z kuchenki poczerńiały garnek. Na drewniany talerz wyłożyli arabskie placki, w mniejszej miseczce była gruboziarnista sól. Musieli pewnie razem żyć i pracować przez tak wiele lat, że nie mieli potrzeby nic uzgadniać, a już na pewno nie targować się i zdobywać punkty, jak to nieustannie robili Lesley z Andrew czy Will z Fioną.

Usiedli wszyscy razem. Ruby natychmiast sięgnęła po placzka, ale zaraz spostrzegła, że oboje starsuszkowie patrzą na nią, jakby na coś czekali. Beznamiętnie pomyślała, co to może być, i nagle ją olśniło. Poszukała w pamięci. Jej pierwszą szkołą, pierwszą z wielu, była podstawówka przykościelna.

- Pobłogosław-Panie-Boże-nas-i-te-dary - wyrecytowała - które-z-Twojej-opatrności-spożywać-mamy.

I o to chyba szło. Oni szanowali jej religię. Mamduh skinął głową posepnie i uniół pokrywkę garnka.

Ale to dzień, cokolwiek by powiedzieć! - myślała Ruby. Była całowana jak w grze w butelkę na dzieciennym party i odmawiała modlitwę przed posiłkiem.

Mamduh zauważył uśmiech na jej twarzy.

- Tak lepiej. Teraz, proszę, zjedz trochę dobrego jedzenia.

Było dobre. Ciecierzycyca w pomidorach i jakieś grube, ale miękkie mięso. Odpowiadając na pytania Mamduha, wspomniała o Aszu i gdzie spędzili dzień.

Potem Ruby odniosła talerze do dużego, starego zlewu, a Ciocia pokazała jej, jak należy je myć i suszyć i gdzie potem schować.

Mamduh przygotował tacę, umieszczając na niej mały srebrny czajniczek, garść świeżych liści mięty, cukier i szklankę w starym srebrnym uchwycie. Była też butelka z lekarstwem, kieliszek i jakieś pigułki.

- Panienko, chcesz teraz pójść do Mamris?

- Mów do mnie Ruby, dobrze? Mam to zanieść?

- To mój obowiązek, dziękują.

Ruby powiedziała dobranoc Cioci, a ta jeszcze raz otoczyła ją ramionami i pokazała w szerokim uśmiechu nieliczne pozostałości swych zębów. Ruby domyślała się, że oboje jej wybaczyli.

Przy łóżku Iris paliła się lampka, ale reszta pokoju pogrążona była w mroku. Babcia miała zamknięte oczy, lecz gdy tylko wszedł Mamduh, a za nim Ruby, otworzyła je. Z początku były bez wyrazu. Można było się w nich doszukać najwyższej dezorientacji. A potem Iris zobaczyła Ruby. Poruszyła wargami i próbowała usiąść na poduszkach.

- No, jesteś - powiedziała.

Jak długo chorowałam tym razem?

Miałam upiorne, koszmarne sny w gorączce, ale nie tak wiele. Jestem pewna, że dziś rano był tu lekarz, ten Francuz Nicolas Grosseteste. Jego starszy wspólnik był moim lekarzem przez wiele lat, choć rzadko potrzebowałam jego porady. Biedny Alphonse już nie żyje, a doktor Nicolas posiada dostateczne umiejętności, choć jest nieco wyniosły. Uważa

mnie za starą i słabą, ale nie jestem wcale taka słaba, jak sądzi. Chorowałam na malarię i następny atak pewnie by mnie wykończył, ale tym razem to nie malaria. Mój system odpornościowy jest osłabiony z powodu wielu lat życia w klimacie równikowym i jestem podatna na gorączki. Ale teraz wieczorem już czuję się lepiej. Widok tego dziecka sprawia, że czuję się lepiej.

Mamduh podaje mi szklanekę herbaty.

- Potrzymać ci ją? - pyta Ruby.
- Nie jestem sparaliżowana.
- Więc tu sobie posiedzę.

Mamduh grzechocze flakonem z lekarstwami. Biorę od niego i czytam etykietkę. To antybiotyk o szerokim działaniu. Jest także syrop na moje płuca. A więc Nicolas też nie sądzi, że mam zamiar umrzeć.

- Dziękuję. Ruby ze mną posiedzi, Mamduhu. Pomoże mi przygotować się do spania.

Życzy nam dobrej nocy i wychodzi, zamykając drzwi. Popijam herbatę. Ruby wygląda na mniej nadąsaną, niż była... kiedy?... wczoraj?

- Mów do mnie - nakazuję. I wtedy ogarnia mnie to ciepło, rozluźniające moje kończyny jak dawka petidinu.

Mów do mnie! Jak długo nie mówiłam tego do żadnej żywej duszy?

- Uu, o czym?
- O czym chcesz.
- Noo... wiesz co? Widziałam dzisiaj piramidy!
- Byłaś w Gizie?
- Nie, chyba nie. Z dachu hotelu nad Nilem.
- Ach tak. I co sądzisz?
- Cudowne. Nie wiedziałam, że one stoją między tymi wszystkimi domami.

Wygląda na taką zadowoloną ze swej wyprawy! Sięgam

po jej dłoń, a ona od razu przykrywa moją swoją drugą dłoń.

- Nie, one tak nie stoją. Gdy wyzdrowieję, pojedziemy do Gizy. Pokażę ci inny widok.

- Byłoby fajnie.

Siedzimy tu, dłoń w dłoń, myślimy o naszych odmiennych wyobrażeniach na temat grobowców faraonów.

5

Do pokoju wpada światło i na chwilę tracę orientację.

Ale po kilku sekundach uświadamiam sobie, że spałam znacznie dłużej niż zwykle, a ta nieznajoma jasność to słońce późnego rana. Odnoszę wrażenie, że rozpoznawanie tego zabiera mi więcej czasu, ale gdy patrzę na swoje palce na prześcieradle, pamiętam, jak dotykałam nimi dłoni Ruby. Trzymała mnie za rękę, gdy zasypiałam, i musiałam spać bardzo głęboko, bo przez całą noc prawie się nie kręciłam. Nadal jest tu odcisnięte jej łokciem wgłębienie. Nieznane uczucie, które mnie ogarnia, to szczęście.

Tego ranka wszystkie komórki w mojej głowie są dla mnie otwarte, mam z nimi kontakt, co dodaje mi otuchy. Po gorączce czuję się osłabiona, ale nie tak, jak czułam się od dłuższego czasu. Siadam i stawiam gołe stopy na podłodze.

Ruby jest z Ciocią w ogródku na dziedzińcu. Razem oglądają rośliny i Ciocia pociera trzymaną na dłoni wonny liść, żeby Ruby powąchała. Są odwrócone plecami, ale Ruby zerkając na boki przez ramię, zauważa mnie i jej twarz rozjaśnia się uśmiechem. Ona chyba potrzebuje kogoś bliskiego i dużo ciepła. Może obie tego potrzebujemy.

Ciocia przynosi tacę z herbatą, a gdy już usadowiliśmy

się w cieniu, Ruby mówi, że wcześniej jadła śniadanie w kuchni z Mamduhem i Ciocią.

- I wczoraj kolację też. Ciocia pokazywała mi różne rzeczy, robiła dla ciebie galaretkę owocową z granatów i specjalnego proszku z torebki. Zawsze myślałam, że galaretkę robi się po prostu, zalewając kostki wrzącą wodą.

- W domu gotujesz?

Ruby myśli.

- Trochę. Takie łatwe rzeczy. Za to mama jest dobrą kucharką. Nigdy nie będę tak dobra jak ona. Jest świetna w tym wszystkim: w gotowaniu, urządzeniu ogródka i robieniu eleganckich ozdób świątecznych. No, ale ty to wiesz.

Właściwie nie wiem. Lesley jest moją córką, a nie pamiętam, kiedy ostatnio coś dla siebie gotowałyśmy. Nie wiedziałam, że jest specjalistką od dekoracji z ostrokrzewu i szyszek jodły, i nigdy nie byłam w jej obecnym domu, więc nie mogłam podziwiać jej róż. Przyznaję, że to moja wina, nie Lesley. Oczywiście, że to przyznaję. Przez całe jej życie, od samego początku, chciałam być zupełnie gdzie indziej. Nie dlatego, że ona była taka, jaka była, ale sama jej obecność... i jej ojca... pogłębiała we mnie uczucie przegranej. Chciałam, żeby było inaczej, ale moja chęć nie mogła tego zmienić.

Uważałam, i nadal uważam, że życie jest okrutne.

- Iris?

- Tak, słucham cię.

Lecz po twarzy tego dziecka widać, że musiałam zgubić wątek tego, co mówiła, na dłużej, niż mi się zdawało.

Myślałam, a moje myśli podążyły wstecz ku Xanowi.

- Ruby, pamiętasz, jak rozmawiałyśmy o tym, że pomożesz mi zebrać trochę moich starych wspomnień?

- Tak.

- Myślę, że to dobry pomysł. Uważam, że powinniśmy zacząć dzisiaj.

- Dobrze. Taak, zdecydowanie. Ale pamiętasz, co mówiłam o... no wiesz, że nie jestem za dobra w ortografii i tak dalej?

Ogródek rozbrzmiewa pluskaniem wody.

- Co? Tak, mówiłaś mi. Poradzimy sobie.

Strasznie chcę już zacząć. Pomysł Ruby to moje koło ratunkowe.

Pośpiesznie kończę śniadanie. Wołam Mamduha i proszę, żeby przyniósł klucz do mojego gabinetu. To dość ciemny mały pokój na tyłach domu, rzadko używany i zwany gabinetem raczej na wyrost, bo jakoś trzeba go nazywać.

- Tak jest, Mamris. - Nie ruszając się z miejsca, patrzy to na mnie, to na Ruby.

- Ruby pomoże mi skatalogować pewne dokumenty - mówię górnolotnie. Nie ma żadnych dokumentów. A nawet jeśli są, nie mogę sobie przypomnieć gdzie i jakie.

- Tak - powtarza Mamduh bez przekonania, ale przynajmniej wychodzi po klucz.

Idziemy tam we trójkę, on otwiera drzwi i staje z boku. Ruby i ja wchodzimy do środka, Mamduh za nami i otwiera okiennice, żeby wpuścić światło dzienne.

Stoi tu biurko i krzesło, których, jestem pewna, nigdy nie widziałam na oczy. Ale pamiętam maszynę do pisania. Podnoszę przykrywę, zdmuchując kurz, i jest moja przenośna Olivetti, kupiona... gdzie? Chyba w Rzymie, gdy byłam z wizytą u Salvatore. (Nie żyłam w ascezie przez te lata. Miłość to co innego).

Maszyna. Odwracam się do Ruby.

- Możesz pisać na tym.

Dziecko gapi się na maszynę. Potem naciska palcem wskaźującym klawisz „q”, a czcionka uderza w wałek z przytłumionym kliknięciem. Wygląda, jakby nigdy w życiu jeszcze nie widziała maszyny do pisania.

- Umiesz pisać na maszynie? - pytam ją. - Ja używam

tylko trzech palców, ale zawsze mi taka szybkość wystarczała. Możesz sobie notować w czasie naszej rozmowy, a potem może będzie łatwiej to napisać na maszynie.

Naciska klawisze.

- Kiedyś zaliczyłam kurs edytowania tekstu. No wiesz. Na komputerze.

- Komputerze?

Piętnaście lat temu, gdy przeszłam na emeryturę i wyjechałam ze szpitala w Namibii, gdzie pracowałam, dopiero zaczęły się pojawiać komputery. Ordynator szpitala, dobrze ułożony młody Południowoafrykańczyk, miał jeden z pierwszych. Laurence Austin, tak się nazywał. Cieszę się, że przypomniałam sobie te dawno zapomniane fakty.

Mamduh mówi:

- Na Midan Talat Harb i w innych miejscach są kawiarnie internetowe. Widziałem tam młodych ludzi korzystających z komputerów.

Nie mam pojęcia, co to jest kawiarnia internetowa, ale Ruby kiwa głową z aprobatą.

- Możemy poprosić Nicolasa — proponuję.

- Doktor Nicolas był wczoraj u Mamris, w czasie gdy panienci nie było tak długo w domu - wyjaśnia Mamduh Ruby.

Policzki dziecka rumienia się i wygląda, na nieszczęśliwą, więc próbuję ją pocieszyć:

- Nie martw się. Ja nawet nie wiem, co będzie warte zapisania. Może nic.

- Chciałabym pomóc - mówi półgłosem, wciąż oglądając maszynę jak swego przeciwnika.

No i później, gdy zaczyna się robić trochę chłodniej, siedzimy na naszych miejscach w ogródku. Ruby ma na kolanach notes i zaciska w dłoni ołówek tak mocno, że kostka jej kciuka jest biała.

Dzieląca nas cisza przedłuża się.

W końcu teraz, gdy mam to zrobić, stwierdzam, że cały ten pomysł jest absurdalny.

Pamięć to nie przepis ani lista zakupów. Pamięć to zapach czystej wody w oazie, to smak nagiej skóry na wargach, to żałosny akord. Nie umiem uchwycić tych rzeczy i podyktować ich drugiej osobie. Jestem lekarką, nie poetką. Nie mam nic do powiedzenia.

Po dalszej chwili milczenia wzrok Ruby spotyka się z moim.

- Zablokowałaś się? Może zacznij od jakiegoś dnia? Wybierz na chybił trafił jakiś dzień, który pamiętasz. Ile miałaś wtedy lat?

- Dwadzieścia dwa - mówię bez namysłu.

- I co się zdarzyło?

Zaledwie w tydzień po naszej kolacji z widokiem na piramidy Xan zabrał mnie na bal przebierańców. Widywaliśmy się codziennie, pływając w klubie Gezira, na koktajlach w Shepheard's i na kolacjach w restauracjach, co do których oboje się zgadzaliśmy, że pod względem jedzenia i atmosfery nie umywają się do naszego namiotu na pustyni. Chodziliśmy potańczyć i przedstawialiśmy sobie nawzajem naszych przyjaciół, kiedy to okazywało się, że albo już się znamy, albo mamy wspólnych znajomych. Godzinami przesiadywaliśmy w cichych zaułkach, trzymając się za ręce i opowiadając sobie nawzajem nasze historie.

W tamtych dniach wszystko działo się bardzo szybko. Byliśmy młodzi i był czas wojny. W ciągu tygodnia stałam się oficjalnie dziewczyną Xana Molyneux.

Sarah Walker-Wilson wydymała usta.

- Kim on jest? Czy ktoś w kraju go zna?

Opinie Sarah i Farii nie liczyły się dla mnie. Byłam zakochana w Xanie i pijana szczęściem. Kręciłam się i wirowałam w euforii jak korek schwytyany w wir wody.

Xan i ja postanowiliśmy się przebrać na bal za Parysa i Helenę Trojańską. Xan udał się do działu zabawek w Cicurel's i kupił blaszany napierśnik, tarczę oraz hełm ze sztywnym czerwonym pióropuszem z końskiego włosia. Były bardziej rzymskie niż greckie i o wiele za małe na niego. Widok malutkiego hełmu przyczepionego do jego czarnych włosów, tarczy dyndającej na nadgarstku i napierśnika ledwo przykrywającego mu brzuch był bardzo zabawny. Stroju dopełniały sandały, toga z prześcieradła i miecz paradny kawalerzysty. Oparł ręce na biodrach, przybrał pozę, szczękając żelazem, i zażądał potwierdzenia, że wygląda klasycznie i heroicznie.

Moje przebranie składało się z białej sukni bez ramiączek, pożyczonej od Farii, i z atrybutu w postaci długiego metalowego pręta, używanego przez Mamduha do otwierania górnych okiennic w naszym mieszkaniu. Z jednego końca pręta zwieszał się mały drewniany okręcik z namalowanym po obu stronach numerem 1. Na drugim końcu był znacznie większy model statku, również pożyczony przez Farię od jednego z jej licznych siostrzeńców, i oznaczony „999”. Na głowie miałam olbrzymi kapelusz z dwóch wyciętych z tektury makiet statku „Queen Mary”, które Xan wypatrzył w oknie wystawowym biura podróży w pobliżu hotelu Shepherd's, a te miały z boków namalowane „1000”.

Za każdym razem, gdy na siebie spojrzeliśmy, niemal turlaliśmy się ze śmiechu. Xan zabrał mnie taksówką z Garden City i kiedy próbował mnie pocałować, „Queen Mary” strąciła mu z głowy hełm. Odepchnął na bok przeszkadzający tysięczny statek i nasze usta się spotkały. Jego ciemny profil odcinał się na tle ulicznych świateł, włosy sterczały w miejscu, gdzie potargał je hełm. Przeczesałam je palcami i przyciągnęłam go zachłannie bliżej siebie.

Przyjęcie wydawało trzech jego przyjaciół w mieszkaniu w dzielnicy Az-Zamalik, całkiem niedaleko mieszkania Xana. Był to wysoki, o dziwacznym kształcie apartament, w któ-

rym nieliczne meble zostały odsunięte w rogi. Ściany były poplamione w miejscach, gdzie ludzie opierali się plecami lub głową, a jedną, prawie całą, pokrywały nagryzmołone nazwiska, numery telefonów i zaszyfrowane wiadomości. W pokojach przelewały się tłumy Cezarów, Charlie Chaplinów i Clar Bow, nie brakowało alkoholu i, jak na większości przyjęć kairskich, było całowanie i wrzaski, żadnego jedzenia i bardzo głośna muzyka z gramofonu na kredensie zastawionym butelkami. Gdy zagarnęła nas owa dżungla, Xan wziął mnie za rękę.

Otoczyły nas znajome twarze. Była tam Sarah przebrana za Małą Bo Peep, z jasnymi włosami w loczkach i wstążkach, potrząsająca kijem pasterskim przybrany niebieską satynową kokardą. Sandy Allardyce nosił szaty kardynała i ciekawa byłam, czy je wypożyczył, czy wyłudził od jakiegoś napotkanego dostojnika kościelnego. W Kairze wszystko było możliwe. Pokazał się nawet Roddy Boy z opaską na oku i jedną ręką zatknietą do środka admiralskiego surduta, prawdopodobnie jego pradziadka, który prawie na pewno był z Nelsonem pod Trafalgarem.

- Hej tam! - przywitał mnie mój szef, uskakując przed prętem do okiennic i chybotającymi się okrętami, wsuwając trzymaną lunetę pod poły surduta, żeby móc ucałować mi dłoń. - Świetnie dobrany kostium, panno Black, ośmielam się zauważyć.

- Dziękuję, panie pułkowniku.

„Ośmielam się zauważyć” było typowym powiedzeniem mego szefa. Przypomniało mi się, jak Xan wiernie go przechrzeźniał, i przygryzłam wargi, żeby powstrzymać śmiech. Zrobiłam to tak nieudolnie, że zadławiłam się i dmuchnęłam w swoją szklankę z szampanem, rozpryskując pianę na suknię Farii. Roddy Boy był już na tyle pijany, że nic nie zauważył.

- Jesteś znajomą Davida? - zapytał gromko. David był

jednym z naszych gospodarzy, towarzyszącym Xanowi w tajemniczych zadaniach wojennych. Słyszałam o majorze Davidzie i tego wieczoru Xan ogólnie nas sobie przedstawił.

- Właśnie go poznałam. Przyprowadził mnie tu Xan Molyneux.

Roddy Boy błyskawicznie obrzucił mnie wzrokiem. Jednak nie był tak bardzo pijany.

- Ach tak - powiedział tylko.

Przydryfował Jessie James. Jakimś cudem, w środku Kairu i w środku wojny, zdobył białą komżę ministranta i nakrochmalony kołnierzyk. Jasnożółte włosy miał rozdzielone przedziałkiem i ulizane, w ręku trzymał *Hymny stare i nowe*. Patrząc na niego, słyszało się w uszach dźwięk chóru katedralnego śpiewającego kolędę *Lili-lili-laj*.

- Najmilsza, piękna Heleno tysiąca okrętów. Czy możemy razem stąd uciec i zostawić tego durnia Molyneux? Albo chociaż zatańcz ze mną do tej ohydnej muzyki.

- ...bry wieczór, Jamesie - odezwał się Roddy Boy.

- A, czołem - mruknął Jessie, zagarniając mnie. Postawiliśmy mój kij obwieszony statkami w kącie i wbiliśmy się w tłum tańczących.

Tak więc Xan i ja byliśmy otoczeni przyjaciółmi i znajomymi, ale mieliśmy też i inne miejsce. Był to mały, uroczy, jasny i otwarty świat, w którym liczyliśmy się tylko my dwoje. Przyjęcie nas rozdzielało, ale gdy potem znów łączyło, patrzyliśmy sobie w oczy i wszystko inne traciło barwy.

W pewnym momencie przedzierałam się do kuchni po szklankę wody - lokalnie produkowany gin i whisky płynęły strumieniami, ale zaspokojenie pragnienia jakimś innym napojem raczej stanowiło problem - a Xan szedł za mną. Jego ręce zsunęły się na moje biodra, a oddech muskał mi szyję.

- Chcę cię całej dotykać. Chcę smakować każdy centymetr twojego ciała. Długo jeszcze każesz mi czekać, Iris? - Był przy tym trochę podchmielony.

Odwróciłam się twarzą do niego, stając na palcach, żeby nasze oczy znalazły się na jednej wysokości.

- Nie - powiedziałam. -I ja nie mogę się doczekać.

A jednak poczekaliśmy jeszcze kilka godzin, drażniąc się oczekiwaniem na to, o czym wiedzieliśmy oboje, że musi się stać.

Znów tańczyłam z Jessiem, potem z Sandym Allardyce'em, który wybaczył mi już tamten wieczór u lady Gibson Paszy. Faria przyszła bardzo późno, ubrana w jedną ze swoich wieczorowych sukni z Paryża, nie zadawszy sobie najmniejszego trudu, żeby się przebrać. Przyholowała ze sobą swego wiernego poetę. Pod koniec wieczoru siedzieliśmy w kuchni z żołnierzami, kairskimi pięknościami i mężczyznami z British Council, pijąc whisky i bawiąc się w bzdurne gry, jakby nic się na świecie nie działo.

Tego właśnie pragnęli Xan i inni oficerowie: wymazać choć na kilka dni lub godzin jedną egzystencję i zastąpić ją inną, przepełnioną głośnym śmiechem, dziewczynami i zapachem perfum.

Xan i ja wyszliśmy z ostatnimi gośćmi. Wydostawszy się na zewnątrz w krótkotrwałej, chłodnej i wilgotnej godzinie przedświt, szliśmy przez wyludnione ulice, trzymając się za ręce, do jego mieszkania. Było w nim pusto i cicho. Znalazłam się tam po raz pierwszy i od razu zauważyłam atmosferę tymczasowości i prowizorki. To był punkt tranzytowy, żeby gdzieś krótko odpocząć, ale nie mieszkać na stałe. W korytarzu stały buty, uwidaczniające kształt czyichś stóp, a na półce w bawialnym leżał rewolwer.

- Oprócz Jessiego w tej chwili wszyscy wyjechali - powiedział Xan.

Dotykaliśmy się opuszkami palców, przelotnie i ostrożnie.

Potem wziął mnie w ramiona.

Jego sypialnia była pusta, niemal klasztorna, łóżko wąskie i twarde.

Ukląkł nade mną, a ja się uśmiechnęłam.

- To nie pierwszy raz, prawda?

- Nie - odparłam.

Jego język powędrował od moich ust ku wgłębieniu pod obojczykiem, błędził tam przez jakiś czas, a potem ruszył w dół.

- Tak dobrze.

Miałam już kilku kochanków, Xan jeszcze więcej kobiet, ale dla obojga z nas był to w szczególny sposób pierwszy raz.

Ostatni pierwszy raz, ale pierwszy z wielu, które nastąpią. Tak byliśmy oboje pewni, czego chcemy i w co wierzymy. A dla mnie to, co nastąpiło, w niczym nie przypominało seksu, jaki uprawiałam z uprzejmymi, trochę speszonymi chłopcami w Londynie. To było coś, czego nie znałam, i było cudowne. Nie wiedziałam, że można śmiać się i płakać jednocześnie, czuć obcość drugiego ciała w sobie, a jednocześnie miłość i ufność do każdej jego cząstki.

Potem Xan przygarnął mnie do siebie i bardzo długo patrzyliśmy sobie w oczy. Byliśmy spoceni i wycieńczeni, a ja czułam w całym ciele, jakby właśnie połączyło się ze sobą sto tysięcy zakończeń nerwowych.

- Kocham cię, Iris Black - powiedział.

- Xanie Molyneux, ja też cię kocham.

- Czy to za wcześnie, żebyśmy sobie to mówili? Jeśli to prawda?

- Nie jest za wcześnie i wiem, że to prawda, bo czuję tak samo.

Żadne z nas tego nie powiedziało, lecz oboje wiedzieliśmy, że jeśli będziemy zbyt długo zwlekać z tym wyznaniem, może być za późno. Roześmiałam się, żeby zagłuszyć dreszcz lęku.

- W każdym razie, jak obliczyć, ile właściwie byłoby dni? Jak długo się znamy? Dwadzieścia czy pięćdziesiąt?

- Znam cię już ponad dwadzieścia dni. Dokładnie: trzydzieści osiem.

Ta precyzja chwyciła mnie za serce. Ja też liczyłam nasze dni jak perły.

Przytuliłam dłoń do jego policzka i przyciągnęłam jego głowę do swego ramienia.

- Będziemy szczęśliwi - szepnęłam.

Przez niezastłonięte okno widziałam, że zaczyna świtać.

To wspomnienie rozbłyskuje w mej głowie całym bogactwem szczegółów i wrażeń, jak w moich gorączkowych majakach, i równie szybko ulatuje.

To, co próbuję niepewnym głosem opisać wnuczce, to jedna z wystaw na kairskiej ulicy. Była to agencja Sidik Travel, której nazwa wypisana była na czekoladowej barwy szyldzie nad oknem wystawowym nieco już podniszczonymi secesyjnymi literami. W oknie znajdowały się dwa plakaty: na jednym wieża Eiffla, a na drugim niewiarygodnie złota plaża w Bejrucie łącznie z falującymi palmami i kelnerem w białej marynarce ze srebrną tacą koktajli, trzymaną wysoko nad barkiem. Stał także ów wycięty z tektury dwustronny model „Queen Mary”. A wszystko to powlekał szarobiały, gruboziarnisty kairski pył.

Głowa Ruby jest pochylona, gdy pisze w swym notatniku. Nie widzę jej twarzy.

- Pan Sidik sprzedał mi statek z wystawy - mówię - na kapelusz.

Ruby przygarbiła plecy i jej postawa zdaje się wyrażać zdesperowanie. Mój głos zamiera i na koniec ciszę przerywa jodynie cichy plusk fontanny.

Co to ja chciałam powiedzieć?

- Mów dalej - odzywa się w końcu Ruby nieszczęśliwym głosem. - O statku „Queen Mary”.

Nie mogę sobie przypomnieć. Jeszcze przed chwilą tam

byłam, jestem pewna, a teraz mi umknęło. O czym to rozmawialiśmy?

- Wszystko jedno. - Mój brak pamięci wywołuje we mnie nagłą złość. - Wszystko jedno - mówię znów, o wiele głośniej.

Ona nadal pisze, a potem coś skreśla i pisze na nowo. Jej ołówek aż żłobi kartkę.

- Daj mi zobaczyć.

- Nie. - Zatrzaszkuje notes i trzyma mocno przy piersi.

Co ja takiego powiedziałam, że to wykreśliła?

- Pokaż mi.

- Na pewno nie, pieprzę to, nie dam ci! - krzyczy piskliwie, zrywa się na nogi i rozgląda po ogródku za jakąś drogą ucieczki. Ale nie ma dokąd uciec.

Z trudem i bólem podnoszę się i staję na nogi. Stoimy naprzeciw siebie.

Moja złość mija; jaki to ma sens? Zamiast tego wyciągam ramiona, a Ruby waha się, przygryzając dolną wargę, a potem podchodzi, szurając nogami, ze zwieszoną głową. Obejmuję ją ramieniem, zauważam, jaka gładka i błyszcząca jest skóra jej ręki. Już zapomniałam, jak wygląda młode, jedwabiste ciało. Delikatnie wyjmuję z jej rąk notes, a gdy ponownie spoglądam na jej twarz, widzę, że jest bliska łez.

- Ruby?

- Co? - skamle żałośnie.

Opieram rękę na poręczy fotela, szukając jakiegoś podparcia, żeby z powrotem usiąść. Potem otwieram notatnik i patrzę, co napisała. To tylko kilka zdań i trudno mi je odczytać.

Litery i wyrazy pisane są dziecinnie, nierówno i koślawo. Zamiast *Queen* jest *Qunen*.

- Mówiłam ci, prawda, ale ty, kurna, nie słuchałaś.

- Nie klnij tak. To nudne, poza wszystkim innym.

Mówiła mi, że jest dyslektyczką, i słyszałam ją, ale nie

słuchałam. Tak jestem pochłonięta własną przeszłością, słabością i lękiem.

Wstyd mi za siebie.

- Chodź tutaj.

Pochyliła się obok krzesła i próbuje zabrać z powrotem notes, ale ja go mocno trzymam.

- Bardzo cię przepraszam, Ruby. Chciałaś coś dla mnie zrobić i uczciwie powiedziałaś, jakie masz możliwości. Podczas gdy ja byłam niecierpliwa i całkowicie egoistyczna. Wybaczysz mi?

Westchnienie.

- Taak.

- Za dużo czasu poświęcam na myślenie o sobie. To się zdarza, jeśli ktoś był bardzo długo sam. Rozumiesz to?

- Taak, chyba tak.

Jej upór słabnie.

Jest jeszcze coś, co powinnam powiedzieć, jeśli już chcę być uczciwa.

- Bardzo się cieszę, że przyjechałaś - mówię do niej. I nagle uderza mnie absurdalność tego, co właśnie próbowałyśmy zrobić, i zaczynam się śmiać. - To bardzo zabawne. Jestem pamiętnikarką, która nic nie pamięta.

- A ja pr... pro... cholera. Pisarką, która nie umie pisać.

Jej oczy są jeszcze mokre od łez, ale też zaczyna się śmiać. Nasz śmiech jest trochę zabarwiony goryczą, ale przepełnia cały ogródek i zagłusza nawet kapanie wody.

W podcieniu wiodącym do domu zjawia się Mamduh i wpatruje się w nas jak oniemiały. Muszę wydmuchać nos i wytrzeć oczy.

- Mamris, mamy gościa.

- Któż to może być? Doktor Nicolas?

- To gość do panienki - zwraca się lodowatym tonem do Ruby. - To twój znajomy, z którym spotkałaś się wczoraj.

Mówię do niej:

- No to idź, nie każ swemu; znajomemu czekać, ktokolwiek to jest.

Wybiega w podskokach.

I ja stałam się obiektem krytyki Mamduha.

- Moja wnuczka jest młodą dziewczyną - przypominam mu.

- Naturalnie.

Ruby otworzyła drzwi wejściowe, mocno zamknięte przez Mamduha, i zastała Asza oraz Nafizę czekających na dole przy schodkach. Mieli na sobie białe koszule i adidasy wyglądające na nowe.

- Cześć, Ruby.

- Siema.

Asz wszedł na schodki niczym zalotnik.

- Pojedziemy samochodem mojego brata. Zabierzemy cię na wycieczkę, co?

- Noo... - Ruby marzyła o czymś takim, ale na myśl o zostawieniu Iris samej siedzącej w ogrodzie pokręciła głową odmownie. - Nie mogę. Moja babcia teraz jakby trochę mnie potrzebuje.

- To szkoda. Dzisiaj twoja babcia też jest chora?

- Nie, czuje się o wiele lepiej. Ale powinna mieć kogoś przy sobie.

Asz uśmiechnął się. Naprawdę był ładnym chłopakiem - pomyślała znów Ruby.

- Ale to nie problem, prawda, Nafiz? - Skinął na brata, żeby podszedł. - Nafiz i ja zapraszamy ciebie i starszą panią na miłą przejażdżkę.

Ruby przewróciła oczami z niedowierzaniem. Z pewnością pierwszy raz się zdarzyło, by jakiś jej chłopak zaproponował randkę wspólnie z babcią.

- Nooo... - zaczęła znów.

- Proszę ją zapytać - włączył się Nafiz.

- No dobrze. Zaczekajcie. Pójdą i zapytam, czy ona chce jechać.

Iris siedziała z zamkniętym notatnikiem, nadal leżącym na kolanach.

- Pewnie nie będziesz chciała tego zrobić - zaczęła Ruby, lecz Iris przekrzywiła głowę i popatrzyła na nią ostro.

- Cokolwiek to jest, myślę, że powinnam sama za siebie zdecydować.

Ruby powiedziała jej o Aszu i Nafizie oraz ich taksówce. Iris wysłuchiwała uważnie, a potem twarz jej się rozjaśniła w uśmiechu. Gdy tak się uśmiechała, wydawało się, że jej zmarszczki znikły i mogła być w każdym wieku, nawet tym samym co Ruby.

- Bardzo dobry pomysł - powiedziała energicznie. Oczywiście, że pojedę. Czy możesz zawołać tu Ciocię?

Pięć minut później, z głową owiniętą białą chustką i w ciemnych okularach przeciwsłonecznych, zasłaniających pół twarzy, Iris oświadczyła, że jest gotowa.

- Wyglądasz jak ktoś - orzekła Ruby, mając na myśli jakąś twarz czy styl widziany w jakimś żurnalu, ale nie pamiętała dokładnie gdzie.

- Bo jestem kimś - odparowała Iris. Perspektywa wycieczki wyraźnie poprawiła jej nastrój. Cieszyła się jak małe dziecko.

Ciocia i Mamduh wyszli z nimi. Ciocia mruzczała coś do siebie, pociągając za ubranie i chustę Iris, żeby je wyprostować. Mamduh włożył na głowę swój tarbusz, zanim wyszli na schodki, i usiłował nakłonić Iris, żeby się na nim wsparła.

- Umiem chodzić - upierała się Iris.

Asz i Nafiz stali oparci o ścianę domu naprzeciwko, a gdy ujrzeli Iris i jej świtę, wyprostowali się z szacunkiem. Mamduh górował nad nimi wzrostem.

- Jak się macie? - powiedziała Iris dobitnie, brzmiąc prawie jak królowa Anglii, aż Ruby się skuliła ze zmieszania.

Ale dwaj chłopcy ukłonili się, wybakali swe imiona i pokazali na czarno-białą taksówkę.

- Proszę przejść tędy, madame - odezwał się Nafiz.

- Przyjedziemy za jakiś czas, Mamduhu, dziękuję ci - powiedziała Iris.

Pozwoliła Nafizowi zaprowadzić się do samochodu. Usiadła na przednim siedzeniu obok niego, nie okazując w ogóle, czy zauważyła rozcięcia w plastikowym obiciu i wystające z nich pasy starej gąbki. Asz i Ruby wskoczyli na tylne siedzenie. Asz przeczesał rękami swoją czarną czuprynę i lekko mrugnął do Ruby.

- Dokąd chciałyby pani pojechać? - Nafiz zwrócił się do Iris.

- Chyba do śródmieścia - odparła. Usadowiła się wygodnie i owinęła chustkę wokół szyi.

Ruby zwróciła uwagę, że ruch na ulicy jest duży jak zawsze.

Iris wyciągała szyję, oglądając wystawy i wieżowce. Rozmawiała z Nafizem po arabsku, śmiała się i coś pokazywała". Ręka Asza przesunęła się po siedzeniu i ujęła dłoń Ruby.

- Kair bardzo się zmienił - powiedziała Iris po chwili po angielsku.

Asz kiwnął głową z ożywieniem.

- Teraz to nowoczesne miasto - przytaknął.

Oczywiście, wychodzę od czasu do czasu z domu, ale tym razem jest zupełnie inaczej. Obok mnie siedzi ten uroczy, ale niewątpliwie nastawiony na korzyści brat, Ruby i jej amant szepczą coś do siebie z tyłu, powietrze jest gęste od młodej energii tryskającej seksualnością. Powinnam się czuć staro, ale efekt jest odwrotny.

Gdy skręcamy w *szaria* Al-Bustan, przychodzi mi do głowy, że muszę z Ruby pomówić o antykoncepcji. Z Lesley nigdy o tym nie rozmawiałam. Nawet jeśli to robiłam, już

o tym zapomniałam, tak jak o wszystkim innym. Może będę lepszą babcią niż matką?

Może to uświadomienie sobie, że jeszcze mogę się w życiu czegoś nauczyć, sprawia, że nagle czuję się tak radośnie.

Wystawy lśnią od ubrań i mebli, dokładnie tak samo jak na ulicach handlowych każdego innego miasta na świecie. Ci chłopcy -jak im na imię? - są dumni z nowoczesności Kairu, ale mnie brakuje konnych dorożek, mozolących się osłów, dawnego zapachu zwierzęcego łajna i spalin diesli oraz piachu z odrobiną wilgoci. Zaraz na następnej ulicy był Sidik Travel. Tą ulicą nieśliśmy z Xanem nasze trofeum, statek „Queen Mary”.

Gdy wjeżdżamy na Talat Harb, w budynkach rządowych zapalają się światła. Unikając ulicy wlotowej na most At-Tahrir, chłopiec skręca w lewo w Comiche i po chwili przejeżdżamy koło muru ambasady. Kiedyś jej ogrody ciągnęły się aż do brzegu Nilu. Są drzewa, które dawały cień podczas popołudniowych herbat z mego dzieciństwa. Odwracam się do połowy, żeby powiedzieć to Ruby, ale ona i chłopiec wciąż rozmawiają półgłosem, głusi na wszystko inne.

Teraz znów skręcamy w lewo. Znam bardzo dobrze te wijące się uliczki domów z zatrzaśniętymi okiennicami.

Chłopiec patrzy na mnie, unosząc brew, a ja kiwam głową.

Już mnie zaszufładował. Wie, że mieszkałam tu, w Garden City, tak jak w owych czasach większość Brytyjczyków. Wypielegnowane ogródki, bramy i kraty z kutego żelaza w wyszukane wzory, wiatraki pod sufitem, mieszające powietrze popołudniami. Samochód toczy się powoli obok duchów, obok ślepych okien, kryjących stare i nowe historie.

Jestem zadowolona, że już wyjeżdżamy na Kasr al-Ajni i tym razem kierujemy się na most. Słońce jest coraz niżej, a gdy dojeżdżamy do wyspy, w rzece połyskują kolorowe światła.

Najwyższe drzewa nadal zacieniają tereny klubowe, tor

wyścigowy i boisko do gry w polo, lecz teraz ich gałęzie tylko częściowo przesłaniają zalane słońcem bure sześciany i prostokąty bloków mieszkalnych na zachodnim brzegu. Sześćdziesiąt lat temu daleko rozpościerały się tu kanały i pola z pługami ciągniętymi przez wychudzone bawoły oraz wioski z rzędami lepianek z mułu. Teraz miejska zabudowa sięga prawie po samą Gizę.

- Przepraszam, zapomniałam, jak ci na imię - mówię do kierowcy.

Posyła mi uśmiech. Zalotny uśmiech, na Boga.

- Nafiz. A pani?

- Doktor Black.

- Jest pani lekarką?

- Byłam. Teraz jestem na emeryturze.

. Nafiz zaciska usta, pokazując mi, że jest pod wrażeniem.

- Ja jestem taksówkarzem, ale mój brat Asz pracuje w szpitalu jako telefonista.

- Obaj dobrze znacie angielski,

- Staramy się - przyznaje Nafiz. - Uczymy się.

Rozkład tych ulic Geziry jest mi znany, budynki mniej. Z jednej strony sterczy brzydka siatka Wieży Kairskiej, a z drugiej ściana bujnej zieleni drzew odgradza teren klubu. Nafiz skręca w lewo i dojeżdżamy do bramy. Przemieszczam się w czasie o sześćdziesiąt lat i jestem w taksówce, jadąc na spotkanie z Xanern.

- Zatrzymaj się. Chcę na chwilę wysiąść.

Wychodzę. Na zewnątrz już zmierzcha. Brama jest ta sama, ale teraz ma wartownika w budce i szlaban w paski do podnoszenia i opuszczania. Od niego ciągnie się długa kolejka samochodów, głównie lśniących aut produkcji niemieckiej. To członkowie dzisiejszego Klubu Gezira czekają na wpuszczenie do środka. Pamiętam bawełniane letnie sukienki i wielkie kapelusze, mundury i koktajle, stukanie o ziemię piłeczek tenisowych, Xana czekającego na mnie w barze, gdy

przyjeżdżałam po całym dniu pracy za biurkiem na zewnątrz gabinetu Roddy'ego Boya. Xana mówiącego: „Kochanie, napijmy się czegoś. Jutro znów muszę jechać. Trochę to nudne, prawda?”.

- Słucham panią? - odzywa się wartownik.

Mówi coś do mnie, a mężczyzna w ciemnym służbowym garniturze otwiera automatyczne okno swego bmw wjeżdżającego przez bramę. Następny pojazd w kolejce podjeżdża do przodu.

- Słucham panią?

- Ja... nic. Przepraszam. Pomyliłam się.

Czego szukałam? Wszyscy biznesmeni, eleganckie kobiety i grzeczne dzieci w tych samochodach to Egipcjanie. Ta enklawa imperium, którą znałam, to cieniste sanktuarium brytyjskich postaw i aspiracji na wystrzyżonych trawnikach, już dawno zniknęła. Wszyscy tamci ludzie odeszli. Ja wciąż tu jestem, ale jestem takim samym przeżytkiem jak herbatki taneczne i alarmy przeciwlotnicze.

A wciąż tu jestem.

Ta myśl, zamiast mnie smucić, wywołuje we mnie nagły, niepohamowany apetyt. Przez okno taksówki widzę owal twarzy Ruby; patrzy na mnie.

Robi się ciemno. Zdejmuję okulary słoneczne i wsiadam z powrotem do samochodu.

- Pojedźmy do Groppiego - mówię, uderzając rękami o plastikową deskę rozdzielczą, aż wszyscy podskakują.

Nafiz pyta:

- Czy pani doktor jest pewna?

Zdecydowanie nalegam.

- Oczywiście, że jestem pewna.

Cała nasza czwórka ląduje więc przy stoliku w małym ogródku kawiarni Groppiego.

Kiedyś w Kairze przychodził tutaj każdy, kogo było na to stać. Wijąca się po ścianie winorośl i sznury kolorowych lam-

pek pozwalały odizolować się od oślepiającego blasku miasta. Przy tych małych, okrągłych stolikach siedziały damy w futrach, pijąc herbatę z mężczyznami o jedwabistych wąsach, a oficerowie zamawiali ciastka kremowe dla swoich dziewczyn.

Teraz to miejsce jest zakurzone i zaniedbane. Podłoga niezamieciona, kelnerzy w brudnych marynarkach. Dwaj chłopcy są głodni, a Ruby wygląda na znudzoną.

- Co będzie zjedli? Co zamówimy? - mówię zachęcająco, ale chyba nikt nie wie co. Tworzymy bardzo dziwną czwórkę ludzi. - Musimy zjeść lody. - Pamiętam te lody, zielone jak mięta lub soczyście różowe z paskami kawowego brązu, a w środku nich małe kryształki lodu. Serwowano je w pucharkach ze rżniętego szkła i dekorowano zwiniętymi wafelami.

Ruby wpatruje się we mnie. Chyba nikt nie chce lodów.

- Przepraszam. Tu się zmieniło. - Czuję, jak porywa mnie wir minionego czasu, jego okrutny nurt podmywa moje stopy i ciągnie za sobą. Patrzę na menu, w okropnej plastikowej okładce, lepkiej od odcisniętych palców. Obaj chłopcy palą, zerkając na siebie z ukosa swymi wilgotnymi oczami. Ruby pochyła się i sięga do jednej z paczek leżących na stole. - Czy Lesley pozwala ci to robić?

Zachłystuje się ze śmiechu i dym wylatuje jej spomiędzy zębów. Jej niespotykana mieszanina dziecinności i brawury rozbawia mnie i też zaczynam się śmiać. Nastrój ulega zmianie i zamawiamy zapiekanki, o wiele za dużo, oraz kawę, ciastka i coca-colę w butelkach. Słońce już zaszło, więc chłopcy z przyjemnością przerywają swój post ramadanowy. Ten dziwny posiłek jakoś staje się tym, czego chciałam: celebracją.

- Proszę -- zachęcam ich, gdy kelner stawia na stoliku talerze z jedzeniem. - Proszę, jedzcie wszystko.

Opowiadają mi o swojej rodzinie. Ojciec nie żyje, kilkoro

młodsze rodzeństwa, muszą pomagać matce w ich utrzymaniu. Amant Ruby jest tym najmądrzejszym, na którego liczą. Wygląda bardzo młodo jak na taki bagaż odpowiedzialności.

- Uczę się angielskiego, a także obsługi komputera. Ale nie jest łatwo opłacić lekcje.

Spotyka się z moim wzrokiem. Widzieli, gdzie mieszkam, i pewnie myślą, że jestem bogata. W rzeczywistości jestem biedna, z pewnością według kryteriów europejskich. Wypowiadam po arabsku zwyczajowe wyrazy żalu. Ruby patrzy w bok, zajęta własnymi myślami.

Na stoliku porozlewała się kawa; ciągle jeszcze są do zjedzenia kanapki i małe ciasteczka połyskujące tłuszczem i cukrem, ale już Nafiz puka w zegarek.

- Czas do pracy. Obaj mamy nocną zmianę.

Asz zawija kanapkę w serwetkę i podaje mi.

- Pani nic nie jadła.

- Nie mam ochoty. Weź to ze sobą na później.

- Mogę?

- Oczywiście.

Wołam kelnera i płacę sążnisty rachunek. Upłynęło dużo czasu, odkąd byłam w kawiarni, a jeszcze więcej, odkąd płaciłam naraz za cztery osoby. Zanim wszyscy wstaną, mówię:

- Dziękuję ci, Nafizie, za ten wieczór. I tobie też, Aszu. Sprawiał mi wielką przyjemność.

To prawda. Pozwolił mi zobaczyć, jak dziś wyglądają niegdysiejsze miejsca. Pamięć według mnie jest jak *decoupage*, niewinne zajęcie, do którego zachęcano mnie w dzieciństwie, gdy byłam chora. Polega to na przyklejaniu wyciętych z papieru widoków i scen, aby uzyskać warstwowy obrazek, co tworzy swego rodzaju głębię. Dodaje perspektywy. Oczywiście dolne warstwy zacierają się i są mało widoczne. Kawiarnia Groppiego, którą znałam tak dobrze jak cały Kair, przysłonięta została obecnym widokiem. A ponieważ jestem tu

i widzę, jaka jest teraz, uświadamiam sobie, że nie ma w tym nic tajemniczego ani strasznego. Naturalnie, że nie uchwycę i nie zachowam wszystkiego. Ale mogę się postarać ocalić to, co najważniejsze: moje wspomnienia o Xanie.

Ruby wstaje, patrzy na mnie z lekką konsternacją.

- Iris?

Zbieram się w sobie.

- Tak? Co takiego?

- Musimy już iść. Asz się spóźni.

Czekają w drzwiach. Po drodze do taksówki obaj chłopcy trzymają mnie pod rękę, jakbym była ich własną babką. Jestem zadowolona z tej pomocy, bo czuję się już bardzo zmęczona. Gdy wracamy do domu, oglądam światła miasta i gęste tłumy na ulicach. Nafiz zaciska w ustach kolejnego papierosa.

Za sobą, na tylnym siedzeniu, słyszę cichą rozmowę Ruby i Asza. Gdy dojeżdżamy do domu, żegnamy się wszyscy spontanicznie, jak to robią młodzi, nie umawiając się na następny raz, bo po co? Wiadomo, że spotkają się znowu, jak tylko to będzie możliwe. Czuję lekkie ukłucie zazdrości, a potem rozbawienie, bo to przecież bez sensu.

Mamduh i Ciocia jakby już od dawna czekali na nas w holu. W każdym razie wyskakują znikąd, gdy tylko wchodzimy z Ruby do środka.

Dzięki dzisiejszej odmianie i spojrzeniu z innej strony zauważam, jak współzależni od siebie staliśmy się wszyscy trochę z upływem lat. Ja ich potrzebuję i oni potrzebują mnie, że bym ich potrzebowała.

- Miałyśmy wspólną wycieczkę. Przejazdzka, potem Groppi.

Właśnie wpadłam na pewien pomysł i trzymam go w myślach, zdejmując chustkę i podając ją Cioci.

- Później, na górze, napijemy się herbaty. Ruby, Mamduh, chodźcie ze mną, proszę.

Ruby pomaszerowała za nimi korytarzem do gabinetu Iris. Mamduh nalegał, żeby Mamris odpoczęła, ale ona kroczyła przed siebie z tym nieobecny, lecz zdeterminowanym spojrzeniem, do którego Ruby zaczynała już się przyzwyczajać.

- Tam chyba jest kuferek. - Iris wskazała na podwójne drzwi szafki, pomalowane w wyblakłe już białe ptaki i girlandy liści.

- Kuferek? - Mamduh zmarszczył brwi.

- Tak jest. Możesz mi otworzyć te drzwi?

Ruby ziewnęła. Fajnie było pojeździć samochodem z Iris, ale teraz Asz poszedł do pracy i nie zobaczy się z nim aż do jutra. Chciałaby spędzić z nim trochę więcej czasu sam na sam.

- O, jest. - Iris pokazała palcem.

Mamduh zdjął stos zakurzonych książek, plik drukowanych nut i staromodną szczotkę do ubrania z przykrywki ciemnozielonej blaszanej skrzynki. Miała z boków uchwyty, więc pochylił się i, sapiąc z lekka, ściągnął ją z półki. Kurz, jaki się podniósł, gdy ją ustawił na biurku obok starej maszyny do pisania, świadczył o tym, że przez długi czas nie zakłócano jej spokoju.

Iris otworzyła skuwkę i odchyliła przykrywę. Ruby zerknęła na niezachęcający bałagan w środku. Oprócz kruszących się ze starości gazet i postrzępionych książek były tam karty i pudełko kości do gry, dwa zmatowiałe metalowe kubki, wielki pęk kluczy i brązowa koperta. Ze środka biła zbudziła woń zapomnianych czasów.

- Możesz to wnieść na górę czy jest za ciężkie? - zapytała Iris, podnosząc wzrok na Mamduha.

- Mogę wnieść - odparł natychmiast.

Mamduh postawił kuferek na niskim drewnianym stoliku w saloniku Iris i zamknął okiennice, a gdy się odwrócił, ona już grzebała w jego zawartości. Obrzucił Ruby spojrzeniem,

które mówiło, że to ona jest odpowiedzialna za cały ten rozgardiasz, i wyszedł z pokoju.

Ruby usadowiła się wśród poduszek na sofie i wzięła do ręki kopertę z papieru pakowego. Wysypała się z niej garść wygiętych łukowato czarno-białych zdjęć. Obejrzała je z dużym zaciekawieniem, ale nie były zbyt interesujące. Na jednej grapa białych mężczyzn stała przed niskim budynkiem z cegły wypalanej z mułu. Na drugiej kilku czarnych kładło dach prawdopodobnie na tym samym domu. Na trzeciej dwóch mężczyzn w długich bufiastych szortach i skarpetach do kolan ścisnęło sobie dłonie. Trochę dokładniej Ruby przyjrzała się zdjęciu młodej Iris w bawełnianej sukience. Siedziała na niskim murku przed jakimiś kamiennymi rzeźbami, z mężczyzną w koszuli rozpiętej pod szyją. Dół jej sukienki zarzucony był na jego kolano, nie przykrywając całkiem ich splecionych rąk.

- Kto to jest? - zapytała Ruby.
- To fontanna Trevi. W Rzymie.
- Ale on?
- To doktor Salvatore Andreotti. Pracowaliśmy razem wiele lat temu przy programie medycznym w Afryce.
- Tylko dobry przyjaciel? - Ruby uśmiechnęła się znacząco.

Iris podniosła wzrok znad swoich poszukiwań w skrzynce.

- Przez jakiś czas byliśmy kochankami.
- A, byliście. No dobra, a kim są ci pozostali?
- Niech popatrzę. To Nyasaland w roku, chyba, tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym. Ten budynek to klinika, a ci dwaj mężczyźni to komisarz okręgowy i naczelny lekarz regionu. Pracowałam w tej klinice pięć, może sześć lat.

- Mama miała cztery lata. Opowiadała mi.

Iris zebrała porozrzucaną talię kart i potasowała je wprawna ręką.

- Tak. Urodziła się w pięćdziesiątym czwartym.

Ruby słyszała opowieści Lesley o tym, jak wychowywał ją ojciec i nianie, podczas gdy matka leczyła czarne dzieci w Afryce. Wspominając swoje dzieciństwo, co nie zdarzało się często, Lesley starała się przedstawić siebie jako dzielną i wesołą.

Ruby nagle zaciekawił ten aspekt historii rodzinnej, który dotąd nigdy jej nie interesował.

- Dlaczego pojechałaś pracować do Afryki, jeśli miałaś w Anglii męża i córkę?

- Taką miałam pracę - odrzekła Iris. - Czułam się zaszczyczona, że mogę ją wykonywać. I myślę, że byłam w tym dobra.

- Ale nie tęskniłaś za nimi?

- Przyjeżdżałam na urlopy do domu. A gdy Lesley urosła, przyjeżdżała do mnie na wakacje.

- Mówiła mi o tym. Mówiła, że jej koleżanki jeździły na przykład do Kornwalii albo Bretanii, a ona musiała odbywać tę długą podróż, ze trzy razy zmieniając samoloty, i na końcu przyjeżdżała do wsi w buszu, gdzie był potworny upał, karaluchy i niewiele do roboty.

- Tak, to by się zgadzało.

Wtedy Ruby przyszło do głowy, że Iris ma jakąś niezłomność charakteru, której wcale nie osłabiła starość. Zawsze musiała być taka. Bezkompromisowa, tak to się chyba mówi.

- Ty wszystko pamiętasz - stwierdziła miękko, lecz nieco zaczepnie.

Iris chyba już znalazła to, czego szukała w czeluściach blaszanej skrzyni, bo gwałtownie coś złapała i zacisnęła palce. Potem podniosła głowę i Ruby ujrzała w jej twarzy zamyslenie, które wskazywało, że szukała w pamięci. Jej jasnoniebieskie oczy były zamglone.

- Naprawdę?

- Nyasaland, tę fontannę jak-jej-tam, mężczyzn, randki, wszystko.

Teraz Ruby zobaczyła na twarzy swej babki szary cień lęku.

- Te rzeczy są tylko... jak zwykłe filiżanki czy talerze na półkach. Możesz po nie sięgnąć, używać ich bez zastanowienia. Większość ich jest bez znaczenia jak to, co pamiętam o tych fotografiach. Czasem coś wypadnie ci z ręki, spada i tłucze się w drobny mak, a ty wzruszasz ramionami i mówisz sobie: „jaka szkoda”.

A możesz także sięgać po filiżankę czy miszkę, której używasz codziennie, którą wyjątkowo lubisz i używasz tak często, że wyciągając po nią rękę, już czujesz w dłoni jej kształt. Jesteś pewna, że wczoraj była na swoim miejscu, ale teraz nic tam nie ma. Powietrze. Straciłaś coś bardzo ci bliskiego, co było tak nieodłączną częścią twego życia, że nawet nie musiałaś tego szukać. Po prostu spodziewałaś się, że tam będzie, jak zwykle.

To jest właśnie ważne wspomnienie, takie, którego nie chcesz stracić. Taki fragment twojej przeszłości, który wyjaśnia, dlaczego przeżyłaś swoje życie właśnie w ten sposób.

Gdy po chwili Iris znów zaczęła mówić, jej głos zrobił się tak cichy, że Ruby z trudem ją słyszała.

- I popełniłaś takie błędy, jakie popełniłaś. Rozumiesz coś z tego?

Ruby zawahała się.

- Może trochę.

- Jesteś bardzo młoda. Na twoich półkach jeszcze wiele nie stoi i nie wiesz, co będzie dla ciebie cenne. Dopiero gdy będziesz stara, złapiesz się na tym, że przez cały dzień trzymasz kurczowo jakąś miszkę. Boisz się ją upuścić.

Tak właśnie ona robi - pomyślała Ruby - gdy wpada w trans i nie słyszy, co się do niej mówi.

Trzyma swoją cenną miszkę, bojąc się, że gdy pójdzie jej szukać następnym razem, może jej nie znaleźć.

- Tak - powiedziała Iris do siebie. Jej głos był już tylko szeptem.

Ruby wstała nagle i wyszła z pokoju. Iris wydawała się zbyt pogrążona we własnych rozmyślaniach, by to zauważyć. Gdy Ruby wróciła, Iris, słysząc hałas, podniosła głowę z zaskoczeniem. Jakby naprawdę zapomniała, że wnuczka tu jest.

Ruby niosła fotografię w ramkach, wziętą ze stolika przy łóżku Iris.

- Kto to jest?

Trochę się spodziewała kolejnej reprimendy lub przynajmniej uniku, bo kimkolwiek był, mężczyzna na fotografii był ważny. Z całą pewnością nie był mężem Iris, a dziadkiem Ruby, Gordonem.

Tymczasem stało się coś nadzwyczajnego. Twarz Iris kompletnie się zmieniła. Myśląc o tym później, Ruby określiła to jako tajanie. Wszystkie drobne zmarszczki wokół ust babci rozluźniły się, a z oczu znikła mgiełka i były znów jasnoniebieskie i ostre jak młodej dziewczyny. Jej bibułkowa cera na twarzy i szyi odzyskała ciepły kolor i ożywiła się, gdy wyciągnęła jedną rękę po zdjęcie; w drugiej, wciąż zaciśniętej dłoni trzymała coś wyjętego z kuferka.

Bardzo ostrożnie, żeby żadna z nich przypadkiem nie upuściła fotografii, Ruby podała ją babci. Iris spojrzała na twarz mężczyzny.

Minęła długa chwila.

- Kto? - nalegała Ruby.

- Nazwisko?

- Tak, możesz zacząć od ujawnienia mi jego nazwiska.

Iris nic nie mówiła.

- Mam ci pomóc?

Zamiast odpowiedzi Iris otworzyła dłoń, tę drugą, w której nie trzymała zdjęcia. Leżał na niej mały statek-zabawka

wyrzeźbiony z jakiegoś ciemnego drewna. Z boku namalowana była cyfra „1”.

- Pierwszy z tysiąca okrętów. - Iris uśmiechała się. Nawet jej głos brzmiał teraz bardziej miękko i młodo, pozbawiony kwaśnej nuty.

Ruby nie miała pojęcia, o czym ona mówi. Przyklękła i obejrzała stateczek leżący na dłoni babci. Był stary, ale niczym się nie wyróżniał. Wzięła go do ręki i postawiła ostrożnie na oparciu fotela Iris. Potem znów sięgnęła po fotografię, zauważając, jak bardzo niechętnie Iris ją oddaje. Przyjrząwszy się obu młodym twarzom, dostrzegła bijący z nich blask niezmiernego szczęścia.

Iris powiedziała powoli, tym swoim innym głosem:

- Nazywał się Aleksander Napier Molyneux, kapitan 3. Pułku Huzarów, oddelegowany do sił specjalnych Tellforce. To zdjęcie było zrobione w październiku tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, w dniu, w którym Xan poprosił mnie o rękę.

Ruby była zachwycona tą informacją.

- Naprawdę? Poprosił? Powiedziałaś „tak”?

- Powiedziałam.

Czekała na więcej, lecz Iris milczała. Ruby odłożyła fotografię i ujęła dłonie babci w obie ręce. Przy jej gładkich dłoniach palce staruszki były jak sztywne gałązki.

- Boisz się o nim zapomnieć?

- Widzisz, ja nigdy nie pisałam pamiętników. Byłam taka pewna swej pamięci. A teraz ona odchodzi. Czasem po coś do niej sięgam, a tam nic nie ma. Większość tych rzeczy nie ma znaczenia. Ale jeśli ta się rozpadnie, nic już nie zostanie.

Ruby rozumiała, że nie chodziło jej o wartość materialną. Gdyby ta cenna miska przepadła lub stłukła się, to reszta, która by pozostała, nie miała żadnej wartości.

Ścisnęła mocniej dłonie Iris, nagle pojmując, co muszą razem zrobić.

- Ty pamiętasz. Wiem, że pamiętasz. Dzięki fotografiom i fontannie, statkowi i agencji podróży. Opowiedziałaś mi o tym, nawet się nie zastanawiając. Dopiero co powiedziałaś mi o Xanie Molyneux, czy tak? To jest, Iris, wiem, że jest. I wiem, co musimy zrobić. Po prostu rozmawiać! Musisz mi wszystko opowiadać, a ja to dla ciebie zapamiętam. Jestem w tym naprawdę dobra, powiedział mi to mój przyjaciel Jas. Pamiętałam wszystko o ludziach, których znaleźliśmy tam w Londynie, a on się zawsze dziwował. Ale ja zapamiętuję automatycznie. Tłumaczyłam mu, że to jak kolekcjonowanie. Wiesz, ja zbierałam różne rzeczy, jak byłam mała. Muszle, owady. Całe setki. Wiedziałam dokładnie, co to było i gdzie je znaleźć w moim pokoju, chociaż Lesley zawsze narzekała, że mam bałagan. Wystarczy tylko, że mi opowiesz. Ja wszystko zachowam w pamięci. A potem, jeśli zapomnisz, opowiem ci z powrotem twoje wspomnienia, jak książkę.

Masowała zimne dłonie Iris, żeby wlać w nie trochę ciepła i pewności.

- Rozumiesz?

Twarz Iris straciła już kolor i zmarszczki przy ustach znów się zaostrzyły.

- Może - odparła z wahaniem.

Ruby uśmiechnęła się. Nie miała wątpliwości. I uświadomiła sobie własną wartość. Schyliła się i ucałowała babcię w policzek.

- Zdecydowanie - rzekła stanowczo.

6

Przed wojną biuro podpułkownika Boyce'a w Kwaterze Głównej zajmowało przestrzenny pokój sypialny w okazałej willi. Zanim przyszedłam tam do pracy, pokój ten po-

dzielono na trzy małe klitki, każda z jedną trzecią okna, z widokiem na wąski kawałek zapuszczonego ogrodu i punkt kontrolny, gdzie dwóch żołnierzy pilnowało bramy w zewnętrznym ogrodzeniu. Podpułkownik miał jedną z klitek, a ja jako jego maszynistka zajmowałam oddzielony ścianą kawałek korytarza na zewnątrz sypialni. Moje biurko było wciśnięte między dwie szafy, w których przechowywałam napływające bez końca z międzywydziałowej łączności różowe dokumenty.

Roddy wychylił głowę ze swego biura.

- Panno Black? Czy może pani to zanieść do brygadiera Denselowa?

Wzięłam zapieczętowaną teczkę z napisem „Tajne” i zesłałam po dwóch przesłach schodów na dół, a potem przez prowizoryczne podwójne drzwi weszłam do pomieszczeń dawnej kuchni willi. Budynki Kwatery Głównej stanowiły labirynt Matek schodowych i ciasnych biur, przepełnionych spoconymi urzędnikami wojskowymi, którzy przeorywali hałdy papierowej roboty i rywalizowali ze sobą o dostęp do większych przywilejów. Było to bagno biurokracji, plotek i współzawodnictwa, jako że Kwatera rozbudowywała się, a perspektywa szybkiego awansu zachęcała ambitnych oficerów do prób prześcignięcia się nawzajem. Roddy Boy był zawsze w wirze jakiejś intrygi obliczonej na zmiżdżenie rywali.

Brygadier Denselow i jego personel zajmowali cztery sąsiadujące ze sobą pokoje z widokiem na ogród willi przez tylne drzwi dla służby. Mieli więc światło dzienne i świeże powietrze. Ich imperium było zazdrośnie strzeżone przed wszelkimi gośćmi. Pomocnik Denselowa, kapitan Martin Frobisher, siedział z nogami na biurku, czytając powieść z biblioteki Klubu Anglo-Egipskiego.

- Witam, światło mego życia - powiedział jak zwykle.

Wręczyłam mu teczkę, a on pokwitował odbiór. W odpo-

wiedzi na jego usilne błagania powiedziałam, że nie mam wolnego wieczoru, żeby z nim pójść na kolację.

- Nigdy nie masz - westchnął. - Co jest we mnie nie tak?

- Nic. Ale jestem zakochana w innym mężczyźnie. - Którego nie widziałam ani nie miałam od niego wieści od siedemnastu i pół dnia. Każdy z tych dni był szklaną konstrukcją codziennej rutyny, w której, najcierpliwiej jak mogłam, przechowywałam swoją tęsknotę za Xanem i ciągły niepokój o jego bezpieczeństwo. Byłam tylko jedną z milionów kobiet w podobnej sytuacji.

- Ale z niego szczęściarz! No to może lunch?

Miałam stos notek, napisanych przez Roddy'ego w jego słynnym kwiecistym stylu, do przepisania i puszczenia w obieg. Pokręciłam głową, uśmiechając się do Martina. Lubiłam go. Był dla mnie bardzo serdeczny, gdy przyjechałam po raz pierwszy do wojskowego labiryntu Kwatery.

- Mam dużo pracy - wyjaśniłam i pośpieszyłam z powrotem do swego biura przez salę na pierwszym piętrze, gdzie na kilku zmianach całą dobę pracowały szyfrantki.

Gdy doszłam do swego biurka, zauważyłam, że drzwi Roddy'ego były szczelnie zamknięte, a wisząca na klamce tabliczka z odręcznym napisem: „Nie przeszkadzać” wskazywała, że jest zajęty.

W moim boksie na korytarzu nie było okna, więc pracowałam przy lampie z metalowym kloszem, która rozsiewała kwaśny zapach palonego piasku. Włączyłam ją i zdjęłam pokrowiec z maszyny.

Pisałam mozolnie przez jakieś pół godziny, zanim Roddy znów otworzył drzwi. Najpierw zobaczyłam ostre jak brzytwa kanty spodni szefa. Nawet przy najbardziej upalnej pogodzie Roddy zawsze nosił nieskazitelny mundur służbowy, łącznie z bluzą, koalicijką, krawatem i długimi spodniami.

- Kwestia morale - burczał pod nosem. - To jest Kwatera

Główna. A mimo to niektórzy goście tutaj odznaczają się godnym nagany sentymentem.

Za nim kroczyła para opalonych nóg w szortach koloru khaki, bardzo brudnych i zakurzonych.

Serce podskoczyło mi do gardła. Spojrzałam w górę na właściciela tych nóg i zobaczyłam uśmiechającego się Xana. Mimo uśmiechu wyglądał na wycieńczonego.

- Obiecałaś mi filiżankę herbaty w Kwaterze Głównej, pamiętasz?

- Rzeczywiście. Z mlekiem i z cukrem? - Zaśmiałam się, bo doskonale wiedziałam, jaką pije herbatę.

- Niech się zastanowię. Wiesz co, może wcale nie chce mi się herbaty? Może zamiast tego napilibyśmy się czegoś w Shepherd's?

Roddy wytrzeszczył na nas oczy.

- Ach tak, to wy oboje się znacie?

- Już się spotkaliśmy - odparłam skromnie.

Ostatni raz widziałam Xana, jak wstawał z mojego łóżka o świcie, zanim pojechał na pustynię na jeden ze swych tajemniczych wypadów. Najpierw poczułam ulgę, że widzę go całego i zdrowego, a potem mogłam już myśleć tylko o tym, jak bardzo chciałabym się znaleźć z nim z powrotem w łóżku.

- Jest pora lunchu - powiedział Xan, patrząc na zegarek. - Pułkownik Boyce, czy mogę panu porwać pannę Black na godzinę?

Roddy'emu nie wypadało powiedzieć „nie”, choć widać było, że wolałby to zrobić.

- Hmm. No tak, dobrze. Tylko na godzinę. Wie pan, mamy w tej chwili strasznie dużo pracy. - Zwrócił się do mnie, wybałuszając oczy. - A tak przy okazji, miałaś ostatnio jakieś wiadomości od ojca?

Było to niezbyt zawołowane przypomnienie, że zażyłość Roddy'ego z moim ojcem uprawnia go do odgrywania wobec mnie ojcowskiej roli.

- Tak, dostałam list około dwóch tygodni temu. Żyje sobie teraz bardzo spokojnie tam w Hampshire. Mama ostatnio nie czuje się dobrze. Ojciec prosił, by pana pozdrowić. Myślę, że on panu trochę zazdrości, że jest tu pan w samym sercu wojny.

Wzmianka o ważnej roli pułkownika nigdy nie chybiła celu. Uniósł wysoko głowę i błyszcząca skóra na jego twarzy drgnęła.

- Tak. Proszę mu złożyć wyrazy uszanowania, dobrze? - Zadzwoił zielony telefon na jego biurku. Podniósł słuchawkę. - Aach! Brygadier. Przepraszam bardzo.

Drzwi się za nim zamknęły, a Xan natychmiast uniósł moje dłonie do ust i okrył je pocałunkami.

- Boże! Chodź, wyjdźmy stąd.

Wyszliśmy w gęstą, gorącą powłokę popołudniowego upału. Był początek października 1941 roku, ale nie pojawiły się jeszcze oznaki chłodniejszej pogody. Budynki w Garden City wyglądały jak ciemne figury geometryczne na tle rozżarzonego nieba.

- Xan...

Powstrzymał mnie na chwilę.

- Czekaj. Jesteś wolna dziś wieczorem?

Udawałam, że się namyślałam.

- Niech się zastanowię. Miałam zamiar iść z Farią do kina...

- Aa, w takim razie...

- Ale mogę to odwołać. Co proponujesz w zamian?,
Uniósł jedną brew.

- Łóżko. Potem kolacja, a potem znów łóżko.

- Wiesz co? Przypomniałam sobie, że jestem wolna dziś wieczór, jutro i w każdy wieczór do końca roku.

Szliśmy wraz z całym pochodem mundurów khaki. Wokół nas było morze furazerek, gdzieniegdzie upstrzonych australijskimi kapeluszami z szerokim rondem i francuskimi kepi.

Xan przytrzymał mnie za łokieć i stanęliśmy przy krawężniku, przepuszczając tłumy obok. Moje mieszkanie było tylko kilka minut piechotą stamtąd i nie powinniśmy zastać nikogo prócz Mamduha odbywającego sjęstę w swoim pokoju obok drzwi wejściowych.

Wymieniliśmy szybko spojrzenia i dostrzegłam we wzroku Xana coś jakby cierpienie, a także zmęczenie.

- Zrobmy więc to, co proponowałeś. Chodźmy do Shepherd's - powiedziałam.

- Dobrze - odparł miękko. - Przyjechałem dopiero dwie godziny temu i napiłbym się piwa po wizycie w Kwaterze.

Za nami człapała szkapa z dorożką kalesz. Sama skóra i kości, sierść ciemna od potu i pokryta pianą pod starą uprzężą. Głowę w klapkach na oczy zanurzała w worku z karmą. Woźnica zauważył nas i świsnął batem na konia, żeby się z nami zrównać.

- Proszę pani i pana. Miła przejażdżka. Bardzo intymna, nikt nie zobaczy, he? - Z przodu siedzenia zaciągało się firanki, żeby się ukryć przed tłumem. Pojazdy te nazywano tak-sówkami miłości.

- Dziękuję, nie - powiedział Xan, ale dał woźnicy monetę. Mężczyzna mrugnął okiem znacząco i machnął batem, a koń poczłapał dalej. Szliśmy w kierunku Shepherd's, mijając żebraków, inwalidów i obdarte dzieci, wyciągające ręce do kairskich bogaczy chodzących w górę i w dół po schodach hotelu.

Dla innych warstw Shepherd's był niedostępny. Bary i tarasy roiły się od przybyłych na lunch modnie odzianych cywilów i wojskowych stacjonujących w Egipcie. Znaleźliśmy stolik na werandzie z widokiem na ulicę i zamówiliśmy u jednego z kelnerów kanapki z wołowiną oraz piwo Stella. Potem usiedliśmy w wiklinowych fotelach, czekając spokojnie. Obsługa w Shepherd's była jeszcze powolniejsza niż procedura biurokratyczna w Kwaterze Głównej.

Dwa stoliki dalej Martin Frobisher uniósł rękę w sarkastycznym pozdrowieniu. Xan skinął mu głową, a ja oglądałam jego twarz zza okularów. Golił się tego ranka, ale niezbyt dokładnie, i skrawki lśniącej w słońcu skóry pokrywał zarost. Wyobraziłam go sobie o pierwszym świcie, zawieszzonego gdzieś pomiędzy mną a swoją służbą, z małą miseczką ciepłej wody i lusterkiem ustawionym na masce silnika ciężarówki. Koszulę khaki miał zabrudzoną białymi zaciekami starego potu, a dziurki w butach zapchane piaskiem. Gdy zdejmował skarpetki i bieliznę, rozsypywał wokół siebie fontanny piachu. Widziałam to nieraz.

Dziwne mi się wydało siedzieć tak z nim na werandzie w Shepherd's i cierpliwie czekać na piwo, gdy jeszcze godzinę temu nie wiedziałam nawet, czy jest żywy, czy umarły.

A jeśli to jest dziwne dla mnie - myślałam - o ileż bardziej poplątane musi to wydawać się jemu?

Odezwałam się cicho:

- Czy wolno mi spytać, gdzie byłeś?

Podskoczył, jakby był myślami gdzieś daleko. Uśmiechnął się i jedną ręką potarł brodę.

- Na patrolu.

- Było bardzo źle?

- Miałem gorsze doświadczenia. - Mówił lekkim tonem, *ule* napięte mięśnie wokół ust wskazywały, że dręczył go jakiś ból.

Niespodzianie znów pojawił się przy nas kelner. Postawił piwa, ale piwo Xana ledwo zdążyło dotknąć stołu, bo od razu je podniósł i wypił dwoma długimi haustami. Na pustyni usta sztywniały i skóra wysychała na pergamin z braku wilgoci. A jednak Xan znów tu był, pośród eleganckich Francuzek i Egipcjanek oraz dobrze odżywionych, różowych na twarzy oficerów Kwatery Głównej, którzy kierowali zapleczem operacji wojennych zza swych biur.

Nie mogłam się dowiedzieć, co Oglądał w czasie ostatnich

siedemnastu dni, ale moją wyobraźnię nękały przypuszczenia, które kłóciły się z kosmopolityczną scenerią werandy.

- Przepraszam - powiedział po chwili Xan. - Przyrzekam, że ożywię się, jak coś zjem.

Pochyliłam się i dotknęłam jego dłoni.

- Wszystko w porządku.

Ożywił się po zjedzeniu swojej i większej części mojej kanapki. Odsunął się na oparcie krzesła i uśmiechnął szeroko.

- Teraz potrzebuję tylko kąpieli, trochę snu i ciebie.

- Wszystkie trzy rzeczy będą twoje. Xanie, ta dzisiejsza poranna wizyta u Roddy'ego Boya nie była czysto towarzyska, prawda?

W ciągu tych kilku tygodni mojej znajomości z Xanem starałam się nie zadawać mu zbyt wielu pytań. Do tej pory robiliśmy, co w naszej mocy, by żyć chwilą obecną, a na tę chwilę składały się zawsze przyjęcia, żarty i ślepe dążenie do zabawy. Lecz dziś było mi bardzo trudno pogodzić się z tym, że wiem tak mało. Wiedziałam też, że sam mi nie mówi nic więcej, bo nie chce, żebym się o niego bała.

Zanim odpowiedział, rozejrzał się po najbliższych stolikach. Wszyscy rozmawiali, gestykulując lub starając się zwrócić na siebie uwagę kelnera. Nami nikt się nie interesował.

- Nie, nie była. - A potem po przerwie: - Ile ty właściwie wiesz o tym, co on robi?

Teoretycznie miałam się zajmować tylko rutynowym maszynopisaniem, segregowaniem dokumentów i administracją. Wszelkie poufne sygnały i noty odbierał personel wojskowy, a ja zbierałam je do zapieczętowanych teczek z napisem „Tajne” i roznosiłam. Ale Roddy już dawno zdecydował, że jestem godna zaufania, a przy okazji lubił zrobić na mnie wrażenie, dając do zrozumienia, jak ważną rolę odgrywa. Dość często prosił mnie o przyniesienie lub odniesienie szyfrantom sygnałów jawnym tekstem, gdyż młodszy oficer, który powi-

nien to robić, był zwykle zbyt zajęty na takie pomocnicze czynności.

Ostatnio zaczęłam czytać wszystko, co przechodziło przez moje ręce, chciwie szukając najmniejszego okruszka informacji, dobrej czy złej, mogącej mieć coś wspólnego z Xanem. Teraz więc znałam nazwiska, a często i ogólne dane o większości oddziałów komandosów, które dostarczały nam informacji daleko spoza linii wroga. Byłam prawie pewna, że on pracował z jedną z takich ściśle tajnych grup, przecinając odległe połączenie pustyni, żeby zdobyć informacje o oddziałach wroga i ruchach zaopatrzenia.

- Całkiem dużo - powiedziałam ostrożnie.
- A więc słyszałaś o Tellforce?

Przez pustą szklanekę Xana słońce rzucało smugi światła i cienia na białą powierzchnię obrusa.

Dziecko z owrzodzeniami na całej głowie opierało się o schodki i błagalnie chwyciło za wchodzące i schodzące przed jego oczami nogi, lecz właśnie podszedł jeden z kelnerów i brutalnie odepchnął je na bok. W gardle mi się zacisnęło z przerażenia i odrazy - do Egiptu i do wojny.

- Iris?
- Tak. Tak, słyszałam o Tellforce.

Na stół padł jeszcze jeden cień. Oboje spojrzeliśmy w górę, obok nas stał Jessie James.

Obaj mężczyźni wymienili spojrzenie, które nie uwzględniało mojej obecności.

- Nie wiedziałem, że już wróciłeś - mruknął Jessie.
- Kilka godzin temu.

Potem Xan wstał i panowie wymienili szybki uścisk dłoni, Jessie przysunął krzesło i usiadł koło mnie, mówiąc, iż nie powinnam się ukrywać tylko dlatego, że Xan zawsze się gdzieś włóczy po pustyni.

Ponury nastrój, jaki zaczął ogarniać mnie i Xana, ulotnił się. Xan i Jessie napili się jeszcze piwa, a ja zamówi-

łam mocną, słodką kawę w filiżance niewiele większej od naparstka. Jessie znał mnóstwo najnowszych plotek i zabawnych historyjek o znajomych. Jeden z jego kolegów z 11. Pułku wygrał muła, grając w pokera z grupą egipskich kupców. Po skończonej grze wrócił na jego grzbiecie do wynajmowanego przez siebie domu i przywiązał go w ogrodzie. Ogłosił wszem wobec, że ten muł uważa się za człowieka, toteż powinno się mu dogadzać. Kupił mu słomiany kapelusz z wstążką w barwach pułkowych. Zabierał ze sobą zwierzę w kapeluszu na zawody polo i wyścigi w klubie Gezira. Gdy palił papierosa swej ulubionej marki Sobranie, zawsze przypalał drugiego dla muła i wydmuchiwał dym w nozdrza zwierzęcia.

- Nie - zaprotestowałam.

Xan zaśmiał się, a Jessie zmrużył do mnie oko.

- Uważasz, że muł powinien palić woodbines? Oni dwaj są ze sobą bardzo szczęśliwi. Rzekłbym: małżeństwo z wyroku niebios.

Wypiłam kawę i spojrzałam na zegarek. Roddy mógł wyjść na tradycyjnie długi lunch, ale równie dobrze mógł siedzieć za biurkiem i czekać, aż wrócę.

- Muszę już iść - powiedziałam niechętnie.

Xan dotknął lekko mego nadgarstka.

- O której będziesz wolna?

- Koło ósmej.

Obaj mężczyźni wstali i Jessie odsunął moje krzesło. Pocałowałam ich obu w policzek i oddaliłam się.

Wracałam powoli do Kwatery Głównej w mdlącym popołudniowym powietrzu. W paskach stalowoszarego cienia u stóp wysokich murów leżały psy pokryte chmarami much i spali żebracy w galabijach okrywających kościste nogi. Przypominałam sobie, co wiem o Tellforce.

*

Później tego samego dnia kochaliśmy się, a potem leżeliśmy w łóżku. Oparłam głowę na jego piersi i słuchałam powolnego rytmu jego oddechu. Faria wyszła na wystawną kolację wydawaną przez rodziców Alego dla jakiejś rodziny z Aleksandrii, a Sarah była w swoim pokoju. Ostatnio wykazywała mniej entuzjazmu i wkładała mniej energii w życie towarzyskie. Miesiąc wcześniej zapadła na tę wycieńczającą chorobę żołądkową, stanowiącą broń specjalną Kairu, i bardzo długo dochodziła do siebie. Jej skóra miała żółty odcień i strasznie męczył ją upał. Martwiłyśmy się o nią z Farią.

Na zewnątrz było ciemno. Słyszałam muzykę taneczną z gramofonu gdzieś w pobliżu.

- Nie śpisz? - zamruczał Xan. Jego głos zabrzmiał leciutką wibracją wewnątrz klatki piersiowej.

- Nie.

Westchnął i zmienił ułożenie ciała, zgarniając palcami moje włosy i poprawiając mi głowę, żeby leżała wygodniej w zagłębieniu jego ramienia. Niemal dotykalnie czułam wagę swego szczęścia, podkreślaną jeszcze wyraźniej przez nieustanny niepokój i przeświadczenie, że niebawem znów będziemy musieli się rozstać.

- Kocham cię - powiedział zwyczajnie.

Uśmiechnęłam się radośnie, wodząc ustami po jego skórze. Leżeliśmy, słuchając metalicznego brzęczenia muzyki i zwykłych odgłosów życia domu.

- Dziś po południu, zanim przyszedł Jessie, wspomniałeś o Tellforce — zagałam wreszcie.

Przez całe popołudnie w moich myślach tkwiła nazwa tajnych oddziałów. Nie chciałam wiedzieć, jak ściśle Xan był z nimi powiązany, ale nie mogłam wymazać ze świadomości tego, co już wiedziałam. Pomyślałam sobie, że gdybym jednak wiedziała trochę więcej, może łatwiej by mi było pomóc Xanowi, aby zapomniał o tym wszystkim aż do ponownego wyjazdu.

- To zostanie między nami? - powiedział cicho.
- Odchyliłam głowę tak, żeby móc spojrzeć mu w oczy.
- Przysięgam.
- Wiesz, czym się zajmujemy?

Z tego, co mi powiedział tej nocy, same nagie fakty, plus to, co już wiedziałam, potrafiłam stworzyć sobie pełniejszy obraz.

Tellforce było nieregularną grupą oficerów oraz ludzi zwerbowanych ze względu na obeznanie z pustynią i jej właściwościami. Znali oni szlaki przesuwania się lotnych piasków, obszary skrajnych temperatur i potężną siłę burz piaskowych. Przed wojną ci oficerowie mogli być inżynierami górnictwa czy hydrologii lub arabistami, ale teraz ich pracę stanowiła jedna z najtrudniejszych operacji specjalnych. Z patrolami ciężkich, odpowiednio dostosowanych ciężarówek zapuszczali się głęboko w pustynię, daleko poza linie wroga, i szpiegowali jego manewry. Pełnili całodobowe strażę przy drogach, chroniąc się w nielicznych suchych dolinach lub kępach buszu, i z tych niewygodnych kryjówek liczyli każdą przejeżdżającą ciężarówkę, czołg i samochód, zapisywali ich liczbę i szacowali liczbę okupantów. Zbieranie tych strzępów informacji oznaczało, że patrole Tellforce były zawsze narażone na wykrycie przez nieprzyjacielski konwój lub samolot.

Nazywano je także taksówkami pustynnymi, ponieważ rozwoziły komandosów do ich celów, a potem odszukiwały tych, którzy przeżyli, i przywoziły ich z powrotem. Sami też urządzali błyskawiczne ataki na ciężarówki, składy paliwa i dostaw oraz stojące samoloty, gdy tylko nadarzała się okazja do sabotażu.

- • Rozumiem - powiedziałam na końcu.

Zawsze się domyślałam, że Xan musi być zaangażowany w jakąś specjalną robotę, lecz rzeczywistość okazała jeszcze bardziej przerażająca. Taksówki pustynne miały zawsze dużo

pracy i zagrożenie ich było ogromne. Przejechałam językiem po ustach, czując, że są suche i spękane, jakbyśmy właśnie znajdowali się na pustym.

- Nie martw się - powiedział Xan.
- Nie będę - skłamałam.
- Hasan jest zawsze ze mną.

Przypomniał mi się tubylec o niewzruszonym obliczu, który nas zawiózł do oazy za Gizą, i wyobraziłam sobie jego i Xana, zamiast w tamtym samochodzie, siedzących w kabynie jednej z półtoratonowych ciężarówek Tellforce marki Ford.

Wyobraziłam sobie tę ciężarówkę jadącą z rozpędem wzdłuż ściany żółtego piasku i w chmurze wzbitego spod kół pyłu wjeżdżającą na wydmę, a potem kołyszącą się przez chwilę na jej szczycie. Przed nią rozciąga się monochromatyczny bezmiar Pustym Libijskiej; może gdzieś w dali wymownie błyska światło słońca odbite w metalu lub bieleje pióropusz kurzu wznoszony przez konwój wroga. Zaraz potem ciężarówka siłą bezwładu zjeżdża na drugą stronę. Zawsze jest ryzyko, że pojazd może się przekoziółkować i zrobić dachowanie.

- Jechaliśmy do Al-Kufry - ciągnął dalej Xan. - Byliśmy na patrolu wzdłuż Palificaty i nagle wypatrzyliśmy przegrupowania czołgów nieprzyjacielskich. Uzbrojonych Mark III. Wyrosły nagle nie wiadomo skąd, piętnaście sztuk.

Słuchałam, oddychając równo, żeby opanować narastający lęk.

- Stanowiliśmy połowę patrolu, tylko pięć ciężarówek i samochód dowódcy. Poruszaliśmy się głównie nocą i właśnie mieliśmy zamiar rozłożyć zakamuflowany obóz na cały dzień, gdy przedni pojazd dał sygnał stop. Na szczęście byliśmy zasłonięci przez wydmę, więc zatrzymaliśmy się, by obserwować ich przejazd.

Xan wysunął rękę spod mojej głowy i wydobył paczkę pa-

pierosów z kieszeni koszuli. Zapalił jednego i znów oparł się na poduszkach. Wydawało mi się, że czekam całe wieki.

- Właśnie o tym musiałem powiedzieć Boyowi.

SIGINT lub HUMINT, informacja systematycznie zbierana odpowiednio z raportów rozpoznania łączności lub wywiadu agenturalnego na patrolach rozpoznawczych takich jak Xana, stanowiła materiał do obróbki dla Roddy'ego. Jego zadaniem była ich ocena i zestawienie, a następnie złożenie całości obrazu dla centrum dowodzenia naszego wydziału wywiadu. Praca ta musiała być wykonywana jak najszybciej i najsprawniej. Na końcu informację przekazywano do zaszyfrowania i dalszego przesłania do dowódców w polu.

- Tak. I co potem?

Xan zrobił wydech.

- Patrzyliśmy, jak przejeżdżają - powtórzył. Jego zmarszczone czoło sygnalizowało, że to nie było wszystko. - Czekaaliśmy. Zaczynałem mieć nadzieję, że nie zauważyli także i drogiej połowy patrolu, chociaż tamci byli na o wiele bardziej odsłoniętej pozycji niż my. A potem, po piętnastu czy dwudziestu minutach, usłyszeliśmy odgłos kanonady czołgów.

Wtedy zrozumiałam. Ciężarówki Tellforce i samochód dowództwa nie miały żadnych szans obrony przed materiałem wybuchowym i pociskami przeciwpancernymi uzbrojonych czołgów.

- Dałem rozkaz ludziom powstrzymać się. Moglibyśmy pojechać za czołgami i zrobić, co w naszej mocy, ale...

Między nami zapanowała cisza. Zrobienie, co w ich mocy, oznaczałoby tylko jeden możliwy koniec.

- Po kilku minutach ogień ucichł, a potem ruszyliśmy ku nim.

Xan opisał tę scenę w najprostszymi, jak najmniej poruszających słowach. Na początku nic nie było widać poprzez dym i wzbijany w górę kurz. Potem, gdy ich mały konwój udał się po śladach czołgów, natrafili na to, co zostało po pa-

trolu Tellforce. Trzy ciężarówki stały w ogniu, spalone ciała ich pasażerów zwisały w drzwiach lub leżały na piasku. Większość ludzi nie żyła, inni byli ciężko ranni. Dowódcy czołgów zapewne przypuszczali, że zbliżyli się do przedpola jakiejś znaczącej siły. Po rozbiciu na miazgę pojedynczego patrolu ruszyli na poszukiwanie większego celu.

Kurz zaczął opadać, a na wschodnim horyzoncie pojawił się blady dysk słońca. Xan zostawił jeden oddział ludzi do kopania grobów dla zabitych towarzyszy, a razem z Hasanem i rannymi udali się do dalekiego punktu pierwszej pomocy w Al-Kufrze. Wśród rannych był kapitan, któremu wybuch urwał obie nogi od kolan.

- Burke i ja zostaliśmy mianowani w tym samym dniu. Przed wojną zajmował się handlem bawełną. Nie było nic, czego by nie wiedział o pustyni. Siedziałem z nim na tyle ciężarówki i połem łykami wody ze swojej manierki. Powtarzał wciąż: „Cholerny niefart, Molyneux. Cholerny niefart. W tej grze potrzebne mi są stopy. Cholerny niefart”. Ciagle to samo. Umarł, bo ciężarówka podskakiwała i ślizgała się na piachu. Wykrwawił się na śmierć.

Xan zgasił papierosa, lekko uderzając o popielniczkę. Upewniwszy się, że skończył, otoczyłam go ramionami i przyciągnęłam, żeby znów się położył obok mnie.

- Przyjechałem do Kairu z dwoma innymi ciężko rannymi ludźmi, wymagającymi operacji. Hasan jakoś zdołał utrzymać ich przy życiu, póki nie dotarliśmy do tutejszego szpitala. To było około siedmiuset kilometrów. Potem od razu przyjechałem do Boya. Powiedział mi, że nie miało być tam czołgów Mark III. Nie było żadnych doniesień o ich obecności, dlatego nie mogły istnieć. Wszystkie ruchy zaopatrzenia „osi” zmierają w innym kierunku, w stronę Tobruku. To zupełnie jasne, upierał się. I niecierpliwie stukał palcami w leżące na biurku teczki. Wiedzą, że mamy zamiar posunąć się aż do Cyrenajki i przygotowują się do tego. Zapytałem go

więc, czy według Kwatery Głównej połowę mojego patrolu sprzątnęła fatamorgana.

Nigdy dotąd nie widziałam Xana w takim gniewie. Ale w rzeczywistości nie był zły na Kwaterę ani Roddy'ego Boya, lecz na samą wojnę.

Obejmowałam go i starałam się złagodzić trochę jego emocje.

- To okropne - mówiłam cicho, ale była to tylko próba wypełnienia ciszy jakimikolwiek pokrzepiającymi słowami. Nie byłam w stanie powiedzieć nic naprawdę znaczącego. Kiedyś to się skończy. Zrobimy to i będzie to warte zrobienia.

Zamknął oczy, potem je nagle otworzył, jakby nie chciał widzieć tego, co zjawiało mu się pod powiekami.

- Będzie? Naprawdę będzie warte?

Muzyka taneczna nadal grała. Ona i stukanie mojej maszyny, dwa główne dźwięki w moim kairskim życiu. Nagle zaczęło mnie dławić uczucie ohydy i bezsensowności tego bezmiaru śmierci, ogarnął mnie ogromny żal z powodu tych ludzi z patrolu Xana, których wcale nie znałam.

- Nie wiem - usłyszałam swój głos.

Po chwili spostrzegłam, że Xan zasnął, w jednej sekundzie. Nie zdawałam sobie sprawy z ogromu jego wycieńczenia. Muzyka wydała skrzekliwy dźwięk i ucichła nagle, jakby ktoś popchnął rączkę gramofonu.

Spał dwadzieścia minut, kręcąc się w moich ramionach, a potem zbudził się raptownie. Gdy tylko sobie przypomniał, gdzie jest, twarz rozjaśniła mu się w uśmiechu czystej ulgi i znów wyglądał jak mój dawny Xan.

- Zasnąłem? Co za ohydne maniery! Wybaczysz mi, kochanie?

- Tak. - Pocałowałam jego nos, potem usta.

- Lepiej się czuję. Przepraszam za to wszystko. Która godzina? Chodźmy szybko na kolację. Co powiesz na Zazie's?

Było w pół do jedenastej. Większość nas to w Kairze jadła według zwyczajów śródziemnomorskich późnym wieczorem, ale niektórzy Brytyjczycy nadal trwali przy kolacjach o w pół do ósmej, jakby byli w domu w Surrey. Szybko włożyłam szlafrok i pobiegłam do łazienki. Jeśli Xan chciał iść napić się i potańczyć, tak właśnie zrobimy. Włożyłam różową jedwabną sukienkę, którą miałam na sobie w obozowisku Hasana w oazie, i narzuciłam hinduski szal,

- Wyglądasz pięknie - oświadczył Xan, wdychając powietrze. - I pachniesz bosko.

Sarah siedziała w kącie jednej z sof w pokoju dziennym. Miała na sobie stary kaszmirowy kardigan, wytarty pod pachami i z boków, a kolana przykryte kocem, jakby było zimno.

Posłała nam wymuszony uśmiech.

- Cześć wam. Dokąd się wybieracie?

- Myśleliśmy o Zazie's.

Spojrzałam szybko na Xana.

- Saruś, może z nami pójdziesz? Byłoby weselej.

- Tak, chodź z nami - potwierdził ciepło Xan.

Uniosła rękę i zakręciła w palcach sznur pereł, który zawsze nosiła.

- Dzięki, jesteście kochani. Ale nie pójdę, nie dziś. Ciągłe się czuję byle jak.

Miała zapadnięte policzki, a jej twarz okalały spłowiałe i wysuszone na końcach włosy.

- Na pewno?

- Jasne. Poza tym już jadłam. Mamduh zrobił mi gotowane jajko i żołnierzyki.

- Aha. - Uśmiechnęłyśmy się do siebie, bez stwierdzenia na głos, że jajka w Egipcie były małe i dziwnie pachniały pleśnią.

- A ty, Xan, właśnie wróciłeś?

„Właśnie wróciłeś” było powszechnie używanym zwro-

tern. Jakby mężczyźni wchodzili do salonu w Kairze po całym dniu polowania lub gry w golfa.

- Tak.

- Są dobre wiadomości, prawda? Generał Auchinleck zamierza uwolnić Tobruk i odbić Cyrenajkę? Słyszałam, że to już lada dzień.

Kair huczał od pogłosek o planowanym ataku aliantów na Bliskim Wschodzie pod dowództwem nowego wodza naczelnego. Obleżony garnizon w Tobruku na pewno zostanie uwolniony. Sarah spojrzała na Xana błagalnie, jej twarz wyrażała pragnienie zwycięstwa, świeżych wiadomości albo chociaż jakiejś zmiany, która uwolniłaby ją od tego upału, wizyt towarzyskich i przewlekłej choroby. Zastanawiałam się, gdzie są wszyscy mężczyźni, którzy garnęli się do niej z takim zapałem, kiedy była zdrowa.

- Być może - powiedział Xan.

- Na pewno nie chcesz iść? - zapytałam raz jeszcze.

Sarah kiwnęła głową pośpiesznie, zagryzając wargę.

- Bawcie się dobrze.

W korytarzu na srebrnej tacy stojącej na ohydnej komodzie z rzeźbionego i intarsjowanego drzewa zobaczyłam cienki niebieski list lotniczy, zaadresowany do mnie ręką matki. Wzięłam go szybko i schowałam do torebki, żeby przeczytać później. Xan znalazł taksówkę i pojechaliśmy do Zazie's.

Nocny klub był jak zwykle przepełniony. Xan musiał wsunąć kilka banknotów w dłoń, żeby szef restauracji znalazł dla nas stolik. Wybraliśmy potrawy z obszernego menu w skórzanym oprawie z jedwabnymi frędzlami, a Xan zamówił jeszcze butelkę szampana. Francuski szampan był teraz w Kairze rzadkością. Przyniesiono go do stolika w srebrnym kubku na lód, a nalewanie było całą ceremonią. Unieśliśmy do siebie nawzajem kieliszki w wypełnionym życzeniami, milczącym toaście. Poprzez gwar w sali dobiegała gra na pianinie,

ale pianista właśnie odbębnił ostatnie akordy, a światła przygasały jeszcze bardziej.

Scenę w rogu oświetlił pojedynczy reflektor, zakurzona kurtyna z czerwonego aksamitu rozdzieliła się, a w środku ukazała się naszym oczom połyskująca cekinami tancerka brzucha. Gdy zaczęła krążyć biodrami, rozległy się oklaski i gwizdy. Dolna część jej twarzy była zasłonięta. Uwagę przykuwały olbrzymie oczy w kształcie migdałów. Przezroczysty szyfonowy kostium odsłaniał lśniące połączenie jej ciała koloru ciemnego miodu. Elvira Mursi była najsłynniejszą tancerką w mieście. Swoją prawdziwą tożsamość trzymała w tajemnicy, ale krążyły plotki, że urodziła się w Croydon i była taką samą Angielką jak Sarah Walker-Wilson.

Gdy skończyliśmy szampana, zaczęliśmy pić whisky. Xan oglądał taniec, od czasu do czasu zwracając się ku mnie w przypływie rozbawienia. Zdecydowanie postanowił bawić się tego wieczoru na całego. Klaskał Elvirze aż do ostatniego z jej rozkołysanych ukłonów, a potem się rozgadał i rozśmieszał mnie tak, że zapomniałam o całym trudnym dniu. Bo taki miał zamiar w stosunku do nas obojga.

Koło pierwszej w nocy w klubie kłębiła się rozgrzana, spowita dymem masa ludzi, którzy zjechali się tu po kolacjach i innych, bardziej siedzących przyjęciach. Pożeglowałiśmy z Xanem w ciasno zbity tłum tańczących na małym parkiecie. Zauważyłam Sandy'ego Allardyce'a przy stoliku z jakąś przystojną, znacznie od niego starszą kobietą. Włożyła papierosa do długiej cygarniczki, a gdy go jej przypalał, jej obficie upierścienione palce opierały się o rękaw jego kurtki.

- Kto to jest ta kobieta z Sandym? - szepnęłam Xanowi do ucha.

- Nie spotkałaś jej? To pani Kimmig-Gertsch. Jest Szwajcarką, tak przynajmniej utrzymuje. Wdowa. Jej mąż był chyba w uzbrojeniach.

- Co ona robi w Kairze?

- Mieszka tu. Ma śliczny dom w starym mieście, tuż obok meczetu Al-Azhar.

- A co robi z Sandym?

Xan się roześmiał.

W tłumie za mną zrobiło się małe poruszenie i rozległ się głośny śmiech jakiejś dziewczyny. Obróciłam się w ramionach Xana i zobaczyłam Betty Hopwood. Przewróciła się i właśnie partner pomagał jej wstać. Był to jeden z kolegów Jessiego z 11. Pułku. Betty zauważyła mnie. Chwiejąc się, stanęła mniej lub bardziej pionowo na swych wysokich obcasach i pomachała żywołowo.

- Heej, Iris! Cześć, Xan! Chodźcie, przyłączcie się do nas.

Betty była gigantycznie wysoką Południowoamerykanką o blond włosach, białych jak kłaczki bawełny. Pełniła funkcję kierowcy ambulansu przy korpusie transportu zmotoryzowanego. Kobiety prowadzące ambulansy, po przepracowaniu kolejnych pięciu dni na pełnym, całodobowym dyżurze, kiedy wyjeżdżano do pociągów sanitarnych i przewożono rannych, miały prawo do jednego wolnego dnia. W taki bezcenny dzień, po wyspaniu się i wizycie u fryzjera, pragnęły wyłącznie jak najwięcej zabawy. Xan i ja zostaliśmy zgarnięci do stolika Betty, gdzie ponownie napełniono nasze kieliszki whisky. Major z 11. Pułku puścił oko do Xana.

- Co za ubaw! - krzyknęła do mnie Betty. - Spójrz na moją sukienkę.

Miała na sobie obcisły futerał ze srebrnej lamy i obróciła się, żeby mi pokazać tył, gdzie długie rozdarcie materiału spięte było prowizorycznie agrafkami. Dziewczęta z korpusu transportu musiały mieszkać w koszarach, a ponieważ nie było możliwe uzyskanie przepustki na tak późne wyjście, wszystkie wyspecjalizowały się w wymykaniu się i wracaniu cichcem.

- Podkasałam suknię pod mundurem, ale drut kolczasty był tak nisko, że musiałam zdjąć kurtkę, żeby się pod nim przecisnąć, i nagle... traach!

Betty tak to rozbawiło, że wszyscy przyłączyliśmy się do wspólnego śmiechu. Na stole zmaterializowała się kolejna butelka tutejszej whisky. Podczas gdy mężczyźni rozmawiali ze sobą, Betty pochyliła się i oparła na moim ramieniu rozgrzaną dłoń.

- On jest boski, co?

Z lekkim zaskoczeniem spojrzałam na majora, lecz Betty trąciła mnie łokciem.

- Mówię o twoim kapitanie Molyneux.

- Tak, jest - to wszystko, co mogłam wymyślić.

Te niekończące się, upalne i pachnące kairskie noce! Mężczyźni chcieliby, żeby zabawa nigdy się nie kończyła. Dla nich pójście spać oznaczało, że pustynia jest o jeden dzień bliżej. Betty, ja i wszystkie inne znajome kobiety nauczyłyśmy się tańczyć i śmiać o wiele dłużej niż do momentu, w którym powinnyśmy paść ze zmęczenia.

Gdy o drugiej nad ranem wychodziliśmy z Zazie's, nocne powietrze przesycił zapach trzciny i Nilu. Kierowcy taksówek i dorożkarze walczyli ze sobą o klientów. Kręciło mi się w głowie, więc oparłam się na ramieniu Xana, patrząc na refleksy świateł kołyszące się na czarnej wodzie. Stanowiliśmy teraz dużą, rozbawioną grupę ludzi, do której należał Sandy Allardyce ze swoją wdową, i wkrótce stało się jasne, że jedziemy do jej domu kontynuować zabawę. Betty, major, Xan i ja wcisnęliśmy się na tylne siedzenie taksówki i pognaliśmy przez ciemne ulice. Gdy wysiedliśmy, ujrzałam trzy piękne minarety, rysujące się jak czarne igły na tle rozgwieżdżonego nieba.

Za Sandym i panią Kimmig-Gertsch weszliśmy po sfatygowanych kamiennych schodkach. Otworzyły się nieoznakowane niczym drzwi w gładkiej ścianie i gdy wchodziliśmy,

potężny Nubijczyk w śnieżnobiałej galabii z ciemnoniebieską szarfą witał nas pokłonami.

Xan miał rację, dom był piękny.

Większość domów bogatych ludzi, jakie odwiedzałam w Kairze, należała do takich jak rodzina Farii lub francuskich i brytyjskich pań domu, w rodzaju lady Gibson. Przeważnie były umeblowane ciężkimi i ciemnymi rodzinnymi antykami lub udekorowane teatralnie w nowoczesnym stylu, z białymi dywanami, fortepianami i nadmiarem szkła weneckiego. A dom pani Kimmig-Gertsch zachował swoją tożsamość.

Był bardzo stary. Okna osadzone były w głębokich framugach, pokazujących grubość muru, a kamienna posadzka miała łagodne wgłębienia, wyżłobione przez wieki chodzącymi po nich obutymi stopami. Służący w ukłonach zaprowadzili nas do wielkiego holu wysokości dwóch kondygnacji, wyłożonego drewnem. Sufit między łukowatym belkowaniem pomalowany był na ciemnoniebiesko; zdobiły go srebrne i złote księżycy oraz słońca, a także znaki zodiaku. Ogromna lampa w stylu mauretańskim, z kutego metalu i z karmazynowym szkłem, zwisała na łańcuchach z centralnej broszy sufitu. Wysoko nad naszymi głowami górne piętro holu okalała galeria ze wspaniale rzeźbionymi drewnianymi przesłonami z otworami i na zawiasach. Zastaniały one kobiety domostwa przed wzrokiem odwiedzających je mężczyzn. W skromnie umeblowanej sali znajdowały się niskie, rzeźbione stoły oraz kanapy zarzucone kilimami i aksamitnymi poduszkami z haftem.

Towarzystwo porozsiadało się na poduszkach, a pani Kimmig-Gertsch zajęła nieco wyższy fotel w końcu sali. Ktoś wyciągnął gramofon z za drzwi w boazerii i nastawił płytę z jakąś płacziwą arabską pieśnią miłosną, która to wznosiła się, to opadała, tworząc tło dla rozmów i śmiechów. Służący wnieśli srebrne czajniczki z miętową herbatą i małe miedzia-

no czarki kawy po turecku. Ustawili je obok kryształowych karafek whisky i brandy.

Sandy zaprowadził mnie do pani Kimmig-Gertsch i oficjalnie przedstawił.

- Witam, panno Black.

Wyciągnęła do mnie rękę, a ściskając ją, poczułam palcami przeszywający chłód jej pierścionków z diamentami i szafirami. Przywitała mnie doskonałym angielskim, z silnym akcentem szwajcarsko-niemieckim, i poprosiła, żebym się czuła w jej domu jak u siebie.

Oczy miała półprzymknięte, ale jej wzrok był bystry i przenikliwy. Nie sędzę, aby przyjaciółka Sandy'ego mogła czegoś nie zauważyć.

Podziękowałam jej i wróciłam na swoje miejsce obok Karta.

Po jakimś czasie wyszłam z sali na poszukiwanie toalety. W pobliżu nie było żadnych służących, więc wybrałam jakieś pasujące drzwi, lecz okazało się, że prowadzą do małej lodzii, a ta z kolei wychodzi na wewnętrzny ogródek. Unosił się tam zapach kwiatów i wilgotnej ziemi, słychać było pluskanie wody. W świetle wpadającym przez otwarte drzwi z tyłu za mną zauważyłam turkusowe i szmaragdowe kafelki pokrywające ściany. W górze rysował się czworobok aksamitnego nieba i trzy wieże meczetu. Był to najdoskonalszy, najspokojniejszy mały ogródek, jaki kiedykolwiek widziałam.

Stałam tam chwilę, podziwiając i zazdroszcząc, aż jeden ze służących kaszlnął za mną dyskretnie i zapytał po arabsku, czy czegoś potrzebuję. Powiedziałam mu szeptem, czego szukam, i pokazał mi drogę.

Gdy wróciłam do towarzystwa, właśnie przyniesiono kar-y do gry. Xana i mnie przydzielono do czwórki brydżowej razem z Sandym i naszą gospodynią. Mój umysł był nasączony jak gąbka szampanem i nadmierną ilością whisky. O wiele bardziej wolałabym iść do łóżka z Xanem niż grać w kar-

ty, zwłaszcza w brydża. Podczas gry grzecznie odpowiadałam na sondujące pytania gospodyni, co robię i kogo znam w Kairze. Nie wyróżniałam się zbytnio w rozmowie ani też w grze, co sprawiło, że Sandy i pani Kimmig-Gertsch wygrali od nas dziesięć szylingów. Sądząc ze spojrzenia spod ociężałych powiek, jakim pożegnała mnie wdowa, zostałam oceniona i skreślona.

Gdy nubijski majordomus wypuścił mnie i Xana w szary przedświt, była czwarta rano. Nie myślałam o godzinie. Chciałam tylko znaleźć się z powrotem w mieszkaniu i leżeć obok mego ukochanego.

Xan spał tylko godzinę, potem odsunął się ode mnie.
- Śpij dalej. Zadzwoń do ciebie później - szepnął.

O wpół do ósmej robiłam sobie herbatę i łykałam aspirynę na ból głowy, gdy weszła Faria w kremowym jedwabnym szlafroku, krzywiąc się, że jeszcze tak wcześnie. Zajmowała się trochę ochotniczą pracą dla swej matki, która wraz z dwiema innymi paniami z kairskiej socjety prowadziła charytatywny klub dla żołnierzy. Był to zapewne jeden z jej poranków smarowania grzanek masłem czy rozprowadzania biletów na koncert organizacji ENSA. Wyjęła mi z ręki butelkę aspiryny i wytrząsnęła z niej dwie tabletki wprost do ust, lecz nie była aż tak zmęczona, żeby mnie nie wypytać, gdzie byłam poprzedniego wieczoru.

Powiedziałam, a ona uniosła brwi.

- Co sądzisz na temat pani Kimmig-Gertsch?
- Straszna.
- Chodzi plotka, że jest niemieckim szpiegiem.
- To dlaczego Sandy się z nią prowadzi?

Faria popatrzyła na mnie.

- Bo ona jest szpiegiem brytyjskim. Nie wiedziałaś o tym? Roześmiałyśmy się obie pomimo bolących głów. Obraz

ich obojga, tak niedopasowanej pary, związanych żelaznym łańcuchem w tanecznym duecie wywiadu i kontrwywiadu pośród koktajli i stolików do gry w karty, był niesamowicie zabawny.

Wychodząc z mieszkania, spotkałam Sarah. Trzymała w ręku małą walizkę i oznajmiła, że jedzie na weekend do Bejrutu. Powiedziałam, że cieszy mnie, iż czuje się lepiej, życzyłam miłych wrażeń i pocałowałam na pożegnanie. Potem poszłam do pracy razem z setkami wojskowych i cywilów śpieszących do swych biur w Kwaterze Głównej.

Dopiero o jedenastej przypomniałam sobie o liście od mamy.

Zrobiłam herbatę dla Roddy'ego Boya i zaniiosłam mu wraz z dwiema markizami Huntley & Palmers na spodeczku. Właśnie tego potrzebował co rano. Popiłam herbatą jeszcze jedną aspirynę i ostrożnie rozciąłam cieniutką kopertę.

Kochana Iris!

Mam głęboką nadzieję, że jesteś zdrowa i upał nie dokucza Ci za bardzo. Powinien już nieco zelżeć, zanim ten list dotrze do Ciebie.

Podczas wszystkich oddelegowań mego ojca na Bliski Wschód i do Afryki mama okropnie cierpiała wskutek upału. Miała delikatną, bladą cerę usianą malutkimi jasnymi piegami i włosy koloru niedojrzałych moreli. Osłaniała się wielkimi kapeluszami, muślinowymi woalkami i lnianymi okryciami. A potem, pod koniec lat trzydziestych, wysłano ich do Finlandii, gdzie w środku pierwszej ostrej zimy zachorowała na odoskrzelowe zapalenie płuc i omal nie umarła. Dowiedziałam się o tym dopiero, gdy moja wychowawczym w internacie poprosiła mnie do gabinetu i powiedziała, że było źle, ale lekarze są już prawie pewni, że z tego wyjdzie.

Błagałam, żeby mi pozwolono pojechać natychmiast do Helsinek, ale wszyscy, łącznie z ojcem, oświadczyli, że to niepotrzebne, i sprawa upadła.

Po tej chorobie matka zawsze już była słabego zdrowia.

Kochanie, nie bardzo jest o czym pisać. Byłam paskudnie przeziębiona, nie mogłam się z tego wykaraskać, ale już się dobrze czuję i trochę pracuję w ogrodzie. Liliowce były w tym roku niemal boskie. Tak bym chciała, żebyś je mogła zobaczyć!

Potem było nieco szczegółów na temat naszych kotów i naszych sąsiadów, a także o tym, czego brakowało.

Brakuje jajek i cukru, a masła i mięsa prawie wcale nie ma. Dla nas z ojcem to nie jest takie dokuczliwe, ale młodym rodzinom jak Evie jest bardzo ciężko.

Evie była młodziutką żoną młodszego brata mojego ojca. Jej mąż zawsze był poza domem w czynnej służbie. Miała trójkę dzieci poniżej sześciu lat i przyjechała z nimi, by zamieszkać w małym domku w tej samej wsi co moi rodzice.

Michael i Eleanor nadal są w Londynie. Nie wiem do prawdy, jak dają sobie radę, ale utrzymują się oczywiście z pracy Michaela. Co noc bomby i cały czas zaciemnienie, i wszyscy tacy przygnębieni, wystraszeni i zmęczeni.

Eleanor była najstarszą przyjaciółką mojej matki, a jej mąż zajmował ważne stanowisko w Ministerstwie Zaopatrzenia. Mama nie umiała pisać długich listów ani nie wdawała się w dokładne opisy. Oczywiście także się nie uskarżała. Lecz te kilka słów pozwalało mi wyobrazić sobie oszpecony Londyn, pełen dymów i gruzów, drżący przed bombardowaniami, a jednak wciąż zamieszkany przez zdeterminowanych

ludzi, dzielnie i spokojnie czyniących, co w ich mocy. W Kairze zbyt wielka obfitość żywności i picia była czymś naturalnym. Tańczyłyśmy w sukniach szytych przez lokalne firmy krawieckie i prześcigałyśmy się w rozrzutności, kupując jedwabne pończochy legalnie u Cicurela. Świadomość tego kontrastu zwiększyła jeszcze mój ból głowy po szampanie.

Mama zakończyła jak zwykle:

Niech Cię Bóg błogosławi, kochanie. Twoja kochająca mama.

Zanim złożyłam niebieski papier, sprawdziłam datę. List został napisany przed sześcioma tygodniami i szedł drogą morską wokół przylądka Cape i przez Kanał Sueski do Port Saidu, tak samo jak ja sama płynęłam do Kairu ponad sześć miesięcy temu. Dopiliśmy herbatę, zjadłam herbatniki i wróciłam dopisania.

To był długi dzień. Gdy wyszłam o ósmej, na zewnątrz czekał zwykły tłumek chłopaków i mających nadzieję zostać czyimiś chłopakami. Ku memu zachwytowi dostrzegłam wśród nich czarną czuprynę Xana. Podbiegłam, a on chwycił mnie w ramiona i zakręcił nad ziemią.

- Pojedziesz ze mną? - zapytał, gdy skończyliśmy się całować.

Zapytałam dokąd, spodziewając się, że wymieni Shepherd's lub inny bar koktajlowy, zanim pójde do domu przebrać się na kolację. Ale on wsunął moją rękę pod ramię i poprowadził mnie do samochodu, tego samego, którym Hasan zawiózł nas do Gizy. Pomógł mi wejść na miejsce pasażera.

Gdy wjeżdżaliśmy w Kasr al-Ajni, Xan powiedział:

- Jadę do Szkockiego Szpitala Wojskowego odwiedzić jednego z ludzi, których wczoraj przywiozłem, dobrze?

- Oczywiście, że tak.

Szpital ten był jednym z miejsc, do których zabierano ran-

nych ludzi z pociągów sanitarnych i konwojów ambulansów docierających do Kairu. Xan zaparkował samochód i wbiegł po schodach, a ja za nim. Na korytarzach i klatkach schodowych pełno było żołnierzy w bandażach i z kulami lub na wózkach inwalidzkich, a w mijanych przez nas oddziałach stały długie rzędy łóżek. Na pierwszym piętrze znaleźliśmy oddział, gdzie większość pacjentów leżała bez ruchu, z twarzami niczym wyrzeźbione białe maski. Wyglądali, jakby już byli trupami.

Xan zatrzymał się koło łóżka w środku rzędu i pochylił się nad leżącym mężczyzną.

- *Hello*, staruszk. Wyglądasz o wiele lepiej niż dziś rano - zagał.

Odpowiedzi nie było. Nie mogło być, bo dolną część twarzy żołnierza i jego szyję osłaniał biały pancierz z bandaży. Z miejsca, gdzie powinny się znajdować jego usta, wychodziła rurka. Xan usiadł na brzegu łóżka i mówił mu swoim zwyczajnym głosem o tym, że inny żołnierz, o nazwisku Ridley, też przeżył oraz że niedaleko od szpitala jest kino z klimatyzacją. Chłodne jak zimowy poranek - opowiadał - z wysściełanymi fotelami, i pójda tam na jakiś film we trójkę, a potem wypiją galon mrożonego piwa.

Nie wiem, czy żołnierz go rozumiał i czy w ogóle go słyszał, bo nie dawał żadnych oznak życia. Xan po prostu mówił dalej.

Z metalowej ramy łóżka obłaziła farba koloru kremowego, podłoga z cętkowanego kamienia z różowymi i brązowymi płytkami przypominała zapiekankę z cielęcina i szynką. W oddziale unosił się słodkawy zapach ropiejących ran. Daleko na końcu rzędu łóżek jakiś mężczyzna zaczął jęczeć. Jego głos brzmiał raz głośniejszy, raz ciszej, zdawał się zagłuszać szum metalowych wózków i szuranie nóg.

Zimny pot wystąpił mi na czole. Poczułam, że zaraz zemdleję lub zwymiotuję.

Szybko wyszłam, kierując się przez oddział, nie bardzo wiedząc dokąd. Minęłam kilka pielęgniarek zajętych przy tacach z opatrunkami i jedną siedzącą przy czyimś łóżku. Trzymała papierosa w jego poszarpanych ustach, a on wciągał tak, jakby ten dym był samym życiem. Przedarłam się na oślep przez drzwi wahadłowe do umywalni, minęłam rząd umywalek i weszłam do kabiny WC.

Gdy stamtąd wyszłam, wycierając chustką twarz, pielęgniarka od papierosa płukała miseczkę nerkową w jednej z umywalek. Rękawy z mankietami odsłaniały białą skórę przedramion, wystające kości nadgarstków i zaczerwienione dłonie.

- Nic pani nie jest? - zapytała.

- Nie. Dziękuję. - W tym momencie czułam wstyd, że na widok cierpienia ludzi zareagowałam jak omdlewająca wiktoriańska panienska.

Pielęgniarka energicznie odłożyła metalową miseczkę, wyjęła z szafki szklanę i nalała do niej wody z dzbanka. Podała mi szklanę, a ja ostrożnie z niej upiłam.

- Przepraszam - powiedziałam bezsensownie. Chodziło mi o to, że przepraszam za zabieranie jej czasu, gdy ma tyle obowiązków za tamtymi drzwiami.

Zaskoczyła mnie, uśmiechając się.

- To może na początku tak działać na ludzi. Ale potem się przyzwyczajamy. - Miała ładny głos z wyraźnym gardłowym szkockim akcentem. Była kwalifikowaną pielęgniarką, a nie wolontariuszką jak niektóre moje znajome, na dowód czego miała naszywkę przypiętą do fartucha tuż obok zegarka. - Chce pani na chwilę usiąść? Pani znajomy wciąż mówi do kaprała Noake'a.

W umywalni było dość chłodno. W rurach mruczała woda, krany przeciekały.

- Już w porządku, za chwilę dojdę do siebie.

- Widziałam panią w mieście - oznajmiła siostra. Wyj-

mowała z pudełka gotowe opatrunki i mówiła do mnie przez ramię.

- Mnie? Jak to?

Zaśmiała się.

- Należy pani do osób, które się zauważa.

Nie przypomiinałam sobie, żebym widziała tę pielęgniarkę w klubie Gezira, u Groppiego czy na dansingu w Zazie's. Wykrochmalony, zagięty czepek osadzony był nisko na jej głowie i zasłaniał włosy.

Wyciągnęła rękę, drugą nadal trzymała paczkę bandażu.

- Jestem Ruth Macnamara.

- Iris Black.

Uścisnęłyśmy sobie dłonie.

- Jeśli już się dobrze czujesz, to wróć do pracy. Przełożona się denerwuje. Do zobaczenia tutaj znowu, tak?

- Tak - powiedziałam do jej oddalających się pleców. - Mam taką nadzieję.

Powoli wróciłam przez oddział. Xan ciągle mówił do swego kaprała. Obeszłam łóżko, stanęłam po drugiej stronie i spojrzałam w oczy żołnierza.

- *Hello*. Jestem Iris, znajoma Xana.

Nie wiedziałam, ile pozostało z dolnej części jego twarzy, ale on sam jeszcze tam był. Zamrugął i poruszył powiekami, a potem spojrzał mi w oczy. Ledwo dostrzegalnie skinął głową. Ujęłam jego dłoń i ścisnęłam, a on nie spuszczał ze mnie wzroku.

Po chwili Xan rzekł lekkim tonem:

- Noake, musimy już się zbierać. Ty się prześpij. Zajrzę tu jutro, jeśli nas przedtem gdzieś nie wyślą.

Szliśmy pomiędzy leżącymi ludzkimi maskami.

Po dojściu do samochodu usiedliśmy, żeby zapalić papierosa. Gapiliśmy się w ciemniejące niebo.

- Naprawdę jutro jedziesz? - spytałam.

- Nie wiem na pewno. Ale niedługo. Zbliża się wielkie natarcie.

Wiedzieliśmy o tym wszyscy. Niemcy i Włosi też wiedzieli i czekali.

- Co się dokładnie stało kapralowi?

- Dostał postrzał w szyję i szczękę. Dolna część kości szczęki została częściowo oderwana.

- Biedny człowiek.

- Miał więcej szczęścia niż Reggie Burke - rzekł posepnie Xan.

- Tak.

Wypaliliśmy papierosy, a tymczasem resztką światła dziennego przelała się poza widnokrąg na zachodzie, jakby wsiąkła w piasek pustyni.

- Gdzie chcesz zjeść kolację?

Nie chciałam jedzenia ani whisky, ani tańczyć. Chciałam Xana, Xana bezpiecznego, i zakończenia wojny.

- Chodźmy do domu - powiedziałam.

Natychmiast włączył silnik i wróciliśmy ulicami Kairu do GardenCity.

7

- Wyjdiesz? - powtórzył pytanie Xan.

Nie, żebym nie chciała odpowiedzieć, tylko szczęście nagle ścisnęło mi gardło tak, że nie mogłam wydobyć głosu. Przed oczami rozbłysło mi białe światło, przenikając do wnętrza czaszki i oślepiając oczy.

Odpoczywaliśmy na kocu w cieniu drzewa. Słońce w zenicie przeświecało przez szpary między liśćmi, które wydawały się czarne jak misternie rzeźbiony heban. Oglądaliśmy

mecz polo. Oprócz głosu Xana słyszałam pokrzykiwania i stukot kopyt końskich o murawę, a potem ostre uderzenie kija o piłkę.

Zwróciłam ku niemu oszołomioną twarz. Pochylał się nade mną, opierając głowę na jednej ręce, i czekał.

- Tak - zdołałam wykrztusić. - Tak, tak, tak. Wyjdę. Chcę ponad wszystko. Na wieki.

I w taki bezładny sposób obiecałam wyjść za Xana Molyneux. Liście i smużki światła oraz cała reszta świata rozmyły się, gdy schylił głowę i pocałował mnie.

Pierwszym, komu o tym powiedzieliśmy, był Jessie James. Podszedł do nas w białych bryczesach i koszuli mokrej od potu po meczu, jeszcze na nieco sztywnych nogach, z twarzą zarumienioną od wysiłku i sukcesu.

- Widzieliście to?!-wołał.

- Nie - bezceremonialnie odparł Xan.

- Ależ to była najlepsza bramka, jaką kiedykolwiek wbiłem! Molyneux, co z ciebie za przyjaciel?

- Bardzo szczęśliwy, durniu. Iris powiedziała, że za mnie wyjdzie. Wyobrażasz to sobie?

Jessie stanął jak wryty. Usta składały mu się do śmiechu, lecz udawał, że się krzywi.

- O, nie. To jakaś pomyłka. Iris wyjdzie za mnie, bo już się przekonała, jaki jesteś beznadziejnie kiepski. Iris, powiedz mu, że tak jest, dobrze?

Wyciągnęłam do niego obie ręce i chwyciliśmy się za dłonie. Jego były gorące. Trzymając go tak, krążyłam wokół niego tanecznym krokiem.

- Życz nam szczęścia, Jessie.

Wtedy jego twarz spoważniała.

- Życzę. Życzę wam obojgu wszystkiego najlepszego, największego szczęścia pod słońcem. - Na chwilę zapadła cisza, gdy pocałował mnie w policzek. - Z ciebie to szczęściarz, Molyneux.

- Myślisz, że o tym nie wiem?

Lecz ja wiedziałam, że szczęściarką byłam właśnie ja.

Później, tamtego popołudnia, Jessie zrobił nam zdjęcie aparatem pożyczonym beztrąsko od niejakiego Gordona Foxbridge'a, który oglądał i fotografował mecz polo. Major Foxbridge należał do naszego personelu; widywałam go od czasu do czasu w ciasnych korytarzykach Kwatery Głównej. Był entuzjastą fotografii amatorskiej. Jego ponure zdjęcia Arabów z plemion pustynnych zostały później opublikowane w książce.

- Gordonie, stary druhu, chciałbym uwiecznić ważny dzień - nalegał Jessie.

Major Foxbridge zaproponował, że zrobi to zdjęcie, ale Jessie chciał je zrobić sam, więc major uprzejmie podał mu swoją lejkę. Stanęliśmy z Xanem na skraju boiska do gry w polo w klubie Gezira, w miejscu gdzie spieczoną ziemię porysowały i wytarły kopyta końskie. Xan obejmował mnie w pasie, a ja oparłam głowę na jego ramieniu i śmiałam się do obiektywu.

- Patrzeć na mnie! - komenderował Jessie.

Gordon wywołał zdjęcie w swej ciemni i przyniósł mi do biurka w szarej kopercie z napisem: „Zaręczyny panny Iris Black i kapitana Molyneux”, jakby je zamieszczano w „Tatlerze”.

Zdjęcie pokazywało nas wiernie, ale też wyglądaliśmy piękniej niż zwykle. Tego dnia z oblicza Xana bił blask niepodobny do przyjmowanej przez niego obojętnej pozy, ja zaś, dzięki przepełniającemu mnie szczęściu, wydawałam się piękniejsza niż zwykle.

Ta fotografia towarzyszyła mi wszędzie, gdzie podróżowałam przez wszystkie późniejsze lata.

To właśnie zdjęcie, o które zapytała Ruby.

Co jej odpowiedziałam? Nie pamiętam.

Jak znaleźć słowa, żeby opowiedzieć jej, mojej wnuczce,

całą tę historię? Sama nie potrafię jej ogarnąć. Gdy próbuję coś uchwycić, umyka mi i w ręku zostaje tylko pył, znów tylko puste miejsce na półce. Muszę więc być cierpliwa i czekać, aż wspomnienia i marzenia same do mnie przyjdą, a potem spróbować je poukładać.

Lecz nigdy nie byłam kobietą cierpliwą.

Niezwykła propozycja Ruby poruszyła mnie. Również sposób, w jaki mnie przekonywała, mówiąc o tych swoich muszlach i owadach. Wyobrażam ją sobie jako dziecko, ciemnobrewę i poważne, umieszczone w pokoju urządzonym przez Lesley i ślęczące nad swymi zbiorami, ustawiające eksponaty, prawdopodobnie po to, by poukładać ten trudny świat.

To niezwykła istota. Jej przyjazd jest nieoczekiwanym błogosławieństwem.

Tego samego wieczoru pojechaliśmy znów do Szkockiego Szpitala Wojskowego odwiedzić kaprała Noake'a. Jessie James chciał, żebyśmy wszyscy razem poszli na kolację i świętowali tę okazję długo w noc, lecz Xan uparł się, że najpierw musimy zobaczyć jego ludzi.

Od personelu szpitala dowiedzieliśmy się, że rokowanie drugiego żołnierza, szeregowego Ridleya, nie było pomyślne. Wkutek odniesionych ran wywiązała się ciężka infekcja i popadł w stan głębokiej śpiączki, ale Xan nie powiedział o tym Noake'owi. Usiadł tylko na brzegu jego łóżka i z humorem opowiadał o wyprawie do kina i picciu piwa, a potem śmiał się z pustyni i jakiegoś miejsca, gdzie roiło się od much, wskutek czego nie mogli włożyć do ust jedzenia bez połknięcia tuzinów tych owadów. Noake w odpowiedzi ujął nadgarstek Xana i zrobił coś w rodzaju kiwnięcia głową.

Dojrzałam Ruth Macnamarę przestawiającą parawany i pochylającą się nad leżącymi bez życia mężczyznami. Nie śpieszyła się szczególnie, ale wszystko robiła szybko i spraw-

nie. Chciałam z nią jeszcze porozmawiać, więc zostawiłam Xana z jego monologiem i skierowałam się do niej przez oddział.

Po przeciwnej stronie niż umywalnia zauważyłam coś w rodzaju otwartej łodzi wzdłuż całej ściany. Siedziało tam im krzesłach dwóch czy trzech mężczyzn, a przy ścianie stały dwa łóżka. Ruth pochylała się nad jednym z nich i oglądała pacjenta.

- Halo, panno! - zawołał młody mężczyzna z jednego z krzeseł. - Szukasz mnie?

Z ulgą usłyszałam tu wreszcie jakiś silny męski głos.

...Nie całkiem. Ale skoro już tu jestem, czy mogę w czymś pomóc?

Mężczyzna uśmiechnął się z sarkazmem.

Może ze mną zatańczysz?

Już chciałam coś powiedzieć o gramofonie albo żeby sam zaśpiewał, ale mój wzrok pobiegł w dół i zobaczyłam, że fałdy koca pod zagięciami jego kolan są puste.

Żołnierz dodał ciszej:

- Albo może nie. Innym razem, co?

Ruth wyprostowała się.

- Poczekaj, Doug. Założą ci jakieś protezy i będziesz tańczył jak Fred Astaire. Witam cię znów, Iris.

- Ona ma rację - powiedziałam do Douga.

- A ty co, lekarka? - zapytał.

- Nie - przyznałam. Ale chciałabym nią być. Żeby móc coś zrobić, cokolwiek, dla tych okaleczonych mężczyzn i dla tych unieruchomionych, leżących cicho w swych rzędach na sali oddziału. Chciałabym w ogóle robić coś pożytecznego, zamiast tylko przepisywać memoranda Roddy'ego Boya i nakładać mu na porcelanowy spodek dwie markizy dokładnie o jedenastej każdego dnia.

- Aa. Cóż, jesteś tak ładna, że wystarczy, jak tu stoisz, i można cię podziwiać.

Ruth odwróciła się.

- Wystarczy tego. Iris, możesz mi tu trochę pomóc?
Z drugiej strony łóżka.

Stałam naprzeciwko, a między nami leżał ranny mężczyzna.

- Trzeba go przewrócić na drugą stronę. - Wzrok mężczyzny spoczął na jej twarzy, potem na mojej. Całą klatkę piersiową miał w bandażach, spod których wystawały skrecone brzegi żółtego opatrunku odkażającego. Starłam się całym wysiłkiem woli nie wyobrazić sobie zmasakrowanych mięśni i kości pod spodem.

- Przepraszam - stęknął.

- W porządku - rzuciła Ruth, a ja nie byłam pewna, czy mówi do żołnierza, czy do mnie. Wsunęłyśmy ręce pod ciało pacjenta i chwyciłyśmy się za nadgarstki.

- Teraz raz, dwa, trzy, podnosimy.

Był rozpalony gorączką i całkiem lekki. Wspólnie z Ruth uniosłyśmy go na rękach i zobaczyłam głęboką ranę we wrażliwym miejscu obok wyrostka kości miednicznej. Delikatnie położyłyśmy go z powrotem w nieco innej pozycji.

- Lepiej. Dziękuję - powiedział.

- Czy pani asystentka przyjdzie jutro, siostró Mac?! - zawołał jeden z towarzyszy Douga.

- Postaram się - odparłam mu.

Ruth uniosła brwi.

- Chcesz być wolontariuszką? - Pracowała dalej i uświadomiłam sobie bardzo wyraźnie, że miała dużo do zrobienia. Poczułam się przy niej płytka i nieudolna.

- Ja mam pracę.

- Co robisz?

- Piszę na maszynie. W Kwaterze Głównej. Bardzo skromna praca.

- O, to musisz mieć duże powodzenie. Tylu tam oficerów. Patrz, idzie twój przyjaciel.

Przez oddział w naszym kierunku szedł Xan.

Narzeczony. - Słowo to padło, zanim zdążyłam pomyśleć; było pełne dumy i satysfakcji, które powinnam zachować dla siebie.

Ruth obrzuciła mnie wzrokiem, rozbawiona.

Naprawdę? Gratuluję. Kiedy ślub?

- A, tego jeszcze nie ustaliliśmy. Dopiero... dziś podjęliśmy tę decyzję. Pozwólcie, że was przedstawię. Kapitan Xan Molyneux. Xanie, to jest Ruth Macnamara.

Uścisnęli sobie dłonie, a w drzwiach właśnie pojawiła się starsza pielęgniarzka w ciemnoniebieskim uniformie o surowym wyglądzie.

- O Boże! Przyszła ta hetera - jęknęła Ruth. - Słuchaj, gdzie ty mieszkasz?

Powiedziałam, a ona skwitowała to uśmiechem.

- A ty? - spytałam.

- Daleko, przy drodze do Heliopolis. Tam jest tanio. Teraz muszę się pośpieszyć. Zostawisz mi swój telefon?

- Jeszcze tu przyjdę. Xanie, przyjdziemy?

My. Czy przyzwyczaję się do luksusu używania tego małego słówka?

- Dobrze. No to na razie. - Ruth pospieszyła wzdłuż sali.

- Zawarłaś znajomość - zauważył Xan.

- Tak myślę. - Chciałam lepiej poznać Ruth Macnamarę. I choć szpital był miejscem smutnym i strasznym, przyciągał mnie. Byli w nim ludzie dający z siebie wszystko, przeświadczeni, że to, co robią, jest bardzo ważne.

Jednak poszliśmy uczyć nasze zaręczyny. Zaczęliśmy od koktajli w Shepheard's, a potem była kolacja na łodzi zacumowanej na Nilu, gdzie Jessie wznosił toast i krag twarzy spojrzał na nas lśnącymi oczami sponad kieliszków szampa. Była z nami Faria z poetą, który wyglądał jeszcze bardziej ponuro i ubranie też miał bardziej niż zwykle wymięte i obsy-

pane popiołem z papierosów. Sarah jeszcze nie wróciła z podróży, ale przyszło paru z 11. Pułku oraz znajomy Xana, tajemniczy major David. Pojawiła się również Betty Hopwood w nowej sukience z jakiegoś opalizującego, czarnozielonego materiału. Faria szepnęła do mnie, że wygląda w niej jak gigantyczny żuk.

- Jak to bosko, że to wy oboje! - pisnęła Betty. - Kiedy ślub?

W Kairze wszystko działo się bardzo szybko. Nie było żadnego powodu, by cokolwiek odkładać nawet do jutra lub odmawiać sobie jakichkolwiek życiowych przyjemności, bo zawsze istniała możliwość, że wojna wkroczy do akcji. Ale odpowiedziałam, że jeszcze nie zdecydowaliśmy. Chciałam powiadomić moją matkę i rodzice Xana też powinni się dowiedzieć. Dziwna wydawała się myśl o wszystkich krewnych z obu stron, o życiu, jakie wiodliśmy w innych miejscach, i o naszych oddzielnych historiach, a nie po prostu o Xanie i mnie oraz tej obecnej, chaotycznej teraźniejszości, o tym, jak się pokochaliśmy. Lecz wojna i Egipt tworzyły własny, odrębny świat i na razie cały świat na zewnątrz był dla nas ukryty w cieniu.

Był jeszcze jeden powód, dla którego nie rozmawialiśmy z Xanem o terminie ślubu. Znow miał jechać na pustynię i oboje wiedzieliśmy, że nastąpi to już niedługo. Może za niewiele godzin.

- Wrócę do Kairu najpóźniej do Bożego Narodzenia, kochanie.

- Obiecujesz?

- Z ręką na sercu. Wypędzimy Rommla całkiem z Afryki. Wiem, że to zrobimy. A potem ty i ja możemy się zająć naszymi planami. - Mówił tak optymistycznie ze względu na mnie, a ja starałam się mu wierzyć.

Betty pochyliła się teraz przez stół i poklepała mnie w ramię.

- Nie odkładajcie tego za długo. - Potrząsnęła swoją puszystą czupryną, mrugając do mnie. Zdażyła mi już opowiedzieć historyjkę o jednej z jej koleżanek z korpusu transportu, która na dnie swego plecaka nosiła pogniecioną satynową suknię ślubną, żeby być gotową, jak tylko zjawi się jej potencjalny mąż.

- James? Gdzie jest ten cholerny Jessie?! - krzyczał ktoś z 11. Pułku. - Niektórzy z nas nie mają jeszcze dziewczyny. Dokąd teraz idziemy?

Początkowo organizatorem wieczoru był Jessie, ale w miarę upływu godzin nasze party rozkręcało się coraz bardziej, aż potoczyło się siłą rozpędu po nocnych klubach Kairu. O drugiej w nocy wylądowaliśmy ponownie w Zazie's. Tańczyłam z Xanem i czułam przez satynę sukienki jego gorące ciało. Alkohol i euforia zaburzyły normalny bieg minut i godzin, toteż oboje mieliśmy przeświadczenie, że ta noc będzie trwała wiecznie. Że był czas na zabawę z przyjaciółmi i na tańiec, ale zostanie jeszcze dużo czasu na bycie razem. Wyjazd na pustynię to tylko maleńki, ciemny i szybko znikający punkcik na naszej długiej drodze do szczęścia.

Potem występowała Elvira Mursi i na koniec posłała nam obojgu całusa.

Pojawił się Sandy Allardyce. Dość powoli ujął moją rękę i usiadł tuż przy mnie na jednym z małych złoconych siedzeń w aksamitnej wnęce. Jego okrągła czerwona twarz była bardzo poważna, a ja trochę za późno zorientowałam się, że wyznaje mi miłość.

- ...dobrym człowiekiem. Może trochę lekkomyślnym, ale dobrym urzędnikiem państwowym. Tak. Wybór. Oczywiście.

To przywilej każdej kobiety. Ale wiesz, Iris, chciałbym, żeby było inaczej. Zamierzałem ci tylko o tym powiedzieć.

Pokręciłam głową, czując narastające zmieszanie i współczucie oraz ze wstydem pohamowując się od śmiechu.

- Sandy. Naprawdę, wierz mi, nie wiedziałam. Nie mia-

łam pojęcia. Nigdy... nie dawałam ci odczuć czegoś, czego nie powinnam, prawda?

- Nie. W najmniejszym stopniu. Dama w każdym calu, zawsze.

Teraz już zaniemówiłam. To z powodu określenia mnie damą. Sandy podniósł moją dłoń, jakby to był diament Koh-i-noor, i przycisnął usta do jej grzbietu.

- Ani słowa. Szszsz. Więcej nie będę o tym mówił. Do końca życia. Obiecuję ci na mój honor.

Pani Kimmig-Gertsch spoglądała na nas groźnie z nad swego stolika w pierwszym rzędzie.

Wreszcie i ta noc dobiegła końca i pojechaliśmy z Xanem taksówką z powrotem do jego mieszkania. Słońce już wstało, zmiatacze ulic pracowali, a osły ciągnęły na targ wózki załadowane warzywami. Nie byłam już pijana ani nie czułam zmęczenia. Światło poranka miało w sobie jakąś absolutną biel i ostrość, jakby zapowiadając, że w tym dniu skryształuje się wszystko, co zaszło do tej pory. Wiedziałam już, że będzie to jeden z dni, które zapamiętam na całe życie.

Próbuję sobie przypomnieć. Trzymam to w dłoniach złożonych w miseczkę, żeby wydobyć właściwy kształt.

Na obskurnej kanapie spał oficer kawalerii w butach z ostrogami.

Kuchnia wyglądała jak pobojuwisko, pełne butelek i rozlanych napojów.

Drzwi jednej z łazienek były zablokowane. Wcisnęłam się do drugiej, przez chwilę kontemplowałam swoją twarz w zmatowiałym, lustrze, a następnie pośpiesznie wymyłam zęby szczoteczką Xana. On przez ten czas już odpinał z pętelek obciążane satyną guziczki z tyłu mojej sukni.

To pamięć o tamtym kochaniu w duszny kairski poranek, po wytańczeniu z siebie wypitego alkoholu aż do całkowitej trzeźwości, jest tym wspomnieniem, które tulę do serca. By-

liśny tak bezwstydni, a zarazem słodko niewinni, tak mocni swoją niewinnością!

Jeszcze teraz, choć mam osiemdziesiąt dwa lata i tracę pamięć, wspomnienie to wciąż mnie zaskakuje i sprawia, że cała mięknę.

Na koniec Xan zasnął, a ja obserwowałam, jak śni. Trochę się krzywił i drżał, więc żeby go uspokoić, położyłam rękę na tym kościstym miejscu, gdzie schodzą się zebra. Czułam, jak jego oddech powoli wznosi się i opada.

Nie poszłam do pracy. Zadzwoiłam do Roddy'ego Boya i powiedziałam mu, że mam rozstrój żołądka. Spokojnie zniosłam sarkastyczny ton jego głosu, gdy życzył mi szybkiego powrotu do zdrowia i wyraził nadzieję, że kapitan Molyneux troskliwie się mną opiekuje.

Po południu zjedliśmy nieco krzepiących ciastek i wypiliśmy kawę w cienistym ogródku Groppiego, a potem Xan zabrał mnie do jubilera w starej dzielnicy, żeby kupić pierścionek.

- Mam w zasadzie taki raczej pretensjonalny rodzinny diament, który należy do mojej matki. Jestem jedynym synem, więc będzie chciała go ofiarować tobie. Myślisz, że dasz radę to znieść? Ale do tego czasu chcę, żebyś już coś miała. Co by ci się podobało?

Chodziliśmy, trzymając się za ręce, wzdłuż uliczki ze szlachetnymi kamieniami. Koptowie i Żydzi zaczepiali nas, zapraszając na siłę do swych małych sklepików. Doszliśmy do miejsca na brukowanej uliczce, gdzie było tak wąsko, że nie mogliśmy iść obok siebie. Xan spojrzał w górę na szyld.

- To tutaj.

- Xanie, ja nie potrzebuję pierścionka. Mam ciebie.

- Kochanie, to tylko symbol. Ale chcę, żebyś go nosiła.

Kupiec otworzył sejf i wyjął dla nas obciążone akksamitem tacki z nieobrobionymi kamieniami. Obracaliśmy je

w palcach jak chłodne sople lodu. W końcu pod presją wybrałam przydymiony purpurowy ametyst i zamówiłam do niego najprostszą oprawę. Potem Xan wyprowadził mnie ze sklepu i włożył sobie moją rękę pod ramię.

- Dobrze. To co teraz byś chciała robić?
- A gdzie jest Hasan?
- W domu, ze swoją rodziną, jak sądzę. A co?

Nie rozmawialiśmy o tym, ale oboje podejrzewaliśmy, że może to być nasz ostatni dzień i noc razem przed kolejnym wezwaniem Xana. W naszym mieszkaniu w Garden City Mamduh pewnie wykonywał swoje domowe obowiązki za pomocą ścierek i sody kaustycznej, a u Xana byli skacowani oficerowie i ten sam śmietnik żołnierskiego życia, od którego uciekliśmy trzy godziny temu. Moglibyśmy spróbować znaleźć pokój w hotelu, ale przy tym niekończącym się strumieniu przyjezdnych, dyplomatów i wojskowych przelewających się przez Kair nie było to zbyt łatwe. Pomyślałam, jak cudownie byłoby znów pojechać do piramid i obejrzeć zachód słońca za oazą kryjówką Hasana.

Gdy powiedziałam to Xanowi, uśmiechnął się.

- Jestem na twoje rozkazy. Ale będę musiał iść i wybrać samochód.

Szliśmy ulicami w piekącym popołudniowym słońcu z powrotem w stronę Kwatery Głównej. Minęliśmy tłum żołnierzy australijskich o potężnych udach i mięsistych dłoniach, pocących się pod ciężarem nabitych plecaków, i mniejszą grupkę brytyjskich, którzy w porównaniu ze swymi kolegami z antypodów wyglądali na białych i niewyrośniętych. Wszyscy dopiero co przyjechali, bo patrzyli w osłupieniu na potoki śmieci i odchodów w kanałach, na niemożliwe do odczytania uliczne drogowskazy i na starych ludzi w łachmanach śpiących w cieniu łuszczących się murów. W mieście pełno było przejezdnych, w drodze do obozów przed zbliżającą się wielką bitwą. Wiedziałam tylko, że nastąpi, nie

miałam pojęcia gdzie i kiedy. Xan z całą pewnością wiedział więcej.

Doszliśmy do wysokiego, anonimowego budynku na zaniedbanej ulicy biegnącej na zachód w kierunku Rody. Właśnie doszłam do wniosku, że musi to być coś w rodzaju głównej siedziby Tellforce, gdy z cienia pod zniszczonymi budynkami naprzeciwko wyłoniła się czyjaś sylwetka i podbiegła do Xana. Brązowa dłoń złapała go za rękaw koszuli i ktoś powiedział coś szybko po arabsku. Był to Hasan.

Xan rzucił mi spojrzenie i pochylił się w stronę Hasana, słuchając, co mówi. Czekałam, czując, jak słońce pali mi czubek głowy, i wiedząc, że cokolwiek się dzieje, nie jest to dobra wiadomość. Hasan cofnął się, nieznacznie skłaniając głowę w moją stronę.

Z wyrazu twarzy Xana już wyczytałam, co się szykuje.

- Muszę jechać - powiedział.

- Kiedy?

- Teraz. Mam być na miejscu z moim patrolem przy drodze wyjazdowej z Al-Aghajla dziś wieczorem.

Według moich niekompletnych informacji było to około sześćuset kilometrów na zachód poza linią wroga na froncie, który wtedy przebiegał wzdłuż granicy z Libią.

- Dziś wieczorem? Jak? Czy to nie jest... bardzo daleko?

- Jest tu Wainwright z dwupłatowcem.

Tellforce posiadało dwuosobowy samolot WACO, zwykle pilotowany przez samego dowódcę, podpułkownika Wainwrighta.

- Czeka na lotnisku. - Xan ujął moją twarz obiema dłońmi. Hasan odwrócił się i stał nieruchomo jak kamienny posąg na straży schodów obdrapanego domu i, widziałam to, na straży samego Xana. Dostrzegłam również w oczach Xana blask podniecenia i niecierpliwości. Wiedziałam już, że gołów był jechać. Chciał jechać! Już pędził ku przygodzie, cokolwiek go tam czekało. Pomimo wiszącego nad głową par-

nego popołudnia zrobiło mi się zimno. Jednak zdołałam się uśmiechnąć, a moje wargi odwzajemniły jego pocałunek.

- Przepraszam - wyszeptał.

Wbrew wszelkim impulsom, które pchały mnie, żeby przyłgnąć do niego jak natrętne dziecko i błagać, by został, położyłam tylko dłonie na jego koszuli. Gdy skończyliśmy się całować, wysunęłam się odrobinę z jego ramion, zwiększając odległość między nami. Hasan przybliżył się o tyle samo. Najważniejsze ze wszystkiego było teraz to, co mieli do zrobienia oni dwaj z kawaleryjskim patrolem Xana na pustyni, a nie ja i Xan. Zanim on znów wróci do Kairu, w nadchodzących tygodniach będę miała dużo czasu, by się oswoić z taką hierarchią ważności.

- Wróć, jak tylko będziesz mógł - szepnęłam. - A teraz już idź.

Hasan już podążył do samochodu sztabowego Tellforce, który spostrzegłam zaparkowany w cieniu drzewa. Xan odwrócił się w tę stronę, potem znów do mnie, przyciągnął mnie i lekko przygryzł moje wargi. Zobaczyłam czarną plamę jego włosów i poczułam na skórze guziki jego koszuli.

- Kocham cię - powiedział.

- Wiem. - Uśmiech, który przedtem na sobie wymusiłam, stał się teraz prawdziwy. Rozkwitł na moich ustach jak kwiat. - Ja też cię kocham. Będę tutaj. Jedź.

Hasan doszedł do samochodu i wsunął się na siedzenie kierowcy. Xan pobiegł za nim, a potem znów zwolnił i krzyknął przez ramię:

- Pójdiesz za mnie odwiedzić Noake'a?!

Już wcześniej podjęłam decyzję, że muszę to zrobić.

- Oczywiście, że tak.

Pociągnął drzwi od strony pasażera, otworzył i zasalutował. Jedną ręką osłaniając oczy od słońca, drugą dotknęłam palcami do ust i posłałam mu całusa. Ślizgające się opony samochodu wbiły w górę małe obłoczki kurzu, które wisiały

w powietrzu jak biaława mgła jeszcze przez wiele sekund po zniknięciu samochodu.

Po przybyciu do szpitala najpierw poszłam zapytać o szeregowca Ridleya. Skierowano mnie do inspektora służby ochotniczej, urzędującego w pomieszczeniu bez wentylacji na parterze, co mi przypomniało moje własne skąpe stanowisko na korytarzu. Była to Francuzka, ale wyjaśniła mi po angielsku, że żołnierz zmarł tego dnia wczesnym rankiem, nie odzyskując przytomności.

- Przykro mi. Czy był to pani krewny? Lub może przyjaciel? -. Mierzyła mnie wzrokiem badawczo.

- Ani to, ani to. Mój przyjaciel jest, był, jego dowódcą.

- Rozumiem. - Zebrała razem kilka kartek maszynopisu wypełnionych nazwiskami i wyrównała ich brzegi. Miała zadbane paznokcie i złotą obrączkę na palcu. Szeregowiec Ridley prawdopodobnie umarł w czasie, gdy my z Xanem leżeliśmy, tuląc się w objęciach. Czyjaś strata zbiegła się z naszym szczęściem. Gdzieś w Anglii żyła jego matka, czekała rodzina, być może narzeczona lub żona, która jeszcze nie wiedziała, że on nie żyje. Zmarszczyłam czoło, usiłując poukładać te pojedyncze, rozrzucone fakty w całość jak inspektorka kartki papieru, ale bezskutecznie. Xan i ja byliśmy dziś żywi, w naszych żyłach pulsowała krew. Ten mężczyzna był martwy, a inni stracili pół twarzy czy obie mocne nogi. Nagle wydało mi się, że jest ich cała wielka armia.

Gdy zaczęli w mojej głowie swój marsz, zastępy zabitych i okaleczonych przerosły swą liczebnością i siłą tych, co jeszcze zostali przy życiu, a puste czaszki i roztrzaskane członki zdławiły nadzieję i szczęście. Może nie moje i Xana, ale rodziny szeregowca Ridleya i pacjenta Ruth Macnamary, który już nie będzie mógł tańczyć, i całego świata. Zazie's, Shephard's i klub Gezira stały się ciemnymi jaskiniami, wypełnionymi po brzegi tłumem umarłych.

Siedziałam w milczeniu, lekko drząc.

- Przykro mi - powtórzyła Francuzka. - Czy mogę pani pomóc w czymś innym? - Miała dużo pracy, być może musiała przekazać podobne wieści jeszcze o dziesiątkach innych mężczyzn.

- Nie, dziękuję - zdołałam wykrztusić.

Wyszłam z jej biura i poszukałam drogi na oddział.

Noake leżał oparty na poduszkach. Dolną część jego twarzy zasłaniał świeży opatrunek. Gdy zobaczył mnie, podniósł rękę w skromnym geście pozdrowienia. Usiadłam w miejscu, gdzie siadał Xan, żeby pogadać do niego beztrąsko w taki sam sposób jak on. Nie chciałam mu mówić o śmierci Riddleya, jeszcze nie.

- Hej tam! Jak się pan czuje, panie Noake? Dziś, niestety, ma pan tylko mnie. Kapitana Molyneux posłano znów na pustynię, drogą powietrzną. Przyleciał dziś sam pułkownik Wainwright, żeby go zabrać. Co pan o tym myśli?

Widziałam, co o tym myśli. Pod spuchniętymi i sinymi powiekami jego oczy zaśniły radością i ciekawością, ale był w nich też cień zaczepnej konstatacji, że oficerowie i dowódcy to sobie latają. Wszyscy w Tellforce poca się, pokonując ciężarówkami niekończące się wydmy, odkopując koła samochodów grzęznących w piachu i ciągnąc podkładane pod nie metalowe szyny. Ale inni rangą nie muszą poznawać tej rutyny. Mimo to uważałam, że dla patroli zagrzebanych w głębi pustyni musiał to być miły widok, gdy mały, jednosilnikowy samolot, brzęcząc, zlatywał z nieba i lądował na za-improvizowanym pasie startowym na piasku.

- Nie wiem, kiedy wróci - rzuciłam.

Ku memu zaskoczeniu dłoń Noake'a przesunęła się po prześcieradle, znalazła moją i mocno ją ścisnęła. Popatrzyłam na nasze złączone palce i na biegnące do jego ręki rurki, przez które zapewne go odżywiali.

Noake widział mnie razem z Xanem. Nic mógł mówić,

jego pokieroszowane usta nie potrafiły wydobyć słów, ale dawał mi do zrozumienia, że współczuje mi tego nagłego cierpienia z powodu rozstania z ukochanym.

Musiałam na chwilę spuścić głowę.

Dłoń kaprała była duża i ciężka, paznokcie połamane i poczerniałe, a wokół paznokci i na kostkach miał głębokie pęknięcia. Xan mówił mi, że jest mechanikiem, utalentowanym w przywracaniu nowego życia ich sfatygowanym ciężarówkom.

- Powiedział, że będzie z powrotem na Boże Narodzenie - dodałam przygaszonym tonem.

Nie wiedziałam, ile było mi wolno wiedzieć ani do jakiego stopnia mogę informować Noake'a o tym, ile wiem. Ale on i tak nie mógł nic nikomu powiedzieć, a ja byłam spragniona mówienia o Xanie.

- Nie mam pojęcia, jaka jest naprawdę na to szansa. Chyba nikt tego nie wie. Pan wie? Ale nadchodzi wielkie natarcie, wszyscy o tym mówią, prawda? Martwię się o niego, bo trochę wiem, co robi Tellforce. A Xan musi wykonywać swoje zadania jak każdy inny, jak pan to robił, panie Noake.

I jak robił szeregowiec Ridley. Wyprostowałam się nieco bardziej i spojrzałam w oczy rannego mężczyzny, pamiętając to mimowolne podniecenie, jakie widziałam u Xana.

- Pewnie to dla pana trudne nie brać udziału w tym, co się dzieje.

Noake kiwnął głową, wciąż trzymając mnie za rękę.

- Musimy się trzymać razem - orzekłam. - A pan musi szybko wyzdrowieć.

Po drugiej stronie łóżka ukazał się nakrochmalony fartuch. Stała tam Ruth z naręczem czystej pościeli.

- Znow tu jesteś. Nie może się z nami rozstać, co, Albie? Ucieszyłam się, że poznałam jego imię.

- Albie? Mogę też tak do pana mówić? Ja jestem Iris, pamięta pan?

Mrugnął oczami, że tak.

Ruth zapytała:

- A gdzie jest dzisiaj twój przyjaciel? To znaczy narze-
czony.

- Właśnie mówiłam o tym Albiemu. Wyjechał. Dostał
pośpieszne wezwanie na pustynię.

- Ach! Słuchaj, może chcesz się napić kawy albo czegoś,
jak skończę pracę?

- Tak, zróbmy to.

Wróciła do swych zajęć, a ja dalej mówiłam do Albiego. Zupełnie nie wiedziałam, co on chciałby usłyszeć, ale opowiedziałam mu o Farii i Sarah, o naszym mieszkaniu w Garden City i o Mamduhu i jego synku, który przychodzi z nim do pracy, siada na stołku w rogu jego pakamery i ssie cukierki, wciskane mu przez Farię. Mówiłam o Zazie's i Elvirze Mursi, o domu pani Kimmig-Gertsch, o Roddym Boyu i moim kawałku korytarza w Kwaterze Głównej, a także o Kairze, jaki pamiętałam z dawnych, przedwojennych czasów, gdy mój ojciec pracował w ambasadzie. Gładziłam trzymaną dłoń Albiego. Raz czy dwa zamknął oczy i już myślałam, że zasnął, ale gdy tylko przestałam mówić, znów je otwierał.

- Potrafi mówić za dwoje, co? - powiedziała Ruth, gdy przyszła z powrotem.

Delikatnie puściłam rękę Albiego i wstałam.

- Przyjść jeszcze któregoś dnia? - zapytałam go. Oprócz kiwnięcia wydał też w gardle dźwięk przypominający gulgotanie i jęk, co miało oznaczać, że tak.

- Zawsze może mi pan powiedzieć, żebym sobie poszła - rzekłam z uśmiechem. - Dobranoc, Albie.

Wyszłam za Ruth z oddziału, potem zbiegłyśmy w dół po kamiennych schodkach. Przed drzwiami z napisem: „Pokój pielęgniarek” rzuciła:

- Zaczekaj tu.

Kilka minut później pojawiła się znowu, a ja zamrugałam

oczami ze zdziwienia. Włosy jej zawsze przykrywał sztywny czepek, a teraz zobaczyłam po raz pierwszy, że mają żywy odcień koloru ciemnorudego. Przy nich jej blada cera wydawała się przezroczysta, co łagodziło trochę ściągnięty i surowy wyraz twarzy. Ruth nie wyglądała na więcej niż jakiś rok starszą ode mnie. Zdjęła już fartuch i na swym służbowym uniformie miała cienki płaszcz. Bez nakrochmalonego zewnętrznego fartucha nie szeleściła, idąc. Skinęłyśmy na siebie, teraz z odrobiną dystansu, bo byłyśmy już na neutralnym gruncie.

Jadąc tu z Xanem, zauważyłam, małą kawiarenkę na rogu ulicy. Można tam było dojść pieszo, a znajdowała się na tyle daleko, że nie wypełniały jej tłumy ludzi ze szpitala. Zaproponowałam, żebyśmy tam poszły, a Ruth się zgodziła.

- Wszędzie, gdzie dadzą coś do jedzenia. Jestem bardzo głodna.

Kawiarnia miała podłogę z połamanych i spękanych kafelków ceramicznych, a wysokie lustro nad kontuarem powieszono było pod kątem tak, że odbijały się w nim czubki naszych głów i skrócone optycznie ciała. Przebywała tam zaledwie garstka klientów, ale przyjemnie pachniało kawą i aromatycznymi potrawami.

Ruth zamówiła jajka *i ful*, a ja talerz owoców. Czekać na jedzenie, piłyśmy miętową herbatę, a gdy tylko postawiono przed nami koszyk *ajsz baladi*, Ruth oderwała kawałek ciepłego wiejskiego chleba i żuła go zachłannie.

- Przepraszam. W ciągu dnia nie mam czasu nic zjeść. Zwykle po pracy wsiadam do autobusu i jadę prosto do domu na posiłek. Osoba, z którą mieszkam, gotuje, a jeśli jestem sama, coś tam wrzucam na talerz. - Zrobiła grymas dezaprobaty dla samej siebie, a potem się roześmiała. - Bardzo bym chciała umieć gotować, ale nie mam do tego talentu.

My z Sarah i Farią też nie gotowałyśmy. Mamduh zostawił nam jedzenie pod przykryciem. Mogłyśmy najwyżej

ugotować jajko czy zrobić kanapki. Lecz na ogół zapraszano nas do restauracji.

Czułam przepaść dzielącą mnie od Ruth Macnamary i wiedziałam, że ona też jest tego świadoma. Nic **nie** umknęło jej uwagi, jak się domyślałam.

- Mieszkasz z drugą pielęgniarką?

- Z lekarzem.

- Gdzie on pracuje?

Ruth uniosła brwi.

- To ona.

I wymieniła jeden z kilku szpitali wojskowych.

Zaczerwieniłam się jak burak z powodu swych przypuszczeń.

- Głupio powiedziałam - przyznałam.

- Wcale nie. Ilu znamy anestezjologów płci żeńskiej? Ale Daphne nim jest. Jest **bardzo** dobra. - Ruth była najwyraźniej dumna ze swej koleżanki.

- Chętnie bym ją poznała.

Na to Ruth **nic nie** odpowiedziała. Podano gorące naczynie z jajkami i krojoną papryką, więc zanurzyła w nich widlec. Ja jadłam kawałki melona i mango, patrząc na nią. Gdy opróżniła ponad połowę swego talerza, wreszcie znów podniosła wzrok.

- Teraz lepiej. A więc twój narzeczony jest dowódcą Noake'a, tak?

- Nie musisz go tytułować moim narzeczonym. Mów po prostu Xan.

Roześmiała się.

- Okej. Xan.

- No tak, jest. A gdy dziś po południu znów go wezwano do jego... oddziału, powiedziałam sobie, że odwiedzę Albiego.

- To świetnie. Ci mężczyźni mają oczywiście opiekę medyczną najlepszą, jaką możemy im zapewnić, ale brak im

wielu innych rzeczy, których potrzebują. Towarzystwa, zwłaszcza kobiet, i niemedycznej otuchy. No i jakiejś odmiany, cze-
gokolwiek niezwiązanego ze szpitalem. Choć wolontariusze
robią, co mogą. Albie ma szczęście.

Wiedziałam, o czym mówi. Oddział był tak duży i tak
przepełniony cierpiącymi, że trudno byłoby udzielić indywi-
dualnego wsparcia czy nawet poświęcić kilka minut na spo-
kojną rozmowę z każdym z nich. A byli tak daleko od swych
rodzin i przyjaciół!

- Co go czeka?
- Na krótką czy na długą metę?
- Obie.

- Mój oddział jest dla ostrych urazów. Zostanie tu, aż
jego stan się ustabilizuje i powrót do zdrowia będzie przewi-
dywalny. Potem zostanie przeniesiony na oddział dłuższego
pobytu, gdzie powinni wyreperować mu usta i zrekonstru-
ować szczękę. Jeśli okaże się to zbyt skomplikowane, wyślą
go statkiem z powrotem do Anglii, żeby tam go leczyli.

- Czy będzie w stanie znów mówić?

Ruth lekko przekrzywiła usta.

- Częściowo. Będzie to jakieś mówienie. - Mężczyzna
miał może dwadzieścia osiem lat.

- Biedny Albie.

Ruth kończyła jeść.

- Ale przynajmniej żyje.

Była daleka od sentymentów, a ja widziałam, że wykony-
wana przez nią praca absolutnie tego wymaga. Inaczej byłaby
nie do zniesienia. Mimo iż tak zasmucała, z pewnością była
fascynująca, a na pewno szlachetna w porównaniu z tym, co
robiłam ja. Zazdrościłam Ruth.

- Xan przywiózł jednocześnie innego ze swych ludzi, cięż-
ko rannego. Umarł dziś rano, ale nie mówiłam tego Albiemu.
A może jednak powinnam?

Sposób mówienia Ruth, rzeczowy ton i precyzyjne ruchy,

a także sformułowania - wszystko to zmieniało mój sposób widzenia. Nie było sensu ukrywać prawdy lub jej łagodzić, zwłaszcza wobec mężczyzn, którzy zostali tak ciężko ranni.

- Tak, myślę, że powinnaś - zgodziła się Ruth, obrzucając mnie spojrzeniem. - Chcesz, żebym ja to zrobiła, skoro nie ma twojego Xana? Jak on się nazywał?

- Szeregowiec Ridley. Nie, dziękuję. Powiem Albiemu sarna, gdy przyjdę go jutro odwiedzić.

Zjadłyśmy z Ruth wszystko, siedząc naprzeciwko siebie przy rozklekotanym drewnianym stoliku.

- No to do zobaczenia - powiedziała.

- Masz jakieś dni wolne?

- Trzy całe dni i trzy połówki z każdych czternastu dni. Mogą być odwołane, jeśli mamy dużo pracy.

- Jeśli pociągi sanitarne i ambulanse przywiozą wyjątkowo duże transporty rannych z frontu. Z zakłopotaniem pomyślałam o swoich długich, leniwych lunchach nad basenem w klubie Gezira, o grze w tenisa z Sarah, wszystkich koktajlach i wystawnych kolacjach, na których bywałam od przyjazdu do Kairu.

- Chciałabym podjąć jakąś pracę w szpitalu. Cokolwiek użytecznego. Mam dużo wolnego czasu.

- Mamy kobiety przychodzące do pacjentów z książkami i czasopismami z biblioteki i czytające im. Jedna pani uczy rekonwalescentów szyć i robić na drutach. - Ruth musiała zobaczyć wyraz mojej twarzy, bo dodała: - No i oczywiście są wolontariuszki.

Ochotniczy Oddział Pomocy zapewniał dodatkowe czynności pielęgnacyjne. Znałam dwie czy trzy takie ochotniczki. Były to przeważnie młode dziewczyny o pochodzeniu podobnym do mojego, a zupełnie inne niż Ruth. A ona znów odczytała moje myśli.

- Jestem pielęgniarką z wykształcenia - powiedziała cierpliwym głosem.

- Gdzie się uczyłaś?

- W Szpitalu Królewskim w Glasgow.

- A twoja koleżanka Daphne? - Lekarz. Anestezjolog. Wyobraziłam sobie, że jest nieco starsza od Ruth.

- Też. Studiowała na Uniwersytecie Glasgow, a staż lekarski odbywała w szpitalu.

Wyjęłam z torebki kawałek papieru, napisałam na nim swój numer telefonu i podałam go Ruth. Wzięła ode mnie pióro, złożyła kartkę i przedarła bardzo starannie na pół wzdłuż linii zagięcia, a potem napisała dla mnie swój numer.

- Jak będziemy miały z Daphne ten sam dzień wolny, może przyjdiesz do nas i razem coś zjemy - powiedziała bez specjalnego przekonania co do takiej możliwości.

- Bardzo chętnie - odparłam, a mój głos brzmiał zdecydowanie za bardzo entuzjastycznie. Ale czułam sympatię do Ruth Macnamary. Jeszcze nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak ona.

- Chyba już pójdę.

Zaproponowałam, że zapłacę za jej kolację, ale mi nie pozwoliła. Wyjęła pieniądze z małej brązowej skórzanej portmonetki i odliczyła dokładnie należną sumę, układając monety w stos. Potem wyszliśmy razem; na zewnątrz zmierzchało. Zastanawiałam się, czy Xan spotkał się ze swoim patrolem i czy już się zakopali w dolinie z widokiem na drogę z Al-Aghajla.

- Jest mój autobus. - Był to jeden z brudnoniebieskich kairskich starych klekotów, zatłoczony do granic możliwości, którym wracali do domu Egipcjanie z obrzeży miasta. Ruth weszła po schodku i jakoś się wmieszała w ludzką masę wewnątrz autobusu. Chwilę później zobaczyłam jej twarz przyciśniętą do ciemnej szyby najbliższego okna. Posłała mi uśmiech, który zdawał się wisieć w powietrzu, gdy autobus już potoczył się dalej.

Z poczuciem winy powędrowałam w stronę Garden City.

Cały ten dzień wydał mi się jak bardzo długi tunel, a jazda z Xanem o świcie jakby miała miejsce tydzień temu. W moją stronę jechała taksówka. Zatrzymałam ją.

- Tak, madame. Hotel Shepherd's?

- Nie. - Podałam kierowcy adres, zasiadłam w środku i drzemałam, aż zatrzymaliśmy się przed domem.

Gdy weszłam do mieszkania, po raz pierwszy od miesiący zauważyłam, jakie luksusowe były meble rodziców Farii i jak przeładowane nimi były pokoje.

W kręgu światła lampy siedziała Sarah z kolanami podciągniętymi pod brodę i bosymi, stopami na karmazynowych poduszkach sofy. Wyglądała blado, lecz włosy miała świeżo umyte, a na ustach lśniła szminka.

- Sarah! Wróciłaś. Jak się bawiłaś? Wyglądasz o wiele lepiej.

Sarah wyciągnęła do mnie rękę.

- Już jestem. Ale ty! Faria mi powiedziała nowiny o tobie. Tak się cieszę, Iris. Naprawdę jestem szczęśliwa. Chodź, uściskaj mnie.

Usiadłam obok niej, uściskałyśmy się i ucałowałyśmy. Sarah pachniała swoimi ulubionymi perfumami, ale kości jej barków i rąk były jeszcze bardziej wystające, a na twarzy malował się smutek.

- Czy na pewno dobrze się czujesz? - zapytałam.

- Jasne. A ty będziesz panią Alexandrową Molyneux. To nadzwyczajne. Czy jesteś całkiem wniebowzięta?

- Jestem.

- Czy mogę być twoją druhną?

Pomyślałam o Ruth Macnamarze, mówiąc:

- Oczywiście. Ty i Faria.

- To bosko! Tylko nie różowy kolor, proszę, nie powiedz, że różowy. Może bardzo jasny odcień miętowej zieleni, jak myślisz?

- Gdzie jest Faria?

- O, wyszła.

- Ali?

- Chyba Jeremy - odparła Sarah. Musiała przygryźć wargi od środka, bo spod szminki widać było, jak pobielwały. Potem rozprostowała nogi i zerwała się z lekkim śmiechem. - Napijmy się. Ja wypiję za ciebie i Xana.

Nalała po sporej porcji dżinu i przechyliła swój kieliszek.

- Za was oboje. Za wieczne szczęście - obwieściła.

8

Lesley czekała na Sebastiana w restauracji i układała sztucze tak, aby leżały idealnie równolegle do siebie. Biały stożek serwetki tkwił w środku prostokąta tworzonego przez nóż i widelec. Jesienne słońce, wpadające przez szyby okienne, odbijało się lśniącem refleksiem w ostrzu jej noża.

„Nie baw się nożem i widelcem”.

Lesley myślała o Iris i głos, który zabrzmiał w jej głowie, należał do niej. Matka była wymagająca, jeśli chodzi o zachowanie przy stole. Nagle Lesley poczuła jej bliskość, jakby siedziała na krześle naprzeciwko. Potem podniosła wzrok i zobaczyła swego eks-męża. Szedł przez salę restauracyjną, poły marynarki mu powiewały, szalik ciągnął się jak ogon, a rozłożone ręce jakby chciały złapać wiatr.

- Lesley, cześć, cześć. Spóźniłem się? Wyglądasz fantastycznie.

- Tak? Dziękuję.

Sebastian zafundował jej całusa w policzek, następnie usiadł po drugiej stronie stolika i pozwolił kelnerowi zabrać szalik, a także sfatygowaną skórzaną teczkę wielkości małej walizki.

- Długo tu czekasz? Jest po pierwszej, o Boże, dwadzie-

ścia. Cholerny telefon, zadzwonił akurat, jak wychodziłem. Autor miał kryzys. Musiałem się nim zająć.

- W porządku.

Pochylił się i położył ręce na jej dłoniach. Stół lekko się zakołysał.

- Dobrze. To dobrze. I znów tu jesteśmy.

Zabrała ręce i położyła je na kolanach. Sebastian rozejrzał się po sali, czy kogoś nie zna.

- Popatrz, jak to dawne miejsce zmieniło się od naszych czasów, co?

Gdy się tylko poznali, na rok przed ślubem, Sebastian Sawyer przyprowadzał ją tutaj na kolacje. Restauracja była tuż za rogiem obok jego mieszkania i bywał w niej regularnie z każdą swoją nową dziewczyną. W tamtych czasach było to francuskie bistro z serwetami w kratkę i menu napisanym kredą na tablicy, ale ona nic nie zauważała, tak była w nim zakochana. Teraz było tu wszędzie jasne drewno i brązowy zamsz. Gotowy projekt wnętrza restauracyjnego - jak zauważyła krytycznym okiem profesjonalistki.

- Marszczysz czoło.

- Co?

- Coś jest nie tak? - pytał Sebastian.

- Nie, nic. Prócz tego oczywiście, że martwię się o Ruby. Wiesz o tym. Dlatego chciałam, żebyśmy zjedli razem ten lunch. Jesteś jej ojcem i...

Uniósł rękę.

- Nie martw się. Zaraz porządnie i długo porozmawiamy. Najpierw zamówmy, dobrze?

Lesley wybrała z menu dwie potrawy na chybił trafił. Sebastian zapytał kelnera, skąd jest wołowina, i długo studiował listę win. Wreszcie, gdy przyniesiono wino, schował okulary do czytania i upił łyk, potrzymał w ustach, jakby je żuł, i oparł się o krzesło z głębokim westchnieniem.

- No więc - zaczął tonem zachęty. - Ruby.

- Rozmawiałeś z nią?

- Tak. Ponieważ mieliśmy się dzisiaj spotkać, wczoraj wieczorem zadzwoniłem do naszej córki. - Sebastian zerkał na nią spod oka. Był wydawcą na kierowniczym stanowisku, z licznym gronem młodych, atrakcyjnych pracowników, i spojrzenie to stanowiło jego skuteczną broń. - Nie dodzwoniłem się oczywiście na jej komórkę, więc wykręciłem numer, który mi dałaś, i cóż słyszę? Głos mojej eks-teściowej.

- Co powiedziała?

- Szczerze mówiąc, nie sędzę, żeby kojarzyła, z kim rozmawia.

Lesley zastanowiła się. Sebastian i Iris spotkali się zaledwie kilka razy. Iris przyjechała z Afryki na ślub, a w ciągu ośmiu lat do urodzenia się Ruby widzieli się może cztery czy pięć razy. Iris była też w Londynie tuż po przyjściu Ruby na świat. Była tego pewna, miała bowiem fotografię, na której Iris trzyma niemowlę i patrzy bez uśmiechu w obiektyw aparatu.

Życie rodzinne nie bardzo pasowało Sebastianowi. Gdy Ruby miała trzy lata, zostawił je i zamieszkał z dość młodą pisarką o rosnącej popularności. Od tamtej pory wiele miał kobiet, coraz młodszych. Ruby tego nie trawiła. „Ta jest niewiele starsza ode mnie. To żałosne”.

Jak dotąd Ruby była jego jedynym dzieckiem.

„Nie musi mieć dzieci, prawda? Bo on z nimi chodzi” - szydziła.

- Iris nie ma już dobrej pamięci - powiedziała teraz Lesley.

- W każdym razie poprosiłem Ruby i podeszła do telefonu.

Postawiono przed nimi przystawki i Sebastian natychmiast przerwał, łapiąc za widelec. Lesley patrzyła w okno na tłumy robiących zakupy i wielkie sylwetki autobusów toczące się w powolnym nurcie pojazdów. Dziwne było tak siedzieć przy stole z pulchnym, sztampowo radosnym obcym

mężczyzną, który kiedyś był jej mężem. Z którym miała dziecko. Ale przecież często, gdy patrzyła na Andrew, i on wydawał się jej nie mniej obcy. Oni także mieli wspólne dziecko i wciąż była jego żoną. Jej życie przybrało teraz jakiś lichy, dwuwymiarowy kształt. Jakby można było dookoła obejść odmalowane mieszkanie, zajrzeć od tyłu i zobaczyć całkiem inny świat.

Jedyną prawdziwą, solidną i niepodważalną, stałą wartością była jej miłość do Ruby. Eda oczywiście również kochała, lecz syn był całkowicie przewidywalny. Robił to, co powinien, i sprawiało mu to przyjemność, jak jego ojcu.

Ale Ruby...

Lesley tak tęskniła za nieobecną córką, że to aż bolało. Z bólu, który przeszywał jej klatkę piersiową, skuliła ramiona i podała je do przodu.

Musiała się przytrzymywać nogi od stołu, żeby nie zerwać się i nie popędzić na Heathrow na pierwszy samolot do Kairu. Jedyną rzecz, jaka ją powstrzymywała, to przewidywany obraz tego, co by nastąpiło po jej przybyciu do domu Iris, i tych obojętnych, zdumionych spojrzeń, jakimi obrzucałyby ją Ruby i Iris, patrząc po sobie nawzajem.

Odchrząknęła.

- No i jak ona się miewa?

Sebastian odłożył widelec i otarł usta serwetką.

- Ma się doskonale.

Lesley czekała.

- Nie powinna uciekać - ciągnął. - Nie powinna was tak martwić. Ale zdołała sama odbyć całą podróż do Kairu. Mówiła, że chodzi do muzeów, zwiedza je. Zaprzyjaźniła się z jakimiś ludźmi w jej wieku, pokazują jej miasto. Więc jaki właściwie problem? Jest ze swoją... - Nawet obłudnik Sebastian nie bardzo mógł użyć słowa „babcia”, gdy chodziło o Iris. - ...Z twoją matką.

No właśnie — pomyślała Lesley.

Moja matka, moja córka.

Nie sędę, żeby moja matka kiedykolwiek mnie kochała, bo inaczej nigdy by nie zostawiła ojca i mnie.

Ja kocham Ruby ponad wszystko, a ona nie chce mojej miłości. Drażni ją, tak jak wtedy, gdy była małą dziewczynką i zabrałam ją do fryzjera. Drobne ścinki włosów powpadały jej za koszulkę i strasznie ją swędziało. Choć ją przebrałam w czyste ubranie, wciąż płakała, bo jej się wydawało, że swędzi. Ja jestem dla Ruby takimi włosami za koszulę. Niby to jej, ale już nie jej, a irytuje.

Iris i Ruby.

Nicią, która łączy nas trzy, jest macierzyństwo, a właściwie jego zaprzeczenie. Chciałam utkać dla siebie i Ruby jakąś lepszą, delikatniejszą materię, jakąś subtelną nić, nieodgradzającą nas od siebie jak ta, która była między Iris a mną. Lecz udało mi się stworzyć jedynie inny rodzaj niepożądanego węzła.

Albo, patrząc na to inaczej: może my jesteśmy jak dwa bieguny tego samego magnesu. Ruby i ja, Iris i ja, zawsze rozdzielone. Stosując to samo porównanie, Ruby i Iris złączyły się na zasadzie przyciągania.

Lesley znała dobrze te sprawy: odrzucenie, irytacja, blokowanie uczuć. Nie musiała nawet pytać siebie, jak by je zaseregował psycholog. Znała odpowiedź. Zawsze i wciąż, z którejkolwiek strony weszłaby do tego zaklętego kręgu, wszystko prowadziło z powrotem do Iris.

Odrzucenie było moim wzorcem, zawsze go oczekiwałam. Sebastian i Ruby odrzucili mnie ostentacyjnie. Andrew i Ed, w sposób niewidoczny i mieszczący się w granicach normalnych więzi, też stosowali swoje małe odrzucenia.

- Więc jaki jest problem? - pytał Sebastian. Patrzył na nią surowo.

Lesley ogarnęła rozpacz. Nie mogła przełknąć jedzenia, które już przeżuła.

Co robić? Odejść od Andrew, zburzyć życie ich synowi dlatego, że jej mąż woli swoją pracę, łódkę i czasopisma żeglarskie od jej towarzystwa?

Co tu można było zrobić, wyłącznie żyć dalej i pracować i być wdzięczną za wszystko, co dostała w życiu.

- Lesley?

Zmusiła się do przełknięcia i wzięła głęboki wdech. Chciała jej się płakać, ale nie mogła tego zrobić.

- Tęsknię za nią - powiedziała. Był to tylko malutki, lodowaty wycinek wielkiego lodowca prawdy, ale mówiła to do Sebastiana.

Odchylił się na krześle do tyłu i roześmiał.

- Les, biedna staruszko. Oczywiście, że za nią tęsknisz. To się zdarza, jest absolutnie naturalne. Mamy dzieci, dajemy im wszystko, co możemy, po to, by dorosły i więcej nas nie potrzebowały. Może to trudne, ale tak jest. Czy nie tak samo jest u wszystkich twoich przyjaciółek? Wolałabyś, żeby Ruby była jakąś uzależnioną istotą, która nie chce się z nami rozstać na krok?

Lesley podniosła wzrok. Co on mógł wiedzieć? Ujrzała pulchną, dobrze odżywioną twarz Sebastiana jak poprzez mgłę. Z wściekłości wszystkie naczynia w jej czaszce nabrzmiały tak, że zdawało się, iż zaraz pękną i zaleją jej mózg czarną posoką szaleństwa.

Podniosła z talerza nóż. Zamachnęła się całym ciężarem ciała i jednym uderzeniem ręki wbiła czubek ostrza głęboko w lewe oko swego byłego męża.

Potem mrugnęła powiekami i znów spojrzała. Nóż nadal leżał na talerzu, a Sebastian wciąż uśmiechał się do niej szeroko. Trzęsły się jej ręce.

Gy wreszcie przemówiła, głos zabrzmiał jak skrzek.

-- My? Z nami?

Uśmiech Sebastiana przygasał, stopniowo cofając się w głąb

i przechodząc w ponuro rozbawioną i szelmowską minę winowajcy.

- Wiem. Oczywiście. Masz całkowitą rację. Nie byłem dla niej zbyt dobrym ojcem. Wiesz, powiedziałem jej to przez telefon i obiecaliśmy sobie, że jak wróci do Anglii, będziemy spędzać razem więcej czasu. Przed Bożym Narodzeniem muszę się wybrać do Nowego Jorku, spotkać się tam z paroma osobami. Może Ruby by ze mną pojechała. Musiałaby się sama trochę sobą zająć w dzień, gdy będę na spotkaniach, ale udowodniła, że jest na to wystarczająco dorosła.

Sebastian, przejęty tym pomysłem, oparł łokieć na oparciu krzesła i wpatrywał się w eks-żonę.

Trochę się zaokrągliła w biodrach i jej włosy wyglądały, jakby je dyskretnie farbowała, żeby zatuszować siwiznę, ale była dobrze ubrana i nosiła delikatną, lecz kosztowną biżuterię. Wyglądała na kobietę, jaką była: zamożną żonę i matkę prowadzącą własną firmę, która przyjechała z miasta do Londynu na lunch. Ze swym eks-mężem. Była kobietą z historią.

- Co o tym myślisz?

- Myślę... —zaczęła Lesley.

Krew nadal pulsowała jej w głowie, a nóż leżał na talerzu, Odwróciła od niego wzrok i skierowała na stojący przed Sebastianem kieliszek z winem, właśnie dolanym przez kelnera. Wysunęła się nieco z krzesła, tak że jej uda znalazły się w wąskiej przestrzeni między dwoma stolikami. Potem pochyliła się, żeby jej usta znalazły się jak najbliżej jego ucha.

- Myślę, że jesteś egoistycznym, zadowolonym z siebie, nadętym kretyńcem. Jesteś żałosny jako ojciec i byłeś do chrzastu jako mąż. Spieprzaj! - Złapała za kieliszek z winem i wylała całą zawartość na jego kolana.

Jeszcze coś krzyczał, wstając z krzesła, z winem ściekającym mu między nogami, gdy ona już biegła przez restaurację.

Sebastiana otoczyli kelnerzy z serwetkami. Gdy go wycierali, podniósł oczy na dwóch mężczyzn przy sąsiednim stole. Wymienił z nimi pośpieszne spojrzenia mówiące: „Kobiety!” i „Ona zawsze była koszmarna”, po czym sąsiedzi dyskretnie wrócili do swej rozmowy.

Lesley wyszła na ulicę. Była zdezorientowana. Przez moment nawet nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest. Obejrzała się i szła, potykając się, przez kilka ulic, byle jak najdalej od restauracji i Sebastiana, zanim się zorientowała, że idzie w kierunku przeciwnym niż parking. Zatrzymała się i zastanowiła chwilę, aż powoli odzyskała znów rozeznanie w lokalnej geografii. Zawróciła i przeszła na równoległą ulicę, żeby uniknąć mijania okien restauracji. Nie miała wątpliwości, że Sebastian nadal tam siedzi, dopija wino, rozkoszując się smakiem wołowiny i pewnością swej proweniencji.

Doszła do parkingu podziemnego, w którym zostawiła samochód, i zagłębiła się w jego czeluści. Jej obcasy stukały pac-pac o brudną nawierzchnię.

Gdy znalazła się w samochodzie, sprawdziła, czy okna są zamknięte i centralna blokada włączona, po czym pochyliła głowę i oparła o kierownicę. Myślała, że się rozpłacze, teraz kiedy już nikt jej nie widział, ale gdy tak czekała, aż łzy przyniosą jej ulgę, nagle uświadomiła sobie, że już czuje się lepiej.

Znów przypomniała sobie widok Sebastiana z winem lejącym się spektakularnie na jego spodnie. Bardzo wyraźnie widziała jego twarz wykrzywioną szokiem i niedowierzaniem. Nie pozostała tam na tyle długo, żeby zobaczyć jeszcze wściekłość, która zapewne potem nastąpiła, ale łatwo mogła ją sobie wyobrazić.

Zamiast płakać zaczęła się śmiać. Podniosła głowę i rozłożyła ramiona, przeciągając się jak po długim śnie.

Siedziała jeszcze dłuższą chwilę na parkingu, przeżywając

na nowo scenę w restauracji. Potem poprawiła makijaż i pojechała do domu.

Ed już wrócił ze szkoły. Leżał przed telewizorem z miską płatków na piersi i gdy unosił łyżkę do ust, ściekało po niej mleko.

- Ed?
- Tak, cześć mammo.
- Ed?
- Co?

Lesley czekała, ale jego oczy nie odrywały się od ekranu telewizora.

- Jak tam w szkole? - zapytała.

- Okej - odparł w końcu. Kolejna łyżka z mlekiem powędrowała niechłujnie do jego otwartych ust.

Dwoma krokami przeszła przez pokój i wyrwała mu miskę z ręki. Fontanna białych kropli rozprysła się i pochłapała poduszki.

Ed usiadł prosto i spojrzał na nią.

- Maamo! - zaprotestował.
- Patrz na mnie, jak ze mną rozmawiasz.
- Patrzę. O co chodzi?

- Nie ignoruj mnie. Jestem twoją matką. Nic siedź tu, gapiąc się w telewizor i rozlewając jedzenie, tylko mi odpowiadaj. A nawet zadaj mi również jakieś pytanie.

- Co się stało? Mammo, uspokój się.

Lesley nigdy nie uderzyła żadnego ze swych dzieci. Teraz była zbyt wściekła, żeby się powstrzymać. Z furją plasnęła dłonią w bok głowy Edwarda, a miska w drugiej ręce zakłósała się i tym razem mleko poleciało nie tylko na podłogę, ale i na jej spódnicę. Cios ledwo go dosięgnął, ale czuła w końcach palców kłucie i pieczenie. Ed gapił się z szeroko otwartymi oczami i ustami. Był w szoku. Wyłączyła telewizor i między nimi zapadła cisza. Lesley czuła, jakby miała w gardle piasek.

- A teraz weź swoje rzeczy, połóż je na miejsce i odrabiaj lekcje.

Wstał, zgarnął ze stołu kurtkę i szkolny plecak. Wymaszerował z pokoju, nie patrząc na nią.

Wyczyściła plamy z mleka, opłukała miskę i wstawiła do zmywarki. W domowym notesie przeczytała, że Andrew wieczorem idzie na kolację z klientami, co oznaczało prosty posiłek tylko dla niej i Eda. Otworzyła lodówkę, wyjęła plastikowe pudełko z sosem do makaronu jej własnej roboty i odstawiła na odsączarkę. Sprawdzając, czy w szufladzie lodówki są liście sałaty w torebkach, zobaczyła butelkę dobrego sancerre swego męża. Wyjęła ją, nalała sobie pełną szklankę i pociągnęła zdrowy haust. Potem, trzymając chłodne szkło szklanki przy policzku, wyszła do ogrodu.

Na krzewach kwitły jeszcze późne róże, choć ich zewnętrzne płatki były już trochę pociemniałe od jesiennych chłódów. Lesley miała wrażenie, że wszystko, na co patrzy, każdy liść i gałązka, kamienne poidełko dla ptaków i kratki dla roślin, obrysowane jest jasną kreską. Świat był rześki i wyraźny, a jej rozpacz rzeźbiła bólem każdy jego najmniejszy szczegół. Na zwiniętym kwiatostanie lawendy przysiadł biały motyl. Łodyżka zakołysała się na wietrze, a motyl złożył skrzydła.

Mocniejszy powiew wiatru zatrzęsł całym krzakiem i zdmuchnął motyla.

Ruby i Iris siedziały w ogródku; w ciszy rozlegał się plusk małej fontanny. Późnym popołudniem, gdy słońce słabiej świeciło, zaczynał się już wkradać chłód. Iris oparła stopy na wyściełanym stołeczku, a Ciocia przykryła je cienkim kocikiem.

- To mój tata dzwonił - oznajmiła Ruby.

Trwała cisza, jedna z tych, które, jak już Ruby wiedziała, nie przeszkadzały w dotrzymywaniu towarzystwa. Można ją

było przerwać, gdy któraś z nich chciała coś powiedzieć, albo pozwolić jej się przeciągać na długie minuty. Z początku czuła się wtedy zakłopotana i próbowała coś mówić, o byle czym, co tylko przyszło jej do głowy, żeby wypełnić tę próżnię. Później zauważyła, że Iris i tak jej nie słucha. Jej oczy były nieobecne.

Czasem głowa opadała jej do tyłu, a usta się otwierały i wtedy Ruby wiedziała, że śpi, ale kiedy indziej nie spała, a tylko pogrążała się w sobie.

Iris poruszyła się.

- Kto?
- Mój tata. Dzwonił.
- Kiedy?

Ruby zaczynała się do tego przyzwyczajać. Od czasu do czasu Iris zapominała o czymś, co się przed chwilą wydarzyło. Na przykład Mamduh przynosił tacę z herbatą miętową, Iris ją wypijała, a gdy już zabierał tacę, pytała ostro:

- Gdzie jest Mamduh z tą herbatą?
- Już piłyśmy herbatę - mówiła jej Ruby. - Chcesz jeszcze?

Tym razem powiedziała:

- Przed chwilą. Rozmawiałaś z nim, a potem zawołałaś mnie do telefonu.

Iris poruszyła ustami, jakby chciała coś odpowiedzieć, a bruzdy wokół jej ust pogłębiły się, gdy wracała myślą do teraźniejszości.

- A, tak.
- Mama musiała mu coś powiedzieć. On nigdy nie dzwoni do mnie, żeby pogadać. To bardziej taki typ: „nie teraz, najdroższa”, naprawdę.

- To nie jest jej obecny mąż?
- Nie. Obecny to Andrew.

Iris westchnęła.

- Doprawdy nie nadażam za mężami Lesley. A czym oni

się różnią? - Ruby zaczęła się śmiać. Tak się śmiała, że aż zaczęła się cała trząść i kasłać, a śmiech udzielił się Iris. Sapiąc, ocierały płynące łzy. W końcu Iris opadła z powrotem na poduszki. - O rety! No to jak, jest różnica?

- Tak. Kolosalna. Sebastian to jest mój prawdziwy tata, uważa się za superfaceta. Zna wielu słynnych pisarzy i innych ludzi. Chociaż teraz jest już dość tęgi, ubiera się raczej młodzieżowo. Nie aż tak głupio, żeby robił wstyd czy coś, ale zawsze ma jakiś modny akcent, no wiesz, o co chodzi?

- Obawiam się, że nie.

- No, zwariowane szaliki, koszulki z napisami. W zimie obcisła czapka. A w tygodniu markowy garnitur, ale bez krawata.

Było oczywiste, że Iris prawie nic z tego nie rozumie, ale bawiły ją miny, jakie robiła Ruby, oraz gestykulacja, którą obrazowała garderobę swego ojca. Ruby lubiła, gdy Iris była rozbawiona, bo czuła się wtedy mile widziana, a może nawet potrzebna.

Program zapamiętywania przez Ruby wspomnień Iris jak do tej pory nie posunął się wiele naprzód. Gdy tylko Iris zaczynała opowiadać, robiły się z tego historie o dawnych nocnych klubach, grach w polo i armii. Dość trudno było zapamiętać szczegóły o tak nieznanym rzeczach. A potem Iris mówiła coraz wolniej i coraz bardziej niejasno, wtedy Ruby zaglądała jej w oczy i widziała, że znów się zgubiła. A teraz mówi do Iris, jakby to ona miała opowiadać swoją historię.

- Tata z mamą rozeszli się, gdy miałam trzy lata. Przychodził potem w weekendy i zabierał mnie do parku lub gdzieś indziej. Byłam mała, więc nie pamiętam, jak to było, gdy jeszcze z nami mieszkał. W każdym razie miał przyjaciółkę, bardzo młodą, a ona nie lubiła dzieci, więc nie widywałam ich zbyt często razem. Zazwyczaj był tylko Sebastian i ja, i nawet ja widziałam, że dla niego było to dość nudne.

- Potem, po całkiem długim czasie, tak mi się wydawało,

nagle mama zaczęła się umawiać z Andrew. Pobrali się i ja byłam druhną. Musiałam włożyć różowy strój i wszystko musiało być dopasowane, sukienka z burkami i sztuczne pączki róży we włosach. Nienawidziłam tego i na przyjęciu powrywałam z opaski wszystkie kwiatki i rzucałam nimi w ludzi. Gdy miałam osiem i pół roku, urodził się mój brat

Iris pokiwała głową.

- Miałaś coś przeciwko temu?

Ruby wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Chyba tak, ale to się zdarzało u wielu innych ludzi. No wiesz, u większości moich koleżanek.

- Naprawdę? A ten obecny, Andrew, jak się ubiera?

Teraz ręce Ruby nakreśliły w powietrzu kilka linii prostych i prostokątów.

- A, rozumiem.

Znów zaczęły się śmiać.

- Jest biznesmenem. Zarządzanie, księgowość. Takie rzeczy. I lubi żeglować, ma łódkę.

- Mów dalej.

Ruby spojrzała na Iris. Opierała głowę na poduszkach, ale jej oczy były ożywione. Kiedy się śmiała, wyglądała młodziej, mogła być wtedy w każdym wieku.

- To nie jest nudne? Naprawdę? Niech pomyślę. Okej, gdy miałam jakieś... jedenaście, Ed już nie był małym dziusiem i ciągle się na coś wspinał i był męczący, a ja miałam się uczyć do egzaminów, żeby się dostać do dobrej szkoły, ale szło mi okropnie źle. Wtedy Andrew wpadł na pomysł, żeby trochę ze mną zacieśnić więzi. I co? Postanowił, że nauczy mnie żeglować. W pewien weekend wypłynęliśmy łodzią tylko we dwójkę.

Teraz Ruby wyciągnęła twarz, wywróciła oczy i przycisnęła końce palców do zagłębień w policzkach.

- O rety! - westchnęła znów Iris.

- Boże, to było gorsze niż „o rety”. Był duży wiatr i fala,

a cieśnina Solent wydawała mi się wielka jak Pacyfik lub inny ocean. Andrew potrafił doskonale sam żeglować, ale robił to swoje wielkie przedstawienie, że potrzebna mu załoga, musimy pracować w zespole i polegać na sobie. Było więc całe to pokrzykiwanie: „Przygotować się!” i „Zaczynać!”, bryzganie wody, moje przeskakiwanie przez liny i pod borem, łopot żagli i skrzypienie masztu. Gdziekolwiek bym stanęła, zawsze byłam w złym miejscu. Ten wielki żagiel z przodu, wyglądający jak spadochron, nawet mi się podobał, bo był taki jaskrawokolorowy, ale gdy usiłowaliśmy go podnieść, owinał się wokół sztagu i musieliśmy robić kółka w przeciwną stronę, żeby go odwinąć. Andrew wrzeszczał: „Nie, nie, nie!”, a ja byłam już całkowicie pewna, że zaraz wywrócimy się do góry dnem i utoniemy.

Ruby dała się porwać swej własnej opowieści. Zerwała się na nogi i naśladowała gorączkowe kręcenie kołowrotekami oraz przeskakiwanie z jednej burty na drugą na komendę ojczyma.

- I co się stało?

Ruby narysowała w powietrzu, jak wysokie były fale.

- Dostałam choroby morskiej i wszystko zarzygałam. Andrew zawrócił łódź i zawinęliśmy do portu, a jeśli chodzi o zacieśnianie więzi, to ten klej nic nie skleił. W każdym razie nigdy już mi tego nie proponował. Nawet bym nie skorzystała, nie cierpię żeglarstwa. Ty byś też nie cierpiała, co? On i Lesley pływają dość często, ale myślę, że tak naprawdę mama też nie bardzo to lubi.

Iris kiwnęła głową. Oczy wciąż jeszcze się śmiały.

- Tak, to nie brzmi zbyt zachęcająco. Ale przyjemnie było o tym posłuchać.

Ruby usiadła i wzięła babcię za rękę.

- Teraz twoja kolej.

Iris powoli klepała palcami usta, jakby chcąc z nich wytrząsnąć słowa dla wspomnień. Ruby czekała cierpliwie, nic

nie mówiąc. Nauczyła się już, że ponaglanie tylko zakłócało lok myśli babci o przeszłości. Upłynęła minuta, potem druga, wypełnione tylko pluskiem fontanny.

- Ametyst - powiedziała w końcu cicho Iris.

I nic więcej. Gdy Ruby przeniosła wzrok z wzorów, w jakie układały się srebrzyste krople, na babcię, zobaczyła, że ta usnęła. Rozplotła palce ich dłoni i położyła rękę Iris z powrotem na jej podołku. Potem poprawiła koc na jej kolanach i wstała. Tak jakby babcia była dzieckiem, a ona matką - pomyślała nieoczekiwanie.

Myśl ta zapuściła korzenie i rosła, rzucając cień, jakby jakiś ciemny palec wskazywał na coś poza ogródkiem i ponad turkusowymi kafelkami ściany naprzeciwko. Ruby poczuła lęk przed tym, czego do końca nie rozumiała. Chciałaby wiedzieć, dokąd zmierza i co się będzie działo w następnym miesiącu, a nawet w przyszłym tygodniu.

Najchętniej porozmawiałyby z Jasem o dezorientacji i niewiedzy, na czym się stoi, ale Jas nie żył.

Ruby zostawiła babcię pogrążoną we śnie i przechadzała się po mrocznych przestrzeniach domu.

W korytarzu przeciągnęła palcami po stole, rysując lekko błyszczące linie na pokrytej warstwą kurzu powierzchni. Z daleka od szumiącej wody grube mury były przesycone ciszą i zapachem dymu kadzideł. Musiał się on utrzymać w szczelinach kamiennego muru, bo nigdy nie widziała, żeby Ciocia lub Mamduh je palili.

Włócząc się tak bez celu, zawędrowała pod drzwi kuchni. Dotknęła ręką ciężkiego drewna i pchnęła.

Ciocia natychmiast podniosła wzrok.

- Mamris? - zapytała, przykładając policzek do złożonych dłoni.

- Tak, śpi.

- Aha. - Staruszka odłożyła nóż, którym kroiła warzywa, i obchodząc stół, podeszła do Ruby. Uniosła rękę i uszczyp-

nęła ją lekko w policzek, jednocześnie potrząsając głową z uśmiechem odsłaniającym całe jej blade dżąsła z pojedynczymi zębami. Mruknęła coś po arabsku tonem tak łagodnym i współczującym, że oczy Ruby nagle zaszyły łzami z żalu nad sobą samą. Pociągnęła nosem ze złością i odsunęła się od Cioci.

Ciocia wskazała na wygodne krzesło obok kuchenki. Wyściełane było poduszkami uszytymi ze skrawków starych dywanów w odcieniach wypłowiałego granatu i miedzi. Wyglądały, jakby mocno odcisnął się na nich ślad sylwetki Mamduha.

- Ja? - zapytała Ruby, a Ciocia kiwnęła głową, więc usiadła.

W kuchni było spokojnie, tylko nóż Cioci stukał o wyszorowane drewno i w powietrzu unosił się ostry zapach siekanych liści. Po chwili, od tonu wyciąganego tak, że Ruby do tej pory podskakiwała na jego dźwięk, przez zasłonięte okna wlała się do środka pieśń muezina. Tam właśnie poszedł Mamduh. Na modły.

Ciocia wzięła z plecionego koszyka owoc granatu i przecięła go na pół. Ostрым końcem noża wykroiła z kremowobiałej łupiny miąższ przypominający garść klejnotów i wrzuciła go do miski. Następnie sięgnęła po gliniany dzbanek, z którego nałożyła na owoc kilka łyżek jogurtu, i podała Ruby miskę wraz z łyżką. Kiwała przy tym głową, zachęcając do jedzenia.

Ruby zanurzyła łyżkę i spróbowała. Małe, kanciaste gronka rozprysły się na jej podniebieniu, a na języku czuła aksomitną konsystencję jogurtu. Gdy ją karmiono, czuła, że znów jest w ciepłym, znanym miejscu. Na razie. Na jakiś czas.

- Dobrze. - Uśmiechnęła się. - Dziękuję.

Gdy umilkło wezwanie do modlitwy, Ciocia zaczęła śpiewać pod nosem, pracując. Pasma rzewnych tonów wydobywało się jakby gdzieś spomiędzy jej gardła i tyłu nosa, zawo-

dziło pół- i ćwierćnutami, bez początku i końca. Ruby słuchała, jedząc granat. Jutro Asz ma wolny dzień. Obiecał przyjechać na mopedzie i gdzieś ją zabrać.

- Dokąd? - ostro zapytała Iris. Tego ranka ubrała się w jedwabny szlafrok w paski, a włosy, podwinięte z boków, miała przypięte grzebykami z turkusami i koralami na rączce. Ruby i Asz pod jej spojrzeniem kręcili się niepewnie. - Dokąd ją zabierzesz?

- Do Al-Kali. Do cytadeli, proszę pani - odparł grzecznie Asz.

Dokąd?! Ruby miała zamiar protestować, lecz postanowiła, że zrobi to, jak już zostaną sami.

- Rozumiem. Opowiesz jej coś niecoś o historii?

- Oczywiście. Jestem z tego dumny.

- Dobrze. - Iris akceptowała Asza, a nawet Mamduh otworzył drzwi wejściowe i zaprowadził go do ogródka Iris bez żadnych oznak niezadowolenia. - No to jedźcie. Tylko na pewno przywieź ją tu z powrotem punktualnie o szóstej.

- Oczywiście. - Tym razem Asz nawet się uklonił.

- Lizus! - mruknęła Ruby niedosłyszalnie.

Moped stał przed domem. Asz włożył na nos okulary przeciwsłoneczne, przygładził fryzurę i wskazał miejsce z tyłu. Miał na sobie białą koszulę i ciemnoniebieskie nylonowe spodnie od dresu firmy Adidas.

- To dokąd pojedziemy?

- Nie słyszałaś? Do cytadeli.

- Nawet się ze mną nie skonsultujesz? A może ja nie chcę tam jechać?

Popatrzył na nią z dezaprobatą.

- A dlaczego nie?

Asz nigdy się nie wycofywał i to się Ruby podobało. Dziś też najwyraźniej był w szczególnie dobrej formie. Rzuciła mu uśmiech i wskoczyła na tylne siodełko.

- No dobra. Jedźmy.

Nacisnął gaz i włączyli się w sznur pojazdów. Ruby teraz już czuła się całkiem bezpiecznie z tyłu motoroweru. Zasłoniła sobie usta i nos chustką, żeby się ochronić przed pyłem i spalinami, tak jak widziała to u innych wożonych kobiet, i objęła Asza w pasie. Ponad nimi na linii horyzontu dominowały piaskowej barwy mury i wieżyczki starej cytadeli. Droga do niej wiała się pod górę kolejnymi szerokimi, skapanymi w słońcu alejami, wzdłuż pstrokatych namiotów i zaśmieconych połączeń targowych placu Saladyna. Gdy dojechali do Bab al-Gabal, zostawili moped przywiązany do pnia niewielkiego drzewka i szli dalej pieszo przez labirynt murów z krenelażem, wieżyczek i kopuł, pomiędzy którymi puste przestrzenie zalewał żar popołudniowego słońca. Idąc tak po rozgrzanych kamieniach i zakurzonych spłachetkach trawników, Ruby zaczęła zostawać w tyle za Aszem.

- Po co tu przyjechaliśmy? - zapytała ze złością.

- Historia. Pierwsza forteca tu zbudowana ma prawie dziewięćset lat. Przez Salah ad-Dina.

- **Taa?**

- Wiesz, kto to jest?

- A powinnam?

Znów popatrzył z dezaprobatą.

- Ty jesteś wykształcona Angielka, a wydaje się, nic nie wiesz. To wielki wódz i wojownik przeciwko waszym chrześcijańskim krzyżowcom. Nie słyszałaś o Saladynie?

Westchnęła. Coś tam gdzieś słyszała.

- Taa. Słuchaj, ja jestem noga z historii, zawsze byłam. I z geografii, i matmy, i biologii, można wymieniać. Ale już nie chodzę do szkoły, to chyba nie ma znaczenia, co?

Asz popatrzył niepewnie.

- Nauka jest ważna. To sposób na poprawienie życia sobie i rodzinie. Nie wierzysz w to?

Ruby mrużyła oczy przed słońcem. Te mury miały w so-

bie jakąś powagę, wobec której czuła zakłopotanie, a naciski Asza jeszcze ten stan pogarszały.

- Tak, wierzę, ale to nie znaczy, że muszę to robić.

Posłał jej swój mlecznobiały uśmiech w kształcie półksiężyca.

- Jesteś zabawna. I jesteś dziś bardzo ładna.

To już lepiej.

- Naprawdę?

Ruby przestała malować czarne kreski i cienie wokół oczu. Przestała też usztywniać włosy żelem, bo ten właśnie jej się skończył. Lśniącą grzywkę przypinała z boku, by odsłonić czoło.

- Tak - potwierdził. Ujął jej rękę i odwrócił, żeby zobaczyć żyły po wewnętrznej stronie nadgarstka. Rozejrzał się wokół, aby upewnić się, czy nikt ich nie obserwuje, a potem dotknął czubkiem języka do miejsca, gdzie bił jej puls.

Ruby poczuła zawrót głowy i musiała na sekundę zamknąć oczy.

- Chodź - szepnął w końcu Asz. - Coś ci pokażę.

Olbrzymi meczet zamknięty w samym sercu cytadeli widoczny był prawie z każdego zaułka miasta, ale z bliska wydał się Ruby niespełniający oczekiwań. Kopyta pokrywała matowa blacha, a jasne ściany były poplamione. Przed wielkimi wrotami wiła się leniwie gruba kolejka zwiedzających turystów.

- Na co teraz patrzymy?

- To meczet Muhammada Alego.

Ruby zamierzała coś odpowiedzieć, ale zrezygnowała.

- Całkiem duży. Kto to był?

- Około dwustu lat temu rządził tym krajem. Uczynił Egipt nowoczesnym, ale także odpowiada za wielką rzeź mameluków.

- Dobrze. Opowiedz. Pewnie i tak byś to zrobił, czy ja chcę, czy nie.

Przeszli do równoległoboku purpurowego cienia przed meczetem. Asz stanął z jedną stopą opartą o odłupany blok kamienia.

- Mamelucy byli żołnierzami urodzonymi jako niewolnicy, bez rodzin, zdobyli władzę, walcząc i spiskując przeciwko sułtanowi. Kiedy Muhammad Ali objął rządy, wiedział, że musi ich pokonać albo oni jego zabiją. A więc wydaje wielki bankiet, tam, w pałacu cytadeli. Gośćmi jest pięciuset najpotężniejszych mameluków, w pięknych szatach, tam wewnątrz murów. Uczują i tańczą, wszyscy się cieszą. Potem dzień się kończy i mamelucy wsiadają na konie i wracają pochodem wąską ulicą między wysokimi murami, do bramy Al-Azab. Lecz Muhammad Ali rozkazuje zamknąć bramę, a z murów na górze jego żołnierze otwierają ogień do mameluków. Gdy już ludzie i konie, miecze i piękne ubiory, i barwne chorągwie leżą razem w jednej masie, żołnierze przychodzą i dobijają każdego, tak że pod bramą płynie w dół rzeka krwi ludzkiej i końskiej. Tylko jeden z wszystkich tych mameluków ratuje się, przeskakując na swym wielkim koniu przez mur i uciekając.

- Jakie to straszne! - Ruby niemal słyszała potworne rżenie koni i jęki umierających ludzi, a także terkot karabinów w kamiennym wąwozie. - Nie podoba mi się tutaj.

Asz znowu dotknął jej nadgarstka.

- Ja też to czuję. Pójdziemy stąd, ale najpierw muszę wejść do środka, by się pomodlić.

Przy wejściu do meczetu strażnicy pilnowali porządku wśród tłumu turystów. Asz i Ruby zmienili buty na filcowe kaptcie i Asz delikatnie obciągnął rękawy jej koszuli, żeby zakrywały ramiona. Zawiązał jej chustkę na głowie i weszli do środka.

Wysoko ponad nimi wznosiły się kopyły i półkopyły, jak wnętrza gigantycznych jaj wysadzanych tysiącami szlachet-

nych kamieni. Z ich mrocznych wysokości zwieszały się żyrandole i olbrzymie kuliste klosze. Były tam ażurowe przesłony z metalu obramowane złotem. Ruby stała bez ruchu na baczność.

Asz wyszedł do przodu na rozpościerającą się przed nimi skomplikowaną szachownicę dywanów. Ukłękł i oparł dłonie, a potem czoło o ziemię.

Czekając, Ruby poczuła w sobie jakąś pustkę, dziwne, negatywne wrażenie niedosytu, zupełnie нефизyczne. Ukradkiem przyłożyła jedną dłoń do brzucha, ale nic się nie zmieniło. To nie był głód. Może bardziej przypominało to pragnienie, przy jednoczesnej świadomości, że nie ugasiłaby go nawet cała rzeka wody. Jej jedyną wiarą, odkąd była na tyle dorosła, by się nad tym zastanawiać, i co do czego później w pełni zgodziła się z Jasem, było to, że nie chce w nic wierzyć. A jednak teraz poczuła się spragniona czegoś takiego, co miał Asz i co sprawiało, że chylił głowę do zakurzonego dywanika.

Tuż obok niej przeszła para turystów, mężczyzna i kobieta po pięćdziesiątce, Europejczycy lub nawet Brytyjczycy. Kobieta zaznaczała palcem miejsce w trzymanym przewodniku. Coś w niej, może ubranie albo ledwo uchwytny zapach perfum, lub nawet coś w jej rysach spowodowało, że Ruby pomyślała o matce. Poczuła kolejne małe ukłucie sygnalizujące brak i uzmysłowiła sobie, że za nią tęskni.

Wąskie plecy Asza wygięły się jak u kota, a potem podniósł się całkiem do pozycji pionowej. Wyszli z meczetu i z powrotem zmienili obuwie. Przez te kilka minut, gdy byli wewnątrz, słońce schowało się za chmurę koloru jasnej lawendy, wiszącą na zachodnim widnokregu.

- Pić mi się chce - oznajmiła Ruby.

Po drugiej stronie placu wybrukowanego nierównymi kamiennymi blokami, wypolerowanymi przez ludzkie stopy

w ciągu tylu wieków, pod niskim murkiem stał mały metalowy wózek z napojami. Od sprzedającego je dziecka Asz kupił dwie puszeki zimnej coca-coli, oberwał zawleczkę w jednej z nich i podał Ruby. Dla siebie otworzył drugą. Ramadan już się skończył.

Ruby chłodziła policzek topniejącym na puszcze szronem, idąc w kierunku muru. Spodziewała się tam jakiegoś widoku, ale to, co ujrzała, przerosło jej oczekiwania. Pod nimi jak okiem sięgnąć rozciągał się Kair. Z tej wysokości i odległości dżungla bloków mieszkalnych wydawała się pusta i wyludniona. Betonowe wieżowce pochylały się ku sobie nawzajem, mając okratowanymi ślepymi oknami. Wszystko było w jednej tonacji kolorów szarych, piaskowych, brązów i kha-ki, a cienie kładły na nich smugi purpury i indygo. W oddali zaś, na pochmurnym widnokręgu, sterczały trzy małe trójkątne zęby. Był to inny widok piramid niż ten, który Asz pokazał jej z dachu hotelu. Teraz oddzieleni byli od nich prawie całym miastem. Wpatrywała się w nie, usiłując bezskutecznie umiejscowić siebie w tej pętli czasu i przestrzeni. Wyczuła tuż za sobą Asza i odwróciła się. Prawie zderzyli się twarzami, a wtedy Ruby przywarła do niego i poszukała ustami jego ust.

- No, możesz mnie pocałować.

Asz odsunął się lekko.

- Może to niedobre miejsce.

Przewodnicy oprowadzali grupy wycieczek. Mniejsze gromadki Egipcjan fotografowały się nawzajem, obok przeszło europejskie małżeństwo, żona kilka kroków za mężem. Ruby spojrzała na smukłe minarety odcinające się na tle gasnącego nieba. Za godzinę zacznie się ściemniać.

- A więc wierzysz w Boga? Allana czy coś takiego?

- Muszę wierzyć.

Nie była pewna, czy ten przymus wiązał się z pobożnością, naciskiem społecznym czy polisą ubezpieczeniową.

Musisz?

- Tak, Ruby. Dla mnie jest to proste, prostsze, niż myślisz.

Asz ujął jej ramię i poszli wzdłuż załomu muru okalającego twierdzę. Po wschodniej stronie widać było brązowe, łukowate granie wzgórz Al-Mukattam, a na wprost ku północy ciągnął się krajobraz w kolorze sepii, pełen wykopów i nędznych domów, wśród których gdzieniegdzie wypiętrzały się kopuły. Była to miniaturowa, parterowa kopia miasta z drugiej strony.

- Co to jest?

- Zobaczymy coś jeszcze? - Miał poważną minę.

Ruby westchnęła. Ona wolałaby usiąść lub położyć się obok Asza w jakimś cichym i odosobnionym miejscu, żeby ją otoczył ramionami i przytulił głowę do jej głowy. Nie musieliby nawet rozmawiać, tak jak to robiła z Jasem. Ale skoro to najwyraźniej nie mogło dojść do skutku, mogli równie dobrze spędzić czas w inny sposób. Okrutne historie nie nastroiły jej optymistycznie i nie nastawiała się już na zobaczenie czegoś przyjemnego.

- Jak chcesz.

Wrócili do mopedu i odczepili go. Do brunatnych murów niskiej dzielnicy widzianej ze wzniesienia cytadeli dotarli bardzo szybko.

Moped wjechał w wąską uliczkę bez nawierzchni, gdzie stały małe budynki o kształcie sześcianów. Miały łukowate otwarte wejścia i okna z ażurowymi przesłonami. Przed nimi skakała grupka dzieci i Asz krzyknął, żeby uważały. Potem wjechali na wybrukowany dziedziniec. Tu przy drewnianym korycie tłoczyło się stadko długowłosych białych i brązowych owiec. Między dwiema zakurzonymi akcjami Ruby zobaczyła wysokie sklepienie z kopułą, osłaniające dwa kamienne groby, a po bokach filarów, na których opierało się sklepienie, znajdowały się inne kamienne sze-

ściany, nieco mniejsze niż budynki. W ich wnętrzu mogłaby się położyć jedna osoba. Na ziemi obok koła mopedu zauważyła dziecinną piłkę i różową lalkę z plastiku z wykrzywionymi nogami.

- Co to za miejsce?

Asz wzruszył ramionami, ale ta niby-beztroska maskowała jego wyraźne poruszenie.

- Miasto Umarłych. - Uśmiechnął się, unosząc brew. Ruby patrzyła na obdrapaną ścianę z resztką różowawego tynku, całą pokrytą dziecinną ręką ciemnoniebieskimi literami zaklęć odpędzających dżinny.

Wszystkie małe domki były grobami. Lecz miejsce to również tętniło życiem. Stary mężczyzna w niebieskiej galabii i białym zawoju na głowie pilnował owiec. Na schodku siedział mały chłopiec, mieszając kijem piasek, a jego matka wyrzała z pomieszczenia za nim i wylała do ścieku brudną wodę z miski. Na ścianie za nią był kran, z którego napełniła miskę i weszła do środka.

- Miejsce, gdzie się żyje - dodał Asz.

Ruby stała, milcząc i czekając. Już się trochę domyślała, dlaczego ją tu przyprowadził.

- Moja rodzina. Możesz ich poznać. Nie Nafiz oczywiście, on jeździ w taksówce.

Prowadził teraz motorower i poszli nierówną uliczką pomiędzy domami w grobach. Zachodzące słońce przeświecało jeszcze popielatoszarą poświatą przez pierzaste liście akacji.

Doszli do budynku pomalowanego na branatnożółto, z pojedynczym kamiennym schodkiem. Nie wyglądał na bardzo stary. Asz wszedł pierwszy, a ona za nim, schylając głowę pod belką w progu. W środku świeciła się jedna żarówka elektryczna, stał stół nakryty ceratą i siedziała bardzo stara kobieta z dzieckiem na kolanach. Ruby przyglądała się, usiłując pojąć sens tego, co wydawało się tak nieprawdopodob-

ne. Pośrodku małego pomieszczenia znajdował się kamień nagrobny z wyrytym napisem. To był niewątpliwie grobowiec, a w nim i wokół niego mieszkała rodzina Asza.

Stara kobieta i na wpół ubrane dziecko oboje wyciągnęły ręce do Asza.

- *Masa al-chajr**. - Kobieta rozpromieniła się, a dziecko szczołgało się z kolan babki i podbiegło do niego. Asz podniósł je za rączki w górę i ucałował brązowe policzki.

- *Habibi, habibi**.

Potem oczy wszystkich przeniosły się na Ruby.

Asz powiedział jej imię i dodał: moja przyjaciółka. Ruby ostrożnie przeszła obok nagrobka i stanęła przed babką Asza. Głowę miała owiniętą czarną chustą, jej skóra była brązowa i pomarszczona jak orzech.

- *Ahlan wa-sahlan**** - powiedziała, wpatrując się w Ruby swymi ptasimi oczami.

- *Ahlan biki***** - odpowiedziała niepewnie Ruby, tak jak ją nauczył Asz. W nagrodę została obdarzona serią okrzyków arabskich i serdecznym uśmiechem. Babcia Asza ujęła dłonie Ruby pomiędzy swoje własne. W porządku - myślała Ruby. Chyba nie widać po niej, jaka jest zażenowana. Asz, trzymając dziecko na jednym ręku, buszował po słoikach i pudełkach stojących na półce. Zupełnie jak Jas - pomyślała - albo Ed, zaraz po wejściu do domu szuka czegoś do zjedzenia. To przecież był dom, choć nie mogła oderwać oczu od nagrobka. Miała ochotę dokładnie go obejrzeć, ale wiedziała, że lepiej udawać, iż go tam nie ma.

Weszła kobieta z cienkimi siatkami z niebieskiego plastiku w każdej ręce. A więc w tych miastach umarłych były i sklepy.

* Dobry wieczór (*arab*).

** Moje ty kochanie (*arab*).

*** Tu: witaj (*arab*).

*** Witaj (*arab*). Odpowiedź na pozdrowienie.

- *Ummi** - powiedział Asz. Podszedł do niej, pocałował ją i wyplątał z jej palców plastikowe siatki. Postawił zakupy na nagrobku.

Matka Asza była niska i szczupła, o takich samych oczach jak jej synowie. Asz przedstawił Ruby i powtórzyły się te same powitania, ale Umm Nafiz (Ruby wiedziała, że trzeba ją nazywać imieniem najstarszego dziecka, to też powiedział jej Asz) była bardziej zajęta i mniej wylewna od babki. Szybko się odwróciła i zaczęła wypakowywać z siatek torby z mąką oraz puszki z jedzeniem. Asz odsunął ją na bok, bo chciał sam to zrobić. Dziecko biegało między nimi, śmiejąc się i krzycząc.

Nikt teraz nie patrzył na Ruby, więc spojrzała na centralny przedmiot w pomieszczeniu. Miał gładkie kamienne boki i na wierzchu płytę z napisem. Ilu ludzi tu pochowano i jak dawno? Za blisko byli ci umarli. Szybko odwróciła wzrok.

Matka Asza wykładała rondle i produkty żywnościowe, szykowała się do gotowania posiłku. Obok stołu stała butla gazowa z dwoma okrągłymi palnikami, a na półce radiomagnetofon. Wejście z tyłu pomieszczenia, zasłonięte kotarą, musiało prowadzić do izby, w której rodzina spała.

To miejsce, gdzie na rozum i logikę powinno być zimno i ponuro, emanowało ciepłem. Dziecko kręciło się pod nogami jej i Asza, przykrywało dłońmi oczy, zerkając przez palce. Dziewczynka zapraszała Ruby do zabawy.

Ruby zakryła oczy i odsłoniła je, mówiąc „buuu”, a dziecko się roześmiało. Zaskoczyło to nawet Ruby. Zazwyczaj małe dzieci jej nie lubiły.

Na zewnątrz było ciemno. Pośpiesznie spojrzała na zegarek.

- Wpół do szóstej. Obiecałam Iris być o szóstej, pamiętasz?

*Mamo! (*arab.*).

- Masz rację - rzekł Asz. - Zawiozę cię do domu.

Ruby złożyła dłonie razem i skłoniła się w stronę matki i babki Asza.

- *Masa al-chajr* - powiedziała. Asz kiwnął głową z aprobatą, jak szkolny nauczyciel.

- *Masa an-nur** - odparły obie kobiety. Babka uniosła rękę w geście błogosławieństwa.

Dziecko objęło rękami nogę Asza i głośno protestowało. Schylił się i szepnął coś, po czym wyjął z kieszeni cukierek i włożył jej do ust.

- *Jalla*. Chodźmy.

Pasterza i owiec już nie było. Asz prowadził moped, a Ruby szła za nim, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. W wielu oknach małych domów paliły się światła, mijali ich ludzie z siatkami zakupów jak Umm Nafiz, a w snopie światła padającego z któregoś wejścia dwójka dzieci z zapalem bawiła się w jakąś grę garścią kamieni. Niektóre grobowce miały za-ryglowane drzwi i okna zasłonięte metalowymi kratami. W ciemności strzegły swych tajemnic. Kręte uliczki biegły we wszystkich kierunkach. Ruby przypomniała sobie, jak rozległe było to cmentarzysko widziane z góry z cytadeli. Można było się tu zgubić, pośród domów umarłych, i nigdy więcej się nie odnaleźć.

- Jesteś taka cicha - powiedział.

- Tak.

- Myślisz, że to dziwna rzecz.

- Dziwna jest tylko... dla mnie. To nie znaczy, że naprawdę jest dziwna.

- To nasz grób rodzinny. Gdy byliśmy mali, przychodziliśmy tu raz w tygodniu odwiedzić zmarłych, urządzić wśród nich piknik, uczcić *maulid***. To dla nas nie jest straszne

* Zwrot grzecznościowy używany w odpowiedzi na *masa al-chajr*, oznaczający również „dobry wieczór” (*arab.*).

** Rocznicą urodzin (*arab.*).

miejsce, lecz miejsce pamięci i szacunku. Potem, gdy mój ojciec umarł... - Asz wzdrygnął się - stało się naszym domem. Wszyscy, zmarli i jeszcze niezmarli, trzymamy się razem. Dlaczego nie? Umarli nie zrobią nam krzywdy, tylko żywi.

Przed nimi wyłoniła się o wiele większa budowla, z kopułą i jej zwieńczeniem rysującym się na tle granatu nieba.

- Zobacz tu w środku - wyszeptał. Ujął jej nadgarstek i wślizgnęli się przez ciężkie odrzwia do zimnego wnętrza. Jest tu tak cicho, że słyszeć osiadanie każdego pyłku - pomyślała Ruby. Od szyi w dół po całym kręgosłupie przebiegł ją dreszcz. Asz zapalił zapalniczkę i mały krąg światła rozproszył ciemność wokół nich. Było tu więcej grobów, ustawionych rzędami jedne nad drugimi aż po niewidoczny sufit. Całe były pokryte rzeźbami, wzorami i inskrypcjami oraz pomalowane na rdzawe i błękitne kolory. Gdzieś w świetle zapalniczki pokazywały się złocenia.

- Groby mameluków - powiedział Asz. Poświecił na wyryty w kamieniu ornament. - Rzeźbiarz jak skończył... gli-gli. - Pokazał na niby odcięcie dłoni, w której trzymał zapalniczkę. - Ta praca skończona, koniec, nie ma więcej rzeźbienia dla innych panów.

Powędrowali oczami w górę, podziwiając bogactwo wzoru. Na samej górze był spłaszczony łuk, pomalowany łuszczącą się już złotą farbą.

Płomień zgasł i pozostawił ich stojących tuż obok siebie w ciemności. Dłonie Asza ujęły twarz Ruby, a jego wargi musnęły jej policzek, gdy wyszeptał:

- Byłaś uprzejma dla mojej rodziny. Jak porządna egipska dziewczyna. Moja mama nie będzie się złościć.

Stali blisko siebie. Asz był ciepły, pachniał papierosami i miętową gumą do żucia. W środku Ruby rozlało się światło, jasność tak lekka i beztroska, że chciało jej się śmiać. Było tak po części dlatego, że chciała Asza i jego szczupłego brą-

zowego ciała, oczywiście, że dlatego. Była zaskoczona, jak bardzo go pragnęła. Ale stanowiło to również przeciwwagę dla negatywnych odczuć, jakich doświadczyła w meczecie Muhammada Alego. Tutaj to było pozytywne - to, co zobaczyła w domu-grobowcu rodziny Asza, i to, że życie trwa dalej pośród szczątków dawnych żywotów. Właśnie to stanowiło o wielkiej sile wewnętrznej Asza.

- Czy o to ci chodziło, gdy zapytałam, czy wierzysz w Boga, a ty odpowiedziałeś, że musisz to robić?

Ręka Ruby wędrowała po niewidocznym łuku, aby pojąć sens grobów mameluków, miast umarłych i ludzi, którzy musieli tu mieszkać.

Wiara byłaby wyjaśnieniem, systemem i kołem ratunkowym. Poza nią jest tylko pył.

- Bóg jest dobry. Troszczy się o każdego z nas.

- Chciałabym w to wierzyć.

Asz zaśmiał się.

- Niewierna.

Ruby przycisnęła głowę do jego ramienia i zsunęła dłonie w dół po jego plecach do wgłębienia nad kośćmi biodrowymi. Był piękny.

- Usiądź tutaj. Wypalimy jednego papierosa, a potem zawiozę cię z powrotem do domu twojej babci.

Doprowadził ją do występu biegnącego wokół podstawy najbliższego grobu. Znów błysnęła zapalniczka.

- Ale wiesz, to nie jest za darmo. Bóg tak nie działa. Ja ciężko pracuję i chodzę do szkoły, na angielski, i mam nadzieję, że się nauczę komputerów. Mówiłem ci już, nauka jest ważna. Ja z Nafizem musimy się opiekować matką oraz braćmi i siostrami i będziemy mieszkać w lepszym miejscu. Ale na razie... - Ich ramiona się zetknęły. — Na razie czasem też możemy mieć przyjemność. Czemu nie?

Ruby się roześmiała. Wciąż czuła wewnętrzną lekkość.

- Taak.

Asz był pełen życia, tryskał energią. Nie był znudzony ani wszystkim zdegustowany, tak jak sama często czuła się w Londynie, i różnił się od Jasy. Ten potrafił leżeć w łóżku przez wiele dni, palić trawkę i słuchać muzyki.

- No to zrobiłaś dziś wycieczkę, he? Cytadela, groby Mameluków, moja rodzina.

- Taak. - Szok wywołany przez domy-grobowce jeszcze nie minął. Potrzebowała trochę czasu, żeby się oswoić z tym, co zobaczyła.

- Ruby, nie każdy może mieszkać w takim domu jak twoja babcia.

- Wiem o tym.

- No, już czas. Odwiozę cię.

- Niedługo znów gdzieś pojedziemy?

- Oczywiście, że tak.

Podjechali z powrotem pod drzwi Iris. Gdy Ruby popatrzyła na wysoki mur domu, bez żadnego widocznego światła, pomyślała o siedzącej samotnie w środku Iris, jedynie z dwojgiem starych ludzi jako opiekunami. Babcia Asza była chyba szczęśliwsza, mając wokół siebie dzieci i wnuki, a także swych zmarłych - wszystkich razem.

Dlaczego Iris odcięła się od własnej córki, a Lesley od swej matki?

Zapyta o to - postanowiła Ruby. Dowie się.

Zsiadła z mopedu i pocałowała Asza na dobranoc.

- *Ma 'a s-salama** - powiedziała. - Jedź bezpiecznie.

- Dobrze! - zapiął z zachwytem. - Niedługo będziesz mówiła po arabsku tak jak ja.

* Do zobaczenia (*arab.*).

9

To dziecko było na cmentarzach. Opowiada mi o tym, gdy razem pijemy herbatę, i widzę, że to doświadczenie nią wstrząsnęło.

- Ludzie mieszkają tam na górze grobów. W małych domkach-grobowcach. Mają zlewy i światło elektryczne, i zabawki dzieciinne, tak jak wszędzie.

Ruby zmienia swój wygląd. Tego rana jej oczy nie są obwiedzione czarnym tuszem, wyjęła większość kolczyków i innych metalowych ozdób. Bez tej agresywnej maski wydaje się bardziej sobą. Jakby całą skórą wchłaniała historię rodziny i nabierała coraz bardziej jej rysów. W układzie jej ust widzę coś z mojej matki i po raz pierwszy zauważyłam, że ma piwne oczy po Lesley. Nadal usiłuje grać twardzielkę, ale coraz częściej dostrzegam pod tą pozą jej niewinność. Nawet przeklina mniej niż zaraz po przyjeździe.

Mówię jej:

- Te cmentarze to biedne dzielnice, ale całkiem porządne. Są tam szkoły, kliniki, jest kanalizacja. Dalej w stronę Al-Mukattam są prawdziwe slamsy. Tam nie chodź, proszę.

- Asz powiedział, że ten, w którym mieszkają, to ich grób rodzinny.

- Tak, bardzo możliwe.

- Ale... - Widzę, że drży. - Wszyscy ci umarli...

- Boisz się umarłych? Śmierci?

Oczywiście, że się boi, jest młoda.

- Nie. No, nie duchów czy... dżinnów. Ale nie chciałabym w nocy spać na cmentarzu. - Wyraz jej twarzy zmienia się, przechodzi po niej dreszcz, jak wiatr po spokojnej wodzie. - Nie chcę umrzeć.

- Ktoś bliski to zrobił, tak?

Spodziewałam się usłyszeć o ukochanym psie lub nawet

przyjaciółce i wypadku drogowym. Jej odpowiedź całkowicie mnie zaskoczyła.

Ruby opowiada tę historię szybko, bez ozdobników, ale jej mechaniczna relacja nie umniejsza potworności tego zdarzenia. Końcowy obraz ciała chłopaka leżącego z głową w kałuży ciemnej krwi zostaje mi na długo przed oczami. Wypełnia mnie troska o nią.

- Ruby, kto o tym wie?

- Powiedziałam Aszowi. Ale potem było mi głupio. Jakbym użyła śmierci Jasa, żeby zyskać współczucie lub uwagę czy coś takiego.

- I nikt więcej? Ani twoja mama, ani ojciec?

- Nie.

- Dlaczego?

- Dlaczego im nie powiedziałam, że Jas był na imprezie, wypadł z balkonu i się zabił?

- Tego bym się chyba normalnie spodziewała. Jesteś świadkiem tragedii, gwałtownej śmierci młodego człowieka, bliskiego przyjaciela. Mama by cię pocieszyła, prawda? Chciałyby to zrobić.

Ruby patrzy mi prosto w oczy.

- Ty nie zrobiłaś.

Jest bardzo surowa, a ja zasługuję na taki ostry osąd.

- Nie.

- Chodzi o to, że Lesley i Andrew w ogóle nie wiedzieli o Jasiu. Oni by kogoś takiego nie zaakceptowali. Nie zrozum mnie opacznie, nie było w nim nic złego. Był dobry, starał się nigdy nie robić nic, co by raniło ludzi, i był zabawny, ale nie obchodziły go rzeczy, które obchodzą większość ludzi, jak praca i pieniądze. Myślę, że niektórzy mogliby go uważać za pomyleńca. Lesley na pewno. - Ruby wzdycha. - Ona jest moją matką i w ogóle, a ty sama wiesz, jak to działa.

Jej wymowne ręce gestykują w powietrzu, rysując

gładką kulę, a potem zmieniają się w szpony rzucające się na tę samą przestrzeń.

- Lesley lubi wszędzie porządek. Naprawdę ma wszystko pod kontrolą. Pewnie to jej sposób na zapewnienie nam bezpieczeństwa, troszczenie się o nas. Ale to bywa naprawdę męczące. Na przykład mamy w domu w kuchni parę szklanych półek, gdzie trzymamy wszystkie kubki, dzbanki na mleko i tym podobne. Ale muszą stać równiutko w rzędzie i być nieskazitelnie białe. Wyobrażasz sobie? To są tylko kubki do picia herbaty, ale każdy z jakimś wzorem czy kolorowy musi być schowany w szafce. Ktoś taki jak Jas nie umiałby żyć w podobnym świecie.

Więc go trzymałam z daleka - ciągnęła. - Poza tym chciałam go mieć tylko dla siebie. Po prostu wychodziłam z domu Willa i Fiony i szłam do niego. Miał pokój w nielegalnie zamieszkanym budynku, ale go ładnie urządził. Ozdobił pocztówkami i wyciętymi z czasopism zdjęciami kwiatów, liści i drzew; poobklejał nimi całe ściany, jedno na drugim, tak że pokój wyglądał niczym ogród, który eksplodował w powietrzu. Leżeliśmy sobie i patrzyliśmy. On mówił tak: „Jesteśmy tylko we dwoje, kotku. Tylko ty i ja. A to jest nasz rajski ogród, Eden”. Uwielbiałam to. Ale potem, kiedy... umarł, zrobiło się tak, jakby go nigdy nie było. To było bardzo trudne. Nie chciałam o nim myśleć jak o niczym. - Zniża głos do szeptu. - Jakbym ja była jedynym wspomnieniem, jakie po nim zostało.

Teraz rozumiem, jakie myśli chodzą jej po głowie. Z przykrością stwierdzam, że chyba wpojono w Ruby przekonanie, że jest głupia, bo nie jest taka, jak trzeba.

- A ty boisz się śmierci? - pyta.

- Nie. I ty też, mam nadzieję, nie będziesz, gdy osiągniesz mój wiek. Ale boję się tego, co może zakłócić czas pomiędzy teraz a wtedy.

Porusza rękami, jakby usiłując złapać wymykający się im kształt.

- Wiem. Zapominania. - Oczy jej biegną na moment ku otwartym drzwiom do mojej sypialni, gdzie na stoliku obok łóżka stoi fotografia Xana. - Czy umarł ktoś bliski tobie?

- Prawie wszyscy - mówię oschle.

Śmieje się, a potem ze skruszoną miną łapie się na tym, że w takiej chwili nie powinna okazywać rozbawienia. A więc próbuje, najdelikatniej jak potrafi, dać mi szansę mówienia o Xanie. Sama z siebie jest ciekawa, ale to też część naszego dziwaczного przedsięwzięcia. Ja mam sobie przypominać, a ona to dla mnie zapamięta.

Lecz jest to bardzo trudne.

Ruby dobrze to ujęła. Ja też chciałam być wspomnieniem, nie po Xanie, bo jego pamiętała również rodzina, przyjaciele i jego pułk, ale po naszej miłości. Nie miałam po nim nic więcej i przez długi czas niczego więcej nie szukałam.

Przez sześćdziesiąt lat, najlepszą część mego życia, zazdrośnie strzegłam tych wspomnień. Nigdy nie mówiłam o nich swemu mężowi ani córce, i mam świadomość, że było to postępowanie samolubne. Lesley, wiedzona wewnętrznym instynktem dziecka, zawsze wiedziała, że od niej stronie. Zanim jeszcze nauczyła się mówić, już istniał między nami namicalny dystans.

I jeśli podejrzewałam, że mogę zostać ukarana za to, czego nie zdołałam zrobić, lub jeśli sądziłam, że w życiu może się stać wszystko, tylko nie takie nagłe okrucieństwo, to zgadzam się, że starcza utrata pamięci, powolne zasypywanie moich wspomnień przez pustynny piasek, jest wyjątkowo odpowiednią formą kary.

Ruby obserwuje mnie, próbując odgadnąć, gdzie jestem, czekając, aż coś powiem. Zapomniałam, o czym rozmawiałyśmy minutę temu.

W końcu daje mi wskazówkę.

- Poznałam mamę Asza i jego babcię.

Tak. O cmentarzach,

- Musi tam być pochowany dziadek Asza - dodaje.

- Być może.

Znowu zapada cisza, podczas gdy obie deliberujemy.

Pustynia to jeden wielki, nieoznakowany grób.

- Wydaje mi się, że to może być całkiem pokrzepiające.

No wiesz, mieć wszystkich tak w pobliżu, umarłych i żywych, całą rodzinę razem. Bez, jak to się mówi?... tabu na ten temat, tak jak u nas. Pewnie też nie czują się samotni.

Najwyraźniej porównuje mnie z babką Asza. Tak, jestem samotna. I jestem do tego tak przyzwyczajona, że uświadomiło mi to dopiero zmniejszenie tej samotności dzięki jej towarzystwu. Nie zawsze byłam taka obcesowa w swoich słowach i osądach. To sprawia właśnie ta wielka samotność. Zapominasz, jak być taktowną i delikatną. Ale Ruby się tym nie przejmuje, co mnie cieszy.

Pochyliła się i przysuwa krzesło bliżej do mojego.

- Iris? Co się stało? Dlaczego ty i Lesley nie żyjecie w przyjaźni?

Chcę jej odpowiedzieć, ale słowa, powody i wspomnienia mieszają się i umykają z mego zasięgu...

Nie. To nie ma sensu. Łatwiej byłoby się schronić w mglistą krainę zapomnienia, ale ta prawda wciąż ostro tkwi w mojej pamięci i muszę to przyznać: nie chciałam zostać matką. Nie wtedy, nie dziecka Gordona, nie Lesley.

Może nie byłam w ogóle stworzona, by zostać matką. Może gdyby nawet wszystko potoczyło się inaczej, i tak zabrakłoby mi instynktu macierzyńskiego.

Byłam dobrą lekarką. Kochałam swoją pracę i z pewnością oceniano mnie dobrze. Dla jednej czy dwóch osób, być może, byłam niezawodnym przyjacielem. Czy to nie wystarczy?

- Myślę, że Lesley i ja szanujemy siebie - odpowiadam.

Ruby czuje, że ją zbyłam, widzę to. Cisza wypełnia cały pokój, gdy próbują znaleźć sposób, żeby to odwrócić.

Niebo na dworze zasnuło się chmurami. Zbliża się zima, a ta przynosi wilgotny chłód przenikający Kair podobnie jak mgła znad Nilu. Nie przeszkadza mi letni upał, gdy spędzam dni tak jak teraz, w tych grubych murach lub w cieniście ogródka, ale zimno obecnie odczuwam jak Faria.

Staram się zapanować nad ogarniającym mnie drzeniem. Jest tu Ruby i mogę sobie wyobrazić, jak ją przygnębia cisza tego starego domu. Nagle w głowie rodzi się myśl i klaszczę w dłonie, aż ona podskakuje.

- Kiedy się tu znalazłaś?

Wygląda na zaskoczona.

- Co? Znaczą kiedy tu przyjechałam? No, to było dwanaście dni temu.

- Tylko tyle? Wydaje mi się dłużej.

- Tak? Znaczą ja nie chcę być zawadą czy coś takiego, po prostu powiedz, jeśli nią jestem.

- Zawadą? Oczywiście, że nie jesteś zawadą. Myślę tylko, że jesteś w moim domu już prawie dwa tygodnie, a jeszcze cię nigdzie nie zabrałam, nic ci nie pokazałam, z wyjątkiem tej jednej wycieczki z twoimi znajomymi, i najwyższy czas, żebym to zrobiła. Obiecałam twojej matce, że cię czegoś nauczę.

Klaszczę w dłonie, tym razem jeszcze głośniej.

- Pojedziemy teraz. Zrobimy sobie wycieczkę. Wiem, pojedziemy do Gizy. - Pomysł coraz bardziej mi się podoba. Ogarnia mnie pragnienie, by wyjść z domu i pójść gdzieś indziej, uciec od krążących wokół mnie wciąż tych samych myśli. - Pojedziemy tam, zwiedzimy piramidy i obejrzymy zachód słońca na pustyni. Co ty na to?

- Pojedziemy? Nie ma tu dziś Nafiza i Asza. Byli w zeszłym tygodniu, wtedy gdy pojechaliśmy do Groppiego. Pamiętasz?

Wstaję. Ruby podnosi spadający mi z kolan koc i wiesz na oparciu mojego fotela.

- Zawołasz Mamduha? Powiesz mu, że będzie potrzebny samochód.

Ruby idzie za mną do sypialni. W szafie wisi mój ciepły płaszcz z irchy.

- Masz samochód?

Już myślę o niebie w barwach ametystowych i o tym, jak trzeba kierować samochodem, gdy koła grzęzną w piasku.

- Oczywiście, że mam. Pośpiesz się, bo przegapimy zachód słońca.

Twarz Mamduha pociemniała.

- Mamris, to nie jest dobry pomysł. Dla panienki mogę zorganizować wycieczkę z przewodnikiem mówiącym po angielsku. Jutro, a jeszcze lepiej pojutrze.

Ruby szła za Mamduhem przez kuchnię, a oboje wyprzedzała Iris. Służący posłał dziewczynie gniewne spojrzenie, mówiące, że to musi być wszystko jej wina, a Ruby robiła, co mogła, by mu na migi odpowiedzieć, że to wcale nie ona.

- Gdzie jest klucz, Mamduhu?

- Tutaj. - Ciocia odsunęła się i Mamduh wyjął komplet kluczy z szuflady jednej ze starych kremowych szafek.

- Bardzo dobrze. Chodźmy.

Ciocia wzięła miotełkę do odkurzania i szmatkę. Ich mała procesja z Ruby na końcu przeszła przez drzwi, które jeszcze przy niej nie były otwierane. Prowadziły z kuchni do komórki, bardzo małej, lecz wysokiej, z niewielkim okienkiem w grubym murze wysoko nad ich głowami. Mamduh odsunął kilka zasuwek i uchylił kolejne drzwi. Ruby zobaczyła, że prowadzą na wybrukowaną ścieżkę z tyłu domu. Ściany z tej strony były chropowate i spękane, a przez środek przechodził kanał ściekowy, którym płynęła strużka szarej wody. Cuchnęło ściekiem.

Iris przeszła przez rynsztok i stanęła wyczekująco przed podwójnymi drewnianymi wrotami, zamkniętymi na łańcuch z kłódką. Mamduh bardzo powoli otworzył kłódkę i wyjął łańcuch. Wreszcie otworzył wrota.

W ciemnym pomieszczeniu rozległ się chrobot, zapewne jakiś szczur uciekał w panice w ciemny kąt tego, co musiało kiedyś być stajnią. Wzdłuż jednej ściany ciągnęły się drewniane koryta, a na haku wisiała pokryta pajęczyną uprząż. ,

I stał samochód.

Pierwsza ruszyła Ciocia. Przejechała po masce pióropuszem miotełki. Spod grubej warstwy kairskiego kurzu i lepkiego piasku widać było, że samochód był kiedyś czarny.

Iris wyglądała na zafrapowaną. Otworzyła drzwiczki kierowcy i zajrzała do środka. Gdy przekręciła kierownicę, spod jej palców wzbily się obłoczki kurzu.

- Nie ma ubezpieczenia, żadnego przeglądu, oleju, benzyny - narzekał Mamduh. - Spójrzcie, wszystkie opony to flaki.

Ruby przeszła na tył auta i wytarła tylną tabliczkę firmową. Chociaż samochód był bardzo stary, wydał jej się znajomy. To był volkswagen beetle i niezbyt się różnił od nowego, który miała Lesley i w którym Ruby uczyła się prowadzić.

- Mama miała taki sam. - Uśmiechając się, wróciła do przodu maski.

- Co?

- Garbusa. Do zeszłego roku, potem kupiła audi.

Mamduh odsunął się, trzymając na biodrach zaciśnięte pięści.

- Nie ma możliwości, żeby pojechać tym samochodem.

Iris ostrożnie zamknęła drzwiczki.

- Kupiłam go w latach siedemdziesiątych, gdy mieszkałam w Swakopmund, od niemieckiego dentysty o nazwisku Werner Esch. Wracał na stałe do Europy, ale nie chciał trans-

portować samochodu i zaproponował mi dobrą cenę. Gdy przenosiłam się tu do Kairu, prowadziłam go sama przez całą drogę i zmieściło się w nim wszystko, co chciałam ze sobą zabrać. - Poklepała maskę w zamyśleniu, zostawiając na niej ślady palców przypominające rozmazane ślady ptasich łapek.

Ciocia wycierała chromowaną klamkę, ale jej oczy łza- wiły od kurzu i kaszlała w fałdę narzuconej na głowę białej chustki. Iris, ociągając się, odeszła od samochodu, choć ręka jej jeszcze się wyciągała ku niemu, jakby nie mogła porzucić myśli o przygodzie, jaką obiecywał.

- No to weźmiemy taksówkę.

- Mamris, dziś już jest za późno. Zanim dojedziecie do Gizy, będzie ciemno.

- Wiesz przecież o tym, że wychodziłam w życiu z domu po ciemku.

- Panienska nic nie zobaczy.

Oczy Iris zaświeciły się. Pokonał ją, ale i tak się nie podda.

- W takim razie pojedziemy gdzie indziej. Ruby, powiedz: dokąd byś chciała pojechać?

Bez czekania na odpowiedź strzeliła palcami.

- Muzeum! Pojedziemy do muzeum i poznasz trochę historii przed wycieczką do Gizy. Nie sędzę, żebyś ją znała, co? Lepiej się pośpieszmy.

Po półtorej godziny czarno-biała taksówka, o wiele nowsza niż Nafiza, okrążyła zatłoczone rondo Midan At-Tahrir i zaparkowała przed ciemnoróżowym budynkiem muzeum. Iris siedziała obok kierowcy, a Mamduh, który uparł się, że z nimi pojedzie, wcisnął się na tylne siedzenie koło Ruby.

Rano przed muzeum było tłoczno od turystów, ich przewodników i autokarów, ale pod koniec dnia została już tam tylko garstka zapóźnionych maruderów i sprzedawców pocztówek, włączających się o zmierzchu. Gdy przeszli przez bramę, stanowili niezwykłą trójkę, ale to głównie Iris o sztyw-

nych plecach i profilu jak z jakiejś monety zwracała na siebie uwagę. Ruby szła niedbałe z rękami w kieszeniach. Nie przepadała za tym rodzinno-wycieczkowym klimatem, jaki panował w większości muzeów, do których ją zaciągano na siłę w domu, ale ta wycieczka przynajmniej stanowiła jakąś odmianę. Gdy doszli do drzwi, czuła już nawet odrobinę zainteresowania.

Mamduh kupił bilety i weszli do środka.

Ruby odchyliła głowę i spojrzała w górę. Centralny hol otaczały mroczne galerie, a całość zwieńczał prześwit z ciemnego szkła. Od miejsca, gdzie stała, odchodziły promieniście wysokie drewniane gabloty wypełnione po brzegi wielką obfitością eksponatów. Zagłębiła się w alejki z drewna i szkła, oglądając wystawy. Były tam małe, rzeźbione w drewnie figurki z grobowców oraz olbrzymie, dostojne posągi faraonów. Były prymitywne łódki i gliniane naczynia, połamane skorupy, rysunki hieroglifów i zwoje papirusów, masywna biżuteria ze złota, karneolu i szkła, amulety oraz bransolety, a także sandały ze skóry, wyglądające, jakby je wczoraj zdjęto z nóg. Eksponaty pokrywał kurz, a większość podpisów. w języku arabskim, była lekko spłowiała, co według Ruby jeszcze dodawało im atrakcyjności. To było rzeczywiście muzeum, a nie eksperyment muzealny. Bogactwo i obfitość kolekcji, nieuporządkowanej i pogrążonej w półmroku, nieco przerastały możliwości jej percepcji. Za małą miała wiedzę. To była gigantyczna kolekcja niezliczonych mniejszych kolekcji, jej dawna pasja powiększona do nieskończonej potęgi. Wzbudzała w Ruby wielką ciekawość i jednocześnie przytłaczała.

Oglądając skupisko dziwacznych broszek w kształcie złotych much, aż zaparowała szybę swym oddechem.

Mamduh podszedł do niej i, sapiąc, rzekł:

- Panienko, proszę iść tędy.

Chciała krzyknąć: „odejź”, lecz Iris też wzywała ją ge-

stem dłoni. Na samym końcu długiego rzędu kolumn i przepelnionych wnek tabun sprzątaczek z wiadrami i mopami zmywał kamienne posadzki.

- Dokąd idziemy? - zapytała Ruby.

- Na piętro.

Niechętnie weszła za nimi po niskich kamiennych stopniach do galerii na pierwszym piętrze, cały czas marząc o tym, by nikt nie odrywał jej od tych skarbów.

Jedną z sal wypełniał tłum ludzi, a spoza wyciągających się głów dojrzała przez chwilę dostojną maskę pogrzebową młodocianego króla.

- Tutaj? - pokazała.

Iris przytaknęła głową. Weszły do bocznej galerii, w przed-sionku której stały rzędy wypolerowanych drewnianych ławek.

- Ja tu zaczekam - oznajmił Mamduh.

W kolejnej sali panowała cisza i półmrok. W zaplombowanych szklanych gablotach leżały zmumifikowane królewskie szczątki faraonów.

Ruby dreptała razem z kolejką, przystając przy każdej mijanej mumii. Raz były to ciemne loki i haczykowaty nos jakiejś królowej, raz czaszka prześwitująca przez skórę jak przez pergamin, długie żółte zęby osadzone w szczęce, zaszona ręka owinięta armilą ze złota. Iris posuwała się wraz z nią, szepcząc imiona: Seti I, Ramzes II, Totmes IV. Niektórzy wyglądali na śpiących. Po innych pozostały szczątki; były one bardziej wznuszające niż makabryczne. Ruby z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że byli to zwyczajni ludzie, mieli nadgarstki, nozdrza i paznokcie. W holu na zewnątrz stały zdobione sarkofagi i ornamenty z grobowców, a tutaj byli po prostu mężczyźni i kobiety. Żyli w wielkiej chwale, a potem zmarli. Ona była żywa, a oni nie, oddzielało ją od nich wyłącznie bicie serca.

Mruczała sama do siebie: „czaszka pod skórą”. Nie pa-

miętała, skąd pochodzi ten zwrot, ale gdzieś to słyszała lub czytała.

Zrozumiała, dlaczego Iris ją tu przyprowadziła. Zmarli byli po prostu zmarłymi, nie byli ani straszni, ani nadzwyczajni. Historia wybrała akurat te jednostki i zachowała ich imiona, podczas gdy o innych na zawsze zapomniano. Ruby nie widziała istotnej różnicy między tą cichą salą a domem-grobowcem, w którym mieszkała rodzina Asza.

Obserwuję Ruby, jak przechodzi na palcach obok szklanych gablot.

To jest śmierć w oficjalnym wydaniu, tak jak w Mieście Umarłych. Nieuchronnie przywodzi na myśl swoją antytezę, bezładną i szokującą, a w końcu zapomnianą pośród piasku pustyni.

Xan był daleko, nie miałam z nim kontaktu. Tak jak sobie obiecałam, udałam się do szpitala i weszłam po schodach na oddział pełen posagowych mężczyzn.

- Cześć - powiedziałam cicho do Albiego. Górna połowa jego twarzy nabrała już trochę koloru i siedział wyżej oparty na poduszkach. W zasięgu jego ręki leżał notes z ołówkiem przywiązany do niego tasiemką. Śledził mnie wzrokiem, gdy przestawiałam krzesło bliżej wezgłowia łóżka, gdzie mogłam mówić mu wprost do ucha. Zanim przykryłam swoją dłonią jego dłoń leżącą na pościeli, wiedziałam, że już się domyśla, co chcę mu powiedzieć.

- Pan Ridley zmarł bez odzyskania świadomości. Tak mi przykro. Chciałabym, żeby Xan był tutaj i sam to panu powiedział.

Przymknął na chwilę oczy. Ciekawa byłam, jak dużo czasu ze sobą spędzili i ile razem przeszli, Albie, Xan i szeregowiec Ridley.

Potem ręka Albiego poruszyła się pod moją i ruchem gło-

wy pokazał, żebym mu podała notes. Gdy pieczołowicie pisał, na jego czole pojawiła się kropla potu i powoli spłynęła po skroni, jak łza, która nie mogła popłynąć inną drogą.

„Dziękuję za poinformowanie mnie - napisał. - Biedny stary Ridley”.

Uniosłam głowę i znów spotkałam jego oczy. Zobaczyłam w nich błaganie, żebym została i mówiła mu o życiu i o nadziei, o czymkolwiek, co nie miało związku z umieraniem na pustyni.

- Posiedzę tu i pogadam z tobą trochę, dobrze?

Na początku zacinałam się i wchodziłam na ścieżki, które nieodmiennie prowadziły ku wojnie, więc musiałam się wycofywać i wymyślać inny temat. Z desperacji opowiedziałam mu o liście od matki, a to z kolei skierowało moją opowieść ku Evie, żonie mojego stryja, i trójce jej dzieci, które popołudniami bawiły się pośród krzewów hortensji w ogrodzie mojej matki. Albie słuchał, kiwał głową i patrzył gdzieś poza mnie, jakby widział zwinięte w kłębek suche liście, deptane przez dziecinne kalosze, i ich ślady w błocie z wdeptaną długą, cienką trawą; jakby słyszał krakanie gawronów na gałęziach wiaźów wzdłuż muru wokół kościoła. Może pochodził ze wsi podobnej do tej, gdzie mieszkali moi rodzice, i moja bezładna gadanina mu o niej przypominała. A może był z East Endu i Hampshire nie znaczyło dla niego nic prócz tego, że zagłuszało myśli o gorszych rzeczach.

Mówiąc i mówiąc, zapomniałam, że on nie mógł odpowiadać.

- Albie, masz dzieci?

Podniósł notes. „Nie. Nie jestem żonaty”. I „Nie udało mi się z tobą! Ubiegł mnie pan Molyneux”.

- Na pewno jakaś dziewczyna czeka na ciebie w domu.

„Niedługo mnie odeślą z powrotem statkiem szpitalem”.

- Kiedy? Albie, to dobra wiadomość. Wyreperują ci szczękę, teraz chirurdzy robią różne cuda. Będziesz jak nowy.

Tak właśnie powiedziała Ruth żołnierzowi bez nóg, który chciał tańczyć.

„Zobaczymy. Przyjdiesz jeszcze do tego czasu?”

- Oczywiście, przyjdę. Będę tu codziennie, jeśli możesz to znieść.

„Mogę. Dzięki”.

Wyglądał na zmęczonego i nie protestował, gdy zabrałam mu notes i niezdarnie próbowałam poprawić poduszki.

- Dobranoc, Albie. Do jutra.

Nie zauważyłam Ruth, ale ona wyszła za mną, gdy opuszczałam salę. Stanęliśmy na szczycie schodów, patrząc, jak w dole pielęgniarki i odwiedzający chodzą w tę i z powrotem po kamiennej posadzce holu wejściowego.

- Powiedziałam Albiemu o śmierci kolegi.

- Jak to przyjął?

- Po stoicku.

Ruth kiwnęła głową.

- Oni prawie zawsze są stoikami. Czasem bym chciała, żeby ci mężczyźni płakali lub okazywali uczucia w jakikolwiek sposób. Spotykały ich takie straszne rzeczy. I tak byli wystarczająco dzielni.

Pomyślawszy o tym cichym oddziale pełnym tak ciężko rannych mężczyzn, mogłam się tylko z nią zgodzić.

- Ty przynajmniej coś robisz, żeby im pomóc.

- To nie jest wiele. Słuchaj, akurat dzisiaj Daphne ma wolne popołudnie, a ja za godzinę wychodzę z pracy. Może byś przyjechała do naszego mieszkania i zjadła coś z nami? Tylko że to nie będzie nic wytwornego.

Przyszło mi do głowy, że Ruth musi uważać mnie za wytworną. Zarumieniłam się i wybąkałam, że chętnie przyjdę.

- Świetnie. Około wpół do dziewiątej?

Powiedziałam, że już nie mogę się doczekać.

Przebywając z Xanem, czułam się szczęśliwa i spełniona i coś zblizonego odczuwałam w towarzystwie Ruth Macna-

mary. Przy niej wierzyłam w słuszność świata i mojej w nim obecności bardziej niż przy Sarah i Farii i o wiele bardziej niż kiedykolwiek w dotychczasowym życiu.

Po dokładnym, niespiesznym obejrzeniu mumii wrócili do przedsiionka sali. Iris uniosła brwi pytająco, a Ruby popatrzyła jeszcze raz za siebie na nieruchome figury.

- Dzięki - powiedziała.

Mamduh podniósł się ciężko z ławki. Znów zeszli na dół po schodach. Kobiety z mopami doszły już prawie do głównego wejścia, a podłogi za nimi były mokre i lśniące. Muzeum zamykało się na noc.

- Myślę, że wrócimy już do domu - oznajmiła Iris. Mamduh przywołał taksówkę czekającą w kolejce na postoju.

W domu Ruby pomogła Iris zdjąć płaszcz. Twarz Iris była papierowo blada ze zmęczenia, lecz jej oczy wypełniał blask.

- Ciekawiło cię to, prawda?

- Oczywiście.

- Tak przypuszczałam - pochwaliła się.

Ruby spontanicznie chwyciła babcię w ramiona i uściskała. Z początku Iris stała sztywno, odsuwając się, ale potem się rozluźniła. Ruby czuła, jaka jest lekka, niczym piórko, a kości jej barków były drobne jak ptaka.

- Było wspaniałe. - Ucałowała Iris w czubek głowy. - A śmierć w końcu, gdy już się stanie, nie wydaje się taka wielka i straszna, żeby zawładnąć naszym umysłem. O to ci chodziło, tak?

Iris poszła spać wcześniej, zaprowadzona z wielką atencją przez Ciocię do swego pokoju. Ruby powędrowała do swojej sypialni i wyjęła CD od Jasa. Położyła się na pościeli i myślała o nim. Po raz pierwszy od tamtej nocy na najwyższym piętrze wieżowca nie miała przed oczami natrętnego obrazu zmasakrowanego ciała w kałuży krwi. Zamiast tego widziała

go w ogrodzie kwiatów wyciętych z gazet i słyszała jego głos cicho tłumaczący jej, o co chodzi w muzyce.

Pierwsze uderzenie kamyka w okno przestraszyło ją, przy drugim podbiegła i wyjrzała. Dostrzegła jedynie zwrócony ku górze owal twarzy Asza, obramowany białym kołnierzykiem koszuli.

Cichutko zeszła po schodach i wzięła w dłoń ciężki klucz od drzwi wejściowych z miejsca, gdzie Mamduh zawsze go zostawiał, na małej półeczce za kotarą. Przygryzając wargę w maksymalnym skupieniu, wsunęła klucz do zamka i przekręciła, krzywiąc się, że cisza nagłaśnia każdy szelest i zgrzyt. Mamduh i Ciocia prawie na pewno już spali, ale łatwo było sobie wyobrazić jego masywną postać wyłaniającą się nagle w drzwiach i łapiącą ją, jak się wymyka z domu. Powoli drzwi się otworzyły z lekkim oporem starych zawiasów, a na zewnątrz stał Asz i przywoływał ją do siebie.

Uśmiechając się do niego, Ruby położyła palec na ustach. Popchnęła drzwi i zamknęła za sobą tak samo ostrożnie, jak je otworzyła. Potem podała rękę Aszowi i pobiegli alejką do ulicy. Gdy już skręcili za róg, przycisnął ją do muru i pocałował, na chwilę wsuwając ręce pod jej koszulę. Łapiąc oddech, oparła głowę o ścianę. Półksiężyc na szczycie minaretu kładł się na ciemnoniebieskim niebie jak czarny cień prawdziwego księżyca.

- Nafiz na nas czeka - szepnął.
 - Dokąd jedziemy?
 - Do klubu, takiego, do jakiego chodzisz w Londynie;
- Ruby z wrażenia uniosła brwi.
- Zaprowadź mnie tam - powiedziała ze śmiechem.

Taksówka parkowała w pobliżu bazaru. Nafiz otworzył drzwi i Ruby usiadła obok niego, a Asz wcisnął się z drugiej strony. Samochód ruszył. Zęby Nafiza błyskały w uśmiechu. Miał na sobie kurtkę skórzaną, a pod nią T-shirt z napisem „Armani” z przodu.

- Cześć, Ruby, moja przyjaciółko.
- Cześć, Nafiz. Słyszałam, że jedziemy do klubu.
- Zgadza się. Jak tam twoja babcia?
- Śpi.

Roześmiali się wszyscy, a taksówka pognała na wschód, ku niskiemu, zwartemu grzbietowi wzgórz Al-Mukattam.

Klub mieścił się w budynku z płyt betonowych, wysoko ponad białawopomarańczową poświatą miasta. W środku tańczył zbity tłum w oparach dymu tytoniowego, opalizującego niebiesko w świetle reflektorów. Asz wziął Ruby za rękę i poprowadził.

Czegoś takiego Ruby jeszcze w Kairze nie widziała. Były tam gromady umalowanych dziewczyn egipskich w króciutkich spódniczkach ze spandeksu i bluzkach z błyskotkami, odsłaniających pępek i prawie całe piersi. Byli chłopcy w skórach, rapowcy w przepaskach i bojówkach, Jamajczycy w podkoszulkach i z dreadami oraz didżej uwijający się przy magnetofonach na niskim podium. Zapach był taki sam jak we wszystkich klubach: perfumy zmieszane z potem, zjełczalym tłuszczem włosów i zwierzęcym, fluidem adrenaliny. Widok był absolutnie znajomy, a jednocześnie Ruby czuła się tu zupełnie nie na miejscu z twarzą bez makijażu, w bawełnianej koszuli z długimi rękawami i luźnych spodniach, które stały się jej strojem w Kairze.

- Mogłeś mi powiedzieć! - syknęła do ucha Aszowi.
- Jesteś najpiękniejszą dziewczyną w tym lokalu, nie ma tobie równych.

Ręka Nafiza już obejmowała talię koloru mlecznej czekolady jakiejś dziewczyny o włosach upiętych na czubku głowy. Wysunęła w jego stronę biodra, a jednocześnie odsuwała szyję, gdy chciał ją pocałować. Asz zerknął na Ruby i przeprowadził ją przez tłum na tył sali, gdzie znajdował się bar. Kupił butelkę coca-coli i dał ją Ruby do ręki, a potem z głębokiej kieszeni na biodrach wyjął identyczną butelkę, tylko ta

była już odkapslowana i zatkana prowizorycznie przyciętym korkiem. Chwycił korek zębami i wypluł go na bok, pociągnął łyk z butelki i podał ją Ruby. Upiła trochę i zaczęła się krztusić. Była to czysta whisky.

- Hej, myślałam, że jesteś grzecznym muzułmańskim chłopcem i nie pijesz.

- W każdym człowieku są sprzeczności.

Ruby zaczęła się śmiać i wypiła drugi łyk whisky. Didżej rozgrzewał tłum tańczących, poprzez który zobaczyła, że Nafiz również pociąga coś z butelki coli. Z zapalem poszła razem z Aszem przyłączyć się do wstrząsanej muzyką ludzką masę. Wessała ich moc decybeli i wir nieznanymi ciał.

Po jakimś czasie, gdy ich włosy polepiły się już w strąki od potu, a ubrania nadawały się do wyżęcia, wspięli się na górę po jakichś schodkach i przez wąski betonowy korytarz wyszli w ciemność. Muzyka tutaj była już tylko przytłumionym pulsowaniem w czaszce i koniuszkach palców, jak zapowiedź bólu. Asz potknął się i chwycił ręką słupkę ogrodzenia, żeby utrzymać równowagę. Pierwsza butelka coli-whisky była już opróżniona i Nafiz przyniósł drugą. Gdy szedł niepewnie w ich stronę, jasne było, że sam wyżłopał pierwszą do końca.

- Usiadźmy - szepnął Asz. Przeszli parę metrów i znaleźli załom muru, a w nim płaski kamień. Na ziemi walały się puszki i potłuczone szkło, a na kolczastych krzewach wisiały strzępki plastikowych torebek. Wiatr wiejący wąwozem z góry oziębził pot na skórze Ruby i dziewczyna zaczęła się trząść z zimna. Chętnie schroniła się w zaciszu muru. Usiedli na kamieniu, opierając się o niego plecami. Ruby osłoniła złożonymi dłońmi zapalniczkę Asza, gdy przypalał papierosa. Wzięła papierosa od niego, a on przypalił sobie drugiego.

- Zabawne - powiedziała z namysłem. - To jest jak niepasujące miejsce, jak inne miasto.

- Jak Londyn?

- No, nie. Nie bardzo.

Nie chciała, by przypominało Londyn. Ten dywan świąteł pod nimi to był Kair. Był egzotyczny i pociągający, a wewnątrz klubu z łomotem dyskotekowej muzyki takie nie było. Żeby pokryć zmieszanie wywołane tym lekkim rozczarowaniem, przysunęła się bliżej do Asza. Dotknęła ustami jego szyi i przesunęła mu dłoń po udzie, a po chwili on zmienił pozycję i zbliżył się, szukając ustami jej ust. Jego oddech pachniał whisky. Ruby zamknęła oczy i rozluźniła się. Czuła ciepło i czułość dotyku i pieszczot Asza. Był piękny i podobał się jej, był dla niej dobry. W podobnej sytuacji w domu już dawno spodziewałaby się, że będzie się z nim kochać. I tak by oczywiście było.

Odpięła suwak jego spodni. Wszystko tam było w porządku. Ponieważ on nie zrobił tego samego, sama odpięła guziki swoich spodni i uniosła biodra zachęcająco.

Asz podniósł się na łokciach, spojrzał na nią z góry i westchnął.

- Ruby, ja nie zamierzam tego robić.

Tak ją to zaskoczyło, że gwałtownie cofnęła się i uderzyła głową o mur.

- Kurde - mruknęła i rozmasowała głowę wolną ręką. - Dlaczego nie?

- Uważam, że to nie jest właściwe.

- Nie podobam ci się? - To było niespodzianką. Przywykła do tego, że używa swego ciała jako potężnej waluty, mocnego dolara, wobec każdego - od chłopców spotykanych w klubie po Willa. Robiła tak od piętnastego roku życia. Tylko z Jasem było inaczej.

- Podobasz. Nie bądź głuptasem.

- No to chodź. Ja chcę! - Próbowwała się zmysłowo uśmiechnąć, ale jej usta zrobiły się drętwe.

- Nie.

- Co ci jest?

Ujął ją mocno za nadgarstek, odwrócił i delikatnie pocałował skórę tam, gdzie bije puls.

- Podobasz mi się za bardzo.

- Właśnie. Czy nie o to wam właśnie chodziło, tobie i Nafizowi, gdy się poznaliśmy?

Asz odparł z gniewem:

- Nafiz to nie ja. Ale tak, na początku, zgoda. Każdy zna europejskie dziewczyny, angielskie dziewczyny, one kochają się z egipskimi chłopcami, wszystko im jedno. Egipskie dziewczyny nie są takie.

Ruby wymierzyła palcem w betonowy budynek.

- A tamte?

- Nie wyszły tutaj, prawda? Większość ich jest tu z braćmi, kuzynami, znajomymi, ludźmi, którzy je znają od dziecka. Wychodzą z domu, żeby się fajnie ubrać, potańczyć, może nawet wypić parę drinków, ale tak, żeby ich ojciec o tym nie wiedział. Lecz nie po to, żeby robić to.

- Rozumiem.

- Myślę, że nie rozumiesz. - Ujął jej twarz w obie dłonie i zmusił, żeby na niego popatrzyła. - Przedtem byłaś tylko turystką. Teraz wiem, że jesteś moją Ruby. Lepszą niż rubiny. Może cię kocham.

Ruby roześmiała się z niedowierzaniem, sycząco przez zacisnięte zęby. Czuła się odrzucona, ale jednocześnie zaświtała jej inna myśl.

Może to, co mówił, było prawdą.

Możliwe, że teraz rozliczali się w całkiem innej walucie i nie musiała używać tej co zawsze. Może tak jak Jas Asz będzie inny.

- Ruby, dlaczego mi nie wierzysz?

- Jeśli tak mówisz, to okej, wierzę ci. Tylko nie wiem, dlaczego mnie kochasz, o to chodzi. W każdym razie chłopcy zwykle mówią to, żeby móc nas przelecieć, a nie żeby tego nie robić.

- Zawiozłem cię do mojej rodziny - powiedział Asz, urażony. - Nie rozumiesz? Mama mnie zapytała: „Kim jest ta dziewczyna?“, a ja powiedziałem jej prawdę: „Nie jestem pewien, ale jest ważna“. I jesteś. Dlaczego miałbym cię nie kochać?

Siedziała otoczona ramionami Asza, patrząc w ziemię. Odłamki szkła zaczęły odbijać szary poblask podobny do wypolerowanej stali. Wschodnia część nieba także zaczynała się robić Jeszcze godzina i zacnie świtać.

- Myślę, że możesz robić, co chcesz - mruknęła. A potem, ponieważ w tym, co powiedziała, tak ewidentnie brakowało wdzięku, zwróciła twarz do jego ciepłej skóry szyi i, wdychając jej zapach przesiąknięty whisky, dodała: - Cieszę się, że byłam u ciebie w domu, wiesz? Dużo o tym myślałam. Nie ma powodu, żeby twoja mama polubiła mnie od pierwszego wejrzenia, ale pewnie się przyzwyczai. To znaczy jeśli chcesz się dalej ze mną spotykać.

- Chcę - oświadczył tak uroczyście, jakby składał przysięgę.

Ruby uśmiechnęła się.

- W porządku. Jeśli nie zamierzasz mnie przelecieć, możemy się tylko poprzytulać.

- Kochać - poprawił ją.

- Dobra, niech ci będzie.

Zdjął marynarkę i okrył nią plecy ich obojga jak kocem. Potem położyli się objęci ramionami, przytuleni całym ciałem, a broda Ruby spoczęła w dołku pod jego obojczykiem. Wydała cichy, gardłowy pomruk zadowolenia i zamknęła oczy.

- O, właśnie - powiedział cichutko Asz.

Gdy znów otworzyła oczy, niebo zmieniło już kolor z ciemnoniebieskiego na perłowoszary. Usiadła, powstrzymując ziewanie i krzywiąc się z powodu niesmaku w ustach. Światła w dole już przygasały i na jej oczach cała pomarańczowa wstążka miasta zgasła.

- Musimy iść - rzekł Asz. Wstali sztywno i wzięli się za ręce, trochę już zmarznięte.

Drzwi klubu były zamknięte i tylko kilka samochodów oraz mopedów pozostało na placu z porośniętego zielonym asfaltu, na którym był parking. Stała tam ich taksówka, ale musieli pochodzić między samochodami, a potem przejść wzdłuż betonowej ściany budynku, zanim znaleźli Nafiza. Siedział na zardzewiałej beczce po oleju, ręce i głowę z opadającym kosmykiem miał luźno zwieszoną między kolanami.

Asz podbiegł i potrząsnął go za ramię. Głowa Nafiza zakłósała się bezwładnie jak u szmacianej lalki, zanim zdołał ją unieść do góry. Było oczywiste, że jest pijany. Asz krzychał coś do niego po arabsku, podczas gdy on niepewnie stanął na nogi, ale gdyby go nie podtrzymali z obu stron za ramiona, przewróciłby się na ziemię. Na wpeł go wlokąc, na wpeł niosąc przez dziki teren, dotaszczyli go do taksówki.

- Nie może prowadzić - powiedziała Ruby. - Weź jego kluczyki. Musisz go zastąpić.

Asz zachwiał się nieco pod ciężarem brata, gdy ten przeszukiwał kieszenie jego skórzanej kurtki. Nabiegłe krwią oczy Nafiza nie potrafiły się nawet skupić na Aszu. Gdy kluczyki znalazły się w ręku Asza, razem otworzyli jakoś tylne drzwi i wepchnęli Nafiza do środka. Tam powoli przewrócił się na bok i przyłożył policzek do podartego plastikowego siedzenia.

- Ja nie uczyłem się prowadzić taksówki - wyznał Asz.

- Dlaczego nie?

Przechylił głowę z zakłopotaniem.

- To kosztuje. Dla Nafiza jest nauka jazdy, dla mnie szkoła.

- Rozumiem. Więc albo go tu zostawimy i pójdziemy na piechotę, albo poczekamy, aż wytrzeźwieje, albo ja poprowadzę. Dobrze?

- Umiesz prowadzić?

W porę powstrzymała się przed powiedzeniem „oczywiście”. Właściwie nie była pewna, czy rzeczywiście potrafi poprowadzić ten pojazd przez chaos kairskiego ruchu ulicznego, ale nadarzała się okazja, by uratować sytuację i pokazać Aszowi, że umie jednak coś robić. Śmiało - szeptało coś w jej głowie. Głos, który już przedtem często słyszała.

- Taak. - Wyciągnęła rękę, a on po chwili wahania wręczył jej kluczyki. - Znasz drogę? Będziesz musiał mnie pilotować.

- *In sha Allah.*

Wskoczyli na przednie siedzenia. Ruby włożyła kluczyk do stacyjki, poruszyła rozklekotaną dźwignię biegów, żeby sprawdzić, czy jest na luzie, i zapuściła silnik. Zawróciła samochód gwałtownie, wzbijając w górę pył, ze skrzypieniem biegów poszukała pierwszego, znalazła i auto rzuciło się do przodu. Metalowy płot i brama mignęły im tylko, a przed nimi jasna wstęga szosy, wijąc się, schodziła ze wzgórz w stronę miasta.

- Jedź wolniej! - krzyknął Asz.

W odpowiedzi Ruby rozprostowała ramiona, zacisnęła dłonie na kierownicy i mocno nacisnęła pedał gazu. Pierwszy zakręt był ostry, jak się okazało: 180 stopni. Zbyt gwałtownie zahamowała i omal nie straciła panowania nad kierownicą, ale jakimś cudem udało jej się utrzymać samochód na szosie z piskiem opon i zgrzytem żwiru.

- Wróćmy do domu, zanim przekroczymy przepisy. Śmiała się z Asza.

- Już tylko wróćmy, proszę cię.

Bardzo łatwo było jechać tam, gdzie nie było dużego ruchu, ale niebawem znaleźli się na autostradzie wzniesionej na betonowych słupach, którą już płynął szybki strumień ciężarówek i aut. Na skrzyżowaniu zapomniała, że ma jechać po prawej, dopiero ryk klaksonów jej to uświadomił. Skrę-

ciła tak gwałtownie, że samochód zakołysał się na kołach. Na tylnym siedzeniu Nafiz poruszył się i jęknął. Już prawie dniało.

Dojechali do miasta, do szerokich ulic z wieżowcami po obu stronach i co krok ulicznymi reklamami. Jazda z lotniska z Nafizem wydała jej się bardzo, bardzo odległa w czasie. Nawet wczesnym świtem tutejszy ruch był jak zwykle hałaśliwym, rwącym nurtem. Ruby pochyliła się do przodu, skupiając się na słuchaniu wskazówek Asza oraz na tym, by w nic nie uderzyć. Lub przynajmniej nie za mocno. Wreszcie skręcili w *szaria* Al-Ghajsz i minęli mury starego miasta.

- Wiem, gdzie jesteśmy! - krzyknęła Ruby. Walnęła pięścią w kierownicę. - Widzisz? Daliśmy radę.

- Dzięki Allahowi za jego dobroć.

Przed nimi rozciągała się platanina uliczek Chan al-Chalili.

- Gdzie teraz? Którędy?

- Czekał. Zatrzymaj się. W tym miejscu. - Asz wskazał palcem na chodnik przed sklepem z zamkniętymi okiennicami. - To sklep mojego znajomego. Zostawimy tu samochód.

Ruby zakręciła kierownicą, zapamiętając trąbiąc klaksonem, i zatrzymali się raptownie, prawie uderzając w betonowy pachołek. Silnik zachłysnął się i taksówka stanęła.

- Jak ja tego dokonałam? - Rozpromieniła się w uśmiechu.

Asz przesunął ręką po twarzy, ściągając szczękę w dół z miną niedowierzania. Potem bardzo ostrożnie wysiadł. Nafiz podniósł się i usiadł. Jego twarz miała dziwny, sinoszary kolor.

Ruby wyskoczyła z auta.

- On będzie za chwilę wymiotował!

Asz szarpnął drzwiami i wyciągnął brata za barki, aż głowa zwiesiła się za samochód.

- Wstyd mi. Bardzo mi przykro, że widziałas go w takim stanie.

- Asz, nie po raz pierwszy widzę kogoś pijanego. I pewnie nie ostatni. Czy on często tak się zaprawia?

- Niezbyt często. - Asz westchnął. - Ma taki zwyczaj, że na kilka godzin wyłącza się ze swego życia, rozumiesz? Mój ojciec czasem miał tak samo. Teraz pójde z nim do domu. Zmuszę go do wypicia czarnej kawy, zanim go mama zobaczy. A ty, Ruby? Znasz tamtą drogę? - Asz pokazał na ruchliwe skrzyżowanie nieco dalej na tej ulicy, którądy Mamduh prowadził ją na pierwszą wyprawę na bazar.

- Znam. - Nie spała całą noc, lecz umysł miała nadzwyczaj jasny, a w jej żyłach pulsowała krew. Świat był czysty i nowy oraz pełen możliwości.

- Idź teraz do domu - nakazał jej Asz.

Nafiz wyszedł z samochodu. Jego dłonie i kolana wyglądały jak powyginane w złym kierunku. Oparł głowę o dach swej starej taksówki, całym ciałem łapiąc równowagę, po czym przesunął się bokiem w stronę miejsca za kierownicą.

- O nie, nie pojedziesz. - Ruby ubiegła go i wyrwała kluczyki ze stacyjki, wrzucając je do ręki Asza.

- Bardzo dobrze się spisałaś. Prowadząc samochód i w ogóle. Wiesz, jestem dumny, że mogę być twoim przyjacielem - szepnął do niej. Patrzył na nią z ukosa, z takim podziwem, że dzień wydał się Ruby jaśniejszy.

- Przyjacielem? A nie jesteś moim chłopakiem?

- Czy tego chcesz?

Zauważyła, że się zaczerwienił.

- Tak, chcę.

Asz zamknął i zablokował wszystkie drzwi taksówki i schował kluczyki do kieszeni. Potem objął brata ramieniem i ostro coś do niego powiedział. Nafiz wyprostował się i kiwał głową, rozglądając się i próbując pojąć, jak się tu znaleźli.

- Spóźnię się do pracy - jęknął Asz.

Ruszyli obaj, zderzając się ramionami, jeden prosty jak struna, drugi jakby był z gumy. Ruby patrzyła na nich, aż

skręcili za róg, a potem powoli poszła w kierunku wkluwających się w niebo trzech minaretów. Właśnie otwierały się metalowe żaluzje kawiarni i sklepów, pachniało kawą, cynamonem i świeżym pieczywem, a także spalinami silników Diesla i rozgrzanego kauczuku. Ulicą płynęła rzeka ludzi śpieszących na spotkanie dnia. Oddaliła się od tej ruchliwej arterii i wąską, coraz bardziej zężającą się uliczką doszła do miejsca, gdzie nie mieściły się już samochody, prawie do samego wielkiego meczetu i nieoznakowanych, łuszczących się drzwi wejściowych Iris.

- Nareszcie w domu - powiedziała Ruby na głos. Ciężki klucz był wciąż w jej kieszeni. Otworzyła drzwi, wstrzymując oddech, gdy je uchylała, i modląc się, żeby wszyscy w domu jeszcze spali.

Cichutko weszła po ciemnych drewnianych schodach i zakurzonym korytarzem *haramliku*. Przypominało to zakradanie się po nocnej zabawie z powrotem do domu Willa i Fiony.

Wtem usłyszała ostry głos:

- Ruby, chodź tutaj!

Iris siedziała na swych kilimach i poduszkach. Na niskim stoliku leżała otwarta książka, ale babcia jej nie czytała, nie miała założonych okularów. Ruby zrobiła krok do przodu, uniosła barki i zacisnęła pięści. Szykowała się na burzę. Znała to dobrze.

10

Dziecko czuje się winne, więc przybiera obronną pozę. Wysuwa dolną wargę i patrzy wilkiem.

Z ulgą widzę ją całą i zdrową. To była długa noc czekania i wyobrażania sobie, śledzenia wskazówek zegara.

- Dobrze się bawiłaś?

Sięga jedną ręką w dół i drapie się z tyłu pod kolanem. We włosach ma kawałek cienkiej gałązki, a ubranie brudne i jeszcze bardziej wymięte niż zwykle. Powieki ciężkie ze zmęczenia, usta nabrzmiałe. Bez wątpienia leżała na ziemi w objęciach swego młodzieńca, a do mnie wraca cała rzeka wspomnień rozmów, pocałunków i usianego gwiazdami nieba nad pustynią. Od Ruby oddziela mnie całe życie, a zarazem nic.

- Tak, chyba tak. To była raczej niesamowita noc.

Zerka w bok i do tyłu, sprawdzając, czy jesteśmy same.

- Byłaś w swoim łóżku i spałaś, prawda?

Otwiera oczy szeroko, rozluźnia ramiona i otwiera pięści. Obie od czasu do czasu jesteśmy zmuszone nie posłuchać rozkazów lub troszeczkę ocyganić Mamduha i Ciocię i ta konspiracja nagle wydaje się nam bardzo zabawna. Śmiejemy się obie, a Ruby podchodzi trzy kroki, doskakuje z boku do mego fotela i ściska moje palce.

- Przepraszam, jeśli się o mnie martwiłaś. Myślałam, że śpisz, wyszłam tylko na chwilę, a potem już tak jedno za drugim. - Wzdycha gwałtownie. - Całe moje życie takie, mówiąc szczerze.

- Z tego, co już wiem, myślę, że potrafisz się dobrze o siebie troszczyć. Gdy byłam w twoim wieku, też nie zawsze zachowywałam się jak trzeba, i nie mogę powiedzieć, że tego żałuję. - Sięgam i wyjmuję z jej włosów gałązkę, oddzielając ją od ciemnych kosmyków tak, żeby nie ciągnąć, a ona bierze ją ode mnie i w zamyśleniu miażdży w palcach.

- Ruby? Czy możesz mnie zapewnić, że stosujesz anty-koncepcję?

Wysoko na jej policzku pojawia się plama rumieńca.

- Tak. A właściwie nie. To trochę ironiczne, że o to pytasz.

- Ironia i seks? Powiedz mi o tym coś więcej.

Teraz siedzi na piętach.

- Brałam pigułkę, odkąd skończyłam piętnaście lat. Po śmierci Jasa... wydawało mi się, że nie ma sensu kontynuować. Wiesz, to tak jakbym czekała na następne bzykanie. Więc już nie biorę. Ale zawsze można stosować kondom, prawda?

- Czy to jest ironiczne?

- Nie, to znaczy ja chciałam, no, zrobiłabym to, ale Asz nie. Mówi, że jestem cenniejsza niż rubiny i on tak nie postępuje. Religia, kultura czy coś takiego. - Teraz, nie patrząc na mnie, wyznaje mi: - I powiedział, że być może mnie kocha.

Słyszę szept piasku, przesuwa się, szeleści.

- To dobrze - mówię cicho.

- Iris?

- Tak, słucham.

- Naprawdę fajnie jest być tutaj z tobą. Muzeum strasznie mi się podobało. Lubię, że z tobą się tak łatwo rozmawia, jakby pomiędzy nami nie było nic specjalnego, jakbyśmy były po prostu znajomymi.

Jej ręka jest gładka, brązowa, palce brudne. Moja szokuje nawet mnie węzłami żył i brzydkimi brązowymi plamami.

- Dziękuję ci - mówię.

Teraz ja i Ruby mamy już ustalony harmonogram i choć w rytmie mego dnia niewiele się zmieniło, w domu pulsuje na nowo życie.

Rano, gdy słońce wzniesie się już na tyle wysoko, by ogrzać powietrze, siadamy w ogrodzie i pijemy razem kawę. Ruby kroi owoce na kawałki i podaje mi jeden po drugim albo odrywa kawałki placków chlebowych, macza je w miodzie i kładzie mi na talerzu. Jakbym była dzieckiem, a ona troskliwą rodzicielką.

Gdy jest w domu, słyszę, jak się kręci, jej kroki na schodach, skrzypienie i szuranie mebli w jej sypialni, albo jak pośpiewuje do jakiegoś niesłyszalnego dla mnie utworu ze

słuchawek. Potem z ulicy na dole słyszeć beczący klakson motoru i jedzie gdzieś ze swym przyjacielem. Nie wypytuje, dokąd, bo i tak całkiem często po powrocie wszystko mi opowiada.

Aszraf zawiózł ją do piramid i wróciła do domu zabawnie rozczarowana. Tyle ludzi - złościła się - kolejki, zakurzone sklepy z pamiątkami i przewodnicy wycieczek dzierżący parasolki. A same piramidy znikają przy tym natłoku turystów przelewających się dookoła nich.

- Czy tak było za twoich czasów?

- Niezupełnie. Wtedy była wojna. Ale wszyscy żołnierze jechali je obejrzeć. Można było wynająć powóz o zachodzie słońca, gdy już się ochłodziło, a na miejscu czekali chłopcy sprzedający pocztówki i oferowano przejażdżki na wielbłądzie. Wojsko brytyjskie dla ochrony obłoczyło głowę sfinksa workami z piaskiem.

- Wolałabym tam pojechać wtedy niż teraz. W tamtych czasach pozwalano się wspinać na piramidę. Wspinałaś się?

- Nie. Ale znam ludzi, którzy to robili.

Ruby zaczęła też chodzić sama do muzeum. Spędza tam całe godziny. Po powrocie do domu relacjonuje swe odkrycia i zadaje mi pytania, na które nie zawsze potrafię odpowiedzieć.

- Królowa Nefretete, tak?

- Tak.

- Ona i faraon Echnaton narzucili nową religię i zbudowali całą nową stolicę poświęconą jednemu bogu, Atonowi.

- Chyba tak.

- W muzeum są ogromne posagi tego boga, z pochyloną głową i grubymi, wygiętymi ustami, ale on ma okrągły brzuch i uda jak kobieta. Może oni w rzeczywistości czcili boginię, boginię ziemi, jak myślisz?

- Nie wiem, Ruby. Nawet jeśli kiedyś wiedziałam, to zapomniałam. Może znajdziesz o tym jakąś książkę.

Potem znów zaczyna spekulować na temat urody Nefrete-te, zastanawiać się nad znaczeniem sfinksów i komunikuje mi, że w Muzeum Brytyjskim jest kawałek brody sfinksa z Gizy długości jednego metra.

- Uważam, że powinniśmy to oddać. Nie sądzisz, że tak byłoby uczciwie - przytwierdzić go z powrotem do brody, jak brakujący fragment łamigłówki?

- Tak, chyba tak by było.

Dyskutujemy o sprawie marmurów Elgina, o których nigdy nie słyszała. Myślę, że Lesley byłaby zadowolona z treści kulturowej niektórych naszych debat.

To dziecko chwyta trochę arabskiego. Powoli, lecz systematycznie przyswaja podstawowe słowa, jak chleb, woda, chusta i tak dalej, a także zwroty grzecznościowe, podziękowania i błogosławieństwa. Gdy chwale jej bystrość, patrzy zaskoczona i zadowolona.

- Dzięki. Asz mnie uczy, wiesz? Staram się za każdym razem nauczyć czegoś nowego po arabsku, żeby powiedzieć to do jego matki i przekonać ją do siebie. Wczoraj zaprosiła mnie, żeby zostać i zjeść z nimi posiłek, więc to chyba działa.

- Ruby...

Jej twarz zmienia wyraz.

- Wiem, wiem. Ale to niegrzecznie odmówić, a gościnność nakazuje im, nawet jeśli nie mają dużo, oddać wszystko gościowi, a samemu nie jeść. Więc wzięłam tylko kęs czy dwa i żułam to, nie wiem jak długo.

Pokazuje, jak usiłowała udawać zachwyt nad potrawą, jednocześnie prawie nic nie połykając, i rozśmiesza mnie.

- Lubię też, jak mi się uda powiedzieć kilka słów do Cio-ci. Wyjeżdżam z czymś po arabsku, a w niej coś pęka i zaczyna „chi, chi, chi”, jakby to był najlepszy żart usłyszany przez nią w życiu, a nie zwyczajna moja prośba o więcej zupy.

- Ciocia jest bardzo powściągliwa i niełatwo się oswaja z obcymi, ale ciebie od razu polubiła.

- Tak? Naprawdę? W takim razie szkoda, że Mamduh nie.

- Mamduh robi to, co uważa za swój obowiązek, to znaczy czuwa nad nami. Jest mężczyzną opiekunem w domu pełnym słabych, wątłych kobiet.

- Ależ to bzdura! Ty nie jesteś słaba ani ja. Ani też Cio-cia. Przecież ona robi wszystko w domu.

- Ruby, nie musisz się przejmować każdym drobiazgiem. Mamduh jest, jaki jest, po prostu to zaakceptuj i staraj się go nie denerwować.

Wygląda, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze, ale powstrzymuje się i zamiast tego wzdycha.

- Mamduh jest okej. Hej, czy ty się znasz na swoim samochodzie?

Te nagłe zmiany tematu rozmowy irytowały mnie początkowo, bo uważałam, że brak jej dyscypliny umysłu, ale teraz akceptuję to, sądząc, że jej umysł przestawia się szybciej niż mój. Jest tyle rzeczy, które ona chce poznać i spróbować. Już samo patrzenie i słuchanie jej podnosi mi ciśnienie krwi. Czuję mrowienie w stopach i dłoniach, jakbym miała zaraz skoczyć i rzucić się w objęcia świata, który od lat mało mnie obchodził. Łapię się na tym, że patrzę w okno na skrawki błękitnego nieba widoczne przez ozdobną kratę, zwaną *masz-rabija*.

- Moim samochodzie?

- Opowiadałam o nim Aszowi i Nafizowi. No wiesz, że tak tu stoi w garażu wśród pajęczyn i rozpada się ze starości. A Nafiz powiedział, że ma znajomego wspaniałego mechanika, któremu może udałoby się go uruchomić. Wtedy mogliśmy razem jeździć na wycieczki, co ty na to? Moglibyśmy pojechać do Aleksandrii lub... lub na safari po wydmach.

Uwielbia owoce granatu i w trakcie rozmowy obiera jeden. Skórka odpada równą spiralną łupiną, odsłaniając biały miękisz, który Ruby rozcina i odsłania różowe wnętrze.

W milczeniu oferuje mi owoc, a ja w odpowiedzi kręcę głową; te nasiona wchodzą mi w zęby.

- Byłam w Aleksandrii i na pustym. Na pewno nie zmieniły się na lepsze. I naturalnie znajomy Nafiza jest zainteresowany zarobieniem na moim samochodzie kilku funtów. A co ty myślałaś?

- To był tylko pomysł.

- Zastanowię się.

Kiwa głową, jedząc granat z ostrza nożyka do owoców. Pięć minut później zrywa się i całuje mnie w czubek głowy, a za kolejne pięć minut już jej nie ma. Powoli do domu sączy się znów cisza, wypełniając kąty i ciemne zakamarki schodów.

Ostry dzwonek telefonu podrywa mnie na nogi. Obecnie mało kto do mnie dzwoni. Czasem odezwie się doktor Nicolas, żeby zapytać, jak się czuję, i przekazać mi jakąś lokalną wiadomość, która jego zdaniem może mnie interesować. Poza tym tylko kupcy i inni handlarze. Ze dwa razy dzwonił natrętny pośrednik nieruchomości, który chce ode mnie kupić dom. No i ostatnio oczywiście odbieram telefony od Lesley.

- Mamciu, to ty?

- Tak.

- Jak się miewasz?

- Dobrze. Niestety, nie ma akurat Ruby, wyszła jakieś pięć minut temu.

- Ach tak.

W jej głosie słychać rozczarowanie jak szelest wiatru w nagich konarach drzew. Sądzę, że Lesley uwielbia to dziecko, a jej uwielbienie osacza Ruby jak drut kolczasty. Pamiętam, co mi opowiadała o tym, że nie przyprowadzała chłopaka do domu, bo w kuchni Lesley miały prawo stać same białe kubki i tylko równo rządkiem. Lesley czuje potrzebę nieustannego kontrolowania swojego otoczenia, gdyż boi się tego, co leży poza murami obronnymi. Wszystkie te jej za-

słony, żywopłoty, róże, te bożonarodzeniowe rytuały i dekoracje z naczyń to tworzenie bezpiecznego miejsca w świecie pełnym zagrożeń.

No i oczywiście tę tęsknotę za bezpieczeństwem zawdzięcza wiecznie nieobecnej matce. Jak zwykle moje rozmyślania o Lesley prowadzą do tego samego: poczucia winy.

- Będzie później. Poszła do Muzeum Egipskiego. Zdaje się, że bardzo ją zainteresowała egiptologia.

- Naprawdę? Zawsze miała dziwaczne upodobania. - Zapada między nami cisza, przerywana tylko niewielkimi trzaskami na linii.

- Chciałam cię poprosić... czy myślisz, że mogłabyś ją już odesłać do domu?

Zastanawiam się.

- Prawdę mówiąc, nie sądzę, żebym mogła ją gdziekolwiek odesłać. Dla mnie Ruby jest dorosłą osobą. Tylko ona sama może zdecydować, kiedy będzie gotowa wyjechać. Oczywiście ty, jako matka, możesz jej nakazać powrót do Anglii, ale nie jestem pewna, czy to by odniosło pożądaną skutec.

- Przebywa u ciebie. To twój dom.

- Tak. I zawsze będzie dla niej stał otworem, jeśli postanowi, że chce tu przebywać.

Lesley podnosi głos. Odczuwam dotkliwy wzrost ciśnienia w moim uchu wewnętrznym, jej gniew świszczy i zaraz eksploduje.

- Spiskujesz z nią przeciwko mnie!

- Nie spiskuję.

Ale może i to robię.

- Co ona tam właściwie robi przez cały ten czas? - Lekkie drżenie w głosie Lesley zdradza, że jest bliska łez.

- Mówiłam ci. Chodzi do muzeum, trochę się uczy arabskiego, zwiedza, nawiązuje przyjaźnie. Jest tu sympatyczny młody człowiek o imieniu Aszraf, spotkałam go ze trzy razy. On nie skrzywdzi Ruby.

- Skąd wiesz? - Niedowierzenie Lesley świadczy o tym, czego już się domyślałam: że Ruby nie była dzieckiem łatwym do wychowywania.

- Bo jej ufam. Próbowалаś tego?

- Uwierz mi, że próbowałam wszystkiego.

Moje współczucie dla Lesley okazuje się krótkotrwałe, bo teraz już czuję rozdrażnienie.

- Czego ty właściwie dla niej chcesz?

- Chcę, żeby wróciła do domu. Lub żeby podróżowała jak należy, z jakimś planem, celem. Żeby poszła na uczelnię lub przynajmniej zdecydowała, co zamierza zrobić ze swoim życiem. A nie, zawsze na końcu klasy, uciekać, wagarować, za nic mając autorytet, oczekiwania i własnych rodziców.

- Innymi słowy, chcesz, żeby była dokładnie taka sama jak dzieci twoich znajomych?

Mój głos jest chyba bardziej oschły, niż powinien.

- A co w tym złego? Czy to źle tego chcieć? Robię dla niej, co tylko mogę, w jedyny sposób, jaki znam. Poprosiłam jej ojca, żeby chociaż raz się włączył, to jedyną jego propozycją był pieprzony wyjazd na zakupy do Nowego Jorku.

To poprzedni mąż, Alan lub Colin, czy jak mu tam, nie ten, z którym jest teraz. Lesley krzyczy na mnie, aż muszę trzymać słuchawkę z dala od ucha, dopóki nie przestanie.

W końcu mówię:

- Nie wiem dokładnie, od czego uciekała Ruby, wyjeżdżając z Londynu, ale nie uciekała do mnie, bo mnie nie znała. Skoro tu jest, dałabym jej możliwość podjęcia własnych decyzji. Jest bezpieczna i wygląda na zadowoloną. Ja też jestem zadowolona, że tu jest.

Słyszę wzburzony oddech Lesley.

- Z czego ona żyje? Ja daję jej miesięcznie kieszonkowe, może powinnam przestać i zobaczyć, jak jej się to spodoba?

- Wydaje mi się, że nie będzie miała problemu z uzyskaniem pieniędzy z innych źródeł.

- Od ciebie.
- Chyba że się na to nie zgodzisz. Ale ona nie potrzebuje tu wiele na życie.

- Może ja sama powinnam przylecieć.

Doszliśmy do sedna naszej rozmowy.

Pozwalam na przedłużanie się pauzy, podczas gdy Lesley rozważa tę możliwość, którą już zwerbalizowała, ale pauza trwa tak długo, że zastanawiam się, czy nie odłożyła słuchawki.

- Nie - szepcze w końcu. - Nie zrobię tego.

Zawisa między nami zastarzałe rozgoryczenie. Prawda, do której nie całkiem chcę się przyznać, jest taka, że ja bym właściwie chciała zobaczyć Lesley. Chciałabym z nią porozmawiać, a może nawet (nowa sprawa, której nie możemy rozpatrywać z powodu blokujących ją barier podejrzliwości i zazdrości) powiedzieć jej trochę o Ruby. Ale Lesley nie chce mnie widzieć.

Cóż, płacę swoją karę.

- Tutaj jest dużo miejsca - mówię.

- Nie zawsze było. - Riposta wypowiedziana jest z długim, nieco już zniecierpliwionym westchnieniem. Lesley wraca do siebie. To była bolesna rozmowa, ale ona zostawi ją za sobą i pójdzie dalej.

- Tak - zgadzam się pokornie.

- Powiedz jej, że dzwoniłam, dobrze? Poproś, żeby się odezwała, jak wróci. Oczywiście na koszt odbierającego.

- Dobrze. - Zdarzyło mi się już słyszeć jedną z takich rozmów. Ruby ją zbywa, odpowiada wymijająco monosylabami, bąka: „dobrze”, „niezbyt”, „okej”, „może być”.

- No to pa - mówi Lesley.

- Do widzenia.

Zrobiło mi się zimno, a niebo za ażurem przesłony zachmurzyło się. Wracam, siadam na swoim fotelu i snuję kolejny wątek.

Po odwiedzeniu Albiego wróciłam do domu w Garden City. Skręciłam za róg w cichą, kakaowej barwy uliczkę i omal nie zostałam przewrócona przez poetę Jeremy'ego, spieszącego w zapadającym zmierzchu w przeciwną stronę niż ja.

- Przepraszam. Och, przepraszam. Och, cześć, Iris, to ty.

Miał na sobie lniany garnitur, wyświecony na łokciach i zagięciach kłap, oraz krawat British Council i koszulę z rogami kołnierzyka sterczącymi do góry jak uszy jakiegoś małego gryzonia.

- Cześć, Jeremy. Byłeś w mieszkaniu?

Uciekł spojrzeniem w bok, po czym odgarnął włosy ze spoconego czoła i spojrzał tęsknym wzrokiem w dal.

- Ee, nie, właściwie nie. Tylko zajrzałem.

- Faria jest w domu, tak?

- Nie, właściwie... Ja, ee, tak tylko na wszelki wypadek...

Najwyraźniej nie miałam uzyskać więcej informacji, a zresztą nie interesowały mnie szczególnie sprawy Jeremy'ego.

- Cóż, miło cię spotkać. Muszę iść.

- Pa, Iris. - Zniknął za rogiem, zanim zdążyłam odpowiedzieć „dobranoc”.

Weszłam do mieszkania. Było cicho, jakby wszyscy wyszli, ale po chwili otworzyły się drzwi salonu i ujrzałam Sarah stojącą w smudze światła lampy. Ubrana była w stary, ciasno owinięty kardigan z kaszmiru, a jasne włosy miała odgarnięte do tyłu i związane chustką.

- Myślałam, że to Faria.

- Nie, to ja.

Wróciła do swego ulubionego rogu kanapy i zauważyłam, że na tacy stoją dwie puste szklanki.

- Spotkałam na dole poetę.

- Spotkałaś? Tak, wpadł tutaj. - Sarah nie patrzyła na

mnie. Owinęła się ciasniej chustą, a jednocześnie zacisnęła kąćki ust.

- Dobrze się czujesz? - zapytałam.

- Ja? Tak, dobrze.

Usłyszałam, że drzwi wejściowe otwierają się i znów zamykają, a po chwili w salonie zjawiała się Faria. Jej ciemne skośne oczy były mocno podkreślone czarną kredką, w uszach miała diamentowe kolczyki, a na sobie mały kostium z miękkiego tweedu w kolorze nefrytowej zieleń. Rozpięła guziki mankietów swoich dzieciennych rękawiczek i ściągnęła je z rąk, po czym ruszyła majestatycznie w kierunku stojącej na tacy butelki dzinu. Do ciężkiej atmosfery dorzuciła swoje:

- Byłam na niekończącym się przyjęciu dla kilku biznesmenów Alego. Nie wiem, dlaczego muszę chodzić na takie imprezy, uśmiechać się i pleść głupstwa. Myślałam, że umrę z nudów.

Sarah była cicha i blada, a Faria w ostatnim czasie często poirytowana. W mieszkaniu nie było już tak wesoło jak tuż po moim przyjeździe do Kairu.

Faria opadła na krzesło.

- Dobra, wy obie powiedzcie. Czy na dziś wieczór macie umówione jakieś boskie randki?

- Ja nie - mruknęła Sarah.

- Ja idę na kolację do pielęgniarki, którą poznałam w Szkockim Wojskowym, i osoby, która z nią mieszka i jest lekarzem.

Faria ziewnęła. Dla niej zabrzmiało to równie nudno jak popołudnie, które właśnie miała za sobą, ale Sarah spojrzała z zaciekawieniem.

- Lekarz? Czy jest miły?

- To kobieta. Ja zareagowałam dokładnie tak samo. - Roześmiałam się, ale Sarah mi nie zawtórowała. Nie interesowały ją kobiety. Faria i ja byłyśmy zaręczone i Sarah też chciała upolować dla siebie męża.

- A propos, Iris, przyszła do ciebie przesyłka. Musi to być coś ważnego, bo Mamduh powiedział, że kurier kazał mu podpisać odbiór. Leży na tacy w holu.

- Dzięki. Muszę iść się przebrać, jeśli mam się nie spóźnić. Ruth i Daphne mieszkają w połowie drogi do Heliopolis.

Wiedziałam, co jest w przesyłce, ale nie chciałam jej otwierać przy Sarah i Farii. Faria wzięłaby kamień do ręki, żeby ocenić jego wartość, dziwiąc się, że to nie diament, a Sarah przygryzłaby wargę i powiedziała, że jest taki piękny i że miałam wyjątkowe szczęście spotkać kogoś takiego jak Xan.

Zabrałam małe kwadratowe pudełeczko do swojej sypialni i zamknęłam drzwi. Okno było otwarte; stanęłam na chwilę z ręką na parapecie, patrząc na zarys mojej dżakarandy i grube liście drzewa kauczukowego, na które padały refleksy światła z mieszkań wychodzących na ogrody. Jesienią w porze koktajlu było chłodno, pachniało późnym jaśminem i dymem z węgla drzewnego, a także przyprawami z ulicznych straganów. Między dwoma blokami mieszkalnymi rysował się kawałek jasnozielonej linii zachodniego horyzontu.

Ametyst od Xana mimo zwykłej oprawki wyglądał bogato. Wsunęłam go na środkowy palec i trzymałam dłoń w górze, zdumiona i szczęśliwa.

Byłam zaręczona. Miałam poślubić Xana Molyneux. Nie pragnęłam niczego innego pod słońcem.

Gdy skończyłam podziwiać swój pierścionek, oparłam czoło o framugę okienną i patrzyłam na zachód ku pustyni. Modliłam się bez słów o Xana, nie wiedząc, którą teraz obserwuje drogę, gdzie kryje się przed konwojami wroga i samolotami zwiadowczymi.

Pukanie do drzwi sprowadziło mnie na ziemię.

Faria wołała:

- Jest samochód taty! Możemy cię gdzieś podrzucić?

Wyobraziłam sobie podjechanie pod blok Ruth wielką czar-

na limuzyną Ammana Paszy, z kierowcą w jasnopłowej libe-
rii otwierającym mi drzwi i kłaniającym się, gdy wysiadam.

- Nie, dzięki, jeszcze się nie przebrałam.

- Miłego wieczoru - usłyszałam ponownie jej głos.

Złapałam autobus do Heliopolis. Był zapchany jak puszka z sardynkami i przesiąknięty wonią zmęczonych ciał, a gdy wreszcie dojechał do przystanku Ruth, wysiadłam z niego z westchnieniem ulgi. Na głównej ulicy panował duży ruch ciężarówek, transporterów i samochodów cywilnych, ale gdy z niej skręciłam według wskazówek Ruth, znalazłam się w enklawie byle jakich, niskich, współczesnych domów, z betonowymi balkonami i zewnętrznymi klatkami schodowymi. Górne okna w domu Ruth były szeroko otwarte i dochodziła z nich głośna muzyka taneczna. Patrzyłam zaskoczona, dopóki nie odkryłam betonowych schodów prowadzących do oddzielnego mieszkania. W oknach na dole z za zasuniętych kotar przeświecały wąskie paski światła. Gdy zastukałam kołatką, na górze właśnie rozległ się trzask i salwy śmiechu.

Pokazała się twarz Ruth.

- Przepraszam - wybąkała, otwierając szerzej drzwi. - Tam na górze mieszka kilku francuskich oficerów i o każdej porze robią straszliwy harmider. Wchodź do środka.

Ruth miała na sobie luźne spodnie khaki i białą koszulę. Nigdy nie widziałam jej bez pielęgniarzkiego uniformu. Wyglądała o wiele młodziej z rozpuszczonymi ciemnorudymi włosami, zarzuconymi z jednej strony do tyłu.

Ich pokój dzienny był mały, ale urządziły go pięknie. Podłogę pokrywały ręcznie tkane dywany i beduińskie poduszki w pustynnych kolorach. Na białych ścianach wisiały nieoprawione abstrakcyjne obrazy. Ta spokojna prostota była kontrastowo odmienna od wielkich rzeźbionych i inkrustowanych mebli naszego mieszkania w Garden City.

- Cześć - odezwał się głos z za pleców Ruth. - Jestem Daphne Erdal.

Uścisnęłam jej dłoń. Była starsza, niż się spodziewałam, może tuż po czterdziestce. Miała opaloną twarz o szerokich kościach policzkowych, wydatne usta i przejrzyste szare oczy, a jej włosy były tak gęste, że sterczały prawie pionowo od czubka głowy. Należała do ludzi, na których się patrzy i myśli: „to jest ktoś”.

Przyniosłam ze sobą butelkę whisky, prawdziwej szkockiej słodowej. Dostałam ją w prezencie od Sandy'ego Allardyce'a, który miał dostęp do takich luksusów przez ambasadę, a teraz wręczyłam ją Ruth.

Twarz jej się rozpromieniła.

- Mój Boże, Daph, spójrz na to! Nektar bogów z górskich dolin. Iris, czy możemy się trochę napić?

- Raczej po to wam przyniosłam.

- Jesteś bardzo szczodra. My mamy tylko miejscowy samogon - wyznała Daphne. Nalała każdej po miarce i uniosłyśmy szklanki. - Za przyjaźń - wzniosła toast Daphne ze swoją typową bezpośredniością. Z radością powtórzyłam jej słowa.

- Przyjemne mieszkanie - orzekłam, rozglądając się. Z góry doleciał kolejny łomot.

Daphne roześmiała się.

- Jeśli wyłączyć Gastona i jego kumpli, to tak. Właściwie oni są w porządku. Nasze godziny specjalnie się nie zbiegają. Pójdę na chwilę zajrzeć do jedzenia. Ruth się tobą zajmie.

- Pokażę ci resztę mieszkania - zaproponowała Ruth.

Nie było wiele do oglądania. W kuchni kwadratowy stolik był już nakryty na trzy osoby, a Daphne stała przy kuchence, mieszając w garnku kuskus. Była też wąska łazienka z małą wanną i sypialnia z zamkniętymi żaluzjami. I jedno podwójne łóżko, przykryte gładką, białą bawełnianą narzutą.

Zbyt późno, ale do mnie dotarło.

Ruth stała w drzwiach.

- Jesteś zaskoczona?

Byłam, ale starałam się tego nie pokazać.

- Nie. No... tak, trochę. Jeszcze nie spotkałam..., Ale w zasadzie to nie moja sprawa, prawda?

Ruth uniosła brew.

- Zdziwiłabyś się, jak wielu ludzi uważa, że to ich sprawa. Żeby się wtrącać lub wyśmiewać.

Jednak gdy ją mijałam, dotknęła lekko dłonią mego ramienia, wyrażając tylko ciepło, bez podtekstów erotycznych. Zrozumiałam, że z jakiegoś powodu miałam zostać zaakceptowana przez Ruth i Daphne, i uświadomienie sobie tego niespodziewanie sprawiło mi satysfakcję. Obie były wobec mnie urocze, wolne od wszelkich konwencji dobrego wychowania i wymagań towarzyskich, jakie mnie tylko ograniczały. Stwierdziłam, że chcę być bardziej podobna do nich, a mniej do swego konwencjonalnego ja.

- Gotowe! - zawołała z kuchni Daphne.

Gdy zasiadłyśmy do stołu przy zapalonych świecach i Daphne nalała ciemnoczerwonego libańskiego wina z dzbanka, zrobiło się uroczyście.

- To specjalna okazja. Ty jesteś tutaj, a my z Ruth rzadko miewamy okazję usiąść i zjeść razem normalny posiłek - wyjaśniła.

Piliśmy wino o smaku rodzynek, jadłyśmy pieczonego kurczaka i kuskus ze świeżymi ziołami, rozmawiałyśmy. Moje gospodynie stanowiły dobre towarzystwo, ale podchodziły do życia poważnie. Szybko zrozumiałam, że nie mogę liczyć na powierzchowną, koktajlową pogawędkę, jaka wystarczała w kręgach, w których się dotąd obracałam.

Jak na każdym przyjęciu i przy każdym stole wieczornego posiłku w Kairze mówiłyśmy tamtego dnia o wojnie. Lecz nawet powszechne założenie, że sama wojna jest słuszna i usprawiedliwiona, automatycznie przyjmowane przez całe moje towarzystwo, tutaj było kwestionowane. Choć Ruth i Daphne nie nazywały siebie pacyfistkami, autentycznie nimi

były. Codziennie oglądały szkody, jakie walka wyrządzała mężczyznom takim jak Albie Noake czy szeregowiec Ridley, i cały swój czas poświęcały pracy na naprawianie tych szkód.

Łatwo było zrozumieć, dlaczego odnosiły się sceptycznie do wielkiej bitwy, na którą wszyscy inni wyczekiwali w napięciu graniczącym niekiedy z podnieceniem.

- Widziałas mój oddział - powiedziała cicho Ruth. - Za tydzień czy ileś, gdy nastąpi atak na Tobruk, będziemy tam mieć dwa razy tyle ciężko rannych. A może trzy, cztery lub pięć razy. Na korytarzach pojawi się mnóstwo noszy. Tak samo będzie u Daphne i w każdym innym szpitalu w Kairze. A z pustyni popłynie rzeka pociągów i ambulansów przepełnionych po dachy okaleczonymi żołnierzami obu stron. Czy jakiegokolwiek korzyści strategiczne lub militarne warte są aż takich cierpień i ofiar?

- Uważasz, że powinniśmy się poddać faszystom?

- Uważam, że generałowie powinni się zastanowić, co przez to osiągną oprócz kilkuset mil nagiej pustyni, okupionej tyłoma ludzkimi żywotami.

- Jeśli nie zaatakujemy, wojska „osi” zepchną nas przez zachodnią pustynię aż do Kairu. Musimy bronić Egiptu - powiedziałam.

Przejrzyste oczy Daphne spoczęły na mojej twarzy.

- Dla naszych celów, nie dla Egiptu.

Po swoim ojcu, który wiele lat pracował przy wysokiej komisji do spraw niepodległości Egiptu, odziedziczyłam wiarę, że zaangażowanie brytyjskie w Egipcie podyktowane było życzliwością.

Daphne schyliła się, nalewając jeszcze wina do mojego kieliszka.

- Twój ojciec był dyplomata? Iris, nie obraż się, ale my, Brytyjczycy, nie mamy tu żadnego dziedzictwa, z którego moglibyśmy być dumni, prawda? To nie jest nasz kraj, a zachowujemy się dokładnie, jakby nim był, tych ludzi zaś trak-

tujemy jak służących, jak gorszych od nas. Królem Egiptu jest Faruk, ale rządzi nasz ambasador. Oceniając naszą historię i naszą postawę, za cóż którykolwiek Egipcjanin, od Faruka po najskromniejszego fellaha, miałby nas szanować?

Nawet Xan, którego przyjacielem z lat dziecięcych i sojusznikiem na pustyni był Hasan, miał tendencję do określania ich ogólnie cyganami. Mówili tak z rozbawieniem i nieskrywaną wyższością wszyscy oficerowie. Przypomniała mi się scena na schodach hotelu Shepheard's, gdy kelner odepchnął zebrzące dziecko od panów, którzy szli celebrować lunch w otoczeniu sobie podobnych.

- Europejczycy wykopali Kanał Sueski, zbudowali linie kolejowe, szpitale, szkoły i uczelnie - powiedziałam.

- Tak, Ferdinand de Lesseps zbudował kanał, ale Egipt za to zapłacił, podobnie jak za wszystkie inne modernizacje. Państwo zadłużyło się na sto milionów funtów, ponieważ przedsięwzięcia były finansowane z pieniędzy pożyczonych przez banki europejskie na wygórowany procent i aby to spłacić, fellahowie musieli zostać opodatkowani tak, że przymierają głodem. Potem Disraeli wykorzystał kryzys ekonomiczny, by wykupić akcje kedywa w Kompanii Kanału Sueskiego po najniższej cenie. Gdy wybuchło powstanie, Marynarka Królewska zbombardowała port w Aleksandrii, a armia zmasakrowała buntowników w Tall al-Kabir i zajęła kraj. Dalszą historię znasz.

Znałam. Suwerenny kraj, który wreszcie wydobył się spod trwającej pięćdziesiąt lat brytyjskiej kontroli, w rzeczywistości nadal był okupowany i rządzony przez Brytyjczyków.

- Więc dlaczego tu jesteś? - drażyłam.

Daphne niespodziewanie się uśmiechnęła. Była tak onieśmielająca, że aż budziła lęk, ale też miała w sobie jakiś magnetyczny urok. Zauważyłam, że Ruth wodzi za nią oczami.

- Bo kocham ten kraj. Byłam tu przed wojną, brałam udział w akcji medycznej na wsi. Gdy wojna się skończy,

wrócę do tego. Tymczasem jestem anestezjologiem na chirurgii i każdego człowieka na stole operacyjnym traktuje jako jedno życie do uratowania. Tylu już mężczyzn zostało rannych, a słyszałaś, co powiedziała Ruth: wkrótce znów będą ich tysiące.

Pod obrusem przekreśliłam ametyst od Xana na środkowym palcu.

Odsuwając myśl o mającej się zerwać tamie i grożącej nam powodzi krwi, zwróciłam się do Ruth:

- A ty? Dlaczego tu jesteś?

- Ja też kocham Egipt. I kocham Daphne. Chcę być tam, gdzie ona.

Powiedziała to bardzo prosto, ale Daphne natychmiast pokręciła głową.

- To są względy osobiste, odłóż je na bok. Jesteś wspaniałą pielęgniarką i wykonujesz ważną pracę.

- Wiem coś o tym, widziałam - wtrąciłam.

Uśmiechając się znowu, Daphne napełniła mój kieliszek resztą wina. Ruth wstała, żeby sprzątnąć talerze, ale najpierw oparła się policzkiem o głowę Daphne, ta zaś na chwilę objęła palcami jej nadgarstek. Potem Ruth wyprostowała się i zaczęła sprzątać ze stołu. Jej twarz wyglądała, jakby rozjaśniało ją wewnętrzne światło, a ja wypłam wino i patrzyłam w ścianę.

- No, a ty? - spytała mnie Daphne.

- Jestem zatrudniona w Kwaterze Głównej jako pracownik administracji. Przyjechałam z Londynu na początku roku.

- Iris właśnie się zaręczyła - zauważyła Ruth z szelmowską miną.

Jak mówiło się powszechnie z cynizmem w Kairze, młode kobiety, takie jak ja, przyjeżdżały tutaj, aby znaleźć męża albo uciec od niego. Mną nie kierowała żadna z tych intencji, a Sarah i Faria na początku często dokuczały mi, że nie dość interesuję się zabawą, jednak w obecności Daphne i Ruth nie

mogłam się pozbyć uczucia, że jestem płytka. Nie reprezentowałam raczej żadnej z tych skrajności, choć przynajmniej zaczynałam sobie uświadamiać, do której grupy chcę należeć.

Złościło mnie, że się czerwienię.

- Gratulacje - powiedziała Daphne. - Czym on się zajmuje?

- Jest kawalerzystą, ale oddelegowano go do jednej z grup przeznaczonych do zadań specjalnych. - Chciałam, pragnęłam mówić o Xanie, ale nie mogłam powiedzieć więcej o tym, co robi.

- Ach! - Daphne rzuciła mi spojrzenie przenikliwe, lecz pełne ciepła i współczucia. Wiedziała, z czym wiąże się praca w grupie do zadań specjalnych, i na tym poprzestała.

Odchrząknęłam.

- Ostatnio myślałam o tym, co innego mogłabym tutaj robić. Już nie czuję się zbyt przyteczna, stukając w maszynę w Kwaterze. Myślę, że mogłabym spróbować włożyć mundur w służbie ruchu lotniczego lub korpusie transportu, ale zastanawiałam się też nad pracą w szpitalu. Ruth doradzała mi wolałabym być wolontariat lub może Ochotniczy Oddział Pomocy.

Znów poczułam na sobie taksujące spojrzenie. Ruth postawiła z powrotem na stole butelkę whisky.

- Możesz tak zrobić. - Tu nastąpiła przerwa. - Albo mogę zapytać naczelną pielęgniarki u Królowej Marii, gdzie pracuję, czy nie mogłaby czegoś dla ciebie znaleźć. To moja znajoma. To byłaby tylko praca ochotnicza, uprzedzam, ale może okazałaby się ciekawsza niż czytanie mężczyznom lub zwijanie bandażu.

Szpital im. Królowej Marii był największy w Kairze i w tamtym czasie przejęło go wojsko.

- Naprawdę? Bardzo bym tego chciała.

- Pozostaw to mnie - rzekła Daphne. Wiedziałam, że na pewno dotrzyma obietnicy.

<

Wszystkie trzy uniosłyśmy do góry szklanki whisky i tym razem toast był milczący. Teraz już nie tylko miałam bliskiego człowieka w Xanie, ale też dostąpiłam szczęścia poznania tych bliskich mi duchem kobiet. Żyły rozgrzewało mi ciepło wcale niezwiązane z wypiciem whisky. Zdałam sobie sprawę, że byłam dotąd samotna, a teraz nagle przestałam.

Jeszcze godzinę siedziałyśmy przy stole, a ja rozśmieszałam je historyjkami o Roddym Boyu, Sandym Allardysie i pani Kimmig-Gertsch oraz reszcie mego kairskiego świata.

- Szofer? - Ruth westchnęła z zazdrością, gdy opowiedziałam im o swej decyzji niepodjeżdżania pod ich dom samochodem Ammana Paszy z szoferem.

- No i teraz też nie czeka na mnie na zewnątrz, więc muszę już iść, bo nie zdążę na ostami autobus do miasta.

Ruth i Daphne nalegały, że nie mogę iść sama do głównej ulicy. Stałyśmy w drzwiach wyjściowych, gdy z górnego piętra ktoś lekko zbiegł po betonowych schodach.

- *Bonsoir, docteur Erdall, mademoiselle Macnamara.*

Byli to trzech młodzi wąsaci Francuzi w wieczorowych strojach, wybierający się na nocną zabawę do miasta. Mieli samochód i naturalnie musiałam im pozwolić, by podwieźli mnie do domu.

- Dobranoc wam i dziękuję - powiedziałam do Ruth i Daphne. Stały w smudze światła padającej z wejścia; Ruth oparła głowę na ramieniu Daphne.

- Przyjeźdź nas znów odwiedzić! - wołała Daphne.

Usiadłam z przodu obok kierowcy zakurzonego citroena, a dwaj pozostali oficerowie zajęli miejsca z tyłu. Pomknęliśmy bardzo szybko szosą pełną dziur, aż stare resory auta protestowały z trzaskiem. Było dużo śmiechu i szarmanckiego częstowania papierosami.

Kierowca spoglądał na mnie z boku; momentami widziałam jego profil w światłach mijanych ciężarówek.

- *Vous etes une amie de ces mesdames?*
- *Oui, certainement** - odpowiedziałam zdawkowo.

Spoza mych pleców dał się słyszeć nagły atak kaszlu, a górna warga kierowcy drgnęła pod wąsem. Czubkami palców znacząco postukał o kierownicę.

- *Bien sur*** - mruknął. Upierał się, żeby mnie dowieźć aż pod same drzwi naszego mieszkania. Wysiadł, otworzył mi drzwi auta, a nawet pocałował w rękę, pochylając się w niskim ukłonie.

- *Merci, monsieur.*
- *Un plaisir, mademoiselle Black. Au revoir.*

Z taksówki wysiadała właśnie Sarah. Razem patrzyliśmy na tylne światła citroena skręcającego za róg.

- Kto to był?
- Francuscy oficerowie, którzy mnie podwieźli do domu.
- Prowadzisz ekscytujące życie.
- Nie całkiem. A ty gdzie byłaś?

Sarah wzruszyła ramionami.

- Tylko w Anglo-Egipskim na drinku. Wpadłam na pomysł, żeby pojechać i zobaczyć, kto tam jest. Ale było bardzo pusto.

Weszliśmy do mieszkania. W Kairze wszędzie było teraz pusto, nie tylko w barze Klubu Anglo-Egipskiego. Każdy, kto nie był na pustyni, obserwował i czekał na następne wielkie wydarzenie.

Moja droga Córeczko — pisała mama. - Ojciec i ja byliśmy niezwykle poruszeni Twoją wspaniałą wiadomością. Oboje bardzo się cieszymy Wami.

Czytałam jej list przy swoim biurku w jakiejś spokojnej

* Pani jest przyjaciółką tych pań? - Tak, oczywiście (*franc*).

** Na pewno (*franc*).

chwili. W Kwaterze Głównej wrzało. Dwa dni temu zaczęła się ofensywa. Trzydziestokilometrowa linia wojsk i uzbrojenia aliantów wdarła się przez granicę, idąc ku Afrikakorps Rommla i ku Tobrukowi. Roddy Boy nosił tę samą koszulę przez dwadzieścia cztery godziny, bo nie miał czasu pójść do domu, by ją zmienić.

Co zatem planujesz zrobić? Mam nadzieję, że nie pomyślisz, iż jestem nazbyt sentymentalna, jeśli Ci wyznam, że marzy mi się ślub mojej córki w kościele anglikańskim w któryś poranek w środku lata, z ojcem oddającym ją mężowi i może dziećmiakami Evie w charakterze małych друзb. A jej matka uрони łzę, siedząc w pierwszym rzędzie ławek. Oczywiście ta wojna wszystko ludziom pozmieniała, nie tylko Tobie i Alexandrowi.

(Tak nawiasem, kuzyn mojej matki, Wilfred, ożenił się z pewną panną Molyneux. Czy myślisz, że to może być ta sama rodzina?).

Gdy istniała potrzeba, moja mama potrafiła wygrzebać dalekie powiązanie przez małżeństwo niemal z każdym na tej ziemi.

Nie wymieniasz daty i może wcale nie zamierzasz z tym zwlekać. Wiem, że w dzisiejszym wojennym czasie zupełnie normalne są pośpieszne ceremonie, ale Kochanie, ja tak bym chciała widzieć Twój ślub. Może po Bożym Narodzeniu albo nawet na wiosnę (jeśli w ogóle przyjdzie, bo ta wstrętna zima zdaje się ciągnąć bez końca) moglibyśmy jakoś razem z ojcem przyjechać do Kairu i być z Tobą. Przy tych tutaj kartkach i brakach wszystkiego trudno będzie skompletować Ci ślubną wyprawę. A co to za przyjemność by była pójść razem na zakupy do Cicurel 's! Ciekawe, czy moja dawna libańska krawcowa jeszcze mieszka w małym domku przy Bab al-Futih.

O iluż to rzeczach trzeba pomyśleć! Tata czuje się dobrze i przesyła Ci gorące pozdrowienia, ja też. Pastor poprosił mnie o pomoc w pracach ogrodniczych, zmieniamy część parku na ogród warzywny.

Niech Bóg błogosławi Was oboje. Zawsze kochająca Mama.

W ciągu tamtego tygodnia pod koniec listopada przeczytałam list kilka razy.

Początkowa ofensywa trzech brygad 7. Dywizji Pancерnej i wspierającej ją artylerii przekształciła się w straszliwy chaos bitwy pod Sidi Rezegh. Trzydzieści tysięcy brytyjskich, niemieckich i włoskich czołgów oraz innych pojazdów krążyło bezładnie po płaskiej, otwartej pustyni, pośród piachu, cierni, dymu, wypalonych wraków czołgów i trupów pokrywających obszar trzech tysięcy mil kwadratowych. Na ziemi często nie sposób było odróżnić przyjaciela od wroga. Każdy rysujący się z daleka pojazd mógł być zagrożeniem lub wsparciem. Ciężarówki sygnalizacyjne wpadały w ręce wroga i całe formacje znikwały, gdyż następni w łańcuchu komunikacyjnym tracili z nimi kontakt. Tabory transportowe wszystkich walczących przechodziły wielokrotnie z rąk do rąk, tracono składy zaopatrzenia i całe sztaby, a żołnierze z różnych oddziałów formowali się na nowo i walczyli dalej w potwornym wirze dymu i kurzu.

Do Kwatery Głównej co godzina docierały inne wiadomości, w miarę jak bezładne potyczki wygrywano lub przegrywano, a potem o nich zapominano, gdyż wszystko się znów odwracało.

Roddy Boy i reszta układowej kohorty z Kwatery w ubraniach z gabardyny podkasali rękawy i pracowali przez całą dobę. Roddy i jego personel pocili się nad interpretowaniem informacji wywiadu napływających od rozczłonkowanego wojska oraz nad przekazywaniem ich z powrotem do dowód-

ców w polu. Herbata zanoszona mu przeze mnie wciąż stygła w filiżance. Zaczęłam go na nowo podziwiać.

Gdy pośród tego wszystkiego zdarzały się chwile względnego spokoju, czytałam sobie zwrot mamy „ślubna wyprawa” i uśmiechałam się na myśl o jego niestosowności, dopóki znów nie pojawił się przede mną Roddy Boy z kolejnym plikiem papierów i na odchodnym rzucił mi polecenie: „Jak najszybciej, panno Black”.

Potem, 24 listopada, Rommel nagle zebrał pozostałe mu jeszcze dywizje pancerne i przedarł się na wschód w kierunku zasieków z drutu kolczastego oddzielających Libię od Egiptu. Poza Egiptem już tylko czas potrzebny na podbicie Palestyny i Syrii odgradzałyby go od pól naftowych Iraku i Persji.

Podczas uderzenia Rommla na granicę, gdy oddziały wsparcia dla wojsk alianckich uciekały przed jego czołgami, a dowódcy na linii frontu zmagali się z utrzymaniem w szyku swych oddziałów, nie było czasu na pisanie listów ani nawet na wyjście z jasno oświetlonych, zarzuconych papierami biur Kwatery, żeby coś zjeść, wykapać się i zmienić ubranie.

Nie miałam pojęcia, gdzie może być Xan. Próbowiałam się powstrzymać od snucia domysłów na temat akcji Tellforce na podstawie informacji przechodzących przez moje ręce. Pozostawało mi tylko pracować, przespać się godzinę i znów pracować.

Po dwóch dniach zamętu wywiad potwierdził, że podczas nieobecności Rommla Brytyjczycy skorzystali z okazji, by ponownie zaatakować Sidi Rezegh. Wówczas Rommel zawrócił do punktu na wschód od Tobruku. Dywizje pancerne potoczyły się za nim od granicy, by dołączyć do walki, lecz okazało się to nieskuteczne i w zasadzie żadna ze stron nie odniosła zwycięstwa. Zabito, raniono lub wzięto do niewoli osiemnaście tysięcy żołnierzy alianckich. Rommel stracił prawie wszystkie czołgi, a pogrom okrętów niemieckich na Mo-

rze Śródziemnym oznaczał, że prawdopodobnie miną tygodnie, zanim zdoła je zastąpić.

Kwatera Główna odetchnęła.

Roddy siedział, swobodnie trzymając ręce przed sobą na biurku. Pod oczami miał wielkie, ciemne wory, a jego normalnie nabite ciało zwisało fałdami.

- Panno Black, proszę lepiej iść do domu. Pani ojciec będzie miał żal, że ją nadmiernie wykorzystuję.

- Nic mu nie powiem.

- No, niech pani idzie. Ale, Iris, proszę poczekać.

- Tak, słucham?

- Dziękuję pani.

Siódmego grudnia straty „osi” wokół Sidi Rezegh zmusiły Rommla do wycofania się na zachód od Tobruku i 242-dniowe oblężenie portu i garnizonu zostało odwołane. Tego samego dnia Roddy wyszedł ze swego biura po krótkiej rozmowie telefonicznej i oznajmił mi, że Japończycy zbombardowali Pearl Harbor. „Teraz włączą się Amerykanie” - powiedział.

Następnego wieczoru pojechałam znów do Szkockiego Wojskowego. Wjazd był zablokowany sznurem karetek, jak od wielu dni. Z daleka spostrzegłam Betty Hopwood; stała oparta o bok swego pojazdu w oczekiwaniu na wyładowanie przywiezionej partii noszy. Wewnątrz szpitala na korytarzach i w poczekalniach stały kolejki rannych, którzy mogli chodzić.

Albiego przeniesiono z oddziału Ruth do innego, gdzie pacjenci poruszali się o kulach i grali w karty przy stole pośrodku sali. Mężczyzna w piżamie, z obandażowanymi rękami, podniósł się z krzesła przy łóżku Albiego i kiwnął do mnie.

- Bry wieczór, panienko. Noake to szczęściarz, co?

„Jankesi dołączyli. Skończy się szybko?” - napisał Albie.

- Nie wiem. Mam taką nadzieję.

„Jakieś wieści od pana M.?”

- Nie, jeszcze nie.

„Pewno tam się nieźle bawią, gdziekolwiek są. Cholera, że nie mogę tam być, przepraszam za język”.

Nakryłam jego dłoń swoją i próbowałam się uśmiechać.

- Wiem, że ci żal. Im też ciebie brakuje.

„Przyjdiesz jeszcze pożegnać się?”

Miejsce dla Albiego na następnym statku szpitalu płynącym do Anglii przez Cape zostało potwierdzone. Miał wyjechać za dwa dni.

- Poprosiłam szefa o godzinę wolnego, żeby pójść na dworzec. Zareagował, jakbym prosiła o miesiąc na wyjazd nad morze, ale w końcu się zgodził. Będę tam.

„Oni potrzebują łóżek. Tu jest piekło”.

Nasze oczy się spotkały.

- Tak.

Daphne i Ruth pracowały pewnie na osiemnastogodzinnych dyżurach. Zazdrościłam im możliwości robienia czegoś dla tych wszystkich pokancerowanych żołnierzy. Po odwiezieniu Albiego wróciłam do domu do Garden City i słuchałam wiadomości radiowych. Potem długo stałam w oknie swej sypialni, jakbym, patrząc tak w ciemność, mogła dojrzeć lub usłyszeć coś na temat Xana.

Na dworcu kolejowym panował chaos. Egipscy funkcjonariusze kolejowi biegali po peronach, usiłując kierować sanitariuszami, którzy napływali z noszami przez metalową bramę. Pociąg miał przewieźć rannych do statków oczekujących w Zatoce Sueskiej. Wszędzie wokół byli ranni, w wózkach inwalidzkich i o kulach lub powoli kuśtykając we dwójkę albo trójkę; poprzez buchający z lokomotywy dym i parę szli do swych wyznaczonych przedziałów. Pomiedzy nimi krążyli uliczni sprzedawcy i mali chłopcy, oferując owoce, przybrudzone czasopisma i papierosy.

- Hej, Tommy! Jedziesz do domu? Chcesz zdjęcie?

Nie mogłam znaleźć Albiego. Znałam numer jednostki transportowej, która miała go przywieźć ze szpitala, ale nie mogłam jej dojrzeć w kolejce samochodów. Potem prawie zderzyłam się z jedną z przyjaciółek Betty, która mi powiedziała, że pojazd ten się zepsuł, ale mechanicy już go naprawili i niedługo tu będzie. Po pięciu minutach wyjechał z zakrętu. Wskoczyli z niego dwaj sanitariusze i otworzyli schodek. Mężczyźni zaczęli wysiadać. Albie już chodził, niepewnie, ale bez pomocy. Pobiełam w jego stronę, machając rękami w górze, żeby mnie zobaczył.

- Już myślałam, że nie przyjedziesz, że jednak postanowiłeś zostać - wołałam, dysząc.

Skinął zabandażowaną głową. Wzięłam w jedną rękę jego plecak, drugą mu podałam i ruszyliśmy powoli poprzez tłum.

A potem nagle na końcu peronu zobaczyłam mężczyznę wyglądającego jak Xan. Rozglądał się na boki, jakby szukał czegoś w tłumie. Byłam już do tego przyzwyczajona. Na każdej tłocznej ulicy Kairu spostrzegałam kogoś, kto go przypominał, i serce skakało mi do gardła. Ale tym razem, gdy oboje podeszliśmy bliżej, podobieństwo do Xana, zamiast zniknąć, było coraz większe. Po następnych dziesięciu sekundach zaczęłam wierzyć, że to naprawdę on.

I wtedy krzyknęłam tak, że wszystkie głowy odwróciły się i spojrzały na mnie:

- Xan!

Albie też już go zobaczył i wydał z siebie piskliwy zlepek samogłosek, jedyne, co był w stanie wyartykułować.

Xan rzucił się do nas przez tłum. Jedną ręką przyciągnął mnie, drugą podał Albiemu.

- Jesteś tu - powiedziałam głupio.

- Przyleciałem dziś rano z pułkownikiem Wainwrightem. Słyszałem, że kapral Noake jedzie do domu, więc pospie-

szylem tutaj, żeby mu życzyć miłej podróży. Wyglądasz trochę lepiej niż wtedy, gdy cię ostatnio widziałem - oświadczył Albiemu.

Albie uniósł oba kciuki do góry na znak zwycięstwa.

Xan wyglądał jak zawsze. Był zmęczony i brudny, ale jak zwykle radosny i szczęśliwy. Zalała mnie fala wdzięczności. Xan wziął ode mnie plecak i, trzymając Albiego z obu stron, poprowadziliśmy go wzdłuż pociągu, aż znaleźliśmy przedział z wolnym miejscem.

Zostałam z tyłu, a Xan pomógł mu wejść na stromy schodek, posadził na miejsce i wrzucił bagaż na półkę. Pochylił głowę tuż nad uchem Albiego i coś do niego szybko mówił. Wiedziałam, że opowiada mu o tym, co go ominęło z Tellforce na pustyni. Drzwi pociągu na całej długości zaczęły się zamykać. Dróżnik w mokrym od potu mundurze trzymał pod pachą zwiniętą zieloną chorągiewkę. Szybko wskoczyłam na schodek i pochyliłam się przez ściśniętych żołnierzy, żeby ucałować bok twarzy Albiego, który mu jeszcze pozostał.

- Do zobaczenia w Anglii - rzuciłam.

Chorągiewka była już rozwijana. Wskoczyliśmy z Xanem na peron. Wagony ruszyły ze szcękaniem, a my szliśmy, a potem biegliśmy wraz z pociągiem obok okna przedziału Albiego, machając i wołając „do widzenia”, dopóki byliśmy w stanie nadążyć.

Wtedy zatrzymaliśmy się i padliśmy sobie w ramiona.

- Muszę wracać do pracy. Roddy jest podminowany - rzuciłam z niechęcią, gdy przeciskaliśmy się przez dworcowy zgiełk.

- Odprowadzę cię do Kwatery.

Ścisnął moją rękę i trzymał tuż przy sobie.

- Jak było? - zapytałam.

Xan westchnął.

- Nie wiem, co ci powiedzieć. Pojechałem ze swoim patroliem zabrać kilku ludzi Davida, którzy zeskoczyli spado-

chronami nad Mersa el-Brega. To był dość odważny plan porwania Rommla, ale nie doszedł do skutku. Zrzucono ich pięćdziesięciu sześciu, ale z powrotem zebraliśmy tylko dwudziestu jeden. A potem ja z Hasanem jechaliśmy samochodem opancerzonym z powrotem na południe od Sidi Rezegh i po drodze napotkaliśmy jednego człowieka brnącego mozolnie przez busz. Trudno było odgadnąć, po czyjej jest stronie. Nikt nie wiedział, kto z kim walczy. Dym i kurz przesłaniały wszystko.

Opuściłem szybę w oknie i krzyknąłem do niego: „Jesteś Włochem?!”. A on odkrzyknął angielszczyzną tak płynną jak moja. „Nie jestem pieprzonym Włochem. Jestem Niemcem!”.

Był ranny w rękę, więc go podwieźliśmy. Dał nam trochę papierosów jako zapłatę za jazdę. Były angielskiej marki Capstan, przejęte z jednego z naszych magazynów zaopatrzenia. Po jakichś szesnastu kilometrach napotkaliśmy niemiecką zbrojownię, więc zatrzymaliśmy się i pozwoliliśmy mu tam pójść. Odszedł kilka kroków, odwrócił się i zawołał do nas: „Do zobaczenia w Londynie, George!”.

A ja odkrzyknąłem: „Nie, to będzie Berlin!”.

Hasan trzymał go na muszce przez cały czas, gdy szedł na swoją stronę, ale zabroniłem mu strzelać.

Xan odwrócił się do mnie ze śmiechem, twarz miał zmęczoną i pomarszczoną.

- Tak to było - powiedział.

Samochód został zreperowany.

Zajął się tym znajomy Nafiza, mechanik Husajn. Po dokonanej naprawie Nafiz i Asz przyprowadzili samochód na podjazd za domem Iris. Zniszczone chromowanie zostało możli-

wie jak najdokładniej wypolerowane, a nieskorodowane partie nadwozia znów były czarne.

Stali w szeregu za samochodem, Iris w środku, Mamduh, Ciocia i Ruby po bokach, i zaglądali do naoliwionego wnętrza. Silnik pracował, a cały pojazd trząsał się i pokasływał jak stary gruźlik.

- Z silnikiem wszystko gra, widzicie? - mówił radośnie Nafiz.

- Super - orzekła Ruby.

- To się nie nadaje do jeżdżenia, nie jest bezpieczne. - Mamduh cmokał z dezaprobatą, podczas gdy Ciocia stała z zasłoniętą dolną częścią twarzy, a oczy spuszczała, żeby nie patrzeć na obu chłopców.

Iris nic nie mówiła, za to przeszła się powoli od tyłu do przodu samochodu, dotykając klamek i wodząc palcami po pęcherzykach rdzy wokół progów okien. Pogładziła krzywizną maski i po obejściu go z drugiej strony stanęła z powrotem w ich czteroosobowej grupce. Następnie spojrzała prosto w oczy Nafiza.

- Teraz wstawię swój samochód do garażu. A potem przyjdźcie do mnie do domu i porozmawiamy.

- Proszę pani doktor, ja go wstawię...

- Nie, dziękuję - odparła ostro.

Otworzyła drzwi od strony kierowcy i wsunęła się na skrzypiący fotel, ujmując kierownicę rękami pełnymi brązowych plam. Wyprostowała plecy, wyciągnęła szyję i uniosła brodę, żeby widzieć przez przednią szybę. Potem uruchomiła silnik, nacisnęła pedał sprzęgła i wrzuciła pierwszy bieg. Pojazd szarpał przez chwilę, zanim przypomniała sobie o hamulcu ręcznym. Wtedy ruszył do przodu, a Iris kręciła kierownicą, żeby wjechał do garażu. Wyłączyła silnik i wysiadła, jednocześnie chowając kluczyki do kieszeni.

Mamduh pokaże wam potem drogę - powiedziała do Asza i Nafiza.

Iris i Ruby pierwsze doszły do wewnętrznego ogródka. Iris wzięła Ruby pod ramię i opierała się na nim. Była trochę zadyszana, ale policzki jej się zaróżowiły i wyglądała jak podekscytowane dziecko.

- Wiesz, nie byłam pewna, czy dam radę to zrobić.
- Nie miałaś z tym żadnego problemu.
- Nie miałam, co? I świetnie się bawiłam. To będzie niezła zabawa. - Wyjęła z kieszeni kluczyki, wyrzuciła je w powietrze i zdołała złapać z powrotem. Według Ruby zachowywała się jak nastolatka, która wycygała od ojca samochód na sobotni wieczór, i to ją rozśmieszyło.

Mamduh przyprowadził chłopców do ogródka i stał niczym wartownik z rękami złożonymi przed sobą. Asz i Nafiz przestępowali z nogi na nogę i mimowolnie rozglądali się dokoła. Doniczki z zielenią pachniały liśćmi i ciepłą ziemią, a do glazurowanej misy kapała woda. Ponad kafelkową ścianą i oknami *haramliku* na szarym tle nieba wznosiły się minarety.

Iris usiadła i wskazała ławkę naprzeciwko swego fotela. Nafiz usiadł, lecz Asz wahał się, a Ruby trzymała się przy nim, nie przysuwając swego krzesła na zwykłe miejsce koło Iris. Miała jeszcze wyraźnie przed oczami obraz domu w grobowcu i gdy zerknęła w bok na Asza, domyśliła się, że on też porównuje. Ten uderzający kontrast sprawiał, że czuła zakłopotanie.

- No więc ile jestem winna wam i waszemu znajomemu za naprawienie samochodu? - zapytała Iris wesoło.

Nafiz pochylił się, robiąc przeproszający ruch otwartą dłonią.

- Chciałbym powiedzieć, że nic, że to tylko przyjacielska przysługa.

- Dziękuję. Ale?

- Mój znajomy jest biednym człowiekiem. Ma żonę i dzieci.

- Naturalnie. Proszę mówić.

Nafiz wymienił okazałą sumę, w funtach egipskich, kuląc żałośnie ramiona.

Z równym żalem Iris wymieniła jedną trzecią tej ceny. Asz i Ruby popatrzyli na siebie i Ruby zauważyła, że chłopak się uśmiecha. Jasne było, że Iris i Nafiz doskonale się rozumieli.

- Idziemy? - szepnęła do Asza, pokazując głową w stronę, skąd przed chwilą przyszli. Mamduh zmarszczył czoło, lecz nie mógł pójść za nimi i jednocześnie pilnować Iris. Cio-cia pewnie szykowała nieodzowną tacę z miętową herbata i ciasteczkami. Asz i Ruby wśliznęli się z powrotem do domu, podczas gdy zawiła procedura negocjacji przebiegała dalej.

Asz szedł przez odświętny hol, wpatrując się w rzeźbioną boazerię, malowidła na suficie i ażurowe przesłony na galerii.

- Cały ten dom należy do twojej babci? - wyszeptał.

Jego oczami Ruby ujrzała wspaniałość domu pomimo kurzu i pajęczyn. Nieco skrepowana, odpowiedziała może trochę za głośno jak na ciche miejsce, w którym stali:

- Chyba tak. Tak mi się zdaje. Właściwie nigdy jej nie pytałam.

- Ty w Anglii też mieszkasz w takim domu jak ten?

- Nie. Boże, nie. W zupełnie innym. - Roześmiała się, znów za głośno, a potem przygryzła wargę. Ani zupełnie nie w takim jak grobowiec. Nagle pojawiła się między nią a Aszem mała przepaść zazdrości pomieszanej ze wstydem i nie bardzo wiedziała, co z tym zrobić. Było to coś, jakby Jas został na siłę wepchnięty w sam środek jednego z przyjęć Lesley dla klientów Andrew.

Chwyciła Asza za rękę.

- Chodź. - Może w jej pokoju będzie po prostu patrzył jej w oczy, nie zwracając uwagi na otoczenie.

Początkowo szedł chętnie, ale potem zorientował się, że idą w stronę wewnętrznych schodów.

Stanął jak sparaliżowany.

- Ja nie mogę.

- Myślałam, że wam wolno, jeśli zaprosi was jedna z kobiet w domu.

- Ale to jest tylko dla braci i kuzynów. Nic dla obcych.

Stanąła przed nim i ujęła jego twarz w obie dłonie.

- Ty nie jesteś obcy - szepnęła. - Jesteś moim przyjacielem.

Zamrugnął oczami, ale nie ruszył się.

Wtedy przyciągnęła jego głowę i dotknęła ustami jego ust.

- Powiedziałybym, że jesteś moim bratem. Ale tak naprawdę to cię kocham - oświadczyła. W tym samym momencie uświadomiła sobie, że nie jest to przymilanie się, lecz prawda.

Asz rozszerzył oczy ze zdumienia, przyciągnął ją bliżej i pocałował. Potem dał się zaprowadzić po schodach na górę i wzdłuż galerii. Raz odbiegł, żeby unieść jedną z przesłon i spojrzeć w dół na przestronny hol. Jego środkiem człapał głośno Mamduh, nie patrząc w górę. Asz i Ruby przemknęli do drzwi jej pokoju i wśliznęli się do środka.

- Moja sypialnia - oznajmiła Ruby podekscytowanym głosem.

Stał z ręką na klamce i patrzył na skromne wnętrze. Na krześle leżało kilka książek i płyt CD ułożonych w równy stosik, wąską kanapę przykrywała wygładzona narzuta. Inne rzeczy były uprzątnięte i wstawione do komody. Teraz już sama Ruby dbała o estetykę własnego pokoju.

Asz rozpromienił się i zauważyła, że dochodzi do siebie.

- Jeszcze nigdy nie byłem w sypialni dziewczyny. Nie przypuszczałbym, Ruby, że jesteś taka porządna.

Zamierzyła się, żeby go kopnąć w łydkę i dać kuksańca pięścią, ale on przytrzymał ją za nadgarstki. Szamotali się jak dzieciaki, zaśmiewając się i sapiąc, a w końcu wylądowali na kanapie pod łukiem okiennym, ukłękli i wyjrzelili na uli-

cę. Ich oddechy zaparowały szybę, tworząc dwie jednakowe smużki.

- Po naszym pierwszym spotkaniu wtedy z Nafizem przyszedłem tu jeszcze raz i myślałem, że to właśnie jest twoje okno. Widziałem tu światło, tylko jedno w całej wielkiej ścianie. Stałem w dole na ulicy i próbowałem cię zobaczyć.

- Czyli mnie szpiegowałeś! A wtedy na Chan al-Chalili szedłeś za mną całą drogę, tak? Niektórzy uważają to za ohydne.

- Ohydne? Co to znaczy?

Ruby zagięła palce w szpony i wykrzywiła twarz, żeby jak najlepiej zobrazować ohydę, i Asz się wzdrygnął.

- Ale ja nie jestem taki - zaprotestował.

- Teraz to wiem. Powiedziałaś ci, co teraz czuję, tak?

- Tak. Jestem zaskoczony i oczywiście też zadowolony. Ale, Ruby, to znaczy, że my już się nie bawimy.

Kłęczeli wyprostowani, twarzami do siebie.

- Czy to źle?

Delikatnie położył rękę na jej talii, przesunął do góry i rozchylił palce, opierając je na wgłębieniach między żebrami.

- Ja jestem egipskim chłopakiem, ty angielską dziewczyną. Ja jestem biedny, ty bogata. Ja jestem telefonistą, ty... hmmm. Nawet nie wiem. Pewnie możesz; być, kim zechcesz.

- Nie jestem specjalnie nikim. Nie... czekaj, Asz, nie zaprzeczaj. To prawda. Uciekłam z domu i przyjechałam tutaj, bo umarł Jas, bo mój wujek jest naprawdę potworem, bo moja mama i jej mąż uważają, że jestem, nieudacznicą i tracę czas, bo obudziłam się któregoś dnia w Anglii, rozejrzałam się i pomyślałam, że jeśli czegoś nie zrobię, niedługo będą mieli rację.

Gdybym była kimś takim jak ty, natychmiast znalazłabym sobie jakąś pracę, jakąkolwiek, żeby się utrzymać, zamiast brać pieniądze od matki i nie chodzić do szkoły, tak jak powinnam. A ja co robiłam? Skorzystałam z karty kredytowej

mamy, weszłam w Internet i kupiłam bilet lotniczy do Kairu. Ona wie, co zrobiłam, ale nie chce się przyznać sama przed sobą, jaka ja potrafię być przebiegła i wredna. A ja przyjechałam tutaj do domu Iris, w przekonaniu, że to wszystko jedno, gdzie jestem, żeby tylko to było gdzie indziej, żeby nic nie czuć.

Potem spotkałam ciebie. Zabrałeś mnie do Miasta Umarłych, zobaczyłam twój dom i poznałam rodzinę, pokazałeś mi różne miejsca... to zabrzmiało strasznie głupio, ale dzięki temu zrozumiałam parę rzeczy, których przedtem nie rozumiałam. Nie sądzę, że należy się nad sobą użalać, jeśli naprawdę nie ma wielkiego powodu, a ja właściwie nie mam, ale użalałam się nad sobą, nie przyznając się do tego. Byłam też wściekła. Ale pobyt tutaj, z tobą i Iris, z Ciocią i, tak, nawet z Mamduhem, sprawił, że poczułam coś innego. Lubię chodzić do muzeum, bo tam jest tyle historii i to się działo tak długo, i jest takie... kompletne. Dobrze mówię?

- Myślę, że tak - powiedział Asz łagodnie.

- ...że czuję się mała, a jednak jestem częścią tego wszystkiego, jak my wszyscy, ty i ja, i Iris, i wszyscy ludzie w jej życiu, i w moim, i twoim, i każdego w Mieście Umarłych, czy są żywi, czy martwi, i to mnie doprawdy podnosi na duchu. - Ruby westchnęła. - Ale co ja usiłuję powiedzieć? Że chcę coś zrobić, teraz moja kolej, nie być bezużyteczną. Tylko jeszcze nie wiem, co to ma być.

Twarz dziewczyny rozjaśniła się uśmiechem, na widok którego Asz ścisnął ją mocniej i przyciągnął do siebie. Ich twarze niemal się dotknęły.

- Mówiłeś - szepnęła - że jesteś egipskim chłopakiem, ja angielską dziewczyną, że bogata dziewczyna, a biedny chłopak?

- Tak.

- Moim zdaniem jedyne słowa z nich wszystkich, które się liczą, to „dziewczyna” i „chłopak”.

- Może masz rację.

Twarz przy twarzy, biodra przy biodrach, zaczęli się wolno osuwać na łóżko. Gwałtowne stukanie do drzwi postawiło ich na równe nogi.

- Panno Ruby?! - wołał Mamduh.

Asz coś krzyknął po arabsku i w panice rozglądał się za jakąś drogą ucieczki.

- Wszystko okej - powiedziała Ruby. Podeszła do drzwi i otworzyła je, a Mamduh wparował do pokoju.

- To nie wypada! - wyrzucił z siebie. Asz już się przesuwał obok niego, by dać nogę, ale Mamduh z zadziwiającą szybkością przemieścił się i odciął mu drogę, a Asz spojrzał błagalnym wzrokiem na Ruby.

- Co w tym złego? - Ruby zapytała niewinnie Mamduha. Jego wielka twarz nadeła się z gniewu.

- Przynosisz nam hańbę.

Asz zaczął protestować, ale Ruby go uciszyła.

- Hańbę? Jakie masz prawo tak mówić?

Mamduh nie patrzył na nią.

- Jesteś muzułmaninem - rzekł do Asza.

Ruby podbiegła i stanęła obok Asza.

- Tak, jest, i odkąd go znam, nigdy nie zrobił nic złego, ani hańbiącego, jak to nazywasz. Ja mogłabym, ale on nie. Powinieneś go przeprosić.

- Ruby - wyszeptał Asz z nieszczęśliwą miną.

Mamduh gromił wzrokiem to jedno, to drugie. Nadał wargi tak, że wyglądały jeszcze bardziej jak ciemne owoce.

- Czy to prawda?

- Tak.

- W tym kraju, w tym domu chłopcom nie wolno odwiedzać sypialni młodej dziewczyny.

- W Anglii uważamy, że jeśli ludzie chcą coś zrobić, to znajdą miejsce, sypialnia czy nie.

- Jesteś nieuprzejma - zwrócił jej uwagę Asz.

Ruby zawrzała, gotowa i jego zaatakować, ale wytrzymała jej spojrzenie. Po długiej chwili rozluźniła barki.

- W porządku. Przepraszam, Mamduhu, okej? Obiecuję, że nigdy więcej nie przyprowadzę żadnego chłopaka do swojej sypialni. Czy to wystarczy?

Majestatycznie skłonił głowę i stanął z boku, żeby mogli wyjść z pokoju.

- Mamris na ciebie czeka.

Iris i Nafiz siedzieli w ogródku, pijąc herbatę miętową jak para najlepszych przyjaciół.

- A, jesteście! - zawołała Iris na ich widok. - Czy mówicie, że wychodzicie?

Ruby cierpliwie wyjaśniła, że nie, tylko na chwilę wyszli, podczas gdy ona i Nafiz targowali się o samochód. Twarz Iris rozjaśniła się.

- Samochód. No tak. Napijcie się herbaty, oboje.

Asz wziął od Ruby szklanekę, ale usiadł na samym brzegu ławki.

- My z Nafizem musimy już iść. Cieszę się, że samochód jest naprawiony, pani Iris.

Iris uśmiechnęła się radośnie.

- Musisz się z nami gdzieś przejechać.

Odprawiając ich, Ruby spytała, kiedy się znów zobaczą.

- Niedługo. Muszę pracować, Ruby, wiesz o tym.

Patrzyła za dwoma braćmi, aż doszli do końca ulicy i skręcili w stronę Chan al-Chalili. Mieli podobny chód, w taki sam czujny sposób odwracali głowy, a ta ich jedność powodowała, że ona czuła się jakby pominięta. Nic nie mówili o nocy w klubie. Nafiz uśmiechał się tak samo czarująco i tajemniczo jak zawsze, a gdy sama poruszyła ten temat, Asz wzruszył ramionami i odparł: „To się czasem zdarza. Nie jest dobre, ale to jeszcze nie najgorsza rzecz”.

Ci dwaj chronili się i czuwali nad sobą nawzajem. Ruby

pomyślała, że gdyby doszło do próby lojalności, nie wątpiłaby, po czyjej stronie stanie Asz.

W ogródku było pusto. Ciocia już sprzątnęła imbryk i szklanki.

Ruby znalazła Iris w jej pokoju, ubraną w płaszcz do wyjścia.

- No, jesteś. Gotowa?

- Gotowa na co? - zapytała Ruby.

- Na przejażdżkę samochodem oczywiście. Chodź, dokąd chcesz jechać?

- Nie wiem. Czy jesteś pewna, że chcesz to zrobić już teraz? I nie potrzebujesz... ubezpieczenia i takich rzeczy?

- Moja droga, to jest Kair, a nie Tunbridge Wells. Wszystko to można zorganizować. Chcę jechać. Spójrz tam, widzisz niebo?

Było je widać przez okienne kraty.

- Dobrze - powiedziała Ruby - jeśli jesteś pewna, że nie czujesz się zbyt zmęczona, i obiecasz prowadzić ostrożnie. Uśmiechnęła się szeroko. - Ha, ha, słyszysz mnie? Mówię zupełnie jak Lesley i Mamduh, tylko to wcale niezabawne.

Wzięła swoją babkę pod rękę i zeszły razem po schodach. W kieszeni Iris dzwoniły kluczyki.

Nie było im wcale łatwo wyjechać. Mamduh wyskoczył z czeluści domu i od razu się zorientował, dokąd idą. Zaczął protestować, że jest za późno, że ulice będą zatłoczone, że Mamris się za bardzo zmęczy.

Iris go obeszała.

Wreszcie włożył na głowę tarbusz i poszedł za nimi.

Iris uniosła rękę do góry.

- Dziękuję, Mamduhu, ale dziś po południu Ruby i ja pojedziemy na wycieczkę we dwie. Ty możesz z nami pojechać innym razem.

Mimo to poszedł z nimi przez cały podjazd, szamotał się

z Ruby, gdy ta usiłowała otworzyć stare drewniane drzwi, i całym swym ciężarem się temu przeciwstawiał. Nie patrzył na nią i jak zwykle ją właśnie obwiniał za wzniesienie tego szaleństwa i rozprzężenia w spokojnym domostwie, lecz potok ostrzeżeń i czarnowidztwa skierował do Iris.

Ta skwitowała go zdawkowym uśmiechem i odsunęła na bok.

- Dziękuję ci. Jeździłam po tym mieście już sześćdziesiąt lat temu, wiesz? Ty byłeś jeszcze chłopcem i przychodziłeś do Garden City ze swym ojcem. Wsiadaj, Ruby.

Zajęły miejsca w samochodzie, a Mamduh stanął w rozkroku, z pięściami pod boki o pół metra od tylnego zderzaka.

- Masz zamiar go przejechać? - mruknęła Ruby.

- Postaram się nie. - Silnik garbusa zakasłał i zawył, potem ze skrzyni biegów doleciał pisk, gdy Iris usiłowała znaleźć wsteczny bieg bez naciśnięcia sprzęgła, ale za chwilę sobie przypomniała, jak się kieruje samochodem, i zaczęła się wycofywać z garażu. Opuściła okno i kiwnęła do odskakującego na bok Mamduha.

- Nie martw się o nas! - rzuciła pełna animuszu.

Omali nie stuknęły o ścianę na końcu podjazdu. Głowa Ruby szarpnęła do tyłu, gdy Iris w ostatniej chwili nacisnęła pedał hamulca.

- Mamduh jest na mnie wściekły. Znalazł mnie i Asza na górze w moim pokoju. Nic nie robiliśmy.

Iris cmoknęła językiem, gdy wyjeżdżały.

- Naprawdę, Ruby. Ty zupełnie nie umiesz się zachowywać. To, co robisz, to twoja sprawa, ale jeśli postarasz się nie obrażać ludzi, zobaczysz, że życie będzie o wiele łatwiejsze.

Ruby skurczyła się na swoim fotelu.

- Przepraszam - rzekła pokornie. - Uważaj!

Kobieta na vespie w chuście na głowie przecięła im drogę akurat w chwili, gdy Iris ruszyła na skrzyżowaniu. Skuter zachwiały się, gdy Iris zahamowała, a potem przyspieszyła,

by z przepaszającym gestem skrócić w potok huczących pojazdów.

- Ci ludzie zawsze byli szalonymi kierowcami - powiedziała, kierując się do śródmieścia. Obserwowała tłumy z zaciekawieniem i wyraźną przyjemnością.

Ruby puściła zaciśnięte pięści i pocieszała się, że przynajmniej jest już koniec dnia i wszystkie ulice są przepełnione pojazdami. Gdyby doszło do jakiejś kolizji, ich prędkość nie będzie większa niż pieszych.

Ukryte zdolności motoryzacyjne Iris zdawały się ujawniać w coraz większej krasie. Najpierw myliła się trochę, ale potem coraz mniej. Rozluźniła ręce na kierownicy, przyspieszała, zmieniała biegi i hamowała we właściwej kolejności, najwyraźniej bez zastanowienia. Po kilku ostrych ostrzeżeniach kierowców ciężarówek i taksówek zaczęła nawet włączać kierunkowskazy.

Wokół nich sunął rozedrgany nurt pojazdów, niosąc garbusa naprzód, jak fala niesie kamyk, a potem go zatrzymując przy zbiorowym syku hamulców hydraulicznych, beczeniu klaksonów i metalicznych dźwiękach muzyki płynącej z otwartych okien szaroburych fiatów. Sygnały świetlne zawieszane na płataninie przewodów zmieniały się to na zielone, to na czerwone. Ruby spoglądała na wielkie tablice reklamowe zamocowane między odrapanymi betonowymi blokami, na jasno oświetlone małe sklepiki i zbity tłum ludzi spieszących do domu lub do wejścia najbliższej stacji metra.

Był to ten krótki czas zmierzchania, gdy niebo przybiera nagle głęboki ciemnoniebieski ton. Za pół godziny zaczną się pokazywać gwiazdy. W muzeum kobiety z mopami będą zgarniały ostatnich gości w kierunku wyjścia, a potem rzeźby i posagi na całą noc pogrążą się w ciszy.

Po kilku minutach ocknęła się, uprzytamniając sobie, że odpłynęła myślami. Iris zdążyła zrobić serię zakrętów w lewo i prawo, oddalając się od głównej ulicy, i znajdowały się teraz

na cichej alei wysadzonej mimozami i oleandrami. Zaczynały się zapalać światła w mieszkaniach.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała Ruby bezwiednie.

Potem zobaczyła, że Iris wpatruje się w przednią szybę. Samochód zjechał na pobocze i zawadził kołami o krawężnik chodnika. Pojazd za nimi zatrąbił i szybko je wyminął.

- Iris, dobrze się czujesz?

Nie było odpowiedzi i Ruby położyła dłoń na dłoni babci spoczywającej na kierownicy. Iris wyłączyła zapłon i zapadła cisza, przerywana jedynie lekkim pykaniem stygnącego metalu.

- Wszystko jest inaczej. - Pokręciła głową, jakby próbowała coś w niej rozjaśnić, a potem odwróciła się do Ruby. Kilka metrów dalej zapaliła się właśnie latarnia i jasne, ostre światło padło prosto na jej twarz. - Nie wiem, dokąd jadę.

- Wcale mnie to nie dziwi. Oczywiście, że wszystko jest inaczej - zaczęła Ruby.

Lecz Iris patrzyła jakby przez nią. Usta jej się trzęsły, a oczy nic nie widziały. Wyraźnie była w szoku, jakby nadal widziała stare ulice sprzed sześćdziesięciu lat i zagubiła się w brutalnym nadmiarze nowoczesnych budynków i nieznanym jej, nowych, szerokich, tętniących arterii.

Przez chwilę siedziały w ciszy. Obok przeszło dwóch mężczyzn w eleganckich garniturach i płaszczach z wielbłądziej wełny zarzuconych na ramiona. Obrzucili samochód ciekawym spojrzeniem. Przynajmniej nie są w podejrzonej dzielnicy - pomyślała Ruby. Gdy przyjrzała się jej dokładniej, nawet wydała jej się znajoma. Budynki mieszkalne wyglądały bogato, a przy niektórych wysokich bramach stały budki wartowników.

Ścisnęła dłoń Iris.

- Jedźmy do domu. Możesz prowadzić?

Lecz Iris bezgłośnie płakała.

- Nie płacz. Wszystko jest w porządku. Proszę, tutaj.

Z kieszeni džinsów Ruby wyjęła chusteczkę higieniczną i próbowała jej obetrzeć łzy.

- Wszystko zginęło. - Głos Iris brzmiał jak pełna przejmującej rozpaczy skarga małego, porzuconego dziecka.

- Nie, wciąż tu jest, to nadal jest Kair. Tylko czas zrobił swoje.

- Zrobił swoje - jak echo powtórzyła Iris ze smutkiem. Wydawało się, że te słowa nie mają dla niej sensu, choć bardzo pragnęła znaleźć w nich pocieszenie.

- No właśnie - potwierdziła Ruby. Stało się oczywiste, że musi zabrać Iris z powrotem do domu, do znajomego otoczenia, gdzie będzie się czuła bezpiecznie. Wycofała dłoń z dłoni Iris, choć ta próbowała ją zatrzymać, wyszła z auta i przeszła na drugą stronę, do miejsca kierowcy. Następnie ostrożnie pomogła babci wyjść i wsiąść na miejsce pasażera, a Iris robiła wszystko posłusznie jak dziecko. Łzy już nie płynęły, ale wyglądała na jeszcze drobniejszą i delikatniejszą niż dotąd.

Ruby usiadła za kierownicą i uruchomiła auto. Jeśli potrafiła przyprowadzić taksówkę z Al-Mukattam do domu - rozmawiała - równie dobrze znajdzie drogę do domu stąd. Spokojnie.

Kręte uliczki wiły się wokół ogrodów pełnych mrocznej gęstwiny liści. Jechała powoli, ignorując niecierpliwe klaksony, szukając jakiejś wskazówki, gdzie powinna pojechać. Na następnym rogu stał wysoki brązowy budynek z wystającymi żelaznymi balkonami, które rysowały się wyraźnie na tle blasku świateł jakiejś ruchliwej ulicy. Gdy dojeżdżały do skrzyżowania, Ruby jeszcze bardziej zwolniła, rozglądając się na lewo i prawo.

Iris poruszyła się.

- Co robisz? Skręcaj w prawo - powiedziała nagle głośniej, już nie tonem zagubionego dziecka.

Ruby posłusznie skręciła. Ruch był teraz mniejszy. Mijały krzykliwe wystawy sklepów. Zerknęła na Iris.

- Wiesz co, poprowadź mnie. Nie jestem zbyt pewna, którądy jechać.

Z nutką irytacji Iris pokazała na wprost.

- Jedź do końca *szaria* Al-Mawardi, a potem skreć w lewo.

- Okej.

Z turkotem przejechały przez tory tramwajowe, a potem w dali Ruby poznała zarys cytadeli, dwie wysokie wieże, jeszcze ciemniejsze niż dalekie od jasności wschodnie niebo. Miała teraz punkt odniesienia. Po minucie czy dwóch wyjechały na głośną i ruchliwą *szaria* Port Said i mogła się już prawie zrelaksować. Były w starej dzielnicy Iris, Garden City.

- Zaraz będziemy w domu - powiedziała.

- Tak - potwierdziła Iris. - Dobrze ci się prowadzi ten samochód?

- Chyba tak.

Dziesięć minut później wtoczyły się w brukowany podjazd. Ruby zostawiła silnik włączony i wyszła otworzyć ciężkie drewniane drzwi, a potem wjechała garbusem na miejsce do garażu. Z milczącą ulgą położyła ręce na udach. Włosy miała przyklejone do spoconego czoła.

- Przepraszam - wymamrotała Iris.

- Za co?

- Że płakałam.

- Dlatego, że się zgubiłyśmy?

Nastąpiła pauza.

- Myślę, że to był powód - dodała.

Ruby nie wiedziała, jak wiele ze swej przeszłości Iris rzeczywiście pamiętała, i mogła się tylko domyślać, jakim przeżeniem napawa ją okresowy brak pamięci. Wyłączyła przycisnięciem światła samochodu i ogarnęła je ciemność.

- Nie zgubiłyśmy się - Ruby zaprzeczyła zdecydowanym tonem. - Jesteśmy w Kairze i mamy siebie nawzajem, prawda?

Iris zaczęła się zbierać w sobie, poprawiając płaszcz i mo-

bilizując kończyny do wysiłku wyjścia z samochodu. Była bardzo zmęczona.

- Mamy siebie nawzajem - powtarzała sobie te cudowne słowa.

Ruby jeszcze raz uderzyło, jak samotna i niepewna była jej babcia.

- Chodź, wejdziemy do domu - powiedziała.

- Naprawdę chciałam się przejechać. - To, że wycieczka nie całkiem się udała, nie zmieniało faktu, że jej pragnęła.

- Wiem. I możemy jeździć jeszcze wiele razy, kiedy tylko zechcesz. - Plan z zapamiętywaniem raczej spalił na panewce. Mogła więc zrobić dla Iris przynajmniej tyle, jeśli ona tego chciała.

~ Nie mów im nic - błagała Iris.

- Jasne, że nie. A zresztą o czym?

Weszły do domu tylnymi drzwiami jak konspiratorki.

W holu na jednym ze sfatygowanych krzeseł przewieszony był czyjś płaszcz. Iris zobaczyła go i stanęła, patrząc pytająco na Ruby. Ta jedynie wzruszyła ramionami. Najwyraźniej w domu był jakiś gość, ale nie miała pojęcia, kto to mógł być.

Czekał w saloniku Iris. Czytał gazetę, ale wstał, gdy usłyszał, że wchodzą po schodach.

- *Bonsoir. Excusez-moi.* Iris, jak się pani czuje?

Był to krępy mężczyzna o ciemnych włosach i oliwkowej skórze, ubrany dość tradycyjnie, ale z odrobiną fantazji w postaci jaskrawoniebieskiej koszuli i jedwabnej chustki zatkniętej w butonierkę.

- Nicolas.

- Byłem w pobliżu z wizytą u pacjenta i pomyślałem, że zajrzę. Może to nieodpowiedni moment? - Jego ciemne oczy spoczęły na Ruby. - My się nie znamy.

- Nicolasie, to moja wnuczka Ruby. Ruby, to mój przyjaciel, doktor Nicolas Grosseteste. Mój lekarz.

Pewnie Mamduh go wezwał - pomyślała Ruby.

- Cześć.

Uśmiechnął się.

- Jak się masz? Mamduh był tak miły i poczęstował mnie czymś do picia. Oczekując kilka minut, zająłem się gazetą.

Był uroczy i przystojny.

- Zostanie pan jeszcze kilka minut?

- Jeśli można, Iris. Dawno się nie widzieliśmy.

- Ruby...

- Pójdę powiedzieć Mamduhowi i Cioci, że wróciłyśmy.

Ruby zeszła na dół i znalazła staruszków w kuchni. Ciocia jak zwykle szatkowała jarzyny, a Mamduh siedział na swoim krześle przy kuchni.

- Miałyśmy miłą przejażdżkę - oznajmiła mu. - Mamris jest teraz z doktorem.

- Bardzo dobrze - odparł sucho.

Mamduh nigdy nie ustępował. Ciocia wstawiła szklankę Iris do wytartego srebrnego uchwytu, nalała wrzącej wody do imbryka, owinęła trochę pieczywa w serwetkę i położyła obok małego naczynia z miodem. Przekrzywiając głowę jak mały brązowy ptaszek, zadała Ruby pytanie po arabsku, a ta odpowiedziała:

- Tak, Ciociu, zaniosę to na górę. - W ten sposób porozumiewały się bezbłędnie.

Idąc górnym korytarzem, usłyszała głos doktora. Iris coś odpowiedziała, a potem oboje się roześmiali i Iris jeszcze coś dodała.

- Ale to było na długo, zanim pan się urodził - mówiła.

Unieśli wzrok, gdy weszła Ruby z tacą.

Doktor Nicolas został na kolejną szklankę herbaty, a potem oznajmił, że musi już iść. Ukłonił się Iris i pocałował ją w rękę, a ona poklepała go serdecznie po ramieniu. Ruby odprowadziła go po schodach do wyjścia. Wkładając płaszcz w holu, doktor powiedział:

- Twoja babcia jest w dobrej formie.
- Tak?
- Mówisz, jakbyś się z tym nie zgadzała. - Ciemne oczy doktora spoczęły na niej uważnie.

Ruby zawahała się, niepewna, ile może ujawnić.

- Zapomina. I to ją martwi. Chcę jej pomóc, ale nie jest to łatwe, bo potrafi mi opowiedzieć zaledwie małe, niepasujące do siebie urywki ze swego życia. Czasem powie tylko jedno lub dwa słowa, dla mnie bez znaczenia, ale ona patrzy na mnie, jakby się spodziewała, że znaczą wiele.

Nicolas obserwował ją przez chwilę, po czym uśmiechnął się.

- Iris to bardzo silna kobieta i była taka przez całe życie. Obawia się utraty kontroli, a zwłaszcza władzy nad sobą.

Ruby skinęła głową. Z jakiegoś powodu nasunął jej się obraz własnej matki, Lesley, w uporządkowanej, buczonej urządzeniami kuchni ich domu. Białe kubki na szklanych półkach. Rzędy dzbanków i puszek w szafkach.

- Ona nie chce zapomnieć swego życia - powiedziała ostrożnie. - Nie mogę jej za to winić. Wspomnienia muszą być bardzo cenne, gdy się jest starym. To jest to, co dla siebie zachowaliśmy, prawda? Cenniejsze niż pieniądze, domy lub sława. Iris nie chce stracić swoich, bo gdy się je straci, nie ma się nic. Jest się nikim.

- Wiesz co, nie jestem pewien, czy do końca się z tym zgadzam. Istota ludzka nie istnieje wyłącznie w swojej własnej świadomości. Każdy z nas oddziałuje na ludzi wokół siebie i nasze istnienie zawiera się także w ich osądzie. W ich uznaniu lub nie. W ich wspomnieniach tak samo jak w naszych własnych.

Ruby pokiwała głową z ożywieniem.

- Rozmawialiśmy o tym. Miałam taki pomysł, żeby przechować dla niej jej wspomnienia, wie pan, jak ustne zadanie

z historii. Ale to jakoś nie wychodzi. Ona nie potrafi znaleźć słów.

- Pamięć jest złożona, a zarazem ulotna. To nie jest tylko lista dat i wydarzeń. Można dowodzić, że ma o wiele więcej wspólnego z zapachami i kształtami, a nawet jeszcze mniej uchwytnymi czynnikami. Ton głosu wypowiadający jedno słowo. Śpiew ptaka o świcie w jakiś szczególny dzień. Wszystko to spojone razem jak we wspaniałym wierszu. Nie wiem, jak można to uchwycić i przetłumaczyć komu innemu, ale w końcu jestem tylko lekarzem, a nie poetą.

Ruby stwierdziła, że doktor Nicolas da się lubić.

- Ja też nie. Jestem tylko wnuczką Iris. Chcę jej pomóc, i to wszystko.

- Myślę, że już to robisz, Ruby. Mogę cię tak nazywać?

- Jasne. A jak ja pomagam?

Nicolas zastanowił się.

- Iris przez wiele lat żyła samotnie i w miarę jak stawała się coraz słabsza fizycznie i coraz rzadziej wychodziła na zewnątrz, popadała w coraz większą izolację. W rezultacie tej izolacji pojawiła się u niej umiarkowana depresja. Akurat niektóre jej objawy naśladują wczesne fazy demencji i sądzę, że jej zagubienie i lęki były spowodowane tą umiarkowaną depresją. Bardzo możliwe, że ona sama myli te dwie dolegliwości, co jeszcze zwiększa jej niepokój.

- Mówił jej pan o tym?

- Oczywiście, próbowałem. Ale, jak wiesz, Iris nie lubi, gdy się wkracza w sferę jej prywatności. Mogę leczyć jej fizyczne choroby, ale jej umysł należy do niej. Jednak od twojego przyjazdu zauważyłem w niej zmianę. Jest o wiele bardziej zwawa, pozytywniej reaguje na bodźce, ciśnienie krwi jej się obniżyło, ma większy apetyt i lepiej sypia. Podniosłaś ją na duchu.

- Tak pan myśli?

— Zdecydowanie tak.

Uśmiech rozjaśnił twarz Ruby.

- Więc są rezultaty. Myśli pan, że powinnam zostać?

Doktor podniósł torbę lekarską.

- A możesz? Jesteś bardzo młoda i pewnie masz jakieś obowiązki.

- Można powiedzieć, że właśnie jestem na rozstajach dróg. Tak przy okazji, byliśmy dziś z Iris na przejażdżce. Czy Mamduh panu mówił, gdzie jesteśmy? Uruchomiłyśmy jej starego garbusa.

- Wspaniałe. Powiedziałbym, że wychodzenie z domu to dokładnie to, czego ona potrzebuje. Ruby, przyjdę znów za kilka dni. Powiesz mi, jak się obie czujecie.

Nicolas wyciągnął chłodną, suchą dłoń, a Ruby ją uściśnięła. Poszła z nim do drzwi, a gdy już oddalił się szybkim krokiem, postąpiła na górnym schodku, wdychając intensywne zapachy wieczora. Zwierząt, spalin, przypraw, moczu.

Poczuła, że lubi Kair.

Gdy weszła z powrotem na górę, znalazła Iris śpiącą w fotelu. Rozwinęła pled i okryła dokładnie ramiona babci.

Po bitwach o Sidi Rezegh i wycofaniu się Rommla do linii Mersa el-Brega nastąpiła chwilowa przerwa w walkach na pustyni. Wielu oficerów i żołnierzy 8. Armii wróciło na przepustkę do Kairu. Dla mnie i Xana oraz naszych przyjaciół Boże Narodzenie 1941 roku było serią szalonych przyjęć, przeważnie improwizowanych w czyimś mieszkaniu, gdzie tańczyliśmy przy gramofonie i piliśmy wszystko, co nam wpadło w ręce.

Czasem udawało się zapomnieć, że w ogóle toczy się jakaś wojna.

Oficjalnie wprowadzono dni bezzmięsne, nawet w małych restauracjach, gdyż kontrola nieprzyjaciela nad Morzem Śródziemnym oznaczała niemożność dalszego importu mięsa,

a miejscowe dostawy były racjonowane. Zamawialiśmy więc skorupiaki i suflety serowe. Braki zboża powodowały, że biedacy w Kairze napadali na piekarnie, aby ukraść to, czego już nie byli w stanie kupić, a tymczasem rodzice Farii, Koptowie, wydali w swojej willi przyjęcie na dwieście osób z zespołem jazzowym, francuskim szampanem i pięciodaniową kolacją, serwowaną przez służących w rękawiczkach, na stołach ozdobionych girlandami świeżych kwiatów, przywiezionych samolotem z Afryki Południowej. Nadal bawiły mnie te przyjemności, ale miasto było pełne kontrastów, które powiększały się z dnia na dzień. Zaczynałam postrzegać świat i swoje uprzywilejowane w nim miejsce oczami Ruth i Daphne.

Na przyjęciu u swych rodziców Faria powiedziała mi, że jej ojciec i ojciec Alego nalegali, by wreszcie ustalić datę ślubu. Właśnie poprawiałyśmy makijaż przed lustrem toaletki w jej panińskim pokoju.

- Dwudziestego ósmego maja - oznajmiła poważnie, malując usta ciemnoczerwoną szminką. Jej czarne włosy były gładkie i błyszczące jak powleczone szelakiem, a owalna twarz nie wyrażała niczego.

Zerknęłam sponad jej głowy na odbicie mojej własnej, podnieczonej, różowobiałej twarzy.

- Jesteś szczęśliwa? - spytałam.

- Szczęśliwa? Moja kochana, nie mam pojęcia. A powinnam być? Ty byś była?

Na myśl o Alim, tak odmiennym od Xana, wydało mi się, że nie, ale ja nie byłam Farią.

- W każdym razie życie będzie się toczyć dalej, prawda? - Faria wrzuciła szminkę z powrotem do torebki i przekręciła głowę z jednej strony na drugą, żeby diamentowe kolczyki zaśniły, odbijając światło. — A ty i Xan?

- Moja mama chce tutaj przyjechać.

- Ach! Kościół anglikański, ambasador czytający Pismo Święte, pułk gwardii honorowej.

- Tak sędzę.

Faria pochyliła się tuż nade mną i poczułam jej mocne perfumy Shalimar.

- Na twoim miejscu uciekłabym z ukochanym. Nie marnuj ani chwili więcej. - Mrugnęła okiem, wzięła mnie pod rękę i poprowadziła z powrotem na parkiet, gdzie czekał Xan.

Dotknął ustami mego ucha, a po moim kręgosłupie przeszedł dreszcz rozkoszy.

- Jesteś piękna, Iris Black, i kocham cię. Czy zostaniemy całą noc na tym napuszonym przyjęciu, czy wrócimy do domu do łóżka?

- Łóżko - odparłam zwięźle. Nigdy bym nie przypuszczała, ani ja, ani chłopcy, z którymi spotykałam się sporadycznie w Londynie, że jestem w stanie tak uwielbiać seks, jak bywało to z Xanem.

Daphne Erdall, tak jak obiecała, znalazła mi ochotniczą pracę w swoim szpitalu. Nie byłam pielęgniarką, na co naiwnie miałam nadzieję, ale zawsze było to coś. Przez trzy wieczory w tygodniu siedziałam za biurkiem pracownika socjalnego i wypełniałam formularze z danymi poległych Brytyjczyków: imię i nazwisko, numer, ranga, pułk, rodzaj odniesionych ran, data przybycia, lekarz prowadzący, oddział, zawiadomienie najbliższego krewnego. Pisałam na maszynie listy do żon w hrabstwach wokół Londynu oraz matek w środku kraju, Yorkshire i Szkocji, i przekazywałam je do podpisu przez odpowiedniego zwierzchnika. Moją szefową była Christina Tsatsas, dobroduszna Greczynka z delikatnym ciemnym owłosieniem na przedramionach i nad górną wargą. Gdy robiłam sobie krótką przerwę, stawałyśmy na małym betonowym tarasie za oknem i paliłyśmy papierosa, spoglądając na ciemny ogród przyszpitalny.

Chcesz zostać pielęgniarką? - zapytała Christina.

- Tak.

- Musisz się wyszkolić.
- Oczywiście.

Nie mogłam jednak pozwolić sobie na zrezygnowanie z pracy w Kwaterze Głównej, gdybym bowiem zaczęła szkolenie w niepełnym wymiarze, widywałabym się z Xanem jeszcze rzadziej niż teraz.

- Po wojnie - powiedziałam, wyrażając głośno intencję, która dopiero rodziła się w moim umyśle. Wiedziałam, że zdaniem Christiny brakowało mi odpowiedniego poziomu determinacji, żeby kiedykolwiek być dobrą pielęgniarką.

Czasem spotykałam Daphne i choć początkowo trochę się jej bałam, powoli stawałyśmy się przyjaciółkami. Kiedy spotykałam ją na terenie szpitala, przypadkowo lub gdy byłyśmy umówione, czułam, że emanuje z niej jakiś szczególny blask. Zawsze miała mało czasu, ale nigdy nie była tak zajęta, żeby nie porozmawiać z każdym, kto zatrzymał ją na korytarzu, i nie poświęcić mu pełnej skupienia uwagi. Przyjaźniła się ze swym zespołem chirurgów, samych mężczyzn, lecz była to przyjaźń z dystansem, daleka od intymności. Gdy przechodziła obok ludzi, zastanawiali się, kim ona jest, lub tak jak ja, gdy spotkałyśmy się po raz pierwszy, czuli, że jest kimś. Sama Daphne nie była świadoma efektu, jaki wywoływała.

Jeśli zostało jeszcze trochę czasu do rozpoczęcia pracy lub kończyła dyżur, wypijałyśmy razem herbatę w stołówce dla personelu medycznego. Daphne mówiła mi, jakie ma tego dnia operacje, a jeśli jakiś ciężko ranny żołnierz zmarł na stole, jej oczy ciemniały ze smutku i frustracji. Ze dwa razy rozmawiałyśmy o Ruth. Daphne wyrażała się o niej czule, jednak przypuszczałam, że ona może być osobą zbyt niezależną, by manifestować swoje uczucia w sposób tak bezpośredni, jak robiła to Ruth.

Próbowałam zaprosić je obie na któreś z przyjęć, na jakie chodziliśmy w okresie świątecznym, ale one rzadko miały

wolne w tym samym czasie, a gdy to się zdarzało, wolały być razem same.

A potem, dziwna rzecz, pojawiły się na sylwestrowej zabawie u pani Kimmig-Gertsch.

Piękny drewniany hol, gdzie kiedyś graliśmy w karty, udekorowany był sosną wysokości co najmniej czterech metrów. Nie mam pojęcia, skąd ją wzięli. Stojąc z Xanem w kolejce, żeby się przywitać z gospodynią, zabawialiśmy się fantazjowaniem, jak uciążliwą podróż musiała odbyć sosna z górskiego zbocza w Szwajcarii przez okupowaną Europę do któregoś z portów wschodniej części Morza Śródziemnego i przez niemieckie blokady na morzu do doków Aleksandrii.

- A może przytransportowała ją samolotem. Może Sandy zorganizował jej wygodny zrzut przez RAF - spekulował Xan.

Drzewko jarzyło się tuzinami prawdziwych świeczek woskowych, a jego ostry żywiczny zapach wypełniał cały dom. Sama pani Kimmig-Gertsch stała przed nim i ścisnęła dłonie śmietance towarzyskiej Kairu. Ambasador z małżonką wyjechali na świąteczny urlop do Luksoru, ale cała reszta była obecna. W tłumie przybyłych tuż przede mną i Xanem byli sir Guy i lady Gibson Pasza, a nawet krążyły pogłoski, że ma się pojawić sam król.

Pani Kimmig-Gertsch pochyliła ku nam głowę, gdy do niej doszliśmy. Miała na sobie białą suknię wieczorową w stylu greckim, udrapowaną na jej okazałej piersi, oraz krzyż z diamentów i szafirów, jeszcze większy niż na gwieździe Orderu Podwiązki.

- Zaplanowaliście już ślub? - zapytała, patrząc na mój ametyst. Lubiła o wszystkim wiedzieć.

- Jeszcze nie - odparliśmy.

- Nie czekajcie z tym za długo - powiedziała, powtarzając radę Farii. Xan ukłonił się może zbyt teatralnie, a ja skupiłam się na tym, żeby zachować powagę, przynajmniej dopóki jej przenikliwy wzrok nie przeniósł się na ludzi za nami.

Xan ujął mnie pod rękę i wróciliśmy na salę.

- Popatrz na to - szeptał. Otaczały nas futra i klejnoty, blade lub opalone twarze europejskie oraz żółtawe, wyniosłe lewentyńskie, medale i wąsy, pióra i koafiury wymieszane z odświętymi mundurami tuzina armii. - A my jesteśmy w samym środku wojny.

Trudno było uwierzyć.

Sandy Allardyce stał nieco dalej, paląc papierosa w jadeitowej cygarniczce i uważnie obserwując służących, jak krążą z tacami napojów. Miał na sobie nowy wieczorowy strój, o nieco zbyt ozdobnym, nieeuropejskim kroju. Pomachaliśmy do niego z tłumu.

- Jak on się w tym pokaże w swoim klubie w Londynie? - dziwił się Xan.

- Nie sądzę, że będzie taka potrzeba. Jego klub po tym wszystkim wyda mu się nieciekawym.

Wtedy zauważyłam Ruth i Daphne. Przesłony galerii były pootwierane na czas przyjęcia i obie dziewczyny wychylały się zza rzeźbionej barierki, patrząc w dół na głowy gości.

Pokazałam je Xanowi.

- Jestem zaskoczona. Nie wiedziałam, że znają panią Kimmig-Gertsch. Chcesz je poznać?

- Tak, bardzo chętnie.

Znaleźliśmy schody prowadzące w górę na galerię i podszliśmy do nich.

- Ruth, Daphne. Czy mogę wam przedstawić mojego narzeczonego, Xana Molyneux?

Wybuchnęliśmy wesołym śmiechem. Xan odezwał się:

- Wiele słyszałem o was dwóch.

- Podobnie i my - stwierdziła Ruth.

- Chciałbym podziękować za opiekę nad Albiem. Słyszałem od Iris, że była fachowa.

- To moja praca - powiedziała Ruth, ale lekkie zaróżowienie jej bladej cery zdradziło, że jest zadowolona.

Parami, Xan z Daphne i ja z Ruth, powoli obeszlśmy dookoła galerię.

- Skąd ją znacie? - zapytałam, gdy przyglądaliśmy się, jak nasza gospodyni wykonuje dyg przed egipskim królewiczem.

- Nie ja, Daphne. Tu są, jak wiesz, duże pieniądze, a ona przed wojną zajmowała się akcją charytatywną, która przewidywała wielką dotację dla programu medycznego na wsi Daphne. Pieniądze tak naprawdę nigdy się nie pojawiły, ale i tak pozostałyśmy na liście gości. A ty?

Opowiedziałam jej o Sandym.

- W każdym razie to wszystko jest okropnie dekadencie - stwierdziła Ruth swym szorstkim szkockim głosem.

Na dole grupa młodych mężczyzn w wyróżniających się czerwonych spodniach hałaśliwie tańczyła kongę. Byli to żołnierze 11. Pułku Huzarów. Szereg prowadził iluzjonista w kostiumie z baśni arabskich i w turbanie wyszywanym cekinami. Wyciągał jedwabne chustki i bukiety kwiatów zza sukni pań, a zza głowy pani Kimmig-Gertsch wyczarował żywego, białego gołębia. Żołnierze krzyczeli i klaskali, a ptak wyfrunął z ręki magika i usiadł na przepierzeniu galerii kilka kroków od nas.

- Czy Jessie tu jest? - spytałam Xana.

- Oczywiście, że tak. Prawdopodobnie zbiera zapisy na tańce z jego mułem.

Moje nowe przyjaciółki i Xan od razu się polubili. Potrafił on równie szczegółowo co Daphne opowiadać o wojnie, racjonowaniu chleba i trudnym położeniu kańskiej biedoty, ale też dokuczał jej i Ruth, że są takie poważne.

- Jest sylwester. Nie da się dziś zrealizować żadnego systemu nawadniania, prawda? - Z niesionej obok nich tacy podniósł dwa kieliszki i podał im. - Skupmy się na nawadnianiu siebie. Wypijmy za rok tysiąc dziewięćset czterdziesty drugi - zaproponował.

Podchwyciły toast i popatrzyłam na ich jasne twarze pośród kłębiących się gości. Byłam szczęśliwa i podniecona, że jestem razem z ich trójką na przyjęciu. Idąc w ślady Xana, wychyliłam toast i poczułam, jak policzki mnie palą z emocji.

Tańczyliśmy, potem zjadłam trochę homara na zimno oraz torcik kremowy z bufetu w jadalni i znów tańczyłam i piłam. Trzymałam Xana za nadgarstek, a on wodził mną pośród tańczących o znajomych lub trochę znajomych twarzach, które raz się zbliżały, raz oddalały. Później poszliśmy z Xanem i gromadą innych ludzi przez część kuchenną domu na wąski, brukowany podjazd gdzieś na jego tyłach. Było zimno i potykałam się na swych szpilkach, a w talii objął mnie Jessie James. Słynny, wygrany w pokera muł, który stał się nieodłącznym towarzyszem jednego z jego kolegów oficerów, stał cierpliwie przed podwójnymi drzwiami stajni, a jego właściciel pociągał za uzdę.

- Chodź, kochany. Nie bądź taki nieśmiały. Chodź i przywitaj swoich widzów.

Huzarzy wiwatowali. Muł był okryty sobolowym kołnierzem, którego końce zwisały z przodu, a w naczółku uzdy zatknięty miał bukiecik storczyków. Muł podniósł wreszcie jedno kopyto, delikatnie postąpił krok naprzód i przeciął podjazd wiodący do domu. Wszyscy utworzyliśmy za nim nierówną kolumnę.

- Co się tu dzieje? - szepnęłam do Xana.

- Chce razem z nimi powitać Nowy Rok.

Na niskim podium naprzeciwko olbrzymiej świątecznej choinki grała mała grupka muzyków. Sandy Allardyce udzielał im jakichś wskazówek i teraz ich lider wstał, włożył skrzypce pod ramię i ukłonił się z lekka. Hałaśliwa grupka pod przewodnictwem Betty Hopwood odliczała sekundy do północy.

- Dwanaście, jedenaście, dziesięć...

Gdy muł wkroczył przez wysokie drzwi, poraziło go jasne

światło i falujący od emocji tłum. Rozstawił szeroko nogi i, odchylił łeb do tyłu, mając końcami futrzanego kołnierza.

- Pięć, cztery, trzy...

Teraz wszyscy krzyczeli. Lider orkiestry zagrał jeden długi akord na skrzypcach, a mul wydał z siebie straszliwe parsknięcie.

- Dwa, jeden, huraa!

Rozległa się kanonada wyskakujących korków od szampa. Dyrygowana przez Sandy'ego orkiestra zagrała pierwsze takty. Tłumy zakołysały się gwałtownie, ponieważ na wzór huzarów i dyplomatów brytyjskich wszyscy skrzyżowali ręce i wzięli się za ręce z sąsiadami. Ruth i Daphne śpiewały, słyszałam ich głosy przebijające się przez cały ten gwar.

Xan otaczał mnie ramieniem w talii, trzymając mocno.

- *Przepijemy jeszcze za... dawne dobre czasy.*

Mul wyrwał się na swobodę i pognął przez salę, rozpędzając panie w satynach i diamentach oraz powalając krzesła. Właściciel gonił za nim i wreszcie złapał go przy świątecznym drzewku.

- Cholera! - krzyczał. - Nie znasz słów?

- Iris, kochanie, szczęśliwego Nowego Roku! - Xan ze śmiechem ujął w dłonie moją twarz. - Tysiąc dziewięćset czterdziesty drugi będzie naszym rokiem. Sprawimy, że tak będzie.

Mul wycofał się pod drewnianą ścianę, potrząsając w przerażeniu swym biednym łbem, a jego właściciel klepał go po nosie i mruczał coś na pocieszenie do jego owłosionego ucha.

Nagle, nie wiadomo skąd, przeniknęła mnie fala niewypowiedzianego, bezkształtnego, mrożącego strachu. Zatrzęsłam się cała i poczułam nudności, jakbym za chwilę miała wymiotować. Czoło oblał mi zimny pot, a dłonie miałam lepkie.

- Xan. - Był tuż obok, namacalny i swój, czułam na twarzy jego oddech. - Xan, boję się. - Wargi miałam tak lodowate, że trudno mi było mówić.

- Kochanie.

W holu panował zgiełk, wrzawa i ogólne całowanie. Nagle muł podniósł ogon i wypróżnił się na jeden z perskich dywanów pani Kimmig-Gertsch. Rozwścieczony Sandy kazał huzarom wyprowadzić go na dwór. Orkiestra zaczęła grać inny kawałek.

Xan pomógł mi wyjść z zatłoczonej sali. W przedsionku posadził mnie na krzesło z wysokim oparciem, podał szklankę wody i rozmasował mi dłonie. Zęby mi szczękały. Przeczucie czegoś strasznego wciąż się tam unosiło, jak zakradająca się ku nam ciemna trująca chmura.

- W porządku, kochanie, to tylko alkohol. Dużo wypiałś.

- Tak.

Chciałam, żeby tak było. Chciałam być pijana, ale wiedziałam, że nie jestem.

- Taksówka czeka - odezwał się Jessie zza pleców Xana. - Zaprowadzimy ją?

Obaj wzięli mnie za ramiona i wyprowadzili w niebiesko-czarną noc.

Tak zaczął się rok 1942.

12

Gdy zostawiamy za sobą miasto, mrok rzednie.

Na pustyni nigdy nie ma takiego momentu, by można powiedzieć: „teraz świta”. Dzień pojawia się szybko i bez wstępnych efektów. Nagle parterowe wioski z gliny i kanały nawadniające po obu stronach drogi zalewa szare światło, a na jednobarwnym tle pól uprawnych odcinają się czarne sylwetki palm. Mijamy wóz ciągnięty przez bawołu i staruszka na ośle, z przytroczonymi do jego zadu pustymi koszami.

Jedziemy zobaczyć wschód słońca przy piramidach, pa-

miętam to, ale teraz, gdy już jesteśmy na drodze, boję się nadchodzącego dnia i groźnej, płaskiej przestrzeni delty, i tak bliskiej pustyni. Chcę być z powrotem w domu, w znanym mi miejscu. Jeśli pojedziemy dalej, ostre słońce i wiatr na wydmach unicestwią mnie.

Zwracam się do kierowcy:

- Daphne, zatrzymaj się.

Ruby zauważyła małą, zaniedbaną kawiarnię przy drodze, gdzie właściciel wystawiał właśnie blaszane stoliki, a jego żona zamiatała betonowe podłoże miotłą z liści palmowych. Filiżanka kawy może pomóc - pomyślała. Ta wycieczka już zaczynała się okazywać bzdurnym pomysłem.

- Tak, rozumiem. Zatrzymajmy się tutaj, dobrze? - powiedziała do Iris.

Było widno, choć słońce jeszcze nie wzeszło. Kierowca białego minibusu pełnego turystów zatrąbił, gdy tuż przed nim zahamowała, i z rykiem klaksonu popędził dalej. Iris kiwnęła głową z widoczną ulgą.

Usiadły na metalowych krzesłach, odgródzone od szosy zniszczonym stolikiem. Właściciel kawiarni przykrył blat grubą, szorstką serwetą.

- Napiłabym się gorącej kawy - rzekła Iris. Była blada, lecz spokojniejsza.

Ruby poczuła się głodna. Zamówiła pieczywo i jajka oraz talerz owoców, a mężczyzna ziewnął i podrapał się grzbietem ręki w brodę. Było jeszcze bardzo wcześnie.

- Iris? Kto to jest Daphne?

Iris siedziała bez ruchu, wpatrując się w szosę wiodącą z Kairu. Z początku Ruby wydało się, że Iris nie usłyszała pytania. Postawiono przed nimi cynowy dzbanek z kawą i dwie grube, białe filiżanki, a potem miskę z pokrojonym szarawym pieczywem. Ruby nalała kawy i przesunęła jedną filiżankę w pobliże złożonych na stole rąk Iris.

- Daphne Erdall - powiedziała Iris wyraźnie.
- Mów dalej.

Tym razem nie było odpowiedzi, ale Ruby już znała metodę postępowania, gdy Iris odpłynęła w jedno z miejsc, które zawieruszyły się w jej pamięci.

Trzeba było zadawać jej pytanie po pytaniu, a otrzymywane w zamian niespójne odpowiedzi nie zawsze, ale czasem łączyły się w jedną całość lub nawet tworzyły spore kawałki zrozumiałej opowieści.

Zaledwie dwa dni temu, gdy Ruby za namową doktora Nicolasa Grosseteste'a wyprowadziła Iris na wolny spacer w słońcu, widok muła na ulicy z małym chłopcem cierpliwie przytrzymującym mu worek z karmą spowodował, że zatrzymała się i zaśmiała cicho, a potem dostała zadyszki i kaszlu. Nie chciała powiedzieć, co ją tak rozbawiło i zdenerwowało, tylko mocniej ścisnęła rękę Ruby, gdy zbliżały się powolutku do końca ulicy.

Jednak później, gdy znalazły się z powrotem w domu, Iris nagle opowiedziała jej historię o mule przyprawionym do tego holu, bo jego właściciel chciał, żeby zwierzę zaśpiewało słynne *Auld lang syne* na przyjęciu sylwestrowym, a ono odpłaciło się zadarciem ogona i załatwieniem swej potrzeby na perskim dywanie.

- Czy wtedy tutaj mieszkałaś? - spytała zaskoczona Ruby.

- O, nie. Zaczynał się rok tysiąc dziewięćset czterdziesty drugi. Dom w tym czasie był własnością Gerti Kimmig-Gertsch.

- Więc go od niej kupiłaś?

Iris uśmiechnęła się tylko, zadzierając do góry nos w sposób niemal zalotny.

- Oczywiście, że nie. Jakżeby mogła? To było o wiele bardziej interesujące.

- Cała zamieniam się w słuch - rzekła Ruby, lecz Iris za-

częła się skarżyć, że jest zmęczona i czy Ruby mogłaby przysłać do niej na górę Ciocię.

Później Mamduh powiedział:

- Myślę, że Mamris bardzo zmęczona. To niedobrze wychodzić na spacer w popołudniowym słońcu.

Ruby spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie było wcale tak gorąco. - I miała rację. Pod koniec listopada słońce wyglądało jak biały krążek przeświecający przez warstwę chmur. Gdy niebo było czyste, do połowy dnia upał powoli rósł, a potem, gdy słońce schodziło niżej, szybko się ochładzało.

- Panienska jest młoda kobieta, silna.

- Doktor powiedział, że dla Mamris wychodzenie z domu jest dobre. Zrobimy jeszcze więcej wycieczek. Teraz gdy mamy już sprawny samochód.

Mamduh zmarszczył czoło. Brodawki i pieprzyki zbliżyły się do siebie, jakby szukając swego towarzystwa.

- Sądzę, że to niedobry pomysł.

Okej - powiedziała sobie Ruby w duchu. Nie przyjdę pytać cię o pozwolenie.

A wczoraj po południu Iris nagle wymyśliła, że powinny pojechać o świcie do piramid.

- Muzeum i piramidy. To podstawa dla każdego odwiedzającego Kair. Co by powiedziała twoja mama, gdybym cię tam nie zabrała?

Ruby wzruszyła ramionami i przypomniała, że już tam była z Aszem, a w Gizie roiło się od turystów, naganiaczy i taksówek, lecz Iris przerwała jej niecierpliwym ruchem ręki. Wstaną bardzo wcześnie i pojedą obejrzeć wschód słońca. Powtarzała to na okrągło, aż w końcu Ruby odparła:

- Jak chcesz. - Gdy Iris miała w głowie jakiś plan, nic nie mogło jej od niego odwieść.

Wieczorem, na spacerze z Aszem, powiedziała mu o tym zamiarze wycieczki świtem.

- Nie ma różnicy, wcześniej czy późno. Zawsze dużo ludzi.
- Taak. Ale, wiesz, moja babcia myśli, że jest tak samo jak sześćdziesiąt lat temu. Mieszają jej się.

- Bądź ostrożna, Ruby. Pojechałbym z wami, ale muszę iść do pracy.

Asz miał nocny dyżur w centrali telefonicznej szpitala. Wracał do domu o 9.00 rano i spał dwie lub trzy godziny.

- W porządku. Co się może stać?

- Jeśli to tylko jazda do Gizy, chyba nic. Weźmiecie tak-sówkę z Kairu?

- Pojadę garbusem, skoro Nafiz nam go wyszykował.

- Myślę, że to nie jest dobry pomysł.

Ruby zaśmiała się.

- Gdzie ja to już słyszałam? Lepiej, żebym ja sama prowadziła, niż pozwoliła to robić babci, uwierz mi.

- No dobrze, ale tylko do Gizy.

Ruby wstała po ciemku i boso poszła zapukać do drzwi sypialni Iris.

Iris już nie spała. Stała na środku pokoju w halce. Spojrzała na Ruby z niepewnością w oczach.

- Nie wiem, co na siebie włożyć. Jak myślisz?

- Włóż sukienkę i ciepły kardigan. I te płaskie skórzane sandały. Tutaj są.

Ruby znalazła buty i Iris usiadła ciężko na łóżku, a potem Ruby uniosła najpierw jedną, następnie drugą jej stopę. Przez łuszczącą się skórę prześwitywały zawężlone niebieskie żyły i zgrubienia ścięgien. Ruby ostrożnie ujmowała każdą piętę, zanim wsunęła na nią sandał. Poczowała ucisk w gardle na widok paznokci babci, które wymagały obcięcia, i zamrugowała oczami, by lepiej widzieć. Postanowiła, że później ją spyta, czy ona może jej to zrobić.

- Dobrze. Weź kapelusz i okulary słoneczne.

- Dziękuję - powiedziała Iris ostro. Gdy nie potrzebo-

wała żadnej pomocy, nie znosiła, gdy ktoś ją proponował. - Może już zejdiesz i przygotujesz samochód, a ja sama wyjdę przed dom?

- W porządku. To widzimy się za pięć minut.

Ruby zeszła na dół ciemnym korytarzem. Było wcześniej, ale z niepokojem zauważyła, że w kuchni już się pali światło. Planowała, że wynikną się z Iris z domu, zanim przeszkodzi im Mamduh. Na szczęście była to tylko Ciocia, stawiająca rondel z wodą na starej kuchni. Krzesło Mamduha było puste. Ruby pomyślała, że pewnie pośpi jeszcze z godzinę.

Ciocia postawiła rondel i pospieszyła przez kuchnię do Ruby. Złapała ją za rękę i patrzyła w twarz, zadając szybko jakieś pytania. Ruby wychwyciła z tego *szaj* i *ajsz* - herbata i chleb. Ciocia pytała, czy chcą śniadanie.

- Nie kłopotz się, Ciociu, dziękujemy. Jedziemy tylko na przejażdżkę. Zobaczyć wschód słońca, no wiesz. Niedługo wrócimy.

Nastąpiła kolejna erupcja słów arabskich, wśród których słyszała znajomo brzmiące nazwy jedzenia.

- Wezmę tylko trochę owoców, dobrze? - Ruby wzięła dwa granaty i kilka pomarańczy. Włożyła je do plecionej ze słomy siatki, którą zdjęła z haczyka. Ciocia rozpromieniła się i dodała paczkę suszonych moreli, z zapalem coś przy tym gaworząc.

- *Szukran**, Ciociu. Och, jak dużo! Do zobaczenia. - Wolną ręką pomachała jej szybko i wysliznęła się drzwiami na podjazd za domem.

- *In sza Allah*.

- *In sza Allah*. - Ruby powtórzyła wesoło na odchodnym i zamknęła za sobą drzwi do kuchni.

Na mocno zalatującym podjeździe było ciemno jak w grobie. Ruby szła ostrożnie, starając się nie wsłuchiwać w sze-

* Dziękuję {*arab*}.

lest śmieci w kanale ściekowym na samym środku. Znalazła po omacku wielką, zimną kłódkę i włożyła klucz. Gdy weszła do samochodu, wrzuciła siatkę na tylne siedzenie. Garbus zapalił od razu i światła rzuciły miłe, żółte smugi w otaczającą ciemność. Gdzieś na samym ich skraju, przez moment, zaślniło kilka par oczu.

Ruby objechała dom, do miejsca gdzie dalej już było za wąsko dla samochodów.

Iris czekała na nią.

- Nie spieszyłaś się - zauważyła, usadawiając się na miejscu obok kierowcy.

- Ciocia już wstała. - Ruszyły w kierunku rzeki i drogi na Gizę.

Teraz siedziały w przydrożnej kawiarni, obserwując, jak narasta poranny ruch na szosie. Iris wypijała kawę i jeszcze trochę wody, po czym wytarła usta złożoną chusteczką, podczas gdy Ruby zajadała się chlebem i jajkami na twardo z siekaną cebulą.

- Zjedz coś. - Przysunęła do niej miskę z chlebem, lecz Iris to zignorowała. - Albo opowiedz mi o Daphne Erdall.

Niespodziewanie zaczęła mówić.

- Była lekarką. Bardzo dobrą lekarką, anesteziologiem chirurgicznym tu w Kairze, a jej przyjaciółka, Ruth Macnamara, była pielęgniarką. Wtedy byłam bardzo młoda i głupia i od nich dwóch wiele się nauczyłam. To przykład Daphne sprawił, że zdecydowałam się studiować medycynę, gdy wojna się skończy. Twego ojca poślubiłam, gdy kończyłam już praktykę kliniczną u Świętego Bartłomieja.

- Chcesz powiedzieć: mojego dziadka.

Iris rzuciła jej gniewne spojrzenie. Jej wargi były blade i ściągnięte w cienką linię, co podkreślały jeszcze promienie zmarszczek.

- Nie mów mi, co chcę powiedzieć. Tak, twojego dziadka.

Ruby pomyślała o żołnierzu na fotografii w ramkach przy łóżku Iris, jedynej fotografii w całym domu; ten żołnierz zdecydowanie nie był dziadkiem Gordonem. Przypomniawszy sobie imię i nazwisko wymienione już przez Iris, zapytała:

- Co się stało z kapitanem Mołyneux?

Iris zastanowiła się przez chwilę, zanim udzieliła odpowiedzi. Potem odchrząknęła i powiedziała krótko i precyzyjnie:

- Poległ na pustyni. W maju tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku.

W ciszy, która nastąpiła, Ruby dokonała obliczenia. Sześćdziesiąt trzy lata temu to już odległa historia.

- To smutne - powiedziała.

- Tak, smutne.

Iris siedziała ze złożonymi rękami, patrzyła na wprost przed siebie na coś, czego Ruby nie widziała. W jej absolutnym bezruchu było coś wyćwiczonego i nieprzeniknionego.

Zastanawiając się, co ma teraz powiedzieć, Ruby spostrzegła, że świat zaczyna nabierać kolorów. Ściany budy kawiarnianej zrobiły się żółte jak słońce, a pola uprawne po drugiej stronie szosy zabarwiły się bladą, rozwodnioną zielenią. Gdzieś z tyłu za nimi, za Kanałem Sueskim, wstało słońce.

Okazja, żeby coś powiedzieć, w ogóle odezwać się, chyba minęła. Ruby poruszyła się na blaszanym krześle, wzbijając mały obłok szarego pyłu. Wyciągnęła rękę i przykryła złożone dłonie Iris.

- Chcesz jeszcze kawy? Czy pojedziemy dalej?

Nie uzyskawszy żadnej odpowiedzi, zawołała mrukliwego właściciela i poprosiła o rachunek. Potem weszła za nim do obskurnego wnętrza i wzięła jeszcze dwie litrowe butelki wody z szafy chłodniczej. Odliczając stare, zniszczone banknoty funtowe, zapłaciła za wszystko razem. Gdy znalazła się znów na zewnątrz, wzięła Iris za rękę i zaprowadziła z po-

wrotem do samochodu. Pojechały dalej do Gizy, teraz już w nieprzerwanie sunącym sznurze taksówek i autobusów, wymijających z rykiem klaksonów powolne stada brązowych i białych owiec oraz stąpających ciężko bawołów. Było już o wiele za późno, by zobaczyć wschód słońca przy piramidach, lecz jechały dalej ku ciemnobrązowej plątaninie drutów kolczastych, dróg objazdowych i parkingów otaczających kompleks Gizy.

Wtem Ruby spojrzała na Iris i zobaczyła, że ta znowu płacze.

Łzy spływały jej po policzkach i po nosie, staczały się rowkami wokół ust.

Ruby ponownie zjechała na pobocze drogi, wywołując tym serię klaksonów. Ze złością wystawiła przez okno rękę ze zwiniętą pięścią, a potem objęła babcię i niezdarnie próbowała ją do siebie przyciągnąć, lecz przeszkadzał w tym hamulec ręczny i drążek sprzęgła.

- Iris, przestań. Proszę, przestań. Nie wiem, co robić, kiedy tak płaczesz.

Iris wydawała się zbyt mała, krucha i delikatna, by udźwignąć taki smutek. Ruby nie mogła zrobić nic innego jak tylko trzymać ją tak ponad wystającymi urządzeniami auta i czekać, aż łzy przestaną lecieć. Gładziła jej rzadkie włosy i mruzczała słowa bez sensu, które miały ją pocieszać, a jednocześnie myślała o Jasie. Często go wspominała, ale nie płakała po nim prawie nigdy.

Wreszcie łkania Iris ustały. Ruby ujęła ją za ramiona i popatrzyła w oczy. Iris zadarła do góry brodę i przycisnęła dłoń do twarzy.

- To bezsensowne. - Pociągnęła nosem. - Daj mi chusteczkę, dobrze?

Ruby nigdy nie trzymała chusteczek ani w rękawie, ani w kieszeni, tak jak babcia, ale po chwili poszukiwań znalazła jej własną i podała do ręki. Podczas gdy Iris wycierała oczy

i wydmuchiwała nos, Ruby patrzyła przed siebie przez szybę samochodu.

Wciąż myśląc o Jasie, zapytała:

- Czy płakałaś dlatego, że kapitan Molyneux nie żyje?

- Po sześćdziesięciu latach? Nie, nie sędzę. Już dość się napłakałam nad jego tak wcześnie przerwany i nad swoim, na tak długo niemal wszystkiego pozbawionym. To objaw słabości, ale myślę, że teraz płaczę z powodu ogólnego poczucia przegranej. Może to żal nad ludzkim losem.

- To brzmi trochę... jak to się mówi? Pompatycznie, tak?

- Naprawdę?

Ruby z ulgą przyjęła śmiech Iris.

- Tak, pewnie masz rację. Z drugiej strony jednak, gdziekolwiek się spojrzy, tyle jest cierpienia i głupoty, a my jesteśmy wobec tego tak bezradni, że pozostaje nam tylko żal. Ale ty, Ruby, jesteś młoda, niepokonana i dla ciebie wszystko ma podwójny ładunek świeżości i nieskończonego potencjału. Mnie nawet każda nowość już mało cieszy, a moje możliwości są raczej ograniczone szybkością tracenia sił.

Ruby zastanowiła się.

- No, ale ja przyjechałam, tak? To była nowość, a powiedziałaś, że się z tego cieszysz.

- Tak, Ruby, tak było i tak jest.

- Dzięki. Doktor Nicolas powiedział mi, że jego zdaniem ty możesz być w lekkiej depresji.

- Tak, on ma taką teorię.

- Nie wierzysz mu?

Iris westchnęła.

- Moje życie było długie i spędziłam je pożytecznie. Cieszyła mnie moja praca, bardzo, przez wiele lat. Mam dom i ludzi, którzy się mną opiekują, i gdybym chciała, miałabym więcej towarzystwa. Boję się utracić to, co zawsze najbardziej ceniłam...

- Filiżankę na półce?

Iris wyglądała na zaskoczoną.

- Mówiłam ci o tym?

- Tak.

- Zapomniałam. Widzisz? Tak, chodzi o to, a także o poczucie, że w samym centrum mego życia jest wyrwa. Utrzymuje się tam już bardzo długo. Ale nie wiem, czy takie różne lęki i niepokoje to już depresja. Według mnie to pojęcie, do którego można wszystko wpasować. Nowoczesne podejście medycyny, wiesz.

Ruby nacisnęła dłońmi kierownicę i wygięła plecy w łuk. Wciąż patrzyła na szosę.

- A ta wyrwa w centrum? Tak naprawdę to nie chodzi o kapitana Molyneux, prawda? Czy mam rację, domyślając się, że to chodzi o mamę?

Nastąpiła długa cisza.

- Lesley.

- Tak. Twoja córka, moja mama.

Ruby pomyślała, że babcia już nic więcej nie powie. ; Lecz Iris pokiwała głową, bardzo powoli, jakby ją bolała.

- Może. - Wzięła głęboki oddech, znów uniosła brodę i powiodła dość gniewnym spojrzeniem po ruchliwej szosie. - To dokąd jedziemy?

Jeśli nie chciała mówić, Ruby nie mogła jej zmusić.

- Przypuszczalnie do cholernych piramid. Czy jeszcze chcesz tam jechać?

- Ja... chciałabym się ot tak przejechać. Trochę po pustyni. Możemy tak zrobić zamiast piramid?

- Oczywiście, że możemy.

Włączyły się do kolumny pojazdów, ale zamiast razem z nimi podążyć ku magnetycznym trzem trójkątom, majaczącym na białawym niebie po południowej stronie, odbiły od nich i jechały dalej na zachód, pozostawiając z tyłu za sobą coraz wyżej świecące na niebie słońce. Dawno już skończyła się jasnozielona wstęga nawadnianych pól wzdłuż brzegu

Nilu. Obok drogi ciągnęły się już tylko niskie piaszczyste wydmy, które lśniły w promieniach słońca, a ich półokrągłe zagłębienia kryły się w szarobrazowych plamach cienia.

Ruby kilka razy skręciła na chybił trafił, rozmyślnie chcąc pozostawić za sobą resztki ruchu na drodze. Kair i przedmieścia były tak zatłoczone, że z przyjemnością odpoczywała od klaksonów i zgrzytu hamulców i zagłębiała się w pustą przestrzeń. Droga zwęziła się i skręciła na południe, a miejscami zasypana była cienką warstwą nawianego przez wiatr piasku.

- Gdzieś tutaj jest mała oaza - powiedziała Iris. - Z widokiem na piramidy, jakiego nie ma z żadnego innego miejsca. - Odwróciła się do tyłu, próbując ją wypatrzeć.

Ruby oglądała garby wydm. Przypominały budowle, były tak idealnie gładkie; bardziej jak wyrzeźbione niż naturalne. Pustka i monotonia przesuwającego się powoli pejzażu działała hipnotycznie. Z rzadka na dalekiej drodze przecinającej wydmy pojawiał się jakiś pojazd. Na tle jasnobrunatnego morza piasku wyglądał jak biegnący w panice owad.

- Chcesz zawrócić i ją znaleźć? - zapytała Ruby.

- Byłam tam tylko raz.

Garbus mruczał jednostajnie, opony śmigały po cienkiej warstwie piasku na asfalcie. Ruby i Iris zapadły w relaksujące milczenie, kontemplując wzrokiem, jak bez końca wznosi się i opada pusty krajobraz.

Przez pierwsze trzy miesiące 1942 roku pracowałam w biurze Roddy'ego Boya w Kwaterze Głównej, a każdy wolny czas spędzałam w Szpitalu Królowej Marii. Patrzyłam, jak służby medyczne dzielnie radzą sobie z ciągłym napływem rannych przywożonych z frontu, po tym jak Rommel ponownie zdobył Bengazi i ruszył na wschód. Systematycznie wzrastał mój podziw dla Daphne i innych jej współpracowników. W czasie naszych spotkań po pracy zaczęłam wypytywać ją i Ruth o szczegóły pracy lekarzy i pielęgniarek.

Ruth przekomarzała się ze mną:

- Czy to szkoła medyczna? Po co chcesz wiedzieć dokładnie to wszystko o podstawowych środkach ostrożności, antyseptyce i nastawianiu kości?

- Bo to ciekawe.

Daphne potwierdzała z typowym dla niej ożywieniem.

- Medycyna urazowa jest najciekawsza ze wszystkich.

Zostałyśmy przyjaciółkami, ale choć poznawałam je coraz lepiej, nadal w ich towarzystwie czułam się wyobcowana. Daphne pochłaniała całkowicie pracę, a Ruth była zaabsorbowana Daphne. Ja plątałam się przy nich. Dlatego nie zwracałam się im co do swoich planów na przyszłość, natomiast rozmawiałam o nich z Xanem.

- Po wojnie, gdy się pobierzemy i wrócimy do Anglii...

- Tak, kochanie. Ja wykupię się z armii i znajdę pracę. Jak myślisz, co mógłbym robić? Makler giełdowy? Melonik, golf, Surrey i takie rzeczy?

- O tak, już to widzę.

- Nie? No to może farmer? Kilka ślicznych różowych świnek do utoczenia. Chciałabyś być żoną farmera? Albo... wiem, agent ubezpieczeniowy. Jestem pewien, że umiałbym namówić ludzi na kupno mnóstwa wspaniałych polis. Zresztą nie ma znaczenia, co będę robił, bo będziemy mieli siebie.

- A co ja będę robiła?

- Będiesz miała dzieci. Cały tuzin.

- No dobrze, ale to jeszcze nie wszystko. Chcę się kształcić na lekarza.

- Chcesz? - Rozłożył ręce, przyciągnął mnie mocno do siebie i pogłaskał kciukami kąciki moich ust. - Moja mądra, ambitna przyszła żona. W takim razie w ogóle nie będę musiał pracować.

- Xanie, bądź poważny.

Jego oczy straciły nieco wesołości.

- Ja nie chcę być poważny.

Powinłam była wtedy ugryźć się w język. Od Nowego Roku widziałam się z nim bardzo rzadko, a gdy pojawiał się w Kairze z Hasanem lub czasami przylatywał z pułkownikiem Wainwrightem samolotem WACO, był brudny i zmęczony. Kategorycznie zbywał wszelkie moje pytania na temat, co robił lub w jakim stopniu było to trudne i niebezpieczne. Jeszcze bardziej niż na początku, gdy tylko go poznałam, będąc z dala od pustyni, Xan chciał śmiać się, kochać i zapomnieć o wszystkim.

Trzymaliśmy się mocno w objęciach. Po chwili rzekł:

- Przepraszam. Ciężko mi i robi się coraz trudniejsze takie krażenie między... wojną a przebywaniem z tobą. To jak chodzenie po linie między piekłem a niebem.

- Mogę to sobie tylko wyobrażać.

- Nie rób tego. Nie chcę, żebyś nawet zaczynała sobie wyobrażać. Iris, jeśli po wojnie chcesz studiować medycynę, to oczywiście będziesz. To stanie się dla nas najważniejsze.

- Dobrze. - Uśmiechnęłam się do niego. - Lubię chodzić swoimi drogami, od samego początku.

- A więc to jest ustalone. Co nowego w Kwaterze?

- W Kwaterze to samo co zawsze.

- Niestety.

Informacje wywiadu zebrane przez dział Roddy'ego Boya wykorzystano już kiedyś do zapewnienia przywódców polowych, że wróg nie otrzymał posiłków w ludziach i broni, a potem okazało się, że jest zupełnie odwrotnie. Dobrze wiedziała, że w poprzednim roku patrol Xana wpadł na oddział czołgów pancernych, których teoretycznie nie powinno być nigdzie w okolicy. Zginęli wtedy kapitan Burke, szeregowiec Ridley i inni, a Albie Noake stracił pół twarzy. Teraz, gdy Rommel znów przypuścił atak, 1. Dywizja Pancerna została zdruzgotana przez oddziały zbrojne wzmocnione, jak się okazało, czołgami przytransportowanymi do Trypolisu przez niemiecki konwój morski. Chociaż ludzie na tym terenie widzie-

li to uzbrojenie na własne oczy, Kwatera Główna nie chciała uwierzyć w to, czego nie mógł potwierdzić nasz wywiad.

- My wiemy tylko to, co wiemy cholernie dobrze. - Podśluchałam, jak Roddy protestował ze złością.

Teraz usłyszałam od Xana, że jest nowa sprawa. Jego Tellforce i niektóre z innych oddziałów komandosów odkryły, że nieprzyjaciel wyrobił sobie niesamowitą umiejętność przewidywania, gdzie i kiedy miały się odbywać ich wypadki. Komandosi zrzucają na spadochronach na tajne cele lub zawożenia tam przez patrole Tellforce, jadące na swe trudne misje sabotażowe, za każdym razem zastawali tam siły lądowe lub powietrzne wroga ewidentnie na nich zaczajone.

- Co to oznacza? - zapytałam, choć znałam odpowiedź.

- Przeciek bezpieczeństwa.

- Z Kwatery Głównej? To oczywiście niemożliwe?

Oficerowie w polu zwyczajowo narzekali, że za dużo jest wyższych urzędników, którzy się tylko próżniaczą i nie mają nic do roboty, lecz nie potrafiłam wyobrazić sobie, by Roddy Boy lub inny jemu podobny urzędnik dopuścił się zaniedbania bezpieczeństwa nawet niechcący.

- Może nie. Ale któż mógłby to wiedzieć na pewno? A może to Amerykanie? To się zaczęło zdarzać dopiero, gdy oni dołączyli.

- Ale jak?

Xan westchnął.

- Gdybym wiedział, byłoby o wiele prościej, prawda? Jestem tylko dowódcą patrolu pracującym w pustyni i robię, co mi każą, ale wydaje mi się, że to coś więcej niż nieszczęśliwy przypadek.

Siedzieliśmy razem na kocu rozłożonym pod drzewem mimozy w klubie. Przyciągnęłam do siebie kolana i objęłam je rękami; poczułam, jakbym zgarniała falę ciężkiego, intensywnego zapachu kwiatów mimozy w otaczającym nas gorącym powietrzu,

- Może to Sandy Allardyce.
- Sprzedaje tajemnice wojskowe, będąc w objęciach pani K.-G.?

Roześmialiśmy się oboje trochę na siłę, ale był to śmiech szyderczy, pełen obaw.

- Nie, to nie oni - zaprzeczył Xan.

Trzymałam go za rękę, a on powoli pocierał kciukiem ametyst na moim serdecznym palcu.

- Będziesz ostrożny, tak? - Mówiąc te słowa, poczułam się słaba i bezradna, ale nie mogłam się od nich powstrzymać.

- Tak - obiecał Xan, bo nic innego powiedzieć nie mógł. Słysząc było leniwe kłaskanie piłeczek tenisowych i głosy liczące punkty: „zero-czterdzieści”. Popołudniowy upał wisiał ciężko nad Kairem wszelkimi warstwami zapachów miasta, a czas był jednym wielkim wyczekiwaniem: sekunda po sekundzie, minuta po minucie, a każda z nich ostra jak kryształ, twarda jak skała. Wojna trwała na morzu i w powietrzu, ale na pustyni, gdzie wiosna na krótko ozdobiła doliny pstrokatymi kwiatami, nastąpiła długa przerwa w walce. Oddziały nieprzyjacielskie i nasze umocniły się po obu stronach linii Gazala. Lecz ten antrakt nie mógł już trwać zbyt długo. Rommel przygotowywał się. Generał Auchinleck, jak głosiły plotki na koktajlach, miał wielkie nadzieje, a spodziewał się najgorszego.

Nikt z nas właściwie nic nie wiedział. Tak jak naczelnny dowódca na Bliskim Wschodzie, nikt nie mógł zrobić nic, tylko mieć wielkie nadzieje.

Ramiona Xana otoczyły mnie i położyliśmy się obok siebie na kocu. Potem usiadł, zasłaniając mi swoją twarzą niebo i pierzaste liście mimozy. Był dzielniejszy niż ja, lepiej sobie radził z nazbyt powolnym upływem czasu i lękiem. No, ale przecież, gdy nadejdzie czas, to on ze swoimi ludźmi i Hasanem będzie robić to, do czego był szkolony, podczas gdy ja

mogłam tylko czekać i wyobrażać sobie wszystko. Bardzo często podczas tej dusznej i bezlitosnej afrykańskiej wiosny i na początku lata żałowałam, że nie jestem mężczyzną. Wolałabym robić coś innego niż pisać na maszynie, wypełniać druki i odbierać telefony. Coraz więcej myślałam o Daphne i o medycynie.

- Nie martw się za bardzo - powiedział łagodnie Xan. Uśmiechał się.

- Nie martwić się? O co?

Pocałował mnie i ze śmiechem przeturlaliśmy się po kocu. Śmialiśmy się bez końca.

Kilka dni później, gdy Xan znów odleciał z pułkownikiem Wainwrightem, obudziłam się z mdłym, metalicznym smakiem w ustach. Gdy tylko usiadłam, poczułam nudności i zastygłam na chwilę na krawędzi łóżka, dotykając stopami chłodnych kafelków podłogi, zanim zdecydowałam się wstać i ubrać. Sarah siedziała przy stole w jadalnym nad filiżanką kawy i z czasopismem. Zapach kawy natychmiast pogorszył mój stan.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

Skrzywiłam się. W Kairze było coraz mniej żywności i ryby w restauracjach nie zawsze były całkiem świeże. Poprzedniego wieczoru jadłam skorupiaki. Szybko wyszłam z pokoju.

Po zwymiotowaniu czułam się lepiej. Siedząc przy stole z Sarah, wypiliśmy trochę słabej herbaty i bez przekonania zjadłam kawałek grzanki. Rozmawiałyśmy o tym, co zrobimy, gdy Faria wyjdzie za mąż. Ona zamieszka z Alim w pałacowym apartamencie w pobliżu klubu Gezira, a jej rodzice będą chcieli odzyskać nasze mieszkanie. Obie z Sarah zgodziłyśmy się, że musimy razem znaleźć coś mniejszego i tańszego, a ja zastanawiałam się, czy Daphne i Ruth nie będą wiedziały o czymś w okolicy ich mieszkania przy drodze do Heliopolis.

Zjawiała się ziewająca Faria w białym jedwabnym szlafroku, powiewającym za nią. Wyglądała na rozdrażnioną i, co się raczej nie zdarzało, na jej czole lśniły kropelki potu. Z nachmurzoną miną podniosła dzbanek z kawą.

- Nic nie zostało. Wypiłyście co do kropli?

Popatrzyłyśmy na siebie z Sarah.

- Pójdę poprosić Mamduha, żeby zrobił świeżą - powiedziała spokojnie Sarah.

Faria opadła na krzesło.

- Co dziś robisz? - zapytałam.

- Przymiarki. Wieczne przymiarki. I sporządzanie list z mamą. Ja tylko wychodzę za męża. Dlaczego muszę się czuć jak jakieś wyróżnione zwierzę? Z markową wstążeczką związaną na szyi prowadzone na rzeź?

- Czy to naprawdę tak się odczuwa? - zapytałam.

Faria niecierpliwie wzruszyła ramionami.

- Poczekajmy, aż przyjdzie twoja kolej, i sama zobaczysz.

Nudności nie opuszczały mnie następnego dnia, a po tygodniu zaczęłam akceptować myśl, że może być inne wytłumaczenie tego stanu niż łagodne zatrucie skorupiakami.

Zdradziłam swoje podejrzenia Ruth i Daphne.

Ruth uniosła figlarnie jedną brew, a Daphne stwierdziła:

- Nie jestem ginekologiem, ale wygląda mi to na ciążę. Nie zabezpieczałaś się niczym?

- Nie zawsze - odparłam trochę na wyrost, biorąc pod uwagę tempo, w jakim się to niekiedy odbywało.

- No i teraz masz. Mogę ci załatwić test w szpitalu.

- Co chcesz zrobić? - spytała Ruth.

Zanim sformułowałam odpowiedź, wiedziałam bez cienia wątpliwości, co chcę zrobić. Chcę mieć dziecko Xana. Jego syna.

- Xan powiedział, że chce mieć tuzin dzieci. Oczywiście urodzę to dziecko.

Twarz rozjaśniła mi się w uśmiechu i poczułam się cała lekka, a głowa sama uniosła mi się bardziej ku niebu. Nieopuszczające mnie mdłości odczułam jako coś pozytywnie skupionego w moim wnętrzu, zaczynałam lubić ten dziwny ucisk pod żebrami.

- Ach! Zatem nie ma problemu, tak? - Daphne pochyliła głowę ku mnie i przycisnęła swoją dłoń do mojej. Była uradowana, a jednocześnie troszkę smutna, natomiast Ruth od razu wstała, położyła ręce na jej ramionach i tak trzymała ją mocno.

Ja z radości zaczęłam paplać i szczerzyć się do nich.

- Żadnego. Trochę to za wcześnie i oznacza, że moja mama prawdopodobnie nie będzie miała wielkiego wesela, o którym marzy, ale Xan na pewno się z tego ucieszy, tak mi się wydaje, a ja też nie chcę się czuć niczym zwierzę ofiarne, tak jak Faria. Po prostu weźmiemy ślub, w asyście naszych przyjaciół, i chcę, żebyście obie były chrzestnymi. Będziecie?

Daphne i Ruth popatrzyły na siebie, ale nie mogłam nic wyczytać z ich oczu.

W końcu Ruth odpowiedziała za nie obie.

- Tak. Będziemy z tego dumne, jeśli oboje z Xanem będziecie tego chcieli.

- Myślę, że powinnaś odwiedzić moją koleżankę Esther Reisen - oświadczyła Daphne. - Jest ginekologiem. Może lepiej upewnić się, że test jest pozytywny, zanim wyznaczysz chrzestnych rodziców, jak ci się wydaje?

- Tak zrobię. A potem powiem Xanowi, jak już będę pewna.

Kilka dni później miałam potwierdzenie od doktor Reisen. Byłam w ciąży.

Nie miałam pojęcia, jak zawiadomić Xana. Dawniej po prostu czekałam, aż się sam zmaterializuje. Tym razem pojechałam do mieszkania na Az-Zamaliku, udając, że tak sobie

przyjechałam z wizytą, czym zaskoczyłam dwóch oficerów, którzy o ósmej wieczorem już smacznie spali i wyglądali na bardzo zmęczonych. Nic nie wiedzieli na temat aktualnego miejsca pobytu Xana.

- Zjawi się za kilka dni, zawsze się zjawia - zapewnił jeden z nich. - Napijesz się czegoś?

Roddy Boy nie odpowiedział na moje zdawkowe pytania o bieżące ruchy różnych patroli Tellforce.

- Nie mogę z panią o tym rozmawiać, panno Black, wie pani bardzo dobrze. Tak jak wszystkie inne matki, żony i narzeczone żołnierzy musi pani po prostu czekać na to, co się wydarzy. - Zacisnął swe wydatne usta i wyglądał trochę jak osaczony.

W dokumentach obiegowych wywiadu, przynajmniej tych, do których miałam dostęp, też nie znalazłam żadnej wskazówki. W końcu napisałam krótką wiadomość, w której możliwie ogólnie i bez emocji poprosiłam Xana o skontaktowanie się ze mną, jak tylko będzie mógł. Zakleiłam kopertę i zaadresowałam do kapitana A.N. Molyneux. Z Kwatery Głównej poszłam na piechotę do obdrapanej ulicy wiodącej z wyspy Roda. Znalazłam budynek, przy którym czekał Hasan, gdy wracaliśmy z Xanem po wybraniu mojego ametystu. Podeszłam i zapukałam do drzwi. Otworzył elegancki podoficer Hindus.

- Słucham panią?
- Mam wiadomość do doręczenia.
- Proszę?
- Mam wiadomość. Dla oficera Tellforce.
- Co to jest ten Tellforce?

Szybko przebiegłam wzrokiem po obu stronach wyludnionej ulicy, po czym błyskawicznie wyminęłam podoficera i weszłam do budynku. Panowała w nim cisza, a wewnątrz było tak samo nijako jak na zewnątrz. Wyjęłam kopertę i pokazałam ją dyżurnemu żołnierzowi.

- To list do mego przyjaciela i narzeczonego. Widzi pan, jest do niego zaadresowany. To sprawa osobista, lecz pilna. Dam to panu, proszę... - Podałam mu, a on niechętnie wziął kopertę z mojej ręki. - I mam wielką nadzieję, że mi pan pomoże. Jeśli jest możliwość przekazania tego kapitanowi Molyneux, będę bardzo wdzięczna, i on także.

Zawróciłam w stronę drzwi.

- Nie wiem, proszę pani - powiedział, ale w moim odczuciu jego kiwanie głową zaprzeczało tym słowom.

- Dziękuję, panie kapralu. - Wyszłam na ulicę, starając się sprawiać wrażenie, jakbym pomyliła ten budynek z domem swojej krawcowej, na wypadek gdyby ktoś się zastanawiał, co tam robię.

Powiedziałam Farii i Sarah, że będę miała dziecko.

Faria odchudzała się przed ślubem, żeby się zmieścić w ślubną suknię, która była już gotowa i wyszyta tysiącami małych perełek. Odstawiła filiżankę gorącej wody, w której pływał plasterek cytryny, jedyny aperitif, jaki wolno jej było pić zamiast zwykłego dużego dzinu z tonikiem, i spojrzała na mnie ze współczuciem.

- O, nie! Biedactwo. Ale wiesz, z tym można coś zrobić, mogę ci kogoś polecić...

- Ja się cieszę. Chcę tego dziecka. Myślę, że po prostu weźmiemy z Xanem trochę wcześniej ślub.

Faria nie dowierzała.

- Jesteś pewna?

Pomyślałam, że jej niepewność ma więcej **wspólnego** z czekającym ją małżeństwem niż z moim.

- Tak - potwierdziłam.

Sarah nie mówiła wiele. Gdy zrozumiała, że jest to ciąża mile widziana, wymamrotała jakieś gratulacje, wstała i wyszła z pokoju. Faria wzruszyła ramionami i zapaliła kolejnego tureckiego papierosa, po czym wróciła do kartkowania czasopisma. Poszłam szukać Sarah i znalazłam ją w jej pokoju

siedzącą przed toaletką i wpatrującą się w swoje odbicie w wielkim zielonkawym lustrze. Wydało mi się, że mogła płakać, ale zaprzeczyła temu.

- Nie bądź głuptasem. Przecież to bosko dla was obojga. Dziecko, tylko sobie wyobraź.

Nie było tak łatwo wyobrazić sobie, co to będzie naprawdę oznaczało. Nic nie wiedziałam na temat, co znaczy być matką. Chciałam tylko i wyłącznie zobaczyć się z Xanem i obwieścić mu tę nowinę.

Dwie noce później leżałam w łóżku, nie śpiąc. Faria była na jakiejś oficjalnej przedślubnej uroczystości z Alim, a Sarah wyszła z pewnym francuskim dyplomata w średnim wieku, z którym ostatnio kręciła bez wielkiego entuzjazmu. Noc była gorąca, wiatrak pod sufitem mieszał powietrze, nie chłodząc go. Usłyszałam lekki trzask, a potem bardzo ciche kroki na korytarzu. Włos mi się zjeżył i rozszerzyłam oczy ze strachu. Wstrzymałam oddech. Drzwi uchyliły się z cichym skrzypnięciem i na tle ciemności zobaczyłam jeszcze ciemniejszy profil. To był Xan.

- Przyszedeś - wyszeptałam radośnie i wyciągnęłam rękę. Sprężyny łóżka zaskrzypiały, gdy położył się koło mnie i dotknął wilgotnymi ustami mojej szyi.

- Wybacz mi, kochanie, że cuchnę. Czy Mamdufa nie zamyka drzwi, gdy wychodzi wieczorem do domu?

- Tak. Nie. Nie wiem. Co za różnica? Dostałeś moją wiadomość?

- Tak, dziś rano. Dlatego tu jestem, ale tylko na parę godzin. Mów.

Rzeczywiście cuchnął potem i tytoniem, olejem samochodowym i kurzem, ale przytuliłam głowę do jego kurtki wojskowej. W ciemności wydał mi się większy i mocniejszy niż zawsze. Nosił na sobie ślady ostatnich wydarzeń i wypraw na pustynię, których mogłam się tylko domyślać. Był tak spięty w oczekiwaniu, że ręce i nogi drżały mu leciutko. Wydawał

się gotów do skoku, strzału lub ucieczki i, wiedząc o tym, pragnęłam go przytulić jeszcze mocniej.

- Będę miała dziecko.

Najpierw wziął nieduży wdech, potem ucichł, a potem wyrzucił z płuc powietrze ze świstem przechodzącym w okrzyk. Był to okrzyk czystej radości, więc uśmiechnęłam się z ulgą i spokojem.

- Naprawdę? Jesteś pewna?

Powiedziałam mu o koleżance Daphne, lekarce metodystce Esther Reisen u Królowej Marii.

Położył rękę na moim brzuchu.

- Jak się czujesz?

- Nieźle. Czasami mam nudności, ale to będzie trwało jeszcze najwyżej trzy lub cztery tygodnie. Naprawdę się cieszysz?

Ucałował moje ręce, szyję i usta.

- Nie mogę w to uwierzyć. Tak. Cieszę się bardziej, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. To będzie chłopiec czy dziewczynka?

- Chłopiec - powiedziałam mu z absolutną pewnością.

- Pobierzmy się. Od razu. Jak tylko zdołamy to załatwić. Mniejsza o katedrę, sukienkę, wartę honorową i te wszystkie bzdury. Poproszę pułkownika o dwa dni wolnego.

- Tak - zgodziłam się. - Tak, tak. A teraz mnie obejmij. O tak, dotykaj mnie. Zdejmij to. Czeka. Ja to rozepnę.

Najpierw była płatanina jego ubrania i mojej nocnej koszuli, potem zatrzeszczał jego pas wojskowy i rewolwer spadł na podłogę z przeraźliwym szczękiem, a potem byliśmy nadszy i spleceni ze sobą.

Po wszystkim Xan leżał, tuląc moją głowę do serca i bawiąc się moimi włosami.

Musisz iść? - szepnęłam.

Tak, za parę minut.

- Dokąd?

- Z powrotem.

- Nie możesz mi nic powiedzieć?

- Rommel ponownie się uzbroił, zamierza uderzyć na Tobruk i dalej. Będzie próbował zepchnąć 8. Armię z powrotem, aż do granicy i w głąb Egiptu.

Tyle wiedziałam sama.

- Słyszałaś o depresji Al-Kattara?

- Nie.

- Jest to ogromne zagłębienie w dnie pustyni, tysiące kilometrów kwadratowych. Znajduje się około sześćdziesięciu kilometrów na południe od wybrzeża i stacji wyładowczej w miejscowości Al-Alamajn. Jego północne brzegi są za strome, żeby zjechały tam czołgi, a dno tworzy zdradliwy, miękki piasek. Jeśli Rommel tam dojdzie, znajdzie się w przewężeniu między morzem a depresją i będzie to ostatnie najlepsze miejsce, żeby go powstrzymać przed granicą.

- Jaką rolę odgrywa w tym Tellforce?

Usta Xana zbliżyły się do mojego ucha, jakby nawet tutaj, w moim łóżku, mógł zostać podsłuchany.

- My z Hasanem uważamy, że jest droga przez Al-Kattarę. Nie jest to łatwa droga, ale wierzę, że można nią przejechać. Jeśli jakoś uda nam się rozpoznać tę trasę dla ciężkich pojazdów pancernych w tajemnicy przed wrogiem, możemy ich okrążyć i zaatakować od południa, gdzie nie będą się nas spodziewali. Teraz mamy bazę w Siwa i pracujemy nad tym. Nad rozpracowaniem trasy Al-Kattara. - Na delikatnej skórze ucha poczułam, że jego usta składają się do pełnego nadziei uśmiechu, zadrżałam.

- Już czas - powiedział cicho.

Usiedliśmy i zaczęłam zbierać jego garderobę. Sięgnęłam do włącznika, by zapalić lampkę nocną, i leżałam, podpierając głowę jedną ręką, patrząc i utrwalając w pamięci jego odznaczające się wyraźnie kości kręgosłupa, szczupłe biodra i zarys żeber widoczny przez opaloną skórę. Żaden z męż-

czyżn walczących na pustyni nie miał na sobie grama zbędnego ciała.

Po włożeniu ubrania Xan usiadł obok mnie i podniósł moją lewą rękę. Pocałował kostki dłoni, przycisnął wargi do ametystu i z uśmiechem ujął w dłonie moją twarz.

- Pa, kochanie. Dowiesz się, co trzeba zrobić, żebyśmy wzięli ślub nieprzyzwoicie szybko?

- Dowiem się.

Pocałował mnie w usta.

- Dbaj o siebie i o dziecko. Kocham was oboje. Niedługo będę z powrotem.

Ukląkł i podniósł spod łóżka pistolet, włożył go do kabury i wstał. Drzwi otworzyły się i zamknęły za nim szybko, z trzaskiem, i już go nie było.

Po wielu daremnych próbach zdołałam wreszcie dodzwonić się do swojej mamy w Hampshire. Miała zmęczony głos, jakby już samo powtórzenie ich numeru sprawiło jej trudność, ale ożywiła się natychmiast, gdy usłyszała, że to ja.

- Iris? Iris, czy to ty? Co się dzieje? Powiedz mi szybko, co się stało...

Ludzie tam w kraju nastawieni byli na złe wieści. Jakby tylko takie przychodziły. A telefon z Kairu był z pewnością powodem do obaw.

- Nic się nie stało, mamó, zupełnie nic. Chcę ci tylko coś powiedzieć, długo by trwało listownie.

- Co takiego?

- Spodziewam się dziecka.

- Och! O Boże, jesteś całkiem pewna?

Nie mogłam się powstrzymać od uśmiechu.

- Pewna. I jestem bardzo szczęśliwa, Xan także. To oznacza, że pobierzemy się natychmiast. Przykro mi, że przez to nie będziecie tutaj z tatą i nie będzie ślubnej wyprawy, ambasadora ani nic takiego. Bardzo jesteś zła?

- Mój Boże. Zła? Nie wiem. Tak na to czekałam...
- Wiem, że czekałaś. Ale jest wojna, a my z Xanem się kochamy. Po wojnie wrócimy do domu z twoim wnukiem. Na pewno nie jesteśmy jedyną rodziną w takiej sytuacji.
- Nie. To ta wojna, zapewne. Wszystko dziś jest inaczej. W zeszłym tygodniu Evie mówiła, że co najmniej dwie z jej znajomych, wiesz... Wszystko jest inaczej niż za moich czasów. Ale przecież nie możesz urodzić dziecka w Kairze. Musisz jak najszybciej przyjechać do domu. Jeśli teraz zarezerwujesz sobie bilet...
- Nie, mam. Zostanę tutaj z Xanem. Mam dobrą lekarzkę, wszystko będzie zorganizowane.
- Iris, naprawdę, jesteś bardzo uparta.
- Nie wiem tego. Jestem bardzo szczęśliwa. Mogę porozmawiać z tatą?
- Och! O Boże, chyba nie. Lepiej zostaw to mnie.
- Dobrze. - Znow się uśmiechnęłam. - A co u ciebie? Jak się czujesz?
- Kochanie, nie martw się o mnie. Miałam znow kłopoty z klatką piersiową, ale doktor Harris dał mi jakiś nowy syrop. Było tak zimno. Jak tylko przyjdzie lato, poczuje się lepiej.
- Tutaj jest bardzo gorąco. Mamo, kocham cię. Słyszałam, że mama jest zmęczona i słaba.
- Ja też cię kocham, Iris. Dbaj o siebie, proszę.

Jedziemy w kierunku pustyni i myślę o mojej matce. Nawet słyszę jej niepewny głos, zniekształcony przez międzynarodowe połączenie telefoniczne.

Miała dopiero pięćdziesiąt kilka lat, choć mnie wydawała się już raczej starą kobietą. Uzmysławiam sobie, że Lesley jest teraz dokładnie w jej ówczesnym wieku.

Jedziemy już drogą bez żadnej nawierzchni. Zwykły, wąski trakt niesie nas ku wydmom, a miasto wydaje się już bar-

dżo, bardzo daleko. Opony ślizgają się po piasku, a silnik jęczy, zanim znów odzyskują przyczepność.

Xan kochał pustynię. Znał ją i rozumiał, a ona w końcu go zabrała. Nie wiem, gdzie on spoczywa, ale czuję, że ta jazda przybliżyła mnie do niego. Gorące, suche powietrze pali mi skórę, ale jestem szczęśliwa. Mało brakuje, żebym nie zaczęła nucić fragmentu starej piosenki.

- W którą stronę? - zapytała po chwili Ruby.

Iris nic nie odpowiedziała i Ruby pojechała kawałek dalej, walcząc z kierownicą i nie za bardzo wiedząc, co zrobić, gdyż kierowanie wymykało jej się spod kontroli. Jadąc już po języku widocznej przed nimi wydmy, samochód niepokojąco często skręcał na boki, zanim zdołała go znów ujarzmić. Nagle zorientowała się, że jest cała spocona z wysiłku, a czarny dach starego auta jest rozpalony słońcem.

Iris coś sobie nuciła.

Pora zawrócić - postanowiła Ruby. Odruchowo sprawdziła w lusterku bocznym, czy nie ma nikogo z tyłu. Nie było nie tylko żadnych pojazdów, ale w ogóle niczego oprócz wydmy i nieba.

- Dobrze. Czas do domu.

Zahamowała i samochód wpadł w poślizg. Solidna droga skurczyła się do prawie niewidocznej ścieżki; wiatr przesunął nad ziemią wirujące chmury piasku, które przysypywały dosłownie wszystko. Ślady ich kół już zdążyły się zmienić w ledwo widoczne dwie koleiny. Ruby wykręciła ostro kierownicą w prawo i samochód powoli zatoczył półkole. Tak przynajmniej oceniła, że zrobiła półkole i teraz są odwrócone w tę samą stronę, z której przyjechały. Spojrzała do góry na słońce, białą tarczę za rozpaloną zasłoną upału. Czy dalej jest na wschodzie, czy już przesunęło się na południe?

Przejechała jeszcze około stu metrów i straciła z oczu drogę. Widać było tylko warstwę piasku pędzonego bezlitośnie

przez wiatr. Kołom było coraz trudniej skręcać. Będzie musiała się zatrzymać i zorientować w kierunkach.

Iris odwróciła głowę. Uśmiechała się, całkiem oderwana od rzeczywistości.

- Dlaczego się zatrzymujemy?
- Muszę się rozejrzeć, upewnić, jak jechać z powrotem.
- Z powrotem?
- Tak - rzekła Ruby dobitnie.

Otworzyła drzwi i wyszła z samochodu, a wiatr nią szarpnął. Wiejący piasek kłuł w kostki. Przebrnęła z trudem do najbliższej, niskiej wydmy, zaskoczona jej stromością i tym, jak głęboko zapadały się w niej stopy. Spodziewała się, że z góry zobaczy główną drogę prowadzącą do oazy, czy jak to się nazywało, oraz pełzające po niej owadziej wielkości ciężarówki i autobusy. Ale zobaczyła jedynie szereg identycznych wydm, marszczonych przez coraz silniejszy wiatr.

Zeszła z pochyłości i wróciła do samochodu. Podłogę i jej fotel pokryła już cienka warstwa piasku. Zatrzasnęła drzwi i zasunęła do góry okno, po czym usiadła z rękami opartymi o kierownicę.

- Nie wiem, gdzie jesteśmy - powiedziała.

13

Słońce było już ledwo widoczne; blade jak z wosku, przeświecało niewyraźnie przez gęstniejącą zasłonę szarozółtej zadymki. Wiatr wzrastał się, zmiatał piasek z czubków wydm niczym pianę ze wzburzonych fal. Pustynia zaczynała się przesuwac.

Ruby precisnęła się na tylne siedzenie i zaczęła się szarpać z korbką zamykającą okno, żeby jak najmocniej docisnąć szybę do framugi. Gumowa uszczelka była miejscami

całkiem wytarta. Ruby pochyliła się nad Iris i zrobiła to samo z oknem od strony pasażera. Potem sprawdziła, czy drzwi są dobrze pozamykane. Dla pewności zablokowała je wszystkie. Wiatr ciskał teraz piaskiem o przednią szybę i drzwiczki z takim hałasem, jakby o metal bębniły małe kulki gradu. Podłogę i fotele powlekała już warstwa wszędobylskiego jasnego pyłu, który wciskał się przez szpary w podłodze, drzwiach i framugach okien.

- To burza piaskowa - powiedziała Iris z zachwytem.
- Na to wygląda.

Ruby paliło i ścisnęło w gardle, a powieki jeszcze ją piekły po krótkim wypadzie na szczyt pobliskiej wydmy. Powietrze w samochodzie pachniało spalenizną i coraz trudniej było nim oddychać. Nie wiadomo dlaczego, przypomniał jej się dym z suchego lodu w jakimś klubie.

- Burza piaskowa jest bardzo niebezpieczna, wiesz, Ruby? Powinnyśmy zawrócić i jechać prosto do domu.

Siedząca już za kierownicą Ruby chwyciła za nią jak za koło ratunkowe.

- Myślę, że na to już za późno.

Skronie Iris usiane były ciemnobrunatnymi piegami, a cienka skóra na policzkach ledwo przykrywała kości. Spojrzała szeroko otwartymi, jasnymi, niewinnymi oczami, nie rozumiejąc.

- Co ty mówisz?

Ruby już otworzyła usta, żeby dać upust swym obawom i złości, ale powstrzymała się. Zamiast tego ujęła Iris za jedną rękę i, trzymając, oznajmiła:

- Będziemy musiały ta poczekać, aż przestanie wiać.
- Poczekać tutaj?
- Tak. - Ruby powiedziała to szorstko, nieco podnosząc głos, jakby sama siebie chciała przekonać, że tak będzie najlepiej. Może to działała jej wyobraźnia, ale samochód zdawał się trząść i kołysać pod naciskiem wiatru. Niech pomyślę -

mówiła do siebie - i zdecyduję, co powinnam zrobić. Próbo-
wała myśleć racjonalnie, lecz niespodziewanie ze strachu
przeszły jej po plecach ciarki.

W tej samej chwili poryw wiatru zgarnął cały grzbiet naj-
bliższej wydmy i rzucił go na samochód. Przez chwilę sie-
działy w ciemności. Potem następny poryw zmiotł piasek
z szyb auta. Światło, które wpadło do środka, miało barwę
żółtobrazową. Na zewnątrz wirowała gęsta, pyłaca zawiesina.
Nic się nie da wymyślić - uświadomiła sobie Ruby - przy-
najmniej dopóki nie skończy się ta burza. Nie było żadnych
szans, żeby przejechać choćby metr. Widoczność równała się
zeru, żadnych śladów ani słońca, które wskazałoby kierunek.
Odczuwało się tylko jedno: w którym kierunku jest ziemia.

Wokół grzmiało i huczało. Taki wiatr nie może trwać dłu-
go, chyba nie?

Na pewno ucichnie tak samo nagle, jak się zerwał.

- Dobrze się czujesz?

Iris powoli skinęła głową.

- Burza piaskowa - powtórzyła. - Mężczyźni jej się bali.
Nawet Hasan.

- Wcale mnie to nie dziwi.

Wewnątrz nieszczęelnego samochodu było już coraz trud-
niej oddychać pełnym kurzu powietrzem. Iris zaczęła kasłać
i ciężko łapać oddech. Ruby sięgnęła do torby babci, wyjęła
białą chustkę i zawiązała jej na dolnej połowie twarzy. Sobie
zasłoniła usta i nos, podciągając do góry podkoszulek.

Jak doszło do tego, że znalazły się w tak kłopotliwym
położeniu?

Cofnęła się w myślach do momentu, gdy wyjechały z do-
mu, ruszyły w stronę Gizy, mijając tłumy turystów, potem
jechały drogą przez pustynię i celowo skrzyły w bok od
głównej szosy. Głupio zrobiły, jasne. Ale wyraźnie jeszcze
pamiętała kolejność zakrętów i, chcąc to sobie utrwalić, kilka
razy przebiegła myślą całą trasę. Kiedy ten wiatr przestanie

wyć i smagać piaskiem, będzie mogła ją przebyć w odwrotnej kolejności. Gdy już zorientuje się, gdzie są.

- Ruby? - Głos Iris był jeszcze cichszy i bardziej stłumiony przez fałdy chustki.

- Tak. Daj mi rękę. Porozmawiajmy, żeby zabić czas, dobrze?

- Chciałabym się napić wody.

Ruby ogarnęła nagła panika na myśl, że nie mają żadnej wody, ale potem z ulgą przypomniała sobie o dwóch butelkach, które kupiła w kawiarni. Sięgnęła na tylny fotel po jedną, odkręciła i podała Iris. Ta podwinęła chustkę i łapczywie pociągnęła haust. Trochę wody pociekło jej po brodzie i zalało przód sukienki.

- Teraz lepiej - powiedziała tonem dziecka, oddając butelkę Ruby.

Fotele zaskrzypiały, gdy sadowiły się wygodniej, zasłaniając nos i usta i szykując się do przeczekania wiatru.

- Hasan? - rzuciła Ruby, teraz już niemal odruchowo.

- Tak, Hasan. Był Beduinem. Xan zawsze mówił, że on zna pustynię o każdej porze roku, w każdym nastroju. Znał ją tak dobrze jak uśmiechnięte oczy swej matki. Nawet depresję Al-Kattara. Ona była kluczem do tego. Przejście przez nią. Wszyscy mówili, że to się nie da zrobić.

- Dlaczego nie?

Ruby nie mogła oderwać oczu od chłostanego wichrem pustkowie, jakim była pustynia, bardziej przerażającego od mgły, od śniegu, bo tak nieznanego. Była ogromnie spragniona. O czymkolwiek starała się myśleć, zawsze gdzieś z boku wciskała się myśl o krystalicznej wodzie.

- Miękki piasek nie do przejechania dla czołgów. Tak myśleli wszyscy generałowie. A Xan im pokazał.

- Naprawdę? Jak on to zrobił?

Trudno było im mówić z zakrytymi twarzami, a jeszcze trudniej dosłyszeć, co mówiła druga. Wiatr przenikał do środ-

ka przez szpary i szczeliny w starym samochodzie, syczał, huczał i jęczał im w uszach. Iris nawet nie próbowała odpowiedzieć. Broda opadła jej na pierś i po chwili Ruby zauważyła, że babcia zasnęła.

Ruby siedziała i patrzyła na nieprzenikniony wzrokiem świat. Oczy wciąż ją piekły i mimo wszelkich wysiłków nie potrafiła powstrzymać połykania drapiącego pyłu, który dostawał się do gardła. Obliczyła w myśli zapasy, jakie miały: niecałe dwie butelki wody i owoce, które wcisnęła jej Ciocia. To wydawało się już strasznie dawno temu. Na jak długo im starczy tak mała ilość?

Najwyżej na dzień lub dwa.

Ale przecież nie będą tu tkwiły aż tak długo. Jak tylko uciszy się trochę wiatr, znów ruszą w drogę.

Dobrze, że Iris zapadła w sen, choć Ruby nie umiała sobie wyobrazić, jak mogła spać przy takiej wichurze. Piach walił z całej siły w samochód, próbując dostać się do środka, osaczając je swymi rozpalonymi mackami. Ruby wzdrygnęła się i przetarła twarz, a wtedy poczuła, że jej palce, policzki i powieki są już całe zapiaszczone.

Zignoruj to. Myśl o czymś innym.

Zaczęła od Asza. Obraz jego twarzy, połyskujących w uśmiechu białych zębów, oczu schodzących skośnie w dół, przywołała łatwo. Ale to on powiedział, że to niedobry pomysł zabierać Iris na przejażdżkę garbusem. W końcu zaaprobował wycieczkę, ale pod warunkiem, że „tylko do Gizy”.

Asz myślał, że właśnie zwiedzają piramidy. Nigdy by nie wpadł na to, że odjechały tak daleko. Ale ten kierunek myślenia nie pomógł, więc wyobraziła sobie muzeum. Obraz tamtych jasnych sal z przedmiotami z grobowców działał kojąco. Przeszła w myślach wzdłuż szeregu gablot z niezwykłymi kolekcjami garnków, skorup, papirusów, skarabeuszy, kamiennych rzeźb i wielkich złożonych ornamentów. Starożytna cywilizacja. W większości zbyt odległa dla niej, żeby mogła ją

rozumieć, jednak wciąż władała tu kawałkiem pustyni i przyciągała rzesze turystów. A te jej kawałki, które przetrwały, stoją wyczyszczone pod szkłem, podpisane i skłaniają ją do snucia domysłów.

Potrzebowała tych rozmyślań jako przeciwwagi dla groźnej nicości otaczającej je pustym.

Ludzie mieszkali na niej od tysiący lat. Hasan, kimkolwiek był, znał ją jak uśmiechnięte oczy swej matki. Kapitan Molyneux montował bohaterskie przejście przez jakiś najbardziej zdradliwy jej odcinek. Czy tam właśnie został zabity?

Ale to też nie były najszcześniejsze rozważania. Ruby przyciągnęła kolana do piersi i otoczyła je rękami, próbując opanować lęk. Zrobiła to cichutko, żeby nie obudzić Iris.

Muzeum. Myśl dalej o muzeum.

Sala mumii i milczące rzędy dawno zmarłych faraonów. Wysuszonych przez upływ czasu, wiatr, piasek...

Nie!

Zbiory. Obiekty nieożywione, poustawiane, porządek z chaosu, to już lepiej. Szklane gabloty. Jej własny pokój w domu na przykład. Pudełka po butach pełne autografów gwiazd muzyki pop i osobistości znanych z dziecięcych programów telewizyjnych. Muszelki z ziarenkami piasku nadal uwiecznionymi w ich perłowych wnętrzach...

Nie!

Pieprzony wiatr. Gdyby przestał wiać choć na chwilę, mogłaby zebrać myśli. Żeby ten samochód przestał się kołysać i jęczeć jak jakiś obłąkany instrument muzyczny!

Dom. Pudełka od zapalek i wypolerowane drewniane ramki, ogromne chrabąszcze i małe biedronki w kropeczki, jej najlepsza ze wszystkich kolekcja. Lesley ich nie cierpiała.

Teraz wstrząsnął nią nagły, potężny strach. Uderzył jak gwałtowny podmuch wiatru. Myśl o domu i Lesley jeszcze zdwoiła jego siłę. Bo nagle zapragnęła tam być, w bezpiecz-

nym domu, słyszeć, jak mama mówi, żeby czegoś tam nie robiła.

Lesley była wiele kilometrów od niej.

Iris była taka stara i nie bardzo kojarzyła, co się dzieje.

Nie mogła się od niej spodziewać pomocy; jedyną osobą, która mogła je uratować, była ona sama.

Ale ja nie potrafię nikogo uratować! - krzyczał w jej głowie jakiś głos. Jestem tylko dzieckiem! Co ja mogę zrobić?

Zakołysała się na fotelu, zaciskając pięści tak mocno, że aż paznokcie wpiły się w dłonie i poczuła ostry ból.

Nie jesteś dzieckiem.

Przestań! Co się z tobą dzieje?

To tylko burza piaskowa. W końcu się kiedyś uspokoi, musi. A co by zrobił Jas?

Pewnie zrobiłby sobie skręta, zapalił i zasnął. Tak jak Iris, z wyjątkiem tego skręta. Ruby uświadomiła sobie, że się śmieje, dopiero gdy poczuła ból pękniętej dolnej wargi. Przejechała po niej końcem języka, czując smak krwi.

Jas, myśl o Jasie i o rajskim ogrodzie wyciętym z kolorowych czasopism, o grubych, zielonych liściach i wielkookich stokrotkach, o drzewach, różach i ciemnych, czubiastych świerkach.

Tak jest lepiej.

Ruby spojrzała na zegarek i ze zdumieniem spostrzegła, że jest już druga godzina.

To ważne, żeby kontrolować czas, prawda? Może nawet siła wiatru już się trochę zmniejszyła. Poprzez nawianą czapę piachu dostrzegła wydnę, na którą wcześniej się wspinała, tylko że wydma się przesunęła. Była teraz przed nimi, zamiast z lewej strony. Nie, to niemożliwe. Na pewno wiatr przekręcił samochód bokiem, tak że teraz stoi przodem w innym kierunku.

Ale to także było niemożliwe. Siedziały w nim przez cały

czas, siedziały tak długo, że bolały ją i nogi, i plecy. Jednak to wydma musiała się przesunąć. Wiatr nadał jej inny kształt. Jej i sąsiednim chyba też. A więc teraz krajobraz będzie się różnił od tego, który przez całe rano starała się zapamiętać?

Ruby odwróciła głowę i spojrzała na Iris. Miała otwarte oczy i patrzyła na wydmy, które zdawały się płynąć po pustyni jak upiorne obłoki.

- Nie śpisz - powiedziała cicho.
- A spałam? - zapytała Iris.

Miałyśmy szukać Xana, jechać daleko w pustynię, żeby go odnaleźć. Musiałyśmy się spieszyć, bo mógł nam uciec i nigdy więcej bym go nie zobaczyła. Czułam tak dojmujący lęk, że oczy mnie piekły i szczypały od wypatrywania w tej monotonnej dali najmniejszego śladu po nim.

Albo to sobie wyobrażałam, albo mi się przyśniło. A teraz znów nie śpię i przypomina mi się: jestem z tym dzieckiem i złapała nas burza piaskowa.

- Ruby, ile mamy wody?

Z szeroko otwartymi oczami patrzy mi w twarz.

- Dwa litry, minus to, co wypiałś wcześniej. Trochę świeżych owoców, trochę suszonych moreli.
- Napij się trochę. No, już. Niech to zobaczę.

Otwiera butelkę i przechyla do ust. Widzę, jak kurczowo zaciskają się mięśnie na jej ładnej szyi, ile wysiłku kosztuje ją przechylenie butelki tylko tak, by zaspokoić pierwsze pragnienie. Podaje ją potem mnie i wypijam kilka łyków. Gdy oddaję jej z powrotem, bardzo dokładnie zakręca nakrętkę i umieszcza butelkę poza zasięgiem wzroku, na tylnym fotelu.

- Czy jesteśmy w niebezpieczeństwie? - pyta bezbarwnym głosem.

- Nie sędzę. - Wyglądam przez przednią szybę. Nie widać nic prócz żółtawego półmroku, ale wydaje mi się, że te-

raz to raczej wiszący w powietrzu pył niż piasek wywiewany z grzbietów wydm. Z czasem opadnie. - Mamduh i Ciocia wysła kogoś, żeby nas szukał.

- Ale nie wiedzą, gdzie jesteśmy. Unikałam dziś rano Mamduha, żeby nie marudził. No wiesz. A z Ciocią rozmawiałam w kuchni i ona do mnie mówiła, ale nie rozumiała, co ja mówię. Ona nie rozumie, prawda? A Aszowi powiedziałam, że jedziemy tylko do piramid. - Mówi coraz głośniej. - Nikt nie wie, że wyjechałyśmy aż tutaj.

Próbuję sobie przypomnieć, jak tu dojechałyśmy, ale nic nie pamiętam.

Mogę sobie przypomnieć dokładny rozkład pokoi w naszym mieszkaniu w Garden City, pamiętam blask cekinów na kostiumie tancerki brzucha Elviry Mursi w świetle reflektorów w Zazie's, ale nie mogę sobie przypomnieć nic z tego ranka, żeby ratować własne życie.

Jestem bardzo zmęczona. Opieram głowę o okno i patrzę, jak wszystko jest powleczone pyłem. Grzbiety moich rąk są szare, także moje kolana, uda i metalowa płyta deski rozdzielczej.

Jeśli nikt nie wie, gdzie jesteśmy, nikt nas tu nie będzie szukał. Jest w tym jakaś nieuchronność, która jednak specjalnie mnie nie niepokoi.

- Nic się nie martw - mówię.

Po tym zdarzeniu, kiedy Xan wśliznął się nocą do mego pokoju i potem znów z niego się wymknął, zaczęłam robić przygotowania do naszego ślubu. Dowiedziałam się w odpowiednim wydziale ambasady, co trzeba zrobić, żeby uzyskać specjalne pozwolenie na zawarcie małżeństwa w szybkim terminie przez dwoje obywateli brytyjskich, i złożyłam podanie. W załatwianiu formalności pomagał mi Sandy Allardyce.

- Czy jesteś szczęśliwa, Iris?

- Szczęśliwsza, niż byłam kiedykolwiek w całym swoim

życiu. - Nauczyłam się to już niemal recytować. Ale że taka była prawda, ciągle na nowo mnie zdumiewało i zachwycało.

W jego pulchnej różowej twarzy na moment pojawił się cień żalu lub może zazdrości. Nigdy więcej, na żadnym przyjęciu czy spotkaniu w ambasadzie, gdzie się spotykaliśmy, nie rozmawialiśmy już o prawdziwym czy też wyimaginowanym uczuciu Sandy'ego do mnie.

- A co z tobą? - zapytałam. Nawet ta rozmowa przekraczała znacznie granice naszych normalnych pogawędek.

- Ze mną? - Zakasłał i zaszurał stopami. - Całkiem możliwe, że... ja i pani Kimmig-Gertsch dopełnimy jakiejś... formalności.

- To wspaniale! Cudownie! Mam nadzieję, że będziecie razem szczęśliwi.

Na jego twarzy wciąż był widoczny cień.

- Z pewnością będzie to dla nas korzystne. - Pomyślałam, że słowo „korzystne” jest dziwne w takim kontekście. - A co do szczęścia... nie wiem. A gdy teraz patrzę na ciebie, Iris, na twoją twarz w tym momencie, szczęście wydaje się zbyt przyziemnym określeniem na to, co widzę. Raczej wielka przemiana.

Na chwilę zapadło milczenie. Za oknem biura Sandy'ego wysokie drzewa w ogrodzie ambasady tworzyły oazę cienia w męczącym popołudniowym upale. Potem Sandy obszedł dookoła biurko i wycisnął na moim policzku niezgrabnego całusa, a na pożegnanie poklepał mnie po ramieniu.

Xan obozował na skraju Al-Kattary, czego raczej się domyślałam, niż wywnioskowałam z tego, co mi mówił. Porozumiewaliśmy się listownie. Nagryzmołone przez niego, wygniecione kartki docierały do mnie dość przypadkowo, podrzucane przez samolot Tellforce, gdy tylko lądował w Karirze, lub przez rzadko przybywających łączników między Kwaterą Główną a jego patrolem. Przynosił je do Garden

City elegancki podoficer hinduski, a u mnie *zawsze czekał* plik listów do zabrania. Xan i ja planowaliśmy nasze wesele.

Ślubu miał nam udzielić kapelan anglikański w bocznej kaplicy katedry, w obecności garstki przyjaciół jako świadków uroczystości. Xan wybrał na swego drużbę Jessiego. Chociaż wiedziałam, że 11. Pułk Huzarów znajduje się na linii Gazala, Xan jakoś się tym szczególnie nie przejmował. Moimi druhnami miały być Ruth i Sarah. Daphne raczej nie mogłaby zwolnić się ze szpitala, a Faria będzie już w podróży poślubnej. Zabawne było, że minimalne przygotowania moje i Xana odbywały się jednocześnie z szykowaną z rozmachem wielką gałą weseliska Farii i Alego. Nasz ślub miał się odbyć pięć dni po ich ceremonii.

Miałam włożyć prosty biały kostium z jedwabiu i kapelusz z welonem z tiulu w kropeczki. Po ślubie planowaliśmy zjeść lunch z naszą małą grupką przyjaciół, a wieczorem wydać przyjęcie alkoholowe dla wszystkich naszych znajomych w mieszkaniu w Garden City. Rodzice Farii powiedzieli Sarah, że możemy w nim mieszkać, dopóki sobie nie znajdziemy czegoś innego.

Gus Wainwright obiecał mi co najmniej dwadzieścia cztery godziny przepustki - pisał Xan. - Kochanie, będziemy chyba mieli bardzo krótki miesiąc miodowy, ale potem czeka nas całe życie razem.

Całe życie. To bardzo długo i nic dziwnego, że jestem zmęczona.

Dziecko kręci się na fotelu.

- Już czwarta.

- Tak?

Maraduh i Ciocia odchodzą od zmysłów.

- Tak, prawdopodobnie.

- Za jakąś godzinę będzie ciemno!

- Tak.

- Wiesz, co to oznacza: że będziemy tu chyba musiały spędzić noc?

Noc na pustyni. Ciemna kopuła nieba, gwiazdy przyćmione przez pył po burzy. Bardzo zimno o tej porze roku i kosmiczna cisza.

Miejsce spoczynku Xana.

- Iris?!

- Tak. Słucham cię. - Choć jej natarczywość mnie drażni.

- Nie mogę tak tutaj siedzieć. Pójdę się rozejrzeć.

- Co chcesz zobaczyć?

Cmoka językiem i otwiera drzwi. Do środka wdziera się chłodniejsze powietrze wraz z chmurami pyłu, ale wiatr już się uspokoił. Jeszcze przed godziną jego siła wyrwałaby jej drzwi z ręki i uderzyła nimi o maskę.

- Zobaczyć, jak nas stąd wydostać.

Stopy Ruby zapadały się głęboko w piasku. Jego powierzchnia była chłodna, a głębiej zachowało się ciepło. Ruszyła biegiem w stronę czoła zmienionej wydmy. Krew pulsowała jej mocno w głowie, wzmagając potrzebę działania po tylu godzinach uwięzienia w dusznym, zamkniętym samochodzie. Lecz stopy grzęzły jej po kostki w nawianym piasku, a kolana miała zdrętwiałe od siedzenia tak długo bez ruchu. Zachwiała się i upadła do przodu, zanurzając się rękami w piasek aż po nadgarstki. Wstała i zaczęła brnąć nieco wolniej pod górę stromego, brązowego stoku. Wydma mogła mieć zaledwie osiem metrów wysokości, ale piasek umykał spod jej stóp i na każde dwa kroki zrobione pod górę ześlizgiwała się o jeden w dół. Wysuszony z pragnienia język spuchł i pokrył się nalotem, a żołądek dawał o sobie znać stłumionym burczeniem. Czoło wydmy okazało się wklęsłe i robiło się coraz bardziej strome. Tędy nie mogła wejść.

Zbiegła z powrotem na dół dziesięcioma wielkimi susami, które zrzucały wokół małe lawiny piasku. Prawie biegiem

przemieściła się do ramienia wydmy i zaczęła się wspinać po jego grzbiecie. Tu było łatwiej podchodzić na szczyt, ale wciąż z trudem łapała oddech i w gardle ją paliło.

Niebo nad głową i po lewej stronie, która musiała być wschodnią, tam gdzie leżał Kair, było ołowiane jak potężny siniec. Na zachodzie słońce przesunęło się gdzieś poza rozmazaną paletę pomarańczowych, żółtych i purpurowych chmur. Ruby prędko rozejrzała się wokoło, ale nie patrzyła na niebo. Kuląc ramiona przed wiatrem i zasłaniając oczy złożonymi dłońmi, obróciła się dokoła, by dojrzeć, co znajduje się za wydumą.

Nie było nic. Taki sam monotony krajobraz pofalowanych wydm ciągnął się w dal. Były albo pomarszczone, albo wygładzone przez wiatr, poza tym nie wyróżniały się niczym. Nie zobaczyła żadnej drogi, żadnych śladów kół, nic, co by świadczyło o bliskości szosy, żadnej żywej istoty. Na horyzoncie ściemniało się, lecz nie było widać najmniejszej plamki światła tam, gdzie powinno znajdować się miasto. Otaczała je kompletna pustka.

Samochód stał w zagłębieniu pod wydumą niczym pozostałość z czasów faraonów. Szary od pyłu i od strony dowietrznej zasypany piaskiem aż po wnęki na koła, wyglądał, jakby tam stał od wieków. Ruby zauważyła, że blady owal twarzy Iris unosi się i odwraca w jej kierunku.

Na krawędzi wydmy wiał ostry wiatr. Ruby wsłuchiwała się w jego ciche pogwizdywanie i wzdychanie na pobliskich szczytach wydm. Odgłosy te budziły grozę i Ruby wstrząsnął dreszcz.

Skoczyła i zjechała stromizną w dół do samochodu. W tym czasie, gdy jej tu nie było, słońce musiało zejść, bo pustynię ogarniała teraz ciemność, jakby została nakryta czarnym pledeem. Zanim świat znów zaleje światło, czekało je dwanaście godzin zimowej nocy.

- No i? - dopytywała się Iris.

- Nic nie widać. Ale chyba nie jesteśmy zbyt daleko od szosy, co? Nie mogę sobie uzmysłwić, jak długo jechałyśmy tą zwykłą drogą. Ale stamtąd z góry nic nie widać. Rano, jak tylko się rozwidni, pójdę trochę dalej i na pewno coś zobaczę. Potem możemy stąd wyjechać. Ale na noc musimy sobie zapewnić maksimum wygody.

Ruby zajęła swoje miejsce, żeby się spokojnie zastanowić. Czuła, że język przyczepia jej się do podniebienia.

- Czas się napić jeszcze trochę wody. - Butelka była zakurzona i w środku zaparowana. Gdy obie napiły się po łyżeczku, zrobiła się pusta. Sięgnęła po koszyk, który tak niecierpliwie złapała z kuchni rano. Całe eony temu. - I zjeść trochę owoców.

Zjadły po pomarańczy, wysysając z nich sok co do kropelki, i spróbowały trochę suszonych moreli. Ale te były tak słodkie, że tylko zwiększyły ich pragnienie.

Gdy skończyły, siedziały w głuchych ciemnościach.

- Przepraszam - odezwała się Ruby. - To moja wina.

- Nic podobnego. To mój samochód, mój kraj i ja obiecałam twojej mamie, że będę się tobą należycie opiekować. - Po chwili dodała: - Chciałabym na koniec nie zawieść jej pod tym względem, tak jak pod każdym innym.

- To nie jest koniec. Nie. To tylko noc w cholernym samochodzie, jutro się stąd wydostaniemy, dobrze? - Ruby bębniła pięścią o kierownicę. Była wściekła, że tak głupio i tak łatwo pojechały rankiem prostą drogą z bezpiecznego domu w tę groźną eskapadę, na której złapała je noc.

- Tak. - Iris westchnęła.

Ruby nie bardzo wiedziała, czy babcia w to wierzy, czy nie, a nawet czy w ogóle tego chce. Opanowała chęć, by potrząsnąć nią i krzyknąć, że tu chodzi o nasze życie. Jeśli nie znajdziemy sposobu wydostania się z tej pustyni - a przecież, do licha, nikt nie wie, gdzie jesteśmy - możemy tu sobie spokojnie umrzeć...

Jednak nic nie powiedziała. Wyrażenie na głos własnych lęków tylko by je spotęgowało.

Stopniowo robiło się coraz zimniej. Nie miały ciepłych ubrań, żeby na siebie włożyć, a w miarę upływu czasu ostre powietrze z zewnątrz przenikało do samochodu, aż obie zaczęły dygotać.

- Przejdźmy na tył. Tam możemy się ścieśnić - powiedziała w końcu Ruby.

Przemieściły się na małej przestrzeni auta i mocno do siebie przytuliły. Dobrze było obejmować ramionami kruche ciało babci i słyszeć jej oddech. Ruby oparła policzek o czubek głowy Iris i patrzyła na pasek czarnego nieba widoczny przez tylną szybę. W oddali mignęły czerwone i białe światełka samolotu schodzącego do lądowania na lotnisku w Karirze i ten znak normalnego życia pozwolił Ruby zapomnieć na chwilę o ich trudnym położeniu, ale potem niepokój wrócił ze zdwojoną siłą. Samoloty były za wysoko. Dla załogi i pasażerów przypiętych pasami do foteli i gotowych do lądowania ich garbus był zaledwie małym punkcikiem pośród bezkresnego morza piasku.

Ale widziała je, a to znaczyło, że niebo się przeciera. Ledwo to pomyślała, zobaczyła na nim blade cętki gwiazd.

Iris przysypiała. Choć Ruby czuła w kończynach bolesne skurcze, a gardło i usta były spieczone, w końcu też zasnęła.

Obudziła się z uczuciem pragnienia jak w silnej gorączce, trzęsąc się cała i nie mogąc nad tym zapanować. Iris kręciła się i coś mamrotała. To jej głos obudził Ruby.

- Co mówisz? Wszystko u ciebie w porządku?

- To był tamten dzień.

- Nieważne. Boże, twoje dłonie i stopy są zimne jak lód!

Rozetrę je trochę.

Było przeraźliwie zimno. Roztarła lodowate palce Iris między swoimi dłońmi, ale nie była w stanie ich rozgrzać.

- Zapuszcze silnik i włączę na parę minut ogrzewanie, to nam się zrobi cieplej. Powinnam wcześniej o tym pomyśleć. Siedź spokojnie.

Przemieściła się na fotel kierowcy, namacała kluczyk w stacyjce i przekręciła go. Rozległ się odgłos miażdżenia połączony ze stłumionym rżeniem motoru zapchanego piaskiem, a potem zapadła cisza. Ręka Ruby opadła na kolana. Unieruchomiony garbus był teraz jak starożytny zabytek - pomyślała - albo fragment skały wystający z piasku, jeśli chodzi o jego przydatność do wydostania się stąd. Jedyne sposoby, żeby się uratować, to iść na piechotę albo czekać na ratunek.

Jakie szanse dawał im pierwszy i drugi sposób? - zastanawiała się.

Wtedy w jej umyśle rozbłysła nagle, rozpalona do białości pewność. Nie chciała umierać. Życie było za dobre, za cenne i jeszcze go wcale nie spróbowała. Nie wątpiła, że kocha w nim wszystko. Ogród przy domu, z tymi wszystkimi niemymi roślinami, które dostarczały jej chrząszczy. Koleżanki ze szkoły, chociaż prawie wszystkie były wredne. Camden Town i imprezy muzyczne, Eda i Simona, a nawet Andrew i Willa, a najbardziej Lesley. Były jeszcze niezliczone rzeczy, które chciała zrobić, cała bezładna masa rzeczy, jak pieprzyć się z Aszem, pojechać na Ayers Rock i do tego miejsca Inków w Peru, a przede wszystkim powiedzieć mamie, iż żałuje tego, że zawsze się kłóciły. Dziwne, ale właśnie to najbardziej.

- Nie śpisz? - szepnęła do włosów Iris.

Kiwnęła głową, ale nic nie powiedziała. Ruby nie miała pewności, czy Iris ją usłyszała.

- Kocham cię - rzekła.

Po prostu. Rano pójdzie przyprowadzić pomoc.

*

Świt nadszedł szybko, co podniosło je na duchu. Po nocnych ciemnościach nawet nikłe światło i puste wydmy dodawały im otuchy. Niedługo słońce zaleje świat swoim ciepłem.

Wypiły trochę wody z drogiej butelki, trzymając ten błogosławiony płyn jak najdłużej w ustach. Potem z trudem, na zeszywniałych nogach, wygramoliły się z samochodu i stojąc na piasku, porozciągały się i rozluźniły kończyny. Iris była przeraźliwie blada i ledwo trzymała się na nogach. Ruby obrała dla niej pomarańczę i wkładała jej do ust po jednej części, jakby karmiła dziecko. Słońce wzeszło, malując piasek pustyni na nowe barwy. Na grzbietach wydmy zrobiły się teraz jasnozłote, a z przodu i po bokach beżowe, khaki i koloru terakoty. W powietrzu nie czuło się już tak ostrego chłodu. Iris usiadła oparta o dający cień bok auta, z wyprostowanymi przed sobą nogami w brązowe plamy. Ruby wypła jeszcze ostatni łyk wody i zakopała butelkę do połowy w piasku obok Iris, a koszyk z resztą owoców i suszonymi morelami postawiła w zasięgu jej rąk. Upewniła się, że babcia ma na głowie kapelusz i jest osłonięta chustką, po czym kucnęła naprzeciwko, patrząc jej w oczy, czy dociera do niej to, co mówi.

- Idę szukać pomocy. Postaram się zrobić to jak najszybciej. Zostań tutaj w cieniu i nie ruszaj się od samochodu. Od czasu do czasu napij się łyk wody i, zobacz, tutaj są dwie pomarańcze i dwa granaty. Iris?

- Nie jestem głucha. Obiecasz, że będziesz uważała, gdzie idziesz, Lesley, dobrze?

Gdzie ona teraz była, w swej niepojętej dezorientacji?

- Tak.

Ruby schyliła się i szybko pocałowała ją w policzek. Głowa i stopy jej ciążyły, ale serce waliło od nadmiaru adrenaliny. Im szybciej pójdzie - rozumowała - tym szybciej tu wróci.

Ruszyła w kierunku płonącej kuli słońca. Na grzbiecie pierwszej wydmy obejrzała się. Widziała tylko stopy Iris wy-

stające zza samochodu i jej własne ślady na piasku, już nieco zatarte. Pustynia ją zdradzała. Wdrapała się na wydnię, zeszła w dół i znów się wspinała, cały czas idąc w stronę słońca. Była to ciężka praca i wkrótce zabrakło jej oddechu. Następna wydma była wyższa, więc przyszło jej do głowy, że gdy znajdzie się na jej szczycie, zobaczy w oddali szosę z jadącymi po niej ciężarówkami i autobusami wycieczkowymi, których błysk w słońcu zwiastuje jej ocalenie.

Wspinała się z wielkim mozołem, ale piasek ciągle obsuwał się razem z nią. Pot zalewał jej oczy. Na ostatnich metrach podparła się rękami i tak doczołgała się na górę.

Wyrzwała na drugą stronę wydmy. Nie było widać żadnej drogi. Same wydmy, w każdą stronę takie same wydmy.

Obróciła się w koło na kolanach. Czuła na twarzy podmuch wiatru, ale on sypał piaskiem. Ślady, które zostawiła za sobą i które łączyły ją z Iris, były już ledwo widocznymi wgłębieniami, a każdy kolejny podmuch zacierał je jeszcze bardziej. Gdy całkiem znikną, nie będzie wiedziała, gdzie jest Iris.

To było nie do zniesienia, nie do pomyślenia zostawić ją tam samą.

Ruby podniosła się chwiejnie i zaczęła biec z powrotem tą samą drogą, którą przyszła. Już było trudno odróżnić ślady stóp od naturalnych wgłębień wyżłobionych przez wiatr.

Proszę, niech ją znajdzie. Proszę, proszę.

Ślub Farii był przepiękny. Każdy jego szczegół tryskał bogactwem obu rodzin i promieniował ich zadowoleniem z połączenia tak znakomitych rodów.

Średniowieczny kościół koptyjski jarzył się od świeczek. Ja i Sarah siedziałyśmy pod wielkim złocistym kandelabrem wraz z całą śmietanką towarzyską Kairu i przyglądałyśmy się, jak Ali oczekuje na przybycie panny młodej. Stał między swym ojcem a bratem, wszyscy trzej w srebrzystoszarych fra-

kach, o ciemnych twarzach bez wyrazu, emanujący pewnością siły swej wspólnoty.

Faria spóźniła się prawie pół godziny. Pomyślałam, że to jej naprawdę ostatni gest niezależności. Odtąd Ali będzie od niej wymagał, żeby zachowywała się jak dobra, uległa egipska żona. Szła wzdłuż nawy powolnym krokiem, ciągnąc za sobą ogromny, wyszywany perłami tren. Miała talię osy. Dieta i bezlitosny francuski gorset dokonały cudu.

Gdy Ali podszedł do jej boku, pozwoliła mu ująć się pod ramię, ale twarz miała od niego odwróconą, jakby to był tylko odzwierny lub majordomus, który spieszy pomóc jej wysiąść z limuzyny. Zerknęłam na Sarah, jakbym chciała wyczytać z wyrazu jej twarzy, czy też zastanawia się nad losem tego małżeństwa, ale miała schyloną głowę i skubała brzeg swej cienkiej rękawiczki.

Pomyślałam, że Faria znajdzie jednak sposób, żeby ułożyć sobie życie wedle własnych życzeń.

Za pięć dni ja zostanę żoną Xana.

Dziesiątki płomyków świec drżały w ciężkim od kadzideł powietrzu wypełnionego po brzegi kościoła. Przysłuchiwałam się koptyjskiej liturgii.

Wesele odbywało się w posiadłości rodziców Farii. Państwo młodzi poprowadzili pieszy orszak z towarzyszeniem *zaffy*, długiej kolumny doboszy i tancerek brzucha, którzy grali, śpiewali i tańczyli wokół nich. Olbrzymi hol wejściowy domu udekorowano wysokimi snopkami zielonej pszenicy, symbolizującej płodność, ze złotymi wstążkami, które, jak sądzę, oznaczały pieniądze. Ali i Faria, król i królowa tego dnia, zasiedli między snopkami pod złotym baldachimem, by witać gości. Byli wśród nich prawdziwy król i królowa Egiptu.

Nie było oficerów polowych z oddziałów alianckich. Dwa dni wcześniej Rommel przypuścił swój od dawna oczekiwany atak.

Na pustyni, po symulowanym ruchu wojsk włoskich na północ od linii Gazala, oddziały pancerne wykręciły na południe wokół Bir Hacheim i teraz, walcząc, przedzierały się przez brygady pancerne generała Richiego w kierunku Tobruku. Tymczasem samochody pancerne i piechota niemieckiej 90. Lekkiej wdarły się na odsłonięte linie łączności alianckiej ariergardy.

Spacerowałam po rozjarzonych blaskiem salach. Wszędzie ustawiono w wazonach lilie o zniewalającym zapachu, a podłogę posypano płatkami róż; była służba w białych rękawiczkach i niewyobrażalne mnóstwo klejnotów. Zjawiła się mała grupka znajomych z ambasady i z nimi udałam się do sali jadalnej. Uginające się od potraw stoły ciągnęły się nieskończenie w ogromnej sali. Jedzenia było o wiele więcej, niż mogły go zjeść setki gości, a nawet niż potrzeba, by zrobić na nich wrażenie. Wystarczyłoby go dla całej armii. Stanik mojej najlepszej jedwabnej sukienki już zaczął mnie uwierać. Gdy odwróciłam się od „lodowego” łabędzia, który dźwigał między skrzydłami kryształową salaterkę z kawio-rem z białugi, zobaczyłam podchodzącego do mnie Roddy'ego Boya.

Ujął moje ramię, stając tak blisko, że odruchowo odsunęłam się w bok. Uderzyłam biodrem o brzeg stołu i łabędź zdawał się dziobnąć pełne aromatów powietrze.

- Iris, proszę panią na chwilę.
- Dokąd?

Moi towarzysze wycofali się wcześniej i zostaliśmy z Roddym sami.

- Muszę pani coś powiedzieć.

Wiedziałam. Już wiedziałam.

Na drugim końcu jadalni znajdowała się wnęka. Usiadłam na pozłacanej empirowej kanapie, a Roddy Boy położył dłoń na moim ramieniu.

- Proszę mi powiedzieć od razu - poprosiłam.

- Mam bardzo złą wiadomość. Obawiam się, że kapitan Molyneux poległ w boju dwa dni temu, na Al-Kattarze.

Zdaje się, że poprosiłam go o więcej informacji.

Kilka metrów od nas goście Farii i Alego nakładali sobie homary i kawior na biało-złote porcelanowe talerze. W sali obok śpiewano, tańczono i głośno wyrażano aplauz. Przyjęcie weselne rozkręcało się na dobre.

Słuchałam słów Roddy'ego Boya, jakbym już je znała.

Mówił, że Xan i jego arabski zwiadowca prowadzili mały oddział rozpoznawczy szlakiem, który ich patrol uznał za dający możliwość przesunięcia czołgów alianckich na południowe skrzydło 8. Armii. Była to ściśle tajna operacja, znana bardzo niewielu ludziom spoza Zarządu Operacji Specjalnych. Gdy ich mała kolumna przebijała się przez nawiane wiatrem strome i płaskie wzgórza depresji Al-Kattara, pojawiła się eskadra włoskich samolotów Macchi i naleciała na nich z dokładnością wykluczającą przypadek. Większość ludzi zginęła od broni maszynowej i dział, a kilka pojazdów stanęło w płomieniach.

Opancerzone ciężarówki i samochody należały do 11. Pułku Huzarów, a zastępcą ich dowódcy był kapitan James. Kapitan został ciężko ranny, ale przywieziono go z pustyni i znajdował się teraz w Szpitalu im. Królowej Marii. To właśnie on zdał relację z tego incydentu i doniósł o śmierci Xana jednemu z oficerów pracujących w Kwaterze Głównej.

- Bardzo mi przykro - powiedział Roddy. - Przyjechałem tu natychmiast, jak tylko się dowiedziałem.

Jakoś udało mi się odezwać. Brzmiało to, jakby mówił za mnie ktoś inny.

- Dziękuję. Pułkownikowi Boyce, skąd wróg mógł wiedzieć, że patrol Xana jest na Al-Kattarze?

Byłam pod wpływem szoku. Część mego umysłu wydawała się krystalicznie czysta i sprawna. Przebiegały po niej

myśli złe i gwałtowne. Druga część była czarna, zatrzaśnięta, niedowierzająca.

- Obawiam się, Iris, że nie umiem na to odpowiedzieć, chociaż chciałbym.

Nie umie albo nie chce - pomyślałam. Był przeciek informacji wywiadu, dokładnie tak, jak podejrzewał Xan. Roddy niespokojnie biegał wzrokiem w stronę drzwi jadalni. Był w niesłychanym napięciu i miał mnóstwo obowiązków. Przekazał mi wiadomość i chciał już odejść.

- Pójdę do szpitala - powiedziałam. ...

- Jest pani pewna, że tego chce?

Już zerwałam się na nogi i szłam jak na oślepie przez tłum gości i obok snopków zielonej pszenicy płodności.

- Mam tu samochód Kwatery - wyjąkał Roddy, usiłując dotrzymać mi kroku. - Może pani nim jechać, ja pójdę na piechotę.

- Dziękuję - powiedziałam jeszcze raz, nawet się nie oglądając.

W samochodzie, jadąc znaną trasą, gapiłam się na ludzi, którzy szli i rozmawiali, jakby nic się nie stało. Ja wciąż żyłam, oddychałam i siedziałam na skórzanym obiciu. Moje ręce, oparte na kierownicy, były miękkie jak wosk. Widziałam ludzi. Niemożliwe, żeby Xan nie żył. Xan, który był bardziej żywotny niż niejeden z nich. Moje usta poruszyły się i usłyszałam, że wymawiam jego imię.

W szpitalu, wypełnionym kierowcami z korpusu transportu, personelem medycznym i rannymi, ludzie gapili się na mnie i odsuwali, pozwalając mi przejść. Byłam w sukni z przyjęcia weselnego, a na twarzy musiałam mieć maskę szoku. Poszłam do biura i z uprzejmą pomocą Christiny Tsatsas dowiedziałam się, gdzie umieszczono Jessiego.

Leżał za parawanem na oddziale pełnym mężczyzn przywiezionych właśnie z pola bitwy. Jego twarz była bielsza od

opatrunków pokrywających górną część jego tułowia, a jasne włosy były ciemne od błota i krwi. Początkowo myślałam, że jest nieprzytomny, ale gdy wzięłam go za poplamioną krwią rękę i potrzymałam ją, otworzył oczy.

- Iris.

- Tak.

Jego wargi poruszały się, ale głos był ledwo dosłyszalny,

- Xan. Tak mi smutno.

- Ciii...

Ucichł i zbierał w sobie resztki sił.

- Nalot powietrzny. Znikąd.

- Roddy Boy mi mówił.

- Zobaczyłem... przyleciały prosto na nas.

— Jessie. Muszę cię o to zapytać. Czy jesteś pewny, że on nie żyje?

Może jest jakaś szansa, że się pomyłono, może on ma choć najdrobniejszą wątpliwość, która da mi nadzieję. Jednocześnie modliłam się, żeby nie było żadnej pewności, żadnej szansy na to, że on leży tam na piasku śmiertelnie ranny.

Na stoliku obok parawanu stała karafka z wodą i leżała gąbka. Namoczyłam ją i przyłożyłam Jessiemu do ust.

- Był w pierwszej ciężarówce. Reszta nas rozciągała się za nią długim sznurem. Pojazd Xana przyjął na siebie główne natarcie.

Powiedzenie tego zużyło wszystkie siły, jakie miał.

- Cii... - powiedziałam znowu. Trzymałam go za rękę, gdy zza parawanu zajrzała pielęgniarka, spojrzała na mnie i odeszła.

Jessie jeszcze raz zebrał się w sobie.

- Ciężarówka stanęła w ogniu. Jedna ognista kula. Żaden z nich nie wyszedł. Usiłowałem tam pobiec i zobaczyć, ale samoloty wróciły dokończyć dzieła i...

Jessie zamknął oczy. Wydał z siebie westchnienie. Nie powiedział już nic więcej, a ja siedziałam dalej, trzymając

jego rękę i czując, jak życie zdaje się z niego uchodzić: z palców, całych rąk i nóg, i skupia się w lekkim drzeniu w okolicy serca. Sama czułam się ciężka i sztywna jak kawałek drewna.

Gdy parawan rozsunał się, myślałam, że to znów pielęgniarka, ale ktoś położył mi dłoń na ramieniu- Podniosłam wzrok i zobaczyłam Daphne. Była w fartuchu, a jej sterczące włosy były spłaszczone pod białym czepkiem lekarskim. Oczy miała podkrążone ze zmęczenia. Patrzyłam, jak przeszła na drugą stronę łóżka i położyła palce na szyi Jessiego, a potem zaświeciła mu małą latarką w jedno i drugie oko. Nie zmieniła wyrazu twarzy.

- I co? - spytałam.

Pokręciła głową.

- Xan nie żyje - powiedziałam.

Podeszła do łóżka od mojej strony, wyplątała moją rękę z zimnych palców Jessiego i położyła mi ręce na ramionach. Potem przyciągnęła do siebie moją głowę. Pachniała karbolem, środkiem odkażającym i jeszcze czymś - pomyślałam. Krwią.

- Xan nie żyje - powtórzyłam. Wiedziałam, że jeszcze nie zaczęłam kojarzyć, co znaczą te słowa.

- Iris, posłuchaj. Chodź ze mną do kantyny. Zrobię ci herbaty.

- Nie. Zostanę tutaj.

Kiwnęła głową ze znużeniem.

- No dobrze. Ja muszę już iść, ale wrócę tu, jak będę mogła.

Odwróciłam się z powrotem do Jessiego i wzięłam go znów za rękę. Zbliżyłam usta do jego ucha i przypomniałam mu wieczór, gdy poznaliśmy się u lady Gibson Paszy, i muła na przyjęciu noworocznym u pani Kimmig-Gertsch. Powiedziałam, że pojedę do domu i spotkam się z jego rodziną, i o tym, że kochałam Xana i zawsze będę go kochała. Tak na-

prawdę czułam gniew, ale powiedziałam mu, że jestem dumna z nich obu.

Jessie już nie odzyskał przytomności i umarł wczesnym rankiem.

Potem Daphne wyprowadziła mnie z oddziału.

- Musisz teraz iść do domu i odpocząć - nakazała mi. - Pamiętaj o dziecku.

Od chwili, gdy zobaczyłam Roddy'ego Boya idącego w moim kierunku, nawet o nim nie pomyślałam. Zapomniałam, że jestem w ciąży.

Kolejne zbcze wydmy i rozpaczliwe łapanie oddechu w rytm powtarzanych w myśli słów: „proszę, niech ją znajdę”. Ślady jej odchodzenia od samochodu były już prawie niewidoczne.

Ruby wspięła się na czubek wydmy i we wgłębieniu za nią ujrzała garbusa. Nogi ugięły się pod nią i usiadła ciężko na piasku, dalej już ześlizgując się na sam dół Iris nie ruszyła się z miejsca, ale po jej twarzy płynęły łzy i lśniły w słońcu.

Ruby uklękła przed nią i przygarnęła ją do siebie. Pośpiesznie szeptała:

- Już dobrze, jestem tutaj, jesteś bezpieczna, wszystko będzie dobrze, posłuchaj, już cię nie zostawię, Asz nas znajdzie, Asz i Mamduh, i Ciocia, przyrzekam, muszą nas znaleźć, prawda? - Usiłowała ją pocieszać, wcale w to nie wierząc. Sama wiedziała, jak marnie i niewiarygodnie brzmią te zapewnienia. W każdym razie Iris wpatrywała się w nią przez łzy, jakby nigdy jej przedtem nie widziała. Ona nie płakała z powodu ich trudnej sytuacji ani dlatego, że została sama. Płakała za czymś, co tkwiło głęboko w jej umyśle, i Ruby nie miała do tego dostępu.

Puściła ją i Iris znów oparła się o na wpół zasypany piaskiem samochód.

To pewnie dobrze jej zrobi - pomyślała Ruby. Niech zo-

stanie ze swymi wspomnieniami. Lepiej, niż miałyby myśleć o tym, co się dzieje naprawdę.

Odkręciła wodę i podała butelkę Iris, a potem napiła się trochę sama. To była najtrudniejsza rzecz, jaką przyszło jej zrobić: nie połykać od razu ostatnich łyków. Miały już tylko niecałe pół litra wody.

Upływał dzień. W południe, siedząc ramię w ramię w małym kręgu cienia, zjadły do spółki owoc granatu. Każda jego cząsteczka dawała zwodnicze wrażenie kropelki płynu na ich spieczonych językach. Iris milczała, zagubiona we wspomnieniach, a myśli Ruby krążyły coraz ciaśniej wokół jednej sprawy.

Nad ich głowami latały samoloty. Może gdyby rozпалиła ognisko, zobaczyliby dym? Opony samochodu paliłyby się, dając gęsty, czarny dym, ale jak je podpalić bez zapalek?

Szukała w pamięci fragmentów programów o szkole przetrwania, które tak lubił oglądać jej ojczym. Skupić promienie słoneczne przez soczewkę albo użyć baterii z aparatu. Nie miały nic takiego.

Słońce wędrowało po niebie.

Większą część popołudnia Lesley spędziła w ogrodzie, zmiatając opadłe liście ze ścieżek z cegieł ułożonych w jodełkę, ale zrobiło się już za ciemno, żeby pracować. Przez oszklone drzwi salonu widziała Andrew siedzącego z książką w swoim fotelu. Przynajmniej nie stukał w laptopa ani nie sprawdzał wiadomości na kieszonkowym komputerze BlackBerry. Zaniesie mu herbatę i zasunie zasłony. Odniosła miotłę do szopy, starannie zamknęła drzwi na kłódkę, bo w zeszłym tygodniu ktoś włamał się do szopy Macych i ukradł im kosiarzkę oraz gazowy rożen. Colin Macy palił dziś liście i wilgotne powietrze przesiąknięte było dymem z ogniska.

W kuchni umyła ręce i nalała wody do czajnika. Usłyszała, że Andrew rozmawia przez telefon. To pewnie Ed

dzwoni, żeby powiedzieć, o której go odebrać po sobotnim treningu rugby.

Lecz Andrew pojawił się w drzwiach do kuchni.

- Jakiś francuski lekarz dzwoni z Kairu. Chodzi o Ruby.

Lesley zasłoniła dłonią usta.

- Coś jej się stało?

- Mówi, że ona i twoja matka wyjechały wczoraj rano z domu i dotąd nie wróciły.

Lesley zrobiła dwa kroki do telefonu w kuchni. Francuski, utkwiono jej w głowie. Odchrząknęła, by oczyścić gardło.

- *Bonsoir? Je suis la mere de mademoiselle Ruby Sawyer...*

- Dobry wieczór, madame. Niestety, obawiamy się trochę o pani córkę i pani matkę - zaczął lekarz płynną angielszczyzną, choć z akcentem.

Po odłożeniu słuchawki ręce Lesley trzęsły się. Andrew nadal stał w drzwiach.

- Musimy tam lecieć - oznajmiła. - Jutro, najszybciej, jak możemy.

Nie próbował się przeciwstawiać ani mówić, że przesadza i powinna się uspokoić. Tylko kiwnął głową.

- Sprawdzę, kiedy są loty.

Ruby wstała i odeszła kawałek od samochodu, tam gdzie piasek wznosił się ku górze. Jej ciało szarpało się nerwowo i ciarki przechodziły ją jak prąd. Nie mogła siedzieć bez ruchu. Niebo było nieskazitelnie błękitne, a wzdłuż linii, gdzie grzbiet wydmy stykał się z niebem, widoczny był wielokolorowy zygzak tańczącego światła, tak jakby piasek tlił się małym płomieniem. Ten widok jeszcze wzmógł palące ją pragnienie, więc odwróciła się od niego i przykucnęła. Piasek dookoła jej stóp poznaczony był małymi, posplatanyimi wzorami i po chwili przypomniało jej się, że są to ślady afrykańskich żuków. Pogrzebała bezładnie palcami w piasku i wy-

czuła kilka ostrych pasemek, a gdy je wykopała, okazało się, że są to łodyżki sztywnej, bezbarwnej trawy, zasypanej przez burzę piaskową.

Trawa, chrząszcze, one mogą przetrwać.

A my?

Iris leżała na boku przy samochodzie, z głową zasłoniętą białą chustką. Jej spokój i zgoda na to wszystko przerażały Ruby. Ale teraz już wszystko ją przerażało. Nie miały wody, został im tylko jeden granat. Za godzinę pewnie znów zrobi się ciemno.

Ruby myślała: a więc tak właśnie się umiera?

W jej oczach zbierały się palące łzy żalu nad sobą, lecz całe ciało było zbyt wysuszone, żeby trwonić łzy. Zamiast tego wydobyła z siebie zupełnie nie swój głos.

- Ja nie chcę umierać. Pieprzę to, nie chcę umierać.

14

Pod niebem bez jednej chmurki temperatura obniżyła się natychmiast, gdy zapadła ciemność. Ruby pomogła Iris położyć się na tylnym siedzeniu samochodu i usiadła obok, trzymając jej głowę na swoich kolanach. Iris złożyła ramiona na piersiach i przyciągnęła wysoko kolana, żeby się zmieścić w małej przestrzeni, a Ruby zdjęła własny podkoszulek i okryła nim jej biodra jak kocem. Obie trzęsły się z zimna, ale nawet to tylko odrobinę odwracało ich uwagę od pragnienia.

Ruby postanowiła, że pozostała jeszcze połówkę granatu zjedzą do spółki, gdy wzejdzie słońce, a potem zdecyduje, co dalej robić.

Ale słowa: „co robić” sugerowały szeroki wybór, należący do tego cennego świata, który właśnie wymknął im się z rąk.

Wyjdź, zostań. Zapal papierosa albo nie. Kawa czy herba-

ta, pizza czy curry, kino czy telewizja - przyziemne wybory, których nigdy należycie nie doceniała. A cóż dopiero mówić o sprawach ważniejszych, jak to, czy wybrać samotność, czy towarzystwo, czy postawić działanie ponad ogarniającą cię inercję, szlachetne wyrzeczenie ponad obrzydliwe folgowanie swoim zachciankom.

Układała sobie w myślach w pary różne alternatywy, a te w wyobraźni nabierały blasku, jakim nigdy dla niej nie świeciły w prawdziwym życiu.

Jeśli się stąd wydostanę, jeśli my się wydostaniemy myślała - nigdy nie pozwolę sobie na to, by nie cenić każdej z upływających zwykłych minut każdego dnia, nawet jeśli ten moment wyda mi się smutny i zły.

Życie jest nadzwyczajne. Dlaczego dotąd o tym nie wiedziała?

Uzmysłowiła sobie, że porusza wargami, formując słowa, chociaż gardło było zbyt obolałe, by wydać dźwięk. Pogłaskała włosy Iris, czując, jakie są oblepione piaskiem. Było zimno, przez tylną szybę widać było skrawek nieba upstrzony dalekimi gwiazdami, wśród których wisiał zimny srebrny sierp księżyca. Widok samolotów sunących po niebie w stronę pełnego światła i wrzawy lotniska jeszcze zwiększał ich samotność na pustyni.

- Iris? - zachrypiała Ruby.

Odpowiedzi nie było. Prawie nie rozmawiały od czasu, gdy wypily ostatnie łyki wody. Ruby miała nadzieję, że babcia śpi, a jednocześnie przerażało ją, że była tak cicha i nieruchoma. Iris była wątpła i z każdą godziną coraz słabsza.

Ruby podniosła jej głowę, krzywiąc się z bólu, bo w nogę złapał ją kurcz.

Wybór. Rozważała te ograniczone możliwości, jakie otworzą się dla niej ze wschodem słońca.

Mogły tu siedzieć, z nadzieją, że ktoś je znajdzie. W końcu zaczną się poszukiwania i zostaną odnalezione siedzące

w samochodzie, który już wrósł w pustynię. Ale to był Egipt. Myśląc realistycznie, jak długo zajmie Mamduhowi i Cioci zorganizowanie ratunku? Najprawdopodobniej, zanim ktokolwiek do nich dotrze, Iris umrze.

Albo Ruby może znów wyruszyć, tak jak zrobiła rano, ale tym razem nie może tracić nerwów i zawracać, tylko musi iść i iść, dopóki nie znajdzie pomocy albo nie padnie ze zmęczenia.

Tak czy owak. Bogactwo całego świata zredukowane do wyboru, który wcale nie był wyborem, lecz wyrokiem.

Dobrze, poczekaj do rana. Pomyśl.

Ruby nie była już w stanie myśleć o niczym innym, tylko o tych kilku kroplach płynu otaczających nasiona granatu. Musiała zacisnąć pięści, żeby powstrzymać się od sięgnięcia po owoc i wpakowania go sobie do ust. Potem znów rozluźniła dłonie i głaskała Iris po włosach. Skupiła się na powolnym rytmie tego, co robi, starając się przelać w ten czuły gest całą swoją miłość i tęsknotę za światem.

Mamduh szedł przez al-Karafa za biegnącym przed nim chłopcem w łachmanach. Podciągał fałdy swej galabii do kostek i starał się omijać sterty śmieci oraz leżące wszędzie odchody zwierząt. Była to pora dnia, kiedy zaczynało się ściemniać i niebo nabierało barwy indygo. Płaskie brązowe groby i bezbarwny piasek w Mieście Umarłych pociemniały. Ostre kształty budowli zaznaczyła srebrzysta aura. Właśnie wschodził księżyc i wypalona słońcem dzienna sceneria zmieniała się w egzotyczny świat zmierzchu.

Nawet na chwilę nie zatrzymywał wzroku na widocznych w świetle księżycy grobach Mameluków. Nie spuszczał go natomiast ze swego małego, wychudzonego przewodnika, który zapuszczał się coraz dalej pomiędzy niskie grobowce przeciętnych rodzin. Uliczki wyglądały na wyludnione, ale wyczuwało się w nich czujną obecność ludzi. Po kilku kolej-

nich zakrętach doszli pod jakieś zamknięte drzwi i dziecko wskazało na nie bez słowa. Potem wyciągnęło rękę i dotąd ciągnęło Mamduha za rękaw, aż ten wrzucił mu w dłoń kilka monet. Wtedy przeskoczyło zwałoną kolumnę i zniknęło w szarym zmierzchu.

Mocno zastukał w drzwi. Uchyliły się odrobinę i pokazała się w nich twarz Nafiza. Mamduh sięgnął i chwycił go za kołnierz skórzanej kurtki. Z niespodziewaną siłą wywłókł go na zewnątrz, a w uchylonych drzwiach natychmiast pojawiły się twarze matki i babki Nafiza.

Mamduh potrząsał Nafizem i zarzucał go gradem pytań, ten zaś wił się jak piskorz, próbując się wyswobodzić z uścisku.

Piskliwie odkrzykiwał, że Aszraf jest w pracy w szpitalu Bab al-Futuh i poprzedniej nocy też był jak zwykle w pracy, a Ruby nie widział przez całe dwa dni.

Obie kobiety odważyły się wyjść z zacisza grobowca i teraz wszyscy stali kółkiem pośród zmierzchu barwy indygo. Mamduh odwrócił się do nich i zapytał ostro, czy to prawda.

- To prawda - broniła syna matka. Parę razy Aszraf przyprowadzał do nich tę młodą dziewczynę, ale nie w ciągu ostatnich dwóch dni. A wczoraj po południu powiedział, że pójdzie się z nią spotkać, ale wrócił i oświadczył rodzinie, że nie przyszła na zwykłe miejsce o umówionej porze. Tak samo dzisiaj.

Co Aszraf mógł zrobić? - pytała. Czy to wina jej syna, jeśli angielska dziewczyna jest niesłowna?

Mamduh odparł, że jej syn teraz musi powiedzieć prawdę na policji.

Obie kobiety przysunęły się bliżej do Nafiza i coś do siebie gniewnie mamrotały, a Nafiz stanął przed nimi i głośno obstawał przy tym, że jego brat i policja nie mają o czym ze sobą rozmawiać.

— To się okaże ostrzegł go Mamduh.

Powiedział mu, że policja właśnie szuka panienki i jej babci, doktor Black, która również zaginęła. Ojciec i matka dziewczyny już jadą z Anglii dopilnować poszukiwań. Wszyscy będą chcieli rozmawiać z Aszrafem, a także z resztą rodziny, i dobrze by było, żeby sobie przypomnieli każdy drobny szczegół i mówili tylko szczerą prawdę.

Babka Asza zakryła twarz chustą i zaczęła lamentować.
Mamduh oddalił się w stronę, z której przyszedł.

Ruth głaszcze mnie po włosach.

Po śmierci Xana nadal prowadziłam zwyczajne życie, lecz nie czułam się jak żywa istota. W dniu, w którym miał się odbyć nasz ślub, i przez następne dwa tygodnie pracowałam dla Roddy'ego Boya, chodziłam do szpitala na swoje ochotnicze dyżury i wracałam do domu w Garden City. Był to trójkąt złudy, ponieważ w każdym z tych miejsc marzyłam, żeby być w którymś z pozostałych, i zdawało mi się, że mój ból będzie tam łatwiejszy do zniesienia niż tu, gdzie właśnie się znajdowałam. Tak nigdy się nie działo, ale nie pozostało mi nic prócz kontynuowania tego, co robiłam.

Powiedziałam Roddy'emu Boyowi i Sarah oraz Daphne i Ruth, że dam sobie radę.

Do połowy czerwca Rommel jeszcze raz podszedł pod Tobruk. Po wielu dniach zaciętych walk i ogromnych strat po obu stronach miasto zdobyli Niemcy. Oddziały pancerne przemieściły się w kierunku Al-Alamajn i granicy z Egiptem, spychając przed sobą szczątki rozbitej 8. Armii. Aleksandria była bezpośrednio zagrożona, a w Kairze zapanowało napięcie. Wydawało się nieuchronne, że państwa „osi” w ciągu najbliższych dni dotrą do delty Nilu.

Ruth i Daphne opiekowały się mną, jak mogły najlepiej. Któregoś wieczoru Daphne zawiozła mnie do mieszkania przy szosie na Heliopolis. Siedziałam na tym samym krześle, co podczas pierwszej wizyty, i piłam resztki słodowej

whisky, którą im wtedy przyniosłam w prezencie. Próbo-
wałam sobie przypomnieć szczęście, jakie mnie wówczas
przepełniało, ale nie byłam w stanie. Na tamto wszystko za-
padła ciemność.

- No, śmiało - namawiała Daphne. - Spróbuj coś zjeść.

Wzięłam talerz ich dobrego jedzenia i podniosłam pełny
widelec do ust.

Gdy wychodziłam z domu, nie odczuwałam jeszcze tak
wyraźnie tego bólu, ale teraz dotarło do mnie, że jestem chora.

Złapałam się ramienia Daphne.

- Przepraszam - wykrztusiłam.

Przyjaciółki popatrzyły na mnie, a potem na siebie. We-
wnątrz brzucha czułam zaciskający się ból.

- Przepraszam was bardzo - usłyszałam niewyraźnie swój
głos. Schyliłam głowę, usiłując wytrzymać ten ból.

Ruth i Daphne mówiły coś ściszonymi głosami. Daphne
położyła mi jedną rękę na czole, a drugą trzymała mnie za
nadgarstek. Gdy tylko mogłam wstać, poszłam do łazienki
i zobaczyłam krew. Wąska strużka krwi spływała po we-
wnętrznej stronie mojej nogi. Jej ciemne krople kapały na ka-
felki podłogi.

Moje przyjaciółki położyły mnie na swoim łóżku. Bardzo
mi się chciało pić, paliło mnie pragnienie.

Ruth siedzi koło mnie i znów gładzi moje włosy, ale nie
ma nic do picia, a ja jestem już tak wewnątrz spieczona, że
nie mogę nawet poprosić o picie. Głaskanie mnie uspokaja,
ale jest mi zimno, trzęsę się. Jest ciemno, a moje ręce i nogi
są zgięte i ściśnięte na małej przestrzeni.

Ruby nie spała. Nie wiedząc, czy pragnie świtu, czy się go
potwornie lęka, przeżyła najdłuższą noc w swoim życiu.
Księżyc się schował i w najciemniejszych godzinach nocy nic
było nawet samolotów, które by jakoś je łączyły z przyjaz-
nym światem.

W końcu gwiazdy zaczęły znikać i na horyzoncie pokażała się srebrzystoszara linia. Gdy zaczęło się znów rozwidniać, Iris poruszyła się i jęknęła. Ruby pomogła jej usiąść, a potem ujęła w dłonie jej twarz.

- Iris, posłuchaj. Spójrz na mnie. Muszę iść sprowadzić pomoc, inaczej umrzemy.

Spękane wargi Iris wykrzywiły się, gdy usiłowała coś powiedzieć. Nie wydały jednak żadnego dźwięku, tylko jej oczy powiedziały Ruby, że rozumie, co ona mówi.

- Nie chcę cię zostawiać, ale nie wiem, co innego mogę zrobić.

Wtedy Iris kiwnęła głową, bardzo powoli, lecz zdecydowanie.

- Wyruszę, jak tylko na dobre się rozwidni.

Ponowne kiwnięcie.

- Zjedzmy to - powiedziała Ruby. Zachowana połówka granatu była cała w piasku. Ruby zdarła skórkę, ostrożnie, żeby nie uronić ani jednej kropli soku, lecz owoc był prawie wyschnięty. Dała Iris dwie trzecie i zatopiła zęby w pozostałości. Nastąpił moment ekstazy, gdy z rozgryzionych kuleczek wycisnęła na język kilka kropli płynu, ale to było wszystko. Dalej żuła tylko pozostałą suchą miazgę. To samo robiła Iris.

Słońce jeszcze nie pokazało się na niebie i powietrze przenikał chłód, ale było już widno. Ruby wyszła z samochodu i zanurzyła stopy w chłodnym piasku.

- Zanim pójdę, pomogę ci wygodnie usiąść.

Wzięła Iris za rękę i pomogła jej wyjść z auta, a potem, trzymając ją w pasie, delikatnie posadziła obok niego na piasku. Ruby wiedziała, że jeśli nie pójdzie natychmiast, nie będzie w stanie zostawić babci. Schyliła się i pocałowała ją w czoło.

- Kocham cię - powiedziała. - Niedługo wrócę. Czekaaj na mnie, dobrze?

Już się wyprostowywała, gdy Iris złapała ją za rękę. Ruby musiała znów się pochylić i zbliżyć ucho do ust Iris, żeby wychwycić jej słowa.

- Idź, nic się nie martw.

Wiedziała, o czym Iris mówi.

- Ja tu wrócę - powtórzyła gniewnie. Wstała i zaczęła iść.

Nie oglądała się, dopóki nie weszła na grzbiet najbliższej wydmy. Garbus wyglądał na element pustym jeszcze bardziej niż wczoraj.

Zaledwie wczoraj!

Starła się usilnie zapamiętać kształt sąsiednich wydm; szukała jakiegoś znaku szczególnego w krajobrazie, który by pomógł rozpoznać to miejsce i sprowadzić pomoc. Lecz ciemnobrazowe łuki i wgłębienia wydm były nieubłaganie wszystkie takie same.

Ruby odwróciła się od samochodu i babci i, brnąc w piasku, powlokła się na wschód. Szła najszybciej, jak mogła. Słońce jeszcze mówiło jej, w którą stronę.

Daphne wezwała taksówkę i obie z Ruth zabrały mnie do Kairskiego Szpitala dla Kobiet i Dzieci, prowadzonego przez zakonnice. Tam, w białej sali z zamkniętymi żaluzjami, poroniłam swą szesnastotygodniową ciążę, syna Xana.

Opiekowały się mną łagodne siostry o gładkich policzkach. Przez dwa dni nie chciałam się widzieć z nikim oprócz Ruth, która przychodziła po pracy i siedziała obok mnie w milczeniu przez kilka minut. Leżałam i patrzyłam na białe ściany. Chciałam umrzeć.

Xan nie żył, a teraz straciłam ostatnią cenną rzecz, jaka mnie z nim łączyła. Pamiętałam, jak bardzo się cieszył, gdy mu powiedziałam, że jestem w ciąży. Rozpaczałam teraz podwójnie, za siebie i za Xana, ponieważ to stracone dziecko było tak samo jego, jak i moje. To, że nie mogłam z nim dzie-

lić swego nieszczęścia, było nie do zniesienia. Nie potrafiłam pojąć, że już nigdy nie będę z nim niczego dzielić. Leżałam i płakałam, dopóki mi nie zabrakło łez. Śmierć byłaby dla mnie wybawieniem, lecz moje ciało odmawiało wyświadczenia mi tej przysługi. Zamiast pozwolić mi odejść w zapomnienie uparcie dochodziło do zdrowia.

Trzeciego dnia jedna z siostr zmusiła mnie, żebym usiadła, umyła mi twarz i uczesała włosy.

- Przyszedł ktoś inny cię odwiedzić.

- Nie chcę gości.

- Ależ chcesz. - Drzwi otworzyły się i weszła Sarah. W ręku trzymała bukiet nagietków i żółtych kosmosów, kwiatów przypominających mi ogród mojej matki.

- Ach, kochanie! - zawołała. - Tak bardzo mi przykro.

Wstawiła kwiaty w szklanę do mycia zębów, po czym usiadła na krześle obok mojego łóżka i wzięła mnie za rękę.

Patrzyłam na nią, jakby przyszła z innego świata. Minuta upłynęła w milczeniu, a potem ścisnęłam jej dłoń.

Widok Sarah uzmysłowił mi po raz pierwszy, odkąd straciłam dziecko, że w tym świecie istnieje jeszcze jakiś jasny punkt. Oprócz kwiatów bladość jej cery i jasne brwi, a nawet schludny kołnierzyk nakrochmalonej bluzki pokazywały, że jest Angielką, przypominały o tamtej dalekiej, spokojnej normalności, tak odmiennej od mojej obecnej udreki. Ciągłość życia, jaką Sarah reprezentowała, sprawiła, iż poczułam, że może potrafię dalej żyć.

- Cieszę się, że tu jesteś - wyszeptałam w końcu. Jej palce zacisnęły się na mojej dłoni.

Sarah pozwoliła mi znów się rozpłakać, co skończyło się głośnym szlochaniem i krzykiem: „Jeśli nie mogę mieć jego, dlaczego nie mogłam przynajmniej mieć jego syna?!“.

Sarah pochyliła głowę.

- To jest okrutne - zgodziła się.

Myślałam, że ona nie może wiedzieć, jakie to naprawdę

jest okrutne. Zanosłam się szlochem z żalu nad sobą do chwili, gdy podniosła głowę i spojrzała mi w oczy.

- Posłuchaj, Iris. Ciężko jest to znieść, ale ty wiesz, że Xan cię kochał. Masz to w pamięci i ta pewność zostanie z tobą na zawsze.

- Tak - potwierdziłam.

- To tragedia, że on zginął. Podwójna tragedia, że straciłaś dziecko. To straszne, prawie nie do zniesienia, ale w pewnym sensie masz szczęście.

Wpatrywałam się w nią, usiłując odgadnąć, do czego zmierza.

- W jakim sensie?

- Byłaś kochana. Kochana namiętnie i całym jestestwem przez mężczyznę, któremu odwzajemniałaś się taką samą wielką miłością i podziwem. Może trwało to tylko kilka miesięcy, ale miałaś tak dużo. Razem poczęliście dziecko, dziecko miłości i nadziei, a teraz, gdy to się skończyło, możesz przynajmniej boleć po ich stracie bez uczucia wstydu.

Rozpacz, która mnie oślepiła, odrobinę osłabła i mogłam zobaczyć coś poza nią.

Nagle stało się dla mnie jasne, że ona też kogoś straciła, choć do tej pory tego nie zauważyłam.

- Co się stało tobie?

- Ja nie byłam kochana - powiedziała krótko.

- Przez kogo?

- Jeremy.

Jeremy'ego, poetę, tego nędznego obdartusa, beznadziejnie adorującego Farię.

- Ale on nie kochał Farii...

- Wiem o tym. To nie miało dla niego żadnego znaczenia. Gdy była zbyt zajęta, żeby się z nim spotykać, nie potrzebowała go jako obstawy, no to wtedy byłam ja. Dla mnie okazywało się to lepsze niż nic. Iris, potrafisz to zrozumieć?

Zawahałam się.

- Może trochę.
- Faria oczywiście z nim nie sypiała. A ja tak. To było lepsze niż nic i dla niego, rozumiesz?

Jej smutek ranił moje serce.

- Ty go kochasz.
- Tak. Straszliwie. No i zaszłam w ciążę.

W małym okienku obserwacyjnym w drzwiach do mojego pokoju mignął biały kornet jednej z zakonnice; kiwnęła głową i poszła dalej korytarzem. Nagietki w szklance płonęły krwistą barwą w przyciemnionym pokoju. Żaluzje były spuszczone, ale wiedziałam, że na zewnątrz panuje rozpalony do białości, oślepiający żar. Kair był miastem okrutnym.

- I co zrobiłaś? - zapytałam, z góry znając odpowiedź.
- Oczywiście mu powiedziałam.

Ręką, która nie trzymała mojej, nerwowo uderzała w złożone prześcieradło.

- Na co liczyłam? Że powie mi, iż to wszystko zmienia, poprosi mnie o rękę i ogłosi szczęśliwą nowinę wszystkim naszym znajomym, tak jak to zrobiliście wy z Xanem.

Twoi znajomi przyjęliby tę wiadomość ze szczerym niedowierzaniem - pomyślałam - i natychmiast zrobiło mi się wstyd za siebie.

- Ale on tego nie zrobił. Oczywiście. Powiedział tylko, że jest mu bardzo przykro i że zrobi wszystko, żeby mi pomóc. Więc poddałam się aborcji. Pojechałam do Bejrutu, pamiętasz? Jeremy dał mi na to trochę pieniędzy. Niedużo, bo sam dużo nie ma. Na szczęście ja miałam jakieś oszczędności.

A ja, zaabsorbowana swoim własnym szczęściem, uwierzyłam w historyjkę o rozstroju żołądka i wyjeździe do Libanu, żeby się wzmocnić.

- Biedactwo - powiedziałam.

Spojrzała na mnie.

- Jesteś zaszokowana? Oburzona?
- Nie, tylko zaskoczona, choć właściwie nie powinnam

być. Gdybym się zainteresowała, domyśliłabym się tego wszystkiego. Szkoda, że mi nie powiedziałaś. I żałuję, że nie okazałam ci więcej przyjaźni wtedy, gdy jej potrzebowałaś.

- Nie mogłam nikomu się zwierzyć - szepnęła Sarah. - Mówię ci to teraz, bo nie mogę znieść tego, jak strasznie przeżywasz, i przyznałabym się do gorszych rzeczy, gdybym uważała, że to może ci pomóc. Prawda jest taka, że nie byłam kochana i nie starczyło mi nawet odwagi, żeby utrzymać swoje dziecko. Teraz, gdy jest już za późno, żałuję, że go nie urodziłam. Mam sny, że je kołyszę w ramionach, a potem się budzę i ramiona są puste. Oto co zrobiłam. Dlatego ja zamieniłabym się z tobą, wiesz? Ty przynajmniej nie masz najmniejszego powodu się wstydić - dodała.

- Nie - przyznałam.

Sarah miała rację.

Objęłyśmy się i razem płakałyśmy, a ja miałam nadzieję, że płaczę nie tylko nad sobą. Potem Sarah wyprostowała się na krześle i wytarła oczy.

- Wystarczy - oznajmiła. Jej anglosaski stoicyzm znów przywołał mi na myśl mamę. Moją mamę, która jeszcze nie wiedziała, że straciła zięcia i wnuka, zanim ich w ogóle zobaczyła.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała Sarah, wyjmując z torebki puderniczkę i szminkę. Otworzyła puderniczkę i zaczęła poprawiać twarz.

Mogłam odpowiedzieć, że nie wiem albo że mi obojętne, ale powstrzymałam się.

- Zamierzam wrócić do mieszkania, jak tylko będę gotowa. Czy mogłabyś mi przynieść jakieś czyste ubranie?

- Oczywiście. - Sarah lubiła otrzymywać konkretne zadania. - Teraz jest spore zamieszanie, jeszcze większe niż zwykle. Słuchałaś BBC?

Od czasu poronienia prawie zapomniałam o wojnie. Nie słuchałam wiadomości radiowych, ale jedna z sióstr, mówią-

ca trochę po angielsku, doniosła mi, że w ciągu najbliższych godzin Aleksandria prawdopodobnie wpadnie w ręce wroga. Zagrożenie nalotami na port było tak wielkie, że cumujące tam okręty marynarki brytyjskiej zostały wycofane do Hajfy i Bejrutu. Spowodowało to panikę w mieście. Mieszkańcy Aleksandrii pakowali dobytek i wpływali w głąb delty, uciekając przed inwazją wroga.

- BBC mówi o bitwie o Egipt - powiedziała mi zakonnicca. Jej pociągła, blada twarz pod fałdami kornetu wydawała się spokojna i zrezygnowana.

- Ewakuowano kobiety i dzieci. Ambasada organizuje miejsca w pociągu do Palestyny. Ze wszystkich stron ludzie naciskają, żeby je uzyskać - ciągnęła Sarah. - Panuje chaos. Jak myślisz, co ty zrobisz?

Nie miałam pojęcia. Brakło mi poczucia celowości i nie wiedziałam, dokąd pojechać, gdybym musiała opuścić Kair. Powiedziałam obolałym głosem:

- Wrócę do pracy, jak sądzę, jeśli Roddy Boy mnie zechce. A ty?

- Ja bym chciała pojechać do Palestyny. Po co tu siedzieć i czekać na inwazję? Mamduh mówi, że połowa sklepikarzy w mieście ma już przygotowane swastyki i oflagowanie, by przywitać wojska, gdy przybędą.

- Przydadzą się. - Wbrew wszystkiemu zdobyłam się na ironiczny uśmiech.

Sarah obiecała, że przyniesie mi ubranie następnego popołudnia. Uścisnęłyśmy się pospiesznie na pożegnanie.

- Dziękuję, że przyszłaś.

Poklepała mnie po ramieniu.

- Musimy się trzymać razem, prawda?

Nagle zapragnęłam być z powrotem w mieszkaniu w Garden City, miejscu najbardziej zbliżonym do domu, ale jeśli Sarah miała wyjechać z Kairu, a rodzice Farii ostatecznie i tak chcieli, żebyśmy się wyprowadziły, musiałam poszukać

sobie mieszkania gdzie indziej. Związany z tym wysiłek wydał mi się nie do pokonania.

Tego wieczora odwiedziła mnie Ruth i stwierdziła, że wyglądam o wiele lepiej.

- Chcę stąd wyjść. Jutro, jeśli można.

- To ci tylko dobrze zrobi. - Szpital dla Kobiet i Dzieci był ponury jak grobowiec, pachniał jodyną i gotowanymi warzywami.

Poszliśmy powolutku korytarzem do świetlicy dla pacjentów, żeby razem wysłuchać wiadomości BBC. Poprzedniej nocy Aleksandria została okrutnie zbombardowana i donoszono, że sam Kair również przygotowuje się do ataku z powietrza. Był 30 czerwca.

Gdy wiadomości dobiegły końca, Ruth wyłączyła odbiornik i wyszliśmy na werandę przy drugim końcu sali. Gorący wieczór był nienaturalnie cichy. Wprowadzono godzinę policyjną dla wszystkich oddziałów wojsk, co sprawiło, że po zmroku miasto stało się niedostępne, a ulice wyludnione. Chociaż kawiarnie i nocne kluby zapewne były otwarte. Pod nami przetoczył się wózek ciągnięty przez konia, a woźnica wywijał batem.

- Pewnie już myśli o tym, jak za parę dni będzie wioził do Shepheard's jakiegoś oficera niemieckiego - zauważyłam.

Ruth zaśmiała się.

- Obsługa w Shepheard's na pewno zwolni tempo Rommla, jeśli nikt inny tego nie dokona.

Ruth powiedziała mi, że Daphne ma zamiar zostać i pracować w Kairze tak długo, jak będzie potrzebna.

- A gdzie jest Daphne, tam i ja chcę być.

Kiwnęłam głową. Ruth była oddana Daphne, a Daphne była oddana swej pracy. Żadnej z nich nie brakowało poczucia celu. Znów pomyślałam o powrocie do Londynu po wojnie, żeby studiować medycynę. Nie będę żoną Xana, ale mogę być pożyteczna w czymś innym.

Gdy Ruth poszła, leżałam na szpitalnej pryczy i częściowo spodziewałam się, że usłyszę wycie syren alarmowych, lecz tamtej nocy żadne niemieckie bombowce nie dotarły nad Kair.

Sarah przyniosła mi ubranie i zaproponowała, że poczeka i odprowadzi mnie do mieszkania, ale kazałam jej iść do pracy. Nie wiedziałam, jak długo to potrwa, zanim francuski lekarz wypisze mnie ze szpitala.

Wczesnym przedpołudniem zostałam w końcu zwolniona. Lekarz zbadał mnie raz jeszcze i powiedział, że powinnam odpoczywać, ale jestem młoda i silna, więc nie sądzi, żebym w swoim czasie nie mogła mieć zdrowego dziecka. Wiedziałam, że zapewniał mnie o tym przez uprzejmość, ale nie przejmowałam się. Nie chciałam mieć więcej dziecka ani innego kochanka, który by mi je dał. Chciałam tylko tych, których straciłam.

Zaraz po wyjściu ze szpitala zrozumiałam, że zamieszanie w mieście jest nieporównywalne z tym, co się zdarzało do tej pory. Powiedziałam Sarah, że wezmę taksówkę do Garden City, ale *szaria* Port Said była jednym wielkim, trąbiącym klaksonami korkiem. Kilka taksówek, jakie dojrzałam, było zajętych, ale i tak donikąd nie jechały. W korku tkwiły również co najmniej dwa tuziny pokrytych pyłem ciężarówek pełnych żołnierzy. Ich zmęczone twarze i przygarbione sylwetki mówiły o tym, co działo się na pustyni. Najbliższa ciężarówka stała zaledwie kilka kroków ode mnie. Kilku mężczyzn spało, z głowami opadającymi na plandekę maskującą. Byli wśród nich też ranni. Ich mundury polowe były pobrudzone krwią i kurzem. Wszyscy wyglądali na zbyt wycieńczonych i zgnębionych, by się ruszyć.

Na chodniku pod drzewami figowca pojawił się egipski sprzedawca uliczny, pchający wózek z lodem wypełniony butelkami lemoniady. Gdy zrównał się z ciężarówką, nagle za-

trzymał się i spojrzał na rzędy żołnierzy. Potem otworzył butelkę i podał ją najbliższemu mężczyźnie, który tracił łokciem rannego żołnierza siedzącego bezwładnie obok niego. Miał zabandażowane ręce, więc kolega przechylił butelkę i nalał mu schłodzonego napoju do ust.

Sprzedawca otwierał kolejne butelki, a wielkie, brudne dłonie wyciągały się po nie z wdzięcznością, aż wózek się opróżnił, a kurz pod jego stopami zamienił się w błoto od roztopionego lodu.

- Dzięki, bracie! - zawołał jeden z mężczyzn. - Rommel nie dostanie się w pobliże Kairu, nie martw się.

Orzeźwieni lemoniadą żołnierze z tyłu ciężarówki zauważyli mnie i pomachali.

- Halo, panienko! Chcesz podjechać?

- Chodź tu, wskakuj do nas.

Odmachnęłam im z uśmiechem.

Kolumna pojazdów zadrżała i ciężarówka ruszyła, wypuszczając chmurę spalin. Wyjęłam z portmonetki kilka złożonych banknotów i dałam je ulicznemu sprzedawcy. Pieniądze znikły w fałdach jego galabii, a ja przeszłam przez zatrzymany sznur pojazdów na drugą stronę ulicy. Postanowiłam pójść do Kwatery Głównej, bo znajdowała się bliżej niż mieszkanie.

Prócz ciężarówek wojskowych napływających z pustyni oraz pojazdów sztabowych z oficerami wysokiej rangi na tylnym siedzeniu większość samochodów należała do zwyczajnych Egipcjan. Wyładowane były ludźmi, całymi rodzinami, a także wszelkiego rodzaju dobytkiem. Do dachów przywiązane były walizki, meble i przeróżne kosze, a wiele z nich przykrywały jeszcze materace, żeby chronić majątek przed lecącymi odłamkami. Wyglądało to, jakby cały Kair uciekał na deltę, zanim dosięgnie go wojna.

W ulicy przed Kasr al-Ajni szeroka kolejka ludzi wiła się od schodów Banku Egiptu aż do następnego skrzyżowa-

nia. Ci, którzy jeszcze pozostali w mieście, chcieli wycofać swoje pieniądze, dopóki mogli. Minęłam kolejkę i poszłam w stronę wejścia do Kwatery Głównej tak automatycznie jak co dnia.

Nie miałam ze sobą przepustki, ale sierżant w budce wartowniczej poznał mnie.

- Dzień dobry pani. Dla niektórych praca jak co dzień, prawda?

Obskurne, wąskie korytarze zalatywały spalenizną. Oficerowie sztabowi biegali po schodach, za zamkniętymi drzwiami dzwoniły telefony. Roddy'ego zastałam siedzącego za biurkiem za stertą teczek „ściśle tajne”, zwykle trzymany pod kluczem w naszych szafach biurowych. Wstał, gdy tylko mnie zobaczył, a na jego twarzy przejęcie mieszało się z zakłopotaniem.

- Panno Black, co to znaczy? Już pani jest zdrowa, że pani tu przyszła?

Bardzo niewiele osób wiedziało, że byłam w ciąży. Jeśli chodzi o Roddy'ego, wiedział, że choruję na żołądek.

Byłam zagubiona i nie wiedziałam, gdzie indziej mogłabym teraz pójść.

- Już całkiem dobrze. Mogę coś tu porobić przez godzinę lub dwie? - błagałam.

Lubiłam teraz Roddy'ego bardziej niż przedtem. Po śmierci Xana nie powiedział nic prócz wyrażenia żalu, ale przydzielał mi pracę i nie traktował mnie jak gorszą z powodu żałoby.

Teraz pocierał brodę. Był zaróżowiony, ogolony starannie, a jego służbowe ubranie uderzało jak zawsze nieskazitelną czystością.

- Ach, tak, tak, no dobrze, jest dużo roboty. Szczególnie dzisiaj.

Zrobiłam mu poranną herbatę i położyłam na spodeczku dwie markizy.

- Co tu się będzie działo? - spytałam.

- Jeśli nasza linia utrzyma się pod Al-Alamajn, nic. Jeśli nie... - przełamał ciastko na pół - ...lepiej wszyscy się szykujemy do ewakuacji. Połowa wydziałów i Operacje Specjalne już przenoszą się dla bezpieczeństwa do Jerozolimy. A generał Corbett rozkazał spalić najbardziej poufne dokumenty, żeby nie wpadły w ręce wroga. Jeśli jest pani pewna, że może, proszę znieść to dla mnie na dół. Na zewnątrz budynku, zobaczy pani, gdy się tam znajdzie.

Wzięłam stos teczek z jego biurka i zeszałam, po schodach. Minęłam kilka pustych pomieszczeń biurowych: nie było w nich pułkowników ani brygadierów, zakurzone półki świeciły pustkami, metalowe szafy były pootwierane. Zapach spalenizny coraz bardziej się nasilał.

Na otwartej przestrzeni na zewnątrz budynku ustawiono rząd płonących beczek po oleju. Spoceni mężczyźni z twarzami osmalonymi dymem w pośpiechu wrzucali do ognia naczynia tajnych dokumentów. Operację nadzorował kapitan Frobisher.

- Cześć, Martinie.

Przywitał mnie uprzejmie. Od śmierci Xana stałam się osobą budzącą skrupowanie. Nie można było ze mną zażartować ani poflirtować.

- Ale przedstawienie, co? - Wziął teczki z moich rąk i rzucił je na oczekującą stertę.

Stałam przy nim przez kilka minut, patrząc, jak słupy dymu unoszą się ponad dachy Komendy Głównej. Prąd powietrza unosił w górę nadpalone skrawki papierów, które opadały z powrotem na ziemię jak brązowy śnieg.

Wieczorem wróciłam do mieszkania w ubraniu przesiąkniętym dymem. Razem z Roddym oczyściliśmy nasze archiwum ze wszystkiego, co mogło być poufne, a ogień w beczkach wciąż palił się jasnym płomieniem.

Mamduh miał mnóstwo nowin. Powiedział mi i Sarah, że sklepikarze zaczęli już ustawiać w oknach wystawowych

portrety Mussoliniego. Mruknął z oburzeniem: „Brytyjczycy w Egipcie nie są tacy źli, jak myślą ci ignoranci, a Niemcy i Włosi są o wiele gorsi, mówię wam”. Jego mały synek siedział na stołku, patrzył i słuchał. Sarah pracowała w ambasadzie i ona nam opowiedziała, że ambasador przez cały dzień stwarzał pozory normalności, a teraz zabrał swą małżonkę na kolację. Lecz Sandy'emu Allardyce'owi, który w całej ambasadzie mówił najlepiej po niemiecku, zapowiedziano, że musi zostać, by służyć jako łącznik z Niemcami, gdy ambasador i reszta personelu wyjedzie w bezpieczne miejsce. Przypomniawszy sobie plotki, że Sandy jest szpiegiem, spojrzaliśmy na siebie i zaczęliśmy się śmiać.

Była już noc, ale nie mogłam zasnąć. Wydarzenia całego dnia zajmowały moje myśli, teraz zaś, gdy zostałam sama, poczułam się pusta i zrozpaczona. Długo stałam w oknie, patrząc na zarys mego drzewa, dżakarandy. Czy Niemcy przyjdą, czy nie, nie miało dla mnie znaczenia. W końcu usiadłam przy stole i napisałam list do mamy i ojca, zawiadamiając ich o Xanie i dziecku.

Gdy tylko Lesley i Andrew opuścili klimatyzowane hale lotniska, osaczył ich Kair. Taksówkarze i naganiacze nagabywali ich, usiłując wyrwać im z rąk walizki. Andrew odsunął się od natrętnych rąk łapiącego go mężczyzny, ale natychmiast wyciągnęły się do niego inne z drugiej strony. Lesley schowała się za jego plecami, a on akurat zachwiał się i cofnął, nadeptując jej na nogę. O mało się oboje nie przewrócili.

- Proszę pana! Proszę pani! Chodźcie ze mną, proszę!
- Tędy, ze mną, bardzo dobra jazda.

Gdy wreszcie doszli do postoju taksówek, okazało się, że nie wiadomo jak obiecali ten kurs dwóm różnym kierowcom, a ci byli zawziętymi wrogami. Wywiązała się burza przekleństw i krzyków. Każdy z kierowców wziął jedną z ich wa-

lizek i włożył do swojego bagażnika. W końcu Andrew musiał dać pieniądze jednemu z nich, żeby ich zostawił drugiemu, a przegrany odjechał ze stekiem obelg na ustach i trąbiąc niemiłosiernie. Mokrzy od potu, wsiedli do taksówki zwycięzcy, a ten uczcił swoją wygraną, rwąc z nieprawdopodobną prędkością prosto w największy ruch. Lesley wydała z siebie krótki okrzyk i zasłoniła oczy.

- To Kair, prawda? Tak tutaj będzie - rzekł Andrew przez zaciśnięte zęby.

Jakimś cudem uniknęli zderzenia z nadjeżdżającym autobusem. Taksówka przemknęła obok olbrzymich betonowych bloków mieszkalnych i wjechała na estakadę. Jadąc autostradą na podwyższeniu, mogli lepiej widzieć spowite pyłem miasto. Lesley pochyliła się do przodu i oglądała.

- Takie duże miasto. Jak my je znajdziemy? Z którego miejsca zacząć?

Na czole i szerokim nosie Andrew lśniły krople potu. Nie cierpiał rzeczy nieprzewidywalnych i nie znosił wytrącania go z równowagi, tymczasem Egipt groził stworzeniem najgorszej z możliwych sytuacji.

- To zadanie policji! - warknął, ukrywając swą niepewność pod maską szorstkości.

Lesley odwróciła od niego głowę i patrzyła na czarne okna w betonowych frontach budynków, ciągnących się do-
kład oko mogło sięgnąć w zapyloną dal. Ruby mogła być za jednym z takich okien. Mogła być chora, porwana, zgwałcona. Serce Lesley waliło, pobudzane adrenaliną. Już wyskoczyłaby z taksówki i pobiegła, wspięła się, rozwaliła mury, cokolwiek, byle znaleźć się bliżej swego dziecka, ale mogła jedynie siedzieć na lepkim plastikowym siedzeniu taksówki i mocno zaciskać spocone dłonie w pięści.

Taksówkarz obejrzał się przez ramię.

- Wakacje w Kairze? Może na miłą wycieczkę, za dobrą cenę?

Po długiej jeździe w zbitym tłumie pojazdów dojechali do brukowanej uliczki, która dalej była nieprzejezdna dla samochodów. Zza wysokiego muru wystawały trzy minarety. Zignorowany kierowca wskazał im z przodu zniszczone, nieoznakowane drzwi.

Gdy taksówka zawróciła, Andrew i Lesley zostali na ulicy z bagażem na ziemi. Wysokie mury zniszczone były od spalin, a po kątach walały się śmiecie. Ruby sama przejechała całą tę drogę - myślała Lesley. Musiała stać tutaj, w tym samym zmurszałym zaułku, zastanawiając się, czy przyjechała w dobre miejsce, a jednak jej to wcale nie przeszkadzało. Cóż to za dziecko, że robi takie rzeczy? Gdzie ona teraz jest?

- Chodźmy — odezwał się Andrew - załatwiamy sprawę, jeśli to naprawdę właściwe miejsce.

Poszła za nim do drzwi, a potem stali na wyżłobionym upływem czasu schodku, czekając, aż ktoś odpowie na ich pukanie.

Gdy Ruby weszła, a potem zjechała z dwóch czy trzech pierwszych grzbietów wydm, już się zgubiła. Z zacienionych wgłębień u stóp tych wzgórz piaskowych wydawały się one niższe i za każdym razem wejście na szczyt zabierało jej o wiele więcej czasu, niż przewidywała. Patrzenie w górę na płonącą linię światła w miejscu, gdzie piasek stykał się z niebem, zniechęcało ją, gdyż prawie w ogóle się do niej nie przybliżała, wspinała się więc z głową opuszczoną, wsłuchując się w świst własnego oddechu. Ostry ból przeszył jej czaszkę i zszedł w dół po kręgosłupie. Usta i gardło miała wysuszone i spękane, w płucach paliło, ale stopy dalej pracowały, stając jedna przed drugą.

Gdy wreszcie osiągała czubek wydmy, za nią widziała tylko następną.

Po dwugodzinnej wędrówce zatrzymała się i próbowała odzyskać orientację, ale nie miało to sensu, bo brakowało ja-

kichkolwiek elementów krajobrazu. Jedyne jej ślady ciągnęły się w tył, jak dwie drobne zmarszczki na wyrzeźbionej przez wiatr powierzchni. Te przynajmniej były jeszcze widoczne. Wiał tylko lekki wietrzyk, który wzbijał z otwartych zboczy małe obłoczki brunatnego pyłu.

Wędrówka według słońca okazała się znacznie trudniejsza, niż się spodziewała. Podnosiło się ono szybko i miała wątpliwości, czy było teraz jeszcze na wschodzie, czy już bliżej południa. Byłoby źle, gdyby poszła za bardzo na południe, bo w ten sposób posuwałaby się w głąb pustyni, choć w istocie miała tylko ogólne pojęcie o geografii poza deltą. Nie było teraz sensu złościć się na siebie z tego powodu. Należało tylko iść.

Posuwać się naprzód. Mieć słońce teraz mniej więcej po stronie prawego policzka.

Poszła ciężko dalej. Pomoc, pomoc, pali, pali, powrót, powrót. Te słowa wybijały takt jak bęben w jej rozpalonej głowie. Nawet myślenie stanowiło zbyt duży wysiłek. Lepiej było powędrować poza własne ciało. Mogła się oddzielić od małej figurki Ruby Sawyer sunącej z mozołem w górę i w dół po kolejnych piaszczystych wydmach.

Jestem zmęczona. Chciałabym się poddać i zasnąć, ale wiem, że nie mogę, bo jeszcze jest wiele do zrobienia. To dziecko miało rację, mówiąc o pustym miejscu w środku.

Próbuję przełknąć ślinę pełną piasku i znów zaczyna się parada wspomnień.

Utrzymanie linii pod Al-Alamajn.

Po dwudziestu ośmiu dniach prawie nieustannej walki bitwa zakończyła się impasem, ale dywizje pancerne zostały powstrzymane i siły wroga nigdy nie doszły do Aleksandrii ani do Kairu.

Zniesiono godzinę policyjną i ulice miasta znów zapełniły się żołnierzami. Ludność powoli wracała ze swych kryjówek

na delcie, a zdjęcia Mussoliniego i flagi poznikały ze sklepowych wystaw tak szybko, jak się pojawiły. W Kwaterze Głównej Roddy Boy i pozostali wyżsi oficerowie lamentowali nad utratą poufnych dokumentów.

Pamiętam to zmęczenie, jakie ogarnęło wszystkich, gdy minął punkt kulminacyjny i napięcie opadło, oraz straszliwy lipcowy upał, jaki wtedy nieprzerwanie panował. Moje drugie lato w Kairze było długie i bolesne.

Przyjaciel Sarah, francuski dyplomata, został przeniesiony do Bagdadu, a ona postanowiła z nim jechać.

- Dlaczego nie? - Wzruszyła ramionami. - A co innego mogę zrobić?

Jeremy wyjechał z Kairu do Palestyny w czasie największego napięcia, nie zadając sobie trudu, żeby się z nią pożegnać.

Faria wróciła z podróży poślubnej i zamieszkała w wystawnym domu Alego. Większość czasu spędzała na kupowaniu materiałów na pościel i tapicerkę. Raz czy dwa poszłam na kolację z młodym małżeństwem, pozostali goście to byli głównie partnerzy biznesowi Alego, a sama Faria nie okazała się komunikatywna.

- To bardzo smutne - westchnęła, gdy powiedziałam jej o dziecku. - Ale może w końcu, no wiesz, to i lepiej?

Zaczęłam szukać innego mieszkania, ale robiłam to bez przekonania. A potem któregoś dnia Roddy Boy wychylił się ze swego pokoju i przez zaciśnięte usta oznajmił, że dzwoni mój ojciec i chce ze mną pilnie rozmawiać. Podniosłam słuchawkę i w znajomym otoczeniu obskurnego biura, wśród pękatek teczek i metalowych szaf usłyszałam ojca mówiącego, że mama jest chora i może powinnam się zastanowić nad jak najszybszym powrotem do Anglii. Wiedziałam, że nie sugerowałby czegoś takiego, gdyby to nie było poważne.

- Ciężko mi będzie bez pani, panno Black. Ale rodzina jest najważniejsza - oświadczył Roddy. A prócz Ruth, Daphne

i mojej niezbyt ważnej ochotniczej pracy nie było nic więcej, co by mnie trzymało w Egipcie.

Zarezerwowałam bilet na podróż okrętem płynącym przez Cape. Potem, gdy moje rzeczy były już spakowane i przeczekiwałam ostatnie godziny w pustym mieszkaniu w Garden City, wszedł Mamduh zapowiedzieć gościa.

- Kto to jest?

W półmroku korytarza ze zbyt eleganckim umeblowaniem stał wysoki mężczyzna o ciemnej twarzy.

Był to Hasan. Myślałam, że zginął razem z Xanem w depresji Al-Kattara.

Przez moment nie byłam pewna, czy nie powinnam odwrócić się i uciekać od tej zjawy. Byłam sparaliżowana szokiem i głos uwiązł mi w gardle. Ale Hasan powoli wyciągnął do mnie rękę, a ja też wyciągnęłam rękę i chwyciłam jego dłoń. Trzymałam ją, jakby mnie to bezpośrednio połączyło z Xanem, a Hasan schylił głowę i przyłożył palce do czoła w geście pozdrowienia.

- To ty żyjesz? - spytałam chrypliwie. - Jak to? Zaraz, nie stójmy tutaj. Wejdz, usiądź, poczęstuję cię herbatą. Mamduhu, zrobisz herbatę?

Wydawało się idiotyczne gościć człowieka przywróconego z zaświatów szklanką miętowej herbaty, ale nie wiedziałam, co innego mogę zrobić. Zaprowadziłam Hasana do salonu, w którym meble były już częściowo przykryte pokrowcami, i usiedliśmy naprzeciw siebie przy inkrustowanym stoliku. Hasan siedział wyprostowany ze złożonymi rękami, jakby nie potrafił poczuć się wygodnie w tym zachodnim otoczeniu.

- Przychodzę złożyć uszanowanie, madame - rzekł Hasan. - Kapitan to mój przyjaciel. Od chłopca, Beduin i Brytyjczyk, przyjaciele.

Wiem. Musiałeś znać Xana lepiej niż ktokolwiek. Powiesz mi, jak to się stało?

Hasan opowiedział, jak samoloty nadleciały znikąd, z pustego nieba, prosto na nich. Kierowca Xana próbował gwałtownie skręcać i robić uniki, żeby go nie trafiły pociski. Strzelali do samolotu, ale nie mieli szans. Ciężarówka wjechała w zaspę miękkiego piasku i zagrzebała się po błotniki. Hasan wyskoczył i zaczął biec. Gdy się obejrzał, zobaczył, że Xan usiłuje wyciągnąć z płonącej ciężarówki kierowcę postrzelonego w plecy. Krzyknął do niego, żeby uciekał, lecz Xan nie chciał zostawić rannego. Potem wieziona z tyłu ciężarówki amunicja i paliwo w kanistrach eksplodowały ogromną ognistą kulą.

Hasan odwrócił się od sceny śmierci swego przyjaciela i wtopił się w księżycowy krajobraz. Powrót zajął mu wiele dni; szedł nocą, a w dzień się ukrywał, na wypadek, gdyby samoloty znów przyleciały.

- Powinienem przy nim zostać.

- Nie. Co to by dało?

- Nie wiedziałem, czy tutaj przyjść wyznał w końcu.

- Bardzo się cieszę, że przyszedłeś. Cieszę się, że cię widzę żywego. Dziękuję ci. - Wtedy on wstał i znów skłonił głowę. - Pani wraca do Anglii?

- Tak, moja matka jest chora.

- To bardzo przykre.

- Co teraz będziesz robił, Hasanie?

Nasze oczy się spotkały. Przypomniała mi się oaza na pustyni i mężczyźni skupieni wokół ogniska, jak robili to zapewne od wieków.

- Myślę, że tak jak pani pójdę swoją drogą, ale zawsze będę pamiętał - powiedział cicho.

Znów wstał i skłonił głowę.

Hasan przyniósł mi wiadomość o Xanie, o której marzyłam. Teraz wiedziałam, jak bohatercko zginął. Gdy doszliśmy do drzwi, jeszcze raz chwyciłam go za rękę.

- Hasanie, chciałabym, żebyś to wziął. Xan podarował mi

to, gdy poprosił mnie o rękę. Byłabym szczęśliwa, wiedząc, że to zostanie z tobą w Egipcie.

Zdjęłam zaręczynowy ametyst z palca i włożyłam mu do ręki. Oboje patrzyliśmy, jak go trzymał w zgiętej dłoni. Poczułam w sobie nieznane mi dotąd poruszenie, jakbym dostała skrzydeł. Uświadomiłam sobie, że to ociupinka szczęścia.

- Madame?

- Proszę, weź to. Będzie nas łączyło, ciebie, mnie i jego.

Hasan dotknął wargami ametystu. Powoli wyjął z fałd ubrania znoszony skórzany woreczek i włożył do niego pierścionek. Potem zacisnął mocno zamykającą sakiewką rzemyki i ukrył ją z powrotem na piersi.

- Do widzenia, madame - powiedział. - Niech Bóg będzie z panią.

- I z tobą- odparłam.

Następnego dnia, mając już za sobą pożegnania, wyjechałam z Kairu pociągiem do Suezu. Major Gordon Foxbridge, fotograf, odwiózł mnie z bagażem na dworzec. Jak mi powiedział, akurat tak się złożyło, że miał wolny ranek i samochód sztabowy do dyspozycji. Na odchodnym zapytał, czy może dostać mój adres, a ja, wdzięczna za pomoc, podałam mu adres rodziców w Hampshire, bo innego nie miałam.

Kair zobaczyłam znów dopiero po trzydziestu pięciu latach.

Mama w końcu wyzdrowiała, ale przez kilka miesięcy ją pielęgnowałam. Zmarła nagle rok później, we wrześniu 1943, na odoskrzelowe zapalenie płuc.

Na mocy jej testamentu odziedziczyłam udział w rodzinnym truście i, mając pieniądze na utrzymanie, rozpoczęłam długie starania o przyjęcie do akademii medycznej. Daphne Erdal, która już wtedy mieszkała z Ruth w Atenach, skierowała mnie do swej dawnej koleżanki w szkole medycznej przy Szpitalu Świętego Bartłomieja. W końcu, chyba dlatego,

że łatwiej było znaleźć dla mnie miejsce niż wciąż na nowo mi odmawiać, zostałam przyjęta.

Utrzymywałam kontakt z Daphne i Ruth, a od czasu do czasu odzywał się do mnie Sandy Allardyce. Ożenił się z Ger-ti Kimmig-Gertsch i kursowali między Kairem, Włochami a Zurychem.

Mój ojciec zmarł w 1946 roku i niedługo potem zgodzi-łam się poślubić Gordona Foxbridge'a. Nie kochałam go, lecz lubiłam i szanowałam, a nie spodziewałam się już nigdy wię-ciej zakochać. Swoją wielką namiętność już przeżyłam i było to więcej, niż wielu ludzi w ogóle zaznało. Miałam swoje wspomnienia i ciągle do nich wracałam. Przez sześćdziesiąt lat podchodziłam do tej półki i zdejmowałam swoją filiżankę, trzymając ją delikatnie w palcach i ogrzewając się jej ciepłem.

Moja druga ciąża nie była planowana. Gordon nie posia-dał się z radości i w pośpiechu kupiliśmy dom poza Lon-dynem.

W 1950 roku urodziła się Lesley.

Przesuwam nogi na piasku i opieram głowę o metalowy bok samochodu. Chce mi się spać, uwolnić się od świadomo-ści, lecz powstrzymuje mnie jakaś ręka. Jej uścisk jest dla mnie większą torturą niż pragnienie i biała tarcza słońca.

Moja córka garnie się do mnie. Usiłuję wypełznąć do tyłu i jak rak pustelnik schować się do muszli, lecz Lesley idzie za mną do mej kryjówki. Stoi tam z rękami na biodrach, w sa-mym środku mojej przestrzeni życiowej, wpatrując się we mnie, jakby na coś czekała.

Jeszcze jest dużo do zrobienia.

Andrew postanowił udać się na policję.

- Pójdę z tobą - mówiła Lesley, ale on nalegał, że powin-na zostać w domu na wypadek, gdyby nadeszła jakaś wiado-mość.

- Idę porozmawiać ze starszym oficerem. To już prawie trzy dni, odkąd Ruby i twoja matka znikły. Oni podchodzą do tego poważnie. Potem pojedę do ambasady brytyjskiej.

Choć w domu było całkiem chłodno, gdy tylko się ruszył, pot zalewał mu czoło, i strąki jego jasnych włosów przyklejały się do czaszki.

- Kiedy wrócisz?

- Skąd mam wiedzieć? Zupełnie nie wiem, jak mi pójdzie z tymi ludźmi.

Lesley nie pozostało nic innego, tylko siedzieć i czekać.

Posępny, zakurzony dom całkowicie odbiegał od jej wyobrażeń o marokańskiej fantazji. W pewien sposób robił wrażenie, ale był taki nieprawdopodobnie surowy. Lesley próbowała sobie wyobrazić samotne życie matki w tym miejscu, ale nie potrafiła. To tak, jakby spekulowała na temat kogoś obcego, a nie kobiety, która dała jej życie. Jednak Ruby stworzyła między nimi jakąś więź.

Obecność służącego denerwowała ją. Przemieszczał się między pokojami dostojnie i cicho jak statek powietrzny, przeciskając swe potężne ciało przez drzwi i ciasne korytaryzki. Jego pomocnica, niska staruszka o twarzy jak orzech włoski, gdy tylko zobaczyła Lesley, od razu zaczynała płakać, wycierając oczy rogiem swej białej chusty. Lesley dowiedziała się od Mamduha, że Ciocia - nie wiadomo czyja - była ostatnią osobą, jaka widziała Ruby trzy dni temu, ale Ruby nic jej nie powiedziała, dokąd jada z Iris. Ciocia chyba myślała, że Lesley może ją w pewnym sensie winić za to, co się stało, a zapewnienia ze strony Lesley, że tak nie jest, jeszcze bardziej ją przygnębiały. Minuty oczekiwania ciągnęły się nieznośnie wolno.

Gdy dzwonił telefon, odbierał Mamduh. Mówił coś po arabsku, a po skończonej rozmowie robił usta w ciup i kręcił głową.

- Niestety, nic nowego, madame.

Lesley była w saloniku Iris, gdy ktoś przyszedł do domu. Słyszała, jak Mamduh prowadził go na górę jedną z kilku zawiłych klatek schodowych, i zerwała się, żeby zobaczyć, kto to.

- Dobry wieczór - odezwał się miły, drobny mężczyzna. - Jestem Nicolas Grosseteste.

- Bardzo się cieszę, że pan przyszedł. Mój mąż poszedł na policję i do ambasady. Tak się martwię, a siedzenie tutaj jeszcze to pogłębia.

Doktor potrząsnął jej dłonią.

- Rozumiem, że pani się martwi. To niepokojąca sprawa. Ale one się mogą znaleźć całe i zdrowe, nie wolno nam w to wątpić. Policja zrobi wszystko, co w jej mocy, zapewniam panią.

Lesley skubała grzbiet nosa i usiłowała skupić myśli.

- Czy mógł ktoś je porwać?

- Myślę, że można by rozpatrywać taką możliwość, ale osobiście uważam za bardziej prawdopodobne, że się zgubiły lub utknęły gdzieś z jakiegoś powodu. Mogę tak sądzić, bo znam te dwie osoby.

- Co pan przez to rozumie?

Doktor Grosseteste namyślał się chwilę. Należał do ludzi, którzy nic nie mówili bez zastanowienia.

- Pani matka była chora. - Tu zrobił subtelną pauzę na pytanie, jednak Lesley go nie zadała. - Ale od czasu przyjazdu pani córki zauważyłem wielką poprawę w stanie jej zdrowia i umysłu. Zaczęła na nowo odkrywać w sobie entuzjazm do świata, czym wyraźnie się odznaczała, gdy miałem zaszczyt ją kiedyś poznać. Obie najwyraźniej świetnie się rozumiały i tak się domyślam, mam nadzieję, że wybrały się razem na jakąś wycieczkę. Mogło im się coś nie powieść, ale pani córka jest młodą damą o niezwykłej energii i bystrości. Ja bym jej zaufał.

- Rozumiem - powiedziała Lesley.

Miała zamiar spytać doktora, czy nie chciałby się czegoś napić, ale w drzwiach już zjawił się Mamduh ze srebrną tacą i małym kieliszkiem wina. Najwidoczniej Nicolas Grosse- teste był tu regularnym gościem. Obaj mężczyźni mrucze- li coś do siebie po arabsku, a Lesley im się przyglądała. Po- czuła, że przyspiesza jej puls. Dlaczego ona w życiu jest za- wsze pomijana? - pomyślała. Celował w tym Andrew. A te- raz jej córka i jej matka „świetnie się rozumiały”.

Jednak w tej chwili nie miało to znaczenia. Spędziłyby całe życie w fizycznej i emocjonalnej izolacji, byleby Ruby znalazła się i była bezpieczna.

Mamduh znów wyszedł, a Nicolas usiadł ze swym kielisz- kiem wina na krześle, na którym zapewne zawsze siadywał. Zapadła męcząca cisza. Pozostawało im tylko czekanie. Chwilę później wrócił Mamduh, tym razem wprowadzając do pokoju jakiegoś młodzieńca. Był szczupły i gładkoskóry, czarne włosy miał zaczesane gładko do tyłu. Spojrzał na nich oboje i wybuchnął lawiną słów.

- Ten człowiek Mamduh powiedział policji, żeby mnie szukała. Ja się nie ukrywam. Ruby jest moją przyjaciółką - mówił żarliwie.

.- Jestem matką Ruby. Kim ty jesteś?

- *Umm* Ruby - powtórzył młody chłopak, kłaniając się jej, i Lesley zrozumiała, że to uprzejme powitanie. - Mam na imię Aszraf. Przyjaźnię się z Ruby, pokazuję jej Kair i rozma- wiamy po angielsku. Nie pozwoliłbym, żeby jej spadł włos z głowy. Zabrałem ją, żeby poznała moją mamę.

Lesley zauważyła, że chłopak jest bliski łez.

- No dobrze. My cię traktujemy jak przyjaciela. Może usiądź, Aszrafie, i powiedz nam wszystko, co wiesz.

Stanowili dziwny zlepek osób zebranych w prawie nie- umeblowanym pokoju Iris.

Tam zastał ich Andrew, gdy wrócił do domu. Powiedział, że policja rozmawiała z właścicielem kawiarni przy drodze

do Gizy, który zeznał, że Iris i Ruby zatrzymały się tam na śniadanie trzy dni temu. Inny sprzedawca przydrożny oświadczył, że widział starego garbusa nieco później, za Gizą, wyjeżdżającego drogą w stronę pustyni.

Wkrótce znów miało się ściemnić.

Rano policja zacznie poszukiwania. Ale oficer ostrzegł ich, że pustynia jest bardzo duża.

Ruby już zupełnie nie wiedziała, dokąd idzie.

Szła powoli, z trudem podchodząc na szczyt wydmy i czasem przewracając się na drugą stronę. Po upadku za każdym razem było jej trudniej wstać, ale zawsze w końcu podnosiła się i wlokła dalej. Już nie wybijały jej rytmu żadne słowa i była zbyt wyczerpana, by myśleć o świecie, który jej się wymykał. Pozostała jej w głowie tylko świadomość, że musi iść przed siebie, bo inaczej Iris umrze. W miarę upływu dnia była tak wysuszona i skurczona, że czuła się maleńka jak afrykański żuk, i nawet ta świadomość zaczęła się rozpląwać. Nie mogła już iść długo. Czuła, że napuchnięty język wkrótce wypełni całe usta i gardło i spowoduje, że się udusi.

Niebawem znów będzie ciemno.

Weszła na czubek kolejnej wydmy i zjechała po drugiej stronie. Z tego zagłębienia był widok na prawo, gdzie ramiona wydmy zachodziły jedno na drugie, tworząc perspektywę jak na scenie. Przestrzeń między nimi wyglądała prawie jak droga, więc przyspieszyła i poszła tamtędy, a nadzieja nagle rozbłysła w niej jak światło. Lecz po kilku krokach zobaczyła, że nie ma żadnej drogi, to tylko iluzja.

Ogarnęła ją bezdenne rozpacz. Przestała iść. Usiadła na piasku i głowa opadła jej na kolana.

Odpochnie. Tylko chwilę odpochnie, patrząc na te nieskończone połączenie piasku.

Kiedy znów podniosła wzrok, ujrzała wielbłąda.

Kroczył między wydmami z przodu, na tyle blisko, że

usłyszała cichy dźwięk dzwonek w jego uprzęży. Na grzbiecie zwierzęcia siedział mężczyzna w kufli. Za pierwszym wielbłądem szedł drugi, dumnie podnosząc łeb i miarowym krokiem pokonując pustynne zasy.

Ruby, zataczając się, stanęła na nogi.

Teraz zobaczyła cały sznur wielbłądów, niektóre z jeźdźcami, inne z ładunkiem; szły między wydrami nie więcej niż pięćdziesiąt metrów od niej.

Krzyknęła, ale z jej wysuszonego gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

Zaczęła biec, machając rękami, zataczając zygzaki na piasku. Oddech ciął jej płuca jak ostrze żyłki.

Wielbłądy i ich jeźdźcy istnieli naprawdę. Zwierzęta z tyłu karawany zwolniły i odwróciły łby w jej kierunku. Słyszała ludzkie głosy.

- Zatrzymaj się, ktoś idzie.
- Lindy, czekaj...
- Co się dzieje?

Zauważyli ją. Wszystko jest dobrze. Ruby przestała biec i opuściła ręce. W głowie pulsowało jej tak, jakby miała za chwilę wybuchnąć, ale jednocześnie całą sobą westchnęła z ulgą. Wróciły kolory, wiara w przyszłość, wróciło życie.

- Ratunku - zdołała wykrztusić. - Pomóżcie mojej babci.
- Opadła na kolana na piasku.

Karawana wielbłądów zatrzymała się. Czy było to możliwe, czy zgoła nieprawdopodobne, ale jeźdźcy mówili po angielsku, w dodatku mówili jak jej mama. Było pięć kobiet i wszystkie były ubrane jak Lesley, a także mówiły jak Lesley. Najbliższa zsunęła się z siodła i podeszła do niej.

- Co się stało? Masz jakieś problemy?

Na pasku przewieszonym przez ramię w czymś w rodzaju siatki miała butelkę z wodą. Ruby bez słowa wyciągnęła po nią rękę. Woda pociekła jej na język i zaczęła płynąć. Siedziała skulona na piasku i piła, piła, dopóki nie opróżniła butelki.

Głosy wielu Lesley paplały:

- Hamid, ona chyba się zgubiła.

Arab w kufii ukląkł przed Ruby, zasłaniając sobą chylące się coraz niżej słońce.

- Gdzie ty byłaś? - pytał. - Dokąd idziesz?

15

Otoczyli ją kołem. Jedna z kobiet powiedziała innym, żeby zrobiły więcej miejsca i pozwoliły jej oddychać. Druga podała jej jeszcze więcej wody w butelce.

Ruby złapała mężczyznę za rękę.

- Moja babcia. Pomóżcie nam. Musicie ją znaleźć.

Wielbłądy i ich poganiacze otoczyli ich większym kołem. Ruby poczuła się osaczona przez tyle pochylających się nad nią twarzy i ogarnęła ją panika. Widząc to, wszyscy odsunęli się o krok, z wyjątkiem mężczyzny w kufli.

- Gdzie jest twoja babcia?

Pokazała swoje ślady biegnące w stronę wydm.

- Gdzie? Jak długo szłaś?

Wielkim wysiłkiem składała razem słowa.

- Cały dzień. Zostawiłam ją przy naszym samochodzie wcześniej rano. Zgubiłyśmy się trzy dni temu. Ona nie ma wody.

- Dobrze.

Mężczyzna odgarnął w tył nakrycie głowy, sięgnął do swej niebieskiej szaty i wyciągnął telefon komórkowy.

Kobiety znów się zbliżyły.

To nie były halucynacje: one mówiły po angielsku, wyglądały i miały głosy podobne do jej mamy. Słuchając, jak przewodnik mówił coś szybko po arabsku, Ruby kontemplowała ich płócienne bluzki i spodnie khaki, kapelusze

z szerokim rondem, okulary słoneczne i perełki w uszach. Na grzbietach wielbłądów zobaczyła ich bagaże, oznaczone białymi napisami: „Wymarzone safari po pustyni” z rysunkiem palmy.

I przyszedł idealnie cichy, krystalicznie spokojny moment, w którym Ruby nagle wszystko zrozumiała.

Szwy na kieszeniach spodni bojówek najbliższej stojącej kobiety, dzwonienie dzwonków, gdy jeden z wielbłądów przestawił nogę, skośne cienie rzucane przez zachodzące słońce - wszystko to było tak żywe i namacalne, jakby właśnie zostało stworzone. Świat nadal był piękny i w końcu zachowywał się tak, jak powinien. Była znów bezpieczna, miała dalej żyć.

Zobaczyła, jak mężczyzna składa swój mały srebrny telefon i chowa go z powrotem do ubrania, i poczuła, że coś tu nie pasuje. Przewodnik był ubrany jak Beduin, turystki miały ubrania odpowiednie na safari po wydmach, a wszyscy mieli komórki i drogie zegarki. Zachciało jej się śmiać, omal się nie zakrztusiła, ale przywołała się do porządku, przypomniawszy sobie, że Iris była wciąż na pustyni i mogła nie żyć.

Zamiast się roześmiać wydała z siebie szloch. Przyłożyła zaciśnięte pięści do ust i twarz wykrzywiła jej się płaczem.

- Pomoc już nadchodzi - oznajmił przewodnik. Odezwął się cichy sygnał jego telefonu, a on szybko go wyjął i odebrał.

Kobiety stały ciasno wokół Ruby, głaszcząc ją po włosach i próbując brać za ręce. Pocieszały ją i namawiały, żeby piła wodę z ich butelek. Jak zbiorowy symbol matczynej troski. Wypiła jeszcze trochę wody, a cudownie jedwabistą resztką przetarła sobie twarz. Piasek chrzęścił pod jej dłońmi. Zdała sobie sprawę, że skórę ma poparzoną, wargi opuchnięte i popękane.

- Hamid to wspomniały przewodnik. Znajdzie ją - powiedziała kobieta trzymająca ręce Ruby. Używała perfum tak jak

Lesley; wokół niej unosiła się dusząca chmura ich zapachu, drażniąc drogi oddechowe.

Och, gdyby mama tu była! Widząc te turystki na wielbłądach, Ruby tym bardziej pragnęła być z matką. Zmrużyła oczy pełne łez.

- Daleko jesteśmy? Jak daleko jest do drogi? - wybąkała. Hamid podniósł wzrok.
- Stąd? Nie więcej niż dwa kilometry.
- To całkiem blisko.
- Ale ty od niej odchodziłaś.

Turystki chciały zostać i zobaczyć dalszy ciąg dramatu, lecz Hamid powiedział, że nie ma na co czekać. Mająjechać na wielbłądach z poganiaczami do hotelu w oazie, gdzie dostaną kolację, tak jak planowano. Mają zabrać Ruby i zaopiekować się nią, a on zostanie tutaj, aż przyjadą ratownicy, którzy udadzą się na poszukiwanie starszej pani po pustyni. Strzelił palcami i dał znak ręką, a wielbłądy, podzwaniając, wyszły naprzód. Uklękły w jednym rzędku gotowe, żeby na nie wsiadać.

- Nie - powiedziała głośno Ruby.

Wszyscy na nią spojrzeli.

- Ja nie jadę do żadnej pieprzonej oazy. Mam zamiar znaleźć moją babcię.

Wyperfumowana kobieta ścisnęła jej rękę. Nastąpiła krótka dyskusja, którą wygrała Ruby, ponieważ na nich wszystkich krzyczała, nawet siebie samą zaskakując swą gwałtownością i determinacją.

- Bardzo dobrze. - Hamid spojrział krzywo. - Ale zapewniam cię, że będziesz przeszkadzała i utrudniała nam sprawę.
- Nie będę - odparła ze znużeniem.

Kobiety z safari uściskały ją, okryły jej ramiona ciepłym szalem i dały jeszcze więcej butelek wody. Potem poganiacze pomogli im wdrapać się na klęczące wielbłądy i cichym

gwizdem skłonili zwierzaki do powstania. Kołysząc się, ruszyły rzędem w stronę grzbietu pierwszej wydmy, w kierunku, który już całkiem pozbawił Ruby orientacji. Słońce wyglądało teraz jak żółta piłka opadająca w stronę zachodniego horyzontu.

Hamid znów rozmawiał przez telefon. Wycieńczona do cna Ruby położyła się na piasku i naciągnęła na siebie szal.

Lesley stoi z rękami na biodrach. Stopy ma zanurzone w piasku, a jej twarz wykrzywia dziecięce oskarżenie.

Potrząsam głową, żeby odpędzić ten obraz, ale gdy patrzę znowu, nadal tam jest.

Próbuję zamknąć oczy. Chcę zasnąć i nie czuć tych różnych bólów, towarzyszących powolnemu wyłączaniu się mego ciała, ale nie mogę tego zrobić, póki Lesley patrzy na mnie tym wściekłym, płonącym wzrokiem.

- Czego chcesz?

Musiałam wymamrotać te słowa. Z moich popękanych warg promieniują małe bolesne ukłucia, pod czaszką spazm bólu eksploduje i odchodzi pulsującymi falami. Gdzieś na obrzeżach mózgu mam świadomość, że doświadczam skutków skrajnego odwodnienia. Jeśli będę miała szczęście, całkiem niedługo delirium przejdzie w utratę świadomości.

Leżę na piasku. Mam go w ustach, gardle, drapie mnie w płucach.

Odłączam się i patrzę na siebie z góry, na starą kobietę leżącą na piasku, materiał sukienki obciągnięty na chudych nogach, rzadkie włosy rozpostarte jak pióra na skrzydłach martwego ptaka.

Lesley wciąż tu jest, jej mocne nogi obute w sandały, zbyt ciasna sukienka z bawełny w kratkę. Rośnie; gdy ją widzę w każde wakacje, zawsze wydaje mi się wyższa o kilka centymetrów.

Ona mi nie odpowiada.

Lesley, Andrew i doktor Grosseteste ciągle czekali.

Asz powiedział, że musi iść do pracy na nocną zmianę w centrali telefonicznej szpitala, a gdy Andrew poprosił o informację, gdzie można go będzie znaleźć, gdyby oni lub policja chcieli go jeszcze o coś zapytać, odpowiedział grzecznie, że rano wróci prosto tutaj zaraz po skończeniu pracy.

Dodał, że jeśli mu pozwolą.

- Dobrze - odparł Andrew.

- Dziękujemy, że przyszedłeś. - Lesley próbowała się uśmiechnąć.

Zjawił się Mamduh i odprowadził Asza na dół do drzwi.

Andrew zwrócił się do Nicolasa.

- Jak, do licha, wytrzymuje pan cały czas w tym miejscu? - zapytał.

- W Kairze? - Lekarz spojrział na niego i z lekka wzruszył ramionami - Można się nauczyć.

- Cieszę się, że ja nie muszę. - Andrew miał zwyczaj reagować na stresy wzmożonym krytycyzmem. Znow zapadła cisza.

- Powinnam zadzwonić do jej ojca - odezwała się w końcu Lesley.

Sebastian właśnie wychodził ze swego biura.

- Lesley, Lesley - westchnął. - Nie rób paniki. Nie pierwszy raz Ruby zniknęła, prawda?

- Ale nie tak jak teraz. To nie to samo. - Ciężka słuchawka staromodnego telefonu Iris ślizgała jej się w spoconej dłoni.

- No więc miejmy nadzieję, że okaże się to samo. Bądź ze mną w kontakcie, dobrze? Daj mi znać, jak tylko będzie coś wiadomo. Spróbuj się nie martwić.

Lesley położyła słuchawkę. Jak Sebastian rozwinął w sobie taki wielki dystans? - myślała. Przecież Ruby jest jego dzieckiem. Z trudem powstrzymała się od podobnych odwiecznych spekulacji na temat Iris.

Usiadła z powrotem, a po chwili zadzwoniła komórka Andrew. Lesley i Nicolas patrzyli na siebie z jednakową nadzieją i przerażeniem, podczas gdy on rozmawiał.

- Tak, tak. Rozumiem. To dobrze. Dziękuję.

- No i co?! Co powiedzieli?! - krzyknęła Lesley.

Policja zawiadomiła, że Ruby została znaleziona przez wycieczkę wędrującą po pustyni w odległości około dwóch kilometrów od mało używanej drogi prowadzącej z powrotem na szosę do oazy Fajum. Grupa ratownicza przygotowuje się już do wyprawy na poszukiwanie Iris i samochodu.

- Och, dzięki Bogu!

Lesley skoczyła z krzesła i jak w transie podbiegła do męża. Objął ją, a ona bombardowała go pytaniami.

- Gdzie ona teraz jest? Czy coś jej się stało? Mogę z nią porozmawiać?

Andrew jedną ręką obejmował jej ramiona, a drugą wolną pocierał swój zapadnięty policzek.

- Ruby nalegała, że pojedzie z ratownikami.

Nicolas Grosseteste spuścił wzrok na swoje złożone ręce.

Ruby siedziała w kucki z tyłu małej ciężarówki o napędzie na cztery koła. Jej głowa obijała się o brezentową plandekę, gdy pojazd kołysał się, wjeżdżając na grzbiet wydmy i przechylając się na drugą stronę. Było już zupełnie ciemno. Światła samochodu przeczesywały niekończące się połacie zmarszczonego piasku, na którym widać było już bardzo nikłe ślady jej stóp. Policyjny kierowca i Hamid obok niego siedzieli w milczeniu, skupieni na swym zadaniu. Z lewej i z prawej jechały inne ciężarówki, aby przeszukać jak najszerszy pas pustyni. Posuwali się naprzód wolno, lecz miarowo. Ruby trzęsła się, a oczy ją piekły od wpatrywania się w ciemność z jedynym pragnieniem, żeby w kolejnej ciemnej niecce zobaczyć czarny zarys garbusa.

Mężczyźni mamrotali coś do siebie. Potem na chwilę

zobaczyła profil Hamida, który odwrócił się nieco w jej stronę.

- Widzisz? Szłaś prawie kołem.

- Znajdziemy ją?

- Prędzej czy później. Ale ty nie powinnaś odchodzić od samochodu. - Przewodnik był wściekły.

Nie dziwiło to Ruby, ale ona była równie wściekła jak on.

- Więc miałam tam siedzieć?! Patrzeć, jak moja babcia umiera z pragnienia, i nic nie robić?!

Ciężarówka zwalniała i kierowca wyciągał szyję znad kierownicy, obracając głowę z jednej strony na drugą i badając wzrokiem ziemię.

- Tutaj jest wystarczająco trudno znaleźć samochód, a co dopiero jedną osobę idącą samotnie. Chyba nie wiesz, jakie masz szczęście, że trafiłaś na moją grupę. Mogłaś zginąć.

Umysł Ruby odciął się od takiej możliwości. Nie było w nim miejsca na jej analizowanie. Nie myślała też o tym, że jest głodna, zmarznięta czy zmęczona. Cała jej uwaga koncentrowała się na tym, by dostrzec garbusa i znaleźć Iris żywą.

Kierowca coś powiedział i ciężarówka się zatrzymała. Hamid wyskoczył i Ruby obserwowała, jak obszedł z przodu maskę. Przykucnął tam, gdzie padały światła przednich reflektorów, i oglądał piaskową zaspę. Inne ciężarówki także się zatrzymały. Ruby zerwała się ze swego miejsca, pobiegła i potrząsnęła go za ramię.

- Dlaczego się zatrzymaliśmy?

Ale sama widziała dlaczego. Jej ślady, którymi podążali, robiły się coraz mniej wyraźne, aż w pewnym momencie przestały być w ogóle widoczne.

Hamid zaświecił latarką w koło i nie było widać nic prócz gładkiej, milczącej pustynnej przestrzeni. Pokręcił głową.

- Wrócimy już i poczekamy na dzień.

Ruby zrobiła wdech, zbierając resztki sił. Spojrzała w gó-

rę, nad ich głowami migały światełka samolotu schodzącego ku lotnisku. Chwyła Hamida kurczowo za rękę, wbijając mu mocno palce w skórę i błagając:

- Proszę. Ja wiem, że to już blisko stąd. Wiem na pewno. Jeśli teraz zrezygnujemy, ona może nie dożyć rana.

Ruby miała uczucie, jakby stała gdzieś z boku siebie, widząc i słysząc tę scenę rozgrywającą się w świetle latarek i reflektorów ciężarówek, ale jednocześnie dokładnie wiedziała, co musi zrobić. To była najważniejsza, najbardziej pilna prośba w jej życiu.

- Musimy jechać dalej. To tylko kilka godzin z waszego życia, a dla mojej babci może oznaczać życie lub śmierć.

- Nie znasz pustyni. Możemy szukać całą noc i minąć ją o kilka metrów. Przy świetle dziennym jest o wiele łatwiej i będzie więcej ludzi. Może przylecieć helikopter.

Ruby zacisnęła pięści i uniosła się na palcach stóp. Była gotowa uderzyć tego mężczyznę lub podrapać mu twarz albo paść przed nim na kolana na piasek, jeśli to miałyby pomóc. Podniosła głos do krzyku, niemal ogłuszając samą siebie.

- Jeśli nie pojedziecie, ja z wami nie wracam! Dajcie mi tyle wody, ile udźwignę, i będę jej szukała, aż znajdę. Rozumie pan?!

Hamid zastanowił się. Na pustyni powiał lekki wiatr. W końcu oświadczył:

- Zgoda. Pojedziemy jeszcze godzinę.

Ruby pobiegła z powrotem do ciężarówki, żeby nie zdążył zmienić zdania. Teraz już wstrząsały nią dreszcze i musiała przygryzać wnętrza policzków, żeby opanować drgawki.

Ciężarówki potoczyły się dalej.

Jechali i jechali, pokonując kolejne wybrzuszenia wydmy. Zgrzyt silnika na niskim biegu wibrował w każdej kosteczce Ruby. Znow kołysali się na czubku wydmy, by za chwilę zjechać w dół.

Wtem Hamid rzucił się do przodu i krzyknął. Ruby też

skoczyła i przez jego ramię spojrzała w głęboką ciemność na dole.

Stał tam samochód, od strony dowietrznej prawie zasypany piaskiem.

Kierowca błysnął reflektorami i zatrąbił, a reszta ciężarówek skręciła ze swych równoległych torów i powoli zbliżyła się do nich.

Ruby nie odrywała oczu od sylwetki garbusa, bojąc się, że nawet teraz jeszcze może zniknąć, jeśli mrugnie oczami.

Iris leżała na boku osłonięta przez samochód. Nie poruszyła się, gdy przesunęły się po niej snopy świateł. Ruby ze-skoczyła z ciężarówki, zanim jeszcze ta się zatrzymała, i po-biegła, zapadając się po kostki w piachu, który do końca próbował ją tu zatrzymać. Rzuciła się do Iris i przyłożyła głowę do jej klatki piersiowej, modląc się, żeby usłyszeć bicie serca lub poczuć choćby najlżejszy jej dech.

Nic nie czuła, ale skóra Iris pod ubraniem była jeszcze ciepła.

Ruby zakołysała się do tyłu na piętach.

Nie wiedziała, co zrobić, by ją ratować. Mężczyźni odsu-nęli ją na bok i pochyłili się nad nieruchomym ciałem Iris.

Kręcili głowami to w tę, to w tamtą stronę i wymieniali zdawkowe słowa. Brali ją za nadgarstki i dotykali gardła, a potem nagle dwóch podniosło ją z dołka w piasku, który wyglądał jak płytki grób. Iris była taka lekka, że mogli biec, trzymając ją jak poduszkę z pierza.

- Żyje - powiedział Hamid. - Musimy ją zawieźć do szpitala.

Jedna z ciężarówek miała po jednej stronie przymocowane nosze, do których teraz przywiązano Iris. Ruby odepchnęła czyjeś ręce usiłujące ją powstrzymać i siłą przecisnęła się do noszy. Zatrzasnęły się drzwi i pojazd natychmiast, kołysząc się i podskakując, ruszył przez wydmy, o wiele szybciej, niż jechali przedtem. Ruby nie spuszczała oczu z Iris, ale nie od-

ważyła się jej nawet dotknąć. Mężczyzna w niebieskim mundurze policyjnym trzymał rękę na jej klatce piersiowej, kontrolując wznoszenie się i opadanie przy oddechu.

Hamid siedział z przodu obok kierowcy. Odwracając głowę, zawołał do Ruby:

- Twoja matka i ojciec czekają w szpitalu.
- Mama i ojciec, w Kairze?
- Przylecieli dziś po południu.

Mignęły jej przed oczami twarze Lesley i Sebastiana. Nie potrafiła zrozumieć, jak tu się znaleźli, ale rzeczywistość była coraz mniej ważna w porównaniu z jej rosnącą obawą. Jeśli Iris umrze, ją będą za to winić. Będą mieli prawo ją winić.

- Będzie żyła? - z rozszerzonymi lekkiem oczami zwróciła się do policjanta.

- *In sha Allah.*

Zaledwie w dziesięć minut dojechali do drogi, z której tak lekkomyślnie zboczyła garbusem.

Czekał tam podłużny biały samochód, prywatna karetka. Szybko przeniesiono do niego nosze z Iris i Hamid otworzył drzwi dla Ruby, żeby usiadła obok noszy.

- Pojedziesz do szpitala. Ja muszę wracać do mojej wybieczki.

Ruby uniosła swą umorusaną twarz i spojrzała mu w oczy.

- Dziękuję panu - powiedziała. - Dziękuję.

Już jechali. Hamid i pustynia zostali z tyłu.

Lesley i Andrew byli w poczekalni, gdzie radził im czekać Nicolas Grosseteste.

Lesley myślała z roztargnieniem, jak podobne są wszystkie szpitale, choć w tym nie mogła odczytać połowy tablic informacyjnych ani rozszyfrować odręcznych napisów osłoniętych podniszczoną folią laminowaną. Zawsze był ten ciężki bagaż ludzkich potrzeb wobec rachitycznej struktury usług medycznych, fale rozbijające się o jej chwiejne filary. Na-

przeciwko nich siedziała stara kobieta; trzymała złożony płaszcz i łkała bezgłośnie. Gładziła fałdy płaszcza i przekładała go w rękach, jakby go chciała wygodniej położyć. Jej łzy połyskiwały w świetle górnej lampy. Andrew trzymał komórkę w ręku i co chwila sprawdzał wyświetlacz.

Ruby i Iris obie żyły i niedługo tu będą. Lesley chciałyby trzymać męża za rękę, czuć jej ciepło, ale on sprawdzał komórkę. Zajął się więc oglądaniem brzegu własnej spódnicy, wygładzaniem jej na kolanach i nasłuchiowaniem kroków osób przechodzących poczekalnią.

Wreszcie ktoś zatrzymał się przed nimi i sanitariusz w szarym uniformie poprowadził ich przez odrapane korytarze do pomalowanego na kremowo boksu, w którym stało łóżko. Zobaczyli ją pierwsi: Ruby siedziała na łóżku ze zwieszoną głową. Zwrócone do góry dłonie spoczywały po jej bokach na prześcieradle z palcami luźno zgiętymi. Wyglądała na doszczętnie wyczerpaną.

- Ruby.

Słyszając głos matki, podniosła głowę.

Zsunęła się z łóżka, pociągając za sobą róg prześcieradła i omal się nie przewracając.

- Och, mamó. - Wydała z siebie zaledwie stłumiony szept. Lesley otoczyła ją ramionami i przytuliła jej głowę do piersi. - Tak się cieszę, że tu jesteś.

- Już dobrze, wszystko jest dobrze.

Ruby płakała. Jej gorące łzy spływały po szyi matki. To była znacznie młodsza Ruby, bez metalowych ćwieków przekłuwających jej skórę, z nieumalowanymi oczami, włosami gładkimi i zapiaszczonymi jak u dziecka w piaskownicy. Była młodsza nawet niż takie dziecko, była jak niemowlę.

Lesley tuliła ją, a gdy Ruby przywarła do niej, poczuła przypływ szczęścia tak pełny i wyraźny, że była niemal w ekstazie.

Nic innego się nie liczyło. Ani Andrew, ani samotność, ani

Edward, ani nawet to, że jej matka mogła być o włos od śmierci. Była Ruby, był jej zapach i jej mocne ciało, i była bezpieczna. Iskrą, która zapalała w Lesley jasny płomień radości, była zawsze Ruby. A teraz płomień ten wystrzelił z oślepiającym blaskiem, bo Ruby była bezbronna, wiedziała, że potrzebuje matki, i nie ukrywała tego.

- Jesteś bezpieczna, jestem tutaj - zapewniła. Kołysała ją w ramionach, dotykając ustami splątanych włosów Ruby i uśmiechając się.

Zaskrzypiało krzesło, na którym ciężko usiadł Andrew.

Chwila przedłużała się, rozkwitając bezszelestnie jak kwiat.

- Byłam taka głupia. Nie chciałam tego - zakwiliła Ruby.

Lesley mogłaby teraz pofrunąć, wylecieć na zewnątrz i wzbić się nad pomarańczową łunę Kairu. Wszystko będzie dobrze. Stał się cud, będzie dobrze.

- Nie, kochanie. Nie byłaś głupia. To nie jest głupota być młodym - szepnęła, żeby ją pocieszyć.

Ramiona Ruby były dotąd miękkie jak u dziecka, prawie jak z gumy, ale teraz się napięły i uniosła nieco głowę. Grzbietem ręki otarła ciekący nos.

- To ja zjechałam samochodem z drogi, prawda?

Tym razem Lesley nie wątpiła, co jej córka miała na myśli: głupia była jej pomyłka na pustyni. Ale wcześniejszą jej wypowiedź Lesley zinterpretowała mylnie, że Ruby spojrzała wstecz na swoje lata buntu i walki i nareszcie właściwie je oceniła.

- Ach, no tak.

Na myśl, że Ruby mogła odgadnąć tę jej nadinterpretację, Lesley wpadła w zakłopotanie. Jasny płomień przygasł i znów poczuła się ciężka, a jej stopy nie oderwałyby się już od ziemi.

- Nie wiedziałaś - powiedziała cicho. Opuściła ramiona i wzięła Ruby za ręce. - Jak do tego doszło?

Ruby kręciła się niespokojnie. To było jeszcze za świeże, żeby o tym rozmawiać.

- Przeze mnie się zgubiłyśmy. Mogłyśmy tam umrzeć.
- Cii, nie umarłaś.

Ruby patrzyła teraz na nią i gdzieś spoza dzieciny, umazanej od płaczu twarzy znów wзираła dawna Ruby.

Lesley puściła jej rękę i poszukała w kieszeni chusteczki.

- Proszę, wytrzymaj nos - powiedziała. Rozejrzawszy się, zauważyła, że na twarzy jej męża malowało się tyle samo ulgi, co zmęczenia. Dała mu lekki znak i natychmiast podniósł się. Stanęli we trójkę w dziwnym uścisku. Nawet Ruby przez kilka sekund stała spokojnie.

Lekarz powiadomił ich, że stan Iris jest poważny. Pozwolono im na chwilę wejść do pokoju, w którym leżała podłączona do woreczków z płynami, z rurkami przymocowanymi plastrem do jej wychudzonych, poszarzałych rąk. Oczy miała zamknięte, a usta otwarte. W nosie również tkwiła rurka. Andrew i Lesley stanęli po obu jej stronach, a Ruby na chwilę zatrzymała się u stóp łóżka. Ale takie ustawienie kojarzyło jej się z pogrzebem, więc odeszła w róg pokoju, krzyżując ręce i z desperacją pocierając skórę na łokciu. Każdy wdech Iris był głośny jak chrapnięcie. Potem jej oddech zatrzymywał się i wydawało się, że już nie będzie następnego. „No, dalej. Oddychaj!” Ruby zawzięcie rozkazywała jej w myślach.

Lekarz powiedział, że nic więcej już nie mogą zrobić. Zdecydują następne dwadzieścia cztery godziny. Nicolas poszedł do domu, ale zostawił im wiadomość, że zajrzy do nich rano.

- Wszyscy potrzebujemy trochę snu - rzekł Andrew.

Ruby wcisnęła się na tył taksówki pomiędzy matkę i ojczyma. Ciasna przestrzeń wypełniła się zapachem perfum Lesley. Przez chwilę pomyślała o Aszu, jak on odebrał jej zniknięcie. Potem zapytała siebie w duchu, co skłoniło ją do przy-

puszczenia, że to Sebastian przyleciał z Lesley aż tutaj do Kairu. Bo tego chciała, mieć razem mamę i tatę, tak jakby była dzieckiem?

Ale to Andrew przyjechał i teraz namacalnie siedział obok niej w swojej letniej marynarce z marszczoną bawełną, którą pamiętała z nudnych wakacji.

Uprzytomniwszy sobie, że w szpitalu prawie nie zwracała na niego uwagi, nieśmiało dotknęła ręką jego rękawa.

- Dziękuję ci - powiedziała ze skrucą. - Bardzo przepraszam.

Powtarzała to już wiele razy jak papuga, ale tym razem naprawdę to czuła. Lesley poruszyła się z drugiej strony, sygnalizując w ten sposób, że jest jej wdzięczna za ten gest. Zresztą bardzo maleńki gest - uświadomiła sobie Ruby.

- Jesteś w jednym kawałku, to najważniejsze. - I pochylając się do przodu, dodał: - Czy ten kierowca nie wozi nas w kółko?

- Nie. Dobrze jedzie. Gdzie jest Ed? - zapytała matkę.

- U swojego kolegi, Olliego. To najlepsze, co mogliśmy wymyślić w pośpiechu.

- Czy kiedykolwiek tam dojedziemy? Gdzie my, do licha, jesteście? - mruczał Andrew.

- To już tu. - Na widok trzech minaretów na tle nieba żołądek Ruby ścisnął się znów ze strachu o Iris. - Nie myślicie, że ona umrze, co?

- Nie, ja nie - powiedział Andrew.

W tym momencie poczuła, że go uwielbia za to, iż zawsze wszystko wie najlepiej i zawsze ma swoje zdanie, słuszne czy nie. Dziwne, bo właśnie to między innymi najbardziej ją w nim drażniło. Lesley nie odezwała się. Była bardzo cicha od czasu, gdy wyszli ze szpitala.

Mamduh otworzył drzwi prawie natychmiast, gdy Ruby zapukała. Jego twarz księżycą w pełni była przepełniona smutkiem.

- Panience nic się nie stało. A Mamris?
- Jest pod opieką lekarską - odparła Ruby.

Nadeszła Ciocia, witając Ruby wylewnie uściskami i poklepywaniem. Mruczała coś bardzo szybko po arabsku i Ruby nie rozumiała jej ani odrobinę lepiej niż dotąd, ale wyszeptała jej wszystko to samo, co mówiła innym: że przeprasza i że to był jej błąd, a Mamris jest w szpitalu pod dobrą opieką i wszyscy muszą mieć nadzieję i modlić się, żeby już jutro poczuła się lepiej.

- *Hasal chajr* - rzekła na koniec Ciocia. To Ruby rozumiała. Był to jeden ze zwrotów, jakich nauczył ją Asz. Znaczył coś w rodzaju: „mogło być gorzej i musimy być wdzięczni, że nie było”.

- *In sza Allah* - dodała Ruby. Żeby już nie mogło być gorzej.

Odwróciwszy się do Andrew i Lesley, zauważyła, jak zagubieni i nie na miejscu wydawali się w mrocznym i pustym kamiennym centrum domu Iris, w otoczeniu Mamduha w galabii i Cioci w białej chuście spowijającej głowę. Andrew miał na sobie letnie niebieskie spodnie z nankinu i bawełnianą marynarkę, a Lesley płaskie sandały i rajstopy oraz porządną torebkę. Musieli w pośpiechu szukać lekkich ubrań, schowanych na zimę. Wiedząc, jak długie i staranne były ich przygotowania do zwykłego wyjazdu na wakacje, Ruby mogła sobie wyobrazić, co dla nich znaczyło pakowanie się do Kairu, gdy mieli na to kilka godzin. A jednak tu byli. Patrząc na nich, poczuła, że robi jej się lżej na duszy. Byli tylko ludźmi, równie dobrymi i równie ograniczonymi, tak samo mającymi rację i tak samo omylnymi jak inni. Może ten ciężar, który ją gniótł, to była uraza.

- Już późno. Powinniście iść spać - powiedziała do nich jak do dzieci.

Lesley posłusznie kiwnęła głową, a potem zebrała się w sobie.

- Ale, kochanie, ty musisz coś zjeść, i pamiętaj, co ci powiedzieli o przyjmowaniu płynów.

W szpitalu zbadano Ruby. Była odwodniona, wygłodzona i spalona słońcem, to wszystko. Odczuwała dumę z powodu swej wytrzymałości, lecz okrutnie wstydziła się, że tak bezmyślnie wzięła ze sobą Iris, która nie była ani młoda, ani silna.

Ruby wciąż owinięta była szalem, który dała jej jedna z wycieczkowiczek, a Ciocia teraz nieustannie go poprawiała. I mamrotała coś o jedzeniu.

- Ciocia mi zrobi coś w kuchni. Dostaliście pokój do spania?

- Jeśli go znajdziemy w tym domu. - Andrew zerknął na zaciemnioną galerię.

- No to dobranoc. - Ruby uścisnęła ich oboje i podziękowała najlepiej, jak umiała. Słowa to tylko słowa, ale mówiła, co czuje. Lesley przylgnęła do niej na chwilę, a potem odwróciła się i ruszyła za Andrew.

- To tędy - powiedział, idąc do niewygodnych schodów.

W kuchni było ciepło i zacisznie. Mamduh siedział na krześle obok kuchenki z rękami splecionymi na brzuchu, tak jak zawsze. Ciocia postawiła na stole glinianą miskę z zupą fasolową oraz talerz z plackami chleba. Ruby odrywała kawałki cienkiego pieczywa i maczała je w zupie, po czym wkładała gęstą, gorącą papkę do ust, a nadmiar spływał jej po brodzie, którą wycierała dłonią. Ciocia obserwowała ją z przechyloną na bok głową, kiwając nią z aprobatą.

Nie musieli nic mówić. Myśli ich trojga były z Iris i w ciszy łączyli się w tym samym życzeniu, żeby wyzdrowiała.

Ruby zaskoczyło, że zjadła tak niewiele, choć wydawała się bardzo głodna. Umyła swój talerz i łyżkę pomimo protestów Cioci. Dotknęła ramienia każdego z nich, do Mamduha sięgając wysoko, do Cioci schylając się nisko, i powiedziała im, żeby spróbowali spać. Potem poszła na górę i wzdłuż ga-

lerii, gdzie nikłe światło z dołu przeświecało przez księżycę i gwiazdy ażurowej przesłony. Była brudna, skórę i włosy miała oblepione piaskiem, ale jej zmęczenie było tak wielkie, że zdołała tylko zdjąć z siebie pożyczony szal oraz sztywne z brudu ubranie i rzucić je na stertę na podłogę. Wsunęła się pod przykrycie i zamknęła oczy.

Zobaczyła pustynię, z Iris leżącą w czymś potwornie przypominającym płytki grób wygrzebany obok samochodu.

- Jeszcze nie twój czas umierać - powiedziała jej Ruby. Nasłuchiwała w ciemnościach pokoju, ale nie mogła dosłyszeć odpowiedzi Iris.

Szczęk metalu i odgłosy kroków szpitala. Znane z pokładów pamięci i doświadczenia, ale nie mogę w nich umiejscowić siebie.

Ból na obwodzie, a raczej w czymś oddzielnym ode mnie, do czego nie chcę znowu wchodzić. A więc jestem pacjentką, nie lekarzem.

Tak czy owak, wołałabym zapomnienie i próbuję się w nie wycofać, lecz świadomość najpierw tylko zagląda, a później atakuje mnie z całych sił. Słyszę w sobie głosy, a gdy tylko zdołam rozszyfrować słowa, wpełza ten ból. Już nie jest na obwodzie, ale wszędzie, w oczach, pod żebrami i w ustach, jak gorący kamień, którego nie mogę wypluć.

Otwieram oczy i ból przeszywa mi płaty czołowe.

W moim bezpośrednim polu widzenia znajduje się twarz jakiegoś lekarza. Ma grube brwi, włosy w nosie i głęboką bruzdę na brodzie, z której wystaje zarost. Za nim, przy oknie, oświetlona od tyłu stoi druga postać. Kobieta w sukni w kwiaty, to nie pielęgniarzka. Kobieta idzie do przodu, oddalając się od światła, i nagle uprzytamniam sobie, że jej sylwetka jest mi krępująco znajoma.

To Lesley.

Obudziła się - mówi lekarz po angielsku.

Następuje badanie, pełne bolesnego, męczącego ugniata-
nia i przekładania. Unoszą mój nadgarstek, obracają, potem
głowę. Zamykam oczy przed tą inwazją.

Gdy znów je otwieram, tuż obok jest Lesley. Jej twarz po-
chyła się nade mną, przedramionami opiera się o pościel. Le-
karz zniknął. Lesley unosi rękę i dotyka palcami mego czoła.
Uśmiecha się dość nerwowo, ze swym charakterystycznym
grymasem, w każdej chwili mogącym przejść w płacz.

- Wszystko dobrze - szepcze. - Będziesz zdrowa.

Spoglądam dalej poza nią, gdzie na stojaku wisi zestaw do
kroplówki. Rurka przymocowana jest do mojego ramienia.
Podają mi płyn, to wszystko. Pamiętam, byliśmy na pustyni,
bez wody. Zdaję sobie sprawę, że ból jest głównie w mojej
głowie. Skutek silnego odwodnienia. Lesley ma rację. Nie
umrę dzisiaj ani nawet jutro.

Przez chwilę czuję cień przygnębienia, jakąś mieszaninę
zmęczenia i rozdrażnienia.

Ale potem znów patrzę na twarz swojej córki. Nie wiem,
dlaczego tutaj jest, a zrozumienie tego to jeszcze dla mnie za
duży wysiłek. Ale mam świadomość, że ciągle o niej myślę.
Jej nieobecność była jak hak, na którym wisałam, nie mogąc
się ruszyć w żadnym kierunku, żeby mnie nie rozdarł. Teraz
to, co negatywne, zostało odwrócone, nieobecność zmieniła
się w obecność, a ja czuję pełne zadowolenie.

Robię wysiłek, żeby się skupić i unieść palce lewej ręki. Pla-
stikowa rurka kroplówki lekko ociera się o skórę, a Lesley za-
uważa mój ruch. Ujmuje moją dłoń i oplata swymi palcami.

Wypowiadam jej imię. Cała jej twarz rozpromienia się.

- Tak. Jestem tu, mam. Wszystko będzie dobrze. Ko-
cham cię.

Kocham. Wielki ocean, jaki to słowo wyzwala, pełen prą-
dów, przypływów, burz i piętrzących się fal. Jednak zdołałam
skinać głowę.

Od razu po przebudzeniu Ruby wiedziała, że spała bardzo długo. Przez półprzymknięte okiennice wpadało jasne światło, a w drzwiach jej sypialni stała Ciocia. Przyniosła jej poranną herbatę. Była to szklanka gorącej wody z żółtą torebką Liptona leżącą na spodeczku. Herbata w angielskim stylu, wyjątkowy poczęstunek.

Mamduh stał pod drzwiami i skromnie nie wchodził. Ruby natychmiast poderwała się, trzymając prześcieradło podciągnięte pod brodę.

- Mamris?

- Dziś lepiej. Jest słaba, ale teraz się ocknęła. Twoja matka przy niej.

Szklane naczynia zadrżały w ręku Cioci.

- Boże, co za ulga! To bardzo dobrze. Będzie zdrowa, prawda?

- Bóg jest miłosierny - przytaknął Mamduh. - Twój przyjaciel przyszedł pod dom. Czeka na ciebie na zewnątrz.

- Asz?

Ruby chciała go zobaczyć, bardzo. Zaczęła wstawać z łóżka i Mamduh pospiesznie się wycofał. Ciocia zanurzyła torebkę herbaty w wodzie i podała Ruby do ręki szklankę barwiącego się na brązowo płynu. Była bardzo spragniona, w ustach kleiło jej się jeszcze od piasku i wczorajszej zupy fasolowej, więc wypiała jednym haustem. Potrząsnęła głową jak żrebak, a Ciocia zachichotała. Ruby wciągnęła na siebie najbliższe leżące ubranie, które nie należało do cuchnącej sterty tych z pustyni, przeczesła włosy palcami i pochyliła się, by otworzyć okiennice. Asz stał przy ścianie domu naprzeciwko z jedną nogą zgiętą i opartą o ścianę. Miał na sobie skórzaną kurtkę i czerwony T-shirt z napisem „Coca-cola”. Postukała w okno, żeby zwrócić jego uwagę, ale on palił papierosa, marszczył czoło i patrzył w głąb ulicy.

Zbiegła po schodach i wyszła na zewnątrz.

Asz wyprostował się i cisnął na bok papierosa.

- Wyglądasz strasznie - powiedział.
- Ach tak, wielkie dzięki - przerwała mu.
Złapał ją za nadgarstek.
- Nie jestem niegrzeczny, to jest prawda.

Włosy opadały jej na tył głowy i sterczały na czubku zmierzwionymi kępkami. Wargi miała opuchnięte i popękane, policzki oraz powieki zaczerwienione i nabrzmiące od słońca i wiatru.

- Przepraszam - dodał.

Ruby cofnęła się ze złością, ale potem uprzytomniła sobie, że on jest po prostu wstrząśnięty jej wyglądem. Nie zadała sobie trudu, by zajrzeć do lustra, i teraz nie wiedziała, jak bardzo kiepsko wygląda.

- Byłam na pustyni. Trzy dni. To było... to było...

Przerwała i wzruszyła ramionami. Pewnie z czasem znajdzie odpowiednie słowa na opisanie tego przeżycia i będzie to jej pustynna opowieść, ale teraz jeszcze była od tego bardzo daleko. Jak to było, nie dało się łatwo ubrać w słowa.

- Możemy gdzieś pójść? Nie do domu.
- Moja noga tam więcej nie postąpi. - Asz wyglądał, jakby miał ochotę splunąć.
- Dlaczego? Dlaczego nie? Co się stało?
- Dobrze, chodźmy gdzieś.
- Muszę coś zjeść.
- No to chodź.

Wziął ją za rękę. Poszli wzdłuż ulicy do drugiej, łączącej się z główną. Ruby wodziła wzrokiem dookoła po tłumach przechodniów, z których każdy miał jakąś historię, po jaskrawych kolorach wielkich tablic reklamowych, po niszczących murach i drutach telefonicznych, po odbłaskach szyb pojazdów i po tej pulsującej życiem masie ludzkiej zwyczajnego Kairu i czuła przepełniającą ją do głębi wdzięczność. Niepewnie stawiała kroki, a żołądek, choć pusty, ścisnął się i podchodził do gardła, jakby miała wymiotować.

- Dobrze się czujesz? - dopytywał się Asz.
- Tak.

Jestem tylko w szoku - pomyślała i z lekkim zaskoczeniem przyjęła, że jest już tak doświadczona i wystarczająco dorosła, żeby to dobrze rozumieć. Ale tak właśnie było. Przełknęła cierpki smak przewyciężonego właśnie lęku i szła za skórzaną kurtką Asza, który torował drogę przez tłum. W kafejce na skraju Chan al-Chalili Asz odstawił krzesło, żeby usiadła, co skwapliwie uczyniła. Jak zwykle natychmiast otoczył ich rój sprzedawców gazet, pucybutów i dzieci handlujących zapalniczkami czy butelkami wody. Asz odprawił ich machnięciem ręki, a u kelnera w poplamionej białej marynarce zamówił dla Ruby jogurt i kawę oraz smażone jajka z plackami chleba, podobnie jak na tamto pierwsze śniadanie na bazarze.

Ruby sięgnęła po marlboro Asza. Wdychając dym, poczuła zawroty głowy.

- *Sufradzi*, twoja matka i ojciec, oni myślą, że to ja wyciągnąłem ciebie i madame Iris i wyrzodziłem wam krzywdę - wyrzucił z siebie Asz.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Skąd mam to wiedzieć? *Sufradzi* przyszedł do Nafiza i mojej mamy, mówił o policji. A potem oczywiście, żeby jakoś pomóc, przyszedłem do waszego domu tak szybko, jak mogłem, a twoja mama i ojciec...

- Mój ojczym - sprostowała Ruby, lecz Asz tylko gapił się na nią, nie rozumiejąc.

- ...Patrz na mnie - ciągnął gniewnie - jakbym ja był czemuś winien. Dlaczego oni tak myślą, chociaż jestem twoim przyjacielem, a ty moją przyjaciółką? Powiem ci dlaczego. Bo ja jestem egipskim chłopakiem, a ty angielską dziewczyną.

Patrzyli na siebie przez przepaść, której dotąd między nimi nie było.

- Przepraszam cię za wszystko, co oni powiedzieli lub

zrobili. Na pewno przyczyną tego była obawa o mnie, a mój ojczym jest taki prawie dla wszystkich, nie tylko dla ciebie. Mama zawsze chce postępować tak, jak trzeba. A ty co, nie przejmowałaś się, co się z nami stało, tylko myślałaś o sobie? - wytknęła mu teraz ona.

- Ruby, Ruby. Jak myślisz, przecież mnie znasz? - Ujął jej rękę. Wyglądał bardzo atrakcyjnie, zwłaszcza gdy był zły lub poważny. Poczowała się otwarta na jego przyjęcie, chciała go. Trzymała jego dłoń, obracając ją i przyglądając się płaskim różowawym owalom jego paznokci. - A poza tym czy nie mówiłem ci, żebyś nie jechała samochodem ze swoją babcią dalej niż Giza?

Poczowała nagły gniew. Wolną ręką grzmotnęła w blaszany stolik, aż podstawka na papierowe serwetki i plastikowa karta menu podskoczyły z łoskotem.

- Nie jestem twoją własnością, żebyś mi mówił, co robić, a czego nie! - Krzyczała tak, że aż para turystów przy sąsiednim stoliku spojrzęła na nich, zaintrygowana.

- W Kairze są i dobrzy ludzie, i źli. Bałem się, że umrzecie - wyjąkał.

- Ja też się bałam, że umrę.

Powiedziała to w taki sposób, że jeszcze mocniej ścisnął jej rękę i całą ją przyciągnął bliżej, tak że ich usta spotkały się nad stołem. Pocałował ją bardzo mocno i było to o tyle zaskakujące, że Asz nigdy nie robił takich pokazów publicznie.

Ruby z trudem złapała oddech i powoli opadła na krzesło. Popękane wargi piekły ją i dotknęła ich palcami.

- Teraz wiesz? - szepnął Asz.

Pierwsza odwróciła wzrok. Twarz zaczęła ją palić jeszcze mocniej.

Przyszedł kelner i z brzękiem postawił przed nią talerz smażonych jajek. Patrząc na zamglone żółtka i przypalone brzegi połyskującego białka, Ruby poczuła, że ślinka jej leci do ust.

- Jestem taka głodna.

Asz uśmiechnął się promiennie, już bez śladu gniewu.

- No to jedz - powiedział.

Lesley siedziała przy łóżku Iris i cierpliwie czekała.

Andrew powiedział, że musi załatwić służbowe telefony i odpowiedzieć na e-maile.

- To wszystko nie mogło się zdarzyć w gorszym tygodniu - wzdychał. - Posiedzisz tu z matką, a ja wrócę za jakiś czas. Czy tak będzie dobrze?

Lesley uśmiechnęła się do niego.

- Tak - odparła. - Ze wszystkim już będzie dobrze.

Iris obudziła się, a Lesley powiedziała, że ją kocha. W nocy, gdy leżała bezsennie w zakurzonej sypialni, a Andrew obok niej chrapał, postanowiła, że powie swej matce przede wszystkim właśnie to. Powiedziała, jak tylko Iris na chwilę odzyskała przytomność, i zdawało jej się, że ją usłyszała, a nawet kiwnęła głową. Dla Lesley było bardzo pokrzepiające, że w końcu nawiązały ze sobą jakiś kontakt.

Kiedy wychodzili z domu, Ruby jeszcze smacznie spała, i z tego też była zadowolona. Jakże inny okazał się dziś świat od wczorajszego o tej samej porze! Była wdzięczna losowi za ocalenie życia Iris i za siłę młodości Ruby. Poczucie osamotnienia, niemożności sprostania oczekiwaniom ludzi, których kochała, prysło jak bańka mydlana.

- *Hello?* ~ powiedział ktoś po angielsku.

Lesley podniosła oczy i ujrzała kobietę w koszulce khaki z logo Land-Rovera na przodzie, z tym że napis był zmieniony na „Sand-Lover”. Wielbiciel piasku.

- *Hello?* - odpowiedziała niepewnie Lesley.

— Jak ona się czuje?

- Troszkę lepiej. Obudziła się około godziny temu.

- Dobra wiadomość. A pani córka?

- Spała, gdy wychodziłam z domu. Ale czy my się znamy?

Kobieta roześmiała się, po czym szybko się rozejrzała, czy nie przeszkadza innym pacjentom.

- Przepraszam, moje niedopatrzenie. Byłam w tej grupie, która wczoraj znalazła pani córkę, a może to ona nas znalazła, nie jestem pewna. Wie pani, ona była nadzwyczajna. Chciałyśmy tylko sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Jestem Ros Carpenter.

Lesley obeszła nogi łóżka Iris i podała jej rękę, a kobieta uścisnęła ją przyjacielsko i mówiła dalej, że była pewna szybkiego wyzdrowienia Iris, a szpital wygląda na dobry, lepszy, niżby się spodziewała, przynajmniej jest czysto, a jaka jest dziś opieka medyczna w kraju? Inne panie z wycieczki właśnie piją kawę w lokalu za rogiem, więc może zrobiłaby sobie parę minut przerwy i posiedziała razem z nimi?

- Czy ja wiem?... - Lesley zawahała się, zerkając w tył na Iris. Naraz zdecydowała się, dlaczego nie? Ta kobieta powiedziała, że Ruby jest nadzwyczajna. Uśmiechnęła się do niej. - Tylko na pół godziny. Chcę wam wszystkim podziękować. Nazywam się Lesley Ellis.

Pozostałe cztery kobiety siedziały wokół stolika. Przywołały je machaniem rąk i zsunęły krzesła, żeby zrobić miejsce.

- To jest Lesley - oznajmiła Ros tonem lidera. - Jej mama wraca do zdrowia, a nasza wędrowniczka po pustyni śpi w domu jak suseł.

Nastąpiły okrzyki radości i ulgi, a najwyższa z kobiet zawiwatowała. Lesley popatrzyła na krąg kobiet, ujęta ich serdecznością.

- Twoja córka była bardzo dzielna - stwierdziła blondynka. - Była wycieńczona, potwornie spragniona, spalona przez słońce. Szła tyle czasu. A w ogóle nie myślała o sobie. Jedyną myślą, która nią kierowała, było znalezienie pomocy dla babci. Nasz przewodnik próbował ją odesłać z nami do hotelu, ale ona stała i krzyczała na niego, dopóki jej nie pozwolił uczestniczyć w poszukiwaniu.

Lesley uśmiechała się.

- Tak, to cała Ruby. -I tak było. Przyszło jej do głowy, że jej ukochane dziecko to całkiem inna osoba niż ta, co do której żywiła tyle lęków i obaw. - Cała Ruby - powtórzyła, prawie do siebie.

Kobieta w słonecznych okularach założonych na głowę ujęła dłoń Lesley i poklepała ją.

- To musiały być dla ciebie koszmarne dni.

Poczęstowały ją kawą i rogalikiem, opowiedziały jeszcze raz, jak Ruby wyszła, potykając się, zza wydm i prawie zemdlała u ich stóp.

- Nasz przewodnik, Hamid...

- Lindy jest zakochana w Hamidzie - śmiała się z niej ta o imieniu Clare. - Nie może przestać o nim mówić.

- Nieprawda, nie jestem. Chcę tylko przytoczyć jego słowa, że jeśli ktoś się zgubi na pustyni, nie powinien się ruszać z miejsca, ale gdyby Ruby tak zrobiła, mogłoby upłynąć wiele dni, zanim ktoś by je znalazł, a wtedy byłoby za późno.

- W tym wypadku postąpiła słusznie - przytaknęła Jane.

- Ja bym nigdy nie była w stanie zrobić tego, co ona - dodała Louise. - A tak nawiasem, jak to się stało? Jak one zabłądziły?

- Właściwie jeszcze nie wiemy. Myślę, że dowiemy się wszystkiego dokładnie, gdy Ruby dojdzie do siebie.

A może i nie, znając Ruby.

Choć tak ją chwaliły, Lesley chciała już uciąć tę dyskusję. Myślenie o tym, jakie miała szczęście i co by się stało, gdyby nie spotkała grupy safari, to było teraz trochę za wiele. Robiła stosowne miny i odpowiadała na pytania, ale chcąc odwrócić swoją uwagę od tego, o czym mówią kobiety, zaczęła je obserwować. Były mniej więcej w jej wieku, co Lesley mogła poznać po ubiorach i lekko podkolorowanych włosach, ale było w nich jeszcze coś, co ją uderzyło.

Po pierwsze, okazywanie sobie przyjaźni. Wyraźnie czuły

się bardzo dobrze w swoim towarzystwie. Lesley też miała przyjaciółki, z pracy i z sąsiedztwa, ale nie wyobrażała sobie wspólnej wycieczki na wielbłądzie przez wydmy z żadną z nich czterech. A inną niezwykłą rzeczą była nieobecność mężczyzn, a konkretnie mężów. Dla Lesley wakacje oznaczały Andrew i łódkę. Albo, rzadko, Andrew bez łódki.

Zamawiały teraz następne kawy i deliberowały, czy jeszcze za wcześnie myśleć o lunchu, a może by tak kieliszek wina?

- Spędziłyśmy już pięć dni, siedząc na grzbietach wielbłądów.

- A to jest nasz przedostatni dzień.

- Ja nie chcę, żeby to się kończyło - westchnęła Ros.

- Zawsze wyjeżdżacie razem na wakacje? - spytała je Lesley.

Wszystkie zaczęły się śmiać.

- W zeszłym roku była Sri Lanka. W przyszłym myślimy o Machu Picchu - oznajmiła Clare.

- No, może ty - sprostowała Lindy.

- Ależ tak, wyjeżdżamy. Trzy z nas są rozwiedzione, dwie jeszcze mężatki...

- Mniej więcej.

- ...I nie zawsze to samo nam się podoba. Część nas, na przykład, spędzi dzisiejsze popołudnie w Muzeum Egipskim, a inne... no, w każdym razie nie tam. Ale wszystkie się lubimy. I to zdaje egzamin.

Lesley uśmiechała się, zazdroszcząc im tej efektownej wolności. Wtem spojrzała na zegarek.

- Muszę już iść. Zaraz, czy któraś z was pożyczyła wczoraj Ruby szal?

- T o byłam ja - odezwała się Ros.

- Jak mam ci go zwrócić? Gdzie jest twój hotel?

- Wiesz co? - wtrąciła się Clare. - Może spotkamy się jutro na kolacji? To nasz ostatni wieczór.

Ku własnemu zaskoczeniu Lesley zgodziła się bez namysłu. I ani do głowy jej nie przyszło, by przyprowadzić Andrew.

- No to do jutra! - rzuciła. - Przyjemnego zwiedzania muzeum.

- Albo miłej drzemki nad basenem - mruknęła Lindy.

Gdy znów znalazła się na oddziale Iris, na krześle gościa siedziała Ruby. Była czysta i wyglądała normalnie, tylko miała popękane wargi.

- Kochanie, ty tutaj? Wypałaś się? Jadłaś coś? Jak się czujesz?

- Mamo. Gdzie ty wyszłaś?

- Poszłam na kawę z wycieczką od wielbłądów. One tu przyszły zobaczyć, jak się obie czujecie. A jak ty się tu dostałaś?

- Naprawdę? To miło z ich strony. Ja się dobrze czuję. Wstałam i zjadłam śniadanie z Aszem. Potem wzięłam prysznic, a on podwiózł mnie tu na skuterze. Przed minutą Iris się obudziła. Rozglądała się i pytała o ciebie.

- Pytała o mnie?

- Tak. Powiedziała do mnie: „Lesley, musisz mówić głośniej”. Potem jakby mrugnęła i zapytała: „Gdzie jest Lesley?”. Powiedziałam jej, że niedługo wrócisz.

Lesley usiadła szybko po drugiej stronie łóżka. Wzięła matkę za rękę, tak małą i szczupłą, że prawie nic nie ważyła, i trzymała ją mocno. Ruby siedziała cicho, z głową opartą o tył krzesła, a Lesley patrzyła na nią i pozwalała, by w jej sercu i mózgu kiełkowało uczucie niewypowiedzianej wdzięczności.

16

Ruby rozmawiała z Sebastianem, który był właśnie w swoim biurze w Londynie.

- Przestraszyłaś nas wszystkich - mówił.
- Przepraszam. Siebie też przestraszyłam.
- Na pewno wszystko już w porządku?

Ruby rozmawiała z komórki Andrew. Andrew próbował pracować. Rozłożył swoje papiery na kanapie w saloniku Iris. Narzekał, że górne światło jest za słabe do czytania, ale gdy otworzył okiennice, przeszkadzał mu muezin i hałas uliczny. Ruby nie widziała sensu podtrzymywać rozmowę, tkwiąc pomiędzy dwoma ojcami.

- Wszystko okej. Iris też już lepiej.
- To dobra wiadomość, kochanie. Muszę się spotkać z autorem. Zadzwoń do mnie pod koniec tygodnia. Musimy zrobić jakiś sensowny plan na ten wyjazd do Nowego Jorku, gdy już wrócisz do Anglii.

- Tak. Okej, tato.
- Ściskam cię, kochanie. Pa.

Ruby położyła telefon obok papierów Andrew, ale on nie podniósł wzroku. Wyszła z pokoju i z galerii popatrzyła na hol. Lesley z chustką na głowie balansowała na drabince gospodarczej. Zdejmowała czerwone szklane klosze z olbrzymiej lampy zwisającej na łańcuchach z sufitu i po kolei je odkurzała. Mamduh stał z uniesionymi rękami, jakby zamierzał ją przytrzymać, gdyby spadała. Ruby zeszła powoli po schodach. Lesley i Andrew zaczęli już przekształcać Kair w Kent.

- Idę na spacer z Aszem! - zawołała Ruby.
- Co? Och, poczekaj. Dokąd idziesz? Weź mój telefon. Przyjdiesz z powrotem zjeść kolację z Andrew, dobrze? Ja wychodzę, pamiętasz?
- Zobaczę - mruknęła Ruby. - Nie spadnij.

Wyskoczyła za drzwi i zamknęła je dokładnie. Odruchowo zmrużyła oczy, gdy słońce padło jej na twarz.

Asz oderwał się od muru i podszedł do niej.

- Spóźniłaś się. Ale widzę, że jesteś już znów podobna do siebie, cieszę się.

- Dzięki. - Posłała mu w powietrzu buziaka. - Rozmawiałam przez telefon z moim tatą w Londynie.

- Przez telefon, jak to? Myślałem, że on też tu jest.

- Ten to jest mój ojczym. Tamten w Londynie to mój prawdziwy ojciec.

Asz westchnął.

- Strasznie to u ciebie skomplikowane.

- To bardzo proste, naprawdę. Ja się tym nie przejmuję.

Wziął ją za rękę i ruszyli na spacer, powoli i bez specjalnego celu, tak jak Ruby lubiła.

Mamduh odetchnął z ulgą, wydymając policzki, gdy Lesley założyła ostatni czerwony kulisty klosz i zeszła z drabiny. Stała ze ścierką do kurzu w ręku i oglądała efekt swej pracy. Teraz widziała, że to nic nie pomogło. Gdy lampa była pokryta kurzem, przynajmniej wyglądała na starą i szycową. Teraz, gdy odsłoniły się byle jak wykonane metalowe złącza i maszynowo produkowane szklane klosze, stało się oczywiste, że to nowoczesny chłam, jaki można kupić na każdym bazarze. Co prawdopodobnie właśnie zrobiła Iris. Tak samo wyglądała cała reszta umeblowania. Iris nie troszczyła się o ubrania czy przedmioty ani o estetykę. Może taka była zawsze. Lesley odziedziczyła cały swój entuzjizm dla tych rzeczy po ojcu. Gdy umarł, zostawił jej swoje porządne meble i bibliotekę pierwszych publikacji na temat fotografii. Prawie wszystko z tego sprzedała, ale to przecież nieistotne.

Istotna była zdolność doceniania takich rzeczy. Tak uważała Lesley.

Poszła do kuchni wypłukać ścierkę, a niepomiernie zdi-

wiona Ciocia szła za nią, nerwowo machając rękami. Potem udała się na górę, by wziąć prysznic w łazience, gdzie rury dzwoniły niemiłosiernie, a woda spływała do obscurnego otworu w kafelkach podłogi.

- A co ja mam robić wieczorem? - zapytał Andrew, gdy Lesley znów się zjawiała, przebrana i gotowa na spotkanie z kobietami w ich hotelu.

- *Zjedz tu kolację, z Ruby, jeśli wróci. Ciocia coś gotuje.*

- *Zupę fasolową.*

- *Bardzo dobra dla ciebie. Ja nie wrócę późno.*

- Lesley, wiesz, to zaczyna być coraz bardziej męczące. Jak długo jeszcze musisz tu zostać? Ja jestem w trakcie załatwiania transakcji z Elligottem i nie dam rady prowadzić całego interesu stąd.

Przeszła do niego przez pokój, demonstracyjnie poprawiając i wygładzając mu kołnierzyk koszuli, tylko dlatego, że chciała go dotknąć. Pragnęła choć odrobiny kontaktu, razem z nim się pośmiać i pożartować. Jak zwykle między brwiami Andrew pojawiły się dwie zmarszczki.

- Dziękuję, że przyjechałeś tu ze mną i zająłeś się wszystkim.

To Andrew znalazł agencję: „Wymarzone Safari po Pustyni” i upewnił się, że przewodnik karawany otrzymał, jak to określił, „odpowiednią gratyfikację”; on załatwiał sprawy z policją i urzędnikami w ambasadzie. Nie zrobiłabym tego sama - pomyślała odruchowo Lesley.

Lecz teraz nagle przyszło jej do głowy, że nie ma właściwie żadnego powodu, by nie mogła tego zrobić. Prowadziła własną firmę, nawet jeśli były to tylko projekty oświetlenia i przechowywania rzeczy, a nie przejmowanie korporacji. Andrew miał taki swój sposób umniejszania wszystkiego, co ona robiła, a zarazem jej samej. A ona to akceptowała, gdyż rozumiała jego potrzebę podkreślania w ten sposób własnej wartości.

Wyglądał na zaskoczonego, ale zadowolonego.

- Przecież nie mogłem po prostu zostać w domu, prawda?
I martwiłem się o Ruby tak samo jak ty.

Może - pomyślała Lesley. Jej mąż czuł to, co chciał czuć, jakby miłość, niepokój czy odpowiedzialność były punktami harmonogramu, o których sam decyduje. Żadna z tych emocji nie ogarniała go nagle, niepohamowanie. Nie było na tej liście namiętności. Może z wyjątkiem, gdy chodziło o łódkę. Lesley zauważyła, że uśmiecha się do siebie.

To nie znaczy, że był złym człowiekiem.

Ale już nie miała pewności, czy on uosabia to, czego chce.

Chwilę potem uprzytomniła sobie, iż nawet samo zastanawianie się, czego ona chce, było jej tak obce, że ją przestraszyło.

- No więc co chcesz zrobić? - rzekła szybko. - Ja nie zamierzam wyjechać z Kairu, gdy moja matka leży ciężko chora w szpitalu.

Andrew zamknął wieczko laptopa i ułożył część papierów w stos.

- W takim razie może będę musiał wrócić przed tobą.

- W porządku. My z Ruby damy sobie radę. Tylko będziesz musiał przez kilka dni opiekować się Edem. Nie możemy go przecież zostawić u Olliego na dłużej.

- No, też tak myślę.

- Pójdę już. - Lesley pochyliła się i pocałowała go w czubek głowy, gdzie włosy były już mocno przerzedzone. On chwycił ją za rękę i trzymał, a w końcu to ona wyprostowała się i powiedziała, że naprawdę już musi iść.

W eleganckich kolorowych bluzkach, błyszczących kolczykach i sandałach z rzemykami turystki piły koktajle w hotelowym barze.

- O, idzie! Chodź, Lesley, masz jeden koktajl do tyłu.

- Ja poproszę margaritę - powiedziała Lesley.

Po pierwszym był zaraz drugi.

Potem pojechały dwoma taksówkami do restauracji libańskiej, gdzie, siedząc na kanapach z poduszkami, pochłaniały małe dania z niekończącej się długiej listy, popijając kolejnymi butelkami mocnego czerwonego wina. Na rozmowę składał się rwący potok ciętych opowiastek okraszonych intymnymi wyznaniem, które były przyjmowane i równoważone beztróskim śmiechem. Wesoła, przyjacielska atmosfera tego spotkania podniosła Lesley na duchu. Kelnerzy, chcąc im na koniec zrobić przyjemność, przynieśli w poczęstunku cukrowe słodycze na srebrnych talerzykach. Każda zarzekała się, że nigdy nie tknęłaby czegoś takiego, a potem zmiotły wszystko, popijając mocną kawą z małych złotych filiżanek. Gdy już podzieliły się kosztami, Lesley powiedziała, że musi wracać, lecz one nalegały, że przecież to jest Kair, więc idą na taniec brzucha, a ona musi im towarzyszyć.

Na początku tancerka miała na sobie przezroczyste turkusowe szarawary haremowe z woalu i dopasowaną do nich zasłonę na twarz, a także stanik i bransolety połyskujące cekinami i perłami. Na jej nadgarstkach i kostkach dzwoniły dzwoneczki, bosymi stopami tupała w zakurzoną podłogę. Miała długie, pełne ekspresji palce i smutne oczy, grubo podkreślone proszkiem antymonowym.

- Chciałabym umieć tańczyć. Chcę być tancerką brzucha - westchnęła tęsknie Lindy. Oczy jej lśniły z podziwu.

- No więc dobrze. Zostawimy cię tutaj i wrócimy w przyszłym roku obejrzeć twój pokaz - rzekła Ros.

Pod koniec występu tancerka zrzuciła już z siebie większość odzienia. Skóra jej ud i brzucha falowała ekstrawagancko, gdy potrząsała biodrami, a klejnot w jej pępku połyskiwał w świetle. Wszyscy turyści klaskali.

- Lepiej teraz oceniam siebie - mruknęła Clare.

- Ja też - dodała Louisa. - Nie mam zamiaru więcej wcią-

gać brzucha. Będę go pokazywała, jak się uwydatnia w bikini z cekinami.

Lesley współczuła tancerce, która pod grubym makijażem wyglądała na zmęczoną, a potem zrobiło jej się markotnie. Muzykami byli starzy mężczyźni w poplamionych tłuszczem czerwonych kamizelkach i przekrzywionych tarbuszach na głowach. Wszyscy byli smutni, a ona sama najbardziej.

Za dużo tego picia - powiedziała sobie.

Wieczór dobiegł końca. Jane z zamkniętymi oczami opierała głowę o pulchne ramię Lindy, a tancerka robiła już ostatni ukłon.

Na ulicy na zewnątrz czekał rząd wszechobecnych czarno-białych taksówek. Nie było trudno poruszać się po Karirze - zauważyła Lesley - jeśli miało się trochę egipskich funtów na przejazd.

Wszystkie kobiety ją uściskały, Ros potwierdziła, że odzyskała swój szal, a Lesley wszystkim im jeszcze raz podziękowała.

- Nic nie zrobiłyśmy.

Wymieniły między sobą adresy. Obiecały, że się znów spotkają. Lesley została zaproszona na ich przyszłoroczną podróż.

- Machu Picchu.

- Nie cholerne Machu „cośtam”. Ja osobiście wolę Parrot Cay.

Na niepewnych nogach wsiadły do dwóch taksówek. Lesley pomachała im i wsiadła do trzeciej. Podała kierowcy adres Iris i patrzyła na ruchliwą ulicę. Zastanawiała się, jak się wszystko dalej potoczy, mając jednocześnie świadomość, że zawsze są jakieś możliwości. Odpowiedź może być prosta: od czasu do czasu samotny wyjazd na wakacje, albo złożona: przyznanie się, że jej małżeństwo jest w kryzysie. Przypominało to otwarcie drzwi. Jeszcze nie widziała dokładnie, co

jest wewnątrz nowego pomieszczenia, ale już nie tkwiła zamknięta w starym.

Ruby leżała w łóżku, czytając książkę.

- Jeszcze nie śpisz?

- Andrew poszedł spać już dawno, więc na pewno zasnął. Chciałam mieć pewność, że bezpiecznie wróciłaś.

Spojrzały na siebie i gdy dotarło do nich, jakie to perfekcyjne odwrócenie ról, zaczęły się śmiać.

Lesley usiadła na brzegu łóżka, tak jak to robiła, kiedy Ruby była dzieckiem.

- Co czytasz?

Ruby podniosła książkę i pokazała jej okładkę. Była to historia Egiptu z czasów faraonów.

- Ciekawa?

- Tak. Jak chcesz, możemy iść do Muzeum Egipskiego. Pokażę ci niektóre eksponaty, tam są niezwykle rzeczy.

- Dobrze, pójdziemy. Andrew będzie musiał za dzień lub dwa wracać do domu, ale ja zostanę.

Patrząc na zdjęcie wykopalisk grobu Ramzesa II, Ruby oznajmiła:

- Damy sobie tutaj radę we dwie.

To krótkie zdanie, tak pełne poczucia lojalności, dla Lesley zabrzmiało jak muzyka. Uznała je za najpiękniejsze, jakie usłyszała z ust Ruby, przynajmniej od czasu, gdy była na tyle duża, by umieć wyrazić słownie swój protest.

Uśmiechnęła się do niej.

- Idziesz ze mną rano do szpitala?

- Tak, jasne, że idę.

Lesley pocałowała ją, a Ruby nie zrobiła uniku.

- No to dobranoc. Śpij dobrze.

W sypialni wsunęła się do łóżka bez zapalania światła, żeby nie przeszkadzać Andrew. Leżała na plecach, patrząc w półokrągły sufit.

Dochodzę do zdrowia. W miarę zmniejszania się bólu postacie wchodzące i wychodzące gdzieś na skraju mej świadomości nabierają wyrazu. Rozpoznaję pielęgniarki, które robią to, co muszą, w miarę sprawnie, oraz lekarza, który, pochylając się nade mną, roztacza wokół siebie zapach kawy, tytoniu i wody kolońskiej. Odwiedzają mnie cztery osoby. Najłatwiej mi idzie z Nicolasem. Siedzi na krześle obok łóżka i czyta mi urywki z „Egyptian Gazette” lub którejs z gazet kairskich, a czasem jakieś opowiadanie Somerseta Maughama, którego oboje uwielbiamy. Nicolas przed wyjściem zawsze całuje mnie w policzek, mówi, że ze mną coraz lepiej i niedługo znów będę w domu. Gdy przychodzi Mamduh, przynosi mały, przykryty koszycek z jedzeniem przyrządzonym przez Ciocię, ale ja nie mogę jeść. Siedzi kilka minut, skrepowany, na niewygodnym, za ciasnym dla niego krześle, i emanuje z niego wielka troska.

No i wreszcie, moja córka i jej córka.

Wcześniej, ponieważ mają takie same oczy i tak samo poruszają ustami, ich twarze mi się zlewały i miałam kłopot z ich odróżnieniem. Ale teraz już odróżniam. Lesley ma zmarszczki opadające w dół do brody i jej twarz wyraża wahanie, a zarazem wyczekiwanie. Ruby ma w oczach światło. Wszystko jest przed nią, ma do tego prawo. Może sięgnąć i wziąć, co tylko zechce.

Zbyt jestem zmęczona, by mówić więcej niż pojedyncze słowa, ale lubię, gdy tu są, razem czy oddzielnie.

Teraz podłożyły mi pod plecy więcej poduszek i jeszcze je układają, żeby mi było wygodniej. Po chwili Ruby trzyma filiżankę, a Lesley zanurza w niej łyżkę i wkłada mi jej czubek do ust. Próbuję jak małe dziecko, po czym połykam. To ciepła, słodka owsianka. Pierwsze normalne jedzenie, jakie przyjmuję od... jak długiego czasu? Straciłam rachubę.

Jestem w domu, który kupiliśmy z Gordonem w pośpiechu przed narodzinami Lesley. W ogrodzie rośnie krzak ceanotusa, a w jego cieniu stoi głęboki wózek, z przymocowaną siatką od budki po uchwyt, dla ochrony przed kotami. Odpinam siatkę i odkrywam białą kołderkę, ale pod nią zamiast dziecka leży wielki, pręgowany kot.

Siłą otwieram oczy. Język mam suchy i spuchnięty, kąci-ki warg zlepione. Ktoś przytyka mi do ust filiżankę i piję z wdzięcznością. Widzę, że to Lesley ze swym wyczekiwaniem na twarzy.

- Jak długo jestem w tym miejscu? - pytam.
- Tydzień.

Przyswajam sobie tę informację, a ona mówi:

- Mamo, to ja. Lesley.
- Wiem, kim jesteś.
- Wiesz? No to... dobrze. To bardzo dobrze.
- Lesley, chcę jechać do domu. Chcę być we własnym domu - mówię. W domu będę mogła skupić się na tym, co mam zrobić.

- Podobają ci się?

Ruby i Lesley były w muzeum. Stały w kolejce do sali mumii, gdzie Lesley nieco wzdragała się na widok wysuszonych twarzy o ciemnej, skórzastej powierzchni, wyglądających bardzo groźnie. Ruby chodziła między trumnami i zatrzymywała się przy każdym królu i królowej z nabożeństwem, według Lesley graniczącym z emfazą.

Stały przed maską Tutanchamona. Podobnie jak z *Mona Lisą* i *Narodzinami Wenus* Lesley po raz kolejny w życiu poczuła rozczarowanie, że i ten oryginał nie robi na niej żadnego wrażenia. Zwykle spodziewała się czegoś więcej, lecz wszystkie zdjęcia czy reprodukcje, które się wcześniej ogląda, dają już pełny obraz oryginału.

Przypomniała sobie, jak ojciec zabrał ją do Muzeum Brytyjskiego, gdy miała kilkanaście lat. Był tam okresowo wystawiany król chłopiec, lecz kolejka do wejścia ciągnęła się daleko poza bramę i oboje zdecydowali, że jakkolwiek może to być coś wspaniałego, eksponat nie jest wart takiego czekania. Zamiast tego poszli do kina na Tottenham Court Road, a nie całkiem dla niej dozwolony popołudniowy seans w zadymionym kinie miał tym większy urok, że właśnie wspólnie pogardzili wielką kulturą. Lesley i Gordon, między którymi wytworzyła się bliska, pełna uczucia więź, często wybierali to, co im bardziej pasowało.

Teraz Ruby znów sprowadziła ją schodami na dół i przechodziły między odrapanymi gablotami, które zastawiały parter. Wszędzie piętrzyły się bezsensownie fragmenty starożytności i wyglądały jak zwykły skład rupieci. Dosłownie prosiły się o oddzielne umieszczenie, podpisanie, oświetlenie. Ale Ruby najwyraźniej była tym wszystkim zachwycona. Przeszły do innej wysokiej sali i córka wzięła ją pod rękę przed rzędem posągów o tajemniczych, wydłużonych twarzach, wielkich brzuchach i potężnych udach.

- Podobają ci się? - spytała. - To moi ulubieńcy.
- Z pewnością robią wrażenie. Kto to?
- Faraon Echnaton. Około tysiąc trzechsetnego roku przed Chrystusem. A zobacz, to jego żona Nefretete.
- Naprawdę? To jest Nefretete? Muszę przyznać, że masz dużą wiedzę.
- To mnie ciekawi - odparła Ruby z lekką przyganą.

Pokazała na rzeźbioną płytę, nazywając ją stelą. Widniał na niej faraon trzymający dziecko i jego żona karmiąca dwoje niemowląt. Rodzinna intymność tej sceny ostro kontrastowała z obecnym wszędzie przepychem i symboliką pogrzebową. Lesley długo stała wpatrzona. Nawet ci starożytni królowie i królowe z kamienia mieli dzieci i tulili je w ramionach. Ciekawa była, czy któreś z tych dzieci, gdy dorosło,

a potem zmarło, zostało pochowane w piramidzie, żeby po wiekach zostać wykopanym i wystawionym w oświetlonej sali na górze, gdzie codziennie je oglądają pochody niemieckich turystów. To przykry los - pomyślała. Śmierć powinna być prywatną sprawą, bez względu na to, kim się jest.

Zauważyła, że Ruby kręci się, jakby usiłowała jej coś powiedzieć.

- Wiesz, ja chciałabym tu zostać.

- Co byś chciała?

- Posłuchaj, mamó. Ty musisz niedługo wracać do domu, tak? Ed ciebie potrzebuje i Andrew też.

Andrew wrócił do Anglii cztery dni wcześniej. Ed twierdził, że sobie świetnie radzi. Przychodzi do domu po szkole, zjada płatki i odrabia lekcje. Potem wraca Andrew i razem jedzą kolację. Coś na wynos, czasem - dodał z satysfakcją.

Lecz cokolwiek by mówił, ona i tak musi tam niebawem wrócić. Zbliżało się Boże Narodzenie. Miała dużo pracy.

Ruby ciągnęła głosem pełnym chłodnej rozwagi.

- A z drugiej strony, nie możemy tu zostawić Iris samej. W najbliższych dniach wyjdzie ze szpitala, a nie bardzo ją widzę pakującą się i jadącą z nami do Kentu. A ty?

- Też nie - przyznała Lesley, choć mniej więcej takie były jej oczekiwania.

- Więc pomyślałam, że chyba najlepiej byłoby, gdybym tu została. Zresztą ja też tego chcę. Mogłabym może studiować egiptologię? Albo coś w tym rodzaju - dodała.

Lesley powtórzyła ostrożnie:

- Chcesz tu zostać, opiekować się Iris i być studentką?

Ruby spojrzała jej w oczy.

- Tak. Właśnie tak, o to chodzi.

- Wiem, że chcesz być z Iris. To dobrze. Ale ona może żyć jeszcze długo.

- I będzie - oznajmiła Ruby.

Przez tłum przechodziła właśnie duża grupa turystów, pro-

wadzona przez mężczyznę z uniesionym w górę pasiastym kijkiem, za którym turyści szli jak w religijnym transie. Były to w większości siwowłose kobiety o szerokich biodrach, w butach na płaskiej podeszwie, i kilku mężczyzn w koszulkach z krótkim rękawem i z małymi plecaczkami. Pewnie Holendrzy - pomyślała Lesley.

- Wyjaśnij mi coś jeszcze. Jak wiele ma to wspólnego z Aszem?

- Nie tak znów wiele.

Lesley bolały plecy i nogi.

- Usiądźmy. - Wskazała na ławkę przy ścianie, z dala od strumienia zwiedzających. Usiadły, wzdychając z ulgą. Ruby przesunęła się nieco w bok, żeby móc dalej zerkać na posąg Echnatona za filarem.

Cztery dni spędziły prawie same. Codziennie jadły śniadanie na patio, jechały do Iris, robiły niewielkie wypadki na miasto i również kolacje jadły razem, gdy Ruby wracała ze swych popołudniowych spacerów z Aszem. Ich spokojne rozmowy skupiały się wokół zdrowia Iris, rodziny Asza i geografii Kairu. Ruby była niemal potulna. Lesley już teraz rozumiała, że chodzi jej o przeprowadzenie swych planów.

To moja córka - powtarzała sobie starą śpiewkę. Kocham ją i nie chcę jej stracić dla Kairu, Iris i faraonów. W co ona może się tu wplątać, jeśli nie będzie mnie przy niej? Na myśl o pustyni i o tym, co się o mały włos nie zdarzyło, czuła nieopisany lęk.

- Oczywiście, warto o tym pomyśleć - grała na zwłokę.

Ku jej zaskoczeniu Ruby z aprobatą pokiwała głową.

Ros Carpenter i jej znajome przedstawiły Lesley obraz innej Ruby: wyjątkowo dzielnej i myślącej tylko o ratowaniu Iris. A jeśli to ta inna Ruby była cały czas prawdziwą Ruby - spekulowała Lesley - a ona jako matka dla własnych celów utrzymywała w sercu jej gorszą wersję?

Żeby wzmocnić siebie, wydać się silną w porównaniu z nią?

Żeby sobie samej udowodnić, że jest potrzebna?

A jeśli to była prawda, niewykluczone, że coś podobnego, jakiś inny fałszywy wytwór wyobraźni tkwi również u podłoża jej relacji z Iris.

- Czy ty uważasz, że jestem dobrą matką? - zapytała nagle.

Pytanie zostało zadane, zanim zdołała je powstrzymać lub choćby skorygować, i nie podobał jej się błagalny ton, jakim je wypowiedziała.

Nigdy dotąd nie poruszała tego tematu. Zawsze starała się robić wszystko tak, jak powinna, nie oczekując akceptacji z zewnątrz, chociaż bardzo by jej pragnęła. To był - teraz się domyślała - schemat wyuczony przez nią od własnej matki. Ruby rozłożyła szczupłe ręce i usiadła na dłoniach, co świadczyło, że jest zmieszana.

- Jak uważasz? - powtórzyła Lesley.

- Mamo, nie wiem. Dałaś mi trochę popalić. No, tak, oczywiście, jesteś dobrą matką, na przykład teraz przyjechałaś mnie ratować. Zawsze byłaś obok, robiłaś to, co trzeba.

Ruby oceniała ją tak samo jak ona siebie.

Robić to, co trzeba - jak to nieciekawie brzmi!

Ruby dodała poważnie:

- Świat ma swoich dobrych ludzi i ty jesteś jedną z nich, A cała reszta ludzi to tacy jak Iris i ja. Myślisz, że tak jest?

Iris i Ruby na jednej ławce, ona sama na drugiej, a między nimi płynie rzeka możliwości i doświadczeń. Poraziło ją nagłe poczucie całkowitej izolacji.

- Być może - wyszeptała.

Ruby odwróciła się od Echnatona i zobaczyła twarz matki.

- Och, mamo! - szepnęła. - Co się stało?

Lesley potrząsała głową. Nie tutaj - błagała siebie samą. Nie płacz na oczach setki turystów holenderskich i posagu wyniosłej Nefretete.

Ruby przysunęła się na ławce i otoczyła ręką jej ramiona.

- Co ci jest? Chodzi o Iris?

Lesley zacisnęła wargi, potem wyjęła z torebki chusteczkę i wydmuchała nos.

- W pewnym sensie tak.

- W jakim sensie?

- Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego jej nigdy z nami nie było.

Ruby przygryzła koniec wargi. Pęknięcia już się zagoiły i opuchlizna dawno zeszła. Miała znów gładką cerę i własny kształt ust. Lesley widziała jak na dłoni, że córka w tej chwili wszystko sobie kojarzy.

- Ty chciałaś to robić inaczej ze mną i z Edem. Chciałaś być z nami w każdej minucie.

- Tak.

Ruby pokiwała głową.

- Rozumiem. A pytałaś ją kiedyś o to?

- Nie.

- To musisz spytać. Zanim wszystko zapomni. Zrobisz to?

- Spróbuję - obiecała Lesley. Ta maleńka, lekka jak piórko postać na szpitalnym łóżku była jej straszliwie, boleśnie droga i chociaż próbowała jej to jakoś powiedzieć, ona pozostawała tak samo daleka jak zawsze.

- Dobrze. Chodźmy już.

Wyszły z muzeum w zimowy zmierzch. Lesley była zadowolona, że już opuściły ponure sale, mimo że na dworze wisiały nisko chmury i kroił deszcz. Ruby minęła rząd taksówek i poprowadziła przez pełen zgiełku Midan At-Tahrir na przystanek autobusowy. Wzięła Lesley za rękę i z wprawą pociągnęła przez tłumek wsiadających.

Tak jakby tu już mieszkała - pomyślała Lesley.

Iris wróciła do domu. Razem pojechały do szpitala i przywiozły ją prywatną karetką. Iris próbowała nalegać, że nie ma takiej potrzeby, ale jeszcze słabo trzymała się na nogach i szła

powoli, podpierając się laską. Jej nadgarstki i kostki nóg były cienkie jak gałązki.

Mamduh i Ciocia czekali na nią w holu pod wielką lampą świecąca jak czerwone światła uliczne. Podbiegli do niej, usiłując chwycić jej ręce, jakby cała ich czwórka miała ją wnieść na górę schodami do *haramliku*.

Lecz Iris podniosła rękę.

- Czekajcie.

Stanęła bez ruchu, wsparta na lasce. Obróciła głowę, a potem uniosła brodę, patrząc do góry na malowane krokwie.

Zauważy lampę - pomyślała Lesley.

Ale nie zauważyła.

Ona powędrowała daleko stąd - pomyślała Ruby. Patrzy na mnie i na mamę, jakbyśmy były zupełnie kim innym.

Stali wszyscy w napięciu, gotowi ją złapać, gdyby się przewracała.

- Kocham ten dom - powiedziała Iris.

Potem zgodziła się, żeby pomogli jej wejść na górę i położyć się do łóżka.

Dom był cichy. Jakby wszystkie trzy czekały, aż któraś wybierze drogę. W tej ciszy szuranie kapci Marnduha wydawało się jeszcze głośniejsze niż zwykle.

Lesley nerwowo próbowała ułożyć jakiś plan.

- Boże Narodzenie? - odparła Iris. - Ja nie obchodzę tego święta. Mamduh ani Ciocia też nie. Oni są muzułmanami, rozumiesz. Czasem przychodzi doktor Nicolas. Raz przeprowadził swego młodego przyjaciela, graliśmy w kanastę i trochę się upiliśmy.

Była już zima. Równoległobok nieba nad ich głowami był ołowianoszary, ale ogród dawał schronienie przed zimnem tak samo jak przed letnim upałem. Iris siedziała owinięta w koce, obok fotela leżała jej laska.

Lesley spuściła głowę.

- Rozumiem. Ale widzisz, mamó, ja muszę jechać do domu do Andrew i Eda, bo my obchodzimy Boże Narodzenie. Ed jest jeszcze tak naprawdę małym chłopcem. Przeżywam wewnętrzne rozdarcie, nie chcę jechać i zostawiać ciebie, jeszcze nie dość silnej, ani nie chcę, żebyś była samotna.

Ruby szybko odwróciła wzrok i popatrzyła na iglice minaretów, które zdawały się teraz wbijać w gęste chmury.

- Samotna - powtórzyła Iris głosem zimnym jak lód.

Lesley niemądrze się upierała.

- Tak.

Palce Iris stukały w drewnianą poręcz fotela.

- Gdy się jest samotnym, trzeba najpierw się z tym pogodzić. Potem już jest łatwo.

- Ale...

- Może to raczej ty jesteś samotna?

Ruby wciągnęła mocno powietrze i rzuciła ukradkowe spojrzenie na matkę. Lesley siedziała bardzo cicho. Bruzdy od jej nosa do kącików ust wyraźnie się pogłębiły.

- Może - zgodziła się.

Nikt nic więcej nie powiedział. Nagle na kafelki spadły krople deszczu.

- Wejdźmy do środka - mruknęła Lesley i podeszła do Iris, by pomóc jej wstać.

- To jest dziwne i krępujące - skarżyła się Ruby Aszowi.

Znajdowali się w miejscu, które nazywali swoim. To był parterowy budynek z betonu z boku podwórza, na którym Nafiz parkował i doglądał swej taksówki. W środku zamykanego pomieszczenia leżały zużyte opony, puste pojemniki po oleju i kilka narzędzi. Był też szeroki fotel samochodowy z brązowym plastikowym obiciem. Na nim siadali z wyciągniętymi swobodnie nogami, palili papierosy i pili coca-colę. Asz miał tam odtwarzacz kasetowy oraz kolekcję nagrań Mi-

chaela Jacksona i Madonny. Ale tak naprawdę należało to do Nafiza. Ruby obiecała, że zorganizuje mu trochę dobrej muzyki.

- Siedzimy w tym domu we trzy - zwierzała się Aszowi - matka, córka, matka, córka. Jest tyle rzeczy, o których powinnyśmy rozmawiać, ale nikt nic nie mówi. Iris jest taka stara i zamknięta w sobie z własnymi wspomnieniami. Gdy byłyśmy tylko we dwie, nie miało znaczenia, czy mówiła, czy nie, czy to miało sens, czy nie. Ja niczego nie oczekiwałam, bo po co? Przedtem prawie nie znałam Iris. Ale moja mama jest całkiem zatrzaśnięta. Bez przerwy się uśmiecha, a tak naprawdę jest bliska płaczu. Chciałaby, żeby Iris wciąż występowała w roli jej mamusi. Chociaż ma pięćdziesiąt parę lat, wciąż potrzebuje mamusi.

To mnie doprawdy dziwi, wiesz? No bo osiąga się pewien etap w życiu, kiedy zostało się samej matką i trzeba przestać grać rolę córki. I to jest w porządku, bo się jest dorosłą. Ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że moja mama może być w takim układzie nieszczęśliwa. Nigdy. To bardzo źle, prawda?

Asz westchnął.

- Nie rozumiem tego. Jesteście bogatymi ludźmi, macie piękny dom i pieniądze na wszystko, czego wam potrzeba.

- Wiem. Twoja babcia i mama, i małe siostry nie mają, a świetnie się dogadują.

- Są rodziną. - Wzruszył ramionami.

Jakby to stanowiło o wszystkim, a nie o niczym - pomyślała Ruby.

Asz przysunął się bliżej i położył swoją zgiętą nogę na jej nogach.

- Pomówmy o czymś innym. Chcę, żebyś wiedziała, że cię kocham. Opowiadasz rzeczy, których nie rozumiem, ale i tak cię kocham. Nie mówię tego pochopnie.

Ruby też się do niego przysunęła. Przycisnęła nos do jego nosa, rozplaszczając ich czubki, a potem znalazła jego usta.

- Wiem - zamruczała.

Dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem Lesley oznajmiła, że zarezerwowała bilety na powrót do domu dla siebie i Ruby.

- Ja nie jadę - powiedziała Ruby.

Było szare, chłodne popołudnie, ale siedziały we trzy w ogródku. Iris od czasu powrotu do domu coraz szybciej wracała do sił i lubiła siedzieć na dworze aż do zmroku. Potem Mamduh pomagał jej wejść po schodach do saloniku. Czasem wydawało się, że śpi, ale chwilę później była całkiem rozbudzona. Teraz głowa opadła jej na poduszki, a usta miała otwarte. Ruby czytała książkę, a Lesley robiła jakieś notatki i sporządzała listy.

- To Boże Narodzenie - przypomniała Lesley.

- Ty z Edem i Andrew możecie sami mieć Boże Narodzenie. Ja wam nie jestem potrzebna.

- Ależ jesteś, jesteś.

- Nie chcę zostawiać Iris. Ona nie wyjedzie z Kairu.

W ciszy, jaka nastąpiła, słysząc było uporczywy plusk fontanny.

Iris otworzyła oczy.

- Zrobisz tak, jak każe mama - rzekła z naciskiem.

- Ale...

- Słyszałaś, co powiedziałam. Pamiętaj, jesteś w tym domu tylko wtedy, gdy ja cię zapraszam.

- No tak, wiem, ale...

- Dość tego. Pojedziesz do Anglii na święta, bo Lesley tego chce. Proszę, zawołaj Mamduha. Chcę wejść do domu.

Nieco później Ruby wśliznęła się do sypialni Iris. Ciocia położyła ją do łóżka. Leżała oparta plecami na poduszkach

a piersi przykrywało prześcieradło. Jej zdjęcie z Xanem Molyneux stało jak zawsze na stoliku obok łóżka, a przy nim drewniany stateczek z namalowanym numerem 1.

- Czy mogę z tobą porozmawiać? - zapytała Ruby.

- Tak.

- Było nam ze sobą całkiem dobrze, zanim ja nas zgubiłam na tej pustyni, prawda?

- Nie zgubiłaś nas. Jeśli ktoś był odpowiedzialny, to ja, bo ja znam ten kraj i pustynię, a ty nie. I powinnam przedsięwziąć odpowiednie środki ostrożności, a nie pozwalać cijechać beztrosko donikąd. Teraz nawet nie pamiętam, jak do tego doszło. - Iris westchnęła z rozdrażnieniem. - W każdym razie nic się nie stało. Obie tu jesteśmy.

- Nic się nie stało? Nic? Mogłyśmy obie umrzeć. Tyle dni byłaś w szpitalu. Zamiast leżeć teraz tutaj mogłaś być nieżywa. - Twarz Ruby zrobiła się purpurowa. Kręciła się na krześle, nie mogąc usiedzieć spokojnie na myśl, co się omal nie zdarzyło.

- To raczej wstyd, że nie jestem. Śmierć, jak wiesz, nie jest dla mnie czymś nie do pomyślenia.

- Jak możesz tak mówić?! - wrzasnęła Ruby. - A co z Lesley? Co ze mną? Dopiero cię znalazłam. Dopiero zaczęłam odkrywać, jaka jesteś, i jeszcze prawie nic nie wiem o twoim życiu, a ty mówisz, że to wstyd, iż nie umarłaś? - Zacisnęła pięści i z gniewem tłukła się nimi po udach.

Iris popatrzyła na nią.

- Przepraszam - powiedziała w końcu bladymi ustami.

- Nigdy więcej tak nie mów.

- Ale ja jestem stara. Śmierć będzie dla mnie wybawieniem.

- Nie dla nas, którzy zostaniemy.

- Nie krzycz. To jest moje życie i jego koniec także jest mój. Jestem egoistyczna, ale ty jesteś taka sama.

Ruby zastanowiła się.

- Jestem? No tak, rzeczywiście. - Byli dobrzy ludzie, jak Lesley, i ci inni. - To zabawne, co?

Spojrzały po sobie i nagle zrobiło się wesoło. Roześmiały się, Iris aż się zasapała i popłakała, a Ruby śmiała się do rozpuku, ukazując białe zęby i odrzucając włosy do tyłu.

- To dziwne, że jesteśmy takie podobne, choć spotkałyśmy się dopiero kilka tygodni temu.

- Ale nie jesteśmy przecież obce. Jest coś takiego jak geny.

- A mama jest taka inna.

- To prawda.

Opuściło je rozbawienie.

- Czy ja muszę jechać do domu na święta? Nie pozwolisz mi tu z tobą zostać?

- Nie, nie pozwolę. Wolę spędzić święta tak, jak zawsze spędzałam w tym domu. Może pogram w kanastę z doktorem Nicolasem. I mam dużo do zapamiętania.

- Filizanka na półce?

- Tak, coś w tym rodzaju.

Iris mówiła bardzo łagodnie. Do Ruby dotarła prawda, że ona chyba chciałaby jej towarzystwa, może nawet bardzo, ale nalegała, że ma jechać do domu ze względu na Lesley. Jej babcia nie była w końcu taką egoistką.

- A ty byś nie pojechała do Kentu? Jest tam ogrzewanie podłogowe i prysznice wysokociśnieniowe.

- Nie wiem, co to jest jedno i drugie. Nie, nie pojedę.

- No dobrze, to już pojedę. Mogę przyjechać w nowym roku?

- O tym zadecydujecie ty i Lesley.

- A jeśli mama się zgodzi?

Skóra wokół oczu Iris i jej ust była teraz tak cieniutka, że Ruby mogła widzieć, jak poruszają się pod nią małe mięśnie.

W sposobie, w jaki babcia rozszerzyła załzawione oczy i ściągnęła usta, dostrzegła wahanie, jakby nią targał wewnętrzny konflikt między przyzwyczajeniem a pragnieniem nowego.

Wreszcie Iris powiedziała:

- Możesz, ja bym tego chciała, jeśli ty jesteś pewna, że chcesz.

- Jestem pewna - rzekła Ruby zdecydowanie. Wzięła rękę Iris i, trzymając ją, dodała: - Jest coś jeszcze.

- O Boże! - westchnęła Iris.

- Chodzi o mamę.

Mięśnie znów się napięły.

- Tak?

- Ona czegoś pragnie. Nie wiem nawet dokładnie, co to jest, ale ma to związek z tobą i z nią w przeszłości.

- Ja wiem.

- No i?

- No i co?

- Czy możesz jej to dać?

Zapadła cisza nasycona niechęcią, negacją i lękiem. Ruby celowo pozwoliła jej się przedłużać.

- Kiedy to macie lecieć z powrotem do Anglii?

Iris nigdy nie mówiła o Anglii jako o domu. To oczywiste, bo niby dlaczego? - pomyślała Ruby.

- Za dwa dni.

- To szybciej, niż myślałam. Mogłabym wydać przyjęcie pożegnalne dla ciebie i Lesley. Kolację - dodała oficjalnym tonem. - Zaprosiłabym doktora Nicolasa i jego przyjaciela. I twoich dwóch młodzieńców. Lubię ich.

Ruby głaskała delikatnie jej rękę, wyczuwając pod skórą sztywne ścięgna.

- Kolacja to bardzo dobry pomysł. Myślę jednak, że powinna być tylko dla dwóch gości. Mnie i mamy.

- Tak myślisz? To nie będzie zbyt uroczyście, co?

- Uważam, że może być uroczyście, jeśli będziemy tego chciały.

Ruby i Lesley potwierdziły swój lot. Ruby zebrała trochę swoich rzeczy i upchnęła w plecaku. Większość zostawiła tak, jak były, poukładane w jej spartańskiej sypialni. Im więcej tu zostawi, tym pewniejsza będzie, że wróci - rozumowała.

Iris naradziła się krótko z Mamduhem i Ciocią. Mamduh skłonił głowę, włożył tarbusz i wyszedł na bazar.

- Czy nie uważasz, że ta kolacja może być dla niej zbyt dużym wysiłkiem? - martwiła się na głos Lesley.

- Nie. To zmusza ją do zajmowania czymś myśli. Jest o wiele żywsza, odkąd wpadła na ten pomysł. I chce to zrobić dla ciebie.

Lesley nic nie powiedziała, ale Ruby widziała, jaką przyjemność sprawiła jej ta wiadomość.

Dzień przed ich odlotem był szary i wietrzny. Od północy nadciągnął zacinający w porywach wiatru deszcz i patio zamieniło się w nieprzyjemne miejsce: z nieba leciała woda, kafelki były mokre i śliskie. Ciocia odkurzyła stół we wnęce z kopułą przylegającej do holu i wstawiła nowe świece do rozgałęzionych świeczników. Mamduh przyniósł produkty z okolicznych sklepików i dwoje starszuchów udało się do kuchni. Ciocia wyprosiła Ruby i Lesley, gdy próbowały się tam zakraść.

W czasie śniadania Iris oznajmiła im, że spotkają się na drinka o 18.00. Resztę dnia spędziła w swoim pokoju.

Punktualnie o szóstej Ruby i Lesley czekały w holu pod wielką lampą. Mamduh wszedł po drabince i umieścił w purpurowych szklanych kloszach płonące światełka, więc pustą przestrzeń wypełnił przydymiony, czerwonawy poblask. Ruby włożyła zwykły czarny T-shirt, ściągając go mocno w dół, żeby przykrywał pępek, i lekko podkreśliła oczy czarną kredką. Lesley pomyślała, że ślicznie wygląda ta jej córka doce-

niona przez turystki. Sama Lesley ubrała się w niebieską haftowaną spódnicę, włożyła szpilki i kunsztowne zwisające srebrne kolczyki z turkusami, kupione podczas wyprawy do uliczek jubilerów na bazarze.

Iris szła powoli galerią. Zauważyły ją, gdy mijała otwarte przesłono kraty. Chwilę później zakreśliła na schody i schodziła po jednym stopniu, podpierając się laską. Ruby odruchowo ruszyła do niej, ale babcia powstrzymała ją gestem dłoni.

- Dziękuję - powiedziała. - Dam radę.

Miała na sobie białą bluzkę z koronki w rdzawe kropki i szeroką spódnicę z szeleszczącego zielonoczarne materiału. Była na nią teraz za obszerna, więc zebrała ją w pasie i przewiązała jedwabną szarfą. Upudrowała twarz, a rzadkie włosy zaczesła do góry i przypięła po obu bokach głowy grzebykami z kości słoniowej. Podeszła i stanęła między nimi, nawet o lasce trzymając się prosto, lecz spojrzeniem prześliznęła się po nich i zatrzymała na końcu sali. Nastąpiła długa przerwa.

Iris patrzyła na miejsce, gdzie muł w futrze z sobola i ze storczykami w naczółku oddał kał na dywan pani Kimmig-Gertsch w pierwszych minutach roku 1942.

- Mamo? - odezwała się cicho Lesley.

Iris odwróciła głowę, bardzo powoli. Wreszcie jej oczy spoczęły na twarzy Lesley. Wyglądała na zaskoczoną.

- Myślałam o czymś innym. Coś mi przypomniało... - To były świece. Z trudem powróciła do teraźniejszości. - Wzniesiemy toast - zapowiedziała.

W tarbuszu na głowie, przewiązany w pasie czerwoną szarfą, Mamduh wniósł tacę z trzema kieliszkami i butelką francuskiego szampana. Z pewną trudnością wyciągnął korek.

Iris uniosła kieliszek. Znów nastąpiła długa przerwa, gdy szukała czegoś w pamięci. Ruby zerkała na boki, skupiając uwagę na otomańskiej harmonii łuków i sklepień.

- Za przyszłość! - udało jej się powiedzieć wzniośle. Powtórzyły jej słowa i wypiły z entuzjazmem, pomrukując i krygując się.

Nie było tu gdzie wygodnie usiąść, a okazja była zbyt oficjalna, by zaprosić je na górę do saloniku Iris. Sama Iris szybko zmęczyła się staniem, więc zaprowadzili ją do części jadalnej, gdzie świece migotały w lekkim przeciągu. Klasnęła w dłonie na widok serwetek, szkła i wypolerowanych sztućców.

- Jak ślicznie! Czy to nie jest śliczne? Lesley, ty tutaj. - Iris usiadła u szczytu stołu, Lesley naprzeciwko, a Ruby pośrodku długiej przestrzeni pomiędzy nimi. Lesley szybko skończyła swój szampan i wypiła drugi kieliszek. Jego brzeg dzwonił leciutko o zęby, zdradzając, że trzęsie jej się ręka. Mamduh wniósł gliniane naczynie i z wielkim ceremoniałem nakładał im jedzenie. Ciocia przyrządziła duszonego kurczaka. Mamduh jeszcze odkorkował butelkę czerwonego wina i nalał im, po czym wyszedł.

Boże, o czym my będziemy rozmawiać? - myślała Ruby.

- Przepraszam, że muszę jechać z powrotem - zaczęła Lesley, unosząc swój kieliszek wina.

- Jestem ci wdzięczna, że przyjechałaś - odparła Iris.

Kurczę, to nie ma najmniejszego sensu. Powinnam ją zachęcić, żeby zaprosiła Nicolasa i jego przyjaciela. A nawet Asza i Nafiza.

- No to do dzieła! - skostatowała Lesley, rozglądając się, jakby dopiero teraz zachwycił ją wystrój otoczenia.

Iris bardzo zręcznie skubnęła kurczaka, a potem przytknęła do ust serwetkę. Płomyki świec drżały i wysyłały w górę smużki dymu.

Lesley zdobyła się na odwagę.

- Wiesz co, mammo, tak myślałam o tym, gdy byłaś w szpitalu. Nigdy mi nie opowiadałaś, jak spotkaliście się z tatą. Czy to było w czasie wojny?

Iris ze szczękiem odłożyła sztucce. Nie powiedz jej nic przykrego - błagała Ruby w myślach. Lecz ku jej zdumieniu Iris nagle się uśmiechnęła.

- Był majorem, pracował w wywiadzie, tu w Kairze w Kwaterze Głównej. W tamtym czasie trochę się znaliśmy. Potem, po wojnie, znów go spotkałam w Anglii.

Lesley uśmiechnęła się znad kieliszka.

- Mów dalej.

Pamiętam ten dzień, prawie dokładną jego datę.

To było w Hampshire, pod koniec czerwca 1946 roku. Kilka tygodni wcześniej zmarł mój ojciec i został pochowany na wiejskim cmentarzu obok mamy.

Chodziłam do szkoły medycznej, a mieszkałam w wynajętym mieszkaniu w Southwark z koleżanką ze studiów i jej siostrą. Pracowałam bardzo ciężko, spędzałam długie godziny w salach wykładowych i w prosektorium, a potem autobusem wracałam do domu i do wieczora ślęczałam nad podręcznikami. Program nie był dla mnie łatwy, ale nadażałam, i na rocznych egzaminach uzyskałam zadowalające oceny. W któryś weekend, mówiąc sobie, że prędzej czy później muszę znaleźć na to czas, wsiadłam do pociągu jadącego do Hampshire, z zamiarem rozpoczęcia porządków w domu po rodzicach. Wśród przesyłek, które się tam nazbierały, znalazłam list adresowany do mnie. Był od majora Foxbridge'a.

- A więc miał twój adres?

- Dałam mu go, wyjeżdżając z Kairu. Twoja babcia była ciężko chora i śpieszyłam do domu, żeby być z nią. Świat stał na głowie, był środek wojny. Ludzie nie mieli pewności, czy znów się spotkają.

- Nie musisz się tłumaczyć, że dałaś swój adres przystojnemu majorowi - droczy się ze mną Lesley.

Spoglądałam na córkę w blasku świecy. Ma ten swój bojaż-

liwy wygląd, podkreślony przez kolorowy cień położony na powiekach. Dziecko obserwuje nas obie.

- Nie tłumaczę się. Było gorące popołudnie, a mur w ogrodzie gęsto spowijały róże Albertine. Z adresu na kopercie wywnioskowałam, że dom Gordona znajduje się nie tak daleko od twoich dziadków, więc nalałam sobie szklanek lemoniady i usiadłszy przy biurku ojca, zadzwoniłam do niego. Była sobota i zastałam go w domu. W rezultacie przyjechał do mnie, pokonawszy jakieś trzydzieści kilometrów, napiliśmy się czegoś w ogrodzie, a potem zabrał mnie na kolację.

- Reszta to historia - mówi Lesley.

Sama jestem zaskoczona, że tyle mówię.

- Historia?

- Opowiedz nam jeszcze - prosi szybko Ruby.

Jestem trochę odurzona szampanem, lecz nagle znajduję słowa.

- Depresja Al-Kattara.

- Co to takiego? - pyta Lesley.

- Mamo, pozwól, niech babcia mówi po swojemu.

Moja biedna córka. Córka Gordona. Patrzę wprost na nią, przypominając sobie.

- Gdy mieszkałam tutaj podczas wojny, poznałam pewnego żołnierza i bardzo go pokochałam. Mieliśmy się pobrać. Nazywał się Xan Molyneux i został zabity w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim na pustyni, kilka dni przed naszym ślubem, w miejscu zwanym depresją Al-Kattara. Brał udział w operacji specjalnej z grupą komandosów, gdy nagle nadleciało pięć włoskich samolotów i dokładnie ich ostrzelali. Tylko dwóch uczestników tej wyprawy przeżyło. Jeden zmarł trzy dni później w szpitalu, drugim był arabski zwiadowca, któremu udało się uciec w pustynię.

Zanim Xan tam pojechał, mówił mi, że armia wroga wypracowała sobie zagadkową zdolność wykrywania ruchów

alianckich na pustyni. Podejrzał, że musi istnieć jakiś przeciek informacji wywiadu na dużą skalę.

Gordon do tego czasu już wystąpił z wojska i pracował w City.

Pamiętam, że wziął mnie do restauracji w miejscowym hotelu; siedzieliśmy przy stoliku obok otwartych przeszklonych drzwi, wychodzących na ogród. Ćmy zlatywały się do światła, pachniał jaśmin i lewkonie, toteż wieczór wydawał się egzotyczny, bardziej jak w Egipcie niż w Hampshire. Nie przeszkadzało marne jedzenie i brak wina. Piliśmy piwo i rozmawialiśmy w nieskończoność o wojnie, Kairze i ludziach, których znaleźliśmy. To była radość być z kimś, kto dzielił ze mną te wspomnienia. I oczywiście rozmawialiśmy o Xanie.

W czasie tej rozmowy Gordon powiedział mi coś, czego nie mogłam się dowiedzieć jako zwykły cywil: że to attache wojskowy USA w Kairze był odpowiedzialny za przedostanie się ściśle tajnej informacji w ręce Włochów, a potem Niemców.

Podejrzenia Xana były słuszne.

Od września czterdziestego pierwszego do połowy następnego roku każdej nocy pułkownik Bonner Fellers, stosując szyfr zwany czarnym kodem, przekazywał informacje na temat ruchów aliantów w Afryce Północnej do wywiadu wojskowego w Waszyngtonie. Pułkownik miał pecha, bo Włosi włamali się do ambasady USA w Rzymie, ukradli czarny notes, w którym zapisany był szyfr, skopiowali go i położyli z powrotem na miejsce, zanim ktokolwiek zauważył jego zniknięcie. Włosi nie podzielili się tą zdobyczą z Niemcami, ale przesyłali rozszyfrowane transkrypcje pierwszych wiadomości zaszyfrowanych przez Fellersa, zawsze zaczynając i kończąc w ten sam sposób, wskutek czego niemieccy szyfranci szybko sami złamali kod.

Rommel mówił o tych bezcennych komunikatach: „moje małe Fellersy”.

Po Pearl Harbor i przystąpieniu Amerykanów do wojny Fellers miał dostęp do najtajniejszych informacji z Kwatery Głównej. Wśród licznych innych spraw przechwycone wiadomości dotyczyły ukrytych ruchów Tellforce, przygotowującego potajemnie szlak, którym oddziały pancerne mogłyby uderzyć na północ w stronę Al-Alamajn. Dlatego Włosi mogli skierować swój atak bezpośrednio na nich.

Ponad talerzami z kolacją moje oczy spotkały jasnoorzechowe oczy Gordona. Miał schludnie przycięte wąsy i lekko przerzedzające się, zadbane ciemne włosy. W sąsiedniej sali ktoś puścił na gramofonie muzykę taneczną. Sala jadalna opustoszała i zostaliśmy sami.

Powoli, z rozmysłem sięgnął po moją rękę.

- Czy zdenerwowało cię to, że dowiedziałaś się więcej, dlaczego Xan zginął?

Myślałam o tym przez chwilę.

- Nie. Wszystko, co pozwala łatwiej zrozumieć, czyni to łatwiejszym do zniesienia.

Nadal trzymał mnie za rękę i patrzył w oczy.

~ Masz kogoś, Iris?

- Nie - odparłam. - Nie mam.

Była to prawda. Miałam studia medyczne, brata ojca i jego żonę Evie, ich dzieci, garstkę przyjaciół. Gdy Gordon zapytał, czy możemy się znów spotkać, zgodziłam się niemal skwapliwie. Tęskniłam za rozmowami o Kairze, za przypominaniem sobie wspólnie nam znanych miejsc i ludzi.

Lesley i Ruby wpatrują się we mnie. Lesley wygląda na zachwyconą. Ponownie napełnia swój kieliszek, wznosi toast za mnie i wypija.

- To takie romantyczne - wzdycha.

Od tamtego wieczoru Gordon Foxbridge zabiegał o moje względy z niesłychaną determinacją. Mówił, że kochał mnie już wtedy, gdy robił Xanowi i mnie zdjęcie w tamto duszne popołudnie w klubie Gezira, a po śmierci Xana postanowił, że jeśli nie może mieć mnie, nie chce nikogo innego.

- Dlaczego? - Byłam rozbawiona i raczej pod wrażeniem.

- Dlaczego kochamy tę osobę, a nie inną? Nie ma recepty, tylko pewność kierująca się własną logiką.

To prawda - pomyślałam.

W końcu, po z górą dwóch latach, w czasie których chętnie zostałam jego kochanką, ale zawsze odmawiałam mu ręki, dobroć i troskliwość Gordona przekonały mnie. Zmęczona pod koniec praktyki w szpitalu, gdzie pracowałam długie godziny, spragniona stabilizacji i bezpieczeństwa, jakie mi oferował, ostatecznie zgodziłam się zostać jego żoną.

Lesley klaszcze w dłonie, a płomienie świec chwieją się w podmuchach powietrza.

- Brawo! - woła. - Miłość triumfuje.

I tu dochodzimy do sedna.

Pamiętam to niemowlę, to wiecznie wyjące zawiniątko, i to małe dziecko, na jakie wyrosła, pulchne, w kraciastej sukieneczce. Czy to o niej majaczyłam w swoim delirium na pustyni? Czekająca, oskarżała mnie, nie chciała mnie puścić, bo miała do mnie prawo.

Nabieram powietrza w płuca. Za dużo mówię, więcej, niż mi się zdarzało od wielu lat. Jedzenie leży przede mną wystygłe, prawie nietknięte.

Należy jej się prawda. To wszystko, co mogę jej dać.

- Nie powinnam tego robić. Nie powinnam za niego wychodzić.

- Dlaczegoż nie?

- Ja go nie kochałam. Kochałam Xana Molyneux.

- Ale on nie żył.

- Również i jego dziecko, które nosiłam. Miałam je urodzić, lecz poroniłam. Straciłam ich obydwójce w ciągu dwóch tygodni. Można powiedzieć, że straciłam wszystko. Ale była wojna, nie ja jedna tego doznałam.

Lesley ma niepewne spojrzenie i ucieka od mojego wzroku. Widzę, że jej umysł pracuje. Ruby podparła dłońmi brodę. Wygląda na przejętą, ale nie bardzo zaskoczona.

Potem Lesley znów podnosi głowę. Policzki ma silnie zaróżowione i jest to więcej niż efekt trunków. Jest zagniewana, wcale nie odczuwa współczucia. Co nie znaczy, że go oczekuję.

- To cały czas, przez te wszystkie lata, gdy zostawiałaś mnie i tatę i wyjeżdżałaś leczyć kobiety i dzieci w cholernej Afryce, marzyłaś o tamtej utraconej rodzinie, a nie chciałaś tej, którą miałaś? Odrzucałaś nas za to, że żyliśmy, a nie byliśmy zmarłymi bohaterami?

Nalewa sobie jeszcze jeden kieliszek wina i wypija do dna. Ruby wykonuje ruch, żeby ją powstrzymać, ale ja kręcę głową. Jeśli potrzeba alkoholu, żeby Lesley się otworzyła i powiedziała, co czuje, zamiast uśmiechać się kącikami ust i wszystko ukrywać, to jej jutrzejszy ból głowy i nudności są tego warte.

Mam jeszcze więcej do powiedzenia. Moje gadulstwo jest zdumiewające.

- Nie. Miałam bardzo dużo czasu, żeby to przemyśleć, i wierz mi, że to nie jest tak, jak to odbierasz.

Sama muszę się napić. Pociągam łyk, krztusząc się odrobinę, a alkohol uderza mi do głowy.

- Gdyby nawet Xan i nasz syn żyli, mogłoby wcale nie być inaczej.

- Co masz na myśli?

- Śmierć przechowuje jakiś ideał. Idealną miłość, ko-

chanka, dziecko. Rozumiesz to? Żadna romantyczna historia. Żadne brawo, nic. Po prostu zwykła, szara rzeczywistość. Bo w końcu mogłabym być taka sama jak Xan, Gordon, twój brat czy ty. Ich też mogłabym zdradzić, zaniedbywać. Robiłam to, co robiłam, i jestem tą osobą, którą się stałam. Złą, dobrą, z wadami. Obojętną. Wybierającą samotność. Wiedziałam o tym, żyjąc w chacie w głębi kontynentu, w przybudówce szpitalnej, w Tanganice, Niasie, Namibii. Na koniec tutaj, w tym domu. Wiedziałam, że to, gdzie byłam, i jak żyłam, było najlepsze, co mogłam zrobić.

Po śmierci Xana zwyczajne życie nie miało dość znaczenia, nie było wystarczająco cenne. Potrzebną mi dyscyplinę odnalazłam w praktyce lekarskiej. Do swojej pracy podchodziłam z pasją, a ten wewnętrzny dystans stał się moim atutem, a nie wadą. W takiej pracy trzeba umieć stanąć nieco z boku. Lesley, nie sądzę, żebym potrafiła przetrwać w roli dobrej matki i poprawnej żony dla kogokolwiek. Może... Głos zaczyna mnie zawodzić. - Może nawet dla Xana Molyneux.

Unoszę rękę i pozwalam jej znów opaść. Jestem skrajnie wyczerpana tą spowiedzią, ale tak właśnie jest.

- Gordon zasługiwał na więcej, niż mu dawałam. I ty także, moja najdroższa.

Lesley wpatruje się we mnie. Potem wstaje, zaczepiając wysokim obcasem o brzeg swojej ślicznej spódnicy, i łapie się poręczy krzesła, żeby nie upaść. Kołysze się razem z krzesłem niebezpiecznie, zanim odzyskuje równowagę. Ruby ciężko wzdycha, akcentując swoją dojrzałość w porównaniu z naszymi mętnymi rewelacjami.

Ja też wstaję.

, - Przepraszam - mówię.

Lesley kręci głową, potem po twarzy zaczynają jej płynąć łzy. Wyciąga do mnie ręce i łączymy się w niezdarnym, nie dość wyćwiczonym uścisku..

Nie wiem, jak długo tak stoimy. Widzę jednak, że Ruby wciąż siedzi przy stole, zbiera wosk spływający ze świec i, marszcząc brwi, ugniata go w palcach.

- Już dobrze - mówi na koniec Lesley. Pod oczami zrobiły jej się czarne smugi i zaczyna ją ogarniać rzewny nastroj. - Musimy żyć dalej, prawda? Życie idzie naprzód.

- Tak - mówię, ale nie zgadzam się.

Teraz wstaje Ruby.

- Powinnaś iść do łóżka - mówi w przestrzeń między nami.

Lesley i ja bierzemy się pod rękę i ruszamy powoli, niepewnie, w kierunku schodów do *haramliku*.

Ruby zaczęła iść za nimi, ale potem obejrzała się na świece i boazerie. Pochyliła się nad stołem, po kolei ściskając palcami każdy knot i czekając, aż całkowicie wygasną.

- Pieprzone rodziny! - rzuciła w zadymioną ciemność.

17

Boże Narodzenie w Anglii. Z odgrywaniem rodzinnych tradycji i rytuałów takich samych, odkąd Ruby sięgała pamięcią. Z tą różnicą, że w tym roku zauważyła, jak wytrwale jej matka pracuje nad tym, by wywołać wrażenie, że nie sprawia jej to najmniejszego kłopotu.

Lesley powyjmowała stare szklane bombki z pudełek wyłożonych watą i powiesiła je na drzewku, które „na pewno się nie przewróci”. Kupiono prezenty, zapakowano i wręczono. Przyjechali Will z Fioną i zostali na dłużej. Była nawet rozrywka: przyjęcie u jednej z koleżanek Ruby, na którym powiedzieli jej, że ostatnio wygląda super.

Brała w tym wszystkim udział i, ku swemu zaskoczeniu,

mniej więcej połowa tego jej się podobała. Jednocześnie bez przerwy myślała o Iris i o Kairze jak o równoległym świecie, czekającym, aż z powrotem się do niego wślizgnie. Świadomość, że ma takie odrębne miejsce, do którego może uciec, nawet jeśli tylko myśla, ułatwiała jej zniesienie niedociągnięć tego, w którym przebywała obecnie. W drugi dzień świąt, gdy Fiona i Lesley zabrały opatulone dzieci na spacer, a Andrew natychmiast zasnął, Will poszedł za nią do kuchni i od niechcienia otoczył ją ramieniem. Uniósł jej brodę, żeby spojrzeć w oczy.

- Jak się miewa moja wyjątkowa dziewczynka?

Ruby zastanowiła się, dając sobie na to dużo czasu, podczas gdy palec Willa powędrował po jej szyi do obojczyka.

Nie muszę mieć już z tobą żadnych chorych układów, już nigdy. Nie mam zamiaru więcej nigdy mieszkać w twoim domu. Nie będziesz mnie więcej wprawiał w zakłopotanie swoją koszmarną mieszanką władzy i potajemnych brudnych zalotów — oto co myślała.

- Ja nie jestem twoja - oto co powiedziała. Była zadowolona z lodowych igiełek w swoim głosie.

Zdjęła jego rękę ze swego ramienia i pozwoliła jej opaść, a potem dodała:

- Nie chcę, żebyś mnie więcej kiedykolwiek dotykał. A jeśli to zrobisz, powiem o tym swojej mamie i twojej żonie.

Po namyśle wzięła ściereczkę i wskazała na stertę naczyń do zmywania.

- Proszę. - Z uśmiechem wetknęła ścierekę w jego otwartą dłoń. Will przez całe święta nie sprzątnął ani jednego talerza czy szklanki. To była robota dla bab.

Gdy te wróciły ze spaceru, Lesley zauważyła:

- Ruby, kochanie, pozmywałaś garnki. Dziękuję.

- To nie ja. To Will - oznajmiła jej Ruby.

Nie była pewna, ale Lesley tak jakby inaczej odnosiła się do Andrew. Raz powiedziała mu, że on i jego papiery prze-

szkadzają i jeśli naprawdę musi pracować w Boże Narodzenie, czy mógłby się z tym przenieść do swojego gabinetu.

Andrew łypnął na nią wzrokiem, ale pozbierał wszystko i poszedł.

Nie zbiło jej też z tropu, gdy powiedział, że te brązowe spodnie do niej nie pasują.

- Myślisz, że nie? A ja je bardzo lubię - odrzekła, wygładzając zakładki z przodu na brzuchu. - Poza tym one są ciemnoszare.

Zamiast zmienić na inne nosiła je przez cały dzień, a nawet przez następny

Nie było to wiele - stwierdziła Ruby - ale zawsze coś.

Lesley zrobiła się bardziej widoczna. Jakby postanowiła, że zasługuje na tyle samo światła i powietrza co wszyscy inni.

- Dzięki ci za całe gotowanie, zakupy i wszystko - powiedziała jej Ruby, gdy Will z rodziną wreszcie pojechali do domu. Andrew i Ed oglądali piłkę nożną. - Wszyscy się dobrze bawili.

- Naprawdę? - zapytała Lesley z ożywieniem. - A ty?

- Oczywiście ja też. Nigdy przedtem o tym nie myślałam, ale Boże Narodzenie jest jak klej, spaja nas wszystkich razem, kiedyjemy indyka, gramy w coś, idziemy na spacer. Teraz mamy to już za sobą na cały rok. Ale rozumiem, dlaczego chciałaś, żebym przyjechała do domu, i cieszę się, że to zrobiłam.

Popatrzyły na siebie i na twarzy Lesley powoli zakwitął uśmiech. Nagle wydała się młodsza i prawie zrelaksowana.

- A ty nie dostałaś swojej odpowiedzi, co? - zauważyła Ruby.

Lesley od razu wiedziała, o czym mowa.

- W pewnym sensie dostałam. To właściwie żadne objawienie, że Iris nie była dobrą matką. Raczej pomogło mi to, co usłyszałam z jej ust: że prawdopodobnie nie byłaby nią

również i dla kogoś innego. Że to nie ja w jakiś sposób nie zdołałam zdobyć jej zainteresowania, jak mi się zawsze wydawało.

- Nie wiedziałaś o jej wielkiej miłości i utracie dziecka?

- Nie. Nic absolutnie. Gdy byłam młoda, Iris albo była na wyjeździe, albo odwiedzałam ją w tych trudnych rejonach, gdzie zawsze była pilnie potrzebna komu innemu, bardziej niż mnie. Raczej się jej bałam.

- Cieszę się, że nam wszystko powiedziała. Musiała tego chcieć, sądząc po tym, jak szybko to z siebie wyrzuciła.

- Dużo rozmawiałyście, gdy byłaś z nią sama?

- Opowiedziała mi kilka historii, ale nie były ze sobą powiązane, nie tak, jak opowiedziała nam o dziadku, o „czarnym kodzie” i o depresji Al-Kattara. Gdy teraz o tym myślę, przez większość czasu to ja mówiłam, a ona słuchała. Pewnie tylko narzekałam, jakie życie jest niesprawiedliwe.

- A jest?

Ruby wyszczerzyła się w uśmiechu.

- Na tym etapie nic więcej nie mówię.

- Oczywiście, że nie.

- Wiesz co? Myślę, że Iris oduczyła się mówić. Tak długo była sama, nie miała okazji.

- Chyba masz rację.

- Kiedy mogę tam wracać? - spytała nagle Ruby.

Był ostatni dzień starego roku. Jasne popołudnie połyskiwało kroplami deszczu na czarnych gałęziach drzew, a niski angielski nieboskłon kładł się ciężko na szczytach wzgórz. Cały świat ociekał wodą i był już tak zmęczony dźwiganiem tego ciężaru, że wynurzał się z ciemności tylko po to, by z chęcią znów zapaść się w zmierzch.

- Możesz mi powiedzieć, dlaczego tak bardzo tego chcesz?

Ruby rozważała, czy nie ubrać swej propozycji w dodatkowe zapewnienia o nauce języka i studiach starożytnych. Bardzo chciała robić te rzeczy, tylko bała się, by znów nie

wyjsć na głupią. Wiedziała też, że ukrycie prawdziwego powodu jej powrotu do Kairu byłoby wyrzeczeniem się samej Iris.

- Żeby być z nią. Jest stara.
- Wiem o tym.

Lesley patrzyła dotąd na zewnątrz, na rozmazane, szarobure i rdzawe barwy ogrodu, ale teraz zwróciła twarz ku Ruby. Obserwowała ją, odkąd wróciły do domu, obawiając się gniewnej reakcji na tę niechcianą życiową konieczność, lecz stało się coś innego: jej córka była nową osobą. Od przygody na pustyni mówiła wolniej i bardziej zastanawiała się, co mówi. Nawet jej głos stracił swoją ostrość.

Ale czy Ruby jest wystarczająco dorosła na to, co przyniesie jutro? - zastanawiała się. Czy ona w ogóle rozumie, co może się dziać?

Tamtego rana, gdy opuszczały Kair, Lesley potwornie bolała głowa. Iris też była zmęczona i poirytowana. Pomachała im na odchodnym z wyraźną ulgą. Jednak Lesley zauważyła, że cały czas wodziła oczami za wychodzącą z pokoju Ruby.

Jeśli Ruby pojedzie do Kairu, będzie robiła to, co Lesley chętnie robiłaby sama, lecz Iris by tego nie chciała. Ona nie chciałaby teraz jej towarzystwa ani trochę bardziej niż do tej pory. Ale przynajmniej może tam być Ruby, która będzie stanowiła łączącą je nić. A gdyby stan Iris bardzo się pogorszył - kalkulowała Lesley w duchu - gdyby osiągnął punkt, w którym osłabnie jej żelazna wola, wtedy Lesley nie ma aż tak daleko, żeby tam osobiście nie pojechać.

Lesley skinęła na Ruby, a ta zrobiła krok w jej stronę, żeby znaleźć się w bezpiecznych objęciach matki. Długo tak stały blizutko siebie, dotykając się policzkami.

Lesley nie powiedziała, że powinny omówić sprawę z ojcem Ruby ani nawet z Andrew. To była sprawa wyłącznie pomiędzy nimi obiema.

- Myślę, że powinnaś jechać - powiedziała w końcu.
Ruby natychmiast podniosła głowę.
- Dzięki, mamó.

Tym razem wiedziała dokładnie, ile zapłacić taksówkarzowi za kurs z lotniska. Czuła doskonale znajome zapachy Kairu: spaliny silnika Diesla i smażonych podrobów, wymieszane z aromatem przypraw oraz zgniłych i fermentujących odpadków. Gdy czekali w wielkim korku na autostradzie, Ruby patrzyła na granatowy pas nieba z rysującymi się na nim kopułami, wąskimi minaretami i wysokościami. Dojrzała na nim pierwsze nikłe gwiazdy. Wjeżdżali do starego miasta.

Drzwi w wysokiej ścianie otwarły się i na tle sączącego się z wnętrza słabego światła ujrzała sylwetkę Mamduha.

- Panienska znów przyjechała - rzekł. Trudno było stwierdzić, czy jego ponury ton rozjaśnia choćby najmniejsza nuta serdeczności.

Ruby weszła do środka, a on wziął jej bagaż. Znów uderzył ją spokój tego domu. Był pełen łuków i cieni, mrocznych półokrągłych wnęk, załomów starych murów. Otulonych kurzem, zamieszkanym przez duchy. Z kuchni przybiegła Cio-cia i chwyciła ją za rękę. Patrzyła na jej twarz i zawzięcie o czymś mówiła.

- Jak się czuje Mamris? - zapytała ich.
- Był u niej doktor Nicolas. Jest trochę zmęczona, ale czeka na panienskę.

Drzwi saloniku Iris były otwarte, wypuszczając smugę światła na szeroką, ciemną galerię. Ruby weszła.

- Jesteś nareszcie - przywitała ją babcia.

To dziecko.

Energia bucha z niej jak z pieca.

Siada na swoim zwykłym miejscu, bierze mnie za rękę.

Chyba opowiada o Anglii, Bożym Narodzeniu i Lesley, ale nadażanie za tym i wychwycenie sensu tego, o czym mówi, jest zbyt męczące. Zamiast słuchać patrzę, w jaki sposób porusza ustami, wysuwając dolną wargę, by formować słowa. Ma błyszczące wargi, różowawoczerwone, a językiem uderza o białe zęby jak w rytm muzyki.

Po jakimś czasie przestaje mówić i patrzy na mnie, czekając, aż odpowiem na zawieszony w powietrzu pytanie, którego nie słyszałam. Nie wiem, co mam odpowiedzieć.

- Nie wiem - wzdycham. Oczy mi się zamykają.

Dziś wieczór to Ruby pomaga mi się położyć. Zawziętość i upór, które mnie trzymały od czasu ich wyjazdu, odpuszczają, i nagle odczuwam wielką senność.

Spać.

Już w swojej sypialni Ruby usiadła na łóżku i patrzyła w ciemność za oknem. W ciągu jednego miesiąca Iris zrobiła się o wiele mniejsza i bardziej krucha, z wyjątkiem oczu, które wydawały się jeszcze większe w jej skurczonej twarzy. Ruby nie była pewna, czy zdołała ukryć swój szok na jej widok.

Musi porozmawiać z doktorem Nicolasem, dowiedzieć się od niego, jaka terapia lub lek mogłyby ją wzmocnić. I gdy podjęła to postanowienie, od stóp do głów przeszła ją świadomość prawdy, że to jest daremne.

Iris się nie wzmocni i nie ma dla niej lekarstwa. Ona umiera.

Nie...

Nie pozwolę jej umrzeć! Taka była pierwsza reakcja Ruby. To nie fair. Nie pozwoliłam na to na pustyni i teraz nie pozwolę.

Potem schyliła głowę. Stare, spękane deski podłogi przykrywał kurz. Jej stopy spoczywały na znajomym, postrzępionym kawałku perskiego dywanu we wzór w kolorach granatu

i kasztana. Powiodła wzrokiem po rombach i ich połączeniach, póki łyzy nie zamazały ich kształtów.

- Lubisz granaty - obwieściła Iris triumfalnie jak dziecko.

- Tak, lubię. - Ruby wygryzała nasiona z ich gniazd w miękiszu i miażdżyła je zębami.

W Kairze nawet w styczniu było jasno w porównaniu z angielską szarówką; słońce delikatnie muskało ich głowy. Iris mrugała od jego blasku, oczy jej łzawiły. Ruby podniosła kapelusz Iris z miejsca, gdzie leżał, i włożyła jej na głowę.

- Tak lepiej?

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się ledwo widocznie.

- Wypiłeś już kawę? Chcesz trochę jogurtu, zobacz, z tym miodem? Ty prawie nic nie jadłeś - nalegała Ruby.

- Jestem całkiem szczęśliwa. - Iris znów się uśmiechnęła.

Rzeczywiście, wyglądała na szczęśliwą. Siedziały razem w ogródku jak poprzednio i jeśli Iris nie była za bardzo zmęczona, rozmawiały.

- Powiedz mi coś więcej o Xanie Molyneux.

Sześćdziesiąt lat temu po tych ulicach chodzili żołnierze. Oficerowie i szeregowi w piaskowych mundurach khaki. Xan był jednym z nich. Wojna była tylko kolejnym wydarzeniem dziejowym.

- Ach, Ruby. Gdybyś tylko go znała! To był nadzwyczajny człowiek.

- Jak go poznałaś?

Zadała to samo pytanie co Lesley na temat swego ojca podczas wspólnej kolacji w ostatni wieczór. Ruby pamiętała, że nawet skuliła się wtedy trochę z obawy, iż mama jest zbyt bezpośrednia, lecz Iris opowiedziała im całą historię.

W ogrodzie lady Gibson Paszy. Tańczyłam z Xanem, a potem upadłam i skrzyłam kostkę. Upiłam się whisky i szampanem, a potem samym Xanem.

Gdy to mówię, oczy tego dziecka robią się okrągłe ze zdumienia.

Jak wszyscy młodzi, podobnie jak sama myślałam w jej wieku, ona uważa, że namiętność to wyłącznie jej własny wynalazek.

Czuję, jak ogarnia mnie śmiech, bo wciąż pamiętam ten wieczór i to, jaki był radosny, a utraty pamięci obawiałam się bardziej niż czegokolwiek innego.

Mówię i mówię. Słowa przychodzą mi teraz łatwo, przynoszą ulgę. Ruby siedzi i słucha, trzymając mnie za rękę i patrząc w twarz.

- Jak się dziś czuje twoja babcia?

Asz i Ruby siedzieli na starym fotelu samochodowym. Drzwi garażu były otwarte i zapuszczoną podłogę oświetlała smuga białego światła, padając im na stopy.

- Jest słaba. Nic nie je, więc to niedziwne. Ale ma mnóstwo wspomnień. Usłyszałam już, jak spotkała swoją wielką miłość, gdy mieszkali tutaj w czasie wojny. Wydawałoby się, że wtedy istniała tylko gra w tenisa i przyzwoitki, ale to wcale tak nie było. Oni byli zupełnie szaleni. Sypiali ze sobą. Jak tłumaczyła Iris, to dlatego, że kobiety nie wiedziały, czy ich mężczyźni będą żywi w następnym tygodniu, a czasem nawet następnego dnia. Żyło się z minuty na minutę, więc co za sens być grzecznym?

Asz był wyraźnie zaskoczony.

- Rozmawiasz o takich rzeczach ze swoją babcią?

Ruby roześmiała się.

- Tak. Siedzimy sobie przy kawie i ona mi o tym opowiada, a ja słucham. Tak jakbyśmy były rówieśniczkami. Ona mówi bez przerwy, jakby nagle odkryła, że potrafi mówić.

- Musiałyśmy zabłądzić gdzieś bardzo blisko.

Twarc dziecka robi się niespokojna.

- Nie lubię o tym myśleć.
- Dlaczego?
- No, oczywiście z powodu tego, co mogło się stać.
- A nie z powodu tego, co się stało?

Zastanawia się nad tym.

- To było straszne. Bałam się, tonęłam w tym piachu, palił mnie upał i pragnienie. Myślałam wciąż o tym, że nie chcę umierać i jakie wszystko jest cenne.

- Masz rację - mówię jej. - Życie jest cenne. Trzeba o tym myśleć.

- Dobrze. - Porusza się na swym krześle i patrzy na mnie. - Mów dalej, jak Xan wiózł cię na pustynię.

Hasan za kierownicą, a Xan z tyłu obok mnie. Trzymając moją rękę pośród zgniecionych fałd koraloworóżowej jedwabnej sukni.

Namiot Beduinów rozstawiony w zagłębieniu wydm, widok piramid i szampan pieniaący się w cynowych kubkach. Po raz pierwszy zrozumiałam rozdarcie Xana, Jessiego Jamesa i wszystkich innych im podobnych, którzy na pustyni musieli każdego dnia stawiać czoło niewyobrażalnym rzeczom, a gdy zostawili ją za sobą, chcieli tylko śmiać się, upijać i kochać.

- Czy wtedy po raz pierwszy kochaliście się z Xanem?
- Nie, nie wtedy. To przyszło trochę później.

A pamiętam to, jakbym właśnie wyszła z jego objęć. Tę radość.

Ruby ciągle patrzy na mnie, teraz z dziwnym wyrazem.

- Filizanka na półce - mówi znowu.
- Tak jest - potwierdzam. Nagle czuję pewność, że gdy już dłużej nie dam rady jej utrzymać, gdy wymknie mi się z rąk, nie rozbije się na tysiąc kawałków.

Będzie ją za mnie trzymała Ruby.

Stary fotel zaskrzypiał, gdy Asz przysunął się bliżej. Dotknął ustami szyi Ruby. Czując jego gorący oddech, aż zadrżała i wygięła plecy z rozkoszy.

- Moja babcia miała dobre życie. Wiedziała, co to znaczy kochać i być kochaną. To tragiczne, że jej ukochany zginął, ale to nie umniejsza znaczenia tego, co było. Prawda?

- Nie umniejsza.

Ręka chłopaka wsunęła się między wyświechtany plastik pokrycia a gładkie plecy Ruby.

Przez wszystkie te lata myślałam o tamtej oazie, której nigdy więcej nie znalazłam. Może to był miraż, istniał tylko dla Xana i dla mnie? Także o innych twarzach z pustyni, jak szeregowiec Ridley, Jessie James, Gus Wainwright. O włoskich samolotach nadlatujących z nieba w zwartym szyku i miotających ogień. Rozmyślałam o nich, szukałam tych zagubionych miejsc moim starym samochodem, z tym dzieckiem za kierownicą. Oczywiście, że nie mogłam ich znaleźć. Pustynia jest pełna kości.

Mówię Ruby:

- Tego wszystkiego już nie ma. Przemineło.

Marszczy twarz z determinacją.

- Nie, nie przemineło. Jest tutaj. Opowiadaj coś jeszcze.

Gordon z aparatem fotograficznym. Elvira Mursi tańczy cała w cekinach.

Środa Popielcowa, gdy paliliśmy dokumenty Kwatery Głównej. Ślub Farii. Roddy Boy idący ku mnie po marmurowej posadzce, by powiedzieć, że Xan nie żyje. Ruth i Daphne, i jak chciałam być taka jak one, a nie jak dziewczyna z przyjęć koktajlowych.

Ruby siedzi przy mnie, trzyma mnie za rękę, nie spuszcza oczu z mej twarzy.

Ruby jest moją filiżanką!

Ta myśl przynosi mi taką radość, że czuję się lekka, mogłabym się unieść w powietrze. Pierwsze ciepłe promienie w tym roku grzeją mi kości. Niedługo znów zaleje nas upał, tak jak wylewa Nil.

Przyszedł Nicolas. Pochyliła się nade mną i bada, ale jego badania są bolesne i nie chcę, żeby mi przeszkadzał. Odwracam się do tyłu, szukając Ruby, a ona tu jest.

- Dobrze — mówię. - To dobrze. Lubię, gdy siedzisz tak, że cię widzę. Słyszysz mnie?

- Tak. Słyszę każde słowo.

- Co z nią? - Ruby zapytała doktora Nicolasa, gdy wkładał płaszcz.

- Jest w dobrym nastroju.

- Nie chodzi mi o to.

- Wiem.

- Więc?

- Chcesz, żebym ci powiedział, że będzie żyła przez następne dwadzieścia lat, a ja nie mogę tego zrobić.

- Nie, ale...

- Ruby, ona nie jest chora. Starość to nie infekcja wirusowa ani żaden ostry stan, który można wyleczyć lekarami.

- Oczywiście, że nie - rzuciła gwałtownie.

Zjawił się Mamduh.

- Przepraszam pana. Madame Iris chciałyby z panem porozmawiać jeszcze chwilę na osobności.

Nicolas poszedł z Mamduhem i wrócił po dziesięciu minutach do Ruby, siedzącej wciąż pod lampą w holu. Poklepał ją po ramieniu.

- Ona może być z nami jeszcze długo. - Uśmiechnął się.

Gdy Iris odpoczywała w łóżku, Asz i Ruby wznowili swoje długie spacerowanie.

Odkrywali miasto, zataczając kola daleko od zatłoczonych arterii śródmieścia. Chodzili obok przestronnych budynków mieszkalnych w stylu *art deco*, gdzie dozorca na schodach wygrzewał się w słońcu. W średniowiecznych uliczkach dzielnicy muzułmańskiej Ruby zawiązywała chustkę na głowie i szła skromnie u boku Asza, brnąc przez nawóz ośli, gnijące warzywa i wodę wyciekającą z pękniętych rur. Żebracy przycupnięci w cieniu ażurowych balkonów ciągnęli ją za spódnicę, gdy przechodziła, i mamrotali swoje błagalne *ya muhannin, ya Rabb**. Albo kierowali się na południe do dzielnicy koptyjskiej, mijając stare, ciemne, uduchowione kościoły chrześcijańskie oraz ruiny kamiennych murów rzymskich. Raz w pobliżu rzeki Asz pokazał jej wielki akwedukt zbudowany z kamieni, który przez tysiąc lat przeciągał wodę z rzeki do cytadeli. Zajrzeli do rowów, w których znajdowały się kiedyś koła wodne obracane przez kilka wołów.

Chodzili również dalej, do zwykłych przedmieść Helwan i Ma'adi, gdzie spacerowali słonecznymi ulicami dzielnic willowych, których sam Asz nigdy dotąd nie widział. Zaglądali w zasłonięte żaluzjami okna i do ogrodów, gdzie zraszacze trawników szeleściły o grube liście. Ale Ruby najbardziej lubiła zwykłe przedmieścia wewnętrzne. Tam Kair tłoczył się w zanieczyszczonych przesmykach między wysokimi blokowiskami z betonu a nowoczesnymi meczetami i hałaśliwymi torami kolejowymi. Nie było tutaj turystów ani zabytkowych obiektów, tylko sklepy z butami i kawiarnie, sklepy elektryczne. Wszystkiemu towarzyszył jazgot i tumult. Ta zwyczajność i rozmach życia dodawały jej otuchy. Gdy wracała do starego domu, jego niewypowiedziana cisza rozpościerała się przed nią zasłoną niepewności. Prawie biegła do ogródka lub na górę z piersią ściśniętą lękiem, szukając Iris.

- Już jesteś - mamrotała Iris. - Usiądź, nie stój nade mną.

* O litościwi, o Boże! (*arab.*).

Kiedy indziej nawet nie zauważała, że Ruby wychodziła. Podejmowała jakiś wątek, w którym pogubiła się poprzedniego dnia, lub zaczynała w zupełnie innym miejscu, wysuwając głowę do Ruby jak dziobiący ptak, aby dać jej znak, żeby słuchała.

Ruby słuchała.

To było jak dwa różne zestawy wycieczek - myślała - niedoskonale nakładające się jeden na drugi. Były to jej wyprawy z Aszem, które nakładały się na pełne mundurów khaki ulice znacznie bardziej ograniczonego Kairu Iris. Iris nigdy nie wyprawiała się dalej niż do Garden City i Az-Zamalik, ale tamte ulice obrzeżone piaskiem, mieszkania zdemolowane od hulanków, nocne kluby, konne wózki karo i wszystkie scenerie wojennego Egiptu, zachowane w nękającej pamięci jej babki stały się dla Ruby tak realne jak współczesne miasto za zasłoniętymi oknami.

Iris wracała, powtarzała się, przysypiała w środku zdania, ale impet, z jakim opowiadała swoją historię, wystarczył, by ciągnęła ją dalej. Czasami narracja zbaczała do Swakopmund czy Blantyre albo innego miasta w Afryce, ale zawsze znów wracała do Kairu.

- Ty kochasz to miejsce - powiedziała Ruby.

Iris otworzyła oczy.

- Kocham? Nie wiem. Może powinnam była wyjechać gdzieś indziej, dopóki mogłam.

- Ale dokąd?

- Nie mam pojęcia.

- Nie do Anglii?

- Nie, Anglia nie, dziękuję.

- Jak ona się czuje? - pytała Lesley. Dzwoniła co drugi dzień.

- Mamo, jest dobrze. Doktor Nicolas mówi, że może być tu z nami jeszcze bardzo długo. Dużo śpi, a gdy się budzi,

opowiada mi, jak kapitan Molyneux zabierał ją do nocnego klubu, a potem szła z nim do łóżka. W tamtych czasach ludzie umieli całkiem dobrze się rozerwać, chociaż trwała wojna.

Lesley roześmiała się.

- Słyszałam o tym.
- One wszystkie zachodziły w ciążę. Jej koleżanka Sarah pojechała do Bejrutu zrobić aborcję.

- Mówisz, jakbyś była zaszokowana.

- Nie. Ale, no wiesz, ona jest moją babcią.

Lesley znów się roześmiała.

- Każdy kiedyś był młody. Gdy ja miałam dwadzieścia lat...

- Mamo, proszę. Ja już raczej nie chcę słyszeć, co ty wyprawiałaś w latach sześćdziesiątych.

- Dobrze. Ruby?

- Tak.

- Cieszę się, że babcia i ty rozmawiacie. Cieszę się, że jej słuchasz.

- Tak. Wszystko jest okej.

Kilka dni później Asz przyszedł po Ruby, lecz Iris, zamiast pozwolić jej wyjść do niego, kazała, żeby go przyprowadzić do środka. Siedziały na patio, a Asz przeszedł nieśmiało przez altany i stanął w kawałku cienia padającym na fotel Iris. Nigdy nie czuł się dobrze w tym domu i Ruby winiła za to postawę Mamduha.

Iris przekrzywiła głowę i spojrzała na Asza.

- Jak się masz dzisiaj?

- Dziękuję, bardzo dobrze, madame. A pani?

- Podaj mi rękę - powiedziała.

- Co? Pani gdzieś idzie?

- Podaj mi rękę, proszę.

Asz i Ruby wspólnie pomogli jej wstać. Jej dłonie trzy-

mające się kurczowo ich rąk wyglądały jak kogucie łapki, lecz Iris mimo to potrafiła zachować władcą posturę. Powiedziała, że mają spacerować po małym ogródku. Więc powolutku zrobili koło, co pozwoliło jej popatrzeć z bliska na wodę fontanny ściekającą do miski i na zwinięte jeszcze młode liście geranium, a także na chłodną, morską zieleń i turkus błyszczących kafli.

Następnie pokonali wytarty schodek kamienny, prowadzący pod arkadą do domu. W altanach było pusto, nawet poduszki kilimowe zostały przez Ciocię zabrane z kanap na zimę. Wysoko w rogach zwieszały się pajęczyny. Iris zatrzymała się w drzwiach wewnętrznych, żeby przez ich łuk popatrzeć na ogródek. Z tej perspektywy lśnił jak mały zielony klejnot w sercu starego kamiennego domu.

Gdy powoli doszli do holu paradnego, powiedziała:

- Czekajcie. Postójcie bez ruchu, proszę.

Asz i Ruby popatrzyli na siebie. W milczeniu rozglądali się po ciemnej boazerii i zawiłych wzorach przesłon *maszrabii*. Lampa nad ich głowami, zwieszająca się ze szczytu malowanej kopuły, powoli pokrywała się świeżą warstwą kurzu.

Iris kiwnęła głową, jakby sama sobie przytakiwała. Ruszyła rękami, co oznaczało, że mieli iść dalej przez puste pokoje wychodzące z holu. Na półkach ponurych drewnianych szaf stały nieliczne zniszczone książki i cynowe dzbany, a między nimi pęknięta niebieska chińska waza. Ruby po raz kolejny uderzyło, jak mało starała się Iris, by nadać temu domowi swoje indywidualne piętno. Teraz wycofywała się jeszcze bardziej, pozostawiając go własnym cieniom i historii. W niszy, gdzie z Iris i Lesley jadły ostatnią kolację, stół wciąż pochlapany był szarym woskiem.

Doszli do schodów *salamliku* i z trudem zaczęli się na nie wspinać. Mimo że Asz i Ruby podtrzymywali cały ciężar Iris, z wielkim wysiłkiem podnosiła jedną stopę, stawiała i czekała, aż złapie oddech, by dopiero podnieść drugą. Doszli do

ostrego zakrętu schodów, gdzie przesłonięte ażurem okno wystawało nad boczną uliczką pod wysokim murem meczetu. Podczas gdy Iris odpoczywała, Asz nie mógł się powstrzymać, by nie podbiec do okna. Przytknął twarz do kraty: dom wydawał się stąd niemal częścią samego meczetu, a cień najbliższego minaretu padał na niego jak ostrzegający palec.

Gdy się odwrócił, oczy mu błyszczały.

- Pani dom jest piękny. Jest jak dom sułtana starego Kairu.

Ręka Iris znów spoczęła na jego rękawie.

- To jest piękny dom - zgodziła się. - Miałam wielkie szczęście w nim zamieszkać.

Weszli na pozostałe schodki i korytarzem z szerokimi deskami podłogowymi dotarli do galerii. Zrobili jedno koło, a Asz raz czy dwa odszedł popatrzeć z góry na hol przez ażury galerii, jakby widział tam ludzi, muzyków i tancerki z dzwoneczkami.

Przed drzwiami do swojego pokoju Iris nieco bardziej się wyprostowała i popatrzyła Aszowi w oczy.

- Dziękuję - wymamrotał, mając na myśli to, że pozwoliła mu obejrzeć wewnętrzne pokoje.

Iris skinęła.

- Dobrze. Teraz położę się do łóżka odpocząć. Ruby, przyślij mi tu na górę Ciocię.

Następnego dnia Iris została w łóżku. Ciocia zaniósła jej tacę i przyniosła wszystko z powrotem na dół nietknięte. Ruby siedziała przy łóżku naprzeciwko fotografii Xana i towarzyszącego mu drewnianego stateczku z namalowanym z boku numerem 1.

- Chce ci się spać,

- Nie.

- To chcesz rozmawiać czy jesteś zbyt zmęczona?

Iris przełknęła ślinę. Pod cienką skórą Ruby widziała pracujące mięśnie jej gardła.

- O czym?
- Nigdy mi nie mówiłaś, w jaki sposób zdobyłaś ten dom.
- To był spadek.
- Od kogo?

Biedny Sandy Allardyce. Nigdy nie miał dzieci z panią Kimmig-Gertsch ani z nikim innym. Mieszkał tu sam przez co najmniej dziesięć ostatnich lat swego życia i umarł w wieku lat sześćdziesięciu kilku. Odziedziczył dom po Gerti Kimmig-Gertsch, a potem zostawił go mnie, akurat mnie, w testamencie. Po wielu miesiącach list od jego adwokata dotarł do mnie w wynajmowanych dwóch pokojach obok kliniki w Namibii. Nie widziałam się z Sandym od wyjazdu z Kairu w 1942, ale czasem wymienialiśmy listy.

Wróciłam więc tutaj, by przez ostatnie lata mego życia mieszkać samotnie, tak jak Sandy. To był dla mnie dobry dom, zawsze pełen cieni ludzi i echa ich głosów. Zawsze, do niedawna.

Teraz jest tylko cisza.

- Nie byłam samotna - mówię nie dlatego, by przerwać ciszę, ale dlatego, że to prawda.

Ruby uśmiecha się do mnie. Jest taka pełna życia, z tym swoim rumieńcem świeżej brzoskwini.

- To dobrze. Kto ci więc zostawił ten dom?

- Sandy - mówię.

Nie mogę opowiedzieć całej historii. Za duży wysiłek.

- On mnie kochał - wyjaśniam.

- On mnie kochał - powiedziała Iris.

Ruby uchwyciła to spojrzenie babci w bok, rzucone ukradkiem pod bezbarwnymi rzęsami, spojrzenie kokietyjne, absolutnie wiedzące wszystko i triumfujące.

Iris pamiętała, jaka kiedyś była. Może - pomyślała Ruby -

nawet czuła się teraz taka jak wtedy. Zdolną do wzniecania w mężczyznach żaru namiętności. A mężczyźnie, którego kochała, gorliwie pragnąca się odwzajemnić.

- Jak to było pierwszy raz z Xanem?

- Jak...

Iris westchnęła lekko, jej pierś wyraźnie uniosła się i opadła pod przykryciem.

- To było jak pójście do nieba.

Ulotny, mglisty i chłodny przedświt. Mieszkanie Xana, stacja tranzytowa dzielona z niezliczonymi oficerami przejeżdżającymi przez Kair. Pistolet na półce, porzucone w korytarzu buty wykrzywione na kształt obcych stóp.

Nie wiedziałam, że można się śmiać i płakać jednocześnie.

Kochałam jego ciało i kochałam Xana. Wtedy i teraz.

Iris zasnęła. Ruby wstała bardzo ostrożnie, żeby jej nie obudzić, i wysliznęła się z pokoju.

Teraz jestem sama. To dobrze. Cisza otacza moją głowę, wnika w uszy, rośnie w ich wnętrzu i naciska na delikatne kościeczki.

Malleus. Incus. Stapes.

Młoteczek. Kowadełko. Strzemiączko.

Nicolas. Nicolas widział mój testament.

Nie mam do zostawienia nic oprócz tego domu, z jego spokojnymi otomańskimi łukami i ogródkiem, gdzie jest chłodno nawet w letnie upały. I już się z nim pożegnałam.

Nie chcę, żeby moja Ruby, mój cenny klejnot, mój rubin, tutaj została, uwięziona razem z czyimiś wspomnieniami za jedyne towarzystwo.

Ten dom zostanie sprzedany.

A pieniądze, które przyniesie, dużo pieniędzy, jak sędzę, bo namawiali mnie, żebym go sprzedała, zostaną podzielone na trzy części.

...Ogródek Groppiego zaniedbany i tandetny, nie taki, jakim go pamiętałam. Ci dwaj chłopcy: taksówkarz umiejący szybko zarobić i jego brat, amant Ruby, nieśmiały i inteligentny. Lody. Ziewający kelnerzy. Sama Ruby wydymająca wargi i zarzucająca głową, zawieszona między mną a swymi znajomymi, zarazem wylękniona i zbuntowana, i cała ich trójka taka młoda, co ja już zapomniałam...

Trzy części.

Jedna trzecia dla Mamduha i Cioci.

Jedna trzecia dla Ruby, co będzie trochę, choć nic za dużo.

Jedna trzecia dla Aszrafa, żeby mógł iść na studia.

Dwie trzecie dla Egiptu, jedna trzecia dla Anglii.

Myślę, że tak jest dobrze.

A Lesley, moja biedna Lesley...

Ona by nie chciała spadku. Niech on przejdzie na Ruby, którą obie kochamy. Która jest bardziej podobna do mnie, niż kiedykolwiek była Lesley.

Bardziej taka jak ja. Panna Iris Black, niedoszła pani Xanowa Molyneux, pani Gordonowa Foxbridge i na powrót doktor Black.

- Cześć - powiedział Asz i Ruby przycisnęła usta do jego warg.

- Chodźmy do garażu - szepnęła gorączkowo.

Było ciemno, a gdy Asz namacał i nacisnął włącznik, nadal nie było światła. Nafiz je odłączył, poszedł bezpiecznik lub jest jakaś awaria w okolicy.

- Nie możemy słuchać muzyki - mruknął.

- Musimy się zająć czymś innym.

Ruby przysunęła się do niego blisko, obejmując go rękami za szyję.

- O co chodzi? - zapytał, gdy przejechała czubkiem języka od kącika jego ust po krawędź szczęki i wtuliła nos w ciepły dołek za jego uchem. Wdychała jego zapach: miętowa guma do żucia, papierosy i skóra.

- Chcę tego - powiedziała po prostu. To było coś więcej niż chęć, to była konieczność. Musiała się z nim połączyć, jak musiała oddychać i jeść. Tak jak Iris z kapitanem Molyneux. Wsunęła dłonie pod skrzypiącą skórę jego kurtki, przeciągając palcami w dół po łuku żeber.

- Ruby...

- Powiedziałaś, że mnie kochasz.

- Tak, to prawda.

Sięgnęła palcami do sprzączki jego paska.

- No więc...

Było za ciemno, żeby widzieć cokolwiek oprócz zarysów jego twarzy.

- Nie powinniśmy tego robić. - Walczył, żeby się opamiętać.

- Asz. Musisz mi zaufać, gdy mówię, że powinniśmy, to dobra rzecz. - Jej palce pracowały i podkreślała swe słowa szybkimi ruchami języka. - Jest dobra i naturalna, jeśli oboje chcemy, a ja chcę i wiem, że ty też chcesz. Życie jest cenne. Nie zawsze tu będziemy. Zostaną tylko nasze kości, jak w Mieście Umarłych.

Pochylił głowę.

- Może masz rację - szepnął w końcu.

Otoczył ją ramionami i podniósł do góry, a Ruby roześmiała się w ciemności zalatującej benzyną. Razem zatoczyli się w stronę starego fotela samochodowego, który złapał ich w objęcia, gdy się przewrócili. Potem ich ciała splątały się na zapadniętym plastiku. Asz chwycił ją za nadgarstki i przytrzymał jej ręce wyciągnięte nad głową.

- Teraz jesteś moja.

- Teraz tak - odparła cicho.

Iris przesadzała - pomyślała. To nie było jak pójście do nieba. Ale było całkiem miło.

Asz musiał być przed północą w centralce szpitala. Za dwadzieścia dwunasta podnieśli się z fotela i wyszli w ciemnoniebieską noc. Asz rozprostowywał koszulę, Ruby przeczesywała palcami włosy. Wzięli się za ręce i pobiegli do mopedu. Ruby objęła go w pasie i przytuliła policzek do jego pleców, gdy szybko jechali do domu.

Pocałowali się w ukrytym załomie muru. Trudno im było się rozłączyć.

- Jutro? - błagał Asz.

- Jutro. Ta sama godzina, to samo miejsce. - Ruby przeciągnęła się błogo. Życie jest boskie. Obiecuje jeszcze niejedno jutro. Odstąpiła od niego, pozwalając mu iść. Zakręcił małym kółkiem i odjechał z rykiem.

Po drodze do łóżka Ruby zajrzała jeszcze do pokoju Iris. Spała na boku, zwrócona twarzą do fotografii.

Rankiem odeszła.

Ruby obudziła się wcześniej z mrożącym krew przecuciem w sercu. Zamrugła oczami w półmroku, usiłując zobaczyć, co się dzieje. Potem jednym ruchem usiadła i odrzuciła przykrycie. Pobiegła korytarzem, a jej rozgrzane stopy zostawiły nikłe ślady na gołej podłodze.

Iris wciąż leżała na boku zwrócona do fotografii.

Ruby zawahała się, stojąc w drzwiach. Gdy na początku swego pobytu tutaj Iris zachorowała, zajrzała do jej sypialni i zobaczyła, jak Ciocia przeciera gąbką jej woskowe czoło. Bała się wtedy, że babcia w nocy umarła.

Teraz było inaczej.

Wstrzymując oddech, Ruby przeszła do brzegu łóżka.

Dotknęła dłonią ręki Iris. Była zimna.

Gdy ujrzała bledne ciało Jasi, wiedziała od razu, że nie żyje, że już go w tym ciele nie ma. Pomyślała o nim teraz, dotykając swoją ciepłą dłońią zimnej skóry Iris. W głowie jej coraz bardziej pulsowało, aż przypomniała sobie, że musi wziąć oddech, który zaczął się od nabrania powietrza, a skończył szlochem.

Iris nie było, tak samo ostatecznie jak Jasi.

Ruby opadła na kolana i objęła rękami ramiona babci.

Odeszła we śnie, sama. Jakby wybrała sobie taki sposób.

Ruby delikatnie pochyliła się i pocałowała zimną skroń, gdzie pod skórą rysowały się niebieskie żyłki. Klęczała tak przez kilka minut, trzymając ją, potem ciężko wstała, czując ból w całym ciele. Nieobecność Iris była faktem absolutnie pewnym.

W kuchni Mamduh podniósł się ze swego krzesła, gdy tylko zobaczył jej twarz.

Ruby ujęła obie jego ręce.

- Moja babcia zmarła we śnie - powiedziała.

Ciocia stała przy zlewie. Wydała z siebie jęk rozpaczony, rosnący na sile, jak pierwsze zawodzenie muezina. Ruby przytuliła ją na chwilę, potem odwróciła się. Musiała zadzwonić do doktora Nicolasa i Lesley. W taki czy inny sposób musiała dopełnić wszystkich obowiązków, które zawsze należały do tych, co pozostali.

Ale jeszcze nie teraz. Najpierw chciała pobyc trochę sama i pomyśleć o Iris.

Ruby wyszła z domu. Od drzwi frontowych skręciła w przeciwną stronę i przeszła kilka kroków do *zījady*, którą wchodziło się na dziedziniec wielkiego meczetu. Dotąd zajrzała tu ledwie kilka razy, by popatrzeć na morze rozmodlonych mężczyzn przyciskających czoła do świętej ziemi. Ale teraz cały plac był pusty. Szła powoli pod niebem cięż-

kim od deszczowych chmur. Kamienie bruku wydawały się ostre przez cienką podeszwę jej kapci. Dziedziniec, ogromny jak pustynia, otoczony był arkadami, łagodnie falującymi jak ocean. Ruby zadarła głowę i poczuła na twarzy pierwsze krople deszczu.

Chciała sobie przypomnieć głos Iris, ale nie mogła. Jeszcze nie. Obraz pustej cielesnej powłoki, którą zostawiła, był zbyt świeży.

Trzy minarety zwieńczone półksiężycami pięły się ku niebu.

To jak pójdzie do nieba - powiedziała Iris. Nagle Ruby przypomniało się tamto spojrzenie rzucone przez Iris. Mądre, pewne siebie i wesołe spojrzenie kobiety, która wszystko w życiu robiła z pasją. Może to o to chodzi - pomyślała.

Miała taką nadzieję.

Nagły poryw wiatru przebiegł przez odsłonięty dziedziniec, niosąc deszcz od północy, z zalanej wodami i porośniętej trzcina delty.

Deszcz na kamieniach bruku miał dziwny zapach, a jednak znajomy. Pachniał Anglią.